

**ELIZABETH**

**KOSTOWA**

# **Łabędź i złodzieje**

*THE SWAN THIEVES*

Z angielskiego przełożył Jan Kabat

Świat Książki



Mojej matce

*La bonne mère*

„Nie uwierzylibyście, jak trudno umieścić na płótnie samotną postać i skupić na tej pojedynczej, uniwersalnej sylwetce całe zainteresowanie, a jednocześnie sprawić, by pozostała żywa i prawdziwa”.

Édouard Manet, 1880

Tuż za wsią można dostrzec krąg ogniska, a wokół niego czerniejący śnieg. Obok kręgu już od miesiący stoi koszyk, przybierający z wolna kolor popiołu. Są tu też ławki, na których przysiadają skuleni starzy ludzie, by ogrzać sobie dłonie - jest jednak na to zbyt zimno, zbyt blisko zmierzchu, zbyt ponuro. To nie Paryż. Powietrze pachnie dymem i nocnym niebem; za lasem widać pozbawioną nadziei bursztynową poświatę, niemal zachód słońca. Ciemność zapada tak szybko, że ktoś już zapalił lampę w oknie domu, który stoi najbliżej opuszczonego ogniska. Jest styczeń albo luty, a może ponury marzec roku 1895 - data zostanie nakreślona topornymi czarnymi cyframi w jednym z narożników płótna, na ciemnym tle. Dachy wiejskich domostw są ciemnoszare i upstrzone roztopiającym się śniegiem, który zsuwa się z nich wielkimi bryłami. Po obu stronach paru uliczek ciągnie się mur, inne otwierają się na pola i błotniste ogrody. Drzwi domów są zamknięte, nad kominami unosi się woń gotowanych potraw.

Tylko jedna osoba porusza się na tym bezludziu - kobieta w ciężkim podróżnym odzieniu, zmierzająca drogą ku ostatniemu skupisku siedzib. Tam także ktoś zapala lampę - pochylona nad płomieniem ludzka postać, w odległym oknie pozbawiona jednak szczegółów. Kobieta na drodze nosi się z godnością i nie ma na sobie wytartego fartucha ani typowych wiejskich sabotów z drewna. Peleryna i długie spódnice odcinają się od liliowego śniegu. Kaptur obszyty jest futrem i skrywa jej twarz, ujawniając jedynie krągłości policzka. Brzeg sukni to geometryczny wzór w bladobłękitnym kolorze. Kobieta oddała się z zawiniątkiem w ramionach, szczelnie otulonym, jakby chciała je ochronić przed panującym na dworze zimnem. Drzewa wysuwają drętwo konary ku niebu, tworząc nad drogą sklepienie. Na ławce przed domem na końcu uliczki ktoś zostawił kawałek czerwonego materiału - być może szal albo mały obrus, w każdym razie jest to jedyna w okolicy plama żywego koloru. Kobieta osłania swoje zawiniątko ramionami i dłońmi w rękawiczkach i czym prędzej odwraca się plecami do głównego skupiska domów pośrodku wsi. Jej buty skrzypią na łacie lodu pokrywającego drogę. W zapadającej ciemności można dostrzec bladą parę jej oddechu. Kobieta zbiera się w sobie i rusza pospiesznie. Czy opuszcza wioskę, czy też zmierza w

stronę któregoś z domów w ostatnim szeregu?

Nawet jedynej człowiek, który ją obserwuje, nie zna odpowiedzi na to pytanie ani nie jest jej ciekaw. Pracował przez większość popołudnia: nanosił na płótno mury stojące wzdłuż uliczek, umieszczał w odpowiednich miejscach nagie drzewa, odmierzał drogę, czekał na dziesięć minut zimowego zachodu słońca. Kobieta jest intruzem, ale ją także uwiecznia na obrazie, notuje szybko szczegóły jej ubioru i wykorzystuje zamierające światło dnia, by nakreślić zarys kaptura i sposób, w jaki postać pochyła się do przodu, pragnąc uniknąć mroźnego powiewu albo ochronić przed chłodem zawiniątko. Piękna niespodzianka, kimkolwiek jest. Stanowi brakującą nutę, ruch, którego potrzebował, by wypełnić główny odcinek zaśnieżonej drogi z plamami ziemi. Już dawno schronił się w domu i teraz pracuje przy oknie - jest stary i jeśli maluje w chłodzie pleneru dłużej niż kwadrans, bołą go ręce i nogi - może więc sobie jedynie wyobrazić jej przyspieszony oddech, odgłos kroków, skrzypienie śniegu pod ostrym obcasem buta. Niedoleźniej, coraz bardziej schorowany, ale przez chwilę pragnie, by kobieta odwróciła się i spojrzała wprost na niego. Widzi w myślach jej włosy, ciemne i miękkie, wargi w kolorze cynobru, duże nieufne oczy.

Ona się jednak nie odwraca, on zaś mimo wszystko czuje zadowolenie. Potrzebuje jej takiej, jaką jest teraz, oddalającej się ku śnieżnemu tunelowi na jego płótnie, potrzebuje prostego kształtu pleców i ciężkich spódnic z eleganckim obrębkim, ramienia przyciskającego opatulony przedmiot. Jest rzeczywistą kobietą, która dokądś zmierza, ale która została właśnie unieśmiertelniona. Uwieczniona w swoim pośpiechu. Jest rzeczywistą kobietą i jednocześnie obrazem.

# 1

## *MARLOW*

Telefon w sprawie Roberta Olivera dostałem w kwietniu 1999 roku, niespełna tydzień po tym, jak wyciągnął nóż, stojąc przed dziewiętnastowieczną kolekcją obrazów w National Gallery. Był to wtorek, jeden z tych okropnych poranków, które nawiedzają czasem Waszyngton i jego okolice, kiedy wiosna już sypie kwiatami i nawet bywa gorąco - nagle niebo zaciąga się chmurami, pojawia się niszczycielski grad, a w oziębionym ni stąd, ni zowąd powietrzu słychać pomruki grzmotów. Było to także, zupełnie przypadkowo, dokładnie tydzień po masakrze w szkole średniej Columbine w małym mieście Littleton w Kolorado; wciąż myślałem obsesyjnie o tym wydarzeniu, jak zapewne każdy psychiatra w kraju. Wydawało mi się, że mój gabinet pełen jest młodych ludzi z obrzynami i demonicznymi urazami. Jak to się stało, że ich zawiedliśmy, a ich niewinne ofiary jeszcze bardziej? Miałem tego ranka wrażenie, że ta okropna pogoda i ogólny nastrój przygnębienia zmówiły się ze sobą.

Kiedy zadzwonił telefon, po drugiej stronie usłyszałem głos przyjaciela i kolegi po fachu, doktora Johna Garcii. John jest wspaniałym człowiekiem - i wspaniałym psychiatrą - z którym dawno temu chodziłem do college'u i który od czasu do czasu zaprasza mnie na lunch do restauracji; sam ją wybiera i rzadko pozwala mi uregulować rachunek. Pełni dyżury w jednym z największych szpitali waszyngtońskich i podobnie jak ja przyjmuje prywatnie.

Powiedział, że chce mi przekazać pacjenta, którym miałbym się zająć; w jego głosie wyczułem żarliwość.

- Ten facet może stanowić trudny przypadek. Nie wiem, jak sobie z nim poradzisz, ale wolałbym, żeby był u ciebie, w Goldengrove. Okazało się, że to artysta, i to taki, który odniósł sukces. Aresztowali go w zeszłym tygodniu, a potem przywieźli do nas. Nie jest zbyt rozmowny i nie przepada za nami. Nazywa się Robert Oliver.

- Słyszałem o nim, ale na dobrą sprawę nie znam jego dzieł - odparłem. - Pejzaże i portrety; wydaje mi się też, że ze dwa lata temu trafił na okładkę „ARTnews”. Co takiego zrobił, że go aresztowali?

Obróciłem się do okna i zacząłem obserwować grad, który niczym kosztowny biały żwir spadał na ogrodzony murem trawnik na tyłach i przygniecioną do ziemi magnolię. Trawa była już bardzo zielona i przez chwilę nad wszystkim jaśniał wodnisty blask słońca, lecz potem zaczął się następny atak gradu.

- Próbował zaatakować obraz w National Gallery. Nożem.

- Obraz? Nie jakąś osobę?

- Najwidoczniej w tym momencie był sam w sali, ale zjawił się strażnik i zobaczył, jak Oliver zamierza się na płótno.

- Stawiał opór? - spytałem, patrząc, jak grad zasiewa się w błyszczącej trawie.

- Tak. Rzucił nóż na podłogę, ale potem chwycił strażnika i porządnie nim potrząsnął. To kawał chłopca. Po chwili się uspokoił i pozwolił wyprowadzić, nie wiadomo dlaczego. Dyrekcja muzeum się zastanawia, czy wnieść oskarżenie o napaść. Chyba z tego zrezygnuje, ale facet cholernie ryzykował.

Znów zacząłem się przyglądać podwórzu na tyłach.

- Obrazy w National Gallery to własność federalna, tak?

- Zgadza się.

- Jakiego rodzaju był ten nóż?

- Tylko scyzoryk. Nic groźnego, ale mógł nim dokonać sporych zniszczeń. Był bardzo podniecony, uważał, że uczestniczy w heroicznej misji. Załamał się dopiero na policji, powiedział, że nie spał od kilku dni. Trochę nawet płakał. Został przywieziony na oddział psychiatryczny, a ja go przyjąłem.

Wyczułem, że John czeka na moją odpowiedź.

- W jakim wieku jest ten facet?

- Jest młody, no, może niezupełnie, czterdzieści trzy lata, ale teraz wydaje mi się to niewiele. Sam rozumiesz.

Rozumiałem i wybuchnąłem śmiechem. Pięćdziesiątka, która stuknęła nam dwa lata wcześniej, przypawiła nas obu o szok; odreagowaliśmy, obchodząc urodziny z przyjaciółmi, którzy byli w takiej samej sytuacji.

- Miał też przy sobie kilka rzeczy. Szkicownik i paczkę starych listów. Nie pozwalał ich nikomu dotknąć.

- No dobra, czego po mnie oczekujesz?

Przylapałem się na tym, że opieram się ociężale o biurko; to był długi ranek, chciało mi się też jeść.

- Po prostu weź go do siebie - odparł John.



Podejrzliwość w naszej profesji to rzecz normalna.

- Dlaczego? Chcesz mi zwalić na głowę dodatkowy kłopot?

- Och, daj spokój. - Wyczułem, jak się uśmiecha. - Nie słyszałem, żebyś kiedykolwiek odprawił pacjenta, doktorze fanatyku, a ten powinien cię zainteresować.

- Bo jestem malarzem?

Wahał się tylko przez chwilę.

- Szczerze mówiąc, tak. Nie udaję, że rozumiem artystów, ale sądzę, że dasz sobie radę z tym facetem. Powiedziałem ci, że niewiele mówi, a kiedy powiadam, że niewiele mówi, oznacza to, że wyciągnąłem z niego może ze trzy zdania. Pomimo leków, które mu podajemy, najwyraźniej pograża się w depresję. Miewa też napady gniewu i pobudzenia. Martwię się o niego.

Patrzyłem na drzewo, szmaragdowy trawnik, rozrzucone topniejące grudki lodu, znowu na drzewo. Stało odrobinę na lewo od środka murawy, naprzeciwko okna, i mrok dnia nadawał jego bladofioletowym i białym pąkom jasność, której nie miały w blasku słońca.

- Co mu podajecie?

John wymienił szybko: leki antydepresyjne, środek przedwiekowy, wszystko w przyzwoitych dawkach. Wziąłem z biurka pióro i bloczek.

- Diagnoza?

Odpowiedź Johna wcale mnie nie zaskoczyła.

- Na szczęście dla nas, kiedy jeszcze mówił, podpisał zgodę na udzielanie informacji o swoim stanie zdrowia. Dostaliśmy też kopię dokumentów od jego psychiatry w Karolinie Północnej, mniej więcej sprzed dwóch lat. Najprawdopodobniej był to ostatni raz, kiedy widział się z lekarzem.

- Zdradza jakiś szczególny niepokój?

- No cóż, nie chce o tym rozmawiać, ale chyba tak. I brał już leki, jak wynika z dokumentacji. Prawdę powiedziawszy, kiedy się u nas zjawił, miał w kieszeni marynarki klonopin. Sprzed dwóch lat. Zapewne niewiele mu pomógł, jeśli nie brał też środków przedwiekowych. W końcu udało się nam skontaktować z żoną Olivera w Karolinie - była żoną, ściśle mówiąc - która nam powiedziała to i owo o historii jego leczenia.

- Próby samobójcze?

- Możliwe. Trudno go właściwie ocenić, skoro nie chce rozmawiać. U nas niczego nie próbował. Jest raczej wkurzony. Ale nie chcę go wypuścić w takim stanie. Przypuszczam, że musi pozostać gdzieś przez pewien czas, żeby ktoś mógł się zorientować, o co chodzi, i odpowiednio dobrać leki. Jestem pewien, że okaże chęć do współpracy. Tutaj mu się nie

podoba. Wiesz, jakbyśmy trzymali niedźwiedzia w klatce - milczącego niedźwiedzia.

- Więc uważasz, że nakłonię go do mówienia?

Był to nasz stary dowcip i John od razu się zorientował.

- Marlow, potrafiłbyś zmusić do tego nawet kamień.

- Dzięki za komplement. Nie wspominając już o tym, że spieprzyłeś mi przerwę na lunch. Ma ubezpieczenie?

- Coś tam ma. Zajmuje się tym nasz pracownik opieki społecznej.

- W porządku, każ go przywieźć do Goldengrove. Jutro o czternastej, z dokumentacją. Przyjmę go.

Pożegnaliśmy się, ja zaś stałem jeszcze przy biurku, zastanawiając się, czy podczas posiłku zdołam znaleźć pięć minut na rysowanie, co lubię robić, kiedy mój terminarz jest napięty; miałem przed sobą spotkanie o pierwszej trzydzieści, drugiej, trzeciej, czwartej, a potem jeszcze zebranie zarządu o piątej. Nazajutrz czekało mnie dziesięć godzin w Goldengrove, prywatnym ośrodku psychiatrycznym, gdzie pracowałem od dwunastu lat. Teraz potrzebowałem zupy, sałatki i ołówka w palcach - przez pięć minut.

Przypomniałem też sobie coś, do czego od dawna nie wracałem myślą, choć wcześniej to wspomnienie nawiedzało mnie bardzo często. Kiedy w wieku dwudziestu jeden lat ukończyłem studia licencjackie na Columbii (co dało mi pojęcie o historii, angielskim i naukach ścisłych) i zamierzałem rozpocząć studia medyczne na Uniwersytecie Wirginii, moi rodzice wysupłali trochę pieniędzy, żebym razem z kolegą z akademika mógł pojechać na miesiąc do Włoch i Grecji. Po raz pierwszy znalazłem się poza granicami USA. Byłem pod wrażeniem malarstwa włoskiego w kościołach i klasztorach, architektury Florencji i Sieny. Na greckiej wyspie Paros, gdzie wytwarzają najdoskonalszy przezroczysty marmur na świecie, poszedłem do miejscowego muzeum archeologicznego.

Znajdował się tam tylko jeden wartościowy posąg, który stał samotnie w sali. Powinienem powiedzieć: stała samotnie; była to Nike, wysokości mniej więcej półtora metra, poobijana, bez głowy i ramion, z bliznami na plecach, tam gdzie niegdyś wyrastały skrzydła, marmur zaś upstrzony był czerwonymi plamami od długiego spoczywania w glebie wyspy. Wciąż można było dostrzec mistrzostwo dłuta, szatę, która opływała ciało jak wodne wiry. Przytwierdzono ponownie jedną z małych stóp. Byłem w pomieszczeniu sam, szkicując posąg, kiedy na chwilę zajrzał strażnik, żeby krzyknąć: „Niedługo zamykamy!” Spakowałem więc przybory do rysowania, a potem - nie zastanawiając się nad konsekwencjami - podszedłem do Nike po raz ostatni i schyliłem się, by ucałować jej stopę. Strażnik pojawił się w ciągu sekundy; zaczął wrzeszczeć, właściwie wyciągnął mnie stamtąd za kołnierz. Nigdy

nie wywalono mnie z baru, ale tamtego dnia zostałem wyrzucony z muzeum pilnowanego przez jednego strażnika.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Johna; udało mi się go złapać jeszcze w gabinecie.

- Co to był za obraz?

- Nie rozumiem.

- Obraz, który zaatakował nasz pacjent, innymi słowy: pan Oliver.

John wybuchnął śmiechem.

- Wiesz, powiem ci szczerze, że nie przyszłoby mi do głowy o to spytać, ale napisali o tym w raporcie policyjnym. *Leda*. Jakiś grecki mit. Tak mi się w każdym razie wydaje. Napisali też, że przedstawiał nagą kobietę.

- Jeden z podbojów Zeusa - wyjaśniłem. - Dokonany pod postacią łabędzia. Kto to namalował?

- Daj spokój, czuję się jak na zajęciach z historii sztuki. Omal ich nie oblałem, tak przy okazji. Nie mam pojęcia, kto namalował ten obraz. Policjant dokonujący aresztowania też tego nie wiedział.

- W porządku, wracaj do pracy. Miłego dnia, John - powiedziałem, starając się rozluźnić kark i jednocześnie przytrzymywać słuchawkę.

- Miłego dnia, przyjacielu.

## 2

### *MARLOW*

Już dręczy mnie pragnienie, by zacząć tę historię ponownie od kategorycznego stwierdzenia, że jest to historia prywatna. I nie tylko prywatna; mam na myśli także to, że w takim samym stopniu jak fakty w grę wchodzi tu moja wyobraźnia. Przez dziesięć lat porządkowałem swoje notatki, a także myśli, dotyczące tej sprawy; wyznaję, że początkowo rozważałem napisanie artykułu o Robertcie Oliverze dla pisma psychiatrycznego, które cenię najwyżej i w którym publikowałem już wcześniej, ale kto chciałby ogłaszać drukiem coś, co mogłoby ostatecznie przekonać jego samego o zawodowym kompromisie? Żyjemy w epoce talk-show i monstualnej niedyskrecji, lecz nasza profesja jest szczególnie nieprzejednana w swym milczeniu - ostrożnym, legalistycznym, odpowiedzialnym. W najlepszym razie. Oczywiście zdarzają się przypadki, kiedy mądrość musi przeważać nad zasadami; każdy lekarz zna takie sytuacje. Podjąłem odpowiednie środki i zmieniłem wszystkie związane z tą historią nazwiska, z własnym włącznie, pomijając jedno imię, niezwykle powszechne, ale też tak dla mnie piękne, że nie widziałem nic złego w fakcie, iż zachowuję oryginał.

Nie wychowywałem się w domu o tradycjach lekarskich - prawdę powiedziawszy, moja matka była pierwszą kobietą pastorem w swej niewielkiej kongregacji, a ja miałem jedenaście lat, kiedy ją wyświęcono. Mieszkaliśmy w najstarszej siedzibie w naszym mieście w stanie Connecticut - w niskim drewnianym domu śliwkowego koloru, z podwórzem frontowym jak angielski cmentarz, gdzie o miejsce przy kamiennej ścieżce prowadzącej do drzwi wejściowych walczyły cisy, wierzby płaczące i inne żałobne drzewa.

Każdego popołudnia, o trzeciej piętnaście, wracałem do tego domu ze szkoły, ciągnąc za sobą tornister pełen książek i okruchów, piłek do bejsbolu i kredek. Matka otwierała drzwi, ubrana zwykle w niebieską spódnicę i sweter, a później w swój czarny strój z białą koloratką - jeśli wcześniej odwiedzała chorych, starszych, niedomagających, którzy nie mogli opuszczać domów, albo nowych grzeszników. Byłem marudnym dzieckiem z wadami postawy, przepełnionym chronicznym przekonaniem, że życie nie wygląda tak, jak się zapowiadało, co stanowiło powód rozczarowania; ona ze swej strony była surową matką - surową, prawą,

wesołą i czułą. Kiedy zauważyła u mnie na dość wczesnym etapie talent do rysowania i rzeźbienia, zachęcała mnie z milczącą pewnością siebie, bym go rozwijał; robiła to dzień za dniem, nigdy nie przesadzając z pochwałami i jednocześnie nie pozwalając mi wątpić w sens moich wysiłków. Różniliśmy się od siebie pod każdym względem, jak sądzę, i to od dnia, w którym się urodziłem. No i kochaliśmy się zapamiętale.

To dziwne, ale choć matka zmarła dość młodo - a może właśnie dlatego - stwierdziłem, że w średnim wieku coraz bardziej się do niej upodabnam. Przez lata byłem nie tyle samotny, ile po prostu niezonaty, choć w końcu unormowałem ten stan. Kobiety, które kochałem, są (albo były) bez wyjątku takie jak ja w okresie dzieciństwa - kapryśne, zmienne, intrygujące. W ich towarzystwie coraz bardziej zaczynałem przypominać matkę. Moja żona nie jest tu wyjątkiem, ale pasujemy do siebie.

Zapewne w wyniku doświadczeń z tymi kobietami i z żoną, a także zawodowych, które ukazują mi każdego dnia niewidoczną stronę ludzkiego umysłu, jego tragedię - żalorny wpływ środowiska, kaprysy genetyczne - zdołałem rozbudzić w sobie coś w rodzaju skrupulatnej życzliwości wobec życia. Zaprzyjaźniliśmy się, ono i ja, kilka lat wcześniej - nie jest to może pełna ekscytacji przyjaźń, do jakiej tęskniłem jako dziecko, ale pełen wzajemnego zrozumienia rozejm, przyjemność, którą odczuwam, wracając codziennie do swojego mieszkania przy Kalorama Road. Zdarzają mi się od czasu do czasu chwile - na przykład gdy obieram pomarańczę, a potem przenoszę ją z blatu szafki na stół kuchenny - kiedy czuję niemal dojmujące zadowolenie, być może wywołane surowym, czystym kolorem owocu.

Doznawałem tego jedynie w dzieciństwie. Zakłada się z góry, że dzieci mogą cieszyć się wyłącznie drobnostkami, ale tak naprawdę pamiętam, że marzyłem tylko o czymś wielkim, a potem to marzenie kurczyło się, jedno zainteresowanie przechodziło w inne, aż w końcu wszystkie moje pragnienia skupiły się na biologii, chemii i studiach medycznych, wreszcie na odkrywaniu najdrobniejszych epizodów życia, neuronach, helisach i wirujących atomach. Prawdę mówiąc, nauczyłem się dobrze rysować dzięki tym nieskończone małym kształtom i odcieniom w swoim laboratorium biologicznym, nie zaś dzięki czemuś tak wielkiemu jak góry, ludzie czy misy z owocami.

Teraz, jeśli marzę o czymś znaczącym, to w związku ze swoimi pacjentami - by mogli w końcu odczuć tę powszednią radość, jaką daje kuchnia i pomarańcza, wyciągnięcie nóg przed telewizorem, w którym pokazywany jest film dokumentalny, czy też, jak sobie wyobrażam, większą przyjemność, na przykład możliwość zachowania pracy, powrót do rodziny po uwolnieniu się od choroby psychicznej, dostrzeżenie normalnego otoczenia

pokoju, a nie straszliwego tłumu nieznanymi twarzami. Jeśli chodzi o siebie samego, nauczyłem się marzyć skromnie: liść, nowa farba, miąższ pomarańczy i to, co tworzy piękno mojej żony - lśnienie w kącikach jej oczu i ramiona z miękkimi włoskami, które błyszczą w świetle lampy stojącej w naszym salonie, kiedy tam siedzi i czyta.

Powiedziałem, że moje wychowanie nie przygotowało mnie do profesji medycznej, ale nie jest to może takie dziwne, że wybrałem tę, a nie inną jej dziedzinę. Matka i ojciec nie mieli w sobie ani odrobiny zapału naukowego, choć ich osobista dyscyplina, przekazana mi za sprawą owsianki i czystych skarpet, z intensywnością typową dla rodziców mających jedno dziecko, bardzo mi się przydała, jeśli wziąć pod uwagę rygory biologii w college'u i jeszcze większe na wydziale medycyny - *rigor mortis* nocy spędzanych bez reszty na studiowaniu i wkuwaniu na pamięć, a także tych późniejszych, bezsennych, podczas dyżurów szpitalnych, kiedy to odczuwałem względną ulgę.

Marzyłem też, by zostać artystą, ale gdy nadszedł czas wyboru konkretnego zawodu, pracy na całe życie, zdecydowałem się na medycynę i od razu wiedziałem, że zajmę się psychiatrią, która stanowiła dla mnie zarówno profesję uzdrowicielską, jak i najważniejszą naukę dotyczącą ludzkiego doświadczenia. Prawdę mówiąc, po ukończeniu college'u złożyłem papiery w kilku szkołach artystycznych i ku swemu zadowoleniu zostałem przyjęty do dwóch, i to niezłych. Chciałbym powiedzieć, że moja decyzja wiele mnie kosztowała, że żyjący we mnie artysta buntował się przeciwko takiej zmianie. W rzeczywistości czułem, że jako malarz nie wniosę niczego szczególnego do społeczeństwa, i w głębi serca bałem się panicznie walki o byt, związanej z takim życiem. Psychiatria wydawała się prostą ścieżką, która pozwalała służyć cierpiącemu światu i jednocześnie malować; wystarczała mi świadomość, że mógłbym być zawodowym artystą, gdybym tylko chciał.

Jak się zorientowałem, rodzice zastanawiali się głęboko nad moim wyborem specjalizacji. Kiedy podczas jednej z naszych zamiejscowych rozmów telefonicznych pod koniec tygodnia wspomniałem im o swoich zamiarach, po drugiej stronie zapadło milczenie, jakby próbowali przetrwać los, który sobie szykowałem, i powody, dla których podjąłem taką decyzję. Po chwili matka, porównując w szczególności swoje i moje (przyszłe) posłannictwo, zauważyła spokojnie, że każdy potrzebuje kogoś, z kim mógłby porozmawiać; ojciec zaś nadmienił, że demony można wypędzać z ludzi na różny sposób.

Tak naprawdę ojciec nie wierzy w diabły; nie figurują one w jego nowoczesnym i postępowym powołaniu. Lubi odwoływać się do nich sarkastycznie, nawet teraz, w podeszłym wieku; zagłębia się, potrząsając z niedowierzaniem głową, w dzieła wczesnych

kaznodziei Nowej Anglii, takich jak Jonathan Edwards, albo w pisma średniowiecznych teologów, którzy także go fascynują. Jest jak wielbiciel horrorów; czyta je, ponieważ go denerwują. Kiedy wspomina o „demonach”, „ogniu piekielnym” i „grzechu”, to traktuje te pojęcia ironicznie, z pełną obrzydzenia fascynacją. Parafianie, którzy wciąż zaglądają do jego gabinetu w naszym starym domu (ojciec nigdy nie przejdzie na emeryturę), mogą liczyć na głęboko wyrozumiałą interpretację swych własnych udręk. Przyznaje, że chociaż zajmuje się duszami, a ja diagnozami, czynnikami środowiskowymi, badaniami behawioralnymi i DNA, obaj dążymy do tego samego celu - położenia kresu ludzkiej męce.

Kiedy także matka została pastorem, nasze domostwo stało się niezwykle pracowite, ja zaś znalazłem mnóstwo czasu, by zajmować się sobą i za sprawą ksiązek oraz wypraw badawczych do parku na końcu naszej ulicy uwalniać się od sporadycznej apatii. Siadywałem zagłębiony w lekturze pod drzewem albo szkicowałem sceny górskie czy pustynie, których z pewnością nie widziałem na własne oczy. Do moich ulubionych ksiązek zaliczały się, z jednej strony, powieści przygodowe, których akcja rozgrywała się na morzu, z drugiej zaś rzeczy na temat odkryć i przeróżnych badań. Pochłaniałem biografie dla dzieci, wszystkie, które mogłem zdobyć - Tomasza Edisona, Aleksandra Grahama Bella, Eliego Whitneya i inne, a później przerzuciłem się na przygody z zakresu medycyny - na przykład Johan Salk i polio. Nie byłem zbyt żywym dzieckiem, ale pragnąłem dokonać czegoś niezwykle odważnego. Marzyłem o ratowaniu życia, o tym, że pojawiając się w samą porę, odkrywając coś zbawiennego. Nawet teraz, czytając artykuł w periodyku naukowym, doznaję tamtego uczucia: dreszczu, jaki wywołuje wiadomość o dokonanej przez kogoś odkrywaniu, i ukłucia zazdrości.

Nie mogę powiedzieć, by to pragnienie odgrywania roli zbawcy stanowiło główny motyw mojego dzieciństwa, chociaż, jak się okazuje, mogłoby posłużyć za kanwę zgrabnej opowieści. Na dobrą sprawę nie zdradzałem jakiegось konkretnego powołania i nim zdążyłem pójść do szkoły średniej, gdzie uczyłem się dobrze, ale bez szczególnego entuzjazmu, wszystkie te biografie dla dzieci zamieniły się w zwykłe wspomnienie. Ze znacznie większą przyjemnością czytałem wtedy Dickensa i Melville'a, uczestniczyłem w zajęciach artystycznych, uprawiałem bez wielkich sukcesów biegi przelajowe i wreszcie, czemu towarzyszyło westchnienie ulgi, straciłem dziewictwo w trzeciej klasie z bardziej doświadczoną dziewczyną z czwartej, która mi powiedziała, że zawsze lubi patrzeć na tył mojej głowy.

Rodzice jednak osiągnęli co nieco w naszym mieście, broniąc i z powodzeniem

resocjalizując pewnego bezdomnego, który zawędrował aż z Bostonu i schronił się w miejscowym parku. Jeździli do lokalnego więzienia, by wygłaszać tam pogadanki, i nie pozwolili zburzyć domu niemal tak wiekowego jak nasz (ten pierwszy został wzniesiony w 1691 roku, ten drugi - w 1689) pod budowę parkingu przy supermarkecie. Przychodzili na moje mityngi lekkoatletyczne, pełnili dyżury podczas zabaw na koniec roku szkolnego i zapraszali moich przyjaciół na przyjęcia ekumeniczne, w trakcie których podawali pizzę. Przewodniczyli także nabożeństwom żałobnym swych zmarłych młodo przyjaciół. Ich wyznanie nie przewidywało pogrzebów, otwartych trumien, modlitw nad zmarłymi, więc nie dotknąłem zwłok, nim poszedłem na medycynę, i nie widziałem martwej osoby, którą znałbym wcześniej osobiście, dopóki nie ująłem ręki matki - ręki absolutnie bezwładnej i wciąż ciepłej.

Jednak na wiele lat przed śmiercią matki, gdy wciąż studiowałem, zaprzyjaźniłem się z człowiekiem, o którym już wspominałem - z człowiekiem, dzięki któremu zająłem się, by się tak wyrazić, najważniejszym przypadkiem w swej karierze. Kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, John Garcia był jednym z moich przyjaciół - przyjaciół w college'u, z którymi uczyłem się do testów z biologii i egzaminów z historii albo grywałem w piłkę w sobotnie popołudnia, a którzy teraz łysieją; innych poznałem na medycynie, w laboratoriach i na wykładach, albo później, podczas dyżurów w izbie przyjęć, w trakcie podejmowania trudnych decyzji. Nim John do mnie zadzwonił, wszyscy już zaczęliśmy siwieć, wszyscy też zaczęliśmy się nieco garbić albo - by się temu przeciwstawić - traciliśmy mężnie wagę. Ze swej strony dziękowałem Bogu za to, że od najmłodszych lat uprawiałem biegi, co pozwoliło mi w mniejszym lub większym stopniu zachować szczupłą sylwetkę, a nawet siłę. Dziękowałem też losowi, że moje włosy nadal są gęste i w równym stopniu kasztanowe jak srebrne i że kobiety na ulicy wciąż zerkają w moją stronę. Byłem jednak niezaprzeczalnie jednym z nich, członkiem owej kohorty przyjaciół w średnim wieku.

Kiedy więc John zadzwonił do mnie w tamten wtorek z prośbą o przysługę, oczywiście się zgodziłem. Byłem zaciekawiony jego opowieścią o Robercie Oliverze, ale myślałem też o zbliżającym się lunchu, o okazji do rozprostowania nóg i otrząśnięcia się z kieratu poranka. Tak naprawdę nigdy nie przeczuwamy swego przeznaczenia, jak powiedziałby ojciec, siedząc w swoim gabinecie w Connecticut. I gdy mój dzień pracy dobiegł końca, kiedy było po zebraniu zarządu, a grad zamienił się w drobną mżawkę, wiewiórki zaś zaczęły biegać po podwórku na tyłach i skakać po urnach, przestałem niemal myśleć o telefonie od Johna.

Później, kiedy już pokonałem szybko drogę z gabinetu do domu, zdjąłem płaszcz w



przedpokoju - nie byłem wtedy jeszcze żonaty, więc nikt mnie nie przywitał w drzwiach, a w nogach łóżka nie leżała słodko pachnąca bluzka, zdjęta po całym dniu pracy - i zostawiłem ociekający parasol, żeby wysechł, potem zaś umyłem ręce i przyrządziłem sobie grzankę z tuńczykiem, by wreszcie pójść do pracowni i wziąć do ręki pędzel - dopiero wtedy, trzymając między palcami gładkie drewno, przypomniałem sobie o swoim przyszłym pacjencie, który zamiast pędzlem wywijał nożem. Włączyłem ulubioną muzykę, *Sonatę A-dur* na skrzypce i fortepian Francka, i celowo o nim zapomniałem. Miałem za sobą długi dzień, nieco pusty do chwili, gdy zacząłem napędzać go kolorem. Jednak, jeśli nie umieramy naprawdę, następny dzień zawsze nadchodzi, a tego następnego dnia poznałem Roberta Olivera.

### 3

## *MARLOW*

Stał przy oknie swojego nowego pokoju, wyglądając na zewnątrz, z rękami zwieszającymi się po bokach. Odwrócił się, kiedy wszedłem. Mój nowy pacjent miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i był potężnie zbudowany; gdy patrzył na człowieka wprost, pochylał się nieco jak szarżujący byk. Zdawało się, że w jego rękach i ramionach drzemie z trudem kontrolowana siła; na twarzy malowała się zawziętość i pewność siebie. Skórę pokrywały drobne zmarszczki i opalenizna. Włosy miały ciemnokasztanowy odcień i były bardzo gęste, przyprószone gdzieś leciutką siwizną; rozchodziły się falami i z jednej strony sterczały bardziej, jakby właśnie w tym miejscu często je mierzwił. Jak już się dowiedziałem od personelu, odmówił zmiany ubrania; miał na sobie luźne spodnie sztruksowe w kolorze oliwkowym, żółtą bawełnianą koszulę i sztruksową marynarkę z łatami na rękawach. Nosił ciężkie buty z brązowej skóry.

Ubranie Roberta poplamione było farbą olejną. Widniały na nim smugi o barwie czerwieni alizarynowej, granatu i żółtej ochry - szczególnie jaskrawe na tle tej zdecydowanej monotonii. Pod paznokciami też miał farbę. Stał niespokojnie, przestępując z nogi na nogę albo krzyżując co chwila ramiona i ukazując łaty na łokciach marynarki. Potem dowiedziałem się od dwóch różnych kobiet, że Robert Oliver to najzgrabniejszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkały, a to z kolei każe mi się zastanawiać, co takiego dostrzegają kobiety, czego ja nie widzę. Na parapecie za jego plecami leżał plik dokumentów, które sprawiały wrażenie bardzo kruchych; pomyślałem, że to te „stare listy”, o których wspominał John Garcia. Kiedy się zbliżyłem, Robert Oliver spojrzał na mnie - nie po raz ostatni odniosłem wrażenie, że jesteśmy na ringu - i zauważyłem, że oczy ma jasne, wyraziste, o głębokim złotozielonym odcieniu, i nabiegłe krwią. Po chwili jego twarz jakby zamknęła się gniewnie; odwrócił głowę.

Przedstawiłem się i wyciągnąłem do niego rękę.

- Jak się pan dziś czuje, panie Oliver?

Z wahaniem uściśnął mi mocno dłoń, ale nic nie powiedział; wydawało się, że ogarnia

go ospałość i niechęć. Skrzyżował ramiona i oparł się o parapet.

- Witamy w Goldengrove. Cieszę się, że mam okazję pana poznać.

Spojrzał mi w oczy, milczał jednak dalej.

Usiadłem w fotelu, który stał w kącie pokoju, i obserwowałem go przez parę minut, nim znów otworzyłem usta.

- Właśnie zapoznałem się z pańskimi dokumentami, które otrzymałem z gabinetu doktora Garcii. Rozumiem, że w zeszłym tygodniu przeżył pan bardzo trudny dzień; dlatego pan tu jest.

W tym momencie uśmiechnął się zagadkowo i wreszcie się odezwał.

- Tak - przyznał. - Miałem trudny dzień.

Osiągnąłem swój pierwszy cel: mówił. Starąłem się nie pokazywać po sobie zadowolenia ani zaskoczenia.

- Czy pamięta pan, co się stało?

Wciąż patrzył na mnie, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Była dziwna, jej wyraz wahał się między topornością a delikatnością, twarz o uderzającej strukturze kostnej, z nosem długim, ale także szerokim.

- Coś niecoś.

- Zechciałby pan mi o tym opowiedzieć? Jestem tu po to, by panu pomóc, przede wszystkim słuchając.

Milczał.

Powtórzyłem:

- Zechciałby mi pan coś o tym opowiedzieć? - Ponieważ wciąż się nie odzywał, spróbowałem z innej strony. - Czy wiedział pan, że informacja o tym, co próbował pan zrobić, trafiła do gazet? Nie czytałem wtedy tego artykułu, ale ktoś właśnie dał mi wycinek. Znalazł się pan na czwartej stronie.

Odwrócił wzrok.

Naciskałem.

- Nagłówek brzmiał mniej więcej tak: „Artysta zaatakował obraz w National Gallery”.

Roześmiał się; zabrzmiało to zaskakująco przyjemnie.

- Trafne, poniekąd. Ale nie dotknąłem go.

- Strażnik zdążył pana powstrzymać, tak?

Skinął głową.

- A pan się z nim szarpał? Nie chciał dać się odciągnąć od tego obrazu?

Tym razem na jego twarzy pojawiło się coś nowego: pośepność. Robert Oliver zagryzł

kącik ust.

- Tak.

- Był to obraz przedstawiający kobietę, prawda? Jak się pan czuł, kiedy ją pan zaatakował? - spytałem, starając się go zaskoczyć. - Co pana do tego skłoniło?

Jego odpowiedź była równie szybka. Wstrząsnął się, jakby chcąc pozbyć się resztek ospałości, i wyprostował ramiona. Wydawał się w tym momencie jeszcze bardziej władczy; dostrzegłem, że mógłby budzić strach, a nawet uciec się do przemocy.

- Zrobiłem to dla niej.

- Dla tej kobiety? Chciał ją pan ochronić?

Milczał.

Spróbowałem ponownie:

- Mam rozumieć, że w jakiś sposób pragnęła być zaatakowana?

Spuścił wzrok i westchnął głęboko, jakby nawet oddychanie sprawiało mu ból.

- Nie. Nie rozumie pan. Nie atakowałem jej. Zrobiłem to dla kobiety, którą kochałem.

- Dla kogoś innego? Dla swojej żony?

- Może pan sobie myśleć, co się panu podoba.

Nie odrywałem od niego spojrzenia.

- Czuł pan, że robi to dla żony? Dla byłej żony?

- Może pan z nią porozmawiać - oświadczył, jakby było mu wszystko jedno. - A nawet z Mary, jeśli pan chce. Może pan obejrzeć obrazy, jeśli ma pan ochotę. Nie obchodzi mnie to. Może pan rozmawiać, z kim się panu podoba.

- Kto to jest Mary? - spytałem. Nie było to imię jego byłej żony. Czekałem przez chwilę, ale milczał. - Czy te obrazy, o których pan wspomniał, właśnie ją przedstawiają? Czy też miał pan na myśli to płótno w National Gallery?

Stał przede mną pograżony w całkowitym milczeniu, spoglądając gdzieś ponad moją głowę.

Czekałem; mogę czekać jak skała, jeśli trzeba. Po trzech czy czterech minutach zauważyłem spokojnie:

- Wie pan, sam jestem malarzem.

Oczywiście rzadko mówię na swój temat, zwłaszcza podczas pierwszej sesji z pacjentem, ale pomyślałem, że warto zaryzykować.

Rzucił mi spojrzenie, które mogło świadczyć równie dobrze o zainteresowaniu jak o pogardzie, a potem położył się na łóżku i wyciągnął na plecach, z butami na narzucie, wsuwając ramiona pod głowę i spoglądając w górę, jakby patrzył w niebo.

- Jestem pewien, że tylko coś bardzo złożonego mogło skłonić pana do ataku na obraz. To też było ryzykowne, ale, tak jak poprzednio, wydawało się warte zachodu.

Zamknął oczy i przekręcił się na bok, jakby gotów do drzemki. Czekałem. Potem, widząc, że nie zamierza więcej mówić, wstałem z fotela.

- Panie Oliver, może się pan ze mną spotkać w każdej chwili. Jest pan tu po to, byśmy się panem opiekowali i pomogli panu wrócić do zdrowia. Jeśli zechce mnie pan wezwać, proszę się nie krępować i powiedzieć o tym pielęgniarce. Niebawem znów tu zajrzę. Może pan poprosić o spotkanie, jeśli po prostu zapragnie pan czyjegoś towarzystwa. Nie musimy rozmawiać, dopóki nie poczuje się pan na to gotowy.

Nie podejrzewałem nawet, jak konsekwentnie będzie mnie trzymał za słowo. Kiedy odwiedziłem go nazajutrz, pielęgniarka powiedziała, że nie odezwał się do niej przez cały rano, chociaż zjadł śniadanie i sprawiał wrażenie spokojnego. Jego milczenie nie było zarezerwowane wyłącznie dla niej; ze mną też nie rozmawiał - ani tego dnia, ani nazajutrz, ani przez kolejnych jedenaście miesięcy. Jego była żona nie odwiedzała go w tym czasie; prawdę powiedziawszy, nikt go nie odwiedzał. Zdradzał wiele behawioralnych i fizycznych objawów depresji klinicznej; zdarzały mu się też okresy milczącego pobudzenia i być może niepokoju.

W gruncie rzeczy przez niemal cały okres, który ze mną spędził, ani razu nie brałem poważnie pod uwagę uwolnienia Roberta spod swojej opieki, częściowo z powodu ryzyka, jakie według mnie stanowił dla siebie i innych, a częściowo z powodu pewnego osobistego odczucia, które narastało we mnie powoli, kroczył po kroczyku, i do którego zamierzam się stopniowo przyznawać; wyznałem już, że mam swoje powody, by traktować to wszystko jako prywatną historię. W pierwszych tygodniach podawałem mu lek na uspokojenie, ten sam, który aplikował mu John, a także lek antydepresyjny.

Jeden z poprzednich raportów psychiatrycznych, które przekazał mi Garcia, wskazywał na bardzo poważne zaburzenia nastroju i próbę z litem - Robert, jak się okazało, po kilku miesiącach odmówił przyjmowania leku, twierdząc, że czuje się po nim wyczerpany. Z opisu wynikało też jednak, że pacjent często funkcjonuje normalnie, pracując przez lata jako nauczyciel w niewielkim college'u, że uprawia swoją sztukę, stara się angażować w życie rodzinne i utrzymywać stosunki z kolegami w pracy. Sam zadzwoniłem do jego byłego psychiatry, ale facet był zajęty i niewiele mi powiedział, przyznał jednak, że po pewnym czasie Oliver zaczął zdradzać niechęć do leczenia. Spotykał się z psychiatrą głównie na prośbę żony i zaprzestał wizyt, zanim się jeszcze rozstali, ponad rok wcześniej. Nie przeszedł

żadnej psychoterapii, nie był też hospitalizowany. Lekarz nie wiedział nawet, że jego pacjent nie mieszka już w Greenhill.

Robert przyjmował leki bez sprzeciwu, z taką samą rezygnacją, z jaką się odżywiał - niezwykła oznaka współpracy w przypadku pacjenta tak opornego, przestrzegającego uparcie ślubu milczenia. Spożywał swoje posiłki, także bez widocznego zainteresowania, i pomimo depresji rygorystycznie dbał o czystość (choć wciąż odmawiał noszenia stroju szpitalnego i personel musiał od czasu do czasu prać jego niewyszukane, poplamione farbą rzeczy). Nie nawiązał jakichkolwiek kontaktów z innymi pacjentami, ale odbywał spacerów pod nadzorem, zarówno na terenie ośrodka, jak na zewnątrz, i czasem siedział w sali ogólnej, zajmując krzesło w nasłonecznionym narożniku.

W okresach pobudzenia, które początkowo zdarzały się mniej więcej co dwa dni, czasem codziennie, chodził po swoim pokoju z zaciśniętymi pięściami, drząc wyraźnie na całym ciele; twarz miał ruchliwą. Obserwowałem go uważnie, to samo poleciłem swojemu personelowi. Pewnego ranka stłukł pięścią lustro w łazience, ale się nie skaleczył. Czasem siedział na brzegu łóżka, z głową w dłoniach, zrywając się gwałtownie co kilka minut, by wyrzucić przez okno, a potem znów pogrążał się w tej swojej rozpacz. Kiedy nie zdradzał oznak pobudzenia, zachowywał się apatycznie.

Jedyną rzeczą, która, jak się wydaje, wzbudzała zainteresowanie Roberta, była jego paczka starych listów; trzymał je pod ręką i często do nich sięgał, by czytać je wciąż na nowo. Niejednokrotnie, kiedy go odwiedzałem, trzymał przed sobą otwarty list. Raz, nim złożył kartkę i schował do pożółkłej koperty, zauważyłem, że strony pokryte są równym, eleganckim pismem, a atrament jest brązowy.

- Widzę, że często czyta pan te listy. Są stare?

Zamknął plik kopert w dłoni i odwrócił się; w jego twarzy dostrzegłem smutek i ból, które widywałem od lat, lecząc swoich pacjentów. Nie, nie mogłem go zwolnić z ośrodka, nawet jeśli zdarzały mu się okresy spokoju, trwające przez kilka dni z rzędu. Odwiedzałem go natomiast często podczas pierwszych tygodni, ilekroć byłem w Goldengrove. Czasem zachęcałem do rozmowy - bez rezultatu - a czasem po prostu z nim siedziałem. W poniedziałki, wtorki i piątki pytałem go, jak się czuje, a on - w poniedziałki, wtorki i piątki - odwracał się ode mnie i patrzył przez okno.

Jego zachowanie przedstawiało jaskrawy obraz niepokoju, ale jak miałem się zorientować, co było powodem tego załamania, jeśli nie chciał ze mną o tym rozmawiać? Przyszło mi do głowy, między innymi, że być może cierpi też na stres pourazowy; lecz jeśli rzeczywiście tak było, na czym ów uraz polegał? Czy jego załamanie i aresztowanie w

muzeum same w sobie stanowiły tak dużą traumę? W dokumentacji, którą dysponowałem, nie znalazłem nawet śladu jakiejś wcześniejszej tragedii, choć oczywiście rozstanie z żoną musiało go sporo kosztować. Próbowałem nakłaniać Olivera łagodnie do rozmowy, ilekroć uważałem, że moment jest właściwy. Jego milczenie trwało uparcie, tak jak obsesyjna, samotna lektura listów. Pewnego ranka spytałem go, czy nie pozwoliłby mi na nie zerknąć, bez świadków oczywiście, ponieważ najwyraźniej wiele dla niego znaczyły. „Obiecuję, że ich nie zatrzymam, ale jeśli zechciałby mi je pan wypożyczyć, to mógłbym zrobić kopie, a oryginały zwrócić panu”.

Odwrócił się wtedy do mnie, ja zaś dostrzegłem w jego twarzy jakby zaciekawienie, po chwili jednak znów sposepniał i pogrążył się w zamyśleniu. Zebrał uważnie listy, nie patrząc na mnie więcej, i przekręcił się na bok na swoim łóżku. Nie pozostało mi nic innego jak tylko wyjść z pokoju.

## 4

### *MARLOW*

Wchodząc do pokoju Roberta - przebywał u nas już drugi tydzień - zauważyłem, że rysuje w swoim szkicowniku. Był to prosty obraz kobiecej głowy z profilu trzy czwarte, z pospiesznie zaznaczonymi kręconymi ciemnymi włosami. Od razu dostrzegłem jego biegłość i ekspresyjność; dosłownie biły z kartki. Łatwo określić, co sprawia, że rysunek jest kiepski, ale znacznie trudniej wyjaśnić zwartość i werwę, które go ożywiają. Rysunki Olivera były żywe, nad wyraz żywe. Kiedy go spytałem, czy rysuje z wyobraźni, czy też chodzi o rzeczywistą osobę, zignorował mnie jeszcze dobitniej niż kiedykolwiek, po czym zamknął szkicownik i odłożył go na bok. Podczas następnych odwiedzin chodził w kółko po pokoju, zaciskając pięści i szczęki.

Widząc to, znów doszedłem do wniosku, że byłoby rzeczą nierozsądną zwolnić go z ośrodka; najpierw musielibyśmy się upewnić, czy jakiś bodziec życia codziennego nie skłoni go do niebezpiecznego zachowania. Nie wiedziałem, jak wygląda to życie; sekretarka z Goldengrove próbowała na moje polecenie dowiedzieć się czegoś, ale nie udało się ustalić, czy był zatrudniony gdziekolwiek w rejonie Waszyngtonu, choć jego obrazy wisiały w kilku galeriach. Czy dysponował środkami, dzięki którym mógł siedzieć w domu i malować przez cały dzień? Nie figurował w książce telefonicznej, a adres w Karolinie Północnej, który John Garcia dostał od policji, okazał się miejscem zamieszkania jego byłej żony. Był człowiekiem prześladowanym przez gniew, depresję, bliskim prawdziwej sławy i zapewne bezdomnym. Epizod ze szkicownikiem natchnął mnie niejaką nadzieją, ale wrogość, którą wywołał, była głębsza niż kiedykolwiek.

Jego biegłość techniczna intrygowała mnie, podobnie jak fakt, że cieszył się uznaniem; choć zazwyczaj unikam niepotrzebnych poszukiwań w Internecie, usiadłem przy swoim biurowym komputerze. Robert uzyskał tytuł magistra sztuk pięknych na jednej z renomowanych uczelni nowojorskich i wykładał tam przez krótki czas, tak samo jak w Greenhill College i jednym z college'ów w stanie Nowy Jork. Zajął drugie miejsce w corocznym konkursie na portret organizowanym przez National Gallery, otrzymał dwa



stypendia na szczeblu krajowym i propozycje angażu, miał też indywidualne wystawy w Nowym Jorku, Chicago i Greenhill. Jego prace reprodukowało na okładkach kilka dużych magazynów poświęconych sztuce. Wspomniano też o paru obrazach, które sprzedał - pejzażach i portretach, między innymi dwóch bez tytułu, przedstawiających ciemnowłosą kobietę podobną do tej, którą szkicował w swoim pokoju. Wydawało mi się, że zawdzięczają coś tradycji impresjonistycznej.

Nie znalazłem żadnych wypowiedzi czy wywiadów artysty; pomyślałem, że Robert milczy nie tylko przy mnie, lecz także w Internecie. Wydawało mi się, że sama jego sztuka może się okazać skutecznym kanałem komunikacji, i po kilku pierwszych dniach, które spędził w Goldengrove, dostarczyłem mu dużo papieru rysunkowego, węgla, ołówków i piór; wszystko to przyniosłem osobiście z domu. Korzystał z tych materiałów - kiedy akurat nie czytał listów - wciąż odtwarzając głowę owej kobiety. Zaczął umieszczać rysunki w różnych miejscach, a kiedy zostawiłem mu w pokoju trochę taśmy, przytwierdził je do ścian, tworząc chaotyczną galerię. Jak już wspomniałem, jego biegłość była nadzwyczajna; dostrzegałem w niej zarówno długi trening, jak i wielki wrodzony dar, co potem zobaczyłem także w jego obrazach. Niebawem w rysunku kobiety pojawiło się urozmaicenie - profil zamienił się w portret en face. Mogłem teraz przyglądać się jej doskonałym rysom i dużym ciemnym oczom. Czasem się uśmiechała, a czasem wydawała zagniewana; gniew przeważał. Oczywiście snułem przypuszczenia, że ten wizerunek może być wyrazem jego własnej milczącej wściekłości; siłą rzeczy zastanawiałem się też nad możliwością zaburzeń tożsamości płciowej u swojego pacjenta, choć nie mogłem, nawet na jakiejś płaszczyźnie niewerbalnej, zmusić go do wyjaśnień.

Kiedy Robert Oliver, nie odzywając się ani słowem, przebywał w Goldengrove od ponad dwóch tygodni, wpadłem na pomysł, by urządzić mu w pokoju pracownię. Musiałem uzyskać od kierownictwa specjalne pozwolenie na ten eksperyment, a także zastosować pewne środki ostrożności. Podczas gdy Robert był na spacerze, sam przemeblowałem jego lokum i pozostałem tam, by obserwować jego reakcję.

Pokój był słoneczny i przeznaczony dla jednej osoby, musiałem więc przesunąć łóżko, żeby zrobić miejsce na duże sztalugi. Zappełniłem półki farbami olejnymi, akwarelami, modelami gipsowymi, szmatkami, słoikami pełnymi pędzli, minerałami i olejami, paletą drewnianą i skrobakami. Niektóre z tych rzeczy przyniosłem z domu, uszczuplając własne zapasy; chodziło o to, by nie były nowe i sprawiały wrażenie wyposażenia czynnej pracowni. Pod ścianą poukładałem płótna różnych rozmiarów, przyniosłem też blok papieru do akwareli. W końcu zasiadłem na swoim ulubionym krześle w kącie, czekając na powrót

pacjenta.

Na widok wszystkich tych sprzętów i materiałów Robert stanął jak wryty, nie kryjąc zaskoczenia. Potem na jego twarzy odmalowała się furia. Ruszył w moją stronę z zaciśniętymi pięściami; pozostałem na swoim miejscu, starając się zachować spokój i nie odzywając się słowem. Sądziłem przez chwilę, że wreszcie coś powie, może nawet mnie uderzy, ale jakby zrezygnował z jednego i drugiego. Jego ciało odprężyło się odrobinę; odwrócił się i zaczął przeglądać wyposażenie swojej nowej pracowni. Pomacał papier do akwareli, zbadał konstrukcję sztalug, zerknął na tubki z farbami olejnymi. Wreszcie odwrócił się na pięcie i znów na mnie spojrzął; miałem wrażenie, że chce o coś spytać, ale nie może się do tego zmusić. Zastanawiałem się, nie po raz pierwszy zresztą, czy jego milczenie nie wynika przypadkiem z niezdolności mówienia, a nie ze zwykłej niechęci.

- Mam nadzieję, że podoba się panu to wszystko - powiedziałem jak najspokojniej.

Spojrzał na mnie z mroczną miną.

Wyszedłem z pokoju, nie próbując nawiązać z nim rozmowy.

Kiedy odwiedziłem go dwa dni później, był pochłonięty swoim pierwszym płótnem, do którego najwidoczniej przygotowywał się w ciągu nocy. Nie zwracał uwagi na moją obecność, mogłem więc go obserwować i przyglądać się obrazowi, który okazał się portretem. Obejrzałem go z nieukrywany zainteresowaniem; sam jestem przede wszystkim portrecistą, choć kocham także pejzaże, a fakt, że długie godziny pracy uniemożliwiają mi regularne korzystanie z usług żywych modeli, jest dla mnie źródłem smutku. Zdarza mi się malować z fotografii, jeśli trzeba, jest to jednak niezgodne z moim wrodzonym puryzmem. Choć lepsze to niż nic i zawsze pozwala się czegoś nauczyć.

Robert jednak, o ile mogłem się zorientować, tworzył swoje nowe płótno, nie mając nawet zdjęcia, a mimo to obraz zaskakująco promieniował życiem. Była to oczywiście głowa kobiety - w kolorze, ma się rozumieć - przedstawiona w tym samym tradycjonalistycznym stylu co na rysunkach. Odznaczała się niezwykle rzeczywistą twarzą o ciemnych oczach, które spoglądały wprost z obrazu - było to pewne siebie, a jednak zamyślane spojrzenie. Włosy kobieta miała kręcone i ciemne, z odrobiną kasztanowego blasku, nos kształtny, brodę kwadratową, z dołkiem po prawej stronie, usta rozbawione i zmysłowe. Czoło było wysokie i białe, a w ubraniu, sądząc po tym maleńkim fragmencie, który widziałem, przeważała zieleń; głęboki dekolt w kształcie litery „V”, ukazujący fragment nagiej skóry, ozdabiała żółta kreza. Tego dnia kobieta wyglądała prawie na szczęśliwą, jakby sprawiało jej przyjemność, że wreszcie została ukazana w kolorze. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się to dziwne, ale wtedy i później, przez wiele miesięcy, nie miałem pojęcia, kto to jest.

Było to w środę, a w piątek, kiedy zjrzałem do Roberta, by sprawdzić, jak się miewa i jak wygląda jego obraz, w pokoju nie było nikogo; najwidoczniej mój pacjent poszedł na spacer. Portret ciemnowłosej damy, na sztalugach, był niemal ukończony, jak pomyślałem, i wspaniały. Na krześle, gdzie zwykle siedziałem podczas odwiedzin, leżała koperta zaadresowana do mnie rozbieganym charakterem pisma. W środku znalazłem stare listy Roberta. Wyjąłem jeden i trzymałem go przez długą chwilę w dłoni. Papier wyglądał na bardzo stary, a eleganckie linijki, które przebijały z drugiej strony, składały się, ku mojemu zaskoczeniu, z francuskich słów. Uświadomiłem sobie nagle, jak długa może mnie czekać droga, jeśli chcę poznać człowieka, który powierzył mi tę korespondencję.

## 5

### *MARLOW*

Początkowo nie zamierzałem wynosić listów poza teren Goldengrove, ale pod koniec dnia schowałem je do teczki. W sobotni poranek zadzwoniłem do starej przyjaciółki Zoe, wykładowcy literatury francuskiej na Uniwersytecie Georgetown. Zoe to jedna z kobiet, z którymi umawiałem się przed wielu laty, gdy po raz pierwszy przyjechałem do Waszyngtonu; pozostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, zwłaszcza że nie żywiłem wobec niej aż tak głębokich uczuć, by żałować, że przerwała naszą intymną znajomość. Była znakomitą towarzyszką podczas wypadów do teatru albo na koncert i sądzę, że w podobny sposób myślała o mnie.

Odebrała po drugim sygnale.

- Marlow? - Jej głos był rzeczowy jak zawsze, ale też krył się w nim cień sympatii. - Jak miło, że dzwonisz. Myślałam o tobie w zeszłym tygodniu.

- Więc dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? - spytałem.

- Oceniałam prace studentów - wyjaśniła. - Do nikogo nie dzwoniłam.

- Wobec tego ci wybaczam - odparłem sarkastycznie, jak mieliśmy oboje w zwyczaju. - Cieszę się, że uporałaś się już z robotą, bo zamierzam zlecić ci pewne zadanie.

- Och, Marlow. - Słyszałem, że pichci coś, rozmawiając ze mną; jej kuchnia pochodzi z czasów wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych i ma rozmiary mojej garderoby. - Nie ma mowy. Piszę książkę, o czym doskonale wiesz, wykazując w ciągu trzech ostatnich lat umiarkowane zainteresowanie moją osobą.

- Wiem, skarbie - powiedziałem. - Ale to jest coś, co ci się spodoba, dokładnie twój okres, jak sądzę. Chcę też, żebyś to obejrzała. Przyjedź po południu, zaproszę cię na kolację.

- Podejrzewam, że ma to dla ciebie ogromne znaczenie - zauważyła. - Nie mogę iść na kolację, ale przyjadę o piątej; potem wybieram się do Dupont Circle.

- Masz randkę - oznajmiłem z aprobatą. Uświadomiłem sobie z niejakim szokiem, jak dawno temu w moim życiu zdarzyło się coś takiego jak randka. Jakim cudem uciekło mi tyle czasu?

- Pewnie - odparła Zoe.

Siedzieliśmy w moim salonie, oglądając listy, które Robert miał przy sobie nawet podczas ataku w muzeum. Kawa stygła; Zoe nawet jej nie tknęła. Postarzała się odrobinę, odkąd widziałem ją po raz ostatni; jej oliwkowa skóra sprawiała wrażenie podniszczonej, a włosy suchych. Jednak oczy, jak zawsze, były zmrużone z uwagą i bystre. Przypomniałem sobie, że w jej przekonaniu też wyglądam na starszego.

- Skąd to masz? - spytała.

- Przysłała mi je kuzynka.

- Kuzynka z Francji? - Popatrzyła na mnie sceptycznie. - Masz jakieś francuskie korzenie, o których nie wiem?

- Niezupełnie. - Nie zaplanowałem tego wszystkiego zbyt dobrze. - Wydaje mi się, że znalazła je w jakimś antykwariacie czy gdzie indziej i pomyślała sobie, że mnie zainteresują, bo lubię historię i sporo czytam na ten temat.

Oglądała uważnie pierwszy z listów; jej dłonie odznaczały się delikatnością, w oczach dostrzegłem ciekawość.

- Wszystkie pochodzą z lat od tysiąc osiemset siedemdziesiąt siedem do siedemdziesiąt dziewięć?

- Nie wiem. Nie przejrzałem ich zbyt dokładnie. Trochę się bałem, bo są wyjątkowo kruche, zresztą niewiele mogłem z nich zrozumieć.

Zajrzała do drugiego listu.

- Potrzebowałabym trochę czasu, żeby zapoznać się z nimi dokładnie, ze względu na charakter pisma, ale wydaje się, że to korespondencja między jakąś kobietą i jej stryjem, jak już się zorientowałeś, a niektóre listy dotyczą malarstwa i rysunku. Może dlatego twoja kuzynka pomyślała, że cię zainteresują.

- Może.

Staralem się nie zaglądać jej przez ramię.

- Pozwól mi zabrać jeden, który jest w dobrym stanie; przetłumaczę go. Masz rację, to może być niezła zabawa. Nie sądzę jednak, by udało mi się przełożyć wszystkie... wiesz, to wymaga sporo czasu. W tej chwili mam na głowie książkę.

- Dobrze ci zapłacę, jeśli wybaczysz mi obcesowość.

- Och. - Zastanawiała się nad tym przez chwilę. - No, nie miałabym nic przeciwko temu, szczerze mówiąc. Na początek spróbuję z jednym albo dwoma.

Omówiliśmy kwestię wynagrodzenia i podziękowałem Zoe.

- Ale przetłumacz wszystkie - powiedziałem. - Proszę cię o to. Przesyłaj mi tekst normalną pocztą, nie e-mailem. Możesz przekazywać mi po dwa, o ile znajdziesz czas, by się

z nimi uporać. - Nie mogłem zdobyć się na to, by jej wyjaśnić, że chcę je otrzymywać jako listy, prawdziwe listy, więc nawet tego nie próbowałem. - I jeśli możesz pracować bez oryginałów, to pójdziemy na najbliższe skrzyżowanie i odbijemy je na ksero, tak na wszelki wypadek. Wezmiesz kopie. Zdążymy to załatwić?

- Marlow jak zawsze przezorny - zauważyła. - Nic by się nie stało, ale to dobry pomysł. Najpierw wypiję kawę i opowiem ci o swojej *affaire de coeur*.

- Nie chcesz usłyszeć o mojej?

- Owszem, ale nie będziesz miał nic do powiedzenia.

- To prawda - odparłem. - Więc śmiało, zaczynaj.

Kiedy się rozstaliśmy w sklepie z przyborami biurowymi, ona ze świeżymi kserokopiami, a ja ze swoimi listami - właściwie listami Roberta - wróciłem do domu i pomyślałem o sandwiczu na grillu, winie i samotnej wyprawie do kina.

Położyłem listy na stoliku do kawy, a potem poskładałem je wzdłuż wysłużonych zagięć i schowałem do koperty, ostrożnie, by nie stykały się kruchymi krawędziami kartek. Rozmyślałem o dłoniach, które dotykały tych listów, dawno temu, o delikatnych dłoniach kobiety, i tych drugich, męskich - z pewnością starszych, jeśli rzeczywiście chodziło o jej stryja. Potem o dłoniach Roberta, dużych i kwadratowych, opalonych i dość spracowanych. I krótkich, ciekawskich dłoniach Zoe. I o własnych.

Podszedłem do okna w salonie, skąd roztacza się jeden z moich ulubionych widoków: ulica muskana gałęziami, które ocieniają ją od dziesiątków lat, na długo przedtem, zanim się tu wprowadziłem; stare schody kamienic po drugiej stronie; zdobione poręcze i balkony; budynki szeregowe wzniesione w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Wieczór po wielu dniach deszczu był złoty; grusze przestały już kwitnąć i teraz wydawały się bujnie zielone. Zrezygnowałem z kina. Był to idealny wieczór, w sam raz, by zostać w domu i rozkoszować się spokojem. Pracowałem nad portretem ojca, korzystając z jego fotografii; chciałem mu posłać go na urodziny - mogłem zrobić duże postępy. Nastawiłem sonatę skrzypcową Francka i poszedłem do kuchni, żeby zagrzać zupę.

## 6

### *MARLOW*

Uświadomiłem sobie z przykrością, że upłynął ponad rok, odkąd po raz ostatni przekroczyłem próg National Gallery. Schody na zewnątrz opanowały dzieci w wieku szkolnym; tłoczyły się wokół mnie w swoich bezbarwnych mundurkach jakiejś szkoły katolickiej czy jednej z tych szkół prywatnych, które - w złudnej nadziei przywrócenia dawno utraconego porządku - wymagają plisowanych spódnic w kolorze granatowym i nudnej szkockiej kraty. Twarze były rozjaśnione - chłopcy mieli w większości krótko obcięte włosy, niektóre z dziewcząt nosiły plastikowe zapinki na warkoczach - a skóra tych dzieci stanowiła spektrum żywych kolorów, od bledości poprzez róż piegów po heban. Przez chwilę pomyślałem: demokracja. Było to stare idealistyczne poczucie, które wyniosłem z zajęć z nauk społecznych na studiach poddyplomowych w Connecticut, z lektur poświęconych Waszyngtonowi i Lincolnowi, z utrwalonego obrazu Ameryki z jej snem, by należała do wszystkich Amerykanów. Zmierzaaliśmy razem po wielkich schodach do bezpłatnego muzeum, które, przynajmniej w teorii, jest otwarte dla każdego bez wyjątku i w którym te dzieci mogą bez przeszkód stykać się wzajemnie ze sobą, ze mną i z obrazami.

Potem miraż prysnął; dzieci zaczęły się popychać i wtykać sobie gumę do zucia we włosy, nauczyciele zaś próbowali je uspokoić, odwołując się w tym celu jedynie do dyplomacji. Wiedziałem, że większość mieszkańców Waszyngtonu nigdy nie trafi do muzeum ani nie będzie się tu czuła mile widziana. Zostałem w tyle, czekając, aż dzieci mnie wyprzedzą, ponieważ było za późno, bym zdołał precyzyjnie się między nimi i pierwszy dotrzeć do schodów. Mogłem też obrócić twarz w stronę popołudniowego słońca, które było ciepłe, w pełnym rozkwicie wiosny, i cieszyć się zielenią okolicy. Spotkanie o trzeciej (zaburzenia osobowości, przypadek długotrwały) zostało odwołane i ten jeden raz nie byłem już z nikim więcej umówiony, wyszedłem więc z gabinetu do muzeum, wolny i swobodny. Nie musiałem tego dnia w ogóle wracać do pracy.

W informacji siedziały dwie kobiety: jedna była młoda, o ciemnych prostych włosach, druga w wieku emerytalnym - wolontariuszka, jak się domyśliłem; z tymi siwymi lokami

wyglądała krucho. Do niej właśnie zwróciłem się ze swoim pytaniem.

- Dzień dobry. Mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie znajdę obraz zatytułowany *Leda*?

Kobieta z uśmiechem podniosła na mnie wzrok. Mogła być babką tej młodszej, a jej oczy były spłowiałe, niemal przezroczyście niebieskie. Na plakietce, którą nosiła, widniało jej imię: Miriam.

- Oczywiście - odparła.

Młodsza kobieta przysunęła się do niej i zaczęła obserwować, jak ta szuka czegoś na monitorze komputera.

- Kliknij „tytuł” - ponagliła.

- Och, prawie to miałam. - Miriam westchnęła głęboko, jakby wiedziała od samego początku, że jej wysiłki są bezowocne.

- Tak - potwierdziła młodsza, musiała jednak wcisnąć ze dwa klawisze, nim starsza kobieta znów się uśmiechnęła.

- Ach, *Leda*. Pędzla Gilberta Thomasa, obraz francuski. Jest w sali malarstwa dziewiętnastowiecznego, tuż przed impresjonistami.

Dziewczyna popatrzyła na mnie po raz pierwszy.

- Obraz, który został zaatakowany w zeszłym miesiącu przez tego faceta. Mnóstwo ludzi o niego pyta. To znaczy... - urwała i poprawiła niesforny kosmyk o barwie obsydianu. Uświadomiłem sobie, że ma włosy ufarbowane na czarno, więc wydawały się rzeźbione. Z tą swoją bladą twarzą i zielonkawymi oczami przypominała Azjatkę. - No cóż, może nie mnóstwo, ale parę osób już pytało, gdzie można go obejrzyć.

Przylapałem się na tym, że patrzę na nią, niespodziewanie poruszony. Spojrzenie miała świadome, kiedy tak stała za kontuarem, ciało szczupłe i giętkie pod zapinanym na zamek błyskawiczny żakietem, między nim zaś a paskiem czarnej spódnicy błyskał maleńki skrawek biodra - wszystko, co wolno było dostrzec z żywego ciała w tej galerii pełnej aktów, jak przyszło mi do głowy. Może była studentką akademii sztuk pięknych i pracowała tutaj, by zarobić na naukę, albo utalentowanym grafikiem czy projektantką biżuterii, z tymi swoimi szczupłymi i bladymi dłońmi. Wyobraziłem sobie, jak po godzinach stoi oparta o kontuar, bez bielizny pod tą zbyt krótką spódniczką. Była tylko dzieciakiem; odwróciłem wzrok. Była dzieciakiem, a ja ze swej strony nie byłem dla niej żadną atrakcją, o czym doskonale wiedziałem - żadnym podstarzałym Casanovą.

- Zszokowało mnie, kiedy o tym usłyszałam - wyznała Miriam. - Nie miałam jednak pojęcia, że chodzi o ten obraz.

- No cóż - powiedziałem. - Ja też czytałem o tym incydencie. Dziwne, że ktoś chce



zaatakować obraz, prawda?

- Nie wiem. - Dziewczyna przesunęła dłonią po krawędzi kontuaru. Miała na kciuku szeroki srebrny pierścień. - Zdarzają się tu różne wybryki.

- Sally - mruknęła z wyrzutem starsza.

- No cóż, zdarzają się - powtórzyła uparcie młodsza i spojrzała mi w twarz, jakby chciała śmiało zasugerować, że mogę być jednym z tych wariatów, o których mówiła.

Wyobraziłem sobie, że dostrzegam jakiś sygnał, który dowodzi jej zainteresowania moją osobą, że zapraszam ją na filiżankę kawy, że zaczynamy flirtować, a ona mówi wtedy rzeczy w rodzaju: „Zdarzają się tu różne wybryki”. Przypomniałem sobie wizerunek kobiety na rysunkach Roberta Olivera, twarz pełną subtelnej wiedzy i życia - tamta też była młoda, lecz jednocześnie pozbawiona wieku.

- Jednak człowiek, który zaatakował to płótno, nie opierał się, kiedy strażnik go powstrzymał - zauważyłem łagodnie. - Może nie był tak bardzo obłąkany.

Oczy dziewczyny spoglądały twardo i rzeczowo.

- Kto chciałby zniszczyć dzieło sztuki? Strażnik powiedział mi potem, że niewiele brakowało.

- Dziękuję - odrzekłem, już jako starszy i przyzwoity człowiek z przewodnikiem w dłoni.

Miriam wzięła go na chwilę i zakreśliła niebieskim długopisem salę, o którą mi chodziło. Sally zajęła się już swoimi sprawami; *frisson* istniał tylko i wyłącznie w mojej wyobraźni.

Miałem jednakże całe popołudnie dla siebie; przepelniony uczuciem lekkości wspiąłem się na schody prowadzące do ogromnej marmurowej rotundy u szczytu, a potem krążyłem przez kilka minut między jej lśniącoymi, różnorodnymi filarami, by wreszcie stanąć pośrodku i zaczerpnąć głęboko powietrza.

Zdarzyła się wówczas dziwna rzecz, pierwsza z wielu. Zastanawiałem się, czy Robert też tu przystanął, i poczułem jego obecność, a może po prostu próbowałem się domyślić, co przeżywał - tutaj, gdzie znalazł się wcześniej ode mnie. Czy wiedział, że zamierza zaatakować nożem obraz, i czy wiedział, który? Może mijał wspaniałości rotundy w pośpiechu, trzymając już rękę w kieszeni. Ale jeśli nie wiedział niczego wcześniej, jeśli coś skłoniło go do tego czynu dopiero wtedy, kiedy stał przed płótnem, to mógł równie dobrze zwlekać przez jakiś czas pośród lasu marmurowych pni, jak każdy, kto potrafi patrzeć na otoczenie i żywi miłość do tradycyjnych, klasycznych form.

W gruncie rzeczy - też trzymałem teraz dłonie w kieszeniach - nawet jeśli zaplanował

ten atak wcześniej i przepelniała go pewność siebie albo rozkoszował się myślą o tej chwili, kiedy wyjmie nóż i mocno zaciśnie na nim palce, to być może też przystanąłby w tym miejscu, dla samej przyjemności, jaką daje świadoma zwłoka. Oczywiście trudno mi było sobie wyobrazić, bym chciał zniszczyć obraz, ale odtwarzałem pragnienia Roberta, nie własne. Odczekałem jeszcze moment i ruszyłem dalej, zadowolony, że opuszczam to niebiańskie, tonące w przyćmionym świetle miejsce, by znów znaleźć się pośród obrazów, w długich galeriach malarstwa dziewiętnastowiecznego.

Stwierdziłem z ulgą, że w pobliżu nie ma zwiedzających, choć zauważyłem nie jednego, ale dwóch strażników, jakby kierownictwo muzeum spodziewało się w każdej chwili kolejnego ataku na ten sam obraz. *Leda* od razu przyciągnęła moją uwagę z drugiego końca sali. Oparłem się pokusie, by poczytać o tym płótnie w książkach albo zajrzeć do Internetu przed wizytą w galerii, i byłem z tego powodu zadowolony - zawsze mogłem zapoznać się z jego historią później, teraz zaś obraz jawił mi się jako świeży, niezwykły i rzeczywisty.

Było to duże dzieło, prawdziwie impresjonistyczne, chociaż szczegóły wydawały się bardziej wyraziste niż u Moneta, Pissarra czy Sisleya, i miało rozmiary metr pięćdziesiąt na metr osiemdziesiąt. Dominowały na nim dwie postaci. Centralną była niemal całkowicie naga sylwetka kobieca, leżąca na plecach - na pięknie realistycznej trawie - w klasycznej pozycji rozpacz i osamotnienia, może porzucenia; głowa z ciężarem złotych włosów spoczywała na ziemi. Talię okrywała delikatna tkanina, która zsuwała się z jednej nogi; małe piersi były obnażone, ramiona rozpostarte. Ciało, w tajemniczy sposób namalowane na tle tej rzeczywistej trawy, było zbyt blade, przezroczyste, niczym pęd rośliny, który wyrasta pod jakimś zwalonym pniakiem. Od razu pomyślałem o *Śniadaniu na trawie* Maneta, choć postać Ledy była pełna zmagania, niepokoju, miała w sobie coś epickiego - nie przypominała błogiej nagości prostytutki Maneta; karnacja wydawała się zimniejsza w tonie, technika pędzla lżejsza.

Druga postać na obrazie nie była ludzka, choć z pewnością odznaczała się dominującym charakterem. Wielki łabędź unosił się nad kobietą, jakby miał wylądować na wodzie - skrzydła rozpostarte, by zmniejszyć szybkość ataku, długie pióra zagięte ku środkowi niczym szpony, szare błoniaste łapy niemal dotykające delikatnej skóry brzucha, oko w czarnej obwódce rzucające ogniste spojrzenie, bardziej właściwe dla rumaka. Sama siła lotu ku leżącej postaci, uchwycona na płótnie, była zdumiewająca i wyjaśniała - wizualnie i psychologicznie - panikę kobiety na trawie. Ogon łabędzia był podwinięty, miednica wysunięta do przodu, jakby ptak pragnął jeszcze skuteczniej wyhamować swój pęd.

Wyczuwało się niemal, że wzniósł się ledwie przed chwilą nad niewyraźnie nakreślonymi zaroślami, że pojawił się nad śpiącą postacią zniecka i równie szybko zбочzył z obranego kierunku, by opaść w dół w paroksyzmie pożądania.

A może ptak szukał tej kobiety? Próbowałem sobie przypomnieć szczegóły historii. Siła pędu wielkiego stworzenia mogła przewrócić kobietę, rzucić ją na plecy, może w chwili, gdy podnosiła się z drzemki na świeżym powietrzu. Łabędź nie musiał mieć odsłoniętych genitaliów, by uchodzić za męskiego - zacieniony obszar pod ogonem nie pozostawiał żadnych wątpliwości, tak jak potężna głowa i dziób, gdy wyginał swą długą szyję w stronę obiektu pożądania.

Sam chciałem jej dotknąć, znaleźć ją śpiącą w takim miejscu, odepchnąć brutalnie tego ptaka. Kiedy cofnąłem się, by objąć wzrokiem całe płótno, odczułem panikę Ledy, kiedy zaczęła się podnosić i nagle runęła do tyłu, okazując przerażenie, uosobione przez artystę w jej dłoniach, które wbijały się w ziemię - wszystko to było całkowicie pozbawione zmysłowego męczeństwa utrwalonego na klasycznych obrazach, które wisiły rzędami w innych salach tego muzeum, a przedstawiały delikatnie pornograficzne Sabinki i święte Katarzyny. Przyszedł mi do głowy wiersz Yeatsa, który czytałem kilkakrotnie w ciągu minionych lat, jednak jego Leda też była pełną chęci ofiarą - „uda rozluźnione” - niezdradzającą zbytnio swych reakcji; musiałbym zajrzeć do niego raz jeszcze, by się upewnić. Leda Gilberta Thomasa była prawdziwą, rzeczywistą kobietą i emanowała niekłamanym strachem. Przyszło mi do głowy, że gdybym jej pożądał, to właśnie dlatego, że jest realna, a nie dlatego, że już została zniewolona.

Tabliczka pod obrazem stanowiła wzór zwięzłości: „*Leda (Léda vaincue par le Cygne)*, 1879, zakupiona w 1967. Gilbert Thomas, 1840-1890”. Monsieur Thomas musiał być człowiekiem o niezwykłej percepcji, pomyślałem, a także nadzwyczajnym malarzem, skoro potrafił tchnąć tak autentyczne emocje w wyobrażenie jednej krótkiej chwili. Pospiesznie naznaczone pióra i niewyraźna struktura tkaniny zapowiadały nadejście impresjonizmu, choć nie było to do końca płótno impresjonistyczne - przede wszystkim sam temat zaliczał się do tych, którymi impresjoniści gardzili, był akademicki, jego kanwę stanowił starożytny mit. Co sprawiło, że Robert Oliver wyjął nóż z zamiarem wbicia ostrza w tę scenę? Czy cierpiał, jak znów się zastanawiałem, na zaburzenia wywołane odrazą wobec seksu, czy też odczuwał wstręt do własnej seksualności? Czy może jego czyn, który - gdyby sprawca nie został w porę powstrzymany - mógł zniszczyć te namalowane postaci w stopniu uniemożliwiającym ich odtworzenie, stanowił dziwną obronę dziewczyny rzuconej na ziemię i leżącej bezradnie pod ciężarem łabędzia? Czy była to skrzywiona, urojeniowa rycerskość? Może nie podobał mu się

po prostu erotyzm tego dzieła. Ale czy był to tak naprawdę obraz erotyczny?

Im dłużej przed nim stałem, tym silniejsze odnosiłem wrażenie, że jego tematem jest władza i przemoc. Patrząc na Ledę, chciałem nie tyle dotknąć jej samemu czy ją posiąść, ile odepchnąć potężną pierzastą pierś łabędzia, nim znów runie z góry na swoją ofiarę. Czy to właśnie czuł Robert Oliver, kiedy wyciągał spod marynarki nóż? A może pragnął jedynie uwolnić kobietę z tych ram? Stałem przez chwilę zamyślony, spoglądając na dłonie Ledy wbite w trawę u jej boków, a potem obróciłem się w stronę następnego dzieła, także autorstwa Gilberta Thomasa. Być może tu kryła się odpowiedź na coraz bardziej dręczące pytanie, wykraczające poza wszelką myśl o Robercie Oliverze i jego nożu: jakim człowiekiem był Thomas? Zerknąłem na tytuł - *Autoportret z monetami* - i ledwie zdążyłem dostrzec namalowany zdecydowanymi ruchami pędzla czarny płaszcz, czarną brodę, gładką białą koszulę, kiedy poczułem na łokciu czyjąś dłoń.

Obróciłem się, nie całkiem zaskoczony - mieszkam od ponad dwudziestu lat w Waszyngtonie, słusznie nazywanym małym miastem - ale stwierdziłem, że jestem w błędzie. Nie zauważyłem nikogo znajomego; ktoś otarł się o mnie przypadkowo. Prawdę powiedziawszy, w sali zebrało się teraz kilka osób: dwoje starszych ludzi, którzy pokazywali sobie jakiś obraz, wymieniając cichym głosem uwagi, mężczyzna w ciemnym garniturze o lśniąącym czole i długich włosach, paru turystów mówiących chyba po włosku.

Osoba znajdująca się najbliżej, ta, która, jak mi się zdawało, dotknęła mojego łokcia, była młodą kobietą - takie przynajmniej sprawiała wrażenie. Oglądała Ledę, stojąc na wprost obrazu, jakby zamierzała pozostać w tym miejscu przez kilka następnych minut. Była wysoka i szczupła, niemal mojego wzrostu, ramiona skrzyżowała na piersi; miała na sobie dzinsy, białą bawełnianą bluzkę i brązowe buty. Włosy odznaczały się sztuczną ciemnorudą barwą i były długie, spływały na plecy; jej profil trzy czwarte - policzek - wyglądał na czysty i gładki, brew miała jasnobrązowy kolor, rzęsy były długie, ani śladu makijażu. Kiedy pochyliła głowę, dostrzegłem, że włosy są jasne u nasady; stosowała odwrotną procedurę niż większość kobiet.

Po chwili wsunęła dłonie w tylne kieszenie spodni, jak chłopak, i nachyliła się bardziej ku obrazowi, przyglądając się czemuś z uwagą. Ze sposobu, w jaki studiowała technikę malarską w przypadku tego płótna - czyżbym zmyślał to sobie z perspektywy czasu? - zorientowałem się, że sama jest malarką. Przyszło mi do głowy, że tylko zawodowiec analizowałby powierzchnię obrazu pod takim kątem; obracała się i pochylała, by przypatrzeć się z ukosa strukturze farby w miejscu, gdzie padało na nią światło. Byłem zaskoczony jej koncentracją i stałem tak, obserwując ją możliwie najdyskretniej. Cofnęła się nieznacznie, by

znów przyjrzeć się całości dzieła.

Odniosłem wrażenie, że ogląda *Ledę* o jedną chwilę za długo, potem jeszcze jedną, i że z jakichś powodów nie chodzi jej o podziwianie rzemiosła. Wyczuła najwidoczniej moje spojrzenie, ale nie przejęła się nim zbyt. Potem, prawdę powiedziawszy, oddaliła się - bez jednego spojrzenia w moją stronę, bez jakichkolwiek oznak ciekawości. Zbyła zapewne wszystko wzruszeniem ramion: atrakcyjna wysoka dziewczyna, przyzwyczajona do męskich spojrzeń. Być może, myślałem, nie jest malarką, tylko performerką albo nauczycielką, odporną na obcesowe spojrzenia, niewykluczone, że czerpiącą z nich satysfakcję. Czekałem, aż ujrzę przelotnie jej dłonie, które teraz zwieszały się swobodnie wzdłuż boków, kiedy odwróciła się w stronę martwej natury Maneta na przeciwległej ścianie; zdawało się, że patrzy na jego lśniący kieliszek do wina, na jego śliwki i winogrona ze znacznie mniejszym skupieniem. Mój wzrok, choć wciąż bystry, nie jest już taki jak dawniej. Nie potrafiłem dostrzec, czy ta kobieta ma farbę pod paznokciami. I nie chciałem, ze względu na jej obojętność, podejść bliżej, by się o tym przekonać.

Nagle zaskoczyła mnie, odwracając się z uśmiechem w moją stronę - był to uśmiech pełen rozbawienia, wymijający, ale jednak uśmiech, taki, w którym można dostrzec nic porozumienia z drugim człowiekiem, też oglądającym obrazy z bliska i stojącym bez końca przed jednym malowidłem. Miała otwartą twarz, tym bardziej skupioną, że pozbawioną cienia makijażu, wargi blade, oczy w kolorze, którego nie potrafiłem zdefiniować, skórę jasną, ale też różaną w kontraście z rudymi włosami; na obojczyku nosiła naszyjnik z kręconego skórzanego rzemyka z ceramicznymi paciorkami, które wyglądały tak, jakby skrywały w sobie zwitki z tekstem modlitewnym. Pod bawełnianą białą bluzką uwydatniały się prawdopodobnie pełne piersi na szczupłym ciele. Trzymała się prosto, ale była pozbawiona delikatności; nie przywodziła na myśl tancerki, tylko raczej kogoś dosiadającego konia i odznaczającego się wdziękiem, w którym zawierało się też ostrzeżenie. Zewsząd otaczali ją starzy ludzie, musiała więc się wycofać: Thomas, Manet, dziwny mężczyzna w średnim wieku. Żegnajcie.

## 7

### *MARLOW*

Naprawdę odchodziła - młoda kobieta o pięknym uśmiechu - a ja się zastanawiałem, czy udało mi się cokolwiek jej przekazać, bez wyraźnego zamiaru. Miałem też ochotę ją spytać, czy się nie mylę i czy naprawdę jest malarką. Na przeciwległej ścianie wisiał Renoir, ona zaś przeszła obok obrazu, nie widząc go - nie zwracając na niego uwagi - i zniknęła z sali. Sprawilo mi to przyjemność: ja też nie lubię Renoira, z wyjątkiem tego płótna z kolekcji Phillipa *Śniadanie wioślarzy*, gdzie ludzie są niemal zepchnięci na drugi plan, przyćmieni przez skąpane w blasku słońca winogrona, butelki i kieliszki. Nie podążyłem za nią; zwrócenie uwagi na dwie młode kobiety tego samego dnia wydało mi się męczące, bezowocne, odarte z wszelkiej przyjemności, a w efekcie - całkowicie pozbawione celu czy jakichkolwiek widoków na przyszłość.

Trwało to zaledwie sekundę czy dwie i natychmiast powróciłem do autoportretu Thomasa, który zasłaniał mi w tej chwili mężczyzna o tłustych włosach. Kiedy się odsunął, podszedłem bliżej. I znów płótno z pozoru impresjonistyczne, zwłaszcza pod względem swobody w traktowaniu tła - ciemnych zasłon - ale różniące się w dużym stopniu od śmiałości i zgrabności *Ledy*. Malarz o odmiennych możliwościach, przebiegło mi przez myśl - albo może Thomas zmienił swój styl w latach osiemdziesiątych XIX wieku, obrał nowy kierunek. Ten obraz zawdzięczał coś Rembrandtowi: zamyślony wyraz twarzy i posepna paleta, być może też bezkompromisowość w przedstawieniu czerwonego nosa i mięsistych policzków, przeistoczenie się z przystojnego niegdyś mężczyzny w osobnika, dla którego wiek nie jest już łaskawy, do tego ciemna aksamitna czapka i marynarka - smoking, jak można by ją nazwać: Malarz jako Stary Mistrz i arystokrata w jednej postaci.

Tytuł autoportretu odnosił się do pierwszego planu, gdzie Thomas złożył łokcie na nagim drewnianym stole, na którym piętrzyły się stosy monet - dużych i startych, z brązu, ze złota, ze zmatowiałego srebra - o różnym kształcie i rozmiarze, namalowanych z takim mistrzostwem, że można by je niemal brać palcami jedną po drugiej. Dostrzegałem na nich nawet cudowne inskrypcje, znaki dziwnych alfabetów, kwadratowe otwory pośrodku,

ząbkowane krawędzie. Te monety były znacznie lepiej przedstawione niż postać samego Thomasa; ta, tuż obok owoców i kwiatów Maneta, wydawała się dość nieporadna. Być może artysta skupił się bardziej na pieniądzach niż na swojej twarzy. Tak czy inaczej, spoglądając dwieście lat wstecz, starał się odtworzyć XVII wiek, a ja patrzyłem na dziewiętnastowieczny rezultat niemal sto dwadzieścia lat później.

Pomyślałem jednak, że na tych wszystkich mrocznych portretach Rembrandta Thomas nie uchwycił pewnej cechy osobowościowej - szczerości. Był najwidoczniej dostatecznie surowy wobec siebie - albo próżny czy może wystarczająco naiwny - by oddać na obrazie tę chytrą samoświadomość, która uwidaczniała się wokół oczu. Owa przebiegłość była zapewne wykalkulowana, obliczona na wywołanie niepokoju u widza, zwłaszcza za sprawą tych monet na pierwszym planie. W każdym razie twarz budziła zainteresowanie. Czy Thomas zarabiał na swoich płótnach dużo pieniędzy, zastanawiałem się, czy po prostu tego pragnął? Oddawał się jakimś innym zajęciom czy odziedziczył wielki majątek?

Nie znałem oczywiście odpowiedzi, przeszedłem więc do martwej natury Maneta, następnego obrazu na ścianie, i zacząłem podziwiać - tak jak zapewne robiła to dziewczyna, którą zauważyłem kilka minut wcześniej - kieliszek z białym winem, światło na ciemnoniebieskich śliwkach, narożnik lustra. Dalej było niewielkie płótno Pissarra, które, jak teraz sobie przypomniałem, też mi się podobało. Przeszedłem do następnej sali, żeby przy okazji obejrzeć więcej jego dzieł, a także innych impresjonistów z tego okresu.

Minęły lata od czasu, gdy naprawdę głęboko wnikałem w jakiś obraz impresjonistyczny; te wszystkie niekończące się retrospektywy, którym towarzyszyły reklamówki, kubki, papeterie, zraziły mnie do tego kierunku malarstwa. Przypomniałem sobie teraz to, co czytałem w przeszłości: niewielka grupa założycielska, w tym jedna jedyna kobieta, Berthe Morisot, zebrała się po raz pierwszy w 1874 roku, by zaprezentować prace, które Salon Paryski uznał za zbyt eksperymentalne stylistycznie i których nie włączył do ekspozycji. My, postmoderniści, nie doceniamy impresjonistów, pogardzamy nimi albo zbyt łatwo ich kochamy. Byli jednak radykałami swoich czasów; dyskredytowali dotychczasową technikę malarską, brali tematy z życia codziennego i wyprowadzali malarstwo z pracowni do ogrodów, na pola i wybrzeża Francji.

Teraz dostrzegłem ze świeżym podziwem naturalne światło, miękką, subtelną barwę sceny namalowanej przez Sisleya: kobieta w długiej sukni, znikająca w śnieżnym tunelu wiejskiej drogi. Było coś poruszającego i rzeczywistego - a może poruszającego, bo rzeczywistego - w czerni drzew wzdłuż traktu, niekiedy górujących nad wysokim murem. Przypomniałem sobie, co powiedział mi kiedyś pewien stary przyjaciel: otóż każdy obraz

musi skrywać w sobie jakąś tajemnicę. Podobała mi się ta przelotnie uchwycona postać kobieca, jej szczupłe plecy, obrócone ku mnie w zmięczeniu, bardziej zagadkowe niż niezliczone stogi siana autorstwa Moneta - właśnie mijalem następne trzy, które ujawniały na swych różowych i żółtych powierzchniach kolejne fazy świtu. Włożyłem marynarkę, zbierając się do wyjścia. Uważam, że trzeba opuścić muzeum, nim obrazy, które się oglądało, zaczną się zlewać w jedno. Jak inaczej można zabrać coś ze sobą w wyobraźni?

W holu na dole zauważyłem, że czarnowłosa dziewczyna z informacji zniknęła. Miriam była zajęta konsultacją z jakimś człowiekiem w jej wieku; miał chyba problemy z odczytaniem przewodnika. Przeszedłem obok, gotów się uśmiechnąć, gdyby spojrzała w moją stronę, ale mnie nie dostrzegła, musiałem więc darować sobie pożegnanie. Wychodząc na zewnątrz, doznałem ulgi i jednocześnie rozczarowania, które towarzyszą człowiekowi, gdy opuszcza wielkie muzeum - ulgi, że wraca do znajomego, mniej intensywnego, bardziej uległego świata, i rozczarowania, że w owym świecie nieobecna jest tajemnica. Widziałem przed sobą zwykłą ulicę, pozbawioną śladów pędzla czy głębi farby olejnej na płótnie. Obok przemykały samochody w typowym waszyngtońskim chaosie ruchu kołowego, jakiś kierowca próbował wyprzedzić drugiego, minął go o włos, zewsząd dobiegał odgłos klaksonów, przeciągły albo wściekle przerywany. Drzewa były jednak piękne, ciężkie od kwiecica albo świeżej zieleni; nieodmiennie uderza mnie ich cudowność, zwłaszcza po nijakiej zimie, która wydaje się wszystkim, na co stać wybrzeże środkowoatlantyckie.

Rozmyślałem o doborze kolorów zdolnych oddać barwę tych sąsiadujących ze sobą jasnozielonych i rdzawych liści, kiedy ponownie dostrzegłem młodą kobietę, która tak jak ja oglądała z uwagą *Ledę*. Stała akurat na przystanku autobusowym. Sprawiała teraz inne wrażenie; wyprostowana i wysoka, z płócienną torbą przerzuconą przez ramię, nie miała w sobie nic z refleksyjności czy głębokiego zamyślenia, wydawała się raczej nieprzystępna. Jej włosy świeciły w słońcu; nie zauważyłem wcześniej, ile ciemnego złota miesza się w nich z czerwienią. Ramiona trzymała skrzyżowane na białej bluzce, usta zaciskała mocno. Znów widziałem jej profil i teraz poznałbym go wszędzie. Tak, była chyba zarozumiała, niemal wroga, ale przyszło mi też do głowy słowo „niepocieszona”. Może dlatego, że wydawała się całkowicie samotna, choć osiągnęła wiek usprawiedliwiający towarzystwo młodego, przystojnego męża. Poczulem ukłucie żalu, jakbym zobaczył z daleka znajomego, a nie miał czasu się zatrzymać i porozmawiać; zdrowy rozsądek nakazał mi uciec, zanim dziewczyna mnie zauważy.

Zszedłem szybko po schodach, a ona odwróciła się w chwili, gdy dotarłem na dół. Dostrzegła mnie, nie do końca rozpoznając (niczym niewyróżniający się facet w granatowej



marynarce, bez krawata). Dlaczego wydało jej się, że mnie zna? Czy zadawała sobie to samo pytanie, nie pamiętając naszego spotkania przy obrazach? Potem się uśmiechnęła, tak jak w muzeum - uśmiechem pełnym sympatii, niemal zakłopotania. Przez chwilę należała do mnie, mimo wszystko jak stara przyjaciółka. Machnąłem jej nieznacznie ręką, co zapewne wyglądało śmiesznie. Nieznajomi są dla siebie obcy, pomyślałem. No cóż, ja byłem bardziej obcy niż ona. Widziałem zmarszczki wokół jej oczu, kiedy się uśmiechała; jednak mogła być po trzydziestce. Odchodząc, próbowałem trzymać się prosto i robić wrażenie wysokiego jak ona.

## 8

### *MARLOW*

Nazajutrz wstałem wcześniej - nawet wcześniej niż zwykle - ale nie po to, by malować; o siódmej byłem już w Goldengrove, chcąc skorzystać ze służbowego komputera i napić się kawy, nim zjawi się większość personelu. Moja domowa encyklopedia sztuki ujawniła niewiele więcej od tego, co już wiedziałem o Gilbercie Thomasie, za to *Słownik mitów* ofiarował mi historię Ledy: była śmiertelniczką zniewoloną przez Zeusa, który nawiedził ją pod postacią łabędzia. Tej samej nocy spała też ze swym mężem Tyndareosem, królem Sparty. Wyjaśnia to, dlaczego powiła jednocześnie dwie pary bliźnięt, nieśmiertelnych i śmiertelnych: Kastora i Polideukesa (w wersji rzymskiej Polluksa) oraz Klitajmestrę i Helenę, tę, z której powodu doszło do wybuchu wojny trojańskiej. Według niektórych wersji mitu, jak się dowiedziałem, dzieci Ledy wykluły się z jaj, chociaż pomieszały się nawet w skorupce, skoro Helena i Polideukes, jako potomkowie Zeusa, byli boscy, podczas gdy Kastor i Klitajmestra skazani zostali na śmiertelność.

Przejrzałem także obrazy przedstawiające Ledę z łabędziem, tak przy okazji, i stwierdziłem, że mamy tu do czynienia z rozległą tradycją malarską - niezwykle erotyczne płótno Michała Anioła, obraz Correggia, dzieło Leonarda da Vinci, gdzie łabędź jawi się jako coś w rodzaju zwierzęcia domowego, wreszcie Cezanne, który ukazuje ptaka chwytającego za nadgarstek wyraźnie beztroską Ledę, jakby błagał, by zabrała go na spacer. Thomas nie trafił do tego szacownego towarzystwa, ale przyszło mi do głowy, że znajdę coś więcej w Internecie.

Powinienem zapewne nadmienić w tym miejscu, że nie lubię z niego korzystać, nawet teraz, a wtedy traktowałem go z jeszcze mniejszą tolerancją - co zrobimy pewnego dnia, zastanawiam się zawsze, pozbawieni przyjemności przewracania kartek i napotykania rzeczy, których nigdy nie zamierzaliśmy znaleźć? To samo dzieje się oczywiście podczas poszukiwań w Internecie, ale w znacznie bardziej ograniczony sposób, jak sędzę. I czy ktokolwiek chciałby się wyrzec tego zapachu, który towarzyszy otwieraniu książki, nowej czy starej? Na przykład podczas studiowania mitu Ledy dowiedziałem się o dwóch innych postaciach

klasycznych, które nie mają nic wspólnego z tą historią, ale o których wciąż od czasu do czasu myślę. Moja żona mówi, że ta skłonność do wertowania książek, kiedy można sprawdzić wszystko skuteczniej w sieci, jest jedną z tych cech, które mnie najbardziej postarzają, ale zauważyłem, że czasem ona zachowuje się tak samo jak ja, przeglądając biografie i katalogi muzealne z głęboką i bezcelową przyjemnością.

W każdym razie nie uważam się za eksperta od internetowych poszukiwań, ale tego ranka dowiedziałem się nieco więcej o Gilbertcie Thomasie, zanurzając się w głębię swojego komputera. We wczesnych latach kariery uważano go co najwyżej za obiecującego, a obecnie jest znany przede wszystkim z *Ledy*, która wzbudziła taki sprzeciw Roberta, i z autoportretu, tego wiszącego obok pierwszego obrazu. Znał wielu francuskich artystów owego czasu, między innymi Maneta; wraz z bratem Armandem był właścicielem jednej z pierwszych komercyjnych galerii w Paryżu, drugiej czy trzeciej pod względem ważności; palnę pierwszeństwa dzierżyła wówczas galeria wielkiego Paula Duranda-Ruela. Ciekawa postać ten Thomas; jego biznes ostatecznie się załamał, on sam zaś umarł zadłużony w roku 1890. Brat wyprzedał to, co pozostało, i przeszedł na emeryturę. Gilbert namalował krajobraz do *Ledy* w plenerze około 1879 roku, w swojej samotni niedaleko Fecamp w Normandii, a obraz dokończył w pracowni paryskiej. Płótno wystawiono w Salonie w roku 1880; zyskało uznanie, ale też spotkało się z krytyką ze względu na swój erotyczny charakter. Był to pierwszy zaakceptowany przez Salon obraz Thomasa, ale nie ostatni. Inne zaginęły albo nie wzbudziły zainteresowania; malarz zawdzięczał swą sławę głównie temu arcydziełu, znajdującemu się obecnie w stałej ekspozycji National Gallery.

Kiedy pensjonariusze ośrodka skończyli śniadanie, skierowałem się do pokoju Roberta i zapukałem do drzwi. Robert nigdy oczywiście nie odpowiadał, więc musiałem nieodmiennie uchylać te drzwi, po trochu, wołając, aby nie zaskoczyć go przy jakiejś prywatnej czynności. Pod tym względem jego milczenie było dla mnie bardzo niewygodne, a nawet krępujące. Ten rano nie stanowił wyjątku, więc zapukałem, obwieściłem swoje przybycie i stopniowo zacząłem uchylać drzwi, coraz szerzej, nim w końcu wszedłem do pokoju.

Odwrócony do mnie plecami, rysował przy blacie, który służył za biurko; sztalugi były puste.

- Dzień dobry, Robercie. - Od jakiegoś tygodnia zwracałem się do niego po imieniu, ale robiłem to bardzo grzecznie, udając, że sam mnie do tego zachęcił. - Mogę wejść na chwilę?

Zostawiłem, jak zwykle, drzwi uchylone i wkroczyłem do pokoju. Nie odwrócił się, choć jego dłoń zaczęła poruszać się wolniej; zauważyłem też, że mocniej ścisnął ołówek. W

jego przypadku musiałem wypatrywać każdego sygnału, który mógł zastępować żywy język.

- Bardzo dziękuję za wypożyczenie listów. Przyniosłem z powrotem oryginały. - Położyłem ostrożnie kopertę na krześle, na którym wcześniej zostawił ją dla mnie, on jednak wciąż się nie odwracał. Znów się odezwałem, ożywionym tonem: - Jedno krótkie pytanie. W jaki sposób szukasz materiałów do swojej pracy? Zastanawiałem się, czy... korzystasz z Internetu? Czy też spędzasz dużo czasu w bibliotece?

Ołówek znieruchomiał na ułamek sekundy, potem jednak Robert zaczął coś cieniować. Nie pozwoliłem sobie na to, by podejść bliżej i zobaczyć, co rysuje. Jego ramiona, okryte jak zwykle starą koszulą, wydawały się przekazywać rodzaj przestrogi. Mogłem dostrzec zaczątki łysiny na czubku jego głowy; było coś poruszającego w tym pozbawionym włosów miejscu, które czas zaczął już ścierać, zwłaszcza że człowiek ten wydawał się ogólnie dość sprawny.

- Robercie - spróbowałem ponownie. - Szukasz czasem czegoś w Internecie? Czegoś, co jest ci potrzebne do obrazu?

Tym razem ołówek nawet nie drgnął. Przez chwilę chciałem, by mój pacjent się odwrócił i spojrzał na mnie. Wyobrażałem sobie, że minę ma mroczną, oczy czujne. Ostatecznie jednak byłem zadowolony, że nie zareagował; zależało mi na tym, by mówić do jego pleców, nie będąc samemu obserwowanym.

- Sam tak czasem robię, chociaż wolę korzystać z książek.

Robert się nie poruszył, ale wyczułem raczej, niż dostrzegłem, jakieś drgnienie w jego postaci. Gniew? Zaciekawienie?

- No cóż, to chyba wszystko. - Nie odzywałem się przez chwilę. - Miłego dnia. Daj mi znać, jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić.

Postanowiłem mu nie mówić, że kazałem przetłumaczyć listy - jeśli on mógł milczeć, to i mnie było na to stać.

Wychodząc z pokoju, zerknąłem na ścianę nad łóżkiem. Przymocował tam pinezkami nowy rysunek, nieco większy od innych - portret ciemnowłosej damy, posępnej i oskarżycielskiej, która mogła go obserwować nawet podczas snu.

W następny poniedziałek znalazłem w skrzynce na listy kopertę od Zoe. Powstrzymałem się przed jej otwarciem i najpierw zjadłem obiad; umyłem ręce, zaparzyłem herbatę i usiadłem w salonie przy dobrym oświetleniu. Oczywiście zakładałem, że listy będą dotyczyć życia rodzinnego i spraw domowych, jak większość starej korespondencji, ale Zoe obiecała mi też kilka fragmentów o malarstwie; nagłówek listu zachowała w oryginale,

wiedząc, że mi się to spodoba.

6 października 1877

*Cher Monsieur,*

*Dziękuję za Pański miły liścik, na który czuję się w obowiązku odpowiedzieć. Z wielkim zadowoleniem gościliśmy Pana wczorajszego wieczoru. Pańska obecność uradowała przede wszystkim mojego teścia, którego trudno nakłonić do śmiechu, odkąd z nami zamieszkał. Przypuszczam, że tęskni za domem, choć ten już od kilku lat pozbawiony jest cudownej obecności jego żony. Zawsze powtarza, że jest Pan dla niego takim dobrym bratem. Yves przesyła ukłony; z ulgą przyjął wiadomość o Pańskim powrocie do Paryża (życie jest o wiele lepsze, gdy ma się u boku stryja, jak mówi!). Ja również się cieszę, że w końcu Pana poznałam. Proszę mi wybaczyć, że piszę tak niewiele, ale mam tego ranka sporo spraw do załatwienia. Oby dotarł Pan szczęśliwie nad Loarę i miał tam udany pobyt. Ufam też, że praca pójdzie dobrze. Zazdroszczę Panu krajobrazów, które z pewnością Pan namaluje. Przeczytam też teściowi eseje, które Pan nam pozostawił.*

*Z wyrazami szacunku,  
Béatrice de Clerval Vignot*

Kiedy skończyłem czytać, siedziałem przez długą chwilę i zastanawiałem się, co Robert widział w tym liście i co kazało mu go czytać - podobnie jak inne - wciąż na nowo, w samotności swego pokoju. I dlaczego w ogóle pozwolił mi je obejrzeć, jeśli były dla niego takie cenne.

## 9

### *MARLOW*

Zazwyczaj nie rozmawiam z krewnymi swoich pacjentów, ale gdy obserwowałem, jak na sztalugach Roberta ta uderzająca i niezwykła twarz z tygodnia na tydzień przybiera kształt, doznałem czegoś w rodzaju moralnej porażki. Zresztą sam powiedział, że mogę porozmawiać z jego żoną Kate.

Wciąż mieszkała w Greenhill. Kontaktowałem się z nią tylko raz, w pierwszych dniach jego pobytu w naszym ośrodku, przez telefon. Miała miękki głos, nieco zmęczony; na wieść o przyjęciu Roberta do Goldengrove pojawiła się w nim jeszcze głębsza nuta znużenia. W tle słychać było dzieci i czyjś śmiech. Rozmawialiśmy dostatecznie długo, by mogła potwierdzić, że zna diagnozę i że od ponad roku są rozwiedzeni. Przez większość tego czasu mieszkał w Waszyngtonie, wyjaśniła, a potem dodała, że to dla niej trudny temat. Skoro jej mąż - były mąż - nie znajduje się w stanie poważnego zagrożenia, a ja dysponuję jego dokumentacją psychiatryczną z Greenhill, to czy nie miałbym nic przeciwko temu, byśmy zakończyli rozmowę?

Dzwoniąc do niej zatem powtórnie, sprzeciwiałem się zarówno swoim zasadom, jak i jej prośbie. Numer wziąłem - niechętnie - z dokumentacji Roberta. Czy było to słuszne? Ale, patrząc z innej strony, czy było niesłuszne? Kiedy rankiem tego dnia odwiedziłem Roberta, wydał mi się przygnębiony, a gdy go spytałem, czy kiedykolwiek myślał o obrazie zatytułowanym *Leda*, tylko na mnie spojrzał, jakby zbyt wyczerpany, by się chociaż obrazić za moje absurdalne pytanie. Bywały dni, gdy malował albo szkicował - zawsze tę samą jasną twarz damy - kiedy indziej zaś, tak jak teraz, leżał na łóżku, zaciskając szczęki, albo siedział w fotelu, z którego zwykle korzystałem podczas odwiedzin; trzymał te swoje listy w dłoni i spoglądał ponurym wzrokiem przez okno. Raz, gdy wszedłem do jego pokoju, otworzył oczy, uśmiechnął się do mnie przelotnie i coś wymamrotał, jakby na widok ukochanej osoby, po czym zerwał się z łóżka i uniósł na chwilę pięść. Liczyłem przynajmniej na to, że jego żona będzie mogła mi powiedzieć, jak reagował na wcześniej zażywane leki.

O wpół do szóstej wykręciłem numer. Greenhill leży w zachodnich górach Karoliny

Północnej; wiedziałem o tym od przyjaciół, którzy jeżdżą tam na lato. Kiedy usłyszałem w słuchawce ten sam spokojny głos, brzmiący tym razem tak, jakby jego właścicielka z kimś akurat żartowała, poczułem się zaskoczony. Wydawało mi się, że po drugiej stronie jest ta urocza twarz, którą Robert szkicował dzień za dniem. Przez chwilę głos wibrował rozbawieniem.

- Tak, słucham?

- Pani Oliver? Tu doktor Marlow z Goldengnwe w Waszyngtonie - powiedziałem. - Kilka tygodni temu rozmawialiśmy o Robercie.

Kiedy znów się odezwała, rozbawienie zniknęło bez śladu, stłumione przez tępy strach.

- O co chodzi? Czy Robertowi coś się stało?

- Nie ma jakichś szczególnych powodów do niepokoju, pani Oliver. Na dobrą sprawę jego stan się nie zmienił. - Teraz słyszałem także śmiech dziecka, wołanie gdzieś w tle, wreszcie rozległ się trzask, jakby tuż obok coś spadło na podłogę. - Stanowi to jednak pewien problem. Robert wciąż cierpi na depresję, jak się zdaje, a jego nastrój często ulega zmianom. Chciałbym, żeby poczuł się lepiej, zanim zacznę się zastanawiać, czy go wypuścić. Najgorsze jest to, że nie chce ze mną w ogóle rozmawiać. Ani z nikim innym.

- Ach - westchnęła, a ja przez chwilę słyszałem ironię, która kojarzyła mi się z tymi świetlistymi ciemnymi oczami, z tymi rozbawionymi albo zagniewanymi ustami, bezustannie szkicowanymi przez Roberta. - No cóż, ze mną też niewiele rozmawiał, zwłaszcza przez ostatnie dwa lata, kiedy jeszcze byliśmy razem. Proszę chwilę poczekać, przepraszam. - Miałem wrażenie, że odeszła na moment od telefonu, i usłyszałem, jak mówi: - Oscar? Dzieci? Idźcie do drugiego pokoju, dobrze?

- Kiedy Robert jeszcze się odzywał, pierwszego dnia, pozwolił mi omówić z panią swój przypadek. - Milczała, ale nie ustępowałem. - Bardzo by mi pomogło, gdybym mógł z panią porozmawiać i dowiedzieć się przy okazji, czym objawiał się jego stan - jak na przykład reagował na leki, które wcześniej zażywał. Chodzi też o inne sprawy.

- Doktorze... Marlow? - powiedziała z namysłem, a ja znów ponad jej drżącym głosem usłyszałem dziecięcą wrzawę, śmiech i głuchy odgłos upadającego przedmiotu. - Mam ręce pełne roboty, mówiąc delikatnie. Rozmawiałam już z policją i dwoma detektywami. Mam dwoje dzieci i jestem sama, bez męża. Razem z matką Roberta płacimy większość rachunków za jego pobyt w ośrodku. Nasze ubezpieczenie, a głównie jego, w większości to pokrywa, ale też czasem coś dorzucam. Jak pan zapewne wie.

Nie wiedziałem.

Miałem wrażenie, że bierze głęboki oddech.

- Jeśli chce pan, żebym poświęciła czas na rozmowę o klęsce swojego życia, to będzie pan musiał sam tu przyjechać. Próbuję przygotować obiad. Przepraszam.

Drżenie w jej głosie było charakterystyczne dla kobiety nienawykłej mówić ludziom, żeby poszli do diabła, kobiety zazwyczaj grzecznej, teraz jednak przypartej do muru przez okoliczności.

- Przepraszam - powiedziałem. - Zdaję sobie sprawę, że pani sytuacja jest trudna, ale chciałbym pomóc pani mężowi, pani byłemu mężowi, jeśli tylko będę mógł. Jestem lekarzem i w tej chwili spoczywa na mnie odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo i samopoczucie. Zadzwońię któregoś dnia, może znajdzie pani odpowiedniejszą chwilę do rozmowy.

- Skoro pan nalega - odparła. Potem jednak dodała: - Do widzenia.

I odłożyła delikatnie słuchawkę.

Tego wieczoru po powrocie do domu położyłem się na sofie w swoim zielono-żółtym salonie. Był to wyczerpujący dzień, który zaczął się od spotkania z Robertem Oliverem i jego zwykłą niechęcią do jakiegokolwiek rozmowy. Oczy miał podkrążone, a ja się zastanawiałem, czy nie zlecić w tym wypadku nocnej obserwacji. Czy miałem się zjawić u niego pewnego ranka i stwierdzić, że połknął wszystkie farby olejne - mój prezent dla niego - albo że podciął sobie żyły wyjętą z łóżka sprężyną? Miałem odesłać go do Johna Garcii, żeby pozostał w tamtejszym szpitalu? Mogłem zadzwonić do przyjaciela i powiedzieć, że ten przypadek jednak mnie nie interesuje; poświęcałem mu zbyt wiele czasu bez większej nadziei na rezultaty. Zastanawiałem się także, czy mogę powiedzieć Johnowi, że niepokoї mnie coś w moim własnym zachowaniu - to, jak podskoczyło mi serce na dźwięk głosu Kate Oliver w słuchawce telefonu. Nie chciałem do niej dzwonić czy w gruncie rzeczy bardzo tego pragnąłem?

Czułem się zbyt zmęczony, żeby nalać wody do butelki i pobiegać, co zwykle robiłem o tej porze. Leżałem więc z na wpół przymkniętymi oczami, spoglądając na obraz, który namalowałem z myślą o ścianie nad kominkiem. Nie powinno się oczywiście wieszać obrazu olejnego nad kominkiem, ale rzadko rozpalam ogień, a ta pusta przestrzeń domagała się wypełnienia, odkąd się tu wprowadziłem. Być może tak właśnie czuł się Robert Oliver czy jakikolwiek pacjent cierpiący na depresję graniczącą z całkowitym wyczerpaniem; opuszczałem powieki, zamykając oczy niemal do końca, i poruszałem obojętnie głową na oparciu sofy, tam i z powrotem, jakby na próbę.

Kiedy otworzyłem oczy, znów ujrzałem obraz. Jak wspomniałem, lubię malować



portrety, ale płótno olejne nad moim kominkiem to krajobraz widziany z okna. Zwykle maluję krajobrazy w plenerze, zwłaszcza w północnej Wirginii, gdzie błękitne wzgórza w oddali są takie kuszące. Ten jest inny, to fantazja inspirowana przez niektóre dzieła Vuillarda, ale także przez wspomnienie widoków z pokoju dzieciennego w Connecticut - zielony parapet i framugi jako obramowanie, w środku zaś ciężkie korony drzew, dachy starych domów, bardzo wysoka, wyrastająca spośród gałęzi biała wieża kościoła kongregacjonalistów, bladofioletowy i złoty zachód wiosennego słońca. Umieściłem tam wszystko, co zapamiętałem, zamaszystymi ruchami pędzla, wszystko z wyjątkiem chłopca, który się wychylał z okna i chłonał to, co widział.

Leżałem na sofie, zastanawiając się nie po raz pierwszy, czy nie należało przesunąć wieży kościoła w prawo; w rzeczywistości znajdowała się pośrodku widoku, jaki roztaczał się z mojego chłopięcego pokoju, tak jak ją namalowałem, ale obraz wydawał się przez to zbyt zrównoważony, denerwująco symetryczny. Niech diabli wezmą Roberta Olivera - a przede wszystkim jego autodestrukcyjne milczenie. Dlaczego ktoś chciałby być jeszcze większą ofiarą, zadrećcać się jeszcze bardziej, skoro chemia mózgu raniła go już dostatecznie? Ale to zawsze stanowiło problem - w jaki sposób chemia kształtuje naszą wolę. Miał niegdyś dwoje małych dzieci i żonę o miękkim głosie. Wciąż był człowiekiem, którego palce i oczy nie utraciły wielkiego daru, wciąż odznaczał się biegłością pędzla, zdolną poruszyć coś boleśnie w mojej głowie. Dlaczego nie chciał ze mną rozmawiać?

Kiedy byłem już zbyt głodny, by dłużej leżeć, wstałem, przebrałem się w piżamę i otworzyłem puszkę zupy pomidorowej, następnie przyprawiłem ją pietruszką i kwaśną śmietaną, na koniec ukroiłem wielką kromkę chleba. Przeczytałem gazetę, a potem kawałek kryminału, to była P. D. James, naprawdę niezły tekst. Nie poszedłem do pracowni.

Nazajutrz po południu, tuż przed wyjściem z pracy, zadzwoniłem ponownie do pani Oliver. Tym razem odezwała się poważnym tonem.

- Pani Oliver, tu doktor Marlow, dzwonię z Waszyngtonu. Przepraszam, że znów pani przeszkadzam. - Nie odpowiadała, więc ciągnąłem: - Zdaję sobie sprawę, że to nietypowa sytuacja, ale wydaje mi się, że oboje mamy na względzie stan pani męża, dlatego się zastanawiam, czy nie skorzystać mimo wszystko z pani oferty. - Wciąż cisza. - Chciałbym przyjechać do Karoliny Północnej i porozmawiać z panią o Robercie.

Usłyszałem ciche westchnienie; sprawiała wrażenie trochę przestraszonej, chyba zastanawiała się intensywnie.

- Obiecuję, że nie potrwa to zbyt długo - dodałem pospiesznie. - Zabiorę pani kilka

godzin. Zatrzymam się u swoich przyjaciół, którzy mieszkają w tamtej okolicy. Będę się starał jak najmniej panią niepokoić. Nasza rozmowa zostanie potraktowana jako ściśle poufna, a to, co mi pani powie, wykorzystam tylko w leczeniu pani męża.

Wreszcie się odezwała.

- Nie wiem, co chce pan przez to zyskać - oznajmiła niemal serdecznym tonem. - Jeśli jednak tak bardzo martwi się pan stanem zdrowia Roberta, to nie mam nic przeciwko temu, żeby pan przyjechał. Pracuję codziennie do czwartej, potem odbieram dzieci ze szkoły, trudno mi więc powiedzieć, kiedy moglibyśmy porozmawiać. - Umilkła na chwilę. - Chyba uda mi się coś wykombinować. Powiedziałam panu wcześniej, że nie jest mi łatwo o nim rozmawiać, więc proszę nie oczekiwać zbyt wiele.

- Rozumiem - odparłem. Serce podskoczyło mi z radości; było to śmieszne uczucie, ale fakt, że się zgodziła, natchnął mnie dziwnym szczęściem.

- Uprzedzi go pan, że chce się ze mną spotkać? - spytała, jakby dopiero teraz przyszło jej to do głowy. - Robert się dowie, że mam zamiar o nim mówić?

- Nie wydaje mi się. Mogę powiedzieć mu o tym później, ale tylko za pani zgodą i wówczas, gdy będzie to mogło przynieść jakąś korzyść. Jeśli pani sobie nie życzy, bym rozmawiał z nim na jakiś temat, to oczywiście zachowam dyskrecję. Później możemy omówić to szczegółowo.

- Kiedy zamierza pan przyjechać? - Jej głos był teraz nieco chłodny, jakby żałowała swojej decyzji.

- Może na początku przyszłego tygodnia. Da pani radę spotkać się ze mną w poniedziałek albo wtorek?

- Spróbuję coś wymyślić - obiecała. - Proszę jutro zadzwonić, powiem panu dokładnie.

Od niemal dwóch lat nie robiłem sobie przerwy w pracy, z wyjątkiem normalnych wakacji. Ostatnim razem uczestniczyłem w wyprawie malarskiej do Irlandii, zorganizowanej przez miejscową szkołę sztuk pięknych. Wróciłem stamtąd z płótnami tak zdominowanymi przez jasną zieleń, że kiedy znalazłem się w domu, przestałem wierzyć w ich wartość. Teraz wyciągnąłem stare mapy i wypchałem samochód butelkami z wodą, taśmami z Mozartem i ulubioną sonatą skrzypcową Francka. Jak obliczyłem, czekała mnie dziewięciogodzinna jazda. Mój personel był nieco zaskoczony tym nagłym urlopem. Niewykluczone, że właśnie z tego powodu - biedny doktor Marlow, przepracowanie - nikt nie zadawał pytań. Poleciałem obserwować podczas swojej nieobecności Roberta Olivera dzień i noc, a w piątek poszedłem

do jego pokoju, żeby się pożegnać. Rysował - jak zwykle tę samą kobietę o kręconych włosach, ale też coś nowego, jakby ławkę ogrodową o wysokim, zdobionym oparciu, w otoczeniu drzew. Jak zawsze pomyślałem, że odznacza się niebywałym warsztatem. Właśnie wtedy jego szkicownik i ołówek wylądowały na łóżku, on sam zaś położył się z głową odchyloną do tyłu, wpatrzony w sufit; poruszał nerwowo czołem i szczęką, włosy mu sterczały. Kiedy wszedłem głębiej do pokoju, obrócił ku mnie zaczerwienione oczy.

- Jak się czujesz, Robercie? - spytałem, siadając w swoim fotelu. - Wyglądasz na zmęczonego.

Znów skierował spojrzenie w sufit.

- Zamierzam wziąć sobie kilka wolnych dni - oświadczyłem. - Nie będzie mnie do czwartku, może nawet do piątku. Dłuższa wyprawa. Gdybyś czegoś potrzebował, możesz poprosić kogokolwiek z personelu. Powiedziałem pracownikom, żeby byli na miejscu, jeśli zechcesz kogoś wezwać. Bierzesz leki regularnie?

Rzucił mi wymowne, niemal pełne wyrzutu spojrzenie. Przez chwilę czułem się zawstydzony. Brał je; nigdy nie okazał pod tym względem jakiegokolwiek sprzeciwu.

- No cóż, do zobaczenia - powiedziałem na koniec. - Z chęcią obejrzę po powrocie twoje prace.

Podniosłem się z fotela i przystanąłem w drzwiach, unosząc rękę na pożegnanie. Czasem nie ma nic trudniejszego niż rozmowa z człowiekiem, który dysponuje siłą milczenia. Tym razem i ja doznałem dziwnego wrażenia mocy, które od razu stłumiłem: „Do widzenia, jadę zobaczyć się z twoją żoną”.

Tego samego wieczoru znalazłem w swojej skrzynce przesyłkę od Zoe; robiła postępy, jak widać. Wsadziłem przetłumaczone listy do walizki, żeby przeczytać je w Greenhill. Miały stanowić nieodłączną część mojego urlopu.

# 10

## *MARLOW*

Kocham Wirginię od czasu studiów na tutejszym uniwersytecie; przejeżdżałem przez nią często w drodze do innych miejsc i zagłębiałem się w jej błękit i zieleń w trakcie wakacji czy wycieczek malarskich, niekiedy nawet uprawiałem tu piesze wędrówki. Lubię długie pasmo autostrady I-66, która pozwala zostawić daleko za sobą rozległość miasta - choć kiedy piszę te słowa, Waszyngton sięga swoimi mackami do samego Fort Royal; wokół trasy i przyległych dróg niczym grzyby wyrastają kolonie podmiejskich sypialni. Podczas tej podróży, gdy na trasie panował spokój późnych godzin rannych, zapomniałem o pracy, nim minąłem Manassas.

Czasem, kiedy tędy przejeżdżałem, sam albo niedawno z żoną, robiłem sobie postój przy Manassas National Battlefield, skręciwszy odruchowo w zjazd z autostrady. Raz, jeszcze nim poznałem swoją przyszłą żonę, w pewien posępny wrześnieowy poranek kupiłem bilet w centrum informacji turystycznej i wybrałem się na pole, gdzie toczyły się najbardziej zacięte walki wojny secesyjnej. Krajobraz, który oddalał się ode mnie po zboczu aż do starego kamiennego domu, wypełniała mgła. Na planie środkowym stało samotne drzewo, które zdawało się wołać, bym zbliżył się do niego i odpoczął pod jego konarami albo żebym je namalował, stojąc w miejscu, z którego na nie patrzyłem. Obserwowałem, jak mgła się przeredza, i zadawałem sobie pytanie, dlaczego ludzie zabijają się nawzajem. W pobliżu nie było żywej duszy. To są chwile, za którymi tęsknię i na których wspomnienie czuję dreszcz niepokoju - teraz, kiedy jestem już żonaty.

\*

Zjechałem z drogi w pobliżu Roanoke i zjadłem śniadanie w niedrogiej restauracji. Wcześniej dostrzegłem na autostradzie tablicę informacyjną, ale kiedy ujrzałem z bliska koszmarną fasadę, a pod nią kilka zaparkowanych półciężarówek, przypomniałem sobie, że byłem tu już kiedyś, podczas jakiejś wycieczki, może wyprawy w plener, dawno temu; nie rozpoznałem po prostu nazwy. Kelnerka, niekryjąca zmęczenia, podała mi w milczeniu kawę,

ale uśmiechnęła się, przynosząc mi jajka, i wskazała pikantny sos na stoliku. W rogu knajpy siedzieli dwaj mężczyźni o szerokich barach i rozmawiali o pracy - pracy, której nie mieli albo której nie mogli dostać - a jakieś dwie kobiety, niezbyt dobrze ubrane, płaciły właśnie rachunek. „Nie wiem, o co mu chodzi” - oznajmiła głośno jedna drugiej.

Przez tę krótką chwilę niemal halucynacji - siedząc w oparach kawy, w smrodzie dymu papierosowego, w brudnym blasku słońca wpadającym przez okno obok mojego łokcia - myślałem, że mówi o mnie. Przypomniałem sobie, jak zwlokłem się przed świtem z łóżka, by udać się w tę podróż, jak doznałem wrażenia, że naruszam nie tylko swój harmonogram, lecz także kodeks zawodowy, jak poczułem drgnienie pożądania, budząc się i widząc w wyobraźni kobietę na płótnie Roberta Olivera.

Nie byłem wcześniej w Greenhill, ale kiedy już dotarłem do długiej przełęczy, okazało się, że łatwo je znaleźć - miasto usadowiło się w dolinie. Tutejsza wiosna jakby nie nadążała za Waszyngtonem; drzewa wzdłuż drogi pokrywała świeża zieleń, a na mijanych po drodze frontowych podwórkach wciąż kwitły derenie i azalie, rododendrony zaś miały grube stożkowate pąki, które jeszcze się nie rozwarły. Objechałem z boku miasto - wzgórze upstrzone dachami z czerwonych płytek oraz miniaturowymi gotyckimi wieżowcami - i wjechałem w krętą ulicę, którą przyjaciele opisali mi przez telefon. Rick Mountain Road. Była gęsto zamieszкана, lecz małe domki kryły się za zasłoną choinek, modrzewi i rododendronów, a także dereni w falującym, pełnym zamyślenia rozkwicie. Kiedy spuściłem szybę, poczułem woń omszałej ciemności, głębszej niż nadchodzący zmierzch.

Dom Jan i Waltera stał na końcu nieubitego podjazdu, a drogę wskazywała pojedyncza drewniana tablica: „Hadley Cottage”. Hadleyowie przebywali akurat w Arizonie, lecząc swoje alergie; byłem zadowolony, że nie muszę im osobiście tłumaczyć, dlaczego tu przyjechałem. Wsiadłem z samochodu i rozprostowałem zeszywniałe nogi. Z pewnością przydałoby mi się trochę biegania, ale kiedy i jak miałem ćwiczyć? Poszedłem na tyły domu, ponieważ miejsce to obiecywało ciekawy widok, i nie zawiodłem się; na krawędzi stromego zbocza stała ławka, w dali zaś ujrzałem wspaniałą panoramę, odległe budynki, miniaturę miasta. Usiadłem, chłonąc zimne powietrze, a wraz z nim wrażenie, że z sosen spływa na mnie wiosna. Zastanawiałem się, po co Hadleyowie zmieniali miejsce zamieszkania, choćby na krótki czas.

Pomyślałem o mordędze dojazdów do pracy, o długiej trasie do Goldengrove w coraz bardziej gęstniejącym strumieniu samochodów. Słyszałem szum wiatru w sosnowych gałęziach, odległy przyciszony dźwięk, być może docierający z autostrady w dole, nagły

akord ptasiej pieśni - nie wiedziałem, co to za ptak, choć spomiędzy drzew rosnących na urwisku tuż przy podwórzu Hadleyów wyfrunął kardynał. Gdzieś w mieście - nie byłem pewien gdzie, ale zamierzałem sprawdzić to tego wieczoru na mapie - przebywała kobieta z dwojgiem dzieci, kobieta o miękkim głosie, rękach pełnych roboty i złamanym sercu. Mieszkała tam w domu, którego nie potrafiłem sobie jeszcze wyobrazić, w samotności, za którą, przynajmniej częściowo, ponosił odpowiedzialność Robert Oliver. Zastanawiałem się, czy będzie miała mi cokolwiek do powiedzenia. Gdyby zmieniła zdanie co do rozmowy z psychiatrą jej byłego męża, oznaczałoby to długą drogę na próżno.

Klucz leżał tam, gdzie miał leżeć, pod donicą pełną ziemi, ale drzwi frontowe sprawiły mi trochę kłopotu, dopóki nie pchnąłem ich mocno biodrem. Wniosłem do środka kilka leżących na ganku reklamówek pizzerii, wytarłem buty o matę i zablokowałem drzwi, chcąc wpuścić do wnętrza trochę wiosennej piżmowej woni, która mnie tu powitała. Salon był mały i zagracony - chodniczki sznurkowe i niemodne meble, rzędy powieści w miękkich oprawach i złożony komplet Dickensa na półkach wbudowanych w ściany, telewizor zamknięty zapewne w jakiejś szafce, sofa z haftowanymi poduszkami, odrobinę wilgotnymi w dotyku. Otworzyłem kilka okien, a potem drzwi na tylne podwórze, i wniosłem na górę swoją walizkę.

Były tam dwie małe sypialnie, jedna bez wątplenia Hadleyów; rozlokowałem się w drugiej, gdzie stały dwa pojedyncze łóżka z granatowymi narzutami, a na ścianach wisiały akwarelowe pejzaże, oryginały, całkiem niezłe. Rozsunąłem kraciaste zasłony - one też wydawały się lekko wilgotne, jakby nieprzyjemnie żywe pod moimi palcami - i otworzyłem okna. Cały dom był ocieniony świerkami i innymi drzewami iglastymi, ale mogłem przynajmniej wywietrzyć pokój przed pójściem spać. Walter powiedział mi, że dobrze byłoby rozpaść w kominku; znalazłem nawet przygotowane już polana. Zachowałem je na wieczór. W starej lodówce nie znalazłem niczego prócz kilku słoików oliwek i paczek drożdży. Nie byłem jeszcze głodny; postanowiłem wybrać się później na zakupy - po trochę jedzenia, gazetę i mapę okolicy. Być może nazajutrz po południu znalazłbym trochę czasu i zwiedził miasto.

Przebrałem się i poszedłem pobiegać w górę stromej ulicy, zadowolony, że mogę pozbyć się skutków długiej jazdy samochodem - a także myśli o Robercie Oliverze i kobiecie, z którą miałem się spotkać następnego dnia. Wróciłem do domu, wziąłem prysznic, dziękując w duchu za to, że u Hadleyów jest gorąca woda, a potem na tylnym podwórzu rozstawiłem sztalugi. Wokół wznosiły się podobne domy, też osłonięte świerkami; o tej porze roku sprawiały wrażenie tak samo opuszczonych. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się tu

wakacji, ale kiedy podwinąłem rękawy i otworzyłem pudełko z akwarelami, doznałem nagłego i błęgiego uczucia, jakbym oderwał się całkowicie od własnego życia. Wieczne światło było piękne i przyszło mi do głowy, że przelicytuję te spłowiałe obrazy w pokoju gościnnym, a może nawet pozostawię Jan i Walterowi prezent - namiastkę czynszu - wizerunek wczesnej wiosny i ich miasta w dole.

Leżąc tego wieczoru w łóżku, zacząłem czytać listy, które przesłała mi Zoe.

*14 października 1877*

*Cher Monsieur,*

*Pański list z Blois nadszedł dziś rano i sprawił wszystkim mnóstwo radości, szczególnie Pańskiemu bratu. Prawdę powiedziawszy, przeczytałam go Papie i opisałam rysunek tak dokładnie, jak tylko mogłam. Jest uroczy, choć nie śmiem wiele o nim mówić, by nie pojął Pan, jaka ze mnie nowicjuszka. Przeczytałam mu również Pański artykuł o twórczości M. Courbeta. Zapewnia, że widzi niektóre z jego obrazów bardzo wyraźnie oczami duszy i że Pańskie słowa jeszcze lepiej mu je przypominają. Niechaj Bóg Pana błogosławi za uwagę, którą Pan nas obdarza. Yves przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia.*

*Z wyrazami szacunku,  
Béatrice de Clerval Vignot*

# 11

## *MARLOW*

Dom pani Oliver, jak się okazało następnego ranka, nie przypominał niczego, co sobie wyobrażałem; wydawało mi się, że będzie wysoki, biały, stereotypowo południowy i wystawny, a w rzeczywistości okazał się dużym bungalowem z drewna cedrowego i cegieł, osłoniętym od frontu bukszpanowym żywopłotem i strzelistymi świerkami. Wsiadłem z samochodu, siląc się na nonszalancję; w rękę trzymałem sportową wełnianą marynarkę i teczkę. Ubrałem się starannie w małym ciemnym pokoju gościnnym Hadleyów, starając się nie zastanawiać, dlaczego to robię. Dom byłej żony mojego pacjenta, choć nowoczesny, miał ganek, tyle że mały, obok drzwi zaś, na ławce, ktoś zostawił brudne rękawice ogrodowe z brezentu i mnóstwo miniaturowych plastikowych narzędzi w wiaderku - zabawek, jak się domyślałem. Drzwi wejściowe były drewniane, z dużą czystą szybą, przez którą mogłem dojrzeć pusty salon, meble, kwiaty. Nacisnąłem dzwonek, a potem stałem, czekając.

Nic się w środku nie poruszyło. Po kilku minutach zacząłem czuć się głupio, ponieważ zaglądałem w głąb domu, jakbym szpiegował. Widziałem wygodny i prosty pokój frontowy, którego wyposażenie stanowiły kanapy w spokojnych kolorach, kilka lamp na antycznych, jak się zdawało, stolikach, spłowiały oliwkowy dywan, mniejszy orientalny chodniczek, być może cenny, wazony z żonkilami, ciemna oszklona gablotka na wysoki połysk, a przede wszystkim książki - długie półki, niemal pod sam sufit, choć z miejsca, gdzie stałem, nie widziałem tytułów. Czekałem. Powoli uświadamiałem sobie obecność ptaków w wysokich drzewach wokół domu; wołały i śpiewały albo wzlatywały w pośpiechu - wrony, szpaki, sójka błękitna. Poranek zaczął się wiosennie i jasno, ale teraz napływały chmury, a na ganku robiło się chłodno i odrobinę szaro. Po namyśle włożyłem marynarkę.

Wtedy po raz pierwszy poczułem się bezradny. Pani Oliver zmieniła zdanie. Była osobą prywatną, nie miałem prawa jej nachodzić. Jechałem przez dziewięć godzin jak skończony głupiec. Jeśli postanowiła zamknąć drzwi na klucz (oczywiście nie próbowałem naciskać klamki) i udać się dokądś, zamiast rozmawiać ze mną, to dobrze mi tak. Przyszło mi do głowy, że na jej miejscu być może postąpiłbym podobnie. Nacisnąłem dzwonek po raz trzeci, z wahaniem, przyrzekając sobie, że już więcej tego nie zrobię.



W końcu się odwróciłem, uderzając teczką o kolano, i pchany falą gniewu zacząłem zstępować po kamiennych schodkach. Czekala mnie długa podróż powrotna, mnóstwo czasu na myślenie, któremu już zacząłem się oddawać, więc dopiero po sekundzie dotarł do mnie metaliczny trzask i skrzywienie drzwi za moimi plecami. Przystanąłem, czując, jak włoski podnoszą mi się na karku - dlaczego ten dźwięk tak mnie przeraził, skoro czekałem na niego przez pięć minut? W każdym razie odwróciłem się i zobaczyłem ją na progu; drzwi otwierały się do wewnątrz, dłoń wciąż spoczywała na klamce.

Była ładną kobietą, wyczuwało się w niej bystrość i skupienie, ale z pewnością nie miała nic wspólnego z muzą, której twarz wypełniała rysunki i obrazy Roberta w Goldengrove. Nasunęło mi się natomiast nagle skojarzenie z morskim wybrzeżem: piaskowe włosy, jasna skóra poznaczona piegami, które bledną z upływem lat, oczy o oceanicznym błękicie, spoglądające na mnie z nieufnością. Przez chwilę stałem skamieniały na stopniach, potem zawróciłem w jej stronę. Kiedy znalazłem się blisko niej, uświadomiłem sobie, że jest niewysoka, delikatnie zbudowana i sięga mi do ramienia, zatem Robertowi musiała sięgać zaledwie do obojczyka.

Otworzyła drzwi szerzej i wyszła na zewnątrz.

- Doktor Marlow? - spytała.

- Tak - odparłem. - Pani Oliver?

W milczeniu ujęła moją wyciągniętą dłoń. Jej była drobna, jak ona cała, więc spodziewałem się miękkiego, dziecięcego uścisku, ale okazało się, że palce ma silne. Sądząc po wzroście, można by ją wziąć niemal za dziewczynkę, lecz była to dziewczynka nieustępliwa, nawet zawzięta.

- Proszę wejść - zaprosiła mnie do środka.

Odwróciła się, a ja ruszyłem za nią do salonu, na który wcześniej patrzyłem. Przypominało to wejście na scenę albo oglądanie spektaklu, kiedy kurtyna jest już podniesiona i można przyjrzeć się rekwizytom, nim pojawią się aktorzy. W domu panowała głęboka cisza. Książki, kiedy przyjrzałem im się z bliska, okazały się w większości powieściami - tytuły obejmowały ze dwieście lat - było też trochę poezji i monografii historycznych.

Pani Oliver, kilka kroków przede mną, miała na sobie dzinsy i obcisły top z długimi rękawami, w szaroniebieskim kolorze; pomyślałem, że bardzo dobrze zna odcień swoich oczu. Jej ciało sprawiało wrażenie gibkiego - nie wysportowanego, ale zgrabnego, jakby poprzez ruch bezustannie szukało swego kształtu. Sposób, w jaki chodziła, miał w sobie determinację wykluczającą każdy gest, który mógł się wydać w jakiś sposób żalony czy

zbędny. Wskazała mi sofę i usiadła na drugiej, po przeciwległej stronie pokoju. Salon zakrzywiał się w tym miejscu, mogłem więc widzieć ogromne okna, od podłogi do sufitu, wychodzące na rozległy trawnik, brzozy, wielki ostrokrzew, kwitnące rajskie jabłonie. Jej posesja nie wydawała się taka duża od strony podjazdu, ale obejmowała dwie parcele, pełne zieleni i otoczone przez drzewa. Robert Oliver cieszył się niegdyś tym widokiem. Postawiłem teczkę obok sofy, przy stopach, i próbowałem opanować nerwy.

Spoglądając ku pani Oliver, zauważyłem, że jest już spokojna i że dłonie trzyma na kolanach. Nosila dziecięce tenisówki z płótna, które kiedyś mogło być granatowe. Włosy miała gęste i proste, przycięte z toporną elegancją do ramion; dostrzegłem w nich tyle pasemek w kolorze lwiej grzywy, pszenicy i złotego liścia, że miałbym trudności, chcąc je namalować. Prawdę powiedziawszy, trudno sprawić, by tak zróżnicowane kolorystycznie włosy wyglądały na płótnie w sposób naturalny. Jej twarz też była piękna, z odrobiną makijażu i miękkiej szminki, mogłem także zauważyć cieniutkie linie wokół ust i oczu. Nie uśmiechała się; obserwowała mnie z powagą, jakby zamierzała lada chwila coś powiedzieć. W końcu oznajmiła:

- Przykro mi, że musiał pan czekać. Prawie się rozmyśliłam.

Nie przeprosiła za to, niczego też nie zamierzała wyjaśniać.

- Nie winię pani.

Przez ułamek sekundy zastanawiałem się nad bardziej stosowną odpowiedzią, ale w tej sytuacji wydawała się ona beзуżyteczna.

- Tak. - Było to proste potwierdzenie, nic więcej.

- Dziękuję, że zgodziła się pani na spotkanie. Tak przy okazji, to moja wizytówka.

Wręczyłem jej kartonik, po czym odniosłem wrażenie, że zachowuję się zbyt oficjalnie; spuściła wzrok.

- Napije się pan kawy albo herbaty?

W pierwszej chwili chciałem odmówić, ale potem pomyślałem, że w tym przyjemnym, tak bardzo południowym pokoju grzeczniej będzie przyjąć propozycję.

- Dziękuję. Jeśli zaparzyła pani już kawę, to chętnie się napiję.

Wstała i wyszła - znów dostrzegłem ten zwarty, kontrolowany wdzięk. Kuchnia nie była daleko; słyszałem brzęk naczyń i odgłos wysuwanych szuflad. Rozejrzałem się po salonie. Pośród tych lamp z porcelanowymi podstawami w kwiaty nie było nawet śladu Roberta Olivera, chyba że na półkach stały jego książki. Żadnych obrazów olejnych, żadnych plakatów zapowiadających wystawy nowych pejzażystów. Na ścianach wisiał tylko abstrakcyjny gobelin, chyba jakaś pamiątka rodzinna, i dwie stare akwarele przedstawiające

targowisko we Francji albo Włoszech. Z pewnością nie było tu portretów damy o ciemnych kręconych włosach ani obrazów Roberta Olivera, ani jakiegokolwiek współczesnego artysty. Być może salon nigdy nie stanowił jego królestwa; często bywa domeną żony. Albo może usunęła wszelkie ślady po mężu.

Pani Oliver wróciła z drewnianą tacą, na której stały dwie filiżanki kawy. Porcelana miała delikatny wzór w kształcie jeżyn, dostrzegłem też maleńkie łyżeczki, srebrne pojemniczki ze śmietanką i cukrem; wszystko to, na tle jej dżinsów i spłowiałych tenisówek, wydawało się niezwykle eleganckie. Zauważyłem, że nosi naszyjnik i złote kolczyki z drobnymi niebieskimi kamyczkami - szafirami albo turmalinami. Postawiła tacę na stoliku obok mnie i podała mi kawę, a potem wzięła własną filiżankę i balansując nią z wprawą, powróciła na swoją sofę. Kawa była dobra, rozgrzewała mnie po dłuższej chwili spędzonej na chłodnym ganku. Moja gospodyni przyglądała mi się w milczeniu, a ja zacząłem się zastanawiać, czy żona okaże się równie lakoniczna jak mąż.

- Pani Oliver - zwróciłem się do niej jak najswobodniej - wiem, że to dla pani trudne, i chcę, by zrozumiała pani, że nie zamierzam wymuszać jakichkolwiek zwierzeń. Po prostu pani mąż okazał się dość trudnym pacjentem i, jak powiedziałem przez telefon, jego stan mnie martwi.

- Były mąż - poprawiła, ja zaś wyczułem w jej słowach cień humoru, błysk śmiechu skierowanego przeciwko mnie, może przeciwko sobie, jakby powiedziała głośno: „Ja też potrafię być stanowcza”. Dotąd nie widziałem jeszcze jej uśmiechu; teraz też go nie zobaczyłem.

- Zapewniam, że Robert nie znajduje się w jakiejś krytycznej sytuacji. Od tamtego dnia w muzeum nie próbował nikogo ani niczego zaatakować, nie wyłączając siebie samego. Tak przy okazji, wie pani o tym incydencie z obrazem?

Przytaknęła; dlaczego miałyby nie wiedzieć.

- W rzeczywistości przez większość czasu jest bardzo spokojny, ale zdarzają mu się okresy gniewu i wzburzenia. To znaczy milczącego wzburzenia. Zamierzam zatrzymać go w naszym ośrodku, dopóki się nie upewnię, że nic mu nie grozi i że może normalnie funkcjonować. Tak jak mówiłem przez telefon, moim największym problemem jest to, że Robert nie chce mówić.

Ona też milczała.

- Rozumiem przez to, że... w ogóle nie mówi.

Przypomniałem sobie, że raz się odezwał, by powiedzieć mi, że mogę porozmawiać z kobietą, która siedziała teraz naprzeciwko.

Zanim napiła się kawy, uniosła brwi. Miały ciemniejszy piaskowy odcień niż jej włosy, były leciutko pierzaste, jakby namalowane przez... próbowałem się zorientować, którego portrecistę przywodzą mi na myśl, jakiego pędzla bym w tym wypadku użył. Pod lśniącą falą włosów miała szerokie i kształtne czoło.

- Wie, że pan tu jest? - spytała niskim głosem.

- Nie.

Jej reakcją była zmiana tematu.

- Ani razu się do pana nie odezwał?

- Tylko pierwszego dnia - przyznałem. - Potwierdził to, co zrobił w muzeum, a potem powiedział, że mogę rozmawiać, z kim mi się podoba. - Postanowiłem nie wspominać, przynajmniej chwilowo, że wyraził zgodę na rozmowę z jakąś Mary. Miałem nadzieję, że jego żona powie mi w końcu, o kogo chodzi, i że nie będę musiał o to prosić. - Ale od tamtej pory nie otwiera ust. Rozumie pani oczywiście, że jeśli pragnie uwolnić się od tego, co go trapi, to musi mówić. To warunek. Poza tym tylko w ten sposób będziemy mogli się zorientować, co sprawia, że jego stan się pogarsza.

Popatrzyłem na nią twardo, ale nie pomogła mi nawet skinieniem głowy. Spróbowałem więc umiarkowanie życzliwego podejścia.

- Mogę dalej podawać mu leki, ale niewiele uda nam się zdziałać, jeśli nie będzie mówił, ponieważ nie jestem w stanie dokładnie stwierdzić, czy te środki mu pomagają. Skierowałem go na terapię prowadzoną w naszym ośrodku, zbiorową i indywidualną, ale podczas tych zajęć też się nie odzywał, w końcu przestał na nie chodzić. Nie widzę innego wyjścia, jak tylko samemu z nim porozmawiać, ale żeby tego spróbować, muszę wiedzieć cokolwiek o tym, co go trapi.

- Żeby go sprowokować? - spytała wprost. Jej brwi znów powędrowały w górę.

- Nie. By go zachęcić, pokazać mu, że do pewnego stopnia rozumiem jego życie. Może dzięki temu znów się odezwie.

Miałem wrażenie, że przez chwilę zastanawia się intensywnie; wyprostowała się na sofie, unosząc linię drobnych piersi pod bluzką.

- Jak pan mu jednak wyjaśni, że zna pan fakty z jego życia, o których sam nie mówił?

Było to takie dobre pytanie, takie bezpośrednie i przemyślane, że odstawiłem filiżankę i siedziałem tylko, patrząc na nią; prawdę powiedziawszy, sam się z nim zmagalem. Zabiła mi świeka po pięciu minutach rozmowy.

- Będę z panią szczery - powiedziałem, choć zdawałem sobie sprawę, że brzmi to jak zawodowy żargon. - Nie wiem jeszcze, jak mu to wyjaśnię, kiedy spyta. Ale jeśli to zrobi,

będzie to oznaczało, że zaczął mówić. Choćby nawet okazał przy tym gniew.

Po raz pierwszy zobaczyłem, jak jej wargi się rozchylają, ukazując równe zęby, górne z przodu nieco za duże i dlatego urocze. Potem znów zacisnęła usta.

- Hm. - Zabrzmiało to niemal jak cicha piosenka. - I przy okazji wymieni pan moje imię?

- To zależy od pani - odparłem. - Jeśli pani chce, możemy się zastanowić, jak sobie z tym poradzić.

Podniosła filiżankę.

- Tak - powiedziała. - Może coś ustalimy. Tak przy okazji, proszę mi mówić Kate. - Znów ten nieznaczny ruch warg, spojrzenie kobiety, która kiedyś uśmiechała się często i teraz znów musiała się tego uczyć. - Przede wszystkim staram się nie myśleć o sobie jako o pani Oliver. Prawdę mówiąc, chcę powrócić do panińskiego nazwiska. Już to załatwiam. Zdecydowałam się niedawno.

- Dziękuję... Kate - oznajmiłem niezręcznie, odwracając wzrok, nim ona to zrobiła. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to będę notował, ale wyłącznie na własny użytek.

Wydawało się, że rozważa to wszystko. Potem odstawiła filiżankę, jakby nadszedł czas na interesy. Uświadomiłem sobie wtedy, jak niezwykle czysty i schludny jest ten dom. Miała dwoje dzieci, które w ciągu dnia przebywały w szkole. Ich zabawki musiały leżeć w jakimś innym pokoju. Jej porcelana z jeżynowym wzorem była nieskazitelna i zapewne na co dzień chowała ją gdzieś głęboko. Miałem przed sobą kobietę, która świetnie sobie radziła, a ja nie zauważyłem tego aż do tej pory, pewnie dlatego, że przychodziło jej to bez wysiłku.

Znów położyła dłonie na kolanach.

- W porządku. Proszę mu nie mówić, że rozmawialiśmy, w każdym razie jeszcze nie teraz. Muszę to przemyśleć, ale będę maksymalnie szczerą. Jeśli mam to w ogóle zrobić, nie chcę przynajmniej niczego pominąć.

Teraz ja z kolei byłem zaskoczony i chyba okazałem to mimochodem.

- Wierzę, że pomożesz Robertowi, bez względu na to, co sądzisz w tej chwili.

Opuściła wzrok, a jej twarz, pozbawiona blasku błękitnych oczu, nagle się postarzała. Przypomniałem sobie kolor z zestawu farb, który miałem w dzieciństwie: bladoniebieski. Znów na mnie spojrzała.

- Nie wiem dlaczego, ale też w to wierzę. Widzi pan, pod koniec nie potrafiłam za bardzo pomóc Robertowi. Jeśli mam być szczerą, tak naprawdę tego nie chciałam. To jedyna rzecz, której naprawdę żałuję. Chyba dlatego płaciłam niektóre jego rachunki za pobyt w szpitalu. Jak długo pan tu zostanie?

- To znaczy dzisiaj?

- Nie, w ogóle. Mogę panu poświęcić kilka godzin rano, teraz i jutro. Dzisiaj mamy czas do południa, jutro też. - Mówiła beznamiętnie, jakbyśmy planowali, kiedy wyprowadzimy się z hotelu. - Jeśli będzie trzeba, mogę zarezerwować trzeci dzień, choć to dość trudne. Musiałabym zajmować się jednocześnie robotą, którą zlecono mi w pracy. Już teraz siedzę czasem do późna, żeby mieć więcej wolnego czasu dla dzieciaków, kiedy wracają ze szkoły.

- Nie chcę nadużywać twojej gościnności, i tak już jesteś bardzo życzliwa - powiedziałem. Dopilem kawę dwoma łykami, odstawiłem filiżankę i wyjąłem notatnik. - Sprawdźmy, jak daleko uda się nam dzisiaj zejść.

Po raz pierwszy zauważyłem, że jej twarz nie jest osłonięta jakąkolwiek maską, tylko smutna, z tymi barwami oceanu i plaży. Poczulem, jak ściska mi się serce - a może to odezwało się sumienie? Czy to było sumienie?

Spojrzała wprost na mnie.

- Przypuszczam, że chce się pan czegoś dowiedzieć o tej kobiecie - powiedziała. - Ciemnowłosej... zgadza się?

Zbiło mnie to całkowicie z tropu; zamierzałem powoli wnikać w historię Roberta, pytać Kate po trochu, stopniowo, o wczesne symptomy. Dostrzegłem w jej wzroku, że nie byłaby zadowolona, gdybym zaczął kluczyć.

- Tak.

Pokiwała głową.

- Maluje ją?

- Tak, maluje. Prawie każdego dnia. Ustaliłem, że była też tematem jednej z jego wystaw, i pomyślałem sobie, że może coś o niej wiesz.

- Wiem - tyle, ile chcę wiedzieć. Nigdy mi jednak nie przyszło do głowy, że będę opowiadać o tym komuś obcemu. - Nachyliła się, a ja zobaczyłem, jak jej drobne ciało unosi się nieznacznie i opada. - Przyzwyczylił się pan do słuchania bardzo prywatnych historii?

- Oczywiście - zapewniłem.

Gdyby moje sumienie było w tym momencie żywą osobą, to mógłbym je udusić.

17 października 1877

*Mon cher oncle,*

*Żywię nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, bym tak się do Ciebie zwracała, jako prawdziwa krewna, którą jestem z ducha, jeśli nie z krwi. Papa prosi mnie, bym podziękowała Ci za paczkę, którą przysłałeś w odpowiedzi na mój list. Będziemy czytać tę książkę głośno, korzystając z pomocy Yves'a, kiedy będzie wieczorami w domu - on także jest bardzo zaintrygowany. Ci mniej znani mistrzowie włoscy od dawna budzą jego zainteresowanie, jak mówi. Wybieram się na trzy dni do domu siostry, gdzie będę się bawiła z jej uroczymi dziećmi. Pragnę Ci powiedzieć, że są głównym tematem moich nieporadnych dzieł. Siostra zaś to najwspanialsza przyjaciółka, więc rozumiem doskonale, dlaczego Twój brat jest Ci taki oddany. Papa twierdzi, że z powodu Twojej skromności nikt nie wie, że jesteś najdzielniejszym i najbardziej prawdomównym człowiekiem na ziemi. Ilu braci mówi tak ciepło o sobie nawzajem? Yves obiecuje, że wieczory pod moją nieobecność będą przeznaczone na głośną lekturę, a ja potem będę ją kontynuowała w miejscu, gdzie on przerwie.*

*Z gorącymi podziękowaniami za Twoją serdeczność,*

*Béatrice Vignot*

## 12

### *KATE*

Po raz pierwszy zobaczyłam ją, tę kobietę, na parkingu przy autostradzie, gdzieś w Marylandzie. Powinnam jednak najpierw powiedzieć ci o tym, jak pierwszy raz spotkałam Roberta. To było w Nowym Jorku, w 1984 roku, miałam wtedy dwadzieścia cztery lata. Pracowałam tam od jakichś dwóch miesięcy, było lato, a ja tęskniłam za Michigan. Spodziewałam się wcześniej, że Nowy Jork będzie ekscytujący, i się nie myliłam, ale był także męczący. Mieszkałam na Brooklynie, nie na Manhattanie. Do pracy dojeżdżałam trzema pociągami zamiast iść sobie spacerkiem przez Greenwich Village. Pod koniec dnia, po wielu godzinach pracy w charakterze asystentki w redakcji czasopisma medycznego, byłam zbyt zmordowana, żeby spacerować gdziekolwiek, i za bardzo przejmowałam się wydatkami, by iść na jakiś ciekawy film zagraniczny.

W dniu, w którym spotkałam Roberta, wybrałam się po pracy do Lorda & Taylora, wiedząc doskonale, że jest tam bardzo drogo; chciałam kupić matce prezent na urodziny. Gdy tylko weszłam do środka, uwalniając się od letniej ulicy, poczułam silne uderzenie perfumowanej klimatyzacji. Napotykając pogardliwe spojrzenie manekinów w modnie wciętych kostiumach kąpielowych, odczułam żal, że tego ranka nie ubrałam się lepiej do pracy. Chciałam wyszukać dla matki jakiś kapelusz, coś uroczego, co mogłaby nosić jako młoda kobieta, kiedy po raz pierwszy zobaczyła mojego ojca w filadelfijskim Cricket Clubie. Pewnie nigdy by nie włożyła tego kapelusza w Ann Arbor, ale przypominałby jej młodość, której towarzyszyły białe rękawiczki, poczucie stabilności i miłość córki. Pomyślałam, że dział z nakryciami głowy znajduje się na pierwszym piętrze, obok jedwabnych szalików z podpisami słynnych projektantów, o których prawie nie słyszałam, i odwróconych nóg bez ciała, obciągniętych długimi gładkimi pończochami. Okazało się jednak, że trwa tam jakiś remont, i pani w fartuchu typowym dla działu kosmetycznego skierowała mnie na górę, do tymczasowego stoiska z kapeluszami.

Nie miałam wielkiej ochoty zagłębiać się w sklep - moje własne nogi wydawały mi się nagie, podrapane i brzydkie, ponieważ nie włożyłam tego dnia rajstop. Chodziło jednak o



matkę, więc wjechałam na górę ruchomymi schodami - czemu nieodmiennie towarzyszy lekki oddech ulgi, kiedy docieram bezpiecznie na szczyt - i gdy odszukałam stoisko, z zadowoleniem stwierdziłam, że stoję sama pośród wieszaków przypominających drzewa obsypane bladymi albo jaskrawymi kolorami. Były tam zwykle kapelusze z jedwabnymi kwiatami przyczepionymi do taśmy z rypsu, słomkowe w kolorze granatowym i czarnym, a także niebieskie, z wiśniami i liśćmi. Wszystkie wydawały się nieco krzykliwe, zwłaszcza zgromadzone w jednym miejscu, zaczęłam więc podejrzewać, że nie był to w końcu taki dobry pomysł na prezent urodzinowy; wtedy jednak zobaczyłam piękny kapelusz, który nie pasował tam zupełnie i wydawał się idealny dla mojej matki. Miał szerokie rondo i pokryty był zwartymi zawijasami kremowej organdy, ozdobionej różnego rodzaju niebieskimi kwiatami, niemal prawdziwymi - cykorią, ostróżką, niezapominajkami. Wyglądał jak przystrojony na polu. Zdjęłam go z wieszaka.

Stałam, trzymając kapelusz w dłoniach. Potem bardzo ostrożnie odwróciłam karteczkę z ceną. Kosztował 59,99, więcej, niż wydawałam w tygodniu na jedzenie. Oszczędziwszy trzy razy tyle, mogłabym pojechać autobusem do Ann Harbor i odwiedzić matkę. Gdyby jednak wyjęła go z pudełka, to być może by się uśmiechnęła, a potem wzięłaby go bardzo ostrożnie i wciąż się uśmiechając, przymierzyła przed lustrem w holu. Trzymałam kapelusz za delikatny brzeg ronda, jakby promieniejąc razem z matką. Poczułam, że ściska mnie w dołku, a oczy zaczynają napełniać się łzami, co groziło ruiną tego śladowego makijażu, jaki nosiłam do pracy. Miałam nadzieję, że żadna sprzedawczyni nie wyłoni się zza wieszaków i nie będzie mnie nagabywać. Bałam się, że wystarczy jedno słowo zachęty, a kupię ten kapelusz.

Po kilku minutach odwiesiłam go z powrotem i odwróciłam się w stronę ruchomych schodów, ale podeszłam do niewłaściwych, tych jadących na górę, i musiałam się cofnąć, kiedy pojawili się ludzie. Ruszyłam na ślepo ku schodom w dół, po drugiej stronie, i zjechałam na pierwsze piętro, trzymając się obu poręczy, które podrygiwały pod moimi palcami. Gdy dotarłam na dół, zrobiło mi się niedobrze. Pomyślałam, że nie zauważę ostatniego stopnia i się potknę. Pochyliłam się jeszcze bardziej, by ta fala w żołądku cofnęła się na dobre, i wtedy naprawdę się potknęłam. Jakiś mężczyzna przechodzący tuż obok odwrócił się i prawie mnie chwycił, bardzo szybko, a ja zwymiotowałam mu na buty.

Jeśli więc chodzi o Roberta, najpierw poznałam jego obuwie. Było uszyte z bladobrazowej skóry, ciężkie i nieco niezgrabne, różniące się od tego, które nosili inni ludzie; przypominało coś, co mógłby wkładać jakiś Anglik do pracy na farmie albo przed wędrowką przez wrzosowisko do pubu. Potem się dowiedziałam, że to naprawdę angielskie buty, szyte

ręcznie i bardzo drogie, i że wytrzymują z reguły około sześciu lat. Miał wtedy dwie pary, które zmieniał nieregularnie; wyglądały na rozchodzone i wygodne, nie sprawiając jednocześnie wrażenia sfatygowanych. Poza tym nie przywiązywał wagi do ubrania, tyle że odznaczał się interesującym wyczuciem kolorów. Rzeczy, które nosił, pojawiały się i znikwały, z reguły na pchlich targach, w lumpeksach, szafach przyjaciół. „Ta bluza? To od Jacka - wyjaśniał. - Zostawił ją zeszłego wieczoru w barze. Nie zależy mu na niej”. Potem ta bluza towarzyszyła nam, dopóki nie zniszczyła się na dobre i nie zamieniła w szmatę do wycierania podłóg naszego domu w Greenhill albo pędzli - byliśmy małżeństwem dostatecznie długo, by ubrania zamieniały się w strzępy. Robert nie przejmował się tym w najmniejszym stopniu, ponieważ Jack miał jego rękawiczki i szalik, pozostawione na sofie, kiedy to do drugiej nad ranem klócili się o pastele. Zresztą na ogół rzeczy Roberta miały na sobie tyle farby, że nie mogłyby zrobić wrażenia na nikim z wyjątkiem innego artysty. Nigdy o to nie dbał, co się często zdarza w przypadku niektórych malarzy.

Buty jednak bardzo sobie cenił. Oszczędzał z myślą o nich, dbał o nie, impregnował specjalnymi środkami, starał się nie pobrudzić ich farbą, ustawiał w równej linii w nogach naszego łóżka obok sterty rzuconych byle jak ubrań. Jeszcze jedną kosztowną rzeczą w jego życiu - oprócz farb - była woda po goleniu, i właśnie po to wpadł do Lorda & Taylora, jak później wyjaśnił. Kiedy zwymiotowałam mu na buty, bezwiednie zrobił obrażoną minę w rodzaju: „Boże, musiałaś to zrobić?” Wydawało mi się wtedy, że jest zdegustowany samymi wymiotami, a nie tym, gdzie wylądowały.

Wyciągnął z kieszeni coś białego i zaczął je wycierać, a ja pomyślałam, że ignoruje moje przeprosiny. W następnej sekundzie jednak ujął mnie za ramię. Był bardzo wysoki. „Szybko” - powiedział; jego głos też był szybki, brzmiał cicho i kojąco w moich uszach. Zostałam przeprowadzona pospiesznie między półkami pełnymi towarów, obok stoiska z perfumami, które wywołały we mnie kolejną falę mdłości, potem obok manekinów w sportowych strojach i z rakietami tenisowymi w rękach, w kurtkach z kołnierzami podniesionymi dziarsko do samych uszu. Kuliłam się, próbowałam uciec. Każdy nowy widok, wszystkie te towary do kupienia, wszystkie te rzeczy, na które nie było mnie stać i którymi nie mogła cieszyć się moja matka, przyprawiły mnie uparcie o mdłości. Ale ten nieznajomy, który trzymał mnie za ramię, był silny. Miał na sobie drelichową koszulę z krótkimi rękawami i poplamione dzinsy, a gdy próbowałam obrócić pochyloną głowę, dostrzegłam przelotnie kogoś, kto sprawiał wrażenie nieokrzesanego i chropowatego, z kręconymi włosami i nieogoloną brodą. Roztaczał woń siemienia lnianego, którą rozpoznawałam nieznacznie pomimo mdłości i którą w innych okolicznościach mogłabym uznać za

przyjemną. Zastanawiałam się, czy wykorzystuje moją nagłą słabość, żeby mnie uprowadzić, zabrać mi portfel - albo gorzej. To był w końcu Nowy Jork lat osiemdziesiątych, a ja nie miałam jeszcze w zanadrzu nieodzownej opowieści o napastowaniu, jaką mogłabym uraczyć słuchaczy w Michigan.

Czułam się jednak zbyt kiepsko, żeby pytać go o zamiary, i po minucie wyszliśmy raptownie na świeże powietrze czy też względnie świeże powietrze zatłoczonego chodnika, gdzie próbował mnie podtrzymać.

- Nic ci nie jest - zapewniał. - Wszystko będzie w porządku.

Zaledwie to powiedział, odwróciłam się i znów zwymiotowałam, tym razem starając się ominąć jego buty, w narożnik jakiegoś wejścia, także z dala od obuwia przechodzących obok ludzi. Zaczęłam płakać. Puścił mnie, kiedy rzygałam, ale głaskał po plecach dużą, zdawało się, dłonią - byłam tym nieco przerażona, jakby obcy mężczyzna dobierał się do mnie w wagonie metra, ale czułam się zbyt osłabiona, by stawiać opór - i kiedy wreszcie skończyłam, podał mi świeżą chusteczkę papierową, którą wyjął z kieszeni.

- Okay, okay - mruczał.

W końcu się wyprostowałam i oparłam o ścianę budynku.

- Czujesz się tak, jakbyś miała zemdleć? - spytał.

Widziałam teraz jego twarz. Miała w sobie coś sympatycznego i rzeczowego, bezpośredniego, czujnego. Dostrzegłam duże zielonkawopiwne oczy.

- Jesteś w ciąży? - zainteresował się nagle.

- W ciąży? - sapnęłam. Opierałam się dłonią o ścianę Lorda & Taylora. Wydawała się wyjątkowo solidna i mocna, jak forteca. - Co?

- Pytam, bo moja kuzynka jest akurat w ciąży i w zeszłym tygodniu też zwymiotowała w sklepie.

Wsunął dłonie w tylne kieszenie spodni, jakbyśmy ucinali sobie po przyjęciu pogawędkę na parking.

- Co? - spytałam głupio. - Nie, oczywiście, że nie jestem w ciąży.

Potem zrobiło mi się gorąco i zarumieniłam się z zakłopotania, ponieważ przyszło mi do głowy, że może sobie pomyśleć, iż ujawniam coś ze swego życia erotycznego, które, prawdę powiedziawszy, w tym momencie nie istniało. W college'u chodziłam z trzema facetami, miałam też krótkotrwały związek, który rozgrywał się w posępnej atmosferze studiów podyplomowych w Ann Arbor, ale Nowy Jork, przynajmniej dotąd, stanowił pod tym względem całkowite niepowodzenie - byłam zbyt zajęta, zbyt zmęczona, zbyt nieśmiała, żeby oglądać się za chłopakami. Wyjaśniłam pospiesznie: „Poczułam się ni stąd, ni zowąd

dziwnie”. Kiedy przypomniałam sobie pierwszą falę wymiotów, która zachlapała mu buty - nie mogłam się zmusić, by na nie spojrzeć - znowu ogarnęła mnie słabość; oparłam się głową i obiema dłońmi o ścianę.

- Rany, naprawdę z tobą kiepsko - zauważył. - Chcesz, żebym ci przyniósł szklanke wody? Zaprowadził gdzieś, gdzie mogłabyś usiąść?

- Nie, nie - skłamałam, na wszelki wypadek podnosząc rękę do ust, jakby miało mi to w czymkolwiek pomóc. - Muszę wrócić do domu. Jak najszybciej.

- Owszem, byłoby lepiej, gdybyś się położyła z miską pod ręką - przyznał. - Gdzie mieszkasz?

- Nie podaję adresu nieznanym - oświadczyłam oficjalnym tonem.

- Och, daj spokój. - Uśmiechnął się szeroko. Miał piękne zęby, brzydki nos, niezwykle ciepłe oczy. Włosy sterczały mu na wszystkie strony niczym poskręcane gałęzie. - Wyglądam na kogoś, kto mógłby ugryźć? Jaką jeździsz linią?

Obok nas przepychały się tłumy; ludzie wchodzili do sklepu albo sunęli chodnikiem, zmierzając do domu po całym dniu pracy.

- Jadę... na... Brooklyn - odparłam słabo. - Jeśli zechcesz mnie kawałek odprowadzić, to jakoś sobie poradzę. Za chwilę poczuję się lepiej.

Zrobiłam chwiejny krok i zakryłam sobie usta. Zastanawiałam się potem, dlaczego nie chciałam wracać taksówką. Zdecydował chyba silny nawyk oszczędności, nawet w takiej sytuacji.

- Akurat - powiedział ironicznie. - Spróbuj nie zwymiotować mi na buty po raz drugi, to odprowadzę cię na stację. Potem mi powiesz, czy mam kogoś zawiadomić.

Otoczył mnie ramieniem, pomagając się wyprostować, po czym ruszyliśmy jak niezgrabna para w stronę wejścia do metra na końcu ulicy.

Kiedy tam dotarliśmy, przyłgnęłam do poręczy i próbowałam wyciągnąć do niego rękę, zagradzając ludziom drogę.

- Okay, dzięki. Zaraz złapię swój pociąg.

- Chodźmy. - Ruszył przodem, osłaniając mnie przed strumieniem pasażerów, tak że widziałam tylko plecy jego drelichowej koszuli. - Ostrożnie, schody.

Jedną rękę oparłam na ramieniu nieznanomego, drugą trzymałam się poręczy.

- Mam zadzwonić? Do kogoś z rodziny? Współlokatora?

Potrząsnęłam głową, dwa albo trzy razy, ale nie byłam w stanie mówić. Znowu zbierało mi się na wymioty; gdybym uległa, moje upokorzenie byłoby całkowite.

- W porządku. - Uśmiechał się ponownie z przyjaznym zniecierpliwieniem. - Wsiadaj.

Weszliśmy do wagonu razem, zagłębiając się w tę straszliwą masę ludzi. Musieliśmy stać, a on trzymał mnie od tyłu, nie przywierając do moich pleców - co przyjąłem z ulgą - tylko podpierając mocno wielką dłoń, z drugą zaciśniętą na stalowym uchwycie u góry. Kołysał się za nas oboje, kiedy pociąg pokonywał zakręty. Na pierwszym przystanku ktoś wysiadł, więc osunęłam się na krzeselko. Pomyślałam, że gdybym wymiotowała w tej ciasnej przestrzeni, gdzie zawartość mojego żołądka dosięgłaby co najmniej sześciorga ludzi, to zdecydowałabym się na samobójstwo. Albo wyjechałabym do Michigan, ponieważ nie nadawałam się do życia w tym mieście - byłam słabsza od pozostałych ośmiu milionów, które tu egzystowały; rzygałam publicznie. A największym plusem - gdybym umarła lub wyjechała - byłoby to, że nigdy więcej nie ujrzałabym tego wysokiego młodego mężczyzny w drelichowej koszuli i butach z ciemną plamą.

# 13

## *KATE*

Kiedy dotarliśmy do mojego przystanku, nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem, ale ten szarmancki nieznajomy mężczyzna wyprowadził mnie z wagonu i pomógł się wydostać na powierzchnię, zanim znów zwymiotowałam - tym razem do kratki ściekowej przy krawężniku. Uświadomiłam sobie, że coraz staranniej wybieram cel i skuteczniej panuję nad sobą.

- Tędy? - spytał, kiedy skończyłam rzygać.

Wskazałam swój blok, który na szczęście był bardzo blisko. Podejrzewam, że zrobiłabym to nawet wtedy, gdybym naprawdę wierzyła, że po wejściu na klatkę schodową ma zamiar poderżnąć mi gardło; tak samo pozwoliłam mu otworzyć drzwi wejściowe mosiężnym kluczem, który wyjął mi z drżącej dłoni, i wprowadzić się do windy.

- Już w porządku - wyszeptałam.

- Które piętro? Numer mieszkania? - spytał.

Kiedy w końcu znaleźliśmy się w długim, odrobinę śmierdzącym korytarzu z wykładziną, odszukał drugi klucz przy moim breloku i otworzył drzwi do mieszkania.

- Halo?! - zawołał. - Chyba nie ma nikogo.

Nie odezwałam się - nie miałam siły czy ochoty powiedzieć mu, że mieszkam sama. I tak by się zorientował natychmiast, ponieważ moje mieszkanie składało się z jednego pokoju i maleńkiego aneksu kuchennego, zagraconego do połowy szafkami. Łóżko pełniło jednocześnie rolę sofy, na narzucie żałośnie się piętrzyły stare poduszki z dzieciństwa, a na komodzie stały naczynia, których nie zdołałam upchnąć w kuchni. Podłogę zdobił orientalny chodniczek, prezent od ciotki z Ohio, a biurko zasłane było rachunkami i szkicami, z filiżanką do kawy jako przyciskiem. Rozejrzałam się, jakbym nigdy nie widziała własnego pokoju, uderzona nagle jego obskurnością. Za wszelką cenę chciałam mieć własny kąt i by go zdobyć, przystałam na paskudny budynek i równie paskudnego właściciela. Rury nad zlewem były odsłonięte, obłaziła z nich farba - ronily bezustannie lzy zimnej wody, którą musiałam zbierać, wpychając ręcznik między stal i ścianę.

Nieznajomy pomógł mi wejść do środka i zaprowadził do sofy.

- Chcesz się napić wody?

- Nie, dziękuję - mruknęłam, przyglądając mu się uważnie.

Wydawało się dość niesamowite, że ktoś wprost z ulic Nowego Jorku przekroczył próg mojego mieszkania. Jediną osobą, która kiedykolwiek tu zajrzała, był właściciel; wpadł pewnego dnia na dwie minuty, żeby sprawdzić, dlaczego w piecyku nie pali się światło, i pokazał mi, jak sobie z tym poradzić - stukając w drzwiczki stopą. Nie wiedziałam nawet, jak mój wybawca się nazywa, a przecież stał pośrodku mojego mieszkania i rozglądał się wokół, jakby szukając wzrokiem czegoś, co powstrzymałoby we mnie kolejną falę wymiotów. Staralam się nie oddychać zbyt głęboko.

- Mógłbyś mi przynieść z kuchni miskę?

Przyniósł, o co prosiłam, a także wilgotny ręcznik papierowy, żebym otarła sobie twarz; odchyliłam się nieco na sofie. Opierał dłonie na biodrach; dostrzegłam, że spojrzenie jego jasnych oczu przesuwa się po mojej galerii - była tam czarno-biała fotografia, którą zrobiłam w szkole średniej, przedstawiająca moich rodziców pograżonych w rozmowie na frontowym ganku, kilka rysunków kartonu po mleku wykonanych niedawno, plakat z malowidłem ściennym Diega Rivery - trzech mężczyźni przesuwający kamienny blok, z czerwonymi ciałami nabrzmiałymi z wysiłku. Przyglądał mu się przez chwilę. Poczulałam ukłucie niepewności. Ignorował moje rysunki? Niektórzy ludzie powiedzieliby w takiej sytuacji: „Och, to pani dzieło?” Ale on tylko stał i patrzył na meksykańskich robotników Rivery, na skrzywione twarze i azteckie ciała. Potem odwrócił się do mnie.

- No i co, wszystko w porządku?

- Tak - odparłam niemal szeptem, ale widok tego człowieka stojącego na środku mojego pokoju, nieznajomego w workowatych spodniach, z kręconymi kasztanowymi włosami, wywołał u mnie nową falę mdłości - a może wcale nie chodziło o niego - zerwałam się więc z łóżka i rzuciłam w stronę łazienki. Tym razem zwymiotowałam do muszli, przy starannie podniesionej desce. Natchnęło mnie to poczuciem swojskości i bezpieczeństwa. Wreszcie rzygałam we właściwym miejscu.

Podszedł do drzwi łazienki; słyszałam, że się porusza, lecz nie mogłam podnieść wzroku.

- Chcesz, żebym wezwał karetkę? Uważasz, że to coś poważnego? Może to zatrucie pokarmowe. Albo wezwiemy taksówkę i pojedziemy prosto do szpitala.

- Nie mam ubezpieczenia - odparłam.

- Ja też nie.

Usłyszałam, jak szura swoimi ciężkimi butami pod drzwiami łazienki.

- Moja matka o tym nie wie - dodałam, pragnąc z jakiegoś powodu powiedzieć mu coś o sobie.

Roześmiał się, po raz pierwszy usłyszałam śmiech Roberta. Spoglądając z ukosa, zobaczyłam go - odsłonił całkowicie zęby, kąciki ust miał szeroko rozchylone. Twarz mu promieniała.

- A myślisz, że moja wie?

- Byłaby zaniepokojona?

Znalazłam ręcznik i otarłam twarz, potem pospiesznie przepłukałam usta płynem miętowym.

- Zapewne.

Niemal usłyszałam, jak wzrusza ramionami. Kiedy wstałam z klęczek, zaprowadził mnie bez słowa z powrotem do łóżka, jakbyśmy ćwiczyli to od lat.

- Chcesz, żebym został jeszcze przez chwilę?

Domyśliłam się, że ma inne sprawy na głowie.

- Och, nie... naprawdę czuję się lepiej. W porządku. To chyba był ostatni atak wymiotów.

- Nie liczyłem - oznajmił. - Ale, jak mi się zdaje, rzeczywiście nie masz już czym wymiotować.

- Mam nadzieję, że niczym cię nie zaraziłam.

- Nigdy nie choruję - wyjaśnił, a ja mu uwierzyłam. - No cóż, będę się zbierał, skoro wszystko okay, ale masz tu moje nazwisko i numer telefonu.

Zapisał to na krawędzi jakiejś kartki leżącej na biurku, nie pytając nawet, czy nie potrzebuję jej do czegoś innego, a ja powiedziałam mu, jak się nazywam, choć nie za bardzo mi to wyszło.

- Zadzwoń do mnie jutro i powiedz, jak się czujesz. Będę miał pewność, że wszystko jest naprawdę w porządku.

Przytaknęłam, bliska łez. Byłam tak nieprawdopodobnie daleko od domu, który stanowiła jedna kobieta wnosząca samotnie śmieci, w odległości biletu autobusowego wartości stu osiemdziesięciu dolarów.

- No dobrze - oznajmił na koniec. - Do zobaczenia. Napij się czegoś.

Przytaknęłam, a on się uśmiechnął i zniknął. Byłam zaskoczona brakiem wahania u tego nieznanego mężczyzny - zjawił się, by mi pomóc, i wyszedł, nie robiąc ceregieli. Wstałam i oparłam się o łóżko, żeby rzucić okiem na jego numer. Pismo było w jego stylu,



odrobinę toporne, ale pewne i mocno nakreślone.

Następnego ranka czułam się prawie dobrze, więc zadzwoniłam do niego. Zrobiłam to, jak sobie wmawiałam, żeby mu podziękować.

22 października 1877

*Mon cher oncle,*

*Nie dorównuję Ci w korespondencyjnej gorliwości, ale spieszę podziękować za pełen troski list, który nadszedł dzisiejszego ranka i którym podzieliłam się z Papą. Prosił, by Ci napisać, iż brat powinien zjawiać się częściej, by można go było traktować jak członka rodziny i zasiadać z nim do obiadu; oto dzisiejsza przygana pod Twoim adresem, choć łagodna i pełna sympatii, ja zaś przekazuję Ci ją w takim samym duchu, z gorącą prośbą, byś wziął ją sobie do serca także ze względu na mnie. Trochę się tu nudzimy podczas tego deszczu. Rysunek bardzo mi się podobał - mały chłopiec w kacie jest uroczy - tak doskonale potrafisz uchwycić życie, że możemy mieć jedynie nadzieję, iż nam też się to kiedyś uda... Wróciłam z pobytu u siostry z kilkoma własnymi rysunkami. Moja najstarsza siostrzenica ma teraz siedem lat i jestem pewna, że dostrzeżłbyś w niej niezwykle wdzięczną modelkę.*

*Serdecznie pozdrawiam,  
Béatrice de Clerval Vignot*

# 14

## *KATE*

Robert i ja mieszkaliśmy razem w Nowym Jorku prawie przez pięć lat. Wciąż nie wiem, gdzie się podział ten czas. Kiedyś czytałam, że wedle dużego prawdopodobieństwa wszystko, co się zdarza, jest przechowywane w jakimś miejscu we wszechświecie, a czyjaś osobista historia - wszelka historia, jak sądzę - tkwi jak poskładane kartki papieru w kieszeniach i czarnych dziurach czasu i przestrzeni. Mam nadzieję, że te pięć lat gdzieś tam przetrwało. Nie wiem, czy chciałabym, żeby ocalała większość chwil, które spędziliśmy ze sobą, ponieważ niektóre były okropne, zwłaszcza pod koniec, ale te lata w Nowym Jorku - owszem. Minęły jak błysk światła, myślałam sobie później, lecz kiedy żyliśmy razem w tym mieście, żywiłam przekonanie, że nic się nie zmieni, że wszystko będzie trwało do momentu, aż pojawi się coś w rodzaju dorosłego życia. Tak było, jeszcze nim zapragnęłam mieć dzieci lub doszłam do wniosku, że byłoby dobrze, gdyby Robert znalazł sobie stałą pracę. Każdy dzień wydawał się właściwy i ekscytujący - czy też potencjalnie ekscytujący.

Te pięć lat zawdzięczam temu, że nazajutrz po ataku wymiotów podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Roberta, a potem przeciągałam rozmowę dostatecznie długo, by mógł powiedzieć, że jego przyjaciele wybierają się następnego wieczoru na spektakl w swojej szkole sztuk pięknych i że mogę z nim iść, jeśli mam ochotę. Nie było to właściwie zaproszenie, ale coś w tym rodzaju, a także swoista oferta, która, jak sobie wyobrażałam zaraz po przyjeździe z Michigan, wypełni moje wieczory w Nowym Jorku. Zgodziłam się więc. Oczywiście sztuka była całkowicie niezrozumiała: studenci czytali fragmenty scenopisu, który pod koniec przedstawienia podarli na kawałki, a potem ozdobili twarze ludzi w pierwszym rzędzie białą i zieloną farbą, czego ci w ostatnich rzędach nie mogli widzieć dokładnie. Sama tam siedziałam, wpatrzona w tył głowy Roberta, który zajmował miejsce bliżej sceny - najwidoczniej zapomniał załatwić mi fotel obok siebie.

Potem przyjaciele Roberta odpłynęli na jakieś przyjęcie, ale on mnie odszukał i poszliśmy do baru w pobliżu teatru, gdzie siedzieliśmy na kręconych stołkach. Nigdy wcześniej nie byłam w nowojorskim barze. Pamiętam irlandzkiego skrzyпка grającego przed

mikrofonem w kącie. Rozmawialiśmy o artystach, których dzieła nam się podobały, i zastanawialiśmy się, dlaczego. Najpierw wspomniałam o Matisse. Wciąż Kocham jego portrety kobiet, bo są takie dziwaczne, i już dawno przestałam się tłumaczyć z tego, że je lubię, a także jego martwe natury, pełne zmiennych kolorów i owoców. Robert jednak mówił o wielu artystach współczesnych, o których nigdy nie słyszałam. Był na ostatnim roku akademii sztuk pięknych, a w tamtych czasach ludzie malowali sofy, owijali budynki i konceptualizowali dosłownie wszystko. Przyszło mi do głowy, że to, co opisuje, brzmi czasem interesująco, a czasem niedojrzale, ale nie chciałam zdradzać swojej ignorancji, więc słuchałam jego litanii dzieł, ruchów, działań artystycznych, punktów widzenia, całkowicie mi obcych, które spotykały się z gorącym sprzeciwem w pracowniach, gdzie malował i gdzie jego dzieła były analizowane.

Obserwowałam twarz Roberta, kiedy mówił. Oscylowała między brzydota a uroda; czoło niemal wystawało mu nad oczami, nos znamionował agresję, jeden kosmyk kręconych włosów opadał niczym korkociąg na skroń. Pomyślałam, że wygląda jak ptak drapieżny, ale ilekroć przychodziło mi to do głowy, uśmiechał się w tak radosny, dziecięcy sposób, że w żaden sposób nie mogłam pojąć, skąd wzięło się u mnie to wcześniejsze skojarzenie. Jego ewidentna nieświadomość samego siebie była hipnotyzująca. Patrzyłam, jak pociera się palcem wskazującym koło nosa, potem przesuwa po jego czubku wyprostowanymi palcami, jakby go swędziało, wreszcie drapie się po głowie, jakby ktoś czochrał psa, odruchowo, z czułością - albo jak wielki pies sam mógłby się czochrać. Jego oczy przybierały czasem barwę mojej szklanki z ciemnym irlandzkim piwem, a czasem stawały się oliwkowozielone; miał też niepokojący zwyczaj przykuwania mnie ich spojrzeniem, jakby był pewien, że go cały czas słucham, ale chciał poznać moją reakcję na ostatnie słowa czy argument, i to natychmiast. Jego skóra odznaczała się ciepłym, miękkim kolorem; można było odnieść wrażenie, że przyciąga słońce nawet na listopadowym Manhattanie.

Uczęszczał do bardzo dobrej szkoły artystycznej, w każdym razie do takiej, o której słyszałam już dawno temu. Jak się tam dostał? - zastanawiałam się. Po college'u objął się, jak wyjaśnił, przez niemal cztery lata, nim zdecydował się na powrót do nauki, a teraz, kiedy prawie ją ukończył, wciąż zadawał sobie pytanie, czy nie była to strata czasu. Moje myśli oddaliły się nieco od współczesnych malarzy, których dzieła omawiał, głównie monologując. Przylapałam się na tym, że wyobrażam go sobie bez koszuli i że widzę trochę więcej tej ciepłej skóry. A potem zaczął mówić o mnie, ni stąd, ni zowąd, pytając, czego oczekuję po swojej sztuce. Nie przypuszczałam, że zauważył moje szkice, kiedy przyprowadził mnie do domu, żebyśmy mogła zwymiotować bezpiecznie we własnej łazience. Powiedziałam mu o tym

teraz, z uśmiechem - świadoma, że nadszedł czas, by się do niego uśmiechnąć, i zadowolona, że włożyłam jedyną bluzkę, która pasowała do koloru moich oczu. Uśmiechałam się, jakbym wątpiła w jego słowa; nigdy nie przypuszczałam, że o to spyta.

On jednak wydawał się nieporuszony moją próbą czarującej skromności.

- Oczywiście, że je zauważyłem - oświadczył po prostu. - Jesteś niezła. Co zamierzasz z tym zrobić?

Siedziałam wpatrzona w niego.

- Sama chciałabym wiedzieć - odparłam. - Przyjechałam do Nowego Jorku, żeby się zorientować. Dusiałam się w Michigan także dlatego, że nie znałam tak naprawdę innych artystów.

Nie spytał nawet - jak sobie teraz uświadomiłam - skąd pochodzę; nie powiedział mi też nic o własnym pochodzeniu.

- Czy prawdziwy artysta nie powinien umieć pracować gdziekolwiek? Musisz znać innych artystów, by tworzyć udane dzieła?

Zabolało mnie to i obudziło rzadkie poczucie dumy.

- Najwidoczniej nie, jeśli twoja ocena mojej pracy jest trafna.

Po raz pierwszy wydało mi się, że widzi mnie całą, że się odsłoniłam. Obrócił się w moją stronę i oparł ten wielki nietypowy but - ten, na który zwymiotowałam, sądząc po płowiejącej plamie - na podnóżku mojego stołka. Jego oczy okolone były zmarszczkami, sprawiały wrażenie starych w porównaniu z tą młodą twarzą; skrzywił szerokie usta w pełnym niezadowolenia uśmiechu.

- Rozzłościłem cię - oznajmił z niejakim zaskoczeniem.

Wyprostowałam się i łyknęłam guinnessa.

- No cóż, owszem. Pracowałam ciężko na własny rachunek, nawet kiedy nie było przy mnie studentów uczelni artystycznej, z którymi mogłabym pogadać w jakimś luksusowym barze.

Zastanawiałam się, co we mnie wstąpiło. Byłam zwykle zbyt nieśmiała, by odszczekiwać się ludziom w ten sposób. Może wszystko przez piwo albo jego długi monolog czy poczucie, że mój niegroźny wybuch gniewu, w przeciwieństwie do grzecznego słuchania, zwrócił jego uwagę. Miałam wrażenie, że przygląda mi się teraz badawczo - dostrzega moje włosy, piegi, piersi, fakt, że sięgam mu ledwie do ramienia. Uśmiechał się do mnie z bliska, a ciepło jego oczu, z tymi przedwczesnymi zmarszczkami, przenikało do mojego krwiobiegu. Pomyślałam: ta chwila albo żadna. Musiałam zagarnąć dla siebie całą jego uwagę, bo inaczej utraciłabym ją na zawsze. Powędrowałyby z powrotem w to rozległe miasto i nigdy by się już

nie odezwał - on, który mógł wybierać spośród niezliczonych koleżanek ze studiów. Jego mocne uda, długie nogi w ekscentrycznych spodniach - tego wieczoru sztruks starty na kolanach, bez wątpienia zakup dokonany w sklepie z rzeczami używanymi - pozwalały mu balansować w moją stronę na stołku barowym, ale w każdej chwili mógł stracić zainteresowanie i znów skupić się na szklance z piwem.

Obróciłam się ku niemu i spojrzałam mu w oczy.

- Chodzi mi o to... jak śmiesz wchodzić do mojego mieszkania i analizować moje prace, nie odzywając się nawet słowem? Mogłeś przynajmniej powiedzieć, że ci się nie podobają.

Twarz mu spoważniała, spojrzał na mnie badawczo. Teraz, kiedy widziałam go z bliska, a on siedział do mnie przodem, dostrzegałam zmarszczki także na jego czole.

- Przepraszam.

Poczułam się, jakbym uderzyła psa - ściągnął brwi, nie bardzo chyba rozumiejąc powody mojej irytacji. Trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka minut wcześniej rozwodził się nad współczesnymi malarzami.

- Nie mogłam pozwolić sobie na luksus studiowania w szkole sztuk pięknych - dodałam. - Pracuję dziesięć godzin dziennie w redakcji, gdzie można zasnąć z nudów. Potem idę do domu, gdzie rysuję albo maluję.

Nie była to do końca prawda, ponieważ pracowałam tylko osiem godzin i często wracałam do domu wyczerpana, a potem oglądałam wiadomości albo sitcomy na małym telewizorku, który przed laty zostawiła mi w spadku moja cioteczna babka, albo dzwoniłam do kogoś, albo leżałam na sofie ogarnięta stuporem, albo czytałam.

- A potem wstaję i idę następnego dnia do roboty. W weekendy udaje mi się czasem zajrzeć do jakiegoś muzeum czy malować w parku; kiedy pogoda jest kiepska, rysuję w domu. Olśniewające. Można to uznać za życie artysty?

W to ostatnie pytanie włożyłam więcej sarkazmu, niż zamierzałam, co mnie wystraszyło. Był pierwszym od wielu miesięcy chłopakiem, z którym umówiłam się na randkę, jeśli w ogóle mogę tak to nazwać, i jeszcze go ochrzaniałam.

- Przepraszam - powtórzył. - I muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem.

Zerknął na swoje dłonie oparte o krawędź baru i na moje, obejmujące butelkę guinnessa. Potem siedzieliśmy, patrząc na siebie, coraz dłużej - wzrokowa rywalizacja. Jego oczy pod gęstymi brwiami były... może to ich barwa przykuwała moją uwagę. Miałam wrażenie, że nigdy wcześniej nie widziałam czyichś oczu. Zdawało mi się, że gdybym mogła trafnie określić ich kolor albo odcień plamek w głębi, to zdołałabym odwrócić od nich wzrok.

W końcu się poruszył.

- Co robimy?

- No cóż - odparłam, a moja śmiałość uruchomiła dzwonek alarmowy, ponieważ w głębi serca wiedziałam - wiedziałam - że to nie ja, że to wszystko jest inspirowane przez obecność Roberta i sposób, w jaki na mnie patrzy. - No cóż, myślę, że powinieneś zaprosić mnie do siebie i pokazać mi swoją kolekcję znaczków.

Zaczął się śmiać. Oczy mu się rozjaśniły, a jego szczodre, brzydkie i zmysłowe usta wezbrały rozbawieniem. Klepnął się w kolano.

- To właśnie miałem na myśli. Pójdiesz do mnie i obejrzysz moją kolekcję znaczków?

29 października 1877

*Mon cher oncle,*

*Dziś rano otrzymaliśmy Twój list i z radością będziemy Cię gościć na kolacji. Papa ma nadzieję, że zjawisz się wcześnie i że przyniesiesz mu coś do czytania.*

*Pisząc pośpiesznie, Twoja bratanica*

*Béatrice de Clerval*



# 15

## *KATE*

Robert mieszkał w West Village z dwoma innymi studentami sztuk pięknych, którzy byli akurat nieobecni, kiedy się tam zjawiliśmy. Drzwi do sypialni stały otworem, podłoga była zasłana ubraniami i książkami jak w akademiku. W niechlujnym salonie wisiał plakat z obrazem Pollocka, na szafce w kuchni stała butelka brandy, a w zlewie leżały brudne naczynia. Robert zaprowadził mnie do swojego pokoju, gdzie też panował potworny bałagan. Łóżko było oczywiście niepościelone, po podłodze wały się stopy brudnej bielizny, ale na oparciu krzesła przy biurku wisiały dwa starannie złożone swetry. Zauważyłam też mnóstwo książek - zrobił na mnie wrażenie fakt, że niektóre były po francusku, dzieła z zakresu sztuki i zapewne powieści, i gdy spytałam o to Roberta, powiedział, że jego matka przyjechała z ojcem po wojnie do Stanów, że była Francuzką i że dorastał jako dwujęzyczny.

Najbardziej jednak uderzające było to, że każdą dosłownie powierzchnię zakrywały rysunki, akwarele, pocztówki z reprodukcjami obrazów. Na ścianach wisiały, jak się domyślałam, rysunki Roberta - ołówkiem albo węglem; czasem przedstawiały ten sam model, raz za razem, studia rąk, nóg, nosów, dłoni, mnóstwo dłoni, wszędzie. Wcześniej zakładałam, że jego pokój będzie świątynią nowoczesnego malarstwa, pełną sześcianów, linii prostych i plakatów z Mondrianem, okazało się jednak, że nie - była to normalna pracownia. Robert stał i obserwował mnie. Wiedziałam dostatecznie dużo, by rozumieć, że jego rysunki są zdumiewające, technicznie pewne, ale też pełne życia, tajemnicy i ruchu.

- Próbuje się nauczyć ciała - oznajmił trzeźwo. - Wciąż bardzo trudno jest mi rysować. Nie obchodzi mnie nic innego.

- Jesteś tradycjonalistą - zauważyłam zaskoczona.

- Tak - odparł krótko. - Na dobrą sprawę niespecjalnie interesują mnie te wszystkie koncepcje. Wierz mi, mam dość tego gówna na zajęciach.

- Pomyślałam... kiedy mówiłeś o tych wszystkich współczesnych artystach w barze... że ich podziwiasz.

Popatrzył na mnie dziwnie.

- Nie chciałem, żebyś tak to odebrała.

Staliśmy, patrząc na siebie. Mieszkanie pulsowało ciszą, pozasezonowym wrażeniem opuszczonej przestrzeni w samym sercu piątkowej miejskiej nocy. Moglibyśmy równie dobrze być sami na Marsie. Miało to w sobie coś z tajemniczego uczucia, jakbyśmy bawili się w chowanego i nikt nie wiedział, gdzie jesteście. Pomyślałam przez chwilę o swojej matce, od dawna pogrążonej we śnie w tym dużym łóżku, w którym niegdyś leżał także mój ojciec, o kocie w jej nogach, o drzwiach wejściowych, przezornie zamkniętych i dwukrotnie sprawdzonych, o zegarze, który tykał w kuchni na dole.

Odwróciłam się do Roberta Olivera.

- Co wobec tego podziwiasz?

- Szczerze? - Uniósł swoje gęste brwi. - Ciężką pracę.

- Rysujesz jak anioł - wyrwało mi się; powiedziałam to tak, jak mogłaby powiedzieć moja matka, i mówiłam szczerze.

Wydawał się niespodziewanie zadowolony, zaskoczony moimi słowami.

- Nierzadko słyszy się taką ocenę. Właściwie nigdy.

- Nic, co mi dotychczas powiedziałeś, nie skłania mnie do studiowania w szkole sztuk pięknych - zauważyłam. Nie poprosił mnie, żebym usiadła, więc znów zaczęłam krążyć po pokoju, oglądając rysunki. - Przypuszczam, że też malujesz?

- Oczywiście, ale w szkole. Malowanie to najważniejsza rzecz, jeśli o mnie chodzi. - Wziął z biurka dwie płachty papieru. - To są studia modelu, nad którym pracujemy na zajęciach, duży olej na płótnie. Musiałem się postarać, żeby dostać się na te zajęcia. Ten facet, model, stanowi dla mnie spore wyzwanie. To stary człowiek, szczerze mówiąc - niewiarygodny, wysoki, z siwymi włosami, ma nędzne mięśnie, widać, jak wiotczeją. Chcesz się czegoś napić?

- Chyba nie.

Prawdę powiedziawszy, zaczęłam się zastanawiać, czego oczekuję po tym spotkaniu i czy nie powinnam iść do domu. Było już tak późno, że musiałabym wziąć taksówkę, by dotrzeć bezpiecznie do swojej ulicy na Brooklynie, a to pochłonęłoby wszystkie moje oszczędności z tego tygodnia. Może Robert korzystał z rodzinnego funduszu powierniczego i nie rozumiałby sytuacji. Zastanawiałam się także, gdzie podziła się moja duma. Prawdopodobnie Robert Oliver zajmował się głównie sobą i swoimi obrazami; polubił mnie, ponieważ byłam dobrym słuchaczem, przynajmniej z początku. To właśnie podpowiadał mi instynkt, ten, który wyrabiają w sobie dziewczyny w stosunku do chłopców, a kobiety w stosunku do mężczyzn.

- Chyba już pójdę. Muszę złapać taksówkę, żeby dostać się do domu.

Stał przede mną, pośrodku tej niechlujnej, pozbawionej okien sypialni, imponujący, a jednak w jakiś sposób zastraszonej, bezbronny, z dłońmi zwieszającymi się bezradnie po bokach. Musiał się nieco nachylić, by spojrzeć mi w twarz.

- Zanim wybierzesz się do domu... czy mogę cię pocałować?

Byłam zaszokowana, nie tyle samym pragnieniem pocałunku z jego strony, ile tym pytaniem, zadany tak nieumiejętnie. Poczulałam nagle litość wobec tego człowieka, który wyglądał jak zwycięski Hun i jednocześnie prosił mnie nieśmiało o... Zbliżyłam się i położyłam mu dłonie na ramionach, które wydawały się w dotyku mocne i godne zaufania, ramiona wołu, robotnika, dające poczucie bezpieczeństwa. Jego twarz, widziana z bliska, tworzyła rozmazany cień, jego oczy przypominały barwną plamę. Po chwili dotknął moich warg swoimi, które były mocne i zwarte. Jego usta przypominały ramiona, ciepłe i umięśnione, lecz pełne wahania, i wydawało się, że czeka na mnie sekundę, aż poczułam znowu coś w rodzaju współczucia i odpowiedziałam na jego pocałunek.

Nagle otoczył mnie ramionami - po raz pierwszy poczułam jego ogrom, całe to wielkie ciało przywierające do mojego - i niemal podniósł, całując z nieskrępowaną namiętnością. Nie miał w sobie żadnej nieśmiałości, jak się w końcu okazało. Wydało mi się, że po prostu nie wie, co to znaczy nie być sobą, i poczułam, jak przenika mnie jego indywidualność, niczym błyskawica - ja, która wątpiłam w każdą sekundę swojego życia, wszystko rozważając i analizując. Było tak, jakbym napiła się eliksiru, o którego istnieniu nie miałam pojęcia - każda jego kropla uderzyła mi do głowy i spłynęła głęboko do piersi, do samych stóp. Ogarnęło mnie pragnienie, by się odsunąć i jeszcze raz spojrzeć mu w oczy, ale nie było to pragnienie podyktowane strachem, raczej coś w rodzaju zdumienia, że ktoś może być tak skomplikowany i jednocześnie tak prosty. Jego wielka dłoń zsunęła się ku dołowi moich pleców i przygarnęła mnie jeszcze mocniej - przycisnął mnie do siebie jak cenną paczkę, na którą niecierpliwie czekał. Uniósł z podłogi i dosłownie wziął w ramiona.

Oczekiwałam, że teraz będzie trzask zamka przy drzwiach, woń i dotyk łóżka z niewypraną pościelą, gdzie zacznę się zastanawiać, czy ostatnio ktoś w niej nie leżał pod tym mężczyzną, gorączkowe grzebanie w poszukiwaniu prezerwatywy - w tym czasie pojawiały się już pierwsze oznaki paniki wywołanej przez AIDS - a potem moja na wpół lękliwa, na wpół gorliwa zgoda. On jednak pocałował mnie jeszcze raz i postawił z powrotem na podłodze. Wciąż tuliłam się do jego swetra.

- Jesteś urocza - powiedział.

Stał tak, głaszcząc mnie po włosach na czubku głowy. Ujął niezgrabnie moje skronie i

pocałował mnie w czoło. Był to taki troskliwy, swojski gest, że poczułam ucisk w krtani. Czy miałam to rozumieć jak odrzucenie? On jednak położył mi dłonie na ramionach, pieszcząc jednocześnie szyję.

- Nie chcę, żebyś się czuła ponaglana. Ani ja. Miałabyś ochotę spotkać się jutro? Moglibyśmy pójść na kolację do jednej knajpki w Village. Jest tam tanio i nie ma hałasu jak w barze.

Należałam od tej chwili do niego - miał mnie w rękę. Nikt nigdy nie chciał, żebym nie czuła się ponaglana. Wiedziałam, że kiedy nadejdzie ten moment, czy będzie to następnego wieczoru, czy jeszcze następnego, czy w kolejnym tygodniu, to poczuję, że ten przygniatający mnie swym ciężarem mężczyzna to nie intruz, ale ktoś, w kim mogłabym się zakochać, jeśli już się nie zakochałam. Cała ta prostota - zastanawiałam się, jak udało mu się ją stworzyć pomimo mojej nieufności. Kiedy złapał dla mnie taksówkę, zaczęliśmy się całować na ulicy, powoli i niespiesznie; ledwie nad sobą panowałam, a on objął mnie i wybuchnął śmiechem, w którym brzmiała radość. Kierowca musiał czekać.

\*

Nie odezwał się następnego ranka, choć obiecał, że zadzwoni do mnie do pracy, by podać mi adres tej restauracji. Euforia spływała ze mnie powoli, w miarę jak zbliżało się południe. To, że się ze mną nie przespał, stanowiło dobrą wymówkę, żeby sobie odpuścić, coś w rodzaju grzecznej odmowy - w końcu nie planował wcześniej, że zjemy razem kolację. Miałam do korekty długi artykuł o nakłuciu lędźwiowym i zrobiło mi się trochę niedobrze, jakby te mdłości, które poczułam w domu towarowym, kiedy pierwszy raz spotkałam Roberta, znów się pojawiły, taki łagodny nawrót. Zjadłam lunch przy biurku. O czwartej zadzwonił telefon, chwyciłam niecierpliwie słuchawkę. Jeszcze tylko matka znała mój numer do pracy, wiedziałam więc, że to może być albo ona, albo on. To był Robert.

- Przepraszam, nie mogłem zadzwonić wcześniej - powiedział bez jakichkolwiek wyjaśnień. - Wciąż chcesz się ze mną spotkać?

Był to drugi wieczór z naszych pięciu lat w Nowym Jorku.

# 16

## *MARLOW*

Kate wstała z sofy w swoim cichym salonie i zaczęła się przechadzać, jakbym schwytał ją w klatkę. Spacerowała w stronę okien i z powrotem, a ja się jej przyglądałem, odczuwając coś w rodzaju litości wywołanej myślą, że znalazła się przeze mnie w takiej sytuacji. Nie zbliżyła się w swych wyznaniach do tego, co pragnąłem wiedzieć, ale nie miałem ochoty jej naciskać, nie w tej chwili.

Przyszło mi nagle do głowy, że byłaby z niej dobra żona - musiała nią być. W swej uczciwości, zamiłowaniu do porządku i wdzięcznych odruchach serdeczności (nie po raz pierwszy o tym pomyślałem) przypominała moją matkę, choć nie miała typowej dla niej pogodnej pewności siebie i ironicznego poczucia humoru. Być może to ostatnie zostało stłumione przez rozstanie z mężem. Miałem nadzieję, że to tylko chwilowy odwrót szczęścia. Widziałem w swoim życiu wiele kobiet, którym po rozwodzie ziemia osunęła się spod nóg, w sensie emocjonalnym. Było wśród nich kilka, które nigdy się nie otrząsnęły, popadając w rozgoryczenie czy nawet psychozę, zwłaszcza jeśli rozwód miał jakiś związek z wcześniejszą traumą czy przyczyną choroby. Jednakże większość kobiet, jak zawsze sądziłem, odznaczała się niezwykłą siłą; te, które potrafiły stanąć na nogi, jakże liczne, zaczynały prowadzić potem jeszcze pełniejsze życie. Inteligentna Kate - światło wpadające przez okna dobywało gładkość jej włosów - mogłaby się czymś zająć albo znaleźć sobie kogoś lepszego; odzyskałaby zadowolenie i mądrość.

Kiedy o tym myślałem, zwróciła się do mnie:

- Uważa pan, że nie mogło być aż tak źle - powiedziała oskarżycielskim tonem.

Przylapałem się na tym, że się na nią gapię.

- Niezupełnie - odparłem. - Ale nie mylisz się bardzo. Jestem pewien, że było źle, tyle że myślałem właśnie o tym, jak silną wydajesz się osobą.

- Więc sobie z tym poradzę.

- Tak sądzę.

Przyglądała mi się przez chwilę, jakby miała ochotę mnie złajać, lecz w końcu

powiedziała tylko:

- No cóż, widział pan chyba wielu pacjentów, więc pewnie pan wie.

- Nigdy nie mam wrażenia, że wiem cokolwiek o ludziach, ale to prawda, że przyglądam im się nieraz z bardzo bliska.

Było to wyznaczenie, którego nie uczyniłbym w obecności pacjenta.

Odwróciła się, a na jej drobnych obojczykach błysnęło światło.

- I lubi pan ludzi, doktorze Marlow, napatrzywszy się na nich?

- A ty? Też wydajesz się niezwykle spostrzegawcza.

Roześmiała się po raz pierwszy w czasie tej rozmowy.

- Nie bawmy się w te gierki. Pokażę panu gabinet Roberta.

Ta propozycja zaskoczyła mnie niezwykle z dwóch powodów - po pierwsze, że w ogóle Robert miał gabinet, a po drugie, że Kate, pomimo swego nastroju, okazała się taka uczynna. Przyszło mi do głowy, że ten pokój mógł też pełnić funkcję domowej pracowni.

- Jesteś pewna, że chcesz mi go pokazać?

- Tak - odparła. - Nie jest duży; zaczęłam go sprzątać, bo chciałam mieć biurko, na którym mogłabym trzymać swoje papiery i załatwiać rachunki. Muszę się jeszcze uporać z pracownią Roberta.

Mieszkając z nim w tym domu, nie miała ani gabinetu, ani pracowni, podczas gdy on miał jedno i drugie. Robert Oliver zajmował, w sensie dosłownym, mnóstwo miejsca w jej życiu. Miałem nadzieję, że pokaże mi także jego atelier.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Och, nie przesadzajmy - odparła. - Jego gabinet to istne pobojuwisko. Musiało upłynąć sporo czasu, zanim w ogóle otworzyłam drzwi do tego pokoju, ale teraz, kiedy wzięłam się do porządków, czuję się znacznie lepiej. Może pan oglądać, co tylko zechce. Mówię tak, bo nic, co się tam znajduje, już mnie nie obchodzi. Naprawdę.

Zaczęła zbierać filiżanki, spoglądając przez ramię.

- Proszę ze mną - powiedziała.

Poszedłem za nią do aneksu kuchennego, równie schludnego i swojskiego jak salon - krzesła z wysokimi oparciami ustawione wokół lśniącego stołu. Tu też wisiały akwarele, tym razem krajobrazy górskie, i dwie ryciny z ptakami, kardynałami i sójkami, w stylu Audubona. I tak jak gdzie indziej nie dostrzegłem w tym miejscu żadnych obrazów Roberta Olivera. Zaprowadziła mnie po chwili do słonecznej kuchni, gdzie włożyła filiżanki do zlewu, a potem do pokoju niewiele większego od dużej garderoby. Był umeblowany czy raczej całkowicie zagracony - biurko, półki i krzesło. Biurko okazało się zabytkowe, jak większość mebli Kate;

wielka nadstawka z podniesioną żaluzją ukazywała zapchane papierami przegródki - bałagan, tak jak uprzedzała.

Tutaj, jeszcze bardziej niż w salonie, wyczuwałem obecność Roberta Olivera i wyobrażałem sobie jego wielkie dłonie wpychające rachunki i nieprzeczytane artykuły w odpowiednie przegródki. Na podłodze stały dwa plastikowe kosze na śmieci, starannie oznaczone naklejkami, jakby Kate umieszczała w nich odpowiednie papiery. Nie zauważyłem nigdzie szafki na dokumenty - zresztą nic więcej nie zmieściłoby się w tym pokoju - choć Kate miała gdzieś coś takiego.

- Nienawidzę tej roboty - powiedziała, ponownie nie wyjaśniając, o co jej właściwie chodzi.

Na półkach stał słownik, przewodnik filmowy, powieści kryminalne - niektóre po francusku - i liczne dzieła na temat sztuki. *Picasso i jego świat*, Corot, Boudin, Manet, Mondrian, postimpresjoniści, portrety Rembrandta i zadziwiająco duża liczba książek o Monecie, Pissarze, Seuracie, Degasie, Sisleyu - dominowało malarstwo dziewiętnastowiecznej Francji.

- Czy Robert najbardziej lubił impresjonistów? - spytałem.

- Tak mi się wydaje. - Wzruszyła ramionami. - Raz mu się najbardziej podobało to, innym razem coś innego. Nie potrafiłam za tym nadażyć.

Jej głos miał w sobie nieprzyjemną nutę; odwróciłem się w stronę biurka.

- Może pan to wszystko oglądać, o ile uda się panu zachować porządek. Porządek... - Przewróciła wymownie oczami jakby po namyśle. - Tak czy inaczej proszę w miarę możliwości tego nie pomieszać, bo chcę się orientować w kwestiach finansowych, na wypadek jakiejś kontroli skarbowej.

- To miło z twojej strony. - Chciałem mieć pewność, że mi na to pozwala; stłumiłem instynktowną myśl, że przeglądanie dokumentów żyjącego pacjenta bez jego zgody to bardzo poważny krok, nawet jeśli korzystałem z podyktowanej goryczą zachęty jego byłej żony. Zwłaszcza że z niej korzystałem. Robert powiedział jednak, że mogę rozmawiać, z kim mi się tylko podoba. - Jak myślisz, znajdę tu coś, co mi pomoże?

- Wątpię - odparła. - Może właśnie dlatego jestem taka uczynna. W gruncie rzeczy Robert nie miał osobistych papierów. Nie pisał o swoich uczuciach, nie prowadził dziennika ani niczego w tym rodzaju. Sama lubię pisać, ale on twierdził, że nie potrafi zrozumieć świata poprzez słowa - musiał na niego patrzeć i dostrzegać kolory, a potem go malować. Nie znalazłam tu niczego szczególnego, z wyjątkiem jego kolosalnego bałaganiarstwa. - Roześmiała się albo tylko parsknęła, jakby spodobało jej się własne określenie. - Ale to chyba

nieprawda, że niczego nie zapisywał; sporządzał na własny użytek drobne notatki i listy, ale wszystko gubiło się w tym bałaganie. - Wyciągnęła jakiś skrawek papieru z otwartego pudełka. - „Lina do pejzażu” - przeczytała głośno. - „Zamek od tylnej furtki, kupić alizarynę i tablicę, sprawdzić u Tony'ego, czwartek”. I tak o wszystkim zapominał. Albo to: „Pomyśleć o ukończeniu czterdziestki”. Uwierzy pan? Żeby ktoś musiał sobie przypominać o czymś tak banalnym? Kiedy patrzę na te wszystkie śmieci, to się cieszę, że nie muszę zajmować się resztą - to znaczy nim. Ale proszę się nie krępować. - Uśmiechnęła się do mnie. - Przygotuję lunch, zjemy w spokoju, zanim zjawią się dzieci. No i jest jeszcze jutro.

Wyszła z pokoju, nie czekając na moją odpowiedź.



Po chwili usiadłem w fotelu Roberta, przy jego biurku. Był to jeden z tych klasycznych foteli biurowych z popękaną skórą i rzędami mosiężnych ćwieków, obracający się niepewnie na kółkach albo odchylający niebezpiecznie do tyłu - odziedziczony, jak się domyślałem, po dziadku czy nawet pradziadku. Potem znowu wstałem i ostrożnie zamknąłem drzwi. Pomyślałem, że nie miałyby nic przeciwko temu; w końcu zostawiła mnie tu samego, dając mi wolną rękę. Kate Oliver wydawała się osobą z rodzaju „czarne albo białe”. Zamierzała albo świadomie pokazać mi i powiedzieć wszystko, albo zachować swoją prywatność nienaruszoną - i zdecydowała się na to pierwsze. Podobała mi się, i to bardzo.

Pochyliłem się nad biurkiem i zacząłem wyjmować pliki papierów z przegródek - wyciągi bankowe, złożone na pół rachunki za wodę i elektryczność, kilka czystych kartek z notesu. Wydało mi się dziwne, że Kate powierzała swojemu niezorganizowanemu mężowi domowe finanse, ale może to on się przy tym upierał. Wsadziłem papiery z powrotem na swoje miejsce. Kilka przegródek było pustych, jeśli nie liczyć kurzu i spinaczy; już tu sprzątała. Wyobraziłem sobie, jak to porządkuje, rozkłada gdzieś starannie i równo, by w końcu wytrzeć biurko do czysta, a nawet wypolerować. Może wpuściła mnie tu tylko dlatego, że zdążyła usunąć już wszystko, co miało osobisty charakter; może jej zgoda była tylko pustym gestem, objawem fałszywej gościnności.

W pozostałych przegródkach nie znalazłem niczego interesującego, z wyjątkiem wyschniętego przedmiotu, który zapodział się gdzieś w głębi, a który okazał się starym skretem - rozpoznałem ten zapach z bardzo dawnych czasów, tak jak się rozpoznaje jakiś słodki dodatek z dziecięcego deseru. Odłożyłem papierosa na swoje miejsce. Dwie górne szuflady biurka wypchane były szkicami - konwencjonalne ćwiczenia w rysunku postaci, nic przypominającego damę, którą rutynowo wypełniał swój pokój w Goldengrove - i starymi katalogami, głównie dotyczącymi przyborów malarskich, ale też sprzętu turystycznego, jakby Robert był także zapalonym wędrowcem albo rowerzystą. Dlaczego wciąż uparcie myślałem o nim w czasie przeszłym? Mógł przecież wyzdrowieć i przemierzyć wielki szlak

Appalachów z jednego końca na drugi, a moim obowiązkiem było mu to umożliwić.

Dolna szuflada stawiała opór, zapchana po brzegi zeszytami w linie, gdzie Robert najwyraźniej umieszczał notatki dotyczące nauczania („Poprzednie szkice, trochę owoców - martwa natura do końca zajęć, 2 godziny?”). Wywnioskowałem z tych zapisków, że przed zajęciami przygotowywał tylko najbardziej ogólne konspekty; żaden z nich nie nosił daty. Pewnie sama jego obecność wypełniała dostatecznie salę albo pracownię; najwyraźniej nie planował niczego więcej. Czy może był tak utalentowanym nauczycielem, że przechowywał całą wiedzę w głowie i potrafił z niej odpowiednio korzystać, kiedy tylko chciał? A może nauka malowania oznaczała dla niego po prostu krążenie wśród studentów i wygłaszanie uwag na temat tego, co właśnie robili? Sam zaliczyłem pięć czy sześć takich kursów, z trudem godząc je ze swoją pracą zawodową, i uwielbiałem wszystkie - to uczucie samotności i jednocześnie przebywania pośród innych malarzy, których nawet nauczyciel pozostawiał samym sobie przez większość czasu, ale także obserwował, niekiedy zachęcał w najbardziej niezwykłej chwili, dzięki czemu człowiek skupiał się jeszcze bardziej.

Dokopałem się do dna szuflady i już miałem się odwrócić od tych wszystkich zeszytów pomieszanych ze starymi rachunkami telefonicznymi, gdy mój wzrok przyciągnęła karteczka z odręcznym pismem - biały papier w linie, pomarszczony, jakby ktoś go zmiął, a potem znów wygładził, z oderwanym rogiem. Był to początek listu albo jego brudnopis, nakreślony zdecydowanie, pełen dużych zawijasów - gdzieś widać było wykreślone słowo, a w jego miejsce wstawione inne. Znałem już ten charakter pisma z mnóstwa karteczek i notatek, które mnie otaczały - to był Robert, bez wątpienia. Wyciągnąłem kartkę z szuflady i rozprostowałem na filcowym blacie.

*Byłaś bezustannie ze mną, moja muzo, i myślałem o Tobie z budzącą lęk wyrazistością, nie tylko o Twoim pięknie i miłym towarzystwie, lecz także o Twoim śmiechu i najdrobniejszym geście.*

Następną linijkę przekreślono, wymazano, i to wściekle, a reszta strony była pusta. Nasłuchiwałem odgłosów z kuchni. Przez zamknięte drzwi docierał do mnie jakiś dźwięk; była żona Roberta przesuwająca coś - ciągnęła taboret po linoleum, może otwierała i zamykała drzwi szafki. Złożyłem kartkę trzykrotnie i wsunąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Potem się schyliłem i po raz ostatni przeszukałem dno szuflady. Nic - w każdym razie nic z jego charakterem pisma, choć były tam oświadczenia podatkowe, które wyglądały tak, jakby praktycznie nie wyciągano ich z kopert.

Wydawało się to bezsensowne, ale ponieważ drzwi były zamknięte na głucho, a Kate zajmowała się czymś w kuchni, schyliłem się i zacząłem wyciągać książki Roberta z półek i sięgać głębiej. Po chwili moją dłoń znaczyły pasemka kurzu. Znalazłem gumową piłeczkę, która mogła należeć do któregoś z dzieci, teraz pokrytą kłaczkami brudu - puszystymi zbitkami komórek ludzkich, jak sobie przypomniałem z nieznacznym dreszczem. Układałem na podłodze po pięć czy sześć książek jednocześnie; gdyby Kate otworzyła niespodziewanie drzwi, nie zobaczyłaby niczego niezwykłego, a ja mógłbym zawsze powiedzieć, że przeglądam same książki.

Nie znalazłem jednak już żadnych papierów; nic się nie kryło za biblioteką ani też - przewertowałem pospiesznie ze dwa tomy - między kartkami. Widziałem przez chwilę samego siebie jakby od strony progu, we wnętrzu skomponowanym starannie z ciemnych kształtów w blasku pojedynczej żarówki pod sufitem - ostre światło i drażniące wnętrze na modłę Bonnarda. Po raz pierwszy zauważyłem, że na ścianach gabinetu Roberta nie ma żadnych obrazów, żadnych pocztówek przytwierdzonych pinezkami ani ogłoszeń o wystawach czy małych płócien, które pozostały, niesprzedane, po wernisażach. Było to dziwne w pokoju artysty, ale może zachował to wszystko z myślą o tej pracowni na górze.

Potem, schylając się ponownie nad półkami, zauważyłem, że coś jednak znajduje się na ścianie - nie był to obraz, ale nabazgrane ołówkiem liczby i kilka słów; nie można było ich zauważyć od strony drzwi. Myślałem przez chwilę, że to daty i wyniki pomiarów wzrostu dzieci Roberta, ale te znaki znajdowały się bardzo nisko, nawet jak na małe dziecko. Kucnąłem koło książek, wciąż trzymając w ręku *Seurata i paryżan*. Rzeczywiście, był to ołówek, prawdopodobnie 5B albo 6B, ciemny i miękki, do delikatnego cieniowania. Przyjrzałem się napisowi, mrużąc oczy. Widniała tam data „1879”. Dalej dwa słowa: „Étretat. Radość”.

Przeczytałem to dwukrotnie. Cyfry i litery były nakreślone na ścianie niestarannie - musiał wyciągnąć się na podłogę, żeby je tam umieścić, i nawet w takiej pozycji nie byłby w stanie zrobić tego jak należy. Ze względu na rozmiary gabinetu musiał też zgiąć nogi. Czy może ktoś inny nabazgrał te znaki? Przyszło mi do głowy, że zakręcone „É” i „R”, a także wydłużone „d”, przypominają charakter pisma Olivera - rozciągnięte, mocno zaznaczone litery na wszystkich karteczkach, które przeglądałem, i na unieważnionych czekach. Dla porównania wyciągnąłem z kieszeni brudnopis listu. Małe „o” było z pewnością takie samo, podobnie jak grubo nakreślone, wyraźne „d”. Po co dorosły człowiek, wyjątkowo wysoki, miałby kłaść się na podłogę i pisać coś na ścianie swojego gabinetu?

Schowałem starannie list w bezpiecznej skrytce kieszeni - zdążył już się ogrzać - i

zaczęłam szukać jakiegoś skrawka czystego papieru. Przypomniałem sobie zeszyty w dolnej szufladzie i wyrwałem z nich kartkę, a potem zapisałem na niej z uwagą przesłanie znalezione na ścianie. Wydawało mi się, że znam to słowo, „Étretat”, ale i tak zamierzałem sprawdzić je później w słowniku.

Poszukiwania papieru podsunęły mi jeszcze jeden pomysł; przyciągnąłem do siebie kosz na śmieci i przejrzałem jego zawartość, zerkając co kilka sekund na drzwi. Zastanawiałem się, kto zapchał do granic możliwości ten plastikowy pojemnik, Kate czy Robert - prawdopodobnie Kate, podczas sprzątania. Zawierał jeszcze więcej zapisanych jego dłonią skrawków, a także kartki z jakąś bazgraniną, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak studia aktu, a może były to zwykłe esy-floresy skreślone w chwili lenistwa, niektóre przedarte na pół - co w końcu dowodziło, że zrobił to artysta. Żadna z notatek Olivera, sporządzonych po to, by o czymś pamiętać, nie miała dla mnie znaczenia, zwłaszcza że na ogół ograniczały się do kilku słów i często miały charakter wyłącznie praktyczny; obejrzałem jedną z nich: „Załatw wino i piwo na jutro wieczór”. Nie miałem odwagi zatrzymać jakichkolwiek, żeby potem je czytać; gdybym napchał nimi kieszenie marynarki, Kate posłyszałaby szelest papieru, zresztą, pomijając tę realną i niezwykle poniżającą możliwość, ja sam bym to słyszał i czuł jedynie wstyd. „Byłaś bezustannie ze mną, moja muzo”. Kim była jego muza? Kate? Śmiejąca się kobieta na płótnie? Może ta imieniem Mary? Wydawało się to prawdopodobne i Kate wyznałaby mi prawdę, gdybym odpowiednio ją podpytał.

Przejrzałem pozostałe książki, po kilka naraz, wciąż nasłuchując, co się dzieje za drzwiami, ale nie znalazłem niczego z wyjątkiem paru czystych skrawków kartki, które zaznaczały ulubioną stronę albo fragment czy też jakiś wizerunek potrzebny Robertowi w celach pedagogicznych - między innymi kolorową reprodukcję *Olimpii* Maneta. Widziałem oryginał w Paryżu, lata wcześniej. Popatrzyła na mnie, naga i pełna tępej beztroski, kiedy odsunąłem zakładkę. Za górnym rzędem książek znalazłem wetkniętą dużą skarpetę białego koloru. Nie miałem już gdzie szukać, chyba że odsunąłbym dywan. Zajrzałem za półki i biurko, jeszcze raz rzuciłem okiem na datę na ścianie. Francuskie słowo „Étretat”, jakieś miejsce. Co działo się we Francji w 1879 roku, jeśli słowo i data były ze sobą powiązane, przynajmniej w umyśle Roberta? Próbowałem sobie przypomnieć, ale nigdy nie byłem znawcą francuskiej historii albo może umknęła ona z mojej pamięci, kiedy w szkole średniej skończył się przedmiot o nazwie „zachodnia cywilizacja”. Czy to wtedy miała miejsce Komuna Paryska, czy może wcześniej? Kiedy dokładnie baron Haussmann zaprojektował te wielkie bulwary w Paryżu? W roku 1879 impresjonizm wciąż żył i miał się nieźle pomimo zawziętej krytyki - tyle wiedziałem dzięki wizytom w muzeach i lekturze książek - więc być

może był to rok pokoju i dobrobytu.

Otworzyłem drzwi gabinetu, zadowolony, że po drugiej stronie nie stoi Kate. Kuchnia, kiedy wyszedłem z pokoju Roberta, wydawała się nienaturalnie jasna; pojawiło się słońce, w jego blasku połyskiwała woda na drzewach. Padało więc, kiedy ja przeglądałem papiery Roberta. Kate stała przy szafce, mieszając sałatę w misce; miała na sobie niebieski fartuch i zarumienioną twarz. Talerze były bladożółte.

- Mam nadzieję, że lubi pan łososia - powiedziała, jakby zachęcając mnie, bym zaprzeczył.

- Lubię - odparłem szczerze. - Bardzo. Ale nigdy bym nie pomyślał, że zadasz sobie tyle trudu. Dziękuję.

- Żaden kłopot. - Wkładała pieczywo do koszyka wyłożonego serwetką. - Rzadko teraz gotuję dla dorosłych, a dzieci i tak nie jedzą dużo, z wyjątkiem makaronu zapiekanego z serem i szpinaku. Na szczęście dla mnie szpinak naprawdę im smakuje.

Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła, a mnie zaskoczyła niezwykłość tej sytuacji - oto miałem przed sobą byłą żonę swojego pacjenta, kobietę, którą poznałem ledwie kilka godzin wcześniej, kobietę, o której wiedziałem niewiele i której się trochę bałem - a która szykowała mi posiłek. Jej uśmiech był przyjazny, spontaniczny, płynął do mnie z drugiego końca kuchni. Miałem ochotę zwiesić głowę.

- Dziękuję - powiedziałem jeszcze raz.

- Może pan zanieść je na stół - oznajmiła, podając mi talerze szczupłymi dłońmi.

30 października 1877

*Mon cher oncle,*

*Piszę do Ciebie tego ranka, by wyrazić naszą wdzięczność za Twą obecność wczorajszego wieczoru i za przyjemność, jaką nam sprawiłeś. Dziękuję Ci także za słowa zachęty dotyczące moich rysunków, których bym ci nie pokazała, gdyby nie namowy mojego teścia i Yves'a. Popołudniami pracuję wytrwale nad nowym obrazem, ale należy to uznać za żalosny wysiłek. Sprawia mi radość myśl, że tak bardzo spodobała ci się moja jeune filie - jak Ci mówiłam, pozowała mi siostrzenica, która jest małą wróżką. Mam nadzieję namalować na podstawie tego rysunku obraz - ale dopiero na początku lata, by wykorzystać ogród jako tło; jest wspaniały o tej porze roku, kiedy tonie w różach.*

*Z wyrazami szacunku,*

*Béatrice de Clerval*

Po lunchu, który upłynął na ogół w milczeniu (ale przyjacielskim, jak mi się zdawało), Kate powiedziała, że musi wkrótce zabrać się do pracy; zrozumiałem aluzję i wyszedłem, chociaż tylko raz ustaliliśmy, że spotkamy się ponownie rano. Zamknęła za mną duże drzwi wejściowe, ale kiedy się odwróciłem na ścieżce, wciąż stała za szybą. Uśmiechnęła się, a potem pochyliła głowę, jakby żałując tego uśmiechu, pomachała mi, po czym zniknęła, nim zdążyłem jej odpowiedzieć. Wyłożony cegłą chodniczek lśnił od deszczu, więc szedłem ostrożnie w stronę zwirowanego podjazdu. Wsiadając do samochodu, dotknąłem kieszeni na piersi, by się upewnić, że jest tam szeleszczący papier.

Nie wiedziałem dlaczego, ale od dawna nie czułem się taki smutny. Moi pacjenci, kiedy mnie widzieli albo kiedy ja ich widziałem, byli otoczeni zuniformizowaną scenografią mojego biura czy uparcie pogodnych pokoi w Goldengrove. A teraz rozmawiałem z kobietą, która była samotna, samotna i być może dostatecznie przygnębiona, by zjawić się u mnie jako pacjentka, ja jednak widziałem ją w otoczeniu jej życia - ogromnego ostrokrzewu obok drzwi wejściowych, grządek z kiełkującymi cebulkami, mebli, które pozostawiła jej w spadku babka, zapachu łososia i szczypiorku w kuchni, ruin mężowskiego życia, tak bardzo widocznych. Mimo to wciąż potrafiła się do mnie uśmiechać.

Jechałem wiosennymi drogami, starając się przypomnieć sobie trasę powrotną; gdzieś tam migały drzewa i ciekawe domy. Wyobrażałem sobie Kate, która wkłada brezentową kurtkę, zdejmując z kołka kluczyki od wozu i zamyka za sobą drzwi domu. Myślałem o tym, jak wygląda, pochylając się nad dziećmi, by je pocałować w łózekkach, o jej giętkiej drobnej talii pod niebieskim materiałem ubrania. Dzieci miały zapewne jasne włosy, jak ona, albo jedno było płowowłose, a drugie odznaczało się gęstymi, ciemnymi lokami Roberta - w tym jednak momencie mój umysł się zbuntował. Całowała je za każdym razem, nawet po krótkiej nieobecności, tego byłem pewien. Zastanawiałem się, jak Robert znosi rozłąkę z tym trojgiem niezwykłych ludzi, których uczynił swoją rodziną. Cóż jednak wiedziałem? Może w rzeczywistości byli mu obojętni. Albo może zapomniał, jacy są

niezwykli. Nigdy nie miałem żony ani dziecka, ani dwojga dzieci, ani też wielkiego starego domu z salonem pełnym światła słonecznego. Zobaczyłem własną dłoń odbierającą talerze od Kate - nie nosiła pierścionków, tylko cieniutki złoty łańcuszek na nadgarstku. Co tak naprawdę wiedziałem?

Po powrocie do Hadleyów otworzyłem wszystkie okna, położyłem skrawek listu z gabinetu Roberta na komodzie, zaległem na brzydkim łóżku i zapadłem w drzemkę. W pewnej chwili naprawdę zasnąłem na kilka minut. Gdzieś w głębi mojego snu tkwił Robert Oliver, który opowiadał mi o swoim życiu z żoną, ale nie słyszałem ani jednego słowa i cały czas prosiłem, żeby mówił wyraźniej. W tym śnie pogrzebane było coś jeszcze, wspomnienie: Étretat, nazwa nadmorskiego miasta we Francji - gdzie dokładnie? - sceneria słynnych obrazów Moneta, uwieczniających urwiska, te ikoniczne kamienne łuki, niebieską i zieloną wodę, zielone i liliowe skały.

W końcu wstałem niezbyt wypoczęty i włożyłem starą koszulę. Potem wziąłem do ręki książkę, którą właśnie czytałem, biografię Newtona, i pojechałem do miasta coś zjeść. Znalazłem kilka niezłych restauracji; w jednej z nich, która miała we wszystkich oknach zainstalowane maleńkie białe światełka, jakby to było Boże Narodzenie, zamówiłem talerz naleśników ziemniaczanych z przeróżnymi dodatkami. Kobieta siedząca przy barze uśmiechnęła się do mnie i ponownie założyła uroczą nogę na uroczą nogę, a mężczyzna, który przyłączył się do niej po kilku minutach, wyglądał jak biznesmen z Nowego Jorku. Dziwne małe miasto, pomyślałem; podobało mi się coraz bardziej, w miarę jak odczuwałem skutki pinot noir.

Po obiedzie, spacerując ulicami, zastanawiałem się, czy mogę spotkać Kate. Co bym jej powiedział? Jak by zareagowała, gdybyśmy wpadli na siebie po tej porannej rozmowie? Później jednak sobie przypomniałem, że z pewnością jest w domu z dziećmi. Wyobraziłem sobie, jak wracam tam i zaglądam przez te wielkie okna. Byłyby zapewne miękko oświetlone, otaczające je krzewy już pogrążone w mroku, wyżej niewyraźny dach. A w środku szkatułka z klejnotami: Kate bawiąca się z dwojgiem pięknych dzieci, jej włosy lśniące w blasku lampy. Albo zobaczyłbym ją przez okno kuchenne, tam, gdzie przyrządzała mi łososia; zmywałaby naczynia po kolacji, położywszy już dzieci do łóżek i rozkoszując się ciszą. Wyobraziłem sobie odruchowo, jak słyszy moją obecność pośród krzewów, jak wzywa miejscową policję; potem kajdanki, bezowocne wyjaśnienia, jej gniew, mój wstyd.

Zatrzymałem się na chwilę, żeby otrząsnąć się z tych myśli, i stwierdziłem, że stoję przed wystawą butików, pełną koszyków i szali, które wyglądały na ręcznie robione. A kiedy tak stałem, zacząłem tęsknić za domem. Co, u licha, właściwie tu robiłem? Odczuwałem



samotność w tym ładnym miasteczku; w domu byłem do niej przyzwyczajony. Wciąż miałem przed oczami słowa wypisane ołówkiem na ścianie gabinetu Roberta. Dlaczego wypełnił swoją pracownię i bibliotekę impresjonistami? Przespacerowałem kolejny kawałek, udając przed sobą, że jeszcze nie zrezygnowałem z tego wieczoru. Miałem do wyboru wrócić do domu - to znaczy do Hadleyów - położyć się do łóżka i czytać o Newtonie, który na szczęście pochodził z innego świata, z epoki pozbawionej - tragicznie pozbawionej - współczesnej psychiatrii. Z epoki sprzed Moneta, Picassa, antybiotyków, mojego własnego życia. Martwy na szczęście Newton stanowiłby lepsze towarzystwo niż te skąpane w poświęceniu zmierzchu ulice z odnowionymi budynkami, stolikami restauracyjnymi, młodymi parami - szyje owinięte szalami, kolczyki w uszach - które mnie mijały, trzymając się za ręce w chmurze piżmowej woni. Upłynęło już sporo czasu od chwili, gdy byłem młody, i nie wiedziałem, w jaki sposób i kiedy ten podstępny dystans zdołał mnie zaskoczyć.

Na końcu ulicy zamiast butików pojawił się parking i - co wydało mi się dość zaskakujące - jakiś klub o atrakcyjnym wyglądzie; jak się okazało, bar z toplessem. Pomimo obecności bramkarza przy wejściu lokal ten nie odznaczał się obskurnością swoich odpowiedników w Waszyngtonie. Byłem w takim przybytku wiele lat temu, w dodatku tylko raz, jeszcze na studiach, ale mijałem ten i ów od czasu do czasu i przynajmniej dostrzegałem ich istnienie. Mężczyzna przy drzwiach był ubrany schludnie, wręcz elegancko, jakby nawet rozbierane występy miały w tym mieście wyższy status niż gdzie indziej. Zwrócił się w moją stronę z przyjaznym, wyczekującym, pełnym zrozumienia uśmiechem, niczym doradca finansowy w banku. Może wstąpi pan na chwilę? Może porozmawiamy o hipotece?

Stałem tam, zastanawiając się, czy naprawdę mam wejść do środka, ponieważ nie bardzo wiedziałem, dlaczego miałbym tego nie zrobić. Przypomniałem też sobie jedną naprawdę piękną modelkę z zajęć w Art League School - oddaloną nagą kobietę, zachowującą niezmienną pozę przed grupą studentów, błędzącą gdzieś myślami, skupioną zapewne na pracy pisemnej z college'u albo kolejnej wizycie u dentysty. Z wprawą profesjonalistki wysuwała delikatnie piersi; tylko nieznaczne drgnienia ciała zdradzały potrzebę jakiegokolwiek ruchu podczas tego niezwykle długiego seansu pozowania.

- Nie, dziękuję - zwróciłem się do faceta przy wejściu, ale mój głos wydawał się stłumiony przez wiek i zakłopotanie.

Nawet nie zaprosił mnie do środka, nawet nie wręczył mi żadnej ulotki, więc dlaczego w ogóle się do niego odezwałem? Ścisnąłem pod pachą biografię Newtona i ruszyłem dalej, a potem skręciłem w następną przecznicę, żeby nie przechodzić obok niego drugi raz - obok niego i tych zachęcających drzwi. Czy już dawno temu przywykłem do tych wszystkich

widoków i odgłosów wewnątrz i wystawanie przed lokalem w narastającym mroku przestało stanowić dla niego przykry obowiązek? Nie żałował już, że nie ogląda tego, co dzieje się w środku? Czy błądził gdzieś myślami, znudzony nawet tym, co miało z założenia podniecać?

W spokojnym domu Hadleyów godzinami leżałem przytomny w łóżku, stojącym obok drugiego, pustego, czując i słysząc świerki, choiny, rododendrony drapiące o uchylone okno, a gdzieś tam wznosiły się pełne bujnej zieleni szczyty, wspaniałość natury, która zdawała się wyłączać mnie ze swojego królestwa. A kiedy - pytało moje zmęczone ciało, zwracając się do tętniącego życiem umysłu - zgodziłem się na to wykluczenie?

Stojąc na ganku Kate nazajutrz rano, nie czułem wcale zakłopotania, tylko coś w rodzaju swojskości, a nawet niefrasobliwość, jakbym zjawiał się w odwiedzinie u starego przyjaciela albo jakbym sam był starym przyjacielem, który za chwilę naciśnie dzwonek. Otworzyła mi niemal natychmiast i znów miałem wrażenie, że wkraczam na scenę, tyle że raz już oglądałem spektakl i wiedziałem doskonale, jak rozstawione są rekwizyty. Tego dnia słońce świeciło mocno, jego blask zalewał swym strumieniem pokój. Zauważyłem tylko dwie zmiany: wielki bukiet kwitnących gałązek, różowych i białych, rozmieszczonych starannie w wazonie na stoliku pod oknem, no i samą Kate, która włożyła do dzinsów szafranową bawełnianą bluzkę, pozostawiając jednak wczorajszą biżuterię z turmalinu. Myślałem poprzedniego dnia, że ma oczy niebieskie; teraz były turkusowe, szerokie i czyste. Uśmiechnęła się, ale pełnym rezerwy, grzecznym uśmiechem, dowodzącym świadomości problemu, a ten problem stanowiłem ja, moja ponowna obecność w tym domu, moja potrzeba zadawania kolejnych pytań o męża, który już tu nie mieszkał.

Kiedy już podała kawę, usiadła na sofie naprzeciwko.

- Chyba musimy się zastanowić, jak się z tym dzisiaj uporać do końca - oznajmiła łagodnie; można było odnieść wrażenie, że wcześniej długo rozważała, jak mi to przekazać, nie raniąc moich uczuć czy nie ujawniając własnych.

- Tak, oczywiście - przyznałem, by jej pokazać, że potrafię przyjąć aluzję do wiadomości i że nie jest to dla mnie kłopot. - Oczywiście. I tak okazałaś mi mnóstwo zrozumienia. Zresztą jutro wieczorem powinienem być w Waszyngtonie, jeśli mi się uda.

- Więc nie wybiera się pan do college'u Roberta?

Ustawiła filiżankę na swoim zgrabnym, małym kolanie; zdawało mi się, że chce pokazać, jak można to zrobić. Jej ton był uprzejmy, typowo konwersacyjny. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie wyciągnę z niej dzisiaj mniej niż wczoraj.

- Myślisz, że powinienem? Co mógłbym tam znaleźć?

- Nie wiem - wyznała szczerze. - Mogę się założyć, że wciąż jest tam mnóstwo ludzi, którzy go znali, ale czułabym się niezręcznie, gdybym musiała osobiście załatwiać panu jakiś kontakt. Zresztą wątpię, czy ujawniał na uczelni te swoje nastroje. Ale znajduje się tam jego najlepsze płótno. Powinno wisieć w pierwszorzędnym muzeum - dobrze by je sprzedał. Nie ja jedna uważam, że to jego najwspanialsze dzieło, choć tak naprawdę nigdy mi się nie podobało.

- Dlaczego?

- Niech się pan sam przekona.

Siedziałem, obserwując jej elegancką, drobną sylwetkę po drugiej stronie salonu. Musiałem się dowiedzieć - czułem to - jak po raz pierwszy ujawniła się choroba Roberta, a czas umykał nam coraz bardziej. I musiałem albo przynajmniej pragnąłem wiedzieć, kim była jego ciemnowłosa muza.

- Zechciałabyś kontynuować swoją wczorajszą opowieść? - poprosiłem tak delikatnie, jak to tylko było możliwe. Gdyby nie udało mi się szybko uzyskać informacji o początkach jego problemów i pierwszych próbach leczenia, mógłbym nakierować ją ostrożnie na te sprawy, kiedy już by się rozkręciła. Przytaknąłem bez słowa, choć jeszcze nic nie powiedziała.

Na zewnątrz, w blasku słońca, sfrunął z góry kardynał; gałązka zakołysała się leciutko.

# 19

## *KATE*

Nasze wspólne życie w Nowym Jorku toczyło się z wolna albo mijało niczym błysk. W ciągu pięciu lat zajmowaliśmy trzy różne mieszkania - najpierw, krótko, moje lokum w Brooklynie, następnie niewiarygodnie mały pokój przy Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej niedaleko Broadwayu, niemal szafę wnękową z rozkładanym blatem kuchennym, który chował się w jeszcze mniejszej szafie, wreszcie mieszkanie na ostatnim dusznym piętrze pewnego budynku w Village. Kochałam każdą z tych okolic, tamtejsze pralnie, sklepy spożywcze, nawet miejscowych bezdomnych - wszystko, co mnie otaczało.

A potem, pewnego dnia, obudziłam się i pomyślałam: „Chcę wyjść za mąż. Chcę mieć dziecko”. Niemal tak to wyglądało - jednego wieczoru poszłam spać młoda i wolna, beztroska, pełna pogardy wobec konwencjonalnego życia innych ludzi, a następnego ranka, przed szóstą, kiedy wstałam, żeby wziąć prysznic i ubrać się do pracy w redakcji, stałam się zupełnie inną osobą. A może ta myśl przyszła mi do głowy między suszeniem włosów a wkładaniem spódnicy - chcę poślubić Roberta, mieć obrączkę na palcu i dziecko, a dziecko będzie miało kręcone włosy ojca i moje małe dłonie i stopy, i życie będzie lepsze, niż było kiedykolwiek. Wizja ta stała się nagle tak realna, że, jak mi się zdawało, musiałam tylko pokonać ostatni odcinek drogi i urzeczywistnić to wszystko, a potem byłabym już całkowicie szczęśliwa. Nie chciałam po prostu zająć w ciąży i zafundować sobie na Manhattanie dziecka wolnej miłości, jak na wpół żartobliwie powiedziałyby moja matka. Kojarzyłam dzieci z małżeństwem, małżeństwo z trwaniem, z maluchami dorastającymi na trójkołowych rowerkach i zielonych trawnikach - w końcu tak wyglądało moje dzieciństwo. Chciałam być jak matka, która schylała się, żeby włożyć nam skarpetki i zasnurować ciemnoczerwone buciki. Chciałam nawet nosić sukienki z jej młodości, które przy siadaniu wymagały złączenia nóg i starannego ich ułożenia pod kątem. Chciałam drzewa z huśtawką na podwórzu za domem.

I tak jak nie przyszło mi na myśl, by urodzić dzieci bez uprzedniego włożenia obrączki na palec, nigdy też nie brałam pod uwagę, że mogłabym wychowywać dziecko w

przytłaczającym mieście, które z czasem pokochałam. Trudno to wyjaśnić, ponieważ byłam taka pewna, że nie chcę niczego, tylko tego życia na Manhattanie, malowania, spotkań z przyjaciółmi w knajpach po pracy, rozmów o sztuce, obserwowania Roberta, jak w niebieskich bawełnianych bokserkach maluje w pracowni przyjaciela późnym wieczorem, podczas gdy ja rozkładam na kolanach przenośny blat, a potem wstaję rano, ziewając przed pracą, budząc się na dobre podczas spaceru pod karłowatymi drzewami do stacji metra. To była moja rzeczywistość i ci mali ludzie o kręconych włosach, którzy nawet jeszcze nie istnieli i nie mieli żadnych praw do moich marzeń na jawie, powiedzieli mi, żebym porzuciła to wszystko. I dziś, wiele lat później - pomimo powołania ich do istnienia, pomimo całego żalu, strachu, utraty Roberta, przeludnienia tej biednej planety i poczucia winy - moje dzieci są jedynym, czego nigdy nie żałowałam.

Robert nie chciał się wyrzec nawet odrobiny takiego życia, jakie wiedliśmy w Nowym Jorku. Myślę, że zadecydowała perswazja ciała, która kazała mu zmienić zdanie jakby ze względu na mnie. Mężczyźni też uwielbiają robić dzieci, choć powtarzają uparcie, że nie czują tego tak jak kobiety. Wydaje mi się, że to moja pasja przesądziła sprawę. Tak naprawdę nie marzył o zielonym miasteczku czy pracy w niewielkim college'u, ale, jak przypuszczam, wiedział również, że prędzej czy później to młodzieńcze życie po studiach, życie, które wspólnie składaliśmy po kawałku, musi ustąpić przed czymś innym. Już szło mu nieźle, miał wystawę, na którą przyszli wykładowcy jego wydziału, sprzedał sporo obrazów w Village. Jego matka, wdowa mieszkająca w New Jersey, która wciąż robiła mu swetry na drutach, szyła kamizelki i nazywała go Bobbee, co wymawiała z tym swoim francuskim akcentem, zadecydowała, że Robert będzie w końcu wielkim artystą - prawdę powiedziawszy, żeby mógł malować, zaczęła przysyłać mu po trochu spadek, który odziedziczył po ojcu.

Myślę, że czuł się niezwykły, skoro na samym początku dopisywało mu takie szczęście. Talent dostrzegał u niego każdy, kto widział jego prace, bez względu na to, czy podobał mu się taki tradycjonalizm. Robert uczył w klasie początkujących na wydziale, który ukończył, i dzień za dniem tworzył te wczesne obrazy, które dziś znajdują się w niejednej kolekcji - są wspaniałe, rozumie pan. Wciąż tak uważam.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczęłam mówić o dzieciach, Robert pracował nad czymś, co nazywał dość poważnie swoim cyklem Degasów - młode dziewczęta rozgrzewające się przy drążkach w szkole baletowej, pełne wdzięku i seksualne, ale tak naprawdę nieseksualne, wyciągające cienkie nogi i ramiona. Tamtej zimy przesiadywał godzinami w Metropolitan Museum, studiując małe baletnice Degasa, ponieważ pragnął, by te jego były takie same i jednocześnie inne. Na każdym z płócien Roberta znajdowała się

jakaś anomalia, może nawet dwie - wielki ptak próbujący wdrzeć się do sali przez okno za plecami tancerek czy miłorzęb japoński rosnący przy ścianie na zewnątrz i odbijający się w nieskończoności luster. Galeria w Soho sprzedała dwa takie obrazy i poprosiła o więcej. Ja też malowałam, trzy razy w tygodniu po pracy, bez względu na wszystko - pamiętam dyscyplinę, jaką sobie wtedy narzuciłam, uczucie, że może nie jestem taka dobra jak Robert, ale że jednocześnie moja twórczość z każdym tygodniem nabiera wartości i mocy. Czasem, w sobotnie popołudnia, zabieraliśmy sztalugi do Central Parku i malowaliśmy razem. Byliśmy zakochani - uprawialiśmy seks dwa razy dziennie w weekendy, więc dlaczego mieliśmy rezygnować z dzieci? Jestem pewna, że był zaskoczony nowym rytuałem miłosnym, który mu narzuciłam, ponieważ ten aspekt naszego życia uważał za niezwykle ważny, i że był też zaintrygowany odczuciem, jakie rodziło w nim przepływające między nami nasienie, nieuchronnym rozkwitaniem naszej więzi.

Pobraliśmy się w małym kościółku przy Dwudziestej Ulicy. Chciałam ślubu cywilnego, ale w końcu zdecydowaliśmy się na skromny, katolicki, żeby sprawić przyjemność matce Roberta. Moja matka przyjechała z Michigan i przywiozła ze sobą moje dwie najlepsze przyjaciółki ze szkoły średniej. Nasze matki polubiły się od razu, siedziały obok siebie podczas ceremonii, dwie wdowy, a moja teściowa od razu ujrzała we mnie swoje drugie dziecko. W prezencie ślubnym zrobiła mi sweter, co brzmi nieco okropnie, ale był to przez lata jeden z moich skarbów - w kolorze złamanej bieli, z kołnierzem jak puch dmuchawca. Zresztą pokochałam ją od pierwszego spotkania. Była wysoką, wymizerowaną i wesołą kobietą; zaaprobowała mnie z powodu, którego nie potrafiłam zgłębić, i żywiła przekonanie, że moja znajomość dziesięciu czy dwunastu słów jej ojczystego języka może przerodzić się w biegłość, jeśli tylko będę wytrwale nad nią pracować. Ojciec Roberta, oficer zatrudniony przy realizacji planu Marshalla, zabrał ją z powojennego Paryża, który opuściła bez wielkiego żalu, jak się zdaje. Nigdy tam nie wróciła i całe jej życie obracało się wokół pielęgniarstwa, którego wyuczyła się w Stanach, i wokół cudownego syna.

Odnosiłam wrażenie, że ta ceremonia - akt małżeństwa - nie zmieniła Roberta. Zachowywał się cały czas normalnie i był w nieskomplikowany sposób szczęśliwy, uczestnicząc ze mną w owej uroczystości, jakby nieświadomy faktu, że włożył na tę okazję garnitur. Miał przekrzywiony z przodu krawat, jedyny, jaki kiedykolwiek posiadał, i farbę pod paznokciami. Zapomniał ściąć włosy, na co szczególnie należałam, zanim stanie przed księdzem katolickim i moją matką, ale przynajmniej nie zgubił obrączek. Kiedy wypowiadaliśmy słowa nieznannej przysięgi, obserwowałam go ukradkiem, czując, że jest taki jak zawsze - jest sobą, wiecznie sobą, że równie dobrze mógłby stać ze mną i naszymi

przyjaciółmi w ulubionym barze, zamawiając kolejne piwo i rozwodząc się nad zagadnieniami perspektywy. A ja byłam rozczarowana. Chciałam, by stał przy mnie odmieniony - przeistoczony już za sprawą początkowego akordu nowej ery w naszym życiu.

Po uroczystości poszliśmy do restauracji w samym sercu Village i tam spotkaliśmy się z kręgiem znajomych - sprawiali wrażenie wyjątkowo schludnych, kilka kobiet miało nawet buty na wysokim obcasie. Zjawilo się też moje rodzeństwo, brat i siostra, z dalekiego Zachodu. Wszyscy zachowywali się trochę oficjalnie; nasi przyjaciele ściskali, a nawet całowali dłonie naszych matek. Kiedy już połało się trochę wina, koledzy Roberta ze studiów zaczęli wznosić nieprzyzwoite toasty, co mnie trochę zawstydziło. Ale nasze matki, siedzące jedna obok drugiej, zamiast okazać oburzenie czy szok, miały zarumienione policzki i śmiały się jak podlotki. Nie widziałam swojej matki tak szczęśliwej od bardzo dawna. Poczułam się wtedy trochę lepiej.

Robert nie zadał sobie trudu, by rozejrzeć się za pracą gdzie indziej, dopóki nie zaczęłam suszyć mu o to głowy - chciałam, żebyśmy znaleźli to przytulne miasto z domem, na który pewnego dnia byłoby nas stać. Tak naprawdę w ogóle mnie nie posłuchał. To miejsce w Greenhill załatwił mu jeden z wykładowców, ponieważ Robert wpadł przypadkiem do jego gabinetu i zaprosił go na improwizowany lunch, a podczas lunchu nasz gość akurat przypomniał sobie o wolnej posadzie, o której właśnie usłyszał. Ów wykładowca miał starego przyjaciela, rzeźbiarza i ceramika, nauczyciela w Greenhill. To wspaniałe miejsce dla artysty, oznajmił Robertowi podczas posiłku; Karolina Północna pełna jest artystów żyjących prawdziwym, czystym życiem, uprawiających po prostu swoją sztukę, a Greenhill College ma powiązania z Black Mountain College, ponieważ kilku studentów Josefa Albersa wyjechało stamtąd, kiedy szkoła się rozpadła, i zorganizowało wydział sztuk pięknych w Greenhill - miejsce w sam raz dla niego, mógłby tam też malować. Może i ja bym mogła, skoro już o tym mowa, klimat jest dobry i... no cóż, wyśle list polecający w jego sprawie.

Prawdę mówiąc, Robert w taki właśnie sposób zdobywa w życiu to, co się liczy - za sprawą przypadku, a ten przypadek jest zwykle szczęśliwy. Policjant wybacza mu przekroczenie prędkości i zmniejsza mandat ze stu dwudziestu do dwudziestu pięciu dolarów. Przyjmują jego spóźnione podanie o stypendium i jeszcze dorzucają środki ekstra na materiały. Ludzie uwielbiają mu pomagać, widząc, że niczego od nich nie oczekuje, że nie zdaje sobie sprawy zarówno z własnych potrzeb, jak i z odczuć innych ludzi, pragnących go wesprzeć. Nigdy tego nie rozumiałam. Wydawało mi się, że uprawia coś w rodzaju oszustwa, że nieświadomie wykorzystuje ludzi, ale teraz uważam, że w jego przypadku życie po prostu samo z siebie rekompensuje to, czego mu brakuje.

Byłam w ciąży, zanim przeprowadziliśmy się do Greenhill. Uświadomiłam Robertowi, że wielkie miłości mojego życia zaczynają się zawsze od wymiotów. Na dobrą sprawę nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Spakowałam rzeczy w naszym mieszkaniu w Village, resztę rozdałam przyjaciołom, którzy zostawali (daleko, myślałam z żalem) w naszym dawnym życiu. Robert obiecał, że zorganizuje paczkę znajomych, by pomogli nam załadować ciężarówkę, którą wynajęliśmy, ale zapomniał, albo oni zapomnieli, i skończyło się na tym, że zatrudniliśmy dwóch chłopaków wprost z ulicy i ci znieśli nasz dobytek z ostatniego piętra na chodnik. Sama wszystko pakowałam, bo Robert musiał coś jeszcze załatwić w ostatniej chwili na swoim wydziale i w pracowni. Kiedy wreszcie mieszkanie było ogołocone i posprzątane, żeby właścicielka nie mogła zatrzymać depozytu, Robert pojechał ciężarówką do pracowni i zabrał z niej pudła z materiałami malarskimi i naręcze płócien. Nie spakował ani jednej rzeczy ze swojej garderoby, żadnego garnka czy patelni, jak sobie później uświadomiłam - tylko ten sprzęt z pracowni. Siedziałam w tym czasie w wozie, na wypadek gdyby pojawiła się policja lub straż miejska i kazała mi go przestawić.

Tkwiąc tak w sierpniowym słońcu, które rozgrzewało kierownicę, głaskałam się po brzuchu; już nabrzmiewał, nie od dziecka wielkości orzeszka, co widuje się na plakatach wiszących w przychodni, tylko od mojego jedzenia i wymiotów, mojej obwisłości i miękkości, braku chęci, by cokolwiek w sobie utrzymać. Kiedy przesunęłam dłonią po wypukłości, poczułam, jak topnieje we mnie pragnienie posiadania tej osoby rosnącej w moim brzuchu i życia, które nas czekało. Nigdy wcześniej nie zaznałam czegoś takiego - potem ukrywałam to nawet przed Robertem, ponieważ nie umiałabym mu tego wytłumaczyć. Kiedy zszedł na dół z ostatnim stosem podniszczonych pudeł, z ostatnimi sztalugami, zerknęłam na niego przez boczną szybę i zobaczyłam, że jest radosny, że rozpira go energia i pewność siebie - i że nie ma to nic wspólnego ze mną. Nie myślał o niczym innym, tylko o tym, by upchnąć te części swego dawnego życia na skrzyni ciężarówki, wraz ze stosem naszych beznadziejnych mebli. W tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek, zaczęłam przeczuwać, że popełniłam błąd, i miałam wrażenie, że moje dziecko pyta mnie szeptem: czy on się nami zaopiekuje?



5 listopada 1877

*Mon cher oncle,*

*Proszę, nie poczuć się dotknięty tym, że nie odpisałam szybciej; Twój brat, bratanek i dwoje służących - krótko mówiąc, większość domowników - cierpieli ostatnio na poważne zaziębienie, a ja byłam w rezultacie niezwykle zajęta. Nie ma się czym martwić, więc może powinnam jednak napisać znacznie wcześniej. Wszystko zmierza ku dobremu i Twój brat zaczął chodzić na spacerzy pod opieką służącego. Jestem pewna, że Yves wybierze się z nim dzisiaj; podobnie jak Ty zawsze ma na względzie zdrowie ojca. Już dawno skończyliśmy nową książkę, którą nam przesłałeś, i teraz czytam Thackeraya, także na głos Papie. Nie mogę przekazać zbyt wielu wiadomości, bo jestem bardzo zapracowana, ale myślę o Tobie ciepło*

*Béatrice de Clerval*

## 20

### *KATE*

Zatrzymaliśmy się na lunch w odległości kilkunastu kilometrów na północ od Waszyngtonu; zajechaliśmy na parking przydrożny i rozprostowaliśmy nogi. Zaczynałam odczuwać skurcze w stopach od samego myślenia o nich. Na parkingu były stoliki, wokół rosły dęby - Robert sprawdził, czy na ziemi nie ma psich odchodów, i położył się, by uciąć sobie drzemkę. Porządkował do późna swoją pracownię, a potem jeszcze coś zapewne rysował i pił koniak, który wyczułam, kiedy wgramolił się do łóżka, na którym leżała nasza jeszcze niespakowana pościel. Pomyślałam wtedy, że to ja powinnam prowadzić; bałam się, że może zasnąć nazajutrz za kierownicą.

Czułam się szczerze poirytowana - byłam ostatecznie w ciąży, a on nie pomógł mi specjalnie w przygotowaniach do podróży; nie przyszło mu nawet na myśl coś tak oczywistego jak to, że przed długą podróżą należy porządnie się wyspać. Wyciągnęłam się obok niego na trawie, nie dotykając go. Wiedziałam, że pod koniec dnia będę zbyt zmęczona, żeby prowadzić, ale gdyby się teraz wyspał, to w krytycznym momencie mógłby mnie zmienić za kierownicą. Miał na sobie starą żółtą koszulę z przypinanym kołnierzykiem, teraz luźnym i zakrzywiającym się po prawej stronie, zapewne jeden z nabytków ze sklepu z używaną odzieżą, coś, co było swego czasu wykonane z porządnego materiału, teraz zaś nabrało przyjemnej miękkości. W kieszonce na piersi dostrzegłam kawałek papieru; leżąc tam i nie mając nic do roboty, ostrożnie go wyciągnęłam. Przypuszczałam, że to rysunek, i tak też było. Rozłożyłam kartkę - nakreślony z talentem, grubym ołówkiem, szkic kobiecej twarzy.

Byłam pewna, że nigdy wcześniej jej nie widziałam. Znałam jego przyjaciółki, które pozowały mu w Village, i małe baletnice, których rodzice wyrazili pisemną zgodę na to, by Robert je rysował albo malował; wiedziałam też, kiedy improwizuje, tworząc z głowy. Ta kobieta była dla mnie obca, lecz Robert dobrze ją rozumiał - ta myśl dosłownie biła z kartki. Twarz spoglądała na mnie, tak jak zapewne spoglądała na Roberta pod jego dłonią, świadomie, oczy były świetliste, poważne i pełne miłości. Wyczuwałam artystyczne spojrzenie, jakim ją obrzucał. Jego talent i jej oblicze wydawały się nierozzerwalnie splecione,

nie do rozróżnienia, a mimo to była rzeczywistą kobietą, kimś o delikatnie ukształtowanym nosie i policzkach, brodzie nieco zbyt kwadratowej, ciemnych włosach, zmierzwionych i kręconych jak u Roberta, ustach bliskich uśmiechu, lecz oczach intensywnych i uważnych. Te oczy płonęły na kartce - duże, lśniące i pozbawione cienia świadomego kamuflażu. To była twarz kobiety zakochanej. Poczułam, jak sama się w niej zakochuję. Była osobą, która mogła z takim samym prawdopodobieństwem wyciągnąć rękę - bez ostrzeżenia - i dotknąć twojego policzka, co przemówić.

Nigdy nie wątpiłam w uczucia Roberta, z powodu nieuwagi, z jaką traktował otoczenie, i jego wrodzonej odpowiedzialności. Przyglądając się tej twarzy nakreślonej z miłością, poczułam się zazdrosna, powiększona przez tę zazdrość i jednocześnie mała, jakby przytłaczało mnie uporczywe obstawanie przy tym, że Robert jest mój. Był moim mężem, współlokatorem, bratnią duszą, ojcem małej roślinki na mojej zdezorientowanej glebie, kochankiem, który sprawił, że po latach względnej samotności wielbiłam jego ciało bez zahamowań, osobą, dla której wyrzekłam się dawnej siebie. Kim była owa Nikt? Osobą poznaną na uczelni? Jedną z jego studentek, może młodą koleżanką z wydziału? Czy też po prostu kopiował czyjś rysunek, pracę kogoś innego? Twarz nie była właściwie młodzieńcza - dowodziła natomiast, że wiek nie jest problemem, skoro kwestia piękna została tak doskonale rozwiązana. Czy była w rzeczywistości starsza od Roberta, który z kolei był starszy ode mnie? Może chodziło o modelkę, wobec której żywił jakieś szczególne uczucie, ale której nigdy nie dotknął, więc oskarżając go o to, tylko bym umniejszyła siebie? Czy też jednak jej dotykał i myślał, że bym tego nie zrozumiała, ponieważ jestem gorszą artystką?

Wtedy uświadomiłam sobie z cieniem gniewu, że od trzech miesięcy nie wzięłam do ręki ołówka ani pędzla - odkąd zaszłam w ciążę i zaczęłam pakować i porządkować nasze fizyczne, praktyczne życie. I, co gorsza, nie tęskniłam za tym. Ostatnie miesiące w pracy były kieratem, w domu też miałam mnóstwo roboty, która wyciskała ze mnie siły. Czy Robert rysował gdzieś tę piękność, podczas gdy ja harowałam, by przygotować wszystko do wyjazdu? Kiedy i gdzie ją poznał? Siedziałam na starannie ostrzyżonej trawie przydrożnego parkingu, czując przez cienką sukienkę żdźbła i mrówki, a na ramionach i głowie kojący cień dębów, i zadawałam sobie raz za razem pytanie: co powinnam zrobić?

W końcu odpowiedź sama się nasunęła. Nic nie chciałam zrobić. Gdybym się bardzo postarała, wysiliła umysł, to mogłabym przekonać siebie, że ta kobieta to wytwór jego wyobraźni, ponieważ tak też mu się zdarzało rysować. Gdybym natomiast zaczęła go wypytywać, pragnąc dojść prawdy, stałabym się w jego oczach mniej pożądana. Zrobiłabym z siebie ciężarną, dokuczliwą, paranoiczną żonę, zwłaszcza jeśli ta kobieta nic nie znaczyła,

albo też odkryłabym coś, czego wcale nie chciałam wiedzieć, po prostu nie chciałam, tak jak nie chciałam zniszczyć naszego nowego życia. Jeśli ta kobieta mieszkała w Nowym Jorku, to i tak ją porzucaliśmy, a gdyby Robert z jakiegoś powodu zechciał tam pojechać, zawsze mogłabym mu towarzyszyć. Złożyłam kartkę z tą uroczą i piękną twarzą i wsunęłam z powrotem do kieszeni na jego piersi. Spał jak zwykle głęboko, można było nim przez kilka minut potrząsać albo mówić do niego głośno bez jakiegokolwiek skutku, nie bałam się więc, że go zbudzę.

Przekroczenie nazajutrz granicy Karoliny Północnej było spektakularne - siedziałam za kierownicą i obudziłam Roberta krzykiem radości. Podjechalśmy do Greenhill od strony północnej, przez długą przełęcz w Blue Ridge, po czym skierowaliśmy się na wschód, węższą trasą, ku Greenhill College. Sama uczelnia znajduje się właściwie w miejscowości Shady Creek, w paśmie górskim zwanym Craggies. Robert przejeżdżał kiedyś tędy z rodzicami, w drodze na wakacje, dawno temu, i niewiele pamiętał, a ja nigdy nie zapaściłam się tak głęboko na Południe. Powiedział, że chce prowadzić przez resztę drogi, więc zamieniliśmy się miejscami. Było wczesne popołudnie, farmy, pola w dolinach rzecznych i drzewa wydawały się uśpione w słońcu, w dali majaczyły zamglone granie, a gdy zaczęliśmy piąć się po jakiejś bocznej drodze, rozległ się nagle szum potoku. Powietrze, które napływało do dusznej kabiny, było chłodne, jakby wprost z jaskini albo lodówki - drgało na naszych rozgrzanych twarzach i pieściło nam dłonie.

Robert zwolnił przed zakrętem, wychylił się przez okno i wskazał wycięty w drewnie napis: „Greenhill College, założony jako Craggy Farm School w 1889 roku”. Pstryknęłam zdjęcie aparatem, który dała mi matka, nim przeprowadziłam się do Nowego Jorku. Napis otaczała rama z szarego kamienia polnego; tablicę ustawiono na polu porośniętym wysoką trawą i paprociami, a dalej widać było ciemne zarośla i trakt wiodący w głąb lasu. Przyszło mi do głowy, że zostaliśmy zaproszeni do rustykalnego rajku - spodziewałam się, że zobaczę trapera czy kogoś takiego, jak wyłania się z zarośli ze swoją strzelbą i psem. Trudno było mi uwierzyć, że zaledwie dzień wcześniej byliśmy w Nowym Jorku, a nawet - że Nowy Jork w ogóle istnieje. Próbowałam sobie wyobrazić naszych przyjaciół wracających na piechotę z pracy czy czekających w przegrzanym metrze, bezustanny zgiełk ruchu ulicznego, głosy w powietrzu. Wszystko to zniknęło. Robert zjechał na pobocze drogi i zatrzymał ciężarówkę; wysiedliśmy bez słowa. Podszedł do tablicy z ręcznie wyciętym napisem i starannie pomalowanymi literami - wykonanej przez studentów college'u? Zrobiłam mu zdjęcie, jak opiera się o ten znak, z rękami triumfalnie skrzyżowanymi na piersi, już przypominając

prostaka z prowincji. Silnik ciężarówki cykał po swojemu i parował w kurzu.

- Możemy jeszcze zawrócić - powiedziałam figlarnie, żeby go rozbawić.

Rzeczywiście się roześmiał.

- Na Manhattan? Żartujesz?

15 listopada 1877

*Cher oncle et ami,*

*Proszę, nie myśl, że zapomniałam o Tobie, skoro nie pisałam! Twoje listy są bardzo słodkie i sprawiają nam wszystkim ogromną radość, ja zaś bardzo sobie cenię te, które mi przesyłasz - tak, czuję się dobrze. Yves spędzi dwa tygodnie w Prowansji, co oznacza mnóstwo przygotowań w domostwie. Ministerstwo zleciło mu zorganizowanie nowego urzędu pocztowego, który w przyszłym roku przekaze pod jego nadzór. Papa jest bardzo zaniepokojony wyjazdem Yves'a i twierdzi, że powinniśmy znaleźć jakiś przepis, który nakazywałby władzom zwolnienie z obowiązku dalekich podróży osób obarczonych niewidomym ojcem. Mówi, że Yves jest jego laską, a ja oczami. Być może przypuszczasz, że stanowi to pewien ciężar, lecz, proszę, nie myśl tak nawet przez chwilę - żadna jeszcze młoda kobieta nie miała miłszego teścia niż ja, o czym doskonale wiem. Obawiam się, że będzie cierpiał bez syna przy boku, nawet przez względnie krótki czas, a ja nie mam odwagi jechać do siostry pod nieobecność Yves'a. Może przyjdiesz któregoś wieczoru, żeby nas rozbawić - prawdę powiedziawszy, Papa będzie nalegał, jestem tego pewna! Tymczasem dziękuję także za pędzle, które przysłałeś mi w paczce. Są najdoskonalsze, jakie kiedykolwiek widziałam, a Yves jest zadowolony, że będę miała się czym zająć pod jego nieobecność. Mój portret małej Anne jest gotowy, podobnie jak dwie sceny ogrodowe ukazujące nadejście zimy, ale wydaje się, że nie potrafię zacząć niczego nowego. Twoje pędzle będą moim natchnieniem. Nowoczesny, naturalny styl krajobrazu bardzo mi się podoba, być może bardziej niż Tobie, i próbuję go uchwycić, choć oczywiście niewiele można zrobić o tej porze roku.*

*Tymczasem najserdeczniejsze pozdrowienia od Twej wielbicielki*

*Béatrice de Clerval*

## 21

### *MARLOW*

Kate odstawiła na stolik swoją filiżankę z glazurowanym motywem jeżyn. Dostrzegłem w tym drobnym geście jakby prośbę, bym pozwolił jej zamilknąć. Skinąłem głową i od razu wyprostowałem się na sofie; zastanawiałem się, czy w jej oczach błysnęły łzy.

- Zróbmy przerwę - zaproponowała, choć miałem wrażenie, że już to uczyniliśmy. - Chciałby pan zobaczyć pracownię Roberta?

- Dużo malował w domu? - Starąłem się nie okazywać zbyt gorliwości.

- No cóż, w domu i na uczelni - wyjaśniła. - Głównie na uczelni, oczywiście.

Na górze główny korytarz pełnił też funkcję małej biblioteki ze spłowiałym dywanem i oknami wychodzącymi na rozległy trawnik. Jeszcze więcej powieści, zbiory opowiadań, encyklopedie. Na jednym końcu stał stół z przyborami rysunkowymi, ołówkami sterczącymi ze słoika, dużym otwartym szkicownikiem - w nim czyjś rysunek okien; czy w końcu dostrzegałem tu Roberta? Lecz Kate zauważyła moje spojrzenie.

- Tu pracuję - wyjaśniła zwięźle.

- Pewnie sporo czytasz - zaryzykowałem.

- Tak. Robert zawsze uważał, że spędzam za dużo czasu na lekturze. Wiele z tych książek należało do moich rodziców.

A więc to były jej książki, nie jego. Zauważyłem, że na piętrze jest kilka pokoi, niektóre były zamknięte, inne otwarte; widać było starannie pościelone łóżka. W jednym z nich - wreszcie - zobaczyłem zabawki rozrzucone bez troski po podłodze. Kate otworzyła któreś z zamkniętych drzwi i wprowadziła mnie do środka.

Wciąż wyczuwało się tu woń rozpuszczalników, a także farb olejnych - zastanawiałem się, jak taka schludna gospodyni, na jaką wyglądała (schludniejsza nawet niż moja matka), mogła tolerować ten zapach na piętrze domu. Być może, tak jak ja, uważała go za przyjemny. Weszliśmy bez słowa do pokoju; od razu uświadomiłem sobie jego pogrzebową atmosferę. Artysta, który tu pracował przed mniej więcej rokiem, nie był martwy, ale leżał teraz gdzieś

daleko na łóżku, wpatrując się w sufit ośrodka psychiatrycznego. Kate podeszła do dużego okna i rozchyliła drewniane żaluzje; do środka wtargnął blask słoneczny, dla którego zapewne Robert wybrał ten pokój na swoją pracownię. Światło padło na ściany, na obrócone tyłem płótna w kącie, długi stół, puszki pełne pędzli. A także na zgrabne regulowane sztalugi, na których wciąż znajdował się obraz, niemal ukończony, obraz, który zelektryzował moje zmysły.

Ściany były dosłownie obwieszane reprodukcjami płócien - głównie pocztówkami z muzeów, uwieczniającymi każdą epokę sztuki zachodniej. Dostrzegłem dziesiątki dzieł, które znałem, i równie dużo takich, których nie znałem. Z każdego skrawka powierzchni wyzierały twarze, łąki, suknie, góry, łabędzie, stogi siana, owoce, statki, psy, dłonie, piersi, gęsi, wazony, domy, martwe bażanty, madonny, okna, kapelusze, drzewa, konie, drogi, święci, wiatraki, żołnierze, dzieci. Dominowali impresjoniści; mogłem bez trudu wyłowić z tego chaosu Renoira, Degasa, Moneta, Morisot, Sisleya i Pissarra, choć były tu też inne reprodukcje, niewątpliwie impresjonistyczne, ale dla mnie zupełnie nowe.

Sam pokój wyglądał tak, jakby jego lokator opuścił go w przypiływie gwałtownego odruchu; na stole leżał stos stwardniałych od farby pędzli - dobrych pędzli, teraz zmarnowanych - i brudna szmata. Nie dokończył nawet sprzątanego, ten mój pacjent, który w ośrodku psychiatrycznym brał codziennie prysznic i się golił. Jego była żona stała na środku pokoju, słońce dotykało jej włosów o barwie piaszczystej wydmy. Emanowała blaskiem, w którym młodzieńcze piękno już przygasło, i - jak sobie pomyślałem - gniewem.

Obserwując ją kątem oka, podszedłem do sztalug. Spoglądał z nich znajomy obiekt Roberta, kobieta o kręconych włosach, czerwonych wargach i olśniewających oczach. Miała na sobie strój, który mógł być staromodną koszulą nocną albo szlafrokiem, o marszczonym materiale, bladoniebieski i niedbale przytrzymywany pod szyją jedną białą dłonią. Miałem przed sobą wyrazisty romantyczny portret, niezwykle zmysłowy - ocalony przed sentymentalizmem przez szczery erotyzm; krągłość kobiecej piersi ukrywała się za przedramieniem, które kobieta wysuwała, by przytrzymać poły odzienia. Zauważyłem ze zdumieniem, że dłoń pod szyją trzyma także pędzel; na jego koniuszku widniał kobaltowy błękit, jakby ona sama została uchwycona podczas malowania, podczas pracy nad własnym obrazem. Tłem portretu, na pierwszy rzut oka, było nasłonecznione okno w kamiennym obramowaniu, z szybkami w kształcie rombów, wypełnione w dali szaroniebieskimi i czystymi chmurami. Pozostała część tła - pokój, w którym stała kobieta - była nieukończona, przechodząc w nagie płótno w górnym prawym rogu obrazu.

Twarz znałem dobrze, tak jak wspaniale kręcone, żywe, ciemne włosy, ale dwa



elementy tego portretu różniły go od wizerunków, które Robert bezustannie malował w swoim pokoju w Goldengrove. Pierwszym był styl dzieła, technika pędzla, podkreślony realizm; autor porzucił w tym wypadku sporadyczną chropowatość, swą współczesną wersję impresjonizmu. Obraz był wysoce realistyczny, miejscami niemal fotograficzny - faktura skóry odznaczała się gładkością późnego okresu średniowiecza i świadczyła o przywiązywaniu wagi do idealnie odtworzonych powierzchni. Przypominał mi, prawdę mówiąc, prerafaelitów i ich szczegółowe portrety kobiet; miał też ten mityczny charakter: luźna szata, wzrost kobiety, rozłożystość ramion, zewnętrzny splendor. Kilka cienkich czarnych kosmyków wymknęło się i muskało jej policzek i szyję. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście malował ją z fotografii, ale czy jako malarz w ogóle korzystał ze zdjęć?

Drugą rzeczą, która mnie zaskoczyła - nie, zaszokowała, szczerze mówiąc - był wyraz twarzy modelki. Na większości rysunków, które Robert tworzył w ośrodku, jego kobieta jawiła się jako poważna, nawet posępna, co najmniej zamyślona - czasem, jak już wspominałem, zagniewana. Tutaj, na obrazie, który zapewne przez większość czasu tkwił w ciemności, śmiała się. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. Pomimo dezabilu nie był to śmiech rozwiązły, ale radosny, inteligentne rozbawienie, przepełniona dowcipem miłość życia, naturalny ruch uroczych warg, błysk zębów, iskierki w oczach. Wydawała się na tym płótnie całkowicie, niemal przerażająco żywa; miałem wrażenie, że za chwilę się poruszy. Patrząc na nią, człowiek pragnął wyciągnąć rękę i dotknąć jej żywej skóry, tak, pragnął przyciągnąć ją do siebie i usłyszeć jej śmiech w swoim uchu. Blask słoneczny padał na nią strumieniami. Przyznam się: pożałowałem jej. To było arcydzieło, jeden z najgłębiej przemyślanych i po mistrzowsku wykonanych współczesnych portretów, jaki kiedykolwiek widziałem. Choć nieukończony, wymagał wcześniej - od razu to wiedziałem, przy pierwszym spojrzeniu - tygodni czy miesięcy pracy. Miesiące.

Kiedy odwróciłem się do Kate, nie mogłem nie dostrzec jej lekceważenia.

- Też się panu podoba, jak widzę - zauważyła lodowatym głosem. Obok tej damy na obrazie wydawała się mała i zmęczona, nawet skurczona. - Myśli pan, że mój były mąż ma talent?

- Bez wątplenia - odparłem.

Przylapałem się na tym, że zniżam głos, jakby mógł stać tuż za nami i słuchać - przypomniałem sobie pogardę, którą tyle razy widziałem na jego twarzy, kiedy mówiłem mu o jego rysunkach i płótnach. Ta połączona niegdyś węzłem małżeńskim para była teraz rozdzielona przez swą skomplikowaną historię, ale oboje wiedzieli, jak odpowiednio okazać lekceważenie, to pewne. Zastanawiałem się, czy czasem patrzyli na siebie w taki sposób. Kate

spoglądała na tę olśniewającą kobietę na sztalugach - kobietę, która zdawała się sięgać rozpromienionym wzrokiem gdzieś ponad nami. Odniosłem nagle wrażenie, że portret wypatruje Roberta Olivera, swego twórcy, że i on dostrzegł go stojącego za naszymi plecami. Niemal się odwróciłem, żeby sprawdzić, czy tak rzeczywiście jest. Było to denerwujące i nie odczułem szczególnej przykrości, kiedy Kate przysłoniła żaluzje, znów pogrążając damę na obrazie w mroku. Wyszliśmy z pracowni, Kate zamknęła za nami drzwi. Zadawałem sobie pytanie, kiedy znajdę odwagę i spytam ją o tożsamość osoby z portretu. Kto był jego modelką? Przegapiłem stosowny moment; zdawałem sobie sprawę, że się boję - że gdybym ją o to spytał, w ogóle przestałaby ze mną rozmawiać.

- Niczego nie zmieniałaś w pracowni - zauważyłem, siłąc się na obojętność.

- Nie - przyznała. - Wciąż mam zamiar coś z tym zrobić, ale chyba nie bardzo wiem co. Nie chcę przenieść tego wszystkiego w jakieś inne miejsce albo wyrzucić. Kiedy Robert gdzieś się w końcu osiedli, spakuję te rzeczy i prześlę mu, żeby mógł urządzić sobie pracownię na nowo. Jeśli kiedykolwiek gdzieś się osiedli. - Unikała mojego spojrzenia. - Dzieci będą niedługo potrzebować osobnych sypialni. Albo może sama w końcu urządzę sobie tam pracownię. Nigdy jej nie miałam. Zawsze wyносиłam sztalugi na zewnątrz, ale to oznaczało pracę tylko przy dobrej pogodzie, a potem mieliśmy dzieci... - urwała. - Czasem Robert proponował mi, żebym malowała w kącie jego pracowni, albo mówił, że może pracować na uczelni i odstąpić mi na ten czas pokój. Nie chciałam malować w kącie. I z pewnością nie chciałam, żeby spędzał więcej czasu poza domem.

Wyczułem z jej tonu, że nie powinienem pytać, dlaczego tego nie chciała. Milczałem więc, schodząc za nią na dół. Jej plecy w złotej bluzce były drobne i proste, ruchy ciała starannie kontrolowane, jakby chciała dać mi do zrozumienia, żebym nie odczuwał żadnego pragnienia czy chociażby ciekawości, jakby mogła ugodzić mnie tą wzniosłą kobiecą wrogością, gdybym tylko pozwolił swojemu wzrokowi po niej błędzić. Więc patrzyłem przez okno na brzozę, która rzucała na schody różane światło. Kate zaprowadziła mnie z powrotem do salonu i usiadła na sofie; w jej spojrzeniu było zdecydowanie. Zrozumiałem, że chce kontynuować, i biorąc się w garść, zająłem miejsce naprzeciwko.

14 grudnia

*Mon cher oncle,*

*Zeszłego wieczoru zasmakowaliśmy odrobinę życia towarzyskiego, a ja żalowałam, że nie mogłeś przyjść i cieszyć się razem z nami; oprócz zwykłych w takiej sytuacji przyjaciół Yves przyprowadził ze sobą Gilberta Thomasa, malarza ze znakomitej rodziny, który, jak powiadają, jest utalentowany - choć nie został w tamtym roku dopuszczony na Salon i bardzo to przeżył. M. Thomas jest chyba o dziesięć lat starszy ode mnie - musi więc być pod czterdziestkę. Jest czarujący i inteligentny, ale chwilami ujawniało się w nim coś gniewnego, co mi się nie podobało, zwłaszcza gdy mówił o innych malarzach. Był jednakże na tyle uprzejmy, by spytać, czy wolno mu obejrzeć moje prace, i jak się mi wydaje, Yves uważa, że człowiek ten, tak jak Ty, może mi pomóc. Wydawał się szczerze poruszony moim portretem małej Marguerite, nowej pokojówki, o której ci opowiadałam, a która ma niezwykle białą skórę i złote włosy; wyznaję, że schlebiało mi, iż tak bardzo chwali mój obraz. Powiedział też, że według niego, wzięwszy pod uwagę mój talent, jestem zdolna do wielkich dzieł; komplementował też moje ujęcie sylwetki. Uznałam wtedy, że jest bardzo miły, choć odrobinę zbyt pewny siebie (nie powiem pompatyczny, byś potem nie złażał mnie za snobizm). Wraz z bratem pragną założyć dużą galerię połączoną ze sprzedażą obrazów i śmiem twierdzić, że chciałby tam wystawić Twoje prace. Obiecał Yves'owi, że zjawi się jeszcze któregoś dnia i przyprowadzi ze sobą brata, i jeśli tak się stanie, też powinieneś koniecznie przyjść.*

*Gościliśmy też uroczego człowieka, niejakiemu pana Dupre, innego artystę, który jednakże pracuje dla pism ilustrowanych. Był niedawno w Bułgarii, gdzie ostatnio doszło do rewolucji. Słyszałam, jak mówił Yves'owi, że zna Twoje prace. Przyniósł nam kilka swoich rycin, które są bardzo szczegółowe i ukazują wszelkiego rodzaju potyczki i bitwy z udziałem kawalerii we wspaniałych mundurach - i kilka spokojnych scen z wieśniakami w strojach regionalnych. Powiada, że to górzysty kraj, w tej chwili raczej niebezpieczny dla dziennikarzy, ale pełen niezwykłych widoków. Pracuje obecnie nad cyklem, który nazwał Les Balkans Illustres. Ożenił się nawet z bułgarską dziewczyną o uroczym imieniu Yanka*

*Georgiewa i przywiózł ją do Paryża, by nauczyła się francuskiego - była akurat niezdrowa i nie mogła przyjść do nas tego wieczoru, ale pokazał mi, jak się pisze jej imię. Przylapałam się na tym, że chcę odwiedzać takie miejsca i oglądać je własnymi oczami. Wyznam, że było ostatnio nudno - Yves ma tyle pracy w tych dniach - ucieszyłam się zatem, mogąc wydać kolację pod swoim dachem. Mam nadzieję, że będziesz obecny następnym razem.*

*Muszę teraz kończyć, ale oczekuję z niecierpliwością wszystkiego, co możesz przesłać swej oddanej*

*Béatrice de Clerval*

## 22

### *KATE*

Naszym nowym lokum był duży zielony dom w rustykalnym stylu, własność college'u. Kiedy zaczęły się zajęcia, Robert był nieobecny częściej niż zwykle, zaczął też malować nocami na poddaszu. Nie lubiłam tam wchodzić ze względu na opary, więc trzymałam się od tego miejsca z daleka. Przechodziłam właśnie okres bezustannego zamartwiania się o dziecko, dzień i noc, może dlatego, że czułam, jak wierci się we mnie i kopie - „wyczuwałam życie”, według słów żony jednego z kolegów Roberta na wydziale. Ilekroć maleństwo się nie ruszało, byłam pewna, że jest chore albo, co bardziej prawdopodobne, martwe. Nie kupowałam już bananów w sklepie spożywczym, do którego docierałam naszym nowym, choć tak naprawdę bardzo starym samochodem, ponieważ czytałam gdzieś, że zawierają jakieś straszne chemikalia, mogące doprowadzić do uszkodzeń płodu. Jeździłam natomiast od czasu do czasu do Greenhill z wielkim pustym koszykiem i napełniałam go organicznymi owocami i jogurtami, na które nie było nas właściwie stać. Jak zamierzaliśmy posłać dziecko na studia, skoro nie mogliśmy sobie pozwolić nawet na zdrowe winogrona?

Wszystko to stanowiło dla mnie ogromny problem. Znowu straciłam wszelką nadzieję, że kiedykolwiek będę czymś innym niż tylko straszną, okropną matką, znudzoną i zniecierpliwioną, bezustannie połykającą valium. Żałowałam, że w ogóle udało nam się począć - żałowałam szlachetnie ze względu na biedne dziecko, które będzie musiało się zadowolić taką matką jak ja i na dodatek ojcem artystą. Boże, a jeśli jego nasienie zmutowało pod wpływem tych wszystkich oparów, które wdychał podczas malowania! Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Poszłam do łóżka z książką i płakałam. Potrzebowałam Roberta i kiedy siedzieliśmy przy kolacji, wyznałam mu wszystkie swoje lęki, a on mnie objął i całował, i przekonywał, że nie ma się o co martwić, ale po kolacji miał spotkanie na wydziale, ponieważ zamierzali przyjąć nowego specjalistę od miejscowego rzemiosła artystycznego. Wydawało się, że nigdy nie mam dość Roberta, a on najwyraźniej zbytnio się tym nie przejmował.

W gruncie rzeczy Robert, kiedy nie przebywał na uczelni, coraz częściej chodził na poddasze, i to zapewne tłumaczy, dlaczego tak długo się nie zorientowałam, że coś jest nie tak z jego godzinami snu. Pewnego ranka zauważyłam, że nie zszedł na śniadanie, domyśliłam się więc, że malował całą noc, co lubił niekiedy robić, a potem, ze wschodem słońca, położył się spać - nierzadko budziłam się i widziałam, że nie ma go w łóżku, ponieważ wkrótce po naszej przeprowadzce ustawił na poddaszu starą sofę. Pojawił się gdzieś koło południa, włosy sterczały mu na wszystkie strony. Zjedliśmy razem lunch, a potem poszedł na swoje popołudniowe zajęcia.

Myślę, że zapamiętałam ten dzień, bo jakiś czas potem, rano, miałam telefon z wydziału sztuk pięknych. Pytali, czy z Robertem wszystko w porządku, ponieważ jego studenci zgłosili, że dwa razy z rzędu nie zjawił się na porannych zajęciach w pracowni. Próbowałam sobie przypomnieć jego plan, ale nie mogłam - byłam straszliwie zmęczona, brzuch miałam tak wielki, że z trudem zginałam się wpół, żeby pościelić łóżko. Powiedziałam im, że spytam Roberta, jak go zobaczę, ale wydaje mi się, że nie ma go w domu.

W rzeczywistości zasnęłam i sądziłam, że wyszedł, zanim się obudziłam, ale teraz zaczęłam w to wątpić. Podeszłam do podnóża niskich schodów, które prowadziły na poddasze, i otworzyłam drzwi. Stopnie były dla mnie jak Mount Everest, ale podciągnęłam sukienkę i zaczęłam się wspinać. Przyszło mi do głowy, że taki wysiłek może wywołać poród, ale nawet gdyby - to co? Znajdowałam się już w bezpiecznej strefie, że tak powiem, czy raczej dziecko się znajdowało; położna oznajmiła mi wesoło, że mogę rodzić, „kiedy tylko mi się spodoba”. Byłam rozdarta między chęcią ujrzenia twarzy naszego syna czy córki a nadzieją na odwleczenie nieuniknionego dnia, kiedy to moja latorośl spojrzy mi w twarz i zrozumie, że nie mam pojęcia, co robię.

U szczytu schodów nie było drzwi, kiedy więc wgramoliłam się na ostatni stopień, widziałam całe poddasze. Pod sufitem były zainstalowane dwie nagie żarówki i obie się paliły. Przez okno dachowe wpadał do środka blask posępnego dnia. Robert spał na sofie - jedno ramię zwisało, opierając się o podłogę; dłoń była zwinięta do środka, zgrabna i barokowa. Twarz miał wciśniętą w poduszki. Spojrzałam na zegarek - była 11.35. No cóż, pracował pewnie do świtu. Sztalugi stały obrócone tyłem, zapach farby wciąż wydawał się silny. Zakrzusilałam się nagle, jakbym cofnęła się do pierwszego trymestru z jego żołądkowymi niepokojami, a potem odwróciłam się i ruszyłam w mozolną wędrówkę schodami w dół. Zostawiłam Robertowi kartkę na szafce kuchennej, z prośbą, żeby zadzwonił na swój wydział, zjadłam lekki lunch i wyszłam na spacer z nową przyjaciółką Bridgette. Też była w ciąży, z drugim dzieckiem, choć nie sprawiała wrażenia tak grubej jak ja;

obiecałyśmy sobie, że będziemy codziennie robić przynajmniej ze trzy kilometry.

Kiedy wróciłam do domu, na stole znajdowały się resztki lunchu Roberta, a moja karteczka zniknęła. Zadzwoił do mnie i powiedział, że musi zostać dłużej ze studentami i że może zje w stołówce. Poszłam tam na kolację, ale się nie pojawił. Słyszałam przez sen, jak skrzypią schody na poddasze, tak samo było następnej nocy, i jeszcze następnej. Czasem przekręcałam się na bok, a on leżał obok mnie, w odległości dłoni. Czasem budziłam się późnym rankiem, a jego nie było. Czekałam na dziecko i na niego, choć bardziej martwiłam się o to pierwsze. W końcu zaczął mnie dręczyć lęk, że zacznę rodzić i nie będę mogła znaleźć Roberta. Modliłam się, by siedział na poddaszu, malując albo śpiąc, gdy tylko poczuję ból; zdołałabym jakoś dotrzeć do podnóża schodów i wrzasnąć na niego.

Pewnego popołudnia, kiedy wróciłam ze spaceru, mając wrażenie, że pokonałam ze trzydzieści kilometrów, znowu zadzwonili z wydziału. Przepraszali, że o to pytają, ale czy widziałam Roberta? Odparłam, że go poszukam. Zaczęłam liczyć i doszłam do wniosku, że nie spał od wielu dni, przynajmniej nie w naszym łóżku, i że rzadko bywał w domu. Słyszałam czasem w nocy, jak skrzypią schody, i zakładałam, że maluje zawzięcie, próbując coś skończyć, zanim pojawi się dziecko. Znowu wgramoliłam się na górę i znalazłam go wyciągniętego na plecach, oddychał powoli i głęboko, a nawet chrapał leciutko. Była czwarta po południu i nie mogłam mieć nawet pewności, że wstawał tego dnia. Nie wiedział, że ma zajęcia, a na utrzymaniu żonę z mamucim brzuchem? Poczulałam przypływ gniewu i ruszyłam z wysiłkiem w stronę sofy, żeby nim potrząsnąć, lecz po chwili się zatrzymałam. Sztalugi były obrócone w stronę dużego okna dachowego, więc dostrzegłam przelotnie płótno i szkice, które zaścielały podłogę.

Od razu ją poznałam, jakbyśmy spotkały się na ulicy po dłuższym niewidzeniu. Uśmiechała się do mnie, jej usta były leciutko opuszczone, oczy błyszczące, wyraz twarzy znany z rysunku, który kilka miesięcy wcześniej wyciągnęłam z kieszeni Roberta na przydrożnym parkingu. Był to portret do pasa, w ubraniu. Widziałam teraz, jak urocze ma ciało, szczupłe, mocne, pełne, ramiona nieco szersze, niż można by oczekiwać, szyję giętką. Z bliska dawało się dostrzec pewną niewyraźność obrazu, chropowatość powierzchni, choć kształty były realistycznie i mocno zaznaczone - impresjonizm albo coś pokrewnego. Miała na sobie marszczoną beżową sukienkę ze szkarłatnymi paskami z przodu, podkreślającymi piersi, włosy były zebrane i przewiązane czerwoną wstążką - w moim ulubionym kolorze alizarynowego szkarłatu; wiedziałam dokładnie, jakiej farby użył do tych szczegółów. Rysunki na podłodze były szkicami do obrazu i od razu się zorientowałam, że to jedno z najlepszych płócien Roberta. Eleganckie i jednocześnie pełne stłumionej energii. Rzadko

widywałam tak genialnie uchwycony wyraz ludzkiej twarzy - miałam wrażenie, że lada chwila ta kobieta się poruszy, roześmieje cicho, spuści oczy pod wpływem mojego spojrzenia.

Obróciłam się wściekła w stronę kanapy, choć czy gniewałam się z powodu modelki na obrazie, czy niezwykłego talentu Roberta, czy też tego, że spał, kiedy dzwonili z pracy, od której zależało w przyszłości kupno jogurtów i pieluszek - nie potrafię panu w tej chwili powiedzieć. Potrząsnęłam nim. Robiąc to, przypominałam sobie, jak mi mówił, bym nigdy go nie szarpała - to go przerażało, wyznał, ponieważ słyszał kiedyś prawdziwą historię człowieka, który stracił rozum, kiedy został brutalnie wyrwany ze snu. Tym razem jednak się nie przejmowałam. Potrząsnęłam nim szorstko, nienawidząc jego wielkich ramion, jego nieświadomości, świata, w którym spał, śnił i malował - i podziwiał inne kobiety, takie o szczupłych taliach. Dlaczego wyszłam za tego niechlujnego, samolubnego człowieka? Po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że to wszystko moja wina, rezultat kiepskiej zdolności oceniania ludzi.

Robert poruszył się i wymamrotał:

- Co?

- Co znaczy „co”? - odparłam. - Jest prawie wpół do czwartej po południu. Nie poszedłeś na ranne zajęcia. Znowu.

Odczułam satysfakcję, widząc jego zaskoczenie.

- O, cholera - rzucił, siadając z widocznym wysiłkiem. - Mówiłaś, że która godzina?

- Wpół do czwartej - powtórzyłam z naciskiem. - Zamierzasz zachować posadę czy mamy wychowywać dziecko w skrajnym ubóstwie? Decyzja należy do ciebie.

- Och, przestań. - Odsunął powoli koce, jakby każdy ważył ponad dwadzieścia kilogramów. - Daruj sobie ten szlachetny ton.

- Nie jestem szlachetna - powiedziałam. - Może ci z wydziału będą, kiedy do nich oddzwonisz.

Spojrzał na mnie złym wzrokiem, drapiąc się po głowie, ale się nie odezwał, a ja poczułam ucisk w gardle. Doszło do mnie, że mogę zostać sama albo że już jestem sama. Wstał, włożył buty i zaczął schodzić na dół, a ja ruszyłam za nim, pełna obaw, że się potknę, niemal pozbawiona równowagi, żalonna. Chciałam być jak najbliżej niego, pocałować jego kędzierzawą głowę, przytrzymać się ramienia, zwymyślać go i podrapać mu plecy. Przez chwilę czułam nawet błysk fizycznego pożądania, nabrzmiewanie piersi i łona. Ale on mnie wyprzedził; słyszałam teraz, jak spieszy do kuchni. Kiedy tam dotarłam, rozmawiał przez telefon.

- Dzięki, dzięki - mówił. - Tak, to chyba niegroźny wirus. Do jutra na pewno



wyzdrowieję. Dzięki, oczywiście.

Odłożył słuchawkę.

- Powiedziałeś im, że masz gripę?

Miałam ochotę podejść do niego, objąć go za szyję, przeprosić za swoją porywczosć, przygotować mu trochę zupy, zacząć na nowo. W końcu pracował ciężko, malował godzinami; nic dziwnego, że był zmęczony. Jednak mój ton był płaski i nieprzyjemny.

- Nie twój interes, co im powiedziałem, jeśli zamierzasz tak ze mną rozmawiać - odparł i otworzył lodówkę.

- Malowałaś do późna?

- Pewnie, że malowałem do późna. - Poczulałam jeszcze większe zniechęcenie, kiedy wyjął słoik marynaty i piwo. - Jestem malarzem, pamiętasz?

- Co to właściwie ma znaczyć? - Teraz ja skrzyżowałam ramiona, wbrew sobie. Miałam na czym je oprzeć.

- Co ma znaczyć? Znaczy to, co znaczy.

- Malowanie w kółko tej samej kobiety?

Miałam nadzieję, że popatrzy na mnie z gniewną miną, że oznajmi chłodno, iż nie ma pojęcia, o czym mówię, że maluje to, co maluje, cokolwiek pragnie malować. Ku mojemu przerażeniu odwrócił jednak wzrok i z kamienną twarzą zaczął otwierać piwo. Zdawało się, że zapomniał o marynatach. Klóciliśmy się nie po raz pierwszy w ciągu tych niemal sześciu lat spędzonych razem czy nawet w ostatnim tygodniu, ale jeszcze nigdy nie odwrócił ode mnie spojrzenia.

W tym momencie nie mogłam wyobrazić sobie niczego gorszego niż cień winy na jego twarzy, unikanie mojego wzroku, ale po chwili stało się coś jeszcze okropniejszego - zwrócił się w moją stronę, ale tak, jakby mnie nie dostrzegał, i wlepił spojrzenie w jakiś punkt nad moim ramieniem; twarz mu wyraźnie złagodniała. Pomyślałam ze strachem, że od strony drzwi ktoś skrada się za moimi plecami, bezgłośnie - naprawdę zjeżyły mi się włoski na karku. Walczyłam ze sobą, by się nie odwrócić, kiedy tak patrzył, z łagodnym wyrazem twarzy, niewidzącym wzrokiem. Nagle stwierdziłam, że nie chcę wiedzieć nic więcej; budziło to we mnie lęk. Gdyby zakochał się w kimś innym, to i tak szybko bym się o tym dowiedziała. Teraz pragnęłam tylko się położyć, poczuć bliskość dziecka i odpocząć.

Wyszłam z kuchni. Postanowiłam, że jeśli straci pracę, wrócę do Ann Harbor i zamieszkać z matką. Moje dziecko będzie dziewczynką, a my, trzy pokolenia kobiet, skupimy się na codzienności i będziemy troszczyć się o siebie, dopóki mała nie dorośnie i nie poszuka sobie lepszego życia. Poszłam do naszej sypialni, położyłam się na łóżku, które

zaskrzypiało pod moim ciężarem, i przykryłam się kapą. W oczach wezbrały mi łzy słabości i popłynęły po policzkach. Otarłam je rękawem.

Po kilku minutach usłyszałam, jak zbliża się Robert, i zamknęłam oczy. Przysiadł na brzegu łóżka, które ugięło się jeszcze bardziej.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem być wredny. Jestem po prostu wykończony pracą na wydziale i malowaniem.

- To dlaczego sobie trochę nie odpuścisz? - spytałam. - Prawie cię nie widuję. Zresztą wydaje się, że przez większość czasu śpisz, a nie pracujesz.

Zerknęłam na niego. Jego twarz znów miała swój zwykły wyraz. Pomyślałam, że się wcześniej pomyliłam, że wcale nie wyglądał dziwnie.

- Nie w nocy - odparł. - Nie mogę spać w nocy. Mam natchnienie, cholerne natchnienie, i zdaje mi się, jakbym musiał je wykorzystać do końca. Myślę o nowym cyklu obrazów, o czymś z wieloma portretami, i czuję się tak, jakbym nie mógł zasnąć, dopóki nie odwałę trochę roboty. Potem naprawdę ogarnia mnie zmęczenie i muszę je odespać. Nie zmrużyłem oka chyba przez trzy noce.

- Mógłbyś trochę zwolnić - powtórzyłam. - Będziesz musiał, kiedy urodzi się dziecko.

Co może stać się w każdej chwili, dodałam w myślach, choć byłam zbyt przesadna, by powiedzieć to głośno. Poglaskał mnie po włosach.

- Tak - przyznał, ale zabrzmiało to machinalnie, a ja poczułam, że znów gdzieś odpłynął.

Pamiętam, że przyjaciółki matki, kiedy jeszcze chodziłam z nią do piaskownicy, mówiły, że mężowie czasem „fiksują” przed narodzinami dziecka - śmiały się z tego, jakby nie chodziło o nic poważnego. „Ale kiedy już zobaczą tego dzieciaka...” - dodawały, i wtedy każda z kobiet przytakiwała. Najwidoczniej pierwszy widok dziecka przywracał wszystko do normy. Może tak byłoby i z Robertem. Znów zaczęłby wstawać rano, jak Bóg przykazał, malować o normalnej porze, chodzić regularnie do pracy i kłaść się do łóżka, kiedy ja bym się kładła. Chodzilibyśmy na spacer z wózkiem, a wieczorem usypiali razem dziecko. Mogłabym znów zająć się malowaniem; ułożylibyśmy plan dnia, zajmowali się na zmianę pracą twórczą i dzieckiem. Może udałoby się przez jakiś czas trzymać je w naszym pokoju, a w drugiej sypialni urządzić moją pracownię.

Zastanawiałam się, jak to wszystko objaśnić Robertowi, jak o to poprosić, ale byłam zbyt zmęczona, żeby szukać odpowiednich słów; przecież powinien robić to wszystko ze mną i dla mnie z własnej i nieprzymuszonej woli; jakim inaczej zamierzał być ojcem? Od dawna mnie martwiło, że zawsze kiepsko się orientował, jak dużo czy jak mało mamy pieniędzy -

zazwyczaj jak mało - albo kiedy należy uregulować rachunki. Za każdym razem płaciłam je sama, lizałam znaczki i przyklejałam równo w prawym górnym rogu koperty; czyniłam to z poczuciem satysfakcji, nawet jeśli zdawałam sobie sprawę, że gdy wszystko zostanie uregulowane, to na naszym koncie pojawi się debet.

Robert ścisnął mnie za ramię.

- Zamierzam dokończyć obraz - oznajmił. - Chyba uda mi się to zrobić do jutra, jeśli zaraz wrócę do pracy.

- To studentka? - Zmusiłam się, by spytać go o to bez ogródek; bałam się, że później nie dam rady.

Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Na dobrą sprawę jakby nie uświadamiał sobie sensu pytania - nie dostrzegłam cienia winy.

- Kto?

- Ta kobieta na obrazie - wyjaśniłam, ponownie się do tego zmuszając. Miałam nadzieję, że nie odpowie.

- Och, nie korzystam z modelki - odparł. - Próbuję ją sobie wyobrazić.

Było to dziwne - nie wierzyłam mu, ale też nie wyczuwałam kłamstwa. Zrozumiałam z przerażeniem, że od tej pory będę przyglądała się uważnie wszystkim młodym twarzom na terenie uczelni, wszystkim głowom z ciemnymi kręconymi włosami. Nie miałyby to jednak najmniejszego sensu. Szkicował ją, jeszcze zanim wyjechaliśmy z Nowego Jorku albo w trakcie naszej przeprowadzki. Byłam pewna, że to ta sama twarz.

- Suknia... tak trudno namalować ją właściwie - dodał po chwili.

Marszczył czoło, drapał się po głowie, pocierał nos - normalne gesty świadczące o zakłopotaniu czy zamyśleniu. Boże, pomyślałam. Jestem paranoiczną idiotką. Ten człowiek to artysta, prawdziwy artysta, ma swoją własną wizję. Robi to, co chce, co mu przychodzi do głowy, a rezultat jest olśniewający. To wcale nie znaczy, że sypia z jakąś studentką albo że sypiał z jakąś modelką w Nowym Jorku. Nawet tam nie pojechał od czasu naszej przeprowadzki. To wcale nie znaczy, że nie będzie dobrym ojcem.

Wstał, zgiął swoją wysoką postać, by znów mnie pocałować, potem zatrzymał się w drzwiach.

- Och, byłbym zapomniał. Uczelnia wyznaczyła mnie na autora przyszłorocznej wystawy indywidualnej. Każdy wykładowca ma taką wystawę, ale nie przypuszczałem, że tak szybko wypadnie moja kolej. Dostanę też wtedy podwyżkę.

Usiadłam na łóżku.

- To wspaniale. Nie mówiłeś mi...

- Sam się dowiedziałem dopiero wczoraj. A może przedwczoraj. Chcę do czasu wystawy ukończyć ten obraz, może cały cykl.

Wyszedł, a ja się uśmiechałam, a potem na pół godziny przykryłam się narzutą. Być może, jak Robert, zasługiwałam na drzemkę.

Kiedy jednak, szukając go, znów weszłam na poddasze, stwierdziłam, że zdrapał farbę do gołego płótna, przygotowując je do oczyszczenia pod nowy obraz - może sukienka w czerwone paski rzeczywiście nie zagrała. Czułam niemal, że za drugim razem tylko sobie wyobraziłam tę twarz, to spojrzenie pełne smutnej miłości do niego.

18 grudnia

*Mon cher oncle et ami,*

*Jak to dobrze, że przyszedłeś wczoraj, gdy tylko zaczął padać deszcz, co nieodmiennie zapowiada okropny dzień. Cudownie było Cię widzieć i słuchać Twoich opowieści. A dzisiaj znowu pada! Żałuję, że nie umiem malować deszczu - jak się to właściwie robi? M. Monet zdołał tego dokonać, bez wątpienia. A moja kuzynka Mathilde, która kocha wszystko, co japońskie, ma w swoim salonie cykl rycin, o których stworzeniu francuscy artyści mogliby tylko pomarzyć - ale może deszcz jest w Japonii bardziej krzepiący niż w Paryżu. Jakżebym chciała wiedzieć, że cała natura poddaje się mojemu pędzlowi, jak zdaje się poddawać pędzlowi Moneta, nawet jeśli niektórzy nie wyrażają się przychylnie ani o nim, ani o jego kolegach i ich eksperymentach! Przyjaciółka Mathilde, Berthe Morisot, też z nimi wystawia, jak zapewne wiesz, i jest już szeroko znana (zbyt eksponowana, być może, na publicznych pokazach; wymaga to odwagi). Chciałabym, żeby znów spadł śnieg - piękna część zimy nadchodzi w tym roku powoli.*

*Na szczęście dostałam rankiem Twój list. To przemile, że do mnie napisałeś, tak jak do Papy. Nie zasługuję na Tve serdeczne słowa o moich postępach, ale przyznam, że atelier na werandzie naprawdę mi pomaga; spędzam tam godziny, kiedy Papa śpi. Z poranną pocztą nadeszła też wiadomość, że nieobecność Yves'a przedłuży się o dwa tygodnie, co jest dla nas wszystkich ciosem, ale szczególnie dla Papy. Chyba lepiej nie mieć dzieci, jak my, niż tylko jedno, jak mój teść, któremu to jedno jest tak drogie, a mimo to bezustannie wzywane do opuszczenia domu. Współczuję Papie, ale siedzimy razem przy kominku i czytamy głośno Villona. Jego dłoń jest teraz tak krucha, że mogłaby służyć za studium starczego wieku dla Leonarda czy jakiegoś rzeźbiarza rzymskiego z czasów starożytności. Jakie to wspaniałe, że praca nad Twoim ogromnym płótnem wciąż się posuwa i że twoje artykuły znajdują jeszcze szerszy oddźwięk! Upieram się przy swym prawie do poczucia dumy, jak każda krewna. Proszę, przyjmij gratulacje od swej kochającej bratanicy.*

*Béatrice*

## 23

### *KATE*

Ingrid urodziła się dwudziestego drugiego lutego w klinice położniczej w Greenhill. Nic nigdy nie zaćmi tej chwili, kiedy uświadomiłam sobie, że żyje i jest zdrowa - czuje się znakomicie, prawdę mówiąc - i tego późniejszego momentu, kiedy jej rączka zacisnęła się niczym węzeł na moim palcu. Poród też mnie nie zabił. Robert stał i dotykał małej, koniuszek jego palca był niemal tak duży jak jej nosek. Płakałam, podobnie jak on, i gdy spojrzałam na niego, poczułam tak głęboką miłość, że musiałam odwrócić wzrok od jego twarzy, która promieniała jak złożony pierścień. Nie rozumiałam wcześniej, co to oznacza być zakochaną - nie potrafiłam teraz zdecydować, którą z tych dwóch osób, drobniutką czy ogromną, Kocham bardziej. Dlaczego nigdy nie dostrzegłam boskości Roberta, odtworzonej w tej maleńkiej główce, która spoczywała na moim ciele, w orzechowych oczach rozglądających się dokoła z takim niedowierzaniem?

Daliśmy jej imię po mojej od dawna nieżyjącej babce z Filadelfii. Ingrid sypiała stosunkowo dobrze i po tej nocy utrwaliła się pewna rutyna. Robert i Ingrid spali, a ja leżałam, patrząc na nich lub czytając, albo chodziłam po domu, albo sprzątałam łazienkę, albo próbowałam zasnąć. Robert wydawał się zbyt zmęczony, żeby malować do późna - dziecko budziło nas trzy razy w ciągu nocy, co było niczym, jak go zapewniałam, ale co on uważał za wyczerpujące. Proponowałam, żeby ją nianczył, a on się roześmiał sennie i powiedział, że chętnie by to robił, gdyby mógł, ale jego mleko nie smakowałoby dziecku, nawet gdyby je miał. „Za dużo toksyn - oznajmił. - Wszystkie te farby...”

Poczułam ukłucie irytacji, która mogła być zazdrością - czyżbym dosłyszała w jego głosie samozadowolenie? W mojej krwi nie było żadnej farby, tylko zdrowa żywność i witaminy poporodowe, na które, jak uważałam, wciąż nie było nas stać, ale których nie mogłam odmówić dziecku. Ta fala miłości do Roberta, niemal uwielbienia, jaka zalała mnie w sali porodowej, odpływała z dnia na dzień, przygasiała wraz z bólem brzucha i mięśni nóg, a ja, świadoma straty, patrzyłam, jak się oddala. Było to jak widoczny gołym okiem kres młodzięczego zauroczenia, ale znacznie smutniejsze, i pozostawiało wyrwę, ponieważ teraz,

nie w wieku piętnastu lat, tylko po trzydziestce, wiedziałam, do jakich uczuć jestem zdolna, i te uczucia znikaly, znikaly. Patrzyłam jednak, jak Robert trzyma dziecko w zagięciu łokcia, dość fachowo, i je drugą ręką, i kochałam ich obydwójce - Ingrid zaczynała już obracać główkę, by na niego spojrzeć, a jej oczy były pełne zaskoczenia, jakie sama zawsze odczuwałam na widok tego wielkiego mężczyzny o kwadratowej twarzy i kręconych włosach.

Robert niewiele pomagał mi w domu. Wziął dodatkowe zajęcia w sesji letniej, żeby więcej zarobić, i byłam mu za to wdzięczna. Po jakimś czasie znów zaczął malować do późna na poddaszu, czasem zostawał też na noc w pracowni na wydziale. Wydawało się, że - choć Ingrid budziła nas w nocy - nie sypia już w ciągu dnia, w każdym razie tego nie zauważyłam. Pokazał mi dwa nieduże płótna, martwe natury, które zlecił studentom i w których sam spróbował sił, obrazy przedstawiające patyki i kamienie; uśmiechnęłam się i powstrzymałam od uwagi, że wydają mi się nieżywe. Rzeczywiście, martwa natura, *nature morte*. Kilka lat wcześniej może bym się z nim spierała, podjudzała trochę, podyskutowała, bo lubił oznaki zainteresowania, powiedziała, że potrzebuje jeszcze bezwładnego bażanta, by obraz był kompletny. Teraz w tych patykach i kamieniach widziałam głównie nasz chleb i masło, więc powściągnęłam język. Ingrid potrzebowała żywności dla dzieci, najlepiej organicznych marchewek i szpinaku, może też kiedyś zechciałaby studiować na dobrej uczelni, a moja jedyna piżama tydzień wcześniej przetarła się na kolanie.

Pewnego ranka, w czerwcu, kiedy Robert poszedł na zajęcia, postanowiłam pojechać do miasta po jakieś niepotrzebne sprawunki, głównie po to, by przełamać rutynę spacerów z wózkiem po terenie uczelni. Przygotowałam Ingrid i wsadziłam do kojca, żeby się pobawiła przez kilka minut, a sama w tym czasie zebrałam swoje rzeczy - sweter, kluczyki od wozu, torebkę. Moich kluczy od domu nie było na haku przy tylnych drzwiach i od razu zrozumiałam, że Robert musiał je zabrać, kiedy kończyłam śniadanie. Zdarzało się, że spóźniony jechał na zajęcia samochodem, a rzadko pamiętał, gdzie zostawił swoje klucze. Czułam narastającą irytację, niczym falę gorącą.

W przypiływie desperacji skierowałam się na schody prowadzące na poddasze, chcąc sprawdzić, czy klucze Roberta nie leżą przypadkiem pośród jego osobistych rzeczy na stole, który często przedstawiał sobą martwą naturę: pogniecione papiery, ołówki, serwetki ze stołówki, karty telefoniczne, nawet pieniądze. Byłam tak skupiona na szukaniu, że nie od razu się zorientowałam, co widzę - wciąż wbijałam wzrok w ten bałagan na stole, mając nadzieję, że znajdę klucze i wybiorę się na wymarzoną wycieczkę, gdy tymczasem otoczenie jakby ujawniało się stopniowo w miękkim mroku wnętrza. Pociągnęłam powoli za przewód, który

zapalał żarówki w tym pomieszczeniu. Nie byłam tu od dwóch miesięcy, jak sobie uświadomiłam, może nawet od czterech, które upłynęły od narodzin Ingrid. Dom był stary, rustykalny, o czym już wspominałam. Wewnętrzna strona dachu była niewykończona, belki stropowe i płytki odsłonięte; poddasze zajmowało całą długość budynku i w upalne dni zamieniało się w piekło, co na szczęście nie zdarzało się często, zważywszy na bliskość gór. Znowu zerknęłam bezradnie w stronę stołu, gdzie zalegały znajome śmieci, a potem jeszcze raz rozejrzałam się wokół.

Na dobrą sprawę nie potrafię opisać swego pierwszego wrażenia, powiem tylko, że krzyknęłam cicho, ponieważ zewsząd otaczała mnie wizja jednej kobiety, kobiety widniejącej wszędzie, na każdej powierzchni poddasza, w niewielkich częściach, różnych wersjach i powtórzeniach, kobiety rozczłonkowanej, tyle że bezkrwawo, pociętej na kawałki. Jej twarz już znałam i teraz dostrzegłam ją niezliczenie wiele razy w tym pokoju, uśmiechniętą, poważną, namalowaną we wszystkich możliwych rozmiarach i nastrojach, z włosami czasem zebranymi na czubku głowy, czasem przewiązanymi czerwoną wstążką, w ciemnym kapeluszu albo czepku, w sukience z dużym dekoltem, gdzieś z włosami rozpuszczonymi i nagimi piersiami, co przyprawiło mnie o jeszcze większy szok. Czasem był to tylko fragment, dłoń z małymi złotymi pierścionkami, wysoki staromodny but zapinany na guziki czy nawet studium pojedynczego palca, naga stopa albo, ku mojemu przerażeniu, stercząca sutka, starannie nakreślona, łuk nagich pleców, ramienia czy pośladka, głęboki cień włosów między udami, potem - co na zasadzie kontrastu sprawiało jeszcze silniejsze wrażenie - starannie zapięta rękawiczka, posępna czarna góra sukienki, dłoń trzymająca wachlarz albo bukiet kwiatów, ciało okryte płaszczem i tajemnicze, a potem znowu jej twarz, z profilu, trzy czwarte, od przodu, ciemnooka, smutna.

Drewno, na którym malował, zostało niegdyś oszlifowane - poddasza nie ukończono, ale nie było w stanie surowym - więc mógł umieścić na nim drobne szczegóły. Tło tego kolażu pokrył miękkim szarym błękitem i obramował kwiatami polnymi, nie tak dojmująco realistycznymi jak rozproszone wizerunki tej kobiety, ale zadziwiająco rozpoznawalnymi - różami, kwieciem jabłoni, glicyniami - kwiatami, które rosły na terenie uczelni i które oboje kochaliśmy. Belki zostały ozdobione długimi, wijącymi się wstęgami w czerwonym i niebieskim kolorze, efekt *trompe-l'oeil*, który przywodził mi na myśl tapety i sypialnie wiktoriańskie.

Dwie krótsze ściany poddasza zostały oddane we władanie pejzażom, niemal tak miękkim, że mogły uchodzić za hołd złożony impresjonizmowi, a w każdym z nich widniała postać damy. Jeden z nich ukazywał plażę z wysokim urwiskiem po lewej stronie. Kobieta



stała samotnie, w pewnej odległości, spoglądając w morze. Na ramieniu opierała otwartą parasolkę, a na głowie miała ozdobiony obficie kwiatami niebieski kapelusz, mimo to musiała przysłaniać oczy - słońce migotało oślepiająco na wodzie. Drugi pejzaż przedstawiał łąkę, na której unosiły się wyspy koloru, zapewne letnie kwiaty, kobieta zaś na wpół leżała w wysokiej trawie, czytając książkę; obok spoczywała parasolka, a wzorzysta różowa suknia rzucała blask na cudowną twarz. Tym razem, co zauważyłam zaskoczona, było przy niej dziecko, dziewczynka w wieku trzech albo czterech lat; zrywała główki kwiatów, a ja zaczęłam się od razu zastanawiać, czy ta wariacja nie została zainspirowana obecnością Ingrid w naszym życiu. Zrobiło mi się trochę źżej na sercu.

Usiadłam przy biurku, na skrzypiącym krześle Roberta. Towarzyszyła mi świadomość, że nie powinnam zostawiać długo Ingrid samej w kojcu na dole, zwłaszcza gdy patrzyłam na tę dziewczynkę na łące, w sukience, kapelusiku i z chmurą ciemnych kręconych włosów. Pozostał tylko jeden goły narożnik, pochyła część dachu, której Robert jeszcze nie zakrył malowidłem. Reszta była wypełniona zawartością, jakby wylewającą się z brzegów, dojrzałą barwami i pięknem, przytłoczoną obecnością tej kobiety. Częściowo ukończone płótna na sztalugach też przedstawiały jej postać - na pierwszym z nich siedziała spowita w ciemną materię, którą namalował tylko do połowy, coś w rodzaju peleryny albo szala, twarz miała zacienioną, oczy pełne... czego? Miłości? Przerżenia? Wlepiła we mnie spojrzenie; odwróciłam wzrok. Drugi obraz był jeszcze bardziej niepokojący. Ukazywał jej oblicze tuż obok drugiego, martwej kobiety, której głowa spoczywała bezwładnie na jej ramieniu. Martwa kobieta miała szare włosy, podobny strój co tamta, czerwoną ranę pośrodku czoła - ciemną dziurę, głęboką, małą, sprawiającą w jakiś sposób bardziej makabryczne wrażenie niż widok całego poszarpanego ciała. To wtedy pierwszy raz zobaczyłam tę postać.

Siedziałam tam przez kolejną długą minutę. Poddasze, płótna - wiedziałam, że to jego najlepsze jak dotąd dzieło, świadczące o niezwykłym skupieniu, ale też o pasji, która grozi wybuchem, o pasji, którą trzeba okiełznać. Stworzenie tego wszystkiego wymagało dni, nocy, tygodni, prawdopodobnie miesięcy. Myślałam o fioletowych półksiężycach pod oczami Roberta, o zmarszczkach napięcia, które pojawiły się na jego policzkach i czole. Powiedział mi kilka razy, że czuje się przepelniony jakimś zamierzeniem, że chce tylko malować i malować, i zdawało się w tamtych dniach, że nie potrzebuje w ogóle snu, a ja byłam zazdrosna - przez cały dzień chodziłam zaspana po nocnym niańczeniu Ingrid. Nie moglibyśmy sprzedać domu z tym poddaszem, z jego nieprawdopodobną dekoracją, choć być może Robert zdołałby wystawić te dwa płótna. Prawdę powiedziawszy, modliłam się, by nikt nigdy nie zobaczył tej przerażającej ekstrawagancji. Jak byśmy ją wyjaśnili władzom uczelni?

Nie, musiałby zamalować to wszystko któregoś dnia, zapewne przed naszą wyprawą. Czułam ból żołądka na myśl o unicestwieniu tego przepelnionego kolorami, przepięknego dzieła. Nikt inny nie byłby w stanie go zrozumieć.

A najgorsze wydawało się to, że kimkolwiek była ta kobieta, nie była mną. I miała najwidoczniej dziecko o ciemnych kręconych włosach, jak Ingrid. Włosy Roberta - kwestia dziedziczenia? Uznałam, że to nierozsądna, śmieszna myśl. Byłam bardziej wyczerpana, niż to sobie uświadamiałam. W końcu ta kobieta sama miała takie włosy, zupełnie jak Robert. Nasunęła mi się jeszcze gorsza możliwość. Może Robert w jakiś sposób pragnął być tą kobietą - może to był portret jego samego jako kobiety, którą pragnął się stać. Co tak naprawdę wiedziałam o swoim mężu? Jednakże Robert zawsze był tak nieodparcie męski, że wierzyłam w tę hipotezę zaledwie przez chwilę. Nie wiedziałam, co budzi we mnie większy niepokój - to bezkompromisowe dzieło, które wypełniało niemal każdy centymetr kwadratowy napierającej na mnie powierzchni, czy też fakt, że nigdy nie rozmawiał ze mną z własnej woli o kobiecie, która zdominowała jego dni.

Wstałam i szybko przeszukałam pomieszczenie; drżały mi dłonie, gdy strzepywałam koce na sofie, na której Robert, jak się wydawało, nie sypiał już zbyt często. Co spodziewałam się znaleźć? Nie było innej kobiety, która by z nim spała, przynajmniej nie w moim domu. Nie upadł na podłogę żaden list miłosny - tylko zegarek Roberta, którego zresztą szukałam. Przerzuciłam ten bałagan na stole, papiery - czasem były to szkice do portretów, które mnie otaczały. Znalazłam jego klucze na breloku z miedzianymi monetami - dostał go ode mnie kilka lat wcześniej - i wsadziłam do kieszeni dzinsów.

Obok sofy piętrzyły się stosy książek z biblioteki, niemal grożąc upadkiem; były to głównie wielkie tomy poświęcone sztuce. Zawsze przynosił do domu książki i fotografie, więc przynajmniej w tym przypadku nie odczułam zaskoczenia. Teraz jednak było ich wyjątkowo dużo i niemal wszystkie dotyczyły francuskiego impresjonizmu, który - jeśli nie liczyć fascynacji Degasem sprzed kilku lat - moim zdaniem niespecjalnie go interesował. Były tam monografie wielkich artystów tego kierunku i ich poprzedników - Maneta, Boudina, Courbeta, Corota. Niektóre z tych książek zostały sprowadzone z jakichś dalekich uniwersytetów. Znalazłam także takie, które opisywały dawny Paryż, wybrzeże Normandii, ogrody Moneta w Giverny, dziewiętnastowieczną garderobę kobiecą, Komunę Paryską, cesarza Ludwika Napoleona, przebudowę Paryża dokonaną przez barona Haussmanna, Operę Paryską, francuskie *châteaux* i polowania, wachlarze i bukiety dam utrwalone na słynnych obrazach. Dlaczego nigdy nie rozmawiał ze mną o tych zainteresowaniach? Kiedy te książki trafiły do naszego domu? Czy przeczytał je wszystkie po to, by ozdobić poddasze? Robert nie

był historykiem - o ile się orientowałam, czytywał głównie katalogi sztuki i od czasu do czasu jakiś kryminał.

Usiadłam z biografią Mary Cassatt w dłoni. Pomyślałam, że to wszystko musi mieć związek z tą jego wystawą, że to inspiracja, że chodzi o jakiś projekt, o którym nigdy mi nie wspomniał. Czy byłam zajęta dzieckiem i zapomniałam go spytać? Czy też ten projekt był tak nierozzerwalnie związany z jego uczuciami wobec tajemniczej modelki, że on sam nie mógł się zdobyć na to, by ze mną porozmawiać? Ponownie rozejrzałam się po poddaszu, po tej niezmiernie fali wizerunków, kawałków zwierciadła, w których się przeglądała pewna niezwykła kobieta. Ubrał ją starannie w modne stroje z tych książek - buty, rękawiczki, marszczoną bieliznę. Dla niego była to najwyraźniej osoba rzeczywista, żywa część jego istnienia. Usłyszałam kwilenie Ingrid i uświadomiłam sobie, że upłynęło tylko kilka minut od chwili, gdy weszłam na schody, krótki przepływ koszmaru.

Pojechałyśmy do miasta, a potem pchałam wózek pomiędzy emerytami, turystami i ludźmi korzystającymi z przerwy na lunch. Wypożyczyłam dla Ingrid *Gdzie mieszkają dzikie stwory*, żeby mieć przyjemność podczas głośnego czytania - ilekroć widziałam okładkę, znów czułam się jak dziecko. Wzięłam też biografię van Gogha, którą zobaczyłam na wystawie biblioteki. Nadszedł czas, bym zaczęła pogłębiać edukację, a nic nie wiedziałam o tym malarzu, pomijając znane wszystkim legendy. W jednym z butików kupiłam letnią sukienkę. Fiołki na tle kremowej bawełny, staromodny krój, przeciwieństwo moich dżinsów i podkoszulków w zdecydowanych kolorach. Przyszło mi do głowy, by poprosić Roberta, żeby namalował mnie w tym stroju na naszym ganku albo na łące za domem, a potem musiałam się zmagać ze wspomnieniem ciemnowłosego dziecka na ścianie poddasza. „Jeszcze coś?” - spytał sprzedawca, pakując kilka darmowych pałeczek kadzidlanych, nim wsadził je do torby. „Nie, dziękuję. To wszystko”. Pomogłam Ingrid usiąść prosto w wózku; kiedy się schylałam, przestawałam odczuwać piekące łzy w oczach.

22 grudnia 1877

*Mon cher oncle et ami,*

*Dziękuję za uroczy list, na który zapewne nie zasługuję, ale do którego zamierzam wracać, ilekroć moje nieistotne próby będą wymagały zachęty. Dzień zaiste szary, pomyślałam więc, że uda mi się go odczarować, pisząc do Ciebie. Spodziewamy się Twojej wizyty na Boże Narodzenie, ma się rozumieć; będziemy na nią czekać niecierpliwie, bez względu na to, którego dnia czy o której godzinie się zjawisz, Yves zaś ma nadzieję wrócić na kilka dni, choć zamiast odetchnąć, zażywając dłuższych wakacji, będzie musiał zapewne udać się znów na południe, by ukończyć pracę w nowym roku. Myślę, że przyjdzie nam świętować dość wstrzemięźliwie; Papa znów jest przeziębiony - nic niepokojącego, zapewniam Cię, ale łatwo się męczy, oczy zaś sprawiają mu więcej cierpienia niż zwykle. Właśnie pomogłam mu się położyć z ciepłymi kompresami w jego pokoju dziennym i kiedy tam ostatnim razem zaglądałam, ogień płonął przyjemnie, a on pogrążony był we śnie. Sama jestem dziś trochę zmęczona i nie potrafię wziąć się do niczego z wyjątkiem pisania listu, choć malowanie szło mi wczoraj nieźle, gdyż znalazłam dobrą modelkę, swoją pokojówkę Esmé; kiedy ją spytałam, czy zna Twoje ukochane Louveciennes, odpowiedziała mi nieśmiało, że jej rodzina wioska jest tuż obok i nazywa się Grémière. Yves powiada, że nie powinnam dręczyć służących, każąc im pozować, ale gdzież indziej mogłabym znaleźć tak cierpliwą modelkę? Dzisiaj jednakże załatwia przeróżne sprawunki i kiedy siedzę i piszę do Ciebie, muszę nasłuchiwać Papy.*

*Ty, który widziałeś moje atelier, wiesz, że znajdują się w nim nie tylko sztalugi i stół do pracy, lecz także to biurko, które mam od dzieciństwa; należało do mojej matki, ona sama je pomalowała. Zawsze przy nim piszę listy, wyglądając przez okno. Łatwo sobie wyobrazisz, jestem pewna, jak grząski i mokry jest dzisiaj ogród - z trudem mogę uwierzyć, że to ten sam mały raj, gdzie zeszłego lata namalowałam kilka scen. Ale jest piękny nawet teraz, choć nagi i surowy. Wyobraź sobie ten ogród, moja zimowa pociecho, mon ami - wyobraź go sobie dla mnie, jeśli chcesz.*

*Z czułością i przywiązaniem,*

*Béatrice de Clerval*

## 24

### *KATE*

Kiedy Robert wrócił do domu, nie wspomniałam słowem o poddaszu. Był zmęczony po całym dniu zajęć i usiedliśmy w milczeniu nad zupą z soczewicy. Towarzyszyła nam Ingrid, paćkająca sobie radośnie brzuszek przecierem jabłkowym i marchewkami. Karmiłam ją, co chwila ocierając jej usta wilgotną ściereczką i próbując zebrać się na odwagę, by spytać Roberta o jego dzieło, ale nie mogłam. Siedział z głową podpartą jedną ręką, a pod oczami miał głębokie cienie; wyczułam, że coś się dla niego zmieniło, choć nie wiedziałam, co to takiego ani na czym polega różnica. Od czasu do czasu patrzył obok mnie, w stronę kuchennych drzwi na podwórze, wodząc bezradnie oczami, jakby oczekiwał kogoś, kto nigdy się nie pojawi, i znów doznałam tego niepokojącego wrażenia, że ktoś za mną stoi; tak jak poprzednim razem siłą się powstrzymałam, by nie podążyć za jego spojrzeniem.

Po kolacji poszedł do łóżka i spał przez dwanaście godzin. Posprzątałam w kuchni, położyłam Ingrid, wstałam razem z nią w nocy, wstałam razem z nią rano. Pomyślałam, żeby zaproponować Robertowi spacer, ale kiedy wróciłam z przechadzki na pocztę na terenie kampusu, już go nie było; łóżko zostawił niepościelone, a na stole miskę z niedojedzonymi płatkami. Poszłam na wszelki wypadek na górę, na kwitnące poddasze, i znów pojawiła się przed moimi oczami kalejdoskopowa kobieta, ale nie Robert.

Trzeciego dnia nie mogłam już tego dłużej znieść i dopilnowałam, by Ingrid leżała w swoim łóżeczku, kiedy Robert wrócił do domu z popołudniowych zajęć. Ryzykowałam, że pośpi za długo, a potem nie będzie mogła zasnąć do późna, ale była to niewielka cena za możliwość ułożenia świata po dawnemu. Gdy Robert się zjawił, miałam już dla niego zaparzoną herbatę; usiadł przy stole. Jego twarz była znużona, szara, jeden policzek opadał nieznacznie, jakby jego właściciel miał zaraz zasnąć, rozplakać się czy doznać łagodnego wylewu. Wiedziałam, że musi być zmęczony, i zastanawiałam się nad swoim egoizmem, jakim było zmuszanie go do poważnej rozmowy. Oczywiście chodziło też o jego dobro - działo się coś naprawdę niepokojącego; chciałam mu pomóc.

Postawiłam filiżanki na stole i zaczęłam jak najspokojniej:

- Robert, wiem, że jesteś zmęczony, ale czy moglibyśmy porozmawiać przez kilka minut?

Spojrzał na mnie ponad herbatą, włosy mu sterczały tu i ówdzie, twarz była posepna. Uświadomiłam sobie teraz, że się nie kąpał - wyglądał na równie brudnego jak zmęczonego. Zrozumiałam, że muszę poruszyć kwestię jego przepracowania, bez względu na to, czy chodzi o uczelnię, czy o ściany na poddaszu. Zaharowywał się na śmierć.

Odstawił swoją filiżankę.

- Co znowu zrobiłem?

- Nic - odparłam, ale czułam już narastający ucisk w gardle. - Absolutnie nic. Po prostu się o ciebie martwię.

- Nie musisz - powiedział. - Po co miałabyś się o mnie martwić?

- Jesteś wyczerpany - zauważyłam, panując nad głosem. - Pracujesz tak ciężko, że wydajesz się zmordowany. Poza tym prawie cię nie widzimy.

- Tego właśnie chciałaś, prawda? - warknął. - Chciałaś, żebym miał dobrą posadę i cię utrzymywał.

Pomimo wysiłków, by nad sobą zapanować, poczułam w oczach łzy.

- Chcę, żebyś był szczęśliwy, a widzę, jaki jesteś zmęczony. Śpisz cały dzień i malujesz całą noc.

- Kiedy mam malować, jeśli nie w nocy? Zresztą wtedy też zwykle śpię. - Przesunął gniewnie dłonią po włosach nad czołem. - Myślisz, że udało mi się wykonać jakkolwiek porządną robotę?

Nagle rozgniewał mnie widok jego niechlujnych, tłustych włosów. W końcu pracowałam równie ciężko jak on. Udawało mi się przespać za jednym razem co najwyżej kilka godzin, odwalalam całą tę nudną robotę domową, nie miałam szans malować, chyba że spałabym jeszcze mniej, co było wręcz niemożliwe, więc nie malowałam. Jeśli cokolwiek robił, to dzięki mnie. Nigdy nie musiał zmywać naczyń ani czyścić toalety, ani przyrządzać posiłków - zwolniłam go od tego. I mimo wszystko od czasu do czasu byłam w stanie umyć sobie włosy, sądząc, że to doceni.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedziałam oględniej, niż zamierzałam. - Poszłam na poddasze. Co to wszystko znaczy?

Oparł się o krzesło i przygwoździł mnie wzrokiem; siedział nieruchomo, prostując potężne ramiona. Po raz pierwszy w ciągu wspólnie spędzonych lat poczułam, że się go boję, nie jego geniuszu, talentu ani tego, że mógłby mnie zranić; po prostu bałam się w jakiś nieokreślony, zwierzęcy sposób.

- Poszłaś na poddasze? - spytał.

- Dużo tam namalowałaś - spróbowałam ostrożniej. - Ale nie na płótnach.

Milczał przez chwilę, potem rozłożył dłoń płasko na stole.

- Więc?

Chciałam przede wszystkim spytać go o samą kobietę, ale powiedziałam tylko:

- Myślałam, że przygotowujesz się do wystawy.

- Bo tak jest.

- Ale namalowałaś tylko jeden obraz, a drugi do połowy - zauważyłam. Nie o tym chciałam rozmawiać. Mój głos znów zaczął drżeć.

- Więc teraz chcesz także pilnować mnie przy pracy? Chcesz mi mówić, co malować, nawet gdy się pieprzymy?

Siedział sztywno wyprostowany na małym kuchennym krześle, a jego obecność wypełniała pomieszczenie.

- Nie, nie - zaprzeczyłam gorąco, a okrucieństwo jego słów i okrucieństwo zdrady wobec samej siebie sprawiło, że po policzkach spłynęły mi łzy. - Nie chcę ci mówić, co masz malować. Wiem, że musisz malować to, co pragniesz. Po prostu się o ciebie martwię. I brakuje mi ciebie. Boję się, kiedy widzę, jak jesteś wyczerpany.

- Oszczędź sobie troski - powiedział. - I nie naruszaj mojej prywatnej przestrzeni. Nie życzę sobie, żeby ktoś mnie szpiegował. Pomijając wszystko inne.

Łyknął herbaty, a potem odstawił filiżankę, jakby smak napoju przyprawił go o obrzydzenie, i wyszedł z kuchni.

Nie wiem dlaczego, ale jego niechęć, jego odmowa, by zostać przy stole i ciągnąć rozmowę, poruszyła mnie bardziej niż cokolwiek innego. Doznałam gwałtownego wrażenia, że to zły sen; przypominało to falę, która mnie nagle zalewała. Otrząsnęłam się i mimowolnie zerwałam z miejsca.

- Robert, zaczekaj! Nie odchodź! - Dogoniłam go na korytarzu i chwyciłam za ramię.

Wyrwał się.

- Daj mi spokój.

Przestałam nad sobą panować.

- Kim ona jest? - załkałam.

- Kim kto jest? - spytał, potem nachmurzył się, odsunął ode mnie i poszedł do sypialni.

Stałam w drzwiach, twarz miałam mokrą od łez, kapło mi z nosa, szloch był poniżająco głośny, a on położył się na łóżku, które pościeliłam tego ranka, i nakrył pikowaną narzutą. Zamknął oczy.



- Zostaw mnie w spokoju - powiedział, nie podnosząc powiek. - Zostaw mnie w spokoju.

Ku memu przerażeniu zasnął, kiedy tak stałam. Tkwiłam na progu, tłumiąc szloch i przyglądając się, jak oddech zwalnia mu stopniowo, staje się cichy i regularny. Spał jak dziecko, a z góry dobiegł płacz Ingrid, która się właśnie obudziła.

## 25

### MARLOW

Wyobraziłem sobie ogród Béatrice. Był zapewne mały i prostokątny - w książce, którą znalazłem, z obrazami Paryża pod koniec XIX wieku, nie było żadnych dzieł Clerval, ale natrafiłem tam na intymną scenę pędzla Berthe Morisot, przedstawiającą jej męża i córkę na zacienionej ławce. Tekst wyjaśniał, że Morisot mieszkała z rodziną w Passy, na nowych wspinających przedmieściach, podobnie jak Béatrice de Clerval. Odmalowałem sobie ogród Béatrice pod koniec jesieni - liście już brązowe i pożółkłe, kilka przyklejonych do kamiennej ścieżki kroplami ulewnego deszczu, na tylnej ścianie bluszcz o barwie czerwonego wina - *vigne vierge*; podpis pod jednym z obrazów przedstawiających podobnie porośniętą ścianę: *Winobluszcz*. Było tam też kilka róż o zbrązowiałych łodygach i szkarłatnych kwiatów głogu, skupionych wokół zegara słonecznego. Zastanawiałem się nad tym wszystkim, odrzucając w wyobraźni ten zegar, i skupiłem się na rozmiękłych grządkach, na zwiędłych chryzantemach czy innych ciężkich kwiatach przyciemnionych przez deszcz, pośrodku zaś ogrodu umieściłem niewielkie, klasyczne skupisko krzewów i ławkę.

Kobieta siedząca przy biurku i spoglądająca na to wszystko miałaby zapewne około dwudziestu sześciu lat, wiek dojrzały jak na tamtą epokę, i byłaby zameżna od lat pięciu, ale bezdzietna - ten brak, jeśli sądzić po miłości do siostrzenic, przybrał postać sekretnego żalu. Widziałem ją przy biurku pomalowanym przez jej matkę, pełne bladoszare spódnice jej sukni - czy damy wkładały inne suknie rano i po południu? - otaczające bufiastymi fałdami krzesło, koronka wokół szyi i nadgarstków, srebrna wstążka podtrzymująca węzeł ciężkich włosów. Ona sama zaś nie miałaby w sobie nic z szarości, twarz o zdecydowanych i mocnych rysach, jasna nawet w przyćmionym świetle, włosy ciemne, ale także jasne, wargi czerwone, oczy skierowane ze smutkiem ku kartce, która tego mokrego poranka była jej ulubionym towarzystwem.

## 26

### *KATE*

Przez całe to lato Robert na przemian spał, uczył, malował w najdziwniejszych godzinach i trzymał mnie na dystans. Po jakimś czasie przestałam płakać w tajemnicy i zaczęłam się przyzwyczajać do sytuacji. Trochę się zahartowałam, cały czas go kochając, i czekałam.

We wrześniu powróciła rutyna uczelniana i moje przyjaciółki z kampusu znów się zaczęły spotykać. Kiedy zabierałam Ingrid na rozmowę przy herbacie z żonami wykładowców z wydziału, słuchałam ich paplaniny o mężach i sama wtrącałam coś nieszkodliwego, żeby pokazać, jak normalnie przedstawiają się sprawy w moim domu: Robert w tym semestrze ma zajęcia z trzema grupami w pracowni. Robert lubi chili, muszę zdobyć dla niego przepis. I tym podobne.

Po cichu sama zbierałam informacje, dla porównania. Ich mężowie wstawali rano - albo wcześniej, żeby pobiegać. Jeden z nich gotował w środy wieczorem, ponieważ tego dnia miał mniej zajęć. Kiedy jego żona mi o tym powiedziała, zaczęłam się zastanawiać, czy Robert w ogóle zauważa, że jest akurat środa lub jakikolwiek inny dzień tygodnia. Z pewnością nigdy niczego nie ugotował, co najwyżej podgrzał jedzenie z puszki. Jedna z moich przyjaciółek dwa wieczory w tygodniu opiekowała się dziećmi na zmianę z mężem, dzięki czemu miała trochę czasu dla siebie. Widziałam go kiedyś, jak pojawił się o wyznaczonej porze na kampusie, żeby zająć się dwuletnim maluchem. Skąd wiedział, która jest godzina i dokąd ma przyjść? Trzymałam język za zębami i uśmiechałam się solidarnie z pozostałymi kobietami, słuchając o dziwactwach ich mężów. „Nie zbiera po sobie ubrań? - chciałam spytać. - To drobnostka”. I po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, jak kobiety pracujące na wydziale radzą sobie z życiem - znałam jedną, która była samotną matką, i czułam nieoczekiwany smutek i wyrzuty sumienia, że siedzi na zajęciach, kiedy reszta z nas spotyka się w tej sympatycznej i miłej grupie. Nigdy nie zrobiłyśmy nic, żeby się do nas przyłączyła. Nasze własne życie było takie wolne i swobodne - liczyłyśmy każdy grosz, ale na niego nie pracowałyśmy. Jednak moje życie nie wydawało się tak wolne jak życie moich

przyjaciółek i zadawałam sobie pytanie, jak do tego doszło.

Pewnego dnia tamtej jesieni Robert wrócił do domu niemal uradowany i pocałował mnie w czoło, po czym oznajmił, że przyjął propozycję pracy przez jeden semestr na Północy - miało to być wkrótce, wiosną; atrakcyjna oferta, w Barnett College, bardzo blisko Nowego Jorku. Barnett szczylił się słynnym muzeum sztuki i zatrudniał gościnnie malarzy jako wykładowców - Robert wymienił kilku wielkich artystów, którzy byli tam przed nim. Miał prowadzić zajęcia tylko z jedną grupą, a resztę czasu poświęcić na malarskie wakacje. Na dobrą sprawę mógłby malować w pełnym wymiarze godzin, by się tak wyrazić, a nawet częściej.

Przez chwilę nie rozumiałam, co faktycznie ma na myśli, chociaż cieszyłam się ze względu na niego. Odłożyłam ścierkę, którą akurat trzymałam w ręku.

- A co z nami? To nie będzie łatwe - przenieść się z małym dzieckiem w nowe miejsce, by spędzić tam kilka miesięcy.

Patrzył na mnie, jakby nie przyszło mu to do głowy.

- Myślałem, że... - zaczął powoli.

- Co myślałeś?

Dlaczego byłam na niego taka zła za samo spojrzenie, za samo zmarszczenie brwi?

- No, nie wspomnieli o rodzinie. Myślałem, że sam tam pojedę i popracuję.

- Mogłeś przynajmniej ich spytać, czy nie mają nic przeciwko temu, żebyś zabrał ze sobą ludzi, z którymi żyjesz.

Poczułam, że drżą mi dłonie, i schowałam je za plecami.

- Nie musisz być taka złośliwa. Nie masz pojęcia, co to znaczy nie móc malować - oznajmił, chociaż, o ile wiedziałam, malował od tygodni.

- W takim razie nie śpij od rana do wieczora - zasugerowałam, chociaż nie kładł się już w ciągu dnia. Tak naprawdę martwiłam się, że znów będzie przesiadywał do późna, zamykał się w pracowni, że będę miała wrażenie, iż prawie nie sypia, chociaż teraz nie miałam powodów do takich obaw. Jeśli o nim myślałam, to jawił mi się zawsze w pozycji horyzontalnej.

- Nie umiesz okazać zrozumienia. - Jego nos i policzki zrobiły się białe; ściągnął je gniewnie. - Oczywiście tęskniłbym za tobą i Ingrid, i to bardzo. Mogłybyście mnie odwiedzić w połowie semestru. Poza tym byłibyśmy cały czas w kontakcie.

- Nie umiem okazać zrozumienia?

Odwróciłam się. Wlepiłam wzrok w szafki i spytałam się w duchu, jaki mąż zdecydowałby się wyjechać na cały semestr w związku ze swoją pracą, nie radząc się mnie

ani nie pytając, czy chcę zostać sama z małym dzieckiem. Jaki mąż? Szafki kuchenne były starannie pozamykane. Zastanawiałam się, czy uda mi się nie wybuchnąć, jeśli będę na nie patrzyła dostatecznie długo. Zastanawiałam się także, czy jest możliwe życie u boku szaleńca, samemu nie stając się szaleńcem. Może nie miałabym nic przeciwko temu, żeby uchodzić za geniusza, choć nie byłam wcale pewna, czy chcę nim być, jeśli tak wyglądał z bliska. Chodziło o to, że pozwoliłabym mu jechać, nie mówiąc nawet słowa, gdyby tylko mnie poprosił, gdyby to ze mną omówił. Zepchnęłam w cień wizję ciemnowłosej muzy - dlaczego musiała być tak wyrazista? Dlaczego chciał przebywać tak blisko Nowego Jorku? Niech sobie jedzie, pomyślałam, skupi się na pracy, poczuje spełniony i dokończy swój wielki cykl; miałam nadzieję, że dzięki temu się uleczy.

- Mogłeś mnie spytać - powiedziałam, a mój własny głos wydał mi się warczeniem; było to jak wzajemne podgryzanie się do krwi, jeden osobnik ze stada zwracający się przeciwko drugiemu. - Zresztą rób, jak chcesz. Proszę bardzo. Do zobaczenia w maju.

- Niech cię diabli - wycedził Robert, a mnie przyszło na myśl, że jeszcze nigdy nie widziałam go tak rozwścieczonego, czy też tak spokojnie rozwścieczonego. - Zrobię, jak zechcę.

Potem stała się rzecz dziwna. Wstał i obrócił się wolno dwa albo trzy razy, jakby chciał wyjść z pokoju, ale nie potrafił znaleźć drzwi do kuchni. Wydało mi się to bardziej przerażające niż wszystko, co się dotychczas wydarzyło, nie bardzo wiem, dlaczego. Nagle znalazł właściwy kierunek i znów nie widziałam go przez dwa dni. Ilekroć brałam na ręce Ingrid, zaczynałam płakać i skrywałam przed nią swoje łzy. Kiedy wrócił, nie wspomniał o naszej rozmowie, a ja nie pytałam go, gdzie był.

\*

Potem, pewnego ranka, pojawił się na śniadaniu, które akurat szykowałam - to znaczy dla siebie i Ingrid. Włosy miał mokre, pachniały szamponem. Położył widelce na stole. Nazajutrz znów wstał na śniadanie. Trzeciego dnia pocałował mnie na dzień dobry, a kiedy poszłam po coś do sypialni, zauważyłam, że pościelił łóżko - niezbyt równo, ale jednak pościelił. Był październik, mój ulubiony miesiąc, drzewa jaśniały złotem, spływały z nich liście porywane przez wiatr. Wydawało się, że do nas wrócił - jak i dlaczego, nie wiedziałam, ale ogarnęło mnie zbyt wielkie szczęście, by o to pytać. W tym tygodniu, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, kładł się do łóżka o ludzkiej porze - to znaczy wtedy, kiedy ja się kładłam - i kochaliśmy się. Zdumiewało mnie, że jego ciało nie zmieniło się po przyjściu dziecka na świat. Atrakcyjne jak zawsze, duże, ciepłe, jakby rzeźbione, włosy rozsypywały

mu się dziko po poduszce. Ja wstydziłam się swojego upośledzonego porodem, zniekształconego ciała i wyszeptalam mu to, lecz on uciszył mnie swoją namiętnością.

W kolejnych tygodniach zaczął malować po zajęciach, zamiast robić to nocami, i schodził na kolację, kiedy go wołałam. Czasem siedział w atelier na uczelni, zwłaszcza wtedy, kiedy pracował nad dużymi płótnami, a ja przywoziłam do niego Ingrid w wózku, żeby pójść razem na kolację. Był to szczęśliwy moment, kiedy odkładał pędzle i szedł z nami do domu. Cieszyłam się, gdy mijali nas znajomi i widzieli naszą trójkę, zgodną i w komplecie, w drodze na posiłek, który już przygotowałam i który utrzymywał ciepło pod porcelanowymi przykrywkami kupionymi z drugiej ręki. Po kolacji malował na poddaszu, ale nie do późna, i czasem czytał w łóżku, podczas gdy ja drzemałam z głową wsuniętą pod jego brodę.

W pracowni i na poddaszu (zaglądałam tam od czasu do czasu, kiedy go nie było) pracował nad cyklem martwych natur, pięknie uchwyconych i wzbogaconych o jakiś komiczny element, coś z innej bajki. Dziwny, pełen zamyślenia portret i duży obraz z ciemnowłosą kobietą, która trzymała w ramionach martwą przyjaciółkę, stały odwrócone płótnem do ściany, a ja się pilnowałam, by nie zadawać zbędnych pytań. Sufit poddasza wciąż ozdobiony był elementami jej ubioru i częściami ciała. Obok sofy znów leżały katalogi wystaw, czasem jakaś biografia, ale nic o impresjonistach czy Paryżu. Wydawało mi się czasem, że ta jego chaotyczna obsesja tylko mi się przyśniła, że sama ją wymyśliłam, cokolwiek znaczyła. Jedyne zbyt kolorowe poddasze przypominało mi o jej istnieniu. Nie zaglądałam na górę, ilekroć nachodziły mnie nowe wątpliwości.

Pewnego ranka, kiedy Ingrid już raczkowała, Robert nie wstał aż do południa i tej samej nocy słyszałam, jak krąży po poddaszu i maluje. Malował przez dwie noce, nie zmrużywszy oka, a potem zniknął na całą dobę, odjechawszy naszym samochodem, i pojawił się tuż po śniadaniu. Kiedy go nie było, sama niewiele spałam i nieraz, ze łzami w oczach, zastanawiałam się, czy nie zadzwonić na policję, ale wiadomość, którą mi zostawił, powstrzymała mnie przed tym desperackim krokiem. „Droga Kate - napisał. - Nie martw się o mnie. Muszę po prostu przespać się na polu. Nie jest zbyt zimno. Zabrałem ze sobą sztalugi. Wydaje mi się, że w przeciwnym razie zwariuję”.

Rzeczywiście, pogoda była ładna, jeden z tych rzadkich darów ciepła u schyłku jesieni w Blue Ridge. Wrócił do domu z nowym pejzażem, subtelną wizją pól u podnóża łańcucha górskiego o zachodzie słońca. Przez zbrązowiałą wysoką trawę szła postać, kobieta w długiej białej sukni. Znałam jej sylwetkę tak dobrze, że niemal wyczuwałam ją pod swoimi dłońmi, linię talii, fałdy sukni, krągłość piersi pod uroczymi ramionami. Odwracała się właśnie, więc

widać było jej twarz, lecz ze zbyt dużej odległości, by dostrzec na niej cokolwiek oprócz niewyraźnego obrazu ciemnych oczu. Robert spał do zmierzchu; nie poszedł na poranne zajęcia i na popołudniowe spotkanie wykładowców, a ja następnego dnia zadzwoniłam do lekarza w uczelnianym ośrodku zdrowia.

## 27

### *MARLOW*

Wyobraziłem sobie jej życie.

Nie wolno jej wychodzić z domu bez towarzystwa przyzwoitki. Jej męża nie ma przez cały dzień, ale ona nie może rozmawiać z nim przez telefon - ten dziwny wynalazek zostanie zainstalowany w paryskich domach dopiero za dwadzieścia pięć lat. Od wczesnego ranka, kiedy mąż w czarnym garniturze, cylindrze i płaszczu wychodzi, żeby wsiąść do omnibusu jadącego szerokimi bulwarami barona Haussmanna i dotrzeć do dużego budynku w centrum miasta, gdzie przystępuje do pracy, która polega na usprawnianiu działania poczty, aż do chwili, gdy wraca do domu, zmęczony i czasem pachnący nieznacznie trunkami, nie widzi go i nie ma od niego żadnej wiadomości.

Jeśli jej mówi, że musiał pracować do późna, ona nie jest w stanie ustalić, gdzie był naprawdę. Rozważa czasem w myślach różne możliwości, od cichych pokoi konferencyjnych, gdzie mężczyźni w garniturach, białych gorsach i miękkich czarnych fularach, takich jak jego, zbierają się wokół długiego stołu, aż po przesadnie gustowne (tak sobie wyobraża) ozdobne wnętrza klubu z rodzaju tych wiadomych, gdzie jakaś kobieta ubrana jedynie w aksamitny stanik i gorset, marszczoną spódnicę i pantofle na wysokim obcasie (lecz poza tym odznaczająca się szacownym wyglądem, z ładnie ufryzowanymi włosami) pozwala mu przesuwając dłońią po górnym półkolu swej białej piersi - sceny, które zna jedynie mgliście z szeptanych opowieści, z aluzji w tej czy tamtej książce; jej wychowanie nie obejmowało tego tematu.

Nie ma żadnego dowodu, że jej mąż odwiedza podobne przybytki, a on być może nigdy tego nie robi. Nie jest jasne, dlaczego ten powracający obraz wzbudza w niej tak mało zazdrości, daje jej natomiast poczucie ulgi, jakby dzieliła się z kimś swoim ciężarem. Wie, że elegancką alternatywą dla tych skrajności są restauracje, gdzie mężczyźni - głównie mężczyźni - spożywają obiad czy nawet kolację i przy okazji rozmawiają. Czasem jej mąż wraca do domu, nie oczekując wieczornego posiłku, i mówi jej uprzejmie, że zjadł doskonałe



*poulet rôti* albo *canard à l'orange*. Istnieją także *cafés chantants*, gdzie zarówno mężczyźni, jak i kobiety mogą siedzieć razem, nie naruszając zasad przyzwoitości, i inne kawiarnie, w których może odpocząć sam z „Le Figaro” w dłoni i późnowieczorną filiżanką kawy. A może po prostu pracuje do późna.

W domu jest troskliwy; kąpie się i przebiera do wieczornego posiłku, kiedy jedzą razem; wkłada szlafrok i pali przy kominku, jeśli ona jest już po kolacji, a on jadł na mieście, albo czyta jej głośno gazetę; czasem całuje ją w kark z niezwykłą czułością, gdy ona siedzi pochylona nad robótką, dziergając koronkę albo haftując sukienkę dla dziecka swojej siostry. Zabiera ją do opery w olśniewającym nowym Palais Garnier i okazjnie do przyjemniejszych miejsc, żeby posłuchać orkiestry albo napić się szampana, albo na bal w samym sercu miasta, na którą to okazję ona wkłada nową suknię z turkusowego jedwabiu albo różanego atlasu. Jako mąż daje jasno do zrozumienia, że jest dumny, mogąc ją mieć u swego boku.

Nade wszystko zaś zachęca ją do malowania i odnosi się z aprobatą do jej najbardziej nawet niezwykłych eksperymentów z kolorem, światłem, typową dla nowego stylu zgrubną techniką pędzla, którą podpatrzyła, odwiedzając z mężem najbardziej radykalne wystawy nowego malarstwa. On oczywiście nigdy by jej nie określił mianem radykalnej; zawsze jej powtarza, że jest tylko malarką i że musi robić to, co uważa za stosowne. Ona mu wyjaśnia, że wierzy, iż malarstwo powinno odzwierciedlać naturę i życie, że poruszają ją nowe, wypełnione światłem pejzaże. On przytakuje, choć dodaje ostrożnie, że nie chce, by wiedziała o życiu zbyt dużo - natura to doskonały temat, ale życie jest bardziej posępne, niż ona potrafi to pojąć. Uważa, że dobrze jej robi zajmowanie się czymś satysfakcjonującym w domu; sam kocha sztukę, dostrzega talent żony i chce, by była szczęśliwa. Zna czarujących Morisotów, poznał też Manetów, i zawsze czyni uwagę, że to dobra rodzina, pomimo nie najlepszej reputacji Edouarda i jego niemoralnych eksperymentów (maluje rozwiązłe kobiety), co czyni go zapewne nieco zbyt nowoczesnym - szkoda, zważywszy na jego oczywisty talent.

Prawdę powiedziawszy, Yves zabiera ją często do różnych galerii. Co roku wraz z milionem innych ludzi odwiedzają Salon i słuchają plotek o płótnach cieszących się powodzeniem, a także o tych, którymi krytycy pogardzają. Od czasu do czasu spacerują po muzeach Luwru, gdzie ona dostrzega kopiujących obrazy i rzeźby studentów, nawet - sporadycznie - kobiety, którym nie towarzyszy przyzwoitka (to bez wątplenia Amerykanka). Nie potrafi zdobyć się na to, by w jego obecności podziwiać akty, a już na pewno nie te heroiczne postaci męskie; wie, że sama nigdy nie będzie ich malowała, korzystając z usług modela. Przed zamążpójściem uczyła się malować w prywatnej pracowni jakiegoś akademika, kopiując w obecności matki odlewy gipsowe. Przynajmniej ciężko pracowała.

Zastanawia się czasem, czy mogłaby liczyć na zrozumienie Yves'a, gdyby jeden ze swoich obrazów zaproponowała Salonowi. Nigdy nie wyraził się lekceważąco o tych kilku płótnach wystawianych tam przez kobiety i wychwala wszystko, co ona umieszcza na obrazie. Podobnie nigdy nie ma zastrzeżeń co do jej sposobu prowadzenia domu; jedynie raz do roku oświadcza grzecznie, że mogłaby gotować coś nieco rzadziej, albo wyraża życzenie, by trochę inaczej ozdabiała stół w holu. Od czasu do czasu, w ciemności, poznają się nawzajem w zupełnie odmienny sposób, z ciepłem, a nawet pewną zaciekłością, którą ona bardzo sobie ceni, ale o której nie śmie myśleć za dnia; ma jedynie nadzieję, iż obudzi się pewnego ranka i uświadomi sobie, że nie musiała ostatnio wkładać tych starannie złożonych czystych chusteczek pod bieliznę, że niepotrzebne są termofor i kieliszek sherry, które przynoszą ulgę w comiesięcznych skurczach.

Ale to się jeszcze nie stało. Być może myśli o tym zbyt często albo zbyt rzadko, albo w niewłaściwy sposób - stara się o tym nie myśleć w ogóle. Zamiast tego zamierza czekać na list, który będzie głównym wydarzeniem poranka. Poczta przychodzi dwa razy dziennie; jest dostarczana przez młodego człowieka w krótkim niebieskim płaszczu. Słychać przez deszcz, jak dzwoni do drzwi i jak otwiera mu Esmé. Nie należy okazywać zniecierpliwienia; nie jest wcale zniecierpliwiona. List pojawi się w jej buduarze na srebrnej tacy, podczas gdy ona będzie się ubierać przed popołudniowymi wizytami. Otworzy go, nim Esmé wyjdzie z pokoju, i schowa do biurka, by przeczytać go później. Nie zaczęła jeszcze chować tych listów za gorset sukni i nosić ich przy sobie.

Tymczasem są inne listy, które trzeba napisać i na które trzeba odpowiedzieć, a także zamówić wiktuały, zobaczyć się z krawcową, zająć się ciepłą kapą, którą pragnie jak najszybciej dokończyć - prezent gwiazdkowy dla teścia. No, jest jeszcze Papa, cierpliwy starszy człowiek: lubi, żeby osobiście przyniosła mu po drzemce drinki i książki; szczerze mówiąc, ona czeka na chwilę, kiedy będzie gładził swą przezroczystą, żyłkowaną dłonią jej dłoń i spoglądał na nią niemal pustymi oczami, dziękując za opiekę. Są też kwitnące rośliny, które podlewa sama, zamiast zostawiać to służbie, i - co najważniejsze - jest pokój sąsiadujący z jej pokojem, pierwotnie słoneczna weranda, gdzie znajdują się jej sztalugi i farby.

Nowa pokojówka, pozująca jej w tych dniach - nie Esmé, tylko młodsza Marguerite, której łagodną twarz i płowe włosy tak lubi - to nieledwie dziewczyna. Béatrice zaczęła ją malować siedzącą przy oknie ze stosem szycia; ponieważ pokojówka lubi zajmować czymś dłonie podczas pozowania, Béatrice nie ma nic przeciwko temu, by naprawiała kołnierzyki i halki, dopóki trzyma pochyloną złotą głowę wystarczająco nieruchomo.

Jest tam bardzo jasno; nawet gdy po szybach spływa deszcz, mogą wykonać razem trochę pracy - dłonie Marguerite poruszają się przy delikatnych białych materiałach, koroncy i bawełnie, a dłonie Béatrice odmierzą kształt i kolor, odtwarzają krągłość młodzieńczych ramion pochyłonych nad igłą, fałdy sukni i fartuszek. Żadna się nie odzywa, ale obie łączą spokój kobiet zajętych swoimi czynnościami. W takich chwilach Béatrice czuje, że jej obraz jest częścią domostwa, jakby przedłużeniem posiłku grzejącego się na wolnym ogniu w kuchni i kwiatów, które układa, by je postawić na nakrytym stole. Marzy o malowaniu nieistniejącej córki, zamiast tej milczącej dziewczyny, którą lubi, ale której prawie nie zna; wyobraża sobie, jak jej córka czyta głośno poezję podczas sesji malowania albo gawędzi o swych przyjaciółkach.

Właściwie kiedy pracuje, przestaje się martwić o znaczenie swoich obrazów, o to, czy są udane i czy mogłaby porozmawiać z Yves'em o wystawieniu jednego z nich na Salonie - zresztą i tak nie są jeszcze dostatecznie dobre i prawdopodobnie nigdy nie będą. Nie martwi się też o to, czy jej życie ma jakiś większy sens. Wystarcza jej kontemplacja błękitu dziewczęcej sukni, doskonale odzwierciedlonego przez smugę na palecie, kolistego muśnięcia dodającego barwy młodzieńczemu policzkowi, bieli, którą wzbogaci płótno następnego ranka (obraz potrzebuje więcej bieli i odrobinę szarości, by oddać to deszczowe jesienne światło, brakuje jednak na to czasu przed obiadem).

Malowanie wypełnia jej ranki, lecz popołudnia, kiedy nie ma ochoty stać przy sztalugach i nie składa wizyt ani ich nie przyjmuje, bywają nieco puste. Bohaterowie powieści, którą właśnie czyta, wydają się bez przesady martwi, więc pisze list, który układała w myślach, odpowiedź na ten spoczywający teraz w jednej z przegródek jej pomalowanego biurka. Krzyżuje stopy w kostkach i wsuwa je pod krzesło. Tak, jej biurko stoi przy oknie; ustawiła je tam zeszłej wiosny, by jak najlepiej widzieć ogród.

Pisząc, dostrzega, że to jeden z tych dziwnych dni, które zdarzają się czasem jesienią w Paryżu: zacinający deszcz zamienia się w pluchę, potem w śnieg. *Effet de neige, effet d'hiver* - zeszłego roku widziała tę maksymę na wystawie, gdzie nowi malarze pokazywali nie tylko blask słońca i zielone pola, lecz także śnieg, dokonując rewolucyjnych osiągnięć w zimnym plenerze. Stała pełna pokory przed płótnami, którym w gazetach nie szczędzono obelg. Śnieg osiadający na ziemi ma w sobie płatki szarości. Ma też w sobie błękit, w zależności od światła, pory dnia, nieba; ma w sobie ochrę, a nawet brąz czy lawendę. Rok temu przestała już widzieć śnieg jako biały; pamięta niemal ten moment, kiedy to sobie uświadomiła, patrząc na ogród.

Teraz pierwszy śnieg tej zimy zmaterializował się na jej oczach w jednej chwili; transformacja deszczu nastąpiła niepostrzeżenie. Przestaje pisać i wyciera stalówkę pióra o flanelową suszkę tuż przy łokciu, starając się ochronić rękaw przed atramentem. Zwiędły ogród jest już zakryty subtelnym kolorem - rzeczywiście, nie jest biały. Beżowy dzisiaj? Srebrny? Bezbarwny, jeśli istnieje coś takiego? Układa starannie kartkę papieru na blacie, zanurza pióro w kałamarzu i znów zaczyna pisać. Opowiada adresatowi o tym, jak nowy śnieg osiada na każdej gałęzi, jak krzewy, niektóre zielone przez cały rok, kulą się pod pozbawionym ciężaru welonem niebiałości, o ławce, nagiej przez chwilę w deszczu, by niebawem pysznić się wspaniałą miękką poduszką. Czuje, jak on jej słucha, rozkładając list w swych zgrabnych, starzejących się dłoniach. Widzi jego oczy, pełne powściągliwego ciepła, chłone jej słowa.

Potem nadchodzi poczta i przynosi ze sobą kolejny list od niego, ten, który jest stracony dla potomności, ale który opowiada jej coś o nim samym albo o jego ogrodzie, jeszcze nieprzykrytym śniegiem - pisał zapewne wcześniej tego dnia albo poprzedniego wieczoru; mieszka w samym sercu miasta. Być może ubolewa - z humorystycznym wdziękiem - nad pustką własnego życia: jest wdowcem od lat, w dodatku bezdzietnym. Bezdzietnym tak samo jak ona, przypomina sobie czasem. Jest dostatecznie młoda, by być jego córką, może nawet wnuczką. Składa tę kartkę od niego z uśmiechem, potem rozkłada ponownie i czyta jeszcze raz.

## 28

### *KATE*

Z kamienną twarzą Robert zgodził się pójść do lekarza na uczelni, ale nie chciał, bym mu towarzyszyła. Ośrodek zdrowia mieścił się bardzo blisko naszego domu, można było tam dotrzeć na piechotę, podobnie jak wszędzie, i wbrew sobie stałam na ganku i odprowadzałam Roberta wzrokiem. Szedł z przygarbionymi ramionami, stawiając kroki tak, jakby każdy ruch sprawiał mu ból. Modliłam się do wszystkiego, co tylko przychodziło mi do głowy, by wykazał się dostateczną komunikatywnością czy desperacją i powiedział doktorowi o swoich objawach. Może lekarz zleciłby jakieś badania. Może Robert był wyczerpany z powodu jakiejś choroby krwi, mononukleozy czy - niech Bóg broni - białaczki. To wszystko jednak nie tłumaczyło istnienia ciemnowłosej kobiety. Gdyby nie chciał później rozmawiać na temat tej wizyty, musiałabym sama spotkać się z doktorem i wyjaśnić pewne rzeczy, niewykluczone, że w tajemnicy, by nie rozgniewać Roberta.

Najwidoczniej poszedł potem na zajęcia albo malował w pracowni na wydziale, ponieważ nie widziałam go do obiadu. Nie powiedział mi nic, dopóki nie położyłam Ingrid spać, i nawet wtedy sama musiałam go spytać, co powiedział lekarz. Robert siedział w salonie, właściwie nie siedział, tylko leżał wyciągnięty na sofie z jakąś zamkniętą książką. Podniósł głowę, kiedy się do niego odezwałam.

- Co? - Zdawało się, że patrzy na mnie z wielkiej odległości, jedna strona twarzy jakby opadała mu nieznacznie; zauważyłam to już wcześniej. - Och. Nie poszedłem do lekarza.

Poczułam wzbierającą wściekłość, ale wzięłam głęboki oddech.

- Dlaczego?

- Zleż ze mnie, dobra? - powiedział cienkim głosem. - Nie poszedłem i już. Miałem mnóstwo zajęć, a od trzech dni ani chwili, żeby malować.

- Malowałeś zamiast pójść do lekarza? - spytałam; byłaby to przynajmniej oznaka życia.

- Kontrolujesz mnie?

Zmrużył groźnie oczy. Położył przed sobą książkę niczym napierśnik. Zastanawiałam

się, czy może nią we mnie rzucić. Był to fotograficzny esej o wilkach, rzecz, którą kupił wcześniej tego samego roku pod wpływem jakiegoś impulsu. To także było coś nowego, częste kupowanie książek, których potem nie czytał. Zawsze był zbyt skąpy, żeby kupować coś nowego, nieużywanego, czy w ogóle cokolwiek, z wyjątkiem tych wielkich solidnych butów, które kochał.

- Niczego nie kontroluję - odparłam ostrożnie. - Martwię się tylko o twoje zdrowie i chciałabym, żebyś poszedł do lekarza i dał się zbadać. Myślę, że dzięki temu poczułbyś się lepiej.

- Naprawdę? - spytał niemal szyderczo. - Myślisz, że poczuję się lepiej. Masz w ogóle pojęcie, jak się czuję? Wiesz na przykład, jak to jest nie móc malować?

- Z pewnością - powiedziałam, próbując zapanować nad sobą. - Rzadko bywają dni, kiedy sama mogę to robić. Na dobrą sprawę w ogóle. Więc znam to uczucie.

- A wiesz, co to znaczy myśleć w kółko o czymś, aż... mniejsza z tym - dokończył.

- Aż co? - Próbowałam mówić bardzo spokojnie, chcąc jedynie pokazać, że potrafię słuchać.

- Aż nie jesteś w stanie myśleć o niczym innym i dostrzegać czegokolwiek. - Głos miał niski, a oczy zerknęły w stronę drzwi. - Tyle strasznych rzeczy wydarzyło się w dziejach, między innymi artystom, nawet artystom takim jak ja, którzy próbują prowadzić normalne życie. Możesz sobie wyobrazić, jak by to było - myśleć o tym cały czas?

- Ja też czasem myślę o strasznych rzeczach - powiedziałam lojalnie, chociaż w moich uszach zabrzmiało to jak niezbyt trafiona dygresja. - Wszyscy miewamy takie myśli. Historia jest pełna strasznych rzeczy. Ludzkie życie jest pełne strasznych rzeczy. Każdy myślący człowiek je rozważa - zwłaszcza gdy ma dzieci. Ale to wcale nie oznacza, że należy temu ulegać.

- A gdybyś w kółko myślała o tej samej osobie? Cały czas?

Doznałam dreszczu, ze strachu albo zazdrości, a może z obu tych powodów naraz, nie potrafiłam tego określić.

- Możesz to wyjaśnić? - wypowiedziałam z trudnością.

- O kimś, o kogo mogłabyś się troszczyć - odparł, a jego wzrok znów zaczął błądzić po pokoju. - Ale ona nie istniała.

- Co? - Poczułam bezkresną pustkę w głowie.

- Jutro pójde do lekarza - oznajmił gniewnie jak mały chłopiec przyjmujący z rezygnacją karę.

Wiedziałam, że się zgodził tylko po to, bym więcej go o nic nie pytała.

Nazajutrz wyszedł i wrócił, przespał się, a potem zasiadł do obiadu. Stałam w milczeniu obok stołu. Nie musiałam się odzywać.

- Nie znalazł żadnych fizycznych schorzeń... zbadał mi krew, żeby sprawdzić, czy nie mam anemii lub innych chorób. Ale zaleca konsultację psychiatryczną.

Wymówił te słowa z rozwagą, w przestrzeń pokoju, ich ton był bliski pogardy; wiedziałam jednak, że fakt, iż w ogóle mi o tym powiedział, świadczył o jego strachu i chęci, by jednak się zbadać. Podeszłam do niego, otoczyłam go ramionami i zaczęłam głaskać po głowie, po gęstych kosmykach, masywnym czole, wyczuwając ten zadziwiający umysł w środku, te niezmierzone dary, które zawsze były dla mnie źródłem podziwu i zadumy. Dotknęłam jego twarzy. Kochałam tę głowę, te niesforne kędzierzawe włosy.

- Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze - powiedziałam.

- Pójdę tam. Dla ciebie.

Mówił tak cicho, że z trudem go słyszałam, a potem objął mnie mocno w talii i nachylił się, by ukryć twarz na mojej piersi.

## 29

### 1878

Widzi, że śnieg pogłębił się w ciągu nocy. Rano wydaje polecenia w kwestii obiadu, wysyła swojej krawcowej wiadomość i wychodzi do ogrodu. Chce zobaczyć, jak wygląda żywopłot, ławka. Kiedy zamyka za sobą tylne drzwi i wkracza w pierwszą zaspę, zapomina o wszystkim innym, nawet o ukrytym pod suknią liście. Drzewo zasadzone przed dziesięcioma laty przez pierwszych właścicieli domu jest przybrane śniegiem; na murze siedzą dwa małe ptaki, tak nastroszone, że wydają się dwa razy większe niż w rzeczywistości. Jej sznurowane trzewiki przepuszczają u góry śnieg, kiedy brnie między uśpionymi grządkami i omija uschniętą altankę. Wszystko jest odmienione. Przypomina sobie swych braci, kiedy byli dziećmi, leżących w zaspach, podczas gdy ona przyglądała się z okna na piętrze - wymachiwali ramionami, młócili nogami, okładali się nawzajem, szaleli, ich wełniane płaszcze i długie, robione na drutach pończochy oblepiała biel. Czy była to biel?

Zgarnia obfitą porcję - deser *Mont Blanc* - dłonią w rękawiczce i wsuwa to sobie do ust, połyka odrobinę pozbawionego smaku zimna. Grządki będą na wiosnę żółte, ta będzie różowa i kremowa, a pod drzewem zakwitną małe niebieskie kwiaty, które kochała przez całe życie; przyniesiono je tu niedawno z grobu jej matki. Gdyby miała córkę, przyprowadziłaby ją do ogrodu w dniu, w którym by zakwitły, i powiedziała jej, skąd się wzięły. Nie - zabierałaby córkę do ogrodu każdego dnia, dwa razy dziennie, siedziałyby w altance w promieniach słońca czy w śniegu albo na ławce, kazałaby zrobić dla niej huśtawkę. Albo dla niego, swojego synka. Powstrzymuje piekące lzy i odwraca się gniewnie ku zwałom śniegu pod murem, a potem przesuwając po nim dłonią, pozostawiając długi ślad. Za murem są drzewa, a dalej brązowawa mgiełka Lasku Bulońskiego. Jeśli wykończy sukienkę pokojówki na swym obrazie głębszą bielą, kładąc na płótnie szybko kropki, tak jak lubi to teraz robić, to dzięki temu rozświetli cały obraz.

Czuając, jak list pod suknią dotyka jej ciała ostro zagiętą krawędzią, strząsa śnieg z rękawiczek i rozpina płaszcz, a następnie kołnierz, po czym wyciąga papier, świadoma tylnej ściany domu za swoimi plecami i wzroku służących. Ale o tej porze są szczególnie zajęci w



kuchni albo wietrzą salon jej teścia i sypialnię, podczas gdy on siedzi przy oknie swojej garderoby, zbyt ślepy, by widzieć jej ciemną sylwetkę w białym ogrodzie.

List nie zawiera jej imienia, tylko czułe słowo. Autor opowiada jej o swoim dniu, swoim nowym obrazie, książkach przy kominku, ale ona słyszy, jak za zasłoną tych wersów mówi o czymś zupełnie innym. Trzyma mokre, okryte rękawiczką palce z dala od atramentu. Zna już na pamięć każde słowo, ale znów chce zobaczyć ten pełen łuków i krzywizn dowód, jego charakter pisma, uporczywą niedbałość, oszczędność linijek. Tę samą swobodną bezpośredniość dostrzegła w jego rysunkach, pewność siebie tak różną od jej intensywności, fascynującą, nawet zagadkową. Jego słowa też tchną pewnością siebie, tyle że niosą ze sobą więcej znaczenia, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. *Accent aigu*, jedynie muśnięcie czubkiem stalówki, *piessczota*, *accent grave*, mocne, odchylone, ostrzeżenie. Pisze o sobie, z tą pewnością siebie i jednocześnie przeprasząco: *Je*, „J”, duża litera na początku cennych zdań niczym muskularny głęboki oddech, „e” szybkie i powściągliwe. Pisze o niej i o nowym życiu, jakim go obdarzyła - pyta przy tym: przypadkowo? - i w kilku ostatnich listach, za jej pozwoleniem, zwraca się do niej *tu*, „t” pełne szacunku na początku zdań, „u” czułe, dłoń wokół słabiutkiego płomienia.

Trzymając list za brzegi, ignoruje przez chwilę brzmienie każdej jego linijki, by potem znów odczuć przyjemność, jaką daje jej zrozumienie tych słów na nowo. Nadawca pisze, że nie zamierza zakłócać jej życia, wie, że w tym wieku może zaoferować nieliczne przyjemności; pragnie tylko, by wolno mu było oddychać w jej obecności i dodawać odwagi jej najszlachetniejszym myślom. Ośmiela się żywić nadzieję - choć być może nigdy o tym nie porozmawiają - że ona będzie w nim widzieć przynajmniej swego oddanego przyjaciela. Przeprasza ją za niepokoje bezwartościowymi uczuciami. Budzi jej lęk - to, że pod długim i zamaszystym *pardonne-moi* z tym delikatnym łącznikiem kryje się jego domysł, iż ona należy już do niego.

Czuje, jak marzną jej stopy od śniegu przesiąkającego przez materiał butów. Składa list, wsuwa go w sekretne miejsce i przyciska twarz do pnia drzewa. Nie może sobie pozwolić na to, by stać tu długo, ponieważ w oknie za jej plecami mógłby się pojawić ktoś obdarzony dobrym wzrokiem, ale potrzebuje tej krzepiącej chwili bezruchu. Drżenie w jej wnętrzu nie jest wywołane jego słowami z ich pełną wdzięku rezerwą, tylko jego pewnością. Już postanowiła nie odpowiadać na ten list. Co nie znaczy, że nigdy więcej go nie przeczyta.

## 30

### *KATE*

Robert uparł się, że pójdzie do psychiatry sam, a kiedy wrócił, oświadczył mi zwyczajnie, że dostał na próbę jakiś lek, a także nazwisko i numer telefonu terapeuty. Nie powiedział, czy do niego zadzwoni ani czy będzie brał ten lek. Nie mogłam się zorientować, gdzie go schował, i postanowiłam nie dopytywać się o to przez najbliższy tydzień czy dwa. Chciałam poczekać i zobaczyć, co będzie robił, i zachęcić go w miarę możliwości. W końcu buteleczka pojawiła się w naszej szafce w łazience - lit. Słyszałam, jak grzechocze rano i wieczorem, kiedy Robert zażywał przepisaną dawkę.

Po tygodniu wydawał się spokojniejszy, zaczął też malować, chociaż spał przynajmniej dwanaście godzin na dobę i jadł jakby pogrążony we mgle. Cieszyłam się, że prowadzi zajęcia bez jakichkolwiek przeszkód i że nie dostrzegam u niego żadnego niepokoju mającego związek z uczelnią, chociaż nie bardzo wiedziałam, jak mogłabym to zauważyć. Pewnego dnia Robert powiedział mi, że psychiatra chce się ze mną widzieć, dodał też, że uważa to za dobry pomysł. Miał wizytę tego popołudnia - zastanawiałam się, dlaczego nie wspomniał o tym wcześniej - i gdy nadeszła pora, posadziłam Ingrid na jej krzeselku w samochodzie, bo trudno było mi w tak krótkim czasie znaleźć opiekunkę do dziecka. Obok przepływały góry, a ja, patrząc na nie, uświadomiłam sobie, że od jakiegoś czasu nie byłam w mieście. Moje życie obracało się wokół domu, piaskownicy i huśtawek, kiedy pozwalała na to pogoda, i pobliskiego supermarketu. Obserwowałam poważny profil Roberta siedzącego za kierownicą i w końcu spytałam go, dlaczego według niego psychiatra chce się ze mną spotkać.

- Lubi zapoznać się z opinią członka rodziny - wyjaśnił i dodał: - Uważa, że dotąd nieźle sobie radzę. Dzięki litowi.

Po raz pierwszy wymienił nazwę leku.

- Ty też tak uważasz? - Położyłam mu dłoń na udzie, czując ruch jego mięśni, kiedy przyhamował.

- Czuję się bardzo dobrze - zapewnił. - Przypuszczam, że nie będę tego zażywał długo.

Szkoda tylko, że jestem taki zmęczony; potrzebuję energii, żeby malować.

Malować, pomyślałam, ale też być z nami? Zasypiał po kolacji, nie bawiąc się wcześniej z Ingrid, i często spał jeszcze, kiedy rano wychodziłam z nią na spacer. Nie odzywałam się więcej.

Przychodnia mieściła się w długim, niskim budynku, wzniesionym z drogiego na pierwszy rzut oka drewna; wokół rosły nagie drzewka owinięte papierowymi tubami. Robert wszedł do środka bez jakichkolwiek oporów i przytrzymał mi drzwi, ponieważ miałam Ingrid na rękach. Poczekalnia, która służyła zapewne pacjentom lekarzy kilku specjalności, była obszerna; na jej końcu usadowiła się rozległa plama światła słonecznego. Wkrótce z jednego gabinetu wyłonił się jakiś mężczyzna, uśmiechnął się i skinął Robertowi głową, po czym zawołał mnie po imieniu. Był bez białego fartucha, nie trzymał też w ręku karty - miał na sobie marynarkę, krawat i starannie wyprasowane lniane spodnie.

Zerknęłam na Roberta, który potrząsnął głową.

- Chodzi o ciebie - wyjaśnił. - Chce z tobą rozmawiać. Wezwie mnie, jeśli będzie trzeba.

Zostawiłam więc Ingrid pod opieką Roberta i ruszyłam za doktorem... no cóż, czy jego nazwisko ma jakieś znaczenie? Był miłym człowiekiem w średnim wieku i wykonywał swój zawód. Jego gabinet obwieszony był oprawionymi dyplomami i zaświadczeniami, na biurku panował niezwykle porządek, pod dużym przyciskiem z brązu zauważyłam tylko jedną karteczkę. Usiadłam naprzeciwko biurka, czując pustkę w ramionach, w których nie trzymałam Ingrid. Żałowałam teraz, że nie wzięłam jej ze sobą do gabinetu, i martwiłam się, że Robert schowa twarz w dłoniach zamiast patrzeć, jak córka raczkuje obok kontaktów elektrycznych i doniczek z kwiatami. Kiedy jednak przyjrzałam się trochę doktorowi Q, doszłam do wniosku, że wzbudza zaufanie. Przypominał mi dziadka z Michigan; twarz miał łagodną, a głos głęboki, nieco gardłowy, jakby przybył tu w wieku kilkunastu lat i jego rodzimy akcent stał się niewyczuwalny; jedynym śladem była leciutka chropowatość spólgłosek.

- Dziękuję, że zechciała pani ze mną się spotkać, pani Oliver - powiedział. - Rozmowa z bliskim członkiem rodziny jest bardzo pomocna, zwłaszcza w przypadku nowego pacjenta.

- Też się cieszę - odparłam szczerze. - Naprawdę martwię się o Roberta.

- Nic dziwnego. - Przesunął przycisk do papierów, odchylił się w fotelu, spojrzał na mnie. - Wiem, że to dla pani trudne. Zapewniam, że obserwuję Roberta bardzo uważnie, i jestem zadowolony, że pierwsza próba leku wypadła pomyślnie i przynosi rezultaty.

- Z pewnością jest spokojniejszy - przyznałam.

- Może mi pani powiedzieć, dlaczego jego zachowanie wydało się pani inne albo dlaczego panią zaniepokoiło? Robert poinformował mnie, że to pani namówiła go na wizytę u lekarza.

Złożyłam dłonie i wyrecytowałam listę naszych problemów, problemów Roberta, wszystkie te wzloty i upadki zeszłego roku.

Doktor Q słuchał w milczeniu, nie zmieniając wyrazu twarzy, która bez wątpienia promieniała życzliwością.

- I wydaje się pani, że jest bardziej zrównoważony, kiedy zażywa lit?

- Tak - odparłam. - Wciąż dużo śpi i skarży się na to, ale wydaje się, że daje radę wstać rano i iść na uczelnię, niemal zawsze. Narzeka jednak, że nie może malować.

- Przyzwyczajenie się do nowego leku wymaga czasu, podobnie jak ustalenie, który środek działa najskuteczniej i w jakich dawkach. - Doktor Q znów poprawił z uwagą przycisk do papierów, tym razem przy lewym górnym rogu kartki. - Sądzę jednak, że w przypadku pani męża jest ważne, by zażywał przez jakiś czas lit, i pewnie będzie go potrzebował stale, lub też jakiegoś innego leku, jeśli lit nie przyniesie pożądanych rezultatów. Ten proces będzie wymagał cierpliwości z jego strony - a także ze strony pani.

W mojej głowie odezwał się kolejny dzwonek alarmowy.

- Chce pan powiedzieć, że zawsze będzie miał te problemy? Nie będzie mógł odstawić leków, kiedy mu się polepszy?

Doktor przesunął bryłę brązu na dokumencie. Przypomniało mi to nagle zabawę z dzieciństwa - kamień, papier, nożyczki, jeden z tych elementów może pokonać drugi, ale z kolei coś innego może okazać się silniejsze od wcześniejszego zwycięzcy, fascynujący cykl.

- Ustalenie właściwej diagnozy może trochę potrwać. Przypuszczam jednak, że Robert cierpi na...

Wtedy padła nazwa tej choroby. Już kiedyś ją słyszałam; kojarzyła mi się z niezliczonymi rzeczami, które nie miały ze mną nic wspólnego, a z których powodu ludzie byli poddawani elektrowstrząsom albo popełniali samobójstwo. Siedziałam przez kilka sekund, starając się dopasować te słowa do Roberta, swojego męża. Całe ciało miałam zlodowaciałe.

- Chce pan powiedzieć, że mój mąż jest psychicznie chory?

- Nie wiemy tak naprawdę, w jakim stopniu stan pacjenta jest wynikiem choroby umysłowej, a w jakim skutkiem oddziaływań środowiskowych czy funkcjonowania osobowości - zastrzegł doktor Q, a ja po raz pierwszy poczułam, że go nienawidzę: asekurował się! - Możliwe, że stan Roberta ustabilizuje się pod wpływem tego leku, ale

niewykluczone, że będziemy musieli spróbować czegoś innego. Wydaje mi się, biorąc pod uwagę jego inteligencję, a także oddanie sztuce i rodzinie, że będzie robił postępy. Proszę nie wyzbywać się nadziei.

Było jednak za późno. Robert nie jawił mi się już tylko jako Robert, ale też jako ktoś zdiagnozowany. Wiedziałam, że nic nie będzie takie samo, nigdy, bez względu na to, jak bardzo pragnęłabym go traktować po dawnemu. Bolało mnie serce i było mi go żal, ale jeszcze bardziej żal samej siebie. Doktor Q odebrał mi coś najdroższego i najwyraźniej nie wiedział, co człowiek wtedy czuje. Nie dał mi nic w zamian, tylko widok swej dłoni porządkującej puste biurko. Szkoda, że nie był choć łaskaw mnie przeprosić.

# 31

## *KATE*

Po zażyciu litu Robert stawał się senny. Pewnego dnia, jadąc do galerii w mieście, miał stłuczkę - na szczęście przy niewielkiej prędkości. Po tym incydencie doktor Q zapisał mu inny lek, a także coś na depresję i stany lękowe, jak na początku. Robert wyjaśnił mi to wszystko, kiedy spytałam o szczegóły, co starałam się robić nie za często, żeby go nie irytować.

W połowie grudnia nowy lek, jak się zdawało, zaczął działać na tyle dobrze, że Robert mógł malować i przychodzić na zajęcia o wyznaczonej porze. Przypominał też bardziej tego dawnego, pełnego energii człowieka. Przesiadywał w tym czasie w pracowni uczelnianej, zostając tam do późna kilka razy w tygodniu. Kiedy pewnego dnia odwiedziłam go tam z Ingrid, był bez reszty pochłonięty portretem - damą z moich koszmarów. Był to jeden z tych genialnych obrazów, dzięki którym miał później wielką wystawę w Chicago. Kobieta siedziała w fotelu, ręce trzymała złożone na kolanach. Tym razem był to stosunkowo pogodny wizerunek - miała na sobie żółtą suknię i uśmiechała się do siebie, jakby wspominając coś przyjemnego i osobistego, oczy spoglądały miękko, na stole obok widniał bukiet kwiatów. Odczułam taką ulgę, widząc, jak pracuje, i dostrzegając te radosne barwy, że niemal przestałam się zastanawiać, kim jest ta kobieta.

Tym większego doznałam szoku, gdy dwa dni później poszłam tam, żeby zanieść mu ciastka, które udało nam się z Ingrid upiec, i zastałam go przy pracy nad tym samym obrazem, ale z udziałem żywej modelki. Wyglądała jak studentka, siedziała na składanym krześle i nie miała na sobie przeładowanej ozdobami sukni z adamaszku. Czułam przez chwilę, jak zamiera mi serce. Była młoda i ładna, a Robert z nią gawędził, jakby chciał ją nakłonić do bezruchu, odtwarzając nachylenie głowy i ramienia. Nie przypominała jednak w niczym damy z poddasza. Miała krótkie blond włosy, jasne oczy i nosiła sportową bluzę z emblematem college'u. Tylko piękne ciało i kwadratowy zarys szczęki wskazywały na jakieś odległe pokrewieństwo z kobietą o kręconych włosach, którą po raz pierwszy ujrzałam na rysunku wyciągniętym z jego kieszeni. Co więcej, Robert nie sprawiał wrażenia

zakłopotanego moją obecnością; pocałował mnie i Ingrid na powitanie i przedstawił dziewczynę jako jedną ze stałych modelek w pracowni, zarabiającą w ten sposób na naukę. Dziewczyna ze swej strony wydawała się o wiele bardziej oczarowana Ingrid i faktem, że sesja egzaminacyjna dobiega końca, niż Robertem. Po prostu mu pozowała, a ja wiedziałam równie mało jak wcześniej.

Pamiętam tylko dwa momenty z wyjazdu Roberta do Barnett na początku stycznia. Ścisnął Ingrid długą chwilę, a ja uświadomiłam sobie, że moja córka jest już tak wysoka, że może objąć go w pasie nogami - dziecko o długim ciele Roberta i jego ciemnych kędzierzawych włosach. Druga chwila to był powrót do domu, kiedy jego samochód zniknął pośród drzew na końcu drogi - tak, to musiało być potem, chyba że nie chciałam stać na zimnym ganku ani sekundy dłużej i pomyślałam, że nie muszę wiedzieć, jak odjeżdża. Pamiętam, że weszłam do środka, by posprzątać po śniadaniu i spytać samą siebie w zwięzłych, jasnych słowach: czy to jest separacja? Nie znalazłam jednak odpowiedzi w swojej głowie ani w ciepłej kuchni z wonią musu jabłkowego i tostów. Wszystko wydawało się normalne, choć posępne. Odczuwało się w domu nawet techniczne ulgi. Przyszło mi do głowy, że dawałam sobie radę wcześniej, więc i dalej tak będzie.

Listy Roberta były zwykle nabazgrane na kartkach pocztowych i zaadresowane do Ingrid albo do mnie; dzwonił nieregularnie, ale dostatecznie często. Zima w północnym stanie Nowy Jork była ostra, lecz odznaczała się wspaniałym, impresjonistycznym śniegiem. Raz malował w plenerze i omal nie doznał odmrożenia. Powitał go osobiście rektor college'u. Robert otrzymał uczelniany pokój gościnny, skąd miał piękny widok na lasy i czworokątny dziedziniec. Jego studenci byli w większości niezbyt utalentowani, choć interesujący. Pracownia wydawała się zbyt mała, mimo to malował. Pierwszego dnia położył się spać o czwartej nad ranem.

Potem przerwa, krótkie milczenie, i listy znów zaczęły przychodzić. Wolałam je od rozmów telefonicznych, pełnych niewypowiedzianego napięcia między nami; przypominało to przepaść, tym cięższą do pokonania, że nie widzieliśmy nawzajem swoich twarzy. Starłam się nie dzwonić do niego częściej niż on do mnie. Raz przysłał rysunek dla Ingrid, jakby domyślając się, że taki język mała zrozumie najlepiej. Pomogłam jej przykleić kartkę taśmą do ściany w pokoju dziecięcym. Były to budynki gotyckie i zasypane śniegiem, nagie drzewa. Jeśli Ingrid płakała w nocy, brałam ją do swojego łóżka i nazajutrz rano budziłyśmy się w skłębionej pościeli. Pod koniec lutego Robert przyleciał do domu na przerwę zimową i urodziny Ingrid. Dużo spał, kochaliśmy się, ale nie rozmawialiśmy o niczym trudnym.

Powiedział, że na początku kwietnia będzie miał też przerwę wiosenną, ale postanowił ją poświęcić na malowanie w tym college'u na Północy. Nie protestowałam. Pomyślałam, że jeśli wróci latem z obrazami, to może łatwiej będzie z nim żyć.

Kiedy wyjechał, na jakiś czas zjawiała się moja matka; codziennie wysyłała mnie na pływalnię uczelnianą. Zdażyłam już się pozbyć większości zbędnych kilogramów po porodzie, a resztę zrzuciłam, prując wodę; przypominałam sobie, jak się czułam, nie tak dawno temu, będąc młodą i pełną optymizmu. Podczas tej wizyty zauważyłam u matki drżenie rąk, nieznaczne pęknięcie żyłek na policzkach i lekką opuchliznę kostek. Mimo to pomagała mi jak dawniej - naczynia były zawsze pozmywane i stały na suszarce, niezliczone bawełniane wdzianka Ingrid wyprane i złożone; czytała też mojej córce, gdy tylko mała tego zapragnęła.

Coś jednak zaczęło podkopywać fizyczną pewność siebie matki i gdy wróciła do Michigan, coraz częściej informowała mnie, że boi się stąpać po lodzie. Wychodziła na ganek, żeby pójść do sklepu albo do dentysty czy popracować nieodpłatnie w bibliotece - a potem chowała się z powrotem w domu i dzwoniła do mnie. Raz mi powiedziała, że nie opuszczała domu przez tydzień. Nie chciałam czekać w samotności z tym pytaniem, które budziło mnie wczesnym rankiem, i gdy zwróciłam się do Roberta, odparł bez wahania, że tak, niech mama się do nas przeprowadzi.

Nie powinnam być zaskoczona, ale byłam. Zapominałam już chyba o jego odruchowej szczodrości, o tym, że mówił „tak” zamiast „nie”, o zwyczaju rozdawania marynarek przyjaciółom czy nawet nieznajomym. Poczułam w sobie przyływ miłości, kiedy tak stałam ze słuchawką w ręku, czekając na niego, tak daleko od tego zimnego kampusu gdzieś w stanie Nowy Jork. Podziękowałam mu z całego serca, opowiedziałam o azaliach, które zaczęły kwitnąć, o zielonych liściach, które było wszędzie widać. On ze swej strony powiedział, że wróci szybko do domu, i wydawało się, że oboje uśmiechamy się przez telefon.

Kiedy zadzwoniłam do mamy, wbrew moim przypuszczeniom nie sprzeciwiała się - obiecała, że o tym pomyśli, ale gdyby miała przyjechać, to chciałaby kupić nam większy dom. Nie wiedziałam, że ma tyle pieniędzy, ale jednak miała, ktoś też zaproponował rok wcześniej kupno jej domu w Ann Harbor. Powiedziała, że się zastanowi, iż może to nie jest taki zły pomysł. A jak tam przeżycie Ingrid?



## 32

### 1878

W maju Yves nalega, by stryj towarzyszył im w wyprawie do Normandii, najpierw do Trouville, a potem do pobliskiej wioski Étretat, spokojnego miejsca, które odwiedzali kilkakrotnie w przeszłości i pokochali. To pomysł Papy, żeby wzięli ze sobą jego brata, ale ma silne poparcie Yves'a. Béatrice sprzeciwia się; dlaczego nie mogą jechać tylko we trójkę, tak jak zawsze? Sama może opiekować się Papą, a w domu, który Yves za każdym razem wynajmuje, jest tylko jeden mały pokój gościnny; nie będzie salonu dla stryja Oliviera, jeśli Papa usadowi się tam, gdzie zawsze. Gdyby zaś Papa został przeniesiony, nie byłby w stanie niczego znaleźć, mógłby nawet spać w nocy ze schodów. Trudno mu nawet podróżować, choć jest uosobieniem cierpliwości i uwielbia czuć na twarzy słońce i wiatr znad kanału La Manche. Béatrice błaga Yves'a, by się zastanowił.

Yves jest jednak nieprzejednany. Mogą go wezwać w sprawach zawodowych w samym środku wakacji, więc będzie miała przynajmniej Oliviera do pomocy. Dziwne - Olivier jest starszy od Papy, ale pod względem zdrowia i sprawności wydaje się młodszy o dobre piętnaście lat. Przed śmiercią żony nie miał ani jednego siwego włosa, powiedział jej kiedyś Yves, ale ona nie może tego pamiętać, bo dopiero dwa lata później weszła do rodziny. Olivier jest silny, pełen wewnętrznej energii jak na swój wiek; może być pomocny. Upieranie się, by im towarzyszył, to ze strony Yves'a jedyna forma skargi, że opieka nad Papą spoczywa na ich barkach.

Ona znów się sprzeciwia - bez przekonania tym razem - i trzy tygodnie później siedzą w pociągu opuszczającym powoli dworzec Saint-Lazare; Yves okrywa nogi Papy pledem, a Olivier czyta głośno gazetę, przekazując im wiadomości artystyczne. Wydaje się, że unika wzroku Béatrice. Jest mu wdzięczna, ponieważ jego osobowość tak wypełnia ciasną przestrzeń, że ona ma wręcz ochotę przejść do innego wagonu. Można odnieść wrażenie, że ten mężczyzna odmłodził w ciągu kilku miesięcy, odkąd zaczęła się ich korespondencja; jego twarz wygląda na opaloną, jeszcze nim docierają na wybrzeże. Broda jest srebrzysta, starannie przycięta. Olivier opowiada im, że malował w Fontainebleau, a ona się zastanawia,

czy myślał o niej, kiedy wędrował tamtymi ścieżkami, dźwigając sztalugi, albo stał na łąkach, których ona zapewne nigdy nie zobaczy. Przez chwilę zazdrości krzewom, które go otaczały, trawie, którą prawdopodobnie przygniatała jego długa sylwetka, i z miejsca zwraca się ku innym myślom. Czy jest po prostu zazdrosna o to, że on może podróżować i malować do woli, zazdrosna o jego bezustanną wolność?

Za oknami pociągu pęd rozwiewa rozżarzone drobinki, które fruną między nią a świeżo zazielenionymi polami, przelotnymi obrazami wodnych zakoli. Choć w przedziale robi się zbyt gorąco, Yves nie chce otworzyć okna, chroniącego przed dymem z parowozu i kurzem. Ona patrzy na krowy w zagajniku, na plamę czerwonych maków, białe i żółte stokrotki na polu. Zdjęła rękawiczki, kapelusz i wierzchni żakiet pod kolor, ponieważ są sami, wyłącznie rodzina, a zasłonki w drzwiach prowadzących na korytarz są zaciągnięte. Kiedy odchyła się na siedzeniu i zamyka oczy, wyczuwa spojrzenie Oliviera i ma nadzieję, że mąż tego nie zauważy. Co jednakże miałby zauważyć? Nic, nic, nic, ona zaś sprawi, że tak pozostanie na zawsze - nic między nią a tym siwiejącym mężczyzną, którego Yves zna od urodzenia, a który teraz jest także jej krewnym.

Gdzieś z przodu dobiega przeciągły dźwięk gwizdka parowego; brzmi głucho, jak jej się wydaje. Zapowiada się długie życie, przynajmniej w jej przypadku. Czy nie jest to dobre? Czyż nie czuła zawsze, że czas rozciąga się przed nią w cudownym bezkresie? A jeśli - otwiera oczy i uparcie kieruje wzrok ku odległej wiosce, bladej smudze, wieży kościelnej ponad polami - a jeśli ten bezkres nie obejmuje dzieci ani Oliviera? Jeśli nie obejmuje już więcej listów od niego, jego dłoni na jej włosach - teraz patrzy wprost na niego, podczas gdy Yves otwiera drugą gazetę, i stwierdza zadowolona, że go trochę przestraszyła. On obraca swoją kształtną, rasową głowę w stronę okna, bierze do ręki książkę. Jest tak mało czasu. Ten mężczyzna umrze o kilkadziesiąt lat wcześniej niż ona. A jeśli już samo to wystarczy do skruszenia jej oporu?

## 33

### *KATE*

W rzeczywistości upłynęło parę lat, zanim matka ostatecznie podjęła decyzję, sprzedała dom i uporała się ze wszystkimi formalnościami. W tym czasie ja i Robert wciąż mieszkaliśmy w naszym domu na kampusie. Raz pojechałam do Michigan, żeby pomóc jej pozbyć się większości przedmiotów należących do ojca, i obie płakałyśmy. Zostawiłam Ingrid z Robertem i choć dobrze się nią opiekował, martwiłam się, że zapomni, gdzie mała jest, albo pozwoli jej spacerować samej.

Jesienią Robert pojechał na dziesięć dni do Francji, też miał prawo się wyrwać. Chciał jeszcze raz zobaczyć wielkie muzea, jak twierdził - nie był tam od czasu studiów. Wrócił niezwykle odmłodzony i podekscytowany, a ja pomyślałam, że warto było wydać te pieniądze. Miał też dużą wystawę w Chicago, w styczniu, na zaproszenie jednego z byłych wykładowców - wszyscy tam polecieliśmy, ponosząc niebotyczne koszty, i po dwóch dniach się przekonałam, że stał się kimś w rodzaju sławy.

W kwietniu na kampusie znów pojawiły się kwiaty, które oboje tak lubiliśmy. Te dziko rosnące chodziłam oglądać do lasu; spacerowaliśmy też po ogrodach na terenie uczelni, by Ingrid mogła zobaczyć kwitnące rabaty. Pod koniec miesiąca kupiłam test ciążowy, a potem patrzyłam, jak spod białego owalu przesącza się różowa linia. Choć zgadzaliśmy się co do drugiego dziecka, strasznie się bałam powiedzieć o tym Robertowi; często bywał zmęczony albo zniechęcony. A jednak sprawiał wrażenie uradowanego moją wiadomością, ja zaś czułam, że życie Ingrid będzie pełniejsze. Jaki sens mieć tylko jedno dziecko? Tym razem dowiedzieliśmy się wcześniej, że to chłopiec; kupiłam Ingrid lalkę płci męskiej i pieluszkę. W grudniu znów pojechaliśmy do centrum położniczego. Urodziłam dziecko z czymś w rodzaju zawziętej i skutecznej koncentracji i przywieźliśmy je do domu. Oscar miał jasne włoski i był podobny do mojej matki, choć Robert się upierał, że bardziej przypomina jego matkę. Obie do nas przyjechały, żeby pomagać nam przez kilka tygodni; mieszkały w pokojach gościnnych u sąsiadów. Uwielbiały debatować nad wspomnianym problemem podobieństwa. Znów pchałam wózek, a moje ręce i kolana były bezustannie zajęte.

Mam niezatarty obraz Roberta z czasów, kiedy nasze dzieci były małe, a my mieszkaliśmy na terenie uczelni. Nie bardzo wiem, dlaczego tak dobrze go pamiętam z tego okresu, pomijając fakt, że był to jakby idealny szczyt naszego życia, chociaż jednocześnie właśnie wtedy, jak sędzę, Robert zaczął się w środku rozpadać. Nawet ktoś, z kim dzieli się pokoje, kogo widzi się codziennie nagiego albo siedzącego na sedesie za niedomkniętymi drzwiami, może po pewnym czasie zblaknąć i stać się jedynie niewyraźnym zarysem. Robert jednak z tego okresu, kiedy nasze dzieci były jeszcze małe - zanim zamieszkała u nas moja mama - jawi mi się wyraźnie, w całej barwie i fakturze. Miał gruby brązowy sweter, który nosił niemal każdego zimnego dnia, a ja pamiętam czarne i kasztanowe sploty materiału, jakby widziane z bliska, i drobinki, które do nich przywierały - kłaczki i maleńkie trociny, patyczki, wszelkiego rodzaju kawałki chropowatej tymczasowości, które pochodziły z pracowni na wydziale albo były pamiątką po spacerach i wyprawach w plener.

Kupiłam mu ten sweter w sklepie z używaną odzieżą, wkrótce po tym, jak się poznaliśmy - był w doskonałym stanie, z Irlandii, wydziergany przez kogoś o rzeczywiście silnych dłoniach, i trwał latami, na dobrą sprawę przetrwał nas. Ten sweter wypełniał moje ramiona, kiedy Robert wracał do domu. Głaskałam jego mechatość, głaszcząc jednocześnie łokcie Roberta. Pod nim był stary podkoszulek o długich rękawach albo rozciągnięty bawełniany golf, zawsze w kolorze, który wibrował w zetknięciu z barwą swetra - wytarty szkarłat albo głęboka zieleń, niekoniecznie pasujący, ale w jakiś sposób przyciągający uwagę. Włosy Roberta raz były długie, raz krótkie - zakręcały się na kołnierzu albo sterczały miękką szczecina na karku, ale sweter był zawsze ten sam.

Moje życie w tamtych dniach sprowadzało się głównie do dotyku - przypuszczam, że jego życie było kolorem i liniami, więc jedno nie widziało zbyt wyraźnie świata tego drugiego, a może Robert nie potrafił odczuć do końca mojej obecności. Przez cały dzień dotykałam czystych talerzy i misek, odkładając je na miejsce, dotykałam w wannie śliskich od szamponu główek dzieci i miękkości ich twarzyczek, smug kupki na ich pokrytych gęsią skórka tyłeczkach, gorącego makaronu, ciężkiej upranej bielizny, którą wrzucałam do suszarki, i frontowych schodków wyłożonych cegłą, kiedy siedziałam, mogąc poczytać przez osiem minut, kiedy maluchy bawiły się tuż poza granicą kartki w książce, w kłującej świeżej trawie, a potem, kiedy jedno z nich się przewracało, dotykałam trawy, ziemi i podrapanego kolana, i lepkich plastrów z opatrunkiem, i mokrego policzka, i swoich dżinsów, i majtającego się sznurowadła.

Kiedy Robert wracał do domu z zajęć, dotykałam jego brązowego swetra i kręconych, rozdzielających się loków, porośniętego krótkim zarostem podbródka, tylnych kieszeni,

zgrubiałych dłoni. Patrzyłam, jak podnosi dzieci, i czułam, przez samo tylko patrzenie, jak jego szorstka twarz ociera się o ich delikatne buzie, sprawiając im ogromną przyjemność. Wydawało się, że jest w takich chwilach bez reszty z nami, a jego dotyk stanowił dostateczny dowód. Jeśli nie byłam zbyt wyczerpana minionym dniem, dotykał mnie, bym nie zasnęła jeszcze przez chwilę, a ja wyciągałam dłonie do jego gładkich, pozbawionych owłosienia boków i miękkich, kręconych włosów między nogami, jego płaskich i doskonałych sutków. Zdawało się wtedy, że przestaje na mnie patrzeć, a zaczyna wreszcie wkraczać w mój świat dotyku, w tę ruchomą przestrzeń między nami, aż w końcu wypełniliśmy szczelinę namiętą swojskością, rutynowym spełnieniem. W tamtych dniach miałam wrażenie, że jestem pokryta wydzielinami, kąpiącym mlekiem, kiedy zbyt wcześnie wyjęłam Oscarowi pierś z buzi, pianą na udach, śliną na policzku.

Może dlatego nawróciłam się na świat dotyku i porzuciłam świat wizji, dlatego przestałam rysować i malować po tylu latach codziennego rysowania i malowania. Moja rodzina lizała mnie i przeżuwała, całowała i ciągnęła, rozlewała na mnie wszelkie płyny - sok, urynę, nasienie, brudną wodę. Myłam się raz za razem, ścieliłam łóżka i zmieniałam wkładki do stanika dla karmiących matek, szorowałam i wycierałam ciało. Chciałam znów się oczyścić, oczyścić z nich wszystkich, ale nim zdążyłam znaleźć w sobie siłę, by zmyć ich z siebie do reszty, pojawiała się coś dobrego, a ja znów się w tym zanurzałam.

\*

A potem szukaliśmy nieruchomości, jak dorośli, i wysyłaliśmy matce zdjęcia frontowych ganków. W końcu przeprowadziliśmy się do swojego domu tamtego lata, gdy Ingrid skończyła pięć lat, a Oscar dwa. To było to, czego chciałam przede wszystkim - dwoje uroczych dzieci, podwórko z huśtawką, którą Robert w końcu powiesił po dwóch miesiącach błagań z mojej strony (proszę, zrób to wreszcie), małe miasto, którego sama nazwa miała w sobie zieleń, i przynajmniej jedno z nas na porządnej posadzie. Dostajemy kiedykolwiek to, czego w swoim odczuciu pragniemy? I miałam też matkę. W pierwszych latach, kiedy z nami mieszkała, zajmowała się ogrodem, odkurzała, a potem czytała godzinę czy dwie w przytulnym mroku na tarasie, gdzie wiaź rzucał cienie małych liści na jej srebrną głowę i stronicie książki. Stamtąd mogła nawet obserwować Ingrid i Oscara polujących na gąsienice.

Myślę, że tamte lata były dla nas dobre, ponieważ mieszkała z nami moja matka. Miałam towarzystwo, a Robert w jej obecności był w najlepszej formie. Od czasu do czasu przesiadywał do późna dwie noce z rzędu albo zostawał na uczelni, a potem wydawał się zmęczony; sporadycznie też miewał okresy irytacji i wtedy przez kilka dni spał do późna. Na

ogół jednak układało się dobrze. Zanim opuściliśmy kampus, Robert z własnej woli zamalował ten chaos na poddaszu. Nie wiem, w jakim stopniu powinnam być za to wdzięczna pomarańczowym buteleczkom w naszej łazienkowej szafce na leki. Co jakiś czas wspominał, że widział się z doktorem Q, i to mi wystarczało - doktor Q nie mógł mi oczywiście pomóc, ale najwidoczniej pomagał mojemu mężowi.

Podczas drugiego roku naszego pobytu w nowym domu Robert wyjechał do Maine, żeby poprowadzić gościnnie kurs malowania. Nie mówił o tym wiele, ale wydawało mi się, że dobrze mu to zrobiło. Cieszyliśmy się dziećmi i czasem; w nocy, jeśli nie byłam bardzo zmęczona, dotykał mnie, bym nie zasnęła, a ja obejmowałam go i wszystko było tak jak zawsze. Darłam jego stare koszule i używałam jako ściereczek do kurzu - mogłam wyciągnąć jedną z nich z jakiegokolwiek sterty szmat i wiedziałam, że to jego, wiedziałam, że to on, jego uporczywy zapach, jego materiał. Sprawiał wrażenie zadowolonego z pracy, a ja zaczęłam redagować teksty na pół etatu, głównie w domu, żeby dołożyć trochę do naszego budżetu i pomóc w spłacie hipoteki, podczas gdy matka zajmowała się dziećmi.

Któregoś ranka, kiedy zabrała je do parku, a ja już pozmywałam po śniadaniu, poszłam na górę pościelić łóżka, po czym zasiadłam do pracy przy biurku w korytarzu; w pewnej chwili zobaczyłam, że drzwi do pracowni Roberta są uchylone. Wyszedł z kubkiem kawy w ręku - był akurat w fazie, kiedy wstawał bardzo wcześnie i szedł do szkoły malować. Zauważyłam, że upuścił coś na podłogę, skrawek papieru, który leży przy otwartych drzwiach. Podeszłam i podniosłam go, nie myśląc o niczym konkretnym. Robert często rozrzucał papiery - notatki, karteczki, które miały mu o czymś przypomnieć, fragmenty rysunków, zmięte chusteczki. To, co znalazłam na podłodze, okazało się kawałkiem papieru listowego, mniej więcej jedna trzecia strony, oddartego, jakby autor się zdenerwował. Rozpoznałam charakter pisma Roberta, tym razem nieco staranniejszy niż zwykle. Wciąż przechowuję te zdania, te linijki, spoczywają ukryte w moim biurku, i to wcale nie dlatego, że zatrzymałam oryginał - prawdę mówiąc, zgmiotłam go i rzuciłam na blat stołu, a Robert złapał zwitek i schował do kieszeni; nigdy więcej nie zobaczyłam tej kartki. Wciąż mam te linijki, ponieważ jakiś instynkt kazał mi usiąść przy biurku i przepisać je na własny użytek, a potem schować, jeszcze przed konfrontacją z Robertem. Chyba myślałam mgliście o tym, że mogą się przydać w sądzie albo że przynajmniej będą mi potrzebne później, więc lepiej nie zapomnieć szczegółów. „Moja najdroższa” - tak się to zaczynało, ale to nie był list do mnie, nigdy też wcześniej nie widziałam takich słów, które wyszłyby spod pióra Roberta.

*Moja najdroższa,*

*Otrzymałem w tejże chwili Twój list i tak bardzo mnie on poruszył, że od razu pragną Ci odpisać. Owszem, tak jak współczująco nadmieniasz, byłem samotny przez te lata. I choć wyda się to osobliwe, żałuję, iż nie zostałeś przedstawiona mojej żonie; gdyby to było wówczas możliwe, ty i ja poznalibyśmy się w stosownych okolicznościach, nie zaś za sprawą owej nierzeczywistej miłości, jeśli pozwolisz mi ją tak nazywać.*

Nie wiedziałam, że Robert potrafi się zdobyć na tak kwiecisty styl w liście czy gdziekolwiek indziej - to, co pisywał do mnie, było zawsze krótkie i rzeczowe. Na chwilę to zaskoczenie przyprawiło mnie o mdłości bardziej niż sam fakt, że chodzi o list miłosny. Ten wytworny, niemal staromodny styl i ton były dziełem Roberta, którego z trudem rozpoznawałam - nie dość, że pełnego galanterii, której ja nigdy z jego strony nie zaznałam, to jeszcze pragnącego, by adresatka listu mnie znała albo też przy jakiejś okazji została mi przedstawiona.

Stałam, trzymając jego słowa w słonecznej bibliotece, i zastanawiałam się, co czytam. Był samotny. Pograżył się w nierzeczywistej miłości. Oczywiście musiała być „niereczywista”, ponieważ miał żonę, dwójkę dzieci i prawdopodobnie cierpiał na obłęd. A co ze mną? Czy ja nie byłam samotna? Nie miałam jednak niczego „niereczywistego”, lecz jedynie całą rzeczywistość świata, z którą musiałam się zmagać - dzieci, naczynia, rachunki, psychiatrę Roberta. Sądził, że wolę świat rzeczywisty bardziej niż on?

Weszłam powoli do jego pracowni i spojrzałam na sztalugi. Widniała na nich kobieta. Wydawało mi się, że się do niej przyzwyczaiłam, do jej obecności w naszym życiu. To było płótno, nad którym pracował od tygodni - stanowiła na nim jedyną postać, a jej twarz nie została jeszcze do końca namalowana, ale sama mogłabym wypełnić ten surowy bładny owal odpowiednimi rysami. Umieścił ją obok okna, w pozycji stojącej, w przezroczystej, luźnej szacie błękitnego koloru. W ręku trzymała pędzel. Za dzień czy dwa uśmiechałaby się do niego albo spoglądała poważnie niezmaconym wzrokiem; jej ciemne oczy byłyby pełne miłości. Z czasem uwierzyłam, że jest tworem wyobraźni, postacią fikcyjną, częścią jego wizji stanowiącej motor napędowy talentu. Zaufałam, zbyt mocno zaufałam, tymczasem pierwsze wrażenie okazało się słuszne. Była realna, a on do niej pisał.

Ogarnęła mnie nagle chęć, by zdemolować jego pokój, podrzeć szkice, zrzucić na podłogę ową damę-w-trakcie-tworzenia, rozmazać ją i podeptać, zerwać ze ścian plakaty i ten chaos pocztówek z reprodukcjami. Powstrzymała mnie banalność takiego postępowania, upokorzenie zazdrosnej żony, jak w kinie. A także coś w rodzaju przebiegłości, podstępności, która opanowała mi mózg jak narkotyk - mogłam się dowiedzieć więcej, gdyby Robert nie

wiedział, że ja wiem. Położyłam ten skrawek papieru na swoim biurku, zamierzając przepisać te słowa, a potem rzucić go z powrotem na podłogę przy otwartych drzwiach, żeby sam go znalazł. Wyobraziłam sobie, jak się po niego schyla, myśląc: upuściłem to? No, niewiele brakowało. I jak chowa go do kieszeni albo do szuflady stołu.

To właśnie było moim następnym ruchem - przejrzałam ostrożnie zawartość szuflad jego stołu do rysowania, odkładając na swoje miejsce wszystko, co przesunęłam, i robiąc to ze starannością archiwisty; duże ołówki grafitowe, szare gumki, rachunki za farby olejne, na wpół zjedzony baton czekoladowy. Listy, w głębi jednej z szuflad, strony pokryte pismem, którego nie znałam, odpowiedzi na listy, takie jak ten jego.

*Drogi Robercie. Kochany Robercie. Mój drogi Robercie. Myślałam dziś o Tobie, pracując nad nową martwą naturą. Wciąż uważasz, że warto zajmować się martwymi naturami? Po co malować coś, co jest bardziej martwe niż żywe? Zastanawiałam się, jak jedną ręką tchnąć w jakiś przedmiot życie, tę tajemniczą siłę, która przeskakuje jak elektryczność między tym, co widać, a okiem, potem między okiem a dłonią, dłonią a pędzlem, i tak dalej. I z powrotem do oka; wszystko sprowadza się do tego, co widzisz, prawda? Bo bez względu na to, do czego zdolna jest Twoja ręka, nie potrafi skorygować niedoskonałości wzroku. Muszę teraz lecieć na zajęcia, ale myślę o Tobie bezustannie. Kocham Cię, wiesz o tym. Mary.*

Moje ręce drżały. Było mi niedobrze, czułam, jak wokół mnie kołysze się pokój. A więc znałam jej imię - musiała być studentką, może jednym z wykładowców, choć w tym wypadku zdołałabym zapewne ją zidentyfikować. Musiała lecieć na zajęcia. Kampus pełen był studentów, których nie poznałam i których nigdy nie widziałam, nawet przez cały ten czas, kiedy tam mieszkaliśmy. Potem przypomniałam sobie rysunek, który znalazłam w jego kieszeni podczas przeprowadzki do Greenhill pięć lat wcześniej. Trwało to zatem bardzo długo; na pewno spotykał się z nią w Nowym Jorku. Od tamtego czasu był kilka razy na Północy, włączając w to długi semestr - wyjeżdżał, żeby widywać się z nią częściej? Czy to był powód jego nagłego urlopu, jego niechęci, by zabrać nas ze sobą? Oczywiście była malarką, studentką sztuk pięknych, aktywną malarką, prawdziwą malarką. Sam ją malował, z pędzlem, który trzymała w dłoni. Oczywiście, że była malarką, tak jak ja kiedyś.

A jednak - Mary - takie zwyczajne imię, imię dziewczyny z małym jagniątkiem, imię matki Jezusa. Albo królowej Szkotów, albo krwawej Mary, albo Marii Magdaleny. Nie, to imię nie zawsze dowodziło błękitnobiałej niewinności. Pismo było duże i dziewczęce, ale nie zgrzebne, ortografia prawidłowa, wyrażenia inteligentne, czasem nawet uderzające, czasem humorystyczne, czasem odrobinę cyniczne. Niekiedy dziękowała mu za jakiś rysunek albo



dodawala zręczny szkic od siebie - jeden zajmował całą stronę i przedstawiał grupę ludzi siedzących w jakiejś restauracji, z kubkami i półmiskami na stolikach. Inny list nosił datę sprzed kilku miesięcy, ale większość nie miała dat ani kopert - kilka było postrzępionych, jakby długo spoczywały w kieszeni. Nie wspominała o żadnych spotkaniach, o tym, że zamierza go widzieć, ale raz nadmieniała, że się całowali. Tak naprawdę nie było w tych listach niczego seksualnego, choć często mówiła, że za nim tęskni, że go kocha, że o nim marzy. W jednym określiła go jako „nieosiągalnego”, co skłoniło mnie do przypuszczenia, że być może nic więcej się między nimi nie wydarzyło.

A jednak wydarzyło się wszystko, jeśli się kochali. Odłożyłam te listy z powrotem do szuflady. Najbardziej wytrącił mnie z równowagi list Roberta, ale nie było innych, które on by pisał - tylko od niej. I niczego więcej nie znalazłam w jego pracowni ani w gabinecie, niczego w drugiej marynarce, tak jak i w samochodzie, który przetrząsnęłam tego wieczoru pod pretekstem zabrania latarki ze schowka na rękawiczki - co nie znaczy, by za mną poszedł albo zauważył cokolwiek. Bawił się z dziećmi, uśmiechał przy kolacji - był pełen energii, ale wzrok miał nieobecny. To była różnica. Dowód.

## 34

### *KATE*

Stałam do konfrontacji nazajutrz, prosząc Roberta, by został kilka minut w domu po wyjściu mamy z dziećmi - wiedziałam, że tego dnia ma zajęcia dopiero po południu. Po śniadaniu zakradłam się na górę i zniosłam listy, a potem schowałam je w kredensie w pokoju jadalnym, z wyjątkiem listu Roberta, który wsadziłam do kieszeni. Wreszcie usiedliśmy przy stole, żeby porozmawiać. Chciał jak najszybciej pójść na uczelnię i zdradzał zniecierpliwienie, ale znieruchomiał, kiedy go spytałam, czy zdaje sobie sprawę, że wiem, co się dzieje. Zmarszczył czoło. Teraz to ja drżałam - z wściekłości czy strachu, jeszcze nie byłam pewna.

- Co masz na myśli?

Grymas zdziwienia na jego twarzy wydawał się szczery. Robert był ubrany na ciemno, a jego atrakcyjność, jak to się czasem zdarzało, uderzyła mnie nagle, bez ostrzeżenia - wspaniałe ciało, mocne rysy.

- Pierwsze pytanie: widzisz się z nią na uczelni? Widywałeś się z nią codziennie? Może przyjechała tu z Nowego Jorku?

Odchylił się na krześle.

- Kogo widuję na uczelni?

- Tę kobietę - odparłam. - Kobietę na wszystkich twoich obrazach. Pozuje ci tutaj czy może w Nowym Jorku?

Zaczął patrzeć wilkiem.

- Co? Myślałem, że już to przerabialiśmy.

- Widujesz się z nią codziennie? Czy przysyła ci listy z daleka?

- Przysyła mi listy?

Teraz sprawiał wrażenie osłupiałego, bladego. Byłam przekonana, że to poczucie winy.

- Nie wysilaj się z odpowiedzią. Wiem, że tak.

- Wiesz, że tak? A co wiesz? - W jego oczach malował się gniew, ale też zdumienie.

- Wiem, bo znalazłam jej listy.

Teraz patrzył na mnie, jakby brakowało mu słów, jakby naprawdę nie miał pojęcia, co powiedzieć. Rzadko widywałam go tak zdezorientowanego, w każdym razie nigdy nie reagował w ten sposób na coś, co by go nie dotyczyło. Położył obie dłonie na stole, na lśniących słojach drewna wypolerowanego przez mamę.

- Znalazłaś listy od niej?

Dziwne było to, że nie sprawiał wrażenia zawstydzonego. Gdybym miała określić jego głos i wyraz twarzy w tym momencie, powiedziałabym, że wydawał się w jakiś sposób podekscytowany, pobudzony, pełen nadziei. Rozwścieczyło mnie to - ton jego głosu uświadomił mi, że kocha ją niepoohamowanie, że kocha nawet wzmiankę o niej.

- Tak! - wrzasnęłam, zrywając się z miejsca, i wyciągnęłam plik listów spod podkładek w kredensie. - Tak, znam nawet jej imię, ty głupcze! Wiem, że to Mary. Po co zostawiałeś je w domu, jeśli nie chciałeś, żebym się dowiedziała?

Rzuciłam wszystkie na stół, a on wziął jeden do ręki.

- Tak, Mary - powiedział, a potem podniósł wzrok i zaczął się niemal uśmiechać, choć ze smutkiem. - To nic takiego. No, może niezupełnie nic, ale nie jest to też aż takie ważne.

Wbrew sobie zaczęłam płakać i czułam, że nie z powodu tego, co zrobił, ale raczej dlatego, że widział mnie w takiej sytuacji - jak dramatycznym ruchem wyciągam listy i rzucam je na stół. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że może to być takie ponizające.

- Uważasz, że to nic takiego? To, że kochasz inną kobietę? A to?

Wyciągnęłam z kieszeni skrawek listu z jego charakterem pisma, co do tego nie było wątpliwości, a potem zgniotłam tę kartkę w dłoni i rzuciłam na stół.

Podniósł zwitek i rozłożył. Wydawało mi się, że dostrzegam niedowierzanie na jego twarzy. Po chwili jakby się opanował.

- Kate, dlaczego, u licha, się tym przejmujesz? Ona nie żyje. Nie żyje! - Pobladła mu skóra wokół nozdrzy i warg, twarz stężała. - Umarła. Myślisz, że nie oddałbym wszystkiego, żeby ją ocalić? Żeby mogła dalej malować?

Teraz łkałam też z powodu zakłopotania.

- Nie żyje?

Ten jeden datowany list Mary oznaczał, że żyła jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Ogarnęła mnie dziwna chęć, by powiedzieć to, co mówi się zwykle w takich sytuacjach: „Och, przykro mi”. Zginęła w wypadku samochodowym? Dlaczego przez tych kilka miesięcy czy tygodni nie sprawiał wrażenia przygnębionego? Nie zauważyłam w nim żadnej zmiany. Być może, bez względu na charakter tego związku, przywiązywał do niego tak niewielką

wagę, że nie odczuwał żalu z powodu jej śmierci. Wydało mi się to straszne samo w sobie - czy ktokolwiek jest tak obojętny?

- Tak. Nie żyje. - Ostatnie słowo wymówił z goryczą, o którą nigdy bym go nie posądzała. - I wciąż ją kocham. W tym wypadku masz cholerną rację, jeśli sprawia ci to przyjemność. Nie wiem, dlaczego miałabyś się tym przejmować. Kocham ją. I jeśli nie rozumiesz, o jaką miłość mi chodzi, to nie zamierzam ci tego wyjaśniać.

Wstał.

- Nie, nie sprawia mi to przyjemności. - Teraz, kiedy już zaczęłam płakać, nie umiałam przestać. - Skoro mam rację, to tym gorzej. Nie wiem, co robiłeś ani o co ci chodzi. Nie masz bladego pojęcia, jak bardzo pragnęłam cię zrozumieć. Ale między nami koniec, Robercie, i to sprawia mi przyjemność - prawdziwą przyjemność.

Wzięłam nasz chiński wazon z kredensu, gdzie zawsze stał poza zasięgiem dzieci, i rzuciłam nim przez cały pokój. Roztrzaskał się na żalosne kawałki o palenisko kominka, pod portretami rodziców mojego ojca, solidnych ludzi z Cincinnati. Od razu zaczęłam żałować, że go zniszczyłam. Żałowałam wszystkiego. Z wyjątkiem dzieci.

## 35

### 1878

Wioska, gdzie się zatrzymują, jest spokojniejsza niż pobliskie Étretat, lecz Yves mówi, że właśnie z tego powodu ją woli; dzień, który spędzili w Trouville, był dla niego jeszcze bardziej irytujący - w lecie na promenadzie są tłumy jak na Polach Elizejskich, mówi do Béatrice. Zawsze mogą przejechać się powozem do Étretat w poszukiwaniu jakiegoś spokojnego i eleganckiego lokalu, ale ta mała osada kilku domostw, tuż przy szerokiej plaży, podoba się im wszystkim; przez większość czasu rozkoszują się błogością i spokojem, spacerując po kamyczkach i piasku.

Co wieczór Béatrice czyta głośno Papie Montaigne'a w wynajętym salonie z jego tanimi, wykładanymi adamaszkiem krzesłami i półkami pełnymi muszli. Dwaj pozostali mężczyźni przysłuchują się albo rozmawiają obok ściszonymi głosami. Zaczęła też nową robótkę, którą zamierza ozdobić poduszkę przeznaczoną do garderoby Yves'a, prezent na urodziny. Poświęca się temu obowiązkowi dzień za dniem, wyteżając zmysły nad drobnymi kwiatkami w złotym i liliowym kolorze. Lubi się tym zajmować, siedząc na werandzie. Kiedy podnosi głowę, widzi szarobrazowe morze, zwieńczone zielenią urwiska, ciągnące się daleko w obie strony, oblażące z farby chaty rybaków i łodzie wyciągnięte na piach, chmury nad wietrznym horyzontem. Co kilka godzin pada, potem znów pojawia się słońce. Każdy dzień jest nieco cieplejszy od poprzedniego, aż nagle burzowy poranek zmusza ich do pozostania w domu; nazajutrz robi się zdecydowanie pogodniej.

Zajęcia i rozrywki pomagają jej unikać Oliviera, ale pewnego popołudnia przychodzi i siada z nią na werandzie. Zna jego nawyki, jest więc zaskoczona tą zmianą. Rankiem, a potem znowu, późnym popołudniem, kiedy pogoda jest ładna, zwykł malować na plaży. Zapraszał ją, by mu towarzyszyła, ale jej pospieszne wymówki - nie ma przygotowanego płótna - zawsze skutkują, idzie więc sam, pogwizdując i dotykając kapelusza, gdy mija ją siedzącą na krześle przed domem.

Zastanawia się, czy Olivier przyspiesza kroku, ponieważ ona patrzy; znowu doznaje tego dziwnego uczucia, że pod jej spojrzeniem ów mężczyzna pozbywa się lat. A może po

prostu nauczyła się ich nie dostrzegać, może teraz stały się dla niej przezroczyste - przenika wzrokiem ich zasłonę i widzi człowieka, którego ukształtowały. Ilekroć się od niej oddala, obserwuje jego wyprostowane plecy, ulubiony stary strój malarski, niknący w głębi plaży. Stara się zapomnieć to, co o nim wie, traktować go znów jak starszego krewniaka męża, kogoś, kto przypadkiem spędza z nimi wakacje, ale zna już zbyt dobrze jego myśli, zwroty z listów, oddanie własnej twórczości, uznanie dla jej dzieł. Oczywiście nie pisze do niej tutaj, w tym domu, ale słowa trwają uporczywie między nimi - jego pochyle pismo, nagły zryw umysłu na papierze, czułe *tu* na kartce.

Tego dnia ma pod pachą książkę zamiast sztalug. Sadowi się obok niej na dużym krześle, jakby zdecydowany nie dać się tym razem odtrącić. Ona, choć wcale tego nie chce, jest zadowolona, że włożyła bladozieloną sukienkę z żółtą falbanką przy szyi; kilka dni wcześniej powiedział, że wygląda w niej jak narcyz. Pragnie, by siedział jeszcze bliżej, by jego ramię w szarym rękawie marynarki ocierało się o jej ramię, pragnie, by odszedł, pragnie, by wsiadł do pociągu jadącego z powrotem do Paryża. Czuje ucisk w krtani. Olivier pachnie czymś przyjemnym, jakimś nieznanym mydłem czy *eau de cologne*; ciekawi ją, czy jest przywiązany do tego zapachu od lat, czy może zmienia go co jakiś czas. Książka na jego kolanach pozostaje zamknięta, ona zaś jest pewna, że nie zamierza jej czytać, zwłaszcza gdy jej wzrok zatrzymuje się na tytule *La loi des Latins*; pamięta go z nudnej półki w tym domu. Bez wątpienia chwycił tom odruchowo, kiedy wychodził, by z nią posiedzieć - podstęp, który przyprawia ją o uśmiech nad robótką.

- *Bonjour* - mówi i ma nadzieję, że brzmi w tym neutralny ton gospodyni domowej.

- *Bonjour* - odpowiada Olivier.

Siedzą przez chwilę w milczeniu, to zaś według niej stanowi dowód czy nawet problem. Gdyby byli nieznajomymi albo członkami rodziny, już by gawędzili o błahych sprawach.

- Mogę ci zadać pytanie, moja droga?

- Oczywiście.

Znajduje maleńkie nożyczki o czubku jak dziób bociana i wypukłych ostrzach; przecina nitkę.

- Zamierzasz mnie unikać przez cały miesiąc?

- To dopiero sześć dni - zastrzega ona.

- I pół. Albo też sześć dni i siedem godzin - koryguje Olivier.

Efekt wydaje się jej tak zabawny, że podnosi wzrok i się uśmiecha. Jego oczy są niebieskie i nie dość wiekowe, by ją zniechęcać.

- Tak już lepiej - mówi on. - Miałem nadzieję, że kara nie przeciągnie się do czterech tygodni.

- Kara? - pyta ona jak najłagodniej. Stara się bez powodzenia nawlec nitkę.

- Tak, kara. I za co? Za podziwianie z daleka młodej malarki? W zamian za moje dobre maniere z pewnością mogłabyś okazać trochę serdeczności.

- Rozumiesz chyba, jak mi się zdaje... - zaczyna ona, ale igła stawia zaskakujący opór.

- Pozwól. - Bierze od niej igłę i nawleka cieniutki złoty jedwab. - Stare oczy. Wyostrzają się od ciągłego patrzenia.

Ona nie może się powstrzymać od śmiechu. To właśnie ta iskierka humoru, która przeskakuje między nimi, jego umiejętność żartowania z samego siebie, rozbraja ją bardziej niż cokolwiek innego.

- Doskonale. Zatem dzięki swym przenikliwym oczom zrozumiesz, że jest niemożliwe, bym...

- Zwracała na mnie uwagę w równym stopniu jak na kamyk w twym ślicznym buciku? Prawdę powiedziawszy, ten kamyk bardziej by cię zajął, więc może będę musiał stać się nieco dokuczliwszy.

- Nie, proszę...

Znów się zaczyna śmiać. Nienawidzi tej radości, która przeskakuje między nimi w takich chwilach, przyjemności, którą mogą też dostrzec inni. Czy ten mężczyzna nie rozumie, że jest częścią rodziny? I że jest starszy? Znowu odczuwa tę względność wieku. Zdążył już ją nauczyć, że człowiek nie czuje się stary w środku, przynajmniej dopóki ciało nie zażąda swej ponurej należności; dlatego Papa wydaje się stary, choć jest młodszy, podczas gdy ten siwowłosy artysta o srebrzystej brodzie jakby nie wiedział, jak należy się zachowywać.

- Daj spokój, *ma chère*. Jestem zbyt wiekowy, by wyrządzić jakiegokolwiek szkody, a twój mąż bez zastrzeżeń aprobuje naszą przyjaźń.

- Dlaczego miałby tego nie robić? - Próbuje udawać obrażoną, ale poddaje się dziwnej przyjemności, jaką sprawia jej bliskość Oliviera; czuje, że znów się do niego uśmiecha.

- Świetnie wobec tego. Sama zapędziłaś się w kozi róg. Jeśli nie ma żadnych powodów do obiekcji, możesz towarzyszyć mi jutro rano i malować. Mój przyjaciel rybak twierdzi, że będzie ładnie, tak ładnie, że ryby same zaczną mu wskakiwać do łodzi. Jeśli mam być szczery, zawsze uważałem, że skaczą wyżej w deszczu. - Naśladuje dialekt mieszkańców wybrzeża, budząc jej śmiech. Wskazuje wodę. - Nie podoba mi się, że marnujesz tu czas na szycie. Wielka przyszła artystka powinna przesiadywać ze sztalugami w plenerze.

Czuje, jak oblewa się rumieńcem od szyi w górę.

- Nie naśmiewaj się ze mnie.

On z miejsca poważnie i ujmuje jej dłoń, jakby bez zastanowienia, i nie jest to gest uprzejmości.

- Nie, nie, mówię szczerze. Gdybym miał twój talent, nie marnowałbym ani chwili.

- Marnował? - Jest na wpół zagniewana, na wpół bliska płaczu.

- Och, moja droga. Jestem niezręczny. - Całuje jej dłoń na przeprosiny, nim ona jest w stanie zaprotestować. - Wiesz przecież, jaką ufność pokładam w twojej pracy. Nie oburzaj się. Po prostu wyjdź jutro z domu i maluj ze mną, a przypomnisz sobie, jak bardzo to kochasz; zapomnisz o mnie i mojej niezręczności. Pokażę ci tylko odpowiednie widoki. Zgoda?

I znów z jego oczu wyziera ten wrażliwy, bezbronny chłopiec. Nie wyobraża sobie, by mogła w tej chwili kochać kogoś bardziej niż jego - nie jego listy, nie jego galanterię, ale samego mężczyznę i te wszystkie lata, które wygładziły go i sprawiły, że stał się jednocześnie pewny siebie i kruchy.

- Tak. Dziękuję. Pójdę.

Kiedy trzy tygodnie później wracają do Paryża, zabiera ze sobą pięć małych płócien - woda, łódzie, niebo.



## 36

### *KATE*

Robert nie wyprowadził się od razu, ja też nie - prawdę mówiąc, nie zamierzałam wrywać stąd brutalnie dzieci i matki ani opuszczać domu, o którym marzyłam i który z czasem pokochałam. I który matka pomogła nam kupić. Kiedy stłukłam wazon, Robert pozbiierał swoje listy, wsadził je do kieszeni i wyszedł, nie zabierając ze sobą nawet szczoteczki do zębów czy ubrania na zmianę. Może nie byłabym na niego taka zła, gdyby poszedł na górę i starannie spakował walizkę.

Nie widziałam go przez kilka dni i nie miałam pojęcia, gdzie się podziewa. Powiedziałam tylko matce, że się strasznie pokłóciliśmy i potrzebujemy trochę czasu; była zatroskana, ale też neutralna - uważała, jak dostrzegłam, że nam przejdzie. Próbowałam sobie wmawiać, że zatrzymał się u Mary, gdziekolwiek mieszkała, nie mogłam się jednak oprzeć wrażeniu, tak jak wcześniej, że mówił prawdę, gdy oznajmiał z goryczą: „Ona nie żyje”. Nie wydawał się zdolny do prawdziwego żalu. To było niemal najgorsze z tego wszystkiego. Fakt, że romans zakończył się z chwilą jej śmierci, nie złagodził mojego bólu. Jeśli mam być szczerą, przez całe dni prześladowało mnie poczucie czegoś nieokreślonego, niesamowitego; nie mogłam się otrząsnąć.

Pewnego popołudnia w tym samym tygodniu - czytałam akurat na schodkach frontowych, niezbyt uważnie, a matka siedziała na tarasie, cerując i łatając nasze rzeczy, i obie pilnowaliśmy dzieci podlewających nazbyt obficie ogród - pod dom zajechał Robert, bez żadnych fanfar, i wysiadł z samochodu. Widziałam, że tył wozu załadował różnym sprzętem - sztalugami, tekami rysunków i pudłami. Serce podeszło mi do gardła. Idąc frontową ścieżką, zboczył z niej na chwilę, by pocałować moją matkę i spytać, jak się miewa. Wiedziałam, że zapewnia go o swoim dobrym samopoczuciu, mimo że dzień wcześniej musiałam zabrać ją do lekarza z powodu kolejnych zawrotów głowy. I mimo że ona sama już wiedziała, że Robert prawie się wyprowadził.

Potem ruszył powoli w moją stronę i przez chwilę widziałam w całej okazałości jego postać, duże ciało, które nie było ani szczupłe, ani ciężkie, szeroki ruch mięśni pod koszulą i

spodniami. Jego ubranie wydawało się bardziej niechlujne niż zwykle, mniej uważnie też obchodził się z farbą - podwinięte rękawy pokryte były kropkami czerwieni, a na nogawkach widniały smugi bieli i szarości. Mogłam dostrzec skórę na twarzy i szyi pokrytą oznakami starości, linie pod oczami, brązowozieloną głębię spojrzenia, gęste włosy, anielskie pukle poprzątkane srebrem, jego zwalistość, jego zdystansowanie, samowystarczalność, samotność. Chciałam się zerwać na równe nogi i rzucić mu w ramiona, ale to przecież on powinien zrobić coś takiego. Siedziałam więc tylko na swoim miejscu, czując się mniejsza niż kiedykolwiek, jakby umieszczona w ramce: mała, prostowłosa, zbyt schludna osóbką, o którą zapomniał się troszczyć, zajęty swym wielkim poszukiwaniem sztuki - na dobrą sprawę nikt. Zapomniał mi nawet powiedzieć, czego właściwie szuka.

Przystanął na schodkach.

- Zabiorę tylko parę rzeczy.

- Świetnie - odparłam.

- Chcesz, żebym wrócił? Tęsknię za tobą i za dziećmi.

- Jeśli wrócisz - powiedziałam cichym głosem, starając się zapanować nad jego drżeniem - to zrobisz to naprawdę czy nadal będziesz żył z duchem?

Myślałam, że znów się rozgniewa, ale po chwili oznajmił tylko:

- Daj spokój, Kate. Nie możesz tego zrozumieć.

Wiedziałam, że jeśli wykrzyknę coś w rodzaju: „Nie mogę zrozumieć? Nie mogę zrozumieć?”, to nigdy nie przestanę się na niego wydzierać, nawet w obecności dzieci i matki. Więc tylko zamknęłam książkę, przytrzymując ją sobie palce, i pozwoliłam, by wszedł na górę, a potem zszedł na dół z długą płócienną torbą, którą wyciągnął z garderoby.

- Nie będzie mnie przez kilka tygodni - oznajmił.

Zbiegł po schodach, ucałował dzieciaki i podrzucił do góry Oscara; ich ubranka zmoczyły mu koszulę. Zwlekał. Nienawidziłam go nawet za jego ból. W końcu wsiadł do samochodu i odjechał. Dopiero wtedy zaczęłam się zastanawiać, jak będzie w stanie na kilka tygodni porzucić pracę. Nie przyszło mi jeszcze do głowy, że może z niej w ogóle zrezygnować.

Jak się okazało, był to jeden z ostatnich dni, kiedy moja matka czuła się sobą. Jej lekarz wezwał nas do swojego gabinetu i powiedział, że to białaczka, bardzo zaawansowana. Mogłaby poddać się chemioterapii, ale to zapewne sprawiłoby jej większy dyskomfort niż cokolwiek innego. Matka zdecydowała się wziąć broszurkę hospicjum i kiedy wychodziłyśmy od lekarza, ścisnęła mi rękę, chcąc mnie uwolnić od mojego własnego żalu.

## 37

### *KATE*

Pominę co nieco z tego okresu. Pominę, ale chcę opisać powrót Roberta. Zadzwoiłam do niego tamtego wieczoru po wizycie u lekarza, a on wrócił na sześć tygodni, w ciągu których moja matka niemal nikła w oczach. Okazało się, że nie odjechał daleko, ledwie do college'u, choć nigdy mi nie powiedział, gdzie sypiał - może w którejś pracowni albo w jednym z niezamieszkanymi domków na kampusie. Zastanawiałam się, czy nasz stary dom też stoi pusty. Może Robert spał między naszymi własnymi duchami, na podłodze, na stosie koców, w pokojach, do których przywieźliśmy Ingrid i Oscara, kiedy się urodzili.

W czasie tego krótkiego pobytu, gdy wrócił, żeby pomagać mi przy matce, zainstalował się w swojej pracowni, ale był spokojny i miły, a czasem zabierał dzieciaki na wycieczkę, żeby mogła posiedzieć z matką, która brała środki przeciwbólowe i zapadała w długie drzemki, coraz dłuższe. Nie pytałam go o pracę na uczelni. Sądziłam, że poczekamy razem na chwilę, kiedy zaczną się zjawiać pielęgniarki z hospicjum; wszystko było przygotowane, nawet matka mi w tym pomagała - miała coś powiedzieć, dać jakiś znak, a ja zadzwoniłabym pod odpowiedni numer z telefonu w kuchni.

Ale w końcu tylko Robert i ja jej towarzyszyliśmy. I to był prawdziwy koniec naszego małżeństwa. Chyba że uwzględnimy wcześniejsze zakończenia czy coraz rzadsze rozmowy telefoniczne, czy jego zniknięcie w Waszyngtonie, czy mój pozew o rozwód i pozostawienie jego gabinetu nietkniętego przez ponad rok, albo zabranie się w końcu do jego sprzątnięcia, albo schowanie większości portretów Panny Melancholii, jakkolwiek ją nazwać. Albo nawet chwilę, gdy się dowiedziałam, że zaatakował tamten obraz i został aresztowany, albo jak usłyszałam później, że zgodził się pójść do szpitala psychiatrycznego. Albo jak doszłam do wniosku, że mimo wszystko powinnam pomóc jego matce w spłacie rachunków za leczenie, że wciąż chcę, by, jeśli to tylko możliwe, pokonał chorobę, żeby pewnego dnia mógł przyjść na zakończenie roku szkolnego czy na ślub swoich dzieci.

Ludzie, których małżeństwa się nie rozpadają albo których małżonkowie umierają,

zamiast odejść, nie wiedzą, że nieudane związki rzadko mają jedno konkretne zakończenie. Małżeństwa są jak pewne książki - przewracasz ostatnie strony i myślisz, że jest po wszystkim, lecz znajdujesz jeszcze epilog, a po epilogu zaczynasz się zastanawiać nad bohaterami albo wyobrażasz sobie, że ich życie toczy się dalej bez ciebie, drogi czytelniku. Dopóki nie zapomnisz treści, nie daje ci spokoju pytanie, co się z nimi stało, kiedy już zamknąłeś książkę.

Lecz jeśli istniało pojedyncze zakończenie dla mnie i dla Roberta, to nastąpiło ono w dniu śmierci mojej matki, która zmarła gwałtowniej, niż się tego spodziewaliśmy. Odpoczywała na sofie w salonie, w blasku słońca. Poprosiła nawet, żebym zaparzyła jej trochę herbaty, ale zaraz potem zawiodło ją serce. Nie jest to fachowe określenie, ale tak właśnie o tym myślę, ponieważ moje też mnie zawiodło, kiedy to się stało; upuściłam tacę na dywan w salonie i podbiegłam do niej. Klęczałam, trzymając ją w ramionach, i to było straszne, straszny był ten widok, ale działo się to szybko, i byłoby jeszcze straszniejsze, gdyby mnie tam nie było i gdybym na to nie patrzyła, nie trzymała jej po tych wszystkich latach, kiedy się mną zajmowała.

Gdy było już po wszystkim, a ona przestała istnieć, otoczyłam ją ramionami i mocniej uściskałam, i wreszcie odzyskałam głos. Zawołałam Roberta, wrzasnęłam na niego, choć wciąż się bałam, że ją wystraszę. Musiał usłyszeć coś w moim krzyku, siedząc w swoim gabinecie za kuchnią, bo po chwili przybiegł. Matka straciła już niemal cały swój ciężar, bez wysiłku trzymałam ją w ramionach, przyciskając policzek do jej twarzy, także dlatego, by znów nie patrzeć na nią wprost, tuż po śmierci. Patrzyłam za to na Roberta. To, co ujrzałam w jego twarzy, położyło kres naszemu małżeństwu, dokładnie wtedy, kiedy skończyło się życie mojej matki. Oczy miał puste. Nie widział nas, nie widział mnie, jak trzymam jej nieżywe ciało w ramionach. Nie myślał o tym, jak mógłby mnie pocieszyć w tych pierwszych chwilach, ani o tym, jak uczcić jej śmierć, ani jak opłakiwać ją samemu. Widziałam wyraźnie, że patrzy na kogoś innego albo na coś, co sprawiło, że na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia, na coś, czego nie widziałam ani nie rozumiałam, ponieważ było to jeszcze gorsze niż ta najgorsza chwila mojego życia. Nie był już sobą.

*Paryż, listopad 1878*

*Tres chère Béatrice,*

*Dziękuję za Twój poruszający list. Dręczy mnie myśl, że straciłem kolejny wieczór w Twoim towarzystwie, choćby nawet dla najlepszego Moliera; wybac mi moją nieobecność. Zastanawiam się z niemalą zazdrością, czy znów się pojawili dwaj stylowi panowie Thomas; być może świadomość, że są Ci bliżsi pod względem wieku, każe mi się zachowywać odrobinę protekcyjnie. Prawdę powiedziawszy, nie dbam o to, jak krążą wokół Ciebie - albo, jeśli już o tym mowa, jak pożerają wzrokiem Twe dzieła, na które powinny spoglądać tylko przenikliwe oczy (a zatem nie ich). Wybac mi moją nieprzystojną zrzędlivość. Gdybym mógł powstrzymać się od pisania, z pewnością bym to uczynił, ale piękno poranka jest ponad moje siły i muszę się nim z Tobą podzielić. Siedzisz w oknie, być może z jakąś robotką albo książką, możliwe, że z tą, którą zostawiłem ostatnim razem, spoczywającą w Twojej dłoni. Powiedziałaś mi, kiedy wyznałem niedyskretnie, że podziwiam Twe dłonie, iż są za duże; lecz są urocze - zdolne - i proporcjonalne do Twojej uroczej sylwetki. Co więcej, są urocze nie tylko z wyglądu, ale też w posługiwaniu się piędzlem i ołówkiem, a także, bez wątpienia, we wszystkim innym, co robisz. Gdybym mógł potrzymać każdą z nich w swoich (moje zaś są, bądź co bądź, większe, lecz mniej zdolne), ucałowałbym je, najpierw jedną, potem drugą.*

*Wybac mi; niemal zapominam o swym zamiarze podzielenia się z Tobą pięknym dzisiejszego poranka. Zaszedłem aż do Jeu de Paume, otrząsając się z resztek późnego wieczoru w teatrze i poczucia, moja droga, że - ostatecznie - powinienem sobie darować takie wypadki, gdyż zawsze budzę się wcześniej; wolałbym spędzić wczoraj czas u Twego boku. Być może jutro znów będę Ci czytał przy wesołym ogniu albo trwał w milczeniu, obserwując Twe myśli. Siedź tak czasami, kiedy nie będę mógł być przy Tobie.*

*Znów odbiegam od tematu. Zmierając w stronę Jeu de Paume, zauważyłem rodzinę wróbli karmioną przez starego dżentelmena, który mógł być świadkiem ostatniej szarży Napoleona i niegdyś wyglądał doskonale w trójgraniastym kapeluszu. Zapewne rozbawią Cię me niewinne fantazje. Przez park podązał też młody ksiądz (który w jakimś innym świecie*

*mógłby nas pobłogosławić), stawiając zamasyzste kroki i odpychając przed sobą sutannę; spieszył się, to pewne. A ja, który się nie spieszyłem, usiadłem na ławce, by pomarzyć przez dziesięć minut, chociażby na zimnie, i możesz odgadnąć niektóre z moich myśli. Proszę, nie śmiej się z ich rzewności.*

*Teraz, kiedy już wróciłem do domu, ogrzałem się i zjadłem śniadanie, muszę przygotować się na dzień pełen spotkań i pracy, podczas którego będę bezustannie o Tobie myślał, a Ty zapomnisz o mnie zupełnie. Lecz zanim nadejdzie jutro, będę miał dla Ciebie wiadomości, jak żywię głęboką nadzieję - wiadomości, które sprawią Ci przyjemność; przynajmniej jedno z moich spotkań dotyczy owych nowin, a także obrazu, który prawdopodobnie wystawię tego roku na Salonie. Wybaczysz mi tę zamierzoną tajemniczość! Chciałbym jednak pomówić z Tobą o tym płótnie i jest dla mnie bardzo ważne, abys, jeżeli będziesz wolna, przyszła do mej pracowni w dniu jutrzejszym między dziesiątą a dwunastą. Byłoby to wysoce stosowne, gdyż Yves namawiał mnie usilnie, bym zabiegał o Twą aprobatę dla swego dzieła. Załączam adres i niewielką mapkę; ulica wyda Ci się malownicza i miła.*

*Tymczasem całuję z szacunkiem Twoją szczupłą dłoń i oczekuję łagodnej przygany, nie wspominając o akceptacji mego zaproszenia.*

*Twój oddany przyjaciel*

*O. V.*

Wyszedłem od Kate, gorąco jej dziękując, ze schowanymi w teczce notatkami z naszego spotkania. Uścisnęła mi ciepło dłoń, ale wydawało się, że odczuwa ulgę, widząc, jak się zbieram. Jadąc w kierunku college'u zatrzymałem się koło kawiarni, lecz zostałem w samochodzie i wyjąłem komórkę. Telefonistka z centrali Greenhill College sprawiała wrażenie przyjaznej, swobodnej; w tle słychać było jakieś szelesty, jakby jadła lunch w pracy. Poprosiłem o połączenie z wydziałem sztuk pięknych, gdzie odebrała równie usłużna sekretarka.

- Przepraszam, że dzwonię tak znieczeka - powiedziałem. - Jestem doktor Andrew Marlow. Piszę artykuł o jednym z waszych wykładowców, Robercie Oliverze, dla „Art in America”. Zgadza się. Tak, wiem, że już nie pracuje... prawdę mówiąc, przeprowadziłem z nim wywiad w Waszyngtonie.

Poczułem pot na czole, choć do tej chwili byłem całkowicie spokojny; żałowałem, że wymieniłem nazwę konkretnego magazynu. Pytanie brzmiało: czy w college'u wiedzieli, że Robert został aresztowany i umieszczony w szpitalu psychiatrycznym? Miałem nadzieję, że incydent w National Gallery trafił głównie do prasy waszyngtońskiej. Pomyślałem o Robercie, jak leży wyciągnięty niczym powalony kolos na swoim łóżku, z rękami pod głową i nogami skrzyżowanymi w kostkach, i spogląda w sufit. „Może pan rozmawiać, z kim pan chce”.

- Przejeżdżam akurat przez Greenhill - ciągnąłem radośnie - i wiem, że powinienem się wcześniej umówić, ale czy któryś z jego kolegów nie mógłby poświęcić mi kilku minut dziś po południu albo... albo jutro rano i wypowiedzieć się na temat jego prac? Tak. Dziękuję.

Sekretarka odeszła od telefonu i wróciła zaskakująco szybko - wyobraziłem sobie wielką pracownię w jakimś magazynie, w stylu ogromnego poddasza, gdzie mogła przystanąć przy pierwszych z brzegu sztalugach i zadać głośno pytanie. W rzeczywistości wszystko zapewne wyglądało inaczej.

- Profesor Liddle? Bardzo dziękuję. Proszę mu powiedzieć, że przepraszam za ten

pośpiech i że nie zabiorę dużo czasu.

Przerwałem połączenie, wszedłem do kawiarni i zamówiłem mrożoną kawę, potem wytarłem czoło serwetką. Zastanawiałem się, czy młody człowiek za kontuarem zorientował się po moim wyglądzie, że jestem kłamcą. „Nie byłem nim w przeszłości - chciałem mu powiedzieć. - Zrobiłem to odruchowo”. Nie, niezupełnie. „To stało się przez przypadek”. Przez przypadek, który nazywał się Robert Oliver.

Do college'u było niedaleko, jechałem około dwudziestu minut, ale z powodu zdenerwowania miałem wrażenie, że droga ciągnie się bez końca: wielkie, łukowato sklepione niebo nad górami, pobocza autostrady obsadzone rozległymi trójkątami polnych kwiatów, czymś różowym i białym, czego nie potrafiłem rozpoznać, gładki asfalt. „Może pan nawet porozmawiać z Mary” - powiedział Robert. Nietrudno było mi spamiętać, co mówił; tak rzadko się odzywał w mojej obecności.

Istniały tylko trzy możliwości, myślałem. Pierwsza: jego stan pogorszył się od czasu zerwania z Kate tak bardzo, że doszło do urojeń, i teraz Robert uważał, że martwa kobieta wciąż żyje. Nie dostrzegłem jednak dowodów, które by to potwierdzały. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby naprawdę prześladowały go urojenia, nie potrafiłby milczeć w tak wystudiowany sposób. Inna możliwość sprowadzała się do tego, że z rozmysłem okłamywał Kate, Mary zaś żyła. Albo... jednak trzecia możliwość nie przybrała jeszcze w moim umyśle konkretnego i wyraźnego kształtu, więc przestałem się nad nią zastanawiać, zwłaszcza że musiałem już wypatrywać wjazdu na uczelnię.

Okolica nie odpowiadała moim wyobrażeniom o wiejskim zaciszu Appalachów; może, żeby w nim zasmakować, należało pojechać dalej szosą międzystanową. Greenhill College, jak poinformował mnie stosowny znak, był odpowiedzialny za utrzymanie porządku na wijącym się ku góróm odcinku drogi, w którą skręciłem - jakby na dowód, zobaczyłem grupę młodych ludzi w pomarańczowych kamizelkach, którzy zbierali śmieci, w znikomych zresztą ilościach, z rowu przy poboczu. Przejechałem obok tablicy, którą wcześniej opisywała mi Kate - wyblakłe rzeźbione drewno obramowane szarymi kamieniami polnymi - i po chwili skręciłem w podjazd prowadzący do college'u.

Ten też nie przywodził na myśl wiejskiego zaciszu, chociaż niedaleko przycupnęło kilka nieco spatynowanych chat z bali, na wpół ukrytych pośród choinek i rododendronów. Duży hol o oficjalnym charakterze okazał się stołówką; dalej, po zboczu wzgórza, wspiwały się drewniane akademiki i ceglane budynki uczelni, a jeszcze dalej, we wszystkich kierunkach, ciągnęły się lasy - nigdy dotąd nie widziałem kampusu tak skąpanego w zieleni.



Drzewa na terenie college'u były jeszcze większe niż te w Goldengrove - dumne, dzikie - dęby wyciągające konary ku wietrznemu niebu, ogromne platany, strzeliste świerki. Na trawniku, tworząc idealną figurę geometryczną, troje studentów rzucało sobie frisbee, a na dziedzińcu jakiś brodaty profesor prowadził zajęcia, słuchacze zaś trzymali notatniki na skrzyżowanych nogach. Wszystko to było idylliczne; sam zapragnąłem wrócić do szkoły, zacząć od nowa. I w tym małym rajku żył przez kilka lat Robert Oliver, chory i często przygnębiony z powodu depresji.

Wydział sztuk pięknych, jak się okazało, miał postać betonowego pudła na końcu kampusu, Zaparkowałem przed frontem i nie wysiadając z wozu, zapatrzyłem się na sąsiedni budynek galerii, długą, wąską chatę z drzwiami pomalowanymi na żywe kolory. Tablica na zewnątrz obwieszczała wystawę dzieł studenckich. Nie spodziewałem się, że będę taki zdenerwowany. Czego się bałem? W gruncie rzeczy przywiodło mnie tu współczucie. Jeśli ukrywałem swój zawód czy jego związek z byłym nauczycielem malowania, Robertem Oliverem, to tylko z jednego powodu - wiedziałem, że w przeciwnym razie nie uzyskam żadnych informacji. Albo uzyskam ich mniej - być może znacznie mniej.

Okazało się, że sekretarka jest studentką lub osobą dostatecznie młodą, by być studentką; nosiła podkreślające szerokość bioder dżinsy i biały podkoszulek. Powiedziałem jej, że mam się spotkać z Arnoldem Liddle'em, a ona zaprowadziła mnie długimi korytarzami do gabinetu. Dostrzegłem z daleka kogoś, kto trzyma nogi na biurku, chude, w spłowiałych szarych spodniach, ze stopami w skarpetkach. Kiedy weszliśmy do pokoju, nogi opadły w dół i rozmawiająca przez telefon osoba odłożyła gwałtownie słuchawkę - był to normalny aparat, dawnego typu, i trwało chwilę, zanim mężczyzna wyswobodził się ze sznura, który oplatał mu ramię. Potem wstał i uściśnął mi dłoń.

- Profesor Liddle? - spytałem.

- Po prostu Arnold, jeśli mogę prosić - skorygował.

Sekretarka już zniknęła.

Arnold miał żywą szczupłą twarz i rzadzące włosy, które w okolicach kołnierzyka przypominały brązową mgiełkę, oczy niebieskie - duże, miłe - a nos długi i czerwony. Uśmiechnął się i wskazał fotel w kącie, naprzeciwko biurka, po czym znów oparł stopy o blat. Też miałem ochotę zdjąć buty, ale nie zrobiłem tego. Gabinet był zagracony: na tablicy informacyjnej wisiały pocztówki z wernisaży, nad biurkiem duży plakat z jakimś obrazem Jaspera Johnsa, zdjęcia dwójki chudych dzieci na rowerkach.

Arnold zagłębił się w fotelu, jakby uwielbiał tu przebywać.

- W czym mogę pomóc?

Złożyłem dłonie i próbowałem sprawiać wrażenie rozluźnionego.

- Twoja recepcjonistka powiedziała ci być może, że przeprowadzam wywiady w związku z twórczością Roberta Olivera; uważała, że możesz coś na ten temat powiedzieć - wyjaśniłem, obserwując go uważnie.

Wyglądało, że się nad tym zastanawia; milczał przez chwilę, ale nie dostrzegłem oznak jakiejś szczególnej czujności. Być może - mimo wszystko - nie słyszał ani nie czytał o incydencie w National Gallery. Poczułem przyływ ulgi.

- Z pewnością - oznajmił w końcu. - Robert był do niedawna moim kolegą po fachu, mniej więcej przez siedem lat. Znam jego prace bardzo dobrze, jak sądzę. Nie powiedziałbym, że byliśmy przyjaciółmi, takimi, co to zwierzają się sobie z prywatnych problemów, ale zawsze go szanowałem.

Odniosłem wrażenie, że nie bardzo wie, co mówić dalej; zaskoczyło mnie też, że nie poprosił o żadne informacje na mój temat ani nie spytał, dlaczego interesuję się Robertem Oliverem. Zastanawiałem się, co sekretarka mu powiedziała - cokolwiek to było, wydawał się zadowolony. Powtórzyła mu, że chodzi o „Art in America”? A jeśli wydawca był jego kolegą ze studiów?

- Robert odwalił tu kawał dobrej roboty, prawda? - zaryzykowałem.

- No cóż, owszem - przyznał Arnold. - Był bardzo płodny, coś w rodzaju supermena, bezustannie malował. Muszę zastrzec, że zawsze uważałem jego twórczość za odrobinę naśladowczą, ale to świetny rysownik, wielki, prawdę mówiąc. Powiedział mi kiedyś, że na studiach przez jakiś czas... niedługo, jak sądzę... bawił się w abstrakcje, ale to mu nie odpowiadało. Kiedy tu był, pracował głównie nad dwoma czy trzema cyklami. Zaraz... jeden z nich dotyczył okien i drzwi, coś w rodzaju wnętrza Bonnard, tyle że bardziej realistycznych. Wystawił dwa z tych obrazów w wejściu do naszego centrum sztuki. Drugi cykl to były martwe natury, genialne, jeśli ktoś to lubi - owoce, kwiaty, kielichy, w stylu Maneta, ale zawsze z jakimś dziwnym elementem, na przykład kontaktem elektrycznym czy buteleczką aspiryny, nie wiem, czym jeszcze. Anomalie. Nieźle przedstawione. Miał tu wielką wystawę, a muzeum sztuki w Greenhill umieściło w swej ekspozycji przynajmniej jeden z tych obrazów. Podobnie jak inne muzea.

Arnold zaczął grzebać w puszcze stojącej na biurku; wyciągnął z niej ogryzek ołówka i zaczął obracać go w palcach.

- Przez dwa lata, przed swoim odejściem, pracował nad nowym cyklem, pod koniec miał tu wystawę indywidualną. Jeśli mam być szczery, rzecz była dziwaczna. Widziałem, jak siedzi nad tym w pracowni, ale sądzę, że głównie malował w domu.

Staralem się nie zdradzać zbytniego zainteresowania; zdążyłem już wyciągnąć notes i otoczyć się powłoką dziennikarskiego spokoju.

- Ten cykl też był tradycjonalistyczny?

- O tak, ale osobliwy. Wszystkie płótna przedstawiały zasadniczo tę samą scenę - dość makabryczną: młoda kobieta trzyma w ramionach starszą, na którą patrzy zszokowana, a starsza... no cóż, ma przestrzeloną głowę, nie żyje, jak można się domyślić. Coś w rodzaju wiktoriańskiego melodramatu. Ubrania, włosy i niewiarygodne szczegóły, trochę delikatnych ruchów pędzla i trochę realizmu, mieszanka. Nie mam pojęcia, kto mu do tego pozował - może studentki, choć nigdy nie widziałem, by kogokolwiek zatrudniał. W tutejszej galerii wciąż wisi jeden z tych obrazów, dał go do holu, kiedy już przeprowadzili remont. Wszyscy wykładowcy, ze mną włącznie, są tam reprezentowani, co oznacza, że musieliśmy ustawić mnóstwo pojemników na ceramikę. Dobrze znasz Roberta Olivera? - spytał niespodziewanie.

- Rozmawiałem z nim dwa razy w Waszyngtonie - odparłem zaniepokojony. - Trudno powiedzieć, bym znał go dobrze, ale uważam go za interesującego.

- Jak się miewa?

Arnold patrzył na mnie z większą przenikliwością, niż go o to wcześniej podejrzewałem; jakim cudem nie zauważyłem inteligencji w jego błędy oczach? Był rozbijającym człowiekiem, luźnym i swobodnym, z tymi swoimi chuderlawymi nogami i rękami rozłożonymi szeroko na biurku; nie sposób było go nie lubić, a teraz jeszcze odczuwałem przed nim strach.

- No cóż, o ile wiem, pracuje w tej chwili nad jakimiś rysunkami.

- Nie wróci, jak podejrzewam? Nigdy nie słyszałem, by miał to zrobić.

- Nie wspomniał o żadnych planach powrotu do Greenhill - przyznałem. - W każdym razie nie rozmawialiśmy o tym, może więc jednak zamierza to zrobić, nie wiem. Jak myślisz, lubił uczyć? Jakie relacje łączyły go ze studentami?

- Wiesz, uciekł ze studentką.

Tym razem zbił mnie całkowicie z tropu.

- Co?

Wydawał się rozbawiony.

- Nie powiedział ci? No, nie była naszą studentką. Najwidoczniej poznał ją, kiedy przez semestr wykladał w innym college'u, ale jak już wziął zniechęcający urlop, dowiedzieliśmy się, że zamieszkał z nią w Waszyngtonie. Nie wiem, czy nawet przesłał oficjalną rezygnację. Nie mam pojęcia, co się stało. Po prostu nie wrócił. Kiepsko dla jego kariery nauczycielskiej. Zawsze się zastanawiałem, jakim cudem było go na to stać. Nie wyglądał na kogoś, kto ma

dużo gotówki na czarną godzinę, ale w takich sprawach nigdy nic nie wiadomo. Może jego obrazy sprzedawały się wystarczająco dobrze - to całkiem możliwe. Tak czy inaczej szkoda. Moja żona знаła trochę jego żonę; twierdzi, że nigdy słowem nie wspomniała o tej sprawie. Mieszkali już wtedy jakiś czas w mieście, nie na kampusie. To urocza kobieta, ta jego żona. Nie mogę zrozumieć, co sobie myślał stary Bob, ale sam wiesz, jak to jest. Ludzie czasem wariują.

Po tej przemowie trudno było mi się zdobyć na jakiś sensowny komentarz, ale Arnold jakby tego nie dostrzegał.

- No cóż, życzę mimo wszystko Robertowi jak najlepiej. Był w głębi serca porządnym facetem, w każdym razie zawsze tak uważałem. Duża klasa; pewnie nie był w stanie tu wytrzymać. Taka jest moja teoria.

Wspomniał o tym bez goryczy, jakby miejsce, w którym Robert nie mógł wytrzymać, dla niego, Arnolda, było dostatecznie wygodne, jak jego krzesło. Przyglądał się przez chwilę ogryzkowi ołówka, a potem zaczął coś rysować na bloczku kartek.

- Na czym się skupiasz w swoim artykule?

Wzięłem się w garść. Czy powinienem spytać Arnolda o imię byłej studentki? Nie miałem odwagi. Znów mi przyszło do głowy, że była jego muzą, kobietą z obrazu, którego Kate tak bardzo nienawidziła. Mary?

- No cóż, koncentruję się na jego obrazach kobiet - odparłem.

Arnold, gdyby był innym człowiekiem, parsknąłby ironicznie.

- Namalował ich mnóstwo. Ta jego wystawa w Chicago to były głównie kobiety albo ta sama kobieta, z nieco kręconymi czarnymi włosami. Widziałem też, jak je malował. Musi gdzieś tu być katalog, jeśli jego żona go nie zabrała. Spytałem kiedyś Roberta, czy to ktoś, kogo znał, ale nie odpowiedział, więc nie wiem też, kto mu pozował. Może ta studentka, choć tu nie mieszkała, jak już wspomniałem. Albo... nie wiem. Dziwny gość z tego Roberta... odpowiadał normalnie na pytanie, a potem człowiek sobie uświadamiał, że niczego się nie dowiedział.

- Czy sprawiał wrażenie... zauważyłeś w nim coś niezwykłego, zanim stąd odszedł?

Arnold położył swój rysunek na biurku.

- Niezwykłego? Nie, nie powiedziałbym, pomijając ten ostatni cykl obrazów; nie powinienem może wyrażać się w ten sposób o pracy kolegi po fachu, ale jestem znany z tego, że mówię, co myślę, i będę szczery - trochę mnie wystraszyły. Robert odznacza się wielką zdolnością naśladowania dziewiętnastowiecznych stylów. Nawet jeśli nie lubisz imitacji, musisz podziwiać jego umiejętności. Te martwe natury były zdumiewające, widziałem też coś

w rodzaju pejzażu impresjonistycznego, który kiedyś namalował. Można było pomyśleć, że to oryginał z epoki. Raz mi powiedział, że liczy się tylko natura, że nienawidzi sztuki konceptualnej - ja też jej nie uprawiam, ale nie czuję do niej nienawiści - więc sobie pomyślałem: po co wobec tego malować te ciężkie historie wiktoriańskie? Jeśli to nie jest konceptualizm, to nie wiem, co to jest - wyrażasz się poprzez to, co robisz. Ale myślę, że sam ci o tym wszystkim mówił.

Zorientowałem się, że nie wyciągnę więcej od Arnolda. Był obserwatorem obrazów, nie ludzi; miałem wrażenie, że migocze i zanika na moich oczach, przemądrzały, bezcielesny i dobroduszny, tak jak Robert był głęboki, cielesny i przybity. Pomyślałem, że gdybym miał wybierać sobie przyjaciela, to w ciągu minuty zdecydowałbym się na posępnego, subtelного Olivera.

- Jeśli chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć, to mogę ci pokazać ten obraz Boba - zaproponował Arnold, wrywając mnie z zamyślenia. - Obawiam się, że to jedyna jego rzecz, jaką możesz tu znaleźć. Żona zjawiała się tu któregoś dnia, posprzątała gabinet i zabrała wszystkie obrazy, które zostawił w pracowni wydziału. Nie było mnie, kiedy to zrobiła, ale ktoś mi o tym powiedział. Może sam nie chciał się tym zajmować i gdyby nie ona, te obrazy zostałyby tu na zawsze? Kto wie? Trudno powiedzieć coś pewnego, bo z nikim tu nie pozostawał w bliskich stosunkach. Chodźmy, i tak muszę się przejść.

Wyprostował nogi niczym bocian i powoli wyszliśmy na zewnątrz. Blask słońca za frontowymi drzwiami był olśniewająco jasny, niecierpliwy; zastanawiałem się, jaki artysta mógł znosić ten mały betonowy gabinet, w którym przed chwilą siedzieliśmy, ale może Arnold o tym nie decydował; zresztą sprawiał wrażenie kogoś, kto świetnie się tam czuje.

Ruszyłem za nim w stronę sąsiedniej galerii mieszczącej się w chacie z bali, która w środku okazała się duża i wyszukana, z białymi framugami i ukrytym na tyłach oszklonym skrzydłem - dobudówką wypieszczoną przez jakiegoś architekta z myślą o lokalnej nagrodzie. Wejściowy pasaż z oknem dachowym obwieszony był płótnami, stały w nim też łagodnie oświetlone szklane kasety z ceramiką.

Arnold wskazał duży obraz naprzeciwko drzwi, a ja od razu zrozumiałem, co miał na myśli - był dziwaczny, przerażająco żywy i jednocześnie przesadnie dramatyczny, koturnowy niczym wiktoriański rekwizyt sceniczny. Przedstawiał kobietę w bufiastych sukniach i dopasowanym kaftaniku, szczupłe ciało było zgięte. Klęczała na nierówno wybrukowanej ulicy. Tak jak mówił Arnold, w ramionach trzymała starszą kobietę, której martwota przyprowadzała o mdłości. Jej twarz była popielata, oczy zamknięte, usta obwisłe, a w czole widniała dziura po kuli, wyraźny i straszliwy tunel, wywiercony w czaszce; struga krwi, która z niej chlusnęła, już schła wzdłuż włosów i szala.

Młodsza kobieta miała na sobie elegancki strój, ale jej bladozielona suknia była brudna i podarta, z przodu zaś, w miejscu, gdzie spoczywała głowa zamordowanej, poplamiona krwią. Lśniące kręcone włosy były rozpuszczone, czepek wiązany pod brodą zsunął się na ramię; twarz nachylała się nad martwą kobietą, nie widziałem więc błyszczących oczu, do których widoku już się przyzwyczailem. Tło było zamglone, ale wydawało się, że to mur, wąska ulica miasta; jedną z witryn obwieszono słowami, których litery rozmazywały się na płótnie, nie do odszyfrowania. Niedaleko przycupnęły postaci w czerwieni i błękicie, zbyt jednak niewyraźne, by w jakikolwiek sposób dało się je rozpoznać. W jednym rogu wznosił się wzgórek - brązowy, beżowy - porąbanego drewna? Worków z piaskiem? Może był to skład drzewny?

Cała ta scena wydawała mi się odpychająca, ale także celowo przesadzona, przerażająca i zarazem poruszająca. Wydzielała woń strachu i beznadziejności. Poza i zawarty w niej smutek przypomniały mi moje pierwsze spojrzenie na *Pietę* Michała Anioła - dzieło

zbyt sławne, by ktokolwiek mógł patrzeć na nie w sposób jasny i nieskażony, chyba że jest dość młody. Widziałem je po studiach, podczas wizyty we Włoszech; wtedy nie znajdowało się jeszcze za szkłem, byłem więc oddzielony od tych postaci tylko przez sznur i odległość około półtora metra. Światło dzienne padające na Jezusa i Maryję pogrążało ich w różnych tonach i można było odnieść wrażenie, że oba ciała są żywe, że w tętnicach wciąż pulsuje krew - nie tylko u zrozpaczonej matki, ale także u zmarłego niedawno syna. Rzecz niewiarygodnie wstrząsająca: Chrystus nie jawił się jako ktoś martwy. Dla mnie, człowieka pozbawionego wiary, nie była to zapowiedź zmartwychwstania, ale obraz szoku Maryi i wrażenia uporczywej żywości, jakiej doznaje się w szpitalu, kiedy to młoda osoba zostaje brutalnie pozbawiona życia w wyniku strasznego wypadku. Pojąłem wtedy różnicę między geniuszem a czymkolwiek innym.

To, co najbardziej mnie uderzyło w obrazie Roberta, pomijając grozę tej sceny, to fakt, że przedstawiał on pewną opowieść, podczas gdy wszystkie wcześniejsze wizerunki tej damy były portretami. Ale o czym ta opowieść mówiła? Przypuszczalnie Robert nie korzystał z usług żadnych modelek; pamiętam, jak Kate powiedziała, że czasem malował z wyobraźni. A może ktoś mu pozował, ale on tę historię po prostu wymyślił - dziewiętnastowieczny kostium zdawał się to potwierdzać. Czy wyśnił tę swoją kobiecą bohaterkę, trzymającą w objęciach zamordowaną matkę? Może nawet malował dwie strony swojej osobowości, jasną i mroczną, dwie części psychiki rozdartej przez chorobę? Nie spodziewałem się, że Robert Oliver byłby zdolny do przedstawienia jakiejś rzeczywistej historii.

- Tobie też się nie podoba? - Arnold wyglądał na zadowolonego.

- Świadczy o dużym talencie - odparłem. - A który jest twój?

- Och, na tej ścianie - poinformował mnie, wskazując wielkie płótno za naszymi plecami, obok drzwi. Stał przed nim ze skrzyżowanymi ramionami.

Była to abstrakcja, duże miękkie kwadraty bladego błękitu, zlewające się ze sobą, wszystko pokryte srebrnym połyskiem, jakby ktoś wrzucił do wody kwadratowy kamyczek, a ten utworzył równie kwadratowe, koncentryczne kształty. Obraz przyciągał wzrok, szczerze mówiąc. Odwróciłem się do Arnolda i powiedziałem:

- Naprawdę mi się podoba.

- Dziękuję - powiedział wesoło. - Teraz maluję w żółcieniu.

Staliśmy, patrząc na błękit, na to dziecko Arnolda sprzed dwóch lat, on z głową przechyloną czule na bok; po chwili spuścił wzrok.

- No cóż - powiedział.

- Tak, nie powinienem cię tu dłużej trzymać - przyznałem z wdzięcznością. - Byłeś

bardzo miły.

- Jeśli znów będziesz się widział z Robertem, pozdrów go ode mnie - poprosił. - Powiedz mu też, że go nie zapomnieliśmy.

- Na pewno mu powiem. - Kłamałem?

- Przyślij mi ksero artykułu, jeśli nie zapomnisz - dorzucił i pomachał na pożegnanie, wychodząc z galerii.

Przytaknąłem, ale potem odruchowo potrząsnąłem głową; starałem się zatuszować błąd, także mu machając, nim wsiadłem do samochodu, ale Arnold już się oddalił. Siedziałem przez chwilę za kierownicą, próbując nie łapać się za głowę. Potem znów wysiadłem, powoli, czując na sobie spojrzenie budynku, i wróciłem do galerii. Minąłem z rozmysłem obrazy w korytarzu, podwyższenia z błyszczącymi misami i wazonami, lniane i wełniane gobeliny. Wszedłem do głównej sali i obejrzałem po kolei wystawione tam prace studentów, odczytując dołączone do nich tabliczki informacyjne i nie zapamiętując ich treści, wpatrując się w błysk czerwieni, zieleni, złota - drzewa, owoce, góry, kwiaty, sześciany, motocykle, słowa, chaotyczne skupisko obrazów, niekiedy doskonałych, a niekiedy zadziwiająco nieporadnych. Patrzyłem na każdy z nich, aż w końcu kolory zaczęły wirować mi przed oczami, i dopiero wtedy, niespiesznie, wróciłem do obrazu Roberta.

Wciąż tam była, oczywiście, pochylona nad strasznym ciężarem, przyciskając bezwładną głowę z dziurą po kuli do zielonego łuku piersi. Na twarzy malował się skoncentrowany żal, nie zaś bezwład szoku, szczęki były mocno zaciśnięte w odruchu powstrzymania łez, ciemne brwi złączone w grymasie szczerej, przepełnionej furii i niewiarą rozpacz; linia ramion też znamionowała gniew, suknie wciąż drżały, poruszone szybkim gestem sprzed chwili. Uklękła na brudnej ulicy i objęła cenne ciało. Znała i kochała martwą kobietę; to nie była abstrakcyjna litość. Miałem przed oczami niewiarygodne płótno. Pomimo całego przygotowania i doświadczenia zawodowego nie potrafiłem się zorientować, jak Robert umiał za pomocą jedynie palety przekazać takie emocje, taki ruch; mogłem dostrzec niektóre smugi pędzla, mieszaniny koloru, ale życie, jakim nasycił żywą kobietę, i martwość, z jaką sportretował ofiarę, przekraczały moje zrozumienie. Jeśli było to dzieło wyobraźni, to wzbudzało tym większe przerażenie. Jak władze uczelni mogły pozwolić, by taki obraz wisiał dzień w dzień na oczach studentów?

Stałem, patrząc na nią, aż zaczęło mi się wydawać, że podniesie się z krzykiem rozpacz albo wołaniem o pomoc, albo ucieknie, albo napręży mięśnie cudownych pleców i talii, by dźwignąć i ponieść martwe ciało. W każdej chwili coś mogło się wydarzyć; było to niezwykle. Robert uchwycił moment szoku, całkowitej zmiany, niedowierzania. Przyłożyłem



dłoń do krtani i odczułem własne ciepło. Czekałem, aż kobieta uniesie głowę. Czy zdołałbym - oto było pytanie - pomóc jej, gdyby na mnie spojrzała? Znajdowała się w odległości kilku centymetrów, oddychająca i realna, uwieczniona w sekundzie nierzeczywistego spokoju przed całkowitym załamaniem, a ja wiedziałem, że jestem absolutnie bezradny. Uświadomiłem sobie wtedy po raz pierwszy, czego dokonał Robert.

## 40

### *MARLOW*

Tego popołudnia podejmowałem decyzję przez kilka godzin. Nim znów stanąłem przed drzwiami Kate, ściemniło się; straciłem kolejny dzień i musiałbym wyruszyć do Waszyngtonu wczesnym rankiem, a potem jechać ostro, żeby zdążyć na umówione spotkanie wieczorem. Zamiast opuścić Greenhill przespacerowałem się niespokojnie i zjadłem obiad w mieście, a potem w ostatniej chwili zawróciłem z górzystej drogi prowadzącej do domu Hadleyów i skierowałem się z powrotem ku drugiej stronie doliny. Wokół mnie majaczyły drzewa porastające okolicę, gdzie mieszkała Kate. W domach naśladowujących styl Tudorów paliły się światła; zaszczekał jakiś pies. Sunąłem wolno znanym mi już podjazdem. Nie było późno, ale też nie na tyle wcześnie, by nie obawiać się posądzenia o brak wyczucia. Dlaczego, u licha, nie zadzwoniłem wcześniej? Co sobie myślałem? Nie mogłem się już jednak zatrzymać.

Kiedy stanąłem na ganku, światło włączyło się automatycznie; byłem niemal pewien, że za chwilę uruchomi się alarm. W salonie paliła się tylko jedna lampa. Nie było innych oznak życia, choć widziałem też niewyraźny blask w dalszych pomieszczeniach domu. Podniosłem dłoń, żeby nacisnąć dzwonek, ale kierując się resztką rozsądku, zmieniłem zdanie i zapukałem energicznie. Z wewnętrznych drzwi w głębi wyłonił się jakiś cień i zbliżył - Kate, jej delikatne ciało pojawiło się na chwilę w blasku lampy w salonie, włosy załśniły, ruchy były ostrożne i czujne. Z malującym się na twarzy napięciem wyjrzała przez szybkę w drzwiach wejściowych, a potem, najwidoczniej mnie rozpoznawszy - choć mój widok wcale nie stłumił jej podejrzliwości - otworzyła mi niespiesznie.

- Przepraszam - powiedziałem. - Przepraszam, że niepokoję cię tak późno, zapewniam też, że nie zwariowałem... - Nie byłem tego co prawda taki pewien i byłoby lepiej, gdybym tych słów w ogóle nie wypowiedział. - Wyjeżdżam rano, rozumiesz, i... chciałbym, żebyś mi pokazała inne obrazy.

Odsunęła dłoń od klamki i spojrzała mi w oczy. Dostrzegłem w jej wzroku smutek, pogardę, ostateczne zniechęcenie, ale też bezgraniczną cierpliwość. Stałem uparcie w

miejscu, tracąc z każdą sekundą nadzieję. Czułem, że za chwilę się sprzeciwi, powie mi, że postradałem rozum, wyzna, że nie wie, o czym mówię, że nie mam tu nic do roboty, że byłoby najlepiej, gdybym się stąd zabrał. Ona jednak odsunęła się tylko bez słowa i wpuściła mnie do środka.

W domu panował głęboki spokój; poczułem się jak intruz najgorszego rodzaju, niezgrabny i o ciężkim kroku. Jakim kosztem stworzyła ten spokój? Otaczał mnie ze wszystkich stron komfort, światło lampy, idealny porządek, łagodny oddech drewna i kwiatów, niczym oddech samych dzieci; zapewne spały na górze, a ich niewidoczna bezbronność sprawiała, że czułem się jeszcze bardziej winny. Ze strachem myślałem o tym, że będę wchodził po tych schodach i słyszał ich prawdziwe ciche westchnienia, ale Kate, ku mojemu zaskoczeniu, otworzyła drzwi w jadalni i poprowadziła mnie schodami w dół. Piwnica pachniała kurzem, suchym brudem, starym wyschniętym drewnem. Schodziliśmy powoli; chociaż nad naszymi głowami paliła się żarówka, miałem wrażenie, że zstępujemy w ciemność. Woń przypominała mi coś z dzieciństwa - coś dziwnie przyjemnego, jakies miejsce, które kiedyś odwiedzałem albo w którym się bawiłem. Widziałem przed sobą ruch szczupłej sylwetki Kate; patrzyłem na czubek jej złotobrazowej głowy w tym nieosłoniętym, ale niedostatecznym oświetleniu; zdawało się, że ucieka mi w objęcia snu. W jednym narożniku leżały polana, w drugim dostrzegłem stary kołowrotek, plastikowe wiadra, puste doniczki ceramiczne.

Kate zaprowadziła mnie bez słowa do drewnianej gabloty na drugim końcu pomieszczenia. Otworzyłem drzwi, wciąż jak we śnie, i zauważyłem, że szafka ta została specjalnie przystosowana do przechowywania płócien, w sposób uporządkowany i osobno, jak na stojaku w pracowni, i że jest pełna obrazów. Kate przytrzymała mi drzwi, jej dłoń odcinała się bielą od drewna. Sięgnąłem do środka, w pulsującym ciszą półmroku wyciągnąłem jeden obraz i oparłem go o ścianę obok, potem to samo zrobiłem z następnym, i następnym, aż w końcu gablota była pusta, a pod ścianą stało osiem dużych oprawionych płócien. Niektóre musiały pochodzić z wystaw Roberta; zastanawiałem się, czy sprzedał wiele innych i do jakich domów czy muzeów trafiły.

Oświetlenie było kiepskie, jak wspominałem, ale przez to obrazy wydawały się jeszcze bardziej rzeczywiste. Siedem z nich przedstawiało taką czy inną wersję sceny, którą widziałem tego popołudnia w galerii Greenhill College - moja pani pochylona nad ukochanymi zwłokami, czasem zbliżenie dwóch twarzy blisko siebie, wielkich na płótnie, wciąż młodzieńcze oblicze o wyrazistych rysach nad starszym i poszarzałym. Czasem scena była podobna, ale kobieta kryła swój szloch na szyi starszej, jakby piła jej krew albo mieszała

ją ze swoimi łzami - melodramatyczne, owszem, ale także boleśnie poruszające. Na innym obrazie stała wyprostowana z chusteczką przyciśniętą do ust i ciałem u swych stóp, szukając dzikim wzrokiem pomocy - czy była to chwila wcześniejsza czy późniejsza od tej na płótnie w Greenhill College? Kobieta o kręconych włosach była na przemian zaskoczona, przerażona, zrozpaczona. Opowieść nigdy nie sięgała wstecz ani nie wybiegała wprzód; bohaterka została na zawsze uchwycona w tym jednym momencie.

Ósme płótno było największe i całkowicie odmienne, zauważyłem też, że Kate się przesunęła, by przed nim stanąć. Był to obejmujący całe postaci obraz trzech kobiet i mężczyzny w dziwnie formalnym układzie, odznaczający się zapierającym dech w piersi realizmem, bez typowego dla Roberta dziewiętnastowiecznego piętna - nie, ten był niewątpliwie współczesny, jak zmysłowe płótno, które widziałem w jego domowej pracowni dwa piętra wyżej. Ten mężczyzna stał na pierwszym planie, dwie z kobiet za jego plecami, po prawej stronie, a jedna po lewej; wszystkie cztery postaci spoglądały poważnie na patrzącego i nosiły współczesne stroje. Trzy kobiety miały na sobie dzinsy i blade jedwabne bluzki, mężczyzna podarty sweter i spodnie khaki. Rozpoznałem wszystkie osoby prócz jednej. Najmniejszą z kobiet była Kate, jej włosy o barwie starego złota były dłuższe niż teraz, niebieskie oczy szerokie i trzeźwe, każdy pieg na swoim miejscu, ciało wyprostowane. Obok niej stała kobieta, której nie znałem, także młoda i znacznie wyższa, długonoga, o prostych rudawych włosach i ostrych rysach, z dłońmi wsuniętymi w przednie kieszenie dzinsów. A może gdzieś już ją widziałem? Kim mogła być? Na lewo od mężczyzny widniała znajoma sylwetka, niezwykle kobieca w obcym sobie współczesnym szarym jedwabiu i spłowiałym dzinsie - bose stopy, wyrazista twarz, taka, jaką widziałem w swoich marzeniach, ciemne kręcone włosy opadające za ramiona. Jej widok w ubraniu z mojej epoki przyprawił mnie o skurcz serca; uwierzyłem, że naprawdę mogę ją odszukać.

Mężczyzną na obrazie był oczywiście Robert Oliver. Wydawało się niemal, że jest tu obecny: jego zmierzwione włosy i znoszone ubranie, duże zielonkawe oczy. Sprawiał wrażenie tylko na wpół świadomego obecności kobiet; stanowił własny główny temat, plan pierwszy, spoglądając z tej perspektywy z obojętną zawziętością, nie chcąc zrzec się choćby cząstki swojej osoby nawet na rzecz patrzącego. Był sam, prawdę mówiąc, pomimo tych trzech gracji, które go otaczały. To niepokojące dzieło, pomyślałem - beczelne, egocentryczne, zagadkowe. Kate stała i patrzyła na nie niemal tak, jak stała i patrzyła na płótnie, oczy miała szeroko otwarte, drobne ciało wyprostowane jak u tancerki. Przynajmniej się z wahaniem i położyłem rękę na jej ramieniu. Chciałem ją tylko pocieszyć. Odwróciła się do mnie, a w jej twarzy dostrzegłem coś cynicznego, prawie uśmiech.

- Nie zniszczyłaś ich - zauważyłem.

Patrzyła na mnie bez zmruczenia powiek, nie odpychając mojej ręki. Miała ramiona ptaka - małe, wydrażone kości.

- Robert to wielki artysta. Był bardzo dobrym ojcem i bardzo złym mężem, ale wiem, że jest wielki. Nie mam prawa ich niszczyć.

W jej głosie nie dosłyszałem niczego szlachetnego; było to rzeczowe, śmiałe stwierdzenie. Potem się cofnęła, uwalniając z wdziękiem z mojego uścisku; zrozumiałem: te drzwi są zamknięte. Nie uśmiechnęła się. Wyglądziła włosy, patrząc na największy obraz.

- Co z nimi zrobisz? - spytałem w końcu.

Zrozumiała, że się z nią żegnam.

- Zatrzymam je do chwili, aż będę wiedziała, co z nimi zrobić.

Zabrzmiało to tak sensownie, że nie zadawałem dalszych pytań. Pomyślałem, że te niepokojące wizerunki, jeśli postąpi z nimi umiejętnie, któregoś dnia umożliwią jej dzieciom ukończenie studiów. Pomogła mi schować obrazy z powrotem na ich miejsca w gablocie, a potem wspólnymi siłami zamknęliśmy drzwi. W końcu znów za nią podążałem, teraz w górę drewnianych schodów, przez salon, wreszcie na ganek. Przystanęliśmy.

- Nie interesuje mnie, jak pan postąpi, doktorze - oznajmiła. - Proszę robić, cokolwiek uważa pan za słuszne.

Zrozumiałem: wolno mi było powiedzieć Robertowi, że widziałem jego żonę i że nie widziałem jego dzieci, chyba że na oprawionych zdjęciach, że widziałem pełen uroku, czysty dom, w którym kiedyś mieszkał, obrazy zachowane przez nią z myślą o przyszłości, w którą nie mogła wniknąć zbyt głęboko.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało, potem wyprostowała się odrobinę - nie tak bardzo, jak musiałaby się wyciągnąć, żeby dosięgnąć policzka Roberta Olivera - i pocałowała mnie spokojnie.

- Życzę szczęśliwej podróży - powiedziała. - Proszę jechać ostrożnie.

Nie przekazała żadnego przesłania.

Przytaknąłem, nie mogąc wydobyć z siebie słowa, i zszedłem po schodkach; słyszałem, jak za moimi plecami po raz ostatni zamykają się drzwi. Kiedy już znalazłem się na trasie, włączyłem radio, a potem je zgasiłem i w ciszy zacząłem śpiewać głośno, coraz głośniej, uderzając dłonią o kierownicę. Widziałem w wyobraźni obrazy Roberta lśniące w blasku nagiej żarówki i miałem świadomość, że zapewne nigdy więcej nie będę ich oglądał. Ale rozbiłem skorupę swojego życia, a może ta kobieta zrobiła to za mnie.

# 41

## 1878

Budynek przy rue Lamartine, gdzie mieści się jego atelier, nie wygląda z zewnątrz zachęcająco. Patrzy na niego, siedząc w powozie. Powtarzała sobie od wczoraj, że zabierze pokojówkę. Jednak w ostatniej chwili, tuż przed wyjściem z domu, doszła do wniosku, że nie chce żadnych świadków. W zbędnym liściku do gospodyni wyjaśniła, że wybiera się w odwiedziny do przyjaciółki, i poleciła zanieść teściowi w południe tacę.

Fasada budynku wydaje jej się całkowicie realna; Béatrice przełyka z wysiłkiem pod wstążką czepka; zawiązała ją zbyt mocno. Jest późny ranek - ulice pełne są tumultu dorożek, ciężkiego stukotu koni zaprzęgowych, wozów dostawczych. Kelnerzy ustawiają krzesła przed restauracjami w równe rzędy, a jakaś starsza niewiasta w podartych rękawiczkach i połatanej spódnicy, zamiatająca śmieci przy krawężniku, przyjmuje kilka monet od mężczyzny w długim fartuchu, po czym rusza w głąb ulicy, trzymając w ręku miotłę i wiadro.

Na karteczce w małej torebce Béatrice widnieje numer i szkic budynku. Zaprosił ją, by oceniła nowe duże płótno, które chciałby przesłać jurorom Salonu w następnym tygodniu, więc ona musi obejrzeć je teraz albo odczekać jakiś czas - a kto wie, czy dzieło zostanie przyjęte? To marny pretekst; zobaczy je potem w towarzystwie Yves'a, o czym wie doskonale, bez względu na to, czy obraz zostanie wystawiony na Salonie, czy nie. Lecz Olivier wspominał o tym kilkakrotnie, mówił o nieporęcznym płótnie, o swej niepewności. Myśl o obrazie, o walce, jaką z nim stoczył, stała się ich wspólną troską, niemal wspólnym przedsięwzięciem. To portret młodej kobiety, jak powiedział jej ostatnio. Béatrice nie ma odwagi pytać, kto to jest - bez wątpienia modelka. Zastanawiał się także, czy zamiast tego płótna nie wysłać wcześniejszego pejzażu. Ona wie o tym wszystkim i odczuwa dumę zaangażowania, dumę kogoś, kogo pyta się o zdanie - oto jej nieprzekonujące usprawiedliwienie samotnej wizyty, w nowym czepku na głowie. Poza tym nie jest tak, jakby szła odwiedzić go w jego mieszkaniu; zaprosił ją tylko do swej pracowni i być może będą tam też inni, racząc się trunkami i oglądając obrazy.

Zwalnia powóz na godzinę i unosi spódnice, by wysiąść. Włożyła suknię, w jakiej się

chodzi po ulicach, w kolorze śliwki, do tego pelerynka z niebieskiej wełny, obszyta szarym futrem. Jej czepek pasuje do pelerynki; odznacza się nowym krojem kapeluszy, jest uszyty z atłasu ze srebrnym obramowaniem i ciężki od niebieskich jedwabnych niezapominajek, cykorii, łubinu - cudownie prawdziwych, jakby prosto z pola. Lustro w domu jej powiedziało, że policzki ma już zaróżowione, a oczy jasne, i że widać w nich cień winy.

Obserwuje swoją stopę w czarnym skórzanym trzewiku, która pierwsza opuszcza powóz, i stawia ją na bruku, omijając brudną kałużę. Przypomina sobie, że to część miasta, gdzie swego czasu wybuchały niepokoje, i próbuje ujrzeć ją oczyma wyobraźni przed ośmioma laty, zastawioną barykadami i być może zasłaną dziesiątkami ciał, ale jej wyobraźnia nie daje się zwieść; myśli tylko o mężczyźnie, który czeka na nią gdzieś na górze. Czy ją widzi? Pilnuje się, by znów nie podnieść wzroku. Ujawszy spódnice dłonią w rękawicze, zmierza do drzwi, puka, a potem uświadamia sobie, że musi po prostu wejść do środka - nie ma służącego, który by jej otworzył. Wewnątrz zużyte schody prowadzą ją na drugie piętro, do jego pracowni. Po drodze mija liczne drzwi, lecz żadne z nich się nie otwierają. Stoi wpatrzona w jego nazwisko i łapie oddech - gorset jest ciasno zapięty - nim ma odwagę zapukać.

Olivier otwiera od razu, jakby stał tuż za progiem, nasłuchując jej kroków; patrzą na siebie bez słowa. Nie widzieli się od ponad tygodnia i w tym czasie coś się między nimi pogłębiło. Ich oczy spotykają się nieuchronnie, ona zaś widzi, że on jest świadom tej zmiany. Ze swej strony odczuwa szok na myśl o jego wieku, ponieważ z coraz większą mocą, obiektywnie, dostrzega w nim mężczyznę; jest przystojny, dopiero co przekroczył wiek średni, ale ma głębokie pionowe bruzdy, biegnące od kącików nozdrzy do kącików ust, a także pod oczami, włosy zaś są bladossrebrzyste.

Pod tą twarzą widzi młodszego mężczyznę, jakim był niegdyś, i ten młody człowiek odpowiada jej spojrzeniem jakby zza maski, której nigdy nie chciał nosić, wrażliwy i zdolny do wyrażania uczuć, wciąż ujawniający błyszczące oczy - ale nie takie, jakie musiały być kiedyś; niktą czerwono pod dolną powieką, a ich błękit jest upośledzony, rozcieńczony. Zaczesał włosy, poczynając od różowego przedziałka, który ona widzi, gdy on pochyla się nad jej dłonią. Jego broda ma wciąż odrobinę brązu, cieplejszego u nasady, a jego usta też są ciepłe, kiedy dotykają wierzchu jej dłoni. W tym ich przelotnym zespoleniu czuje jego esencję - nie zakochanego chłopca ani starzejącego się mężczyznę, tylko artystę pozbawionego wieku, w samym środku długiego, nawarstwionego życia. Jego postać przenika ją niczym niespodziewany dźwięk dzwonu; w końcu nie jest w stanie złapać tchu.

- Proszę wejść - on mówi. - *Entrez, je vous en prie.* Moja pracownia.

Nie zwraca się do niej *tu*. Przytrzymuje jej drzwi, a ona uświadamia sobie, że włożył stary garnitur, na marynarkę zaś narzucił rozpiętą lnianą koszulę roboczą. Rękawy tej koszuli są podwinięte, jakby i one były za długie nawet dla niego. Biała koszula ma na piersi kilka śladów farby, a fular jest czarny, jedwabny, także wytarty. Nie ubrał się odpowiednio przed tą wizytą, pewnie wołał, by zobaczyła go przy pracy. Ona wchodzi do pokoju, dostrzegając, że nikogo tam nie ma, i czując jego bliskość. Zamyka za nią delikatnie drzwi, jakby nie chcąc przywiązywać wagi do czegoś, co oboje rozumieją - do narażenia na szwank ich reputacji. Drzwi są zamknięte. Stało się. Pragnęłaby odczuwać głębszy żal, większy wstyd; upomina się w myślach, że świat zewnętrzny wciąż może go uważać jedynie za krewnego, pełnego godności mężczyznę w starszym wieku, któremu wolno zaprosić żonę bratanka do pracowni i pokazać swój obraz.

Wydaje się jednak, że zamiast zamknąć drzwi otwiera nowe, tworząc między nimi długą przestrzeń blasku słonecznego i powietrza. Po chwili porusza się i pyta:

- Mogę wziąć od ciebie pelerynę?

Ona przypomina sobie zwyczajne gesty, rozwiązuje tasiemki czepka, po czym unosi go w górę, by nie naruszyć starannie ułożonych pukli. Rozpina pelerynę pod brodą i składa ją raz, pionowo, podszewką na wierzch, by chronić delikatne futerko. Podaje mu jedno i drugie, płaszczyk i nakrycie głowy, a on je wynosi, znikając za innymi drzwiami. Stojąc samotnie w pracowni, czuje coraz większą intymność pomieszczenia pozbawionego obecności gospodarza. Jest pełne blasku płynącego przez wysokie okna, czyste wewnątrz i poznaczone brzydkimi smugami na zewnątrz; nad jej głową znajduje się ozdobny świetlik. Słyszy dobiegające z dołu odgłosy ulicy - stłumiony stukot, grzechot i chrobotanie metalu, uderzenia końskich kopyt - wszystko tak niewyraźne, że nie musi już wierzyć w istnienie tej gwarnej arterii ani myśleć o stangrecie, który raczy się czymś gorącym w stajni kawałek dalej, gdzie być może spotka się z innymi stangretami i przez godzinę nie będzie o niej myślał. Olivier wraca i wskazuje swoje obrazy; świadomie nie patrzyła na te płótna.

- Niczego nie ocenzurowałem - wyjaśnia. - Traktuję cię jak znajomą artystkę.

Mówi to bez wahania, prawie nieśmiało, a ona uśmiecha się i odwraca wzrok.

- Dziękuję. Uczyniłeś mi honor, niczego nie zmieniając w swej pracowni.

Potrzebuje jednak odwagi, by obejrzeć płótna.

On pokazuje jedno z nich.

- To ten obraz, który wisiał w zeszłym roku na Salonie. Być może go pamiętasz, jeśli zbyttno sobie nie schlebiam.

Pamięta doskonale; to pejzaż o szerokości trzydziestu czy czterdziestu centymetrów,



subtelne dzieło - pofalowane pole z kobiercem białych i żółtych kwiatów, krową pasącą się na przeciwległym końcu, brązowymi drzewami poprzątanymi zielenią. Jest odrobinę staroświecki, w stylu Corota, jak sądzi, a potem strofuje się w myślach: maluje tak, jak zawsze malował, i jest dobry. Obraz jednak stanowi jeszcze jedno przypomnienie lat, które ich dzieli.

- Podoba ci się, ale uważasz, że *jest passe* - mówi on.

- Nie, nie - protestuje ona, ale rozmówca powstrzymuje ją gestem uniesionej dłoni.

- Między przyjaciółmi może istnieć tylko szczerłość - zapewnia.

Jego oczy są bardzo niebieskie; dlaczego uważa go za starego? Teraz te oczy promieniają żywotnością, która jest lepsza od samej młodości.

- Bardzo dobrze - mówi ona. - Wobec tego wolę śmiałość tego obrazu. - Zdażyła się już odwrócić w stronę dużego płótna. - To ten, który zamierzasz wystawić na Salonie?

- Nie, niestety. - Śmieje się teraz; jego ciało tuż obok niej. Dopóki na niego nie patrzy, znów czuje w tym ciele obecność młodego człowieka. - Jest zbyt śmiały, jak się wyraziłaś. Mogą go nie przyjąć.

Obraz przedstawia drzewo na pierwszym planie i jakiegoś osobnika w eleganckim garniturze i kapeluszu, usadowionego pod konarami na trawie, ze skrzyżowanymi nonszalancko nogami i długimi dłońmi na kolanie. Zręczne ujęcie perspektywy sprawia, że chciałyby obejść to drzewo, by się przekonać, co jest po drugiej stronie. Technika pędzla wydaje się nowocześniejsza niż w przypadku płótna z krową - dostrzega tu pewną inspirację.

- Ten obraz dowodzi podziwu dla dzieł pana Maneta?

- Owszem, podziwu pełnego zazdrości, moja droga. Masz przenikliwe oko. Ci z Salonu mogą powiedzieć, że jest nieprzyzwoity, gdyż nie ma żadnego celu.

- Kim jest ten młody człowiek?

- To syn, którego nigdy nie miałem. - Mówi to beztróska, ale ona przygląda się uważnie jego twarzy, zaskoczona, lękając się wyjaśnień. - Och, po prostu myślę o nim w ten sposób, o swoim chrześniaku z Normandii, mieszka obecnie w Paryżu; widuję go kilka razy w roku, chodzimy wtedy na długie spacerunki. Drogi chłopiec, syn pewnych młodych przyjaciół. Za kilka lat będzie dobrym lekarzem; studiuje niezmiernie. Tylko ja potrafię wyciągnąć go za miasto, by się trochę rozruszał; uważa, jak sądzę, że dobrze mi to robi, jego biednemu ojcu chrzestnemu. Dlatego się zgadza, udając, że słucha moich poleceń dotyczących zdrowia. W ten sposób obaj próbujemy się oszukać.

- Obraz jest świetny - mówi ona szczerze.

- Och. - Dotyka jej rękawa o barwie śliwki. - Pokażę ci pozostałe, a potem napijemy

się herbaty.

Trudniej jej oglądać te pozostałe, ale robi to bez zmrużenia powiek; na wpół ubrane modelki, plecy nagiej kobiety, pełne wdzięku, nieukończone - czy to oznacza, że ta kobieta wróci do pracowni któregoś dnia i znów zdejmie przed nim ubranie? Czy kiedykolwiek była jego kochanką? Czy nie tak zachowują się artyści? Stara się o tym nie myśleć, a jeśli już, to wyłącznie jako malarka. Modelki to często kobiety swobodnych obyczajów, jak wszyscy wiedzą, ale przecież ona też przyszła sama do prywatnego lokum mężczyzny, do jego pracowni - czy jest lepsza od nich? Tłumi swe lęki i odwraca się, by obejrzeć jego martwe natury, owoce i kwiaty, które, jak on wyjaśnia, są dziełami młodzieńczymi. Wydają jej się trochę nudne, choć zgrabne, delikatne; dostrzega wpływ dawnych mistrzów.

- Byłem w Holandii tuż przedtem, zanim je namalowałem - wyjaśnia on. - Wyciągnąłem je któregoś dnia, żeby się przekonać, jak zniosły upływ czasu. Teraz to antyki, prawda?

Jest ostrożna i nie odpowiada.

- A obraz, który chcesz wystawić w tym roku na Salonie? Widziałam go?

- Jeszcze nie. - Przechodzi przez długie pomieszczenie, obok dwóch obskurnych foteli i małego okrągłego stolika, gdzie, jak jej się zdaje, poda herbatę. Pod ścianą stoi zawinięte w brezent płótno, duże; musi je podnieść obiema rękami. Potem opiera je o krzesło. - Jesteś pewna, że chcesz je obejrzeć?

Po raz pierwszy odczuwa strach, boi się niemal samego mężczyzny, tej znajomej postaci, którą rozumie teraz w całkowicie nowy sposób za sprawą jego listów, jego otwartości, ujawniania samego siebie, swej własnej dziwnej reakcji, gdy stoi przy jego ramieniu. Odwraca się do niego pytająco, ale nie przychodzą jej na myśl żadne słowa. Dlaczego jest pełen wahania, dlaczego boi się pokazać jej ten obraz? Może jest to absolutnie szokujący akt albo jakiś inny temat, którego ona nie może sobie nawet wyobrazić. Ma poczucie obecności męża, który okazuje dezaprobatę, stojąc z założonymi rękami i dając do zrozumienia, że posunęła się za daleko. Jednakże Olivier napisał jej w liście, że Yves pragnie, by zobaczyła to płótno. Sama nie wie, co myśleć ani co powiedzieć.

Kiedy Olivier podnosi zasłonę, ona wstrzymuje gwałtownie oddech, wydając z krtani dźwięk, który słyszą oboje. To jej obraz, jej złotowłosa służąca przy pracy, jej własna sofa w różanym kolorze, ruchy pędzla, w które starała się tchnąć swobodę i śmiałość, a jednocześnie sprawić, by niczego nie pomijały - niczego.

- Rozumiesz, dlaczego postanowiłem zaproponować wystawienie tego płótna na tegorocznym Salonie - mówi on. - Wyszedł spod ręki lepszego artysty ode mnie.

Béatrice unosi dłoń do twarzy; jej wzrok jest rozmazany przez łzy, co spostrzega z zażenowaniem.

- Co to ma znaczyć? - Głos, którym mówi, jej samej wydaje się słaby. - Bawisz się moim kosztem?

Odwraca się do niej, przynaglony troską.

- Nie, nie; nie zamierzałem cię urazić. Zabrałem go ze sobą do domu w zeszłym tygodniu, kiedy już się z nami pożegnałaś. Musisz się zgodzić. Yves nie ma zastrzeżeń, prosi tylko, by przez wzgląd na twoją prywatność wystawić go pod innym nazwiskiem. Jest jednak niezwykle - udało ci się połączyć w nim coś dawnego i coś bardzo nowego. Kiedy mi go pokazałaś, zrozumiałem, że jurorzy muszą zobaczyć to płótno, nawet jeśli wyda się im zbyt nowoczesne. Pragnąłem cię tylko przekonać.

- I Yves wie, że je wzięłaś? - Jakos nie chce wypowiadać tu imienia męża, w tych pokojach należących do innego mężczyzny.

- Tak, oczywiście. Najpierw spytałem jego, nie ciebie - wiedziałem, że powie „tak”, a ty „nie”.

- Mówię „nie” - oświadcza, a łzy, nad którymi nie potrafi zapanować, płyną jej po twarzy.

Jest poniżona, ona, która rzadko płacze nawet w obecności męża. Nie potrafi wyjaśnić, jak to jest, kiedy się widzi ten osobisty obraz w dziwnym otoczeniu albo - ponad wszystko - kiedy się słyszy pochwały pod jego adresem. Wyciera twarz, szuka chusteczki w aksamitnej torebce na nadgarstku. Przysunął się już bliżej, wyciągając coś z wewnętrznej kieszeni marynarki. Teraz starannie ociera jej twarz - poklepuje ją delikatnie, osusza, czyniąc to rękami, które przez lata trzymały pędzel, ołówek i nóż do palety. Potem z rozmysłem ujmuje jej łokcie w miseczki swych dłoni, jakby chciał je zważyć, i przyciąga ją do siebie.

Po raz pierwszy przyciska głowę do jego szyi, policzka, czując, że tak wolno, że jest to dopuszczalne dla nich obojga, ponieważ on chce ją tylko pocieszyć. Głaszcząc jej włosy i kark, a jego dotyk pokrywa jej skórę pajęczyną chłodnych strumyczków. Przesuwa opuszkami palców po gęstych splotach jej włosów z tyłu głowy, nie naruszając ich starannego ułożenia, a jego ramię otacza jej barki. Przyciąga ją do swojej piersi, ona zaś, by zachować równowagę, musi położyć mu dłoń na plecach. Głaszcząc jej policzek, jej ucho; przybliżył się już bardzo i jego usta znajdują jej usta, nim dociera do nich jego dłoń. Te wargi są ciepłe i suche, ale raczej grube, jak zmiękczone skórzana materia, a oddech pachnie kawą i chlebem. Była całowana wielokrotnie, ale tylko przez Yves'a, więc najpierw wyczuwa i pojmuje obcą naturę tych nowych warg; dopiero potem uświadamia sobie, że są bardziej wprawne niż wargi

męża, bardziej uporczywie.

Nieprawdopodobieństwo tej sytuacji, to, że ją całuje i że ona chce, by ją całował, zalewa jej twarz falą gorącą, która spływa na szyję; w jej wnętrzu zaciska się jakaś pięść, pożądanie, takie, które nigdy wcześniej nie kojarzyło jej się z tym słowem. Trzyma ją teraz za przedramiona, jakby się bał, że ona się odsunie. Jego uścisk jest silny. Ona znów czuje te lata, kiedy go nie znała, a kiedy on budował swą siłę, żyjąc i pracując.

„Nie mogę ci pozwolić” - próbuje powiedzieć, ale słowa giną pod jego wargami i nie wie, czy chodzi jej o to, że nie może mu pozwolić na przedstawienie jej obrazu jurorom Salonu, czy że nie może pozwolić na dalsze pocałunki. To on odsuwa ją delikatnie od siebie. Drży lekko, tak samo zdenerwowany jak ona.

- Wybacz mi. - Słowa te wypowiada zdławionym głosem. Jego oczy przykuwają jej wzrok, ale są jakby ślepe. Teraz, kiedy znów może na niego patrzeć, dostrzega, że naprawdę jest stary. I odważny, jak sobie uświadamia. - Nie chciałem cię jeszcze bardziej urazić. Zapomniałem się.

Wierzy mu; zapomniał się, pamiętając tylko o niej.

- Nie uraziłeś mnie - mówi ona głosem, który sama ledwie słyszy, poprawiając rękawy, torebkę, rękawiczki.

Jego chusteczka leży u jej stóp. Nie może się po nią schylić ze względu na gorset; boi się utraty równowagi. On to robi, ale zamiast podać jej ten kawałek materiału, chowa go powolnym ruchem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- To moja wina - mówi.

Ona patrzy mimowolnie na jego buty - brązowa skóra, czubki nieco starte, krawędź jednego upstrzona kropeczkami żółtej farby. Widzi buty, w których on pracuje, jego prawdziwe życie.

- Nie - mamrocze. - Nie powinnam była tu przychodzić.

- Béatrice...

Ujmuje jej dłoń poważnie, oficjalnie. Ona przypomina sobie z dojmującym smutkiem chwilę, gdy Yves poprosił ją, by za niego wyszła, przed laty, tak samo oficjalnie. To w końcu stryj i bratanek, dlaczego więc nie mieliby dzielić pewnych gestów, cech rodzinnych?

- Muszę iść - mówi, próbując wyswobodzić dłoń, ale on ją trzyma.

- Nim odejdziesz, proszę, byś zrozumiała, że cię szanuję i kocham. Jestem tobą oczarowany, tym, kim jesteś. Nigdy nie będę cię o nic prosił prócz tego, byś miała całować twe stopy. Pozwól mi powiedzieć sobie wszystko, ten jeden raz.

Intensywność jego głosu porusza ją do głębi, kontrast tej intensywności z jego

znajomą twarzą.

- Sprawiasz mi zaszczyt - odpowiada bezradnie, rozglądając się za peleryną i czepkiem. Przypomina sobie, że znajdują się w drugim pokoju.

- Kocham też twój obraz, twój instynkt sztuki, i kocham je niezależnie od miłości, którą cię darzę. Masz niezwykły dar.

Tym razem mówi już spokojniej. Ona uświadamia sobie, że pomimo charakteru tej chwili jest szczerzy. Jest też smutny, poważny - człowiek, którego czas już wyprzedził i któremu niewiele go pozostało. Stoi przed nią jeszcze chwilę, a potem znika w sąsiednim pokoju, żeby przynieść jej rzeczy. Ona wiąże czepkę drżącymi palcami; zapina pod szyją pelerynę, którą on uważnie okrywa jej ramiona.

Kiedy się odwraca, na jego twarzy dostrzega tak głębokie poczucie straty, że podchodzi do niego, nie pozwalając sobie na żadne myśli. Całuje go w policzek, waha się przez moment, a potem całuje go w usta, szybko i przelotnie. Ku jej żalowi są w dotyku i smaku znajome.

- Naprawdę muszę iść - mówi.

Żadne z nich nie wspomina o herbacie czy jej obrazie. Otwiera przed nią drzwi i kłania się w milczeniu. Ona, schodząc na dół, na ulicę, cały czas trzyma się balustrady. Nasłuchuje dźwięku zamykanych drzwi, ale nic do niej nie dociera; może on wciąż stoi w progu na ostatnim piętrze tego domu. Jej powóz nie wróci jeszcze przez dobre pół godziny, musi więc przejść się do stajni na końcu ulicy albo znaleźć dorożkę, która zawiezie ją do domu. Opiera się przez chwilę, o fronton budynku, czując przez rękawiczkę powierzchnię fasady; stara się uspokoić myśli. Po chwili odzyskuje panowanie nad sobą.

Ale potem, kiedy siedzi sama na werandzie, próbując wszystko uprościć, tamten pocałunek powraca, wypełnia otaczającą ją powietrze. Zalewa wysokie okno, dywan, fałdy jej sukni, stronicę książki. „Proszę, byś zrozumiała, że cię szanuję i kocham”. Nie umie sprawić, by ten pocałunek zniknął. Następnego ranka już nie chce, by zniknął. Nie ma na myśli niczego złego - nie zrobi niczego złego - ale pragnie zachować przy sobie ten moment tak długo, jak tylko zdoła.

Przed świtem zapakowałem samochód i śniąc na jawie, ruszyłem przez Wirginię szosami, których pobocza zazieleniły się jeszcze bardziej od czasu mojej podróży w przeciwną stronę. Dzień był chłodnawy, deszcz padał przez kilka minut, potem przestał, a ja zacząłem tęsknić za domem. Udałem się wprost na umówione spotkanie w Dupont Circle. Pacjent mówił; z długiego nawyku zadawałem właściwe pytania, słuchałem, wypisałem odpowiednią receptę, pożegnałem się z nim, pewien swoich decyzji.

Kiedy dotarłem o zmroku do mieszkania, rozpakowałem się szybko i podgrzałem sobie supę z puszki. Pomyślałem, że okropne domostwo Hadleyów, w którym spędziłem parę dni, należałoby jak najszybciej rozwalić, a w tym miejscu postawić coś, co miałoby dwa razy więcej okien - moje pokoje wydały mi się nieskazitelne, przyjazne, światło lamp idealnie dostosowane do każdego obrazu, Iniane zasłony gładkie po chemicznym praniu przed miesiącem. Moje lokum pachniało rozpuszczalnikami mineralnymi i farbami olejnymi, czego zwykle nie dostrzegam, dopóki nie wyjadę na kilka dni, a także narcyzem kwitnącym w kuchni; rozwinął się podczas mojej nieobecności. Podlałem go z wdzięcznością - ale ostrożnie, by nie przesadzić. Podszedłem do półki z książkami i położyłem dłoń na grzbiecie jednego z tomów starej ojcowskiej encyklopedii, lecz po chwili ją cofnąłem. Uznałem, że przyjdzie jeszcze odpowiedni czas; wziąłem tylko gorący prysznic, zgasilem światła i poszedłem do łóżka.

\*

Następny dzień był pracowity: personel w Goldengrove wyczekiwał mojego powrotu; niektórzy z pacjentów nie robili takich postępów, na jakie liczyłem, i pielęgniarki wydawały się rozdrażnione; biurko zawałone było papierkową robotą. Udało mi się w ciągu pierwszych kilku godzin zatrzymać przy pokoju Roberta Olivera. Siedział w składanym fotelu przy blacie, który służył za biurko i półkę na różne rzeczy, i szkicował. Jego listy leżały obok, ułożone w dwie kupki; zastanawiałem się, jak je podzielił. Zamknął szkicownik, kiedy

wszedłem, i odwrócił się w moją stronę. Wziąłem to za dobry znak; nieraz ignorował całkowicie moją obecność, bez względu na to, czy był akurat zajęty, czy nie, i potrafił zachowywać taką obojętność przez niepokojąco długi czas. Twarz miał znużoną i jakby surową, jego oczy skupiły się najpierw na mojej twarzy, którą rozpoznały, potem na moim ubraniu.

Zastanawiałem się, być może po raz setny, czy z powodu milczenia Roberta nie lekceważyłem zanadto jego choroby i wpływu, jaki ona na niego wywiera; możliwe, że była o wiele poważniejsza, niż mogłem to osądzić na podstawie nawet najbardziej uważnych obserwacji. Zastanawiałem się także, czy jest on w stanie się domyślić, gdzie byłem; chciałem nawet usiąść w dużym fotelu, poprosić go, by oczyścił pędzel i zajął miejsce na łóżku naprzeciwko, a potem posłuchał wieści o swojej byłej żonie. Mógłbym powiedzieć: „Wiem, że kiedy się pierwszy raz całowaliście, to podniosłeś ją z podłogi”. Mogłem powiedzieć: „W twoim karmniku wciąż przesiadują kardynały, a kalmia szerokolistna zaczęła kwitnąć”. Mogłem mu powiedzieć: „Teraz się upewniłem, że jesteś geniuszem”. Albo mogłem spytać: „Co dla ciebie znaczy słowo «Étretat»?”.

- Jak się masz, Robercie. - Wciąż stałem w drzwiach.

Znów zajął się swoim rysunkiem.

- Doskonale. No cóż, idę zobaczyć innych gości.

Dlaczego użyłem tego słowa? Nigdy go nie lubiłem. Obrzuciłem pokój szybkim i uważnym spojrzeniem. Nic nie wydawało się inne, niebezpieczne czy niepokojące. Życzyłem mu udanej pracy, nadmieniając przy okazji, że zapowiada się słoneczny dzień. Wychodząc, posłałem mu najbardziej szczery uśmiech, na jaki było mnie stać, choć nawet nie patrzył w moją stronę.

Do końca dnia odwiedzałem pacjentów, a potem siedziałem do późna przy biurku, zajmując się papierkową robotą. Kiedy personel dzienny poszedł do domu i słychać już było brzęk naczyń zbieranych po kolacji, zamknąłem drzwi gabinetu na klucz i usiadłem przy komputerze.

I znalazłem to, co już wcześniej przyszło mi na myśl. Było to nadmorskie miasto w Normandii, położone w okolicy często malowanej w XIX wieku, zwłaszcza przez Eugène'a Boudina i jego pełnego niepokoju, młodego protegowanego Claude'a Moneta. Znalazłem znajome obrazy - wspaniałe dzikie urwiska Moneta, słynny łuk skalny na plaży. Jednakże Étretat przyciągało też innych malarzy - bardzo wielu, nie wyłączając Oliviera Vignota i Gilberta Thomasa, tego od autoportretu z monetami wiszącego w National Gallery; obaj malowali to wybrzeże. Wydawało się, że niemal wszyscy, których było stać na podróż jedną z

nowych północnych linii kolejowych, jechali do Étretat i próbowali tam szczęścia - mistrzowie i pośledniejsi artyści, niedzielni pacykarze i akwareliści w służbie eleganckiego towarzystwa. W historii malarstwa tworzonych w tym mieście urwiska Moneta wznosiły się nad wszystkimi innymi dziełami, a on sam stanowił część tradycji.

Znalazłem współczesne zdjęcie miasta; wielki łuk skalny wyglądał tak jak w dniach impresjonistów. Wciąż były tam szerokie plaże z łodziami wyciągniętymi na piasek albo przewróconymi do góry dnem, urwiska zwieńczone trawą, uliczki z eleganckimi hotelami i domami, z których wiele mogło stać tam w czasach, gdy zaledwie kilka metrów dalej malował Monet. Nic jednak nie wydawało się w jakikolwiek sposób związane z tym, co Robert Oliver nabazgrał na ścianie, choć z pewnością w którejś z książek swojej biblioteki natknął się na nazwę miasta i opisy jego niezwykłych widoków. Czy był tam osobiście, by doświadczyć „radości”? Może podczas wspomnianej przez Kate podróży do Francji? Znów się zastanowiłem, czy nie cierpi przypadkiem na łagodne urojenia. Étretat okazało się ślepą uliczką, choć piękną; urwisko na ekranie mojego komputera opadało łukiem ku kanałowi, znikając w wodzie. Monet przedstawiał ten widok zadziwiająco często, a Robert, jeśli czegoś nie pominąłem, nie namalował go ani razu.

Nazajutrz była sobota, rano pobiegłem do zoo i z powrotem, wspominając widok gór wokół Greenhill. Kiedy opierałem się o bramę i rozciągałem napięte mięśnie podkolanowe, przyszło mi po raz pierwszy na myśl, że być może nigdy nie wyleczę Roberta. Poza tym jak miałem się zorientować, kiedy należy dać sobie spokój?



W środę rano, kilka dni po moim porannym biegu do zoo, w Goldengrove czekał na mnie list; w górnym rogu koperty widniał adres zwrotny w Greenhill. Pismo było staranne, kobiece, odpowiednio rozmieszczone - Kate. Nie zaglądając do Roberta ani żadnego innego pacjenta, poszedłem do swojego gabinetu, zamknąłem za sobą drzwi i wziąłem do ręki nóż do otwierania korespondencji, prezent od matki z okazji ukończenia studiów; często myślałem o tym, że nie powinienem trzymać takich skarbów w miejscu raczej publicznym, jak mój gabinet, ale lubiłem mieć ten przedmiot pod ręką. List składał się tylko z jednej strony i - w przeciwieństwie do adresu na kopercie - był napisany na maszynie.

*Drogi doktorze Marlow,*

*Mam nadzieję, że list ten zastanie Pana w dobrym zdrowiu. Dziękuję za wizytę w Greenhill. Jeśli mogłam pomóc w czymkolwiek Panu albo (pośrednio) Robertowi, to się cieszę. Trudno mi będzie podtrzymywać z Panem kontakt, ale mam nadzieję, że Pan to rozumie. Cenię sobie nasze spotkanie i wciąż o nim myślę; uważam, że jeśli ktokolwiek może pomóc Robertowi, to tylko ktoś taki jak Pan.*

*Jest jeszcze jedna rzecz, o której nie wspomniałam podczas naszych rozmów, częściowo z pobudek osobistych, a częściowo ze względu na rozterki natury etycznej. W końcu jednak doszłam do wniosku, że powinnam to Panu przekazać. Chodzi o tożsamość kobiety, która przysyłała Robertowi te listy. Nie powiedziałam Panu wtedy, że jeden z nich został napisany na papeterii i że u góry widniało pełne imię i nazwisko. Też była malarką, jak już mówiłam, i nazywała się Mary R. Bertison. To dla mnie wciąż bardzo bolesny temat, nie byłam też pewna, czy chcę się z Panem podzielić tym szczegółem ani czy wolno mi coś takiego robić. Lecz jeśli chce Pan naprawdę mu pomóc, to uważam, że powinien Pan znać jej nazwisko. Może uda się Panu czegokolwiek o niej dowiedzieć, choć nie bardzo wiem, czy okaże się to przydatne.*

*Życzę sukcesów w pracy, a zwłaszcza w wysiłkach, by pomóc Robertowi.*

*Z poważaniem,*

*Kate Oliver*

Był to szczodry, uczciwy, irytujący, nieporadny, miły list; z niemal każdej linijki wyzierała determinacja Kate, by zrobić to, co uważała za słuszne. Siedziała zapewne przy stole w tej bibliotece na piętrze, może wczesnym rankiem, pomimo bólu wystukując z uporem słowa; potem zakleiła kopertę, by nie zmienić zdania, zrobiła herbatę w kuchni, przykleiła znaczek. Żałowała swych wysiłków na rzecz Roberta, ale jednocześnie była z siebie zadowolona - widziałem ją w dopasowanym topie i dżinsach, z migoczącymi klejnotami w uszach, jak kładzie list na tacy przy drzwiach wejściowych, jak idzie obudzić dzieci, siłą się dla nich na uśmiech. Ogarnęło mnie nagle poczucie straty.

List jednak brzmiał tak, jak brzmiał - przypominał zamknięte drzwi, które dostrzegłem wcześniej, nawet jeśli otwierał inne; poza tym musiałem uszanować jej pragnienia. Wystukałem pospieszną odpowiedź, uprzejmą i profesjonalną, i włożyłem do koperty, którą później miał wysłać mój personel. Kate nie podała mi swojego e-maila, nie skorzystała też z mojego - był na wizytówce, którą jej wręczyłem w Greenhill; najwidoczniej życzyła sobie tej oficjalnej, powolniejszej komunikacji między nami, prawdziwie pisemnej, która przemierzała kraj na anonimowej fali korespondencji. Wszystko zapieczętowane. Tak moglibyśmy postępować w XIX wieku, pomyślałem sobie, uprawiać grzeczną i sekretną wymianę zdań na papierze, rozmowę na odległość. Dołączyłem list do swoich prywatnych dokumentów, nie do teczki Roberta.

Reszta była zadziwiająco łatwa, ani śladu roboty detektywistycznej. Mary R. Bertison mieszkała w granicach Dystryktu Kolumbii, a jej nazwisko widniało jak wół w książce telefonicznej, gdzie można było także przeczytać, że mieszka przy Trzeciej Ulicy, Northeast. Innymi słowy, tak jak przypuszczałem, należało z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że nie jest martwa. Poczuję się dziwnie, widząc przed sobą, jak na dłoni, ten artefakt milczącego życia Roberta Olivera. Oczywiście nie mogłem wykluczyć, że w mieście jest więcej kobiet o tym imieniu i nazwisku, ale raczej w to wątpiłem. Po lunchu, siedząc za biurkiem, ponownie przy zamkniętych drzwiach, które chroniły mnie przed wzrokiem i słuchem postronnych, zadzwoniłem pod ten numer. Pomyślałem, że skoro Mary Bertison jest malarką, może akurat przebywać w domu; jednakowoż, jeśli nią była, to prawdopodobnie pracowała gdzieś w ciągu dnia, tak jak ja - w moim przypadku nic nieznaczące zajęcie dyplomowanego lekarza medycyny, zajętego przez pięćdziesiąt pięć godzin tygodniowo. Telefon zadzwonił u niej pięć, sześć razy. Moja nadzieja gasła z każdym sygnałem - chciałem

ją zaskoczyć - w końcu włączyła się automatyczna sekretarka. „Dodzwoniłeś się do Mary Bertison w...” - oznajmił zdecydowanym tonem kobiecy głos. Był przyjemny, być może odrobinę srogi na użytek nagranych komunikatów, ze śladem wystudiowanego altu.

Przyszło mi teraz do głowy, że może lepiej zareaguje na grzeczną wiadomość niż na niepokojący bezpośredni telefon; miałyby też czas przemyśleć moją prośbę. „Witam, pani Bertison, mówi doktor Andrew Marlow, jestem psychiatrą w ośrodku klinicznym Goldengrove w Rockville. Zajmuję się obecnie pacjentem, który, jak się dowiedziałem, jest pani przyjacielem, z zawodu malarzem. Pragnę się zorientować, czy nie zechciałyby nam pani pomóc w tej sprawie”.

To pełne ostrożności „nam” sprawiło, że wzdrygnąłem się odruchowo. Leczeniem Roberta nie zajmował się większy zespół lekarzy. Sama wiadomość też mogła ją zaniepokoić, jeśli wciąż uważała go w najlepszym razie za bliskiego przyjaciela. Ale jeśli mieszkał z nią albo przyjeżdżał do Waszyngtonu, żeby z nią być, jak podejrzewała Kate, to dlaczego, u licha, jeszcze się nie pojawiła w Goldengrove? No cóż, w gazetach nie napisali o tym, że Robert został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. „Może pani zadzwonić do ośrodka, jestem obecny prawie zawsze w dzień powszedni; jeśli mnie nie będzie, oddzwonię jak najszybciej. Mój numer...” - podałem go wyraźnie, wymieniłem też numer pagera i odłożyłem słuchawkę.

Potem poszedłem odwiedzić Roberta, czując się odrobinę tak, jakbym miał krew na rękach. Kate nie powiedziała mi, bym nie wspominał w jego obecności o Mary Bertison, ale kiedy dotarłem do drzwi, wciąż się zastanawiałem, czy mam to zrobić, czy nie. Zadzwoniłem do kogoś, kto w przeciwnym razie mógłby się nigdy nie dowiedzieć, że Robert przebywa w ośrodku psychiatrycznym. „Może pan nawet porozmawiać z Mary” - powiedział mi pogardliwie pierwszego dnia w Goldengrove. Nie dodał jednak nic więcej, a w Stanach Zjednoczonych musiało być ze dwadzieścia milionów kobiet o imieniu Mary. Mógł pamiętać dokładnie, co powiedział. Czy byłbym jednak zmuszony wyjaśniać, skąd znam jej nazwisko?

Zapukałem i zawołałem go, choć drzwi były lekko uchylone. Robert spokojnie malował, stojąc z uniesionym pędzlem przy sztalugach; jego wielkie ramiona wydawały się rozluźnione i naturalne. Zastanawiałem się przez chwilę, czy doznał w ciągu kilku ostatnich dni jakiejś poprawy. Czy naprawdę musiał tu przebywać tylko z tego powodu, że się nie odzywał? Spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem, a ja dostrzegłem zaczerwienienie w jego oczach, cień nagłego bólu, który ożywił mu twarz na mój widok.

Usiadłem w fotelu i odezwałem się, zanim jeszcze straciłem nad sobą panowanie.

- Może po prostu mi o tym opowiesz, Robercie?

W tonie mojego głosu zabrzmiało większe niezadowolenie, niż planowałem. Wydawało się, że zrobiło to na nim wrażenie, co przyjąłem z perfidną przyjemnością - przynajmniej wywołałem u niego jakąś reakcję. Moja przyjemność jednak przygasła, gdy dojrzałem na jego wargach przelotny uśmiech, być może triumfu albo zwycięstwa, jakby moja prośba dowodziła, że znów mnie sprowokował.

Prawdę powiedziawszy, wkurzyło mnie to jak diabli i chyba przyspieszyło moją decyzję.

- Mógłbyś na przykład opowiedzieć mi o Mary Bertison. Nie chciałbyś się z nią skontaktować? A może spytam inaczej - dlaczego cię tu nie odwiedza?

Ruszył do przodu, unosząc rękę z pędzlem, lecz szybko się opanował. Oczy miał szeroko otwarte, pełne tej stłumionej inteligencji, którą w nich dostrzegłem pierwszego dnia, jeszcze nim nauczył się ją ukrywać w mojej obecności. Nie mógł mi jednak odpowiedzieć, nie tracąc jednocześnie punktów w swojej grze, i zdołał zachować milczenie. Poczulem cień litości; sam „wmalował” się w ten kąt i teraz musiał w nim siedzieć. Nawet gdyby zaczął mówić o swojej wściekłości na mnie albo na świat, albo być może na Mary Bertison - lub gdyby spytał, jak się o niej dowiedziałem - wyrzekłby się jedynej części prywatności i władzy, jaką dla siebie zachował: prawa do milczenia w obliczu bólu.

- W porządku - powiedziałem w miarę łagodnie, jak mi się zdawało.

Tak, było mi go żal, ale wiedziałem, że zyskiwał też pewną przewagę; miał mnóstwo czasu na rozważanie działań, które doprowadziły mnie do poznania nazwiska Mary Bertison. Zastanawiałem się, czy nie zapewnić Roberta, że jeśli znajdę tę konkretną Mary, to sam go o tym poinformuję i przekażę mu jej słowa, o ile w ogóle miała mi coś do powiedzenia.

Jednak zdradziłem już tak wiele, że postanowiłem zataić swoje zamiary; skoro on mógł, to i ja mogłem. Siedziałem z nim w milczeniu jeszcze przez pięć minut, podczas gdy on obracał w swej wielkiej dłoni pędzel i wpatrywał się w płótno. W końcu wstałem. Obróciłem się na chwilę w drzwiach, niemal z żalem; jego zmierzwiona głowa była pochylona, wzrok wbity w podłogę. Ból, który odczuwał, przepłynął przeze mnie szeroką falą. Prawdę mówiąc, podążył za mną korytarzem i przeniknął do pokoi moich pozostałych, bardziej zwyczajnych (wyznaję, że tak to odczuwałem, choć nie jest to określenie, które lubię odnosić do jakiegokolwiek przypadku) pacjentów, z ich bardziej zwyczajnymi zaburzeniami.

Przez całe popołudnie odwiedzałem pacjentów, ale ich stan w większości przypadków był względnie stabilny, pojechałem więc do domu z uczuciem satysfakcji, niemal zadowolenia. Mgielka nad Rock Creek Parkway była złota, a gdy brałem zakręt, woda

migotała w swym korycie. Miałem wrażenie, że obraz, nad którym pracowałem przez cały tydzień, należy odstawić na jakiś czas; był to portret mojego ojca, malowany z fotografii, nos i usta po prostu wydawały się niewłaściwe, ale może gdybym przez kilka dni popracował nad czymś innym, to niewykluczone, że udałoby mi się wrócić do tego płótna z nieco większym sukcesem. Miałem w domu kilka pomidorów - niezbyt smacznych o tej porze roku, ale dostatecznie jaskrawych - które nie popsują się jeszcze przez jakiś tydzień. Gdybym umieścił je w oknie swojej pracowni, to mogłyby stanowić coś w rodzaju unowocześnionego Bonnarda albo - jeśli nie chciałem w tym wypadku umniejszać swojej wartości - nowego Marlowa. Pewne problemy nastęczało światło, ale zdołałbym uchwycić po pracy odrobinę wieczornego blasku słońca, właśnie teraz, kiedy dni były dłuższe, a gdyby udało mi się wykrzesać z siebie trochę energii, to wstawałbym jeszcze wcześniej i malował także rano.

Rozmyślałem już o kolorach i rozmieszczeniu pomidorów, więc z trudem sobie przypomniałem, że trzeba skręcić do garażu, wilgotnej przestrzeni pod budynkiem, której wynajem wynosił niemal połowę czynszu za mieszkanie. Od czasu do czasu tęskniłem za inną pracą, taką, do której nie musiałbym dojeżdżać codziennie w gniewnym tłoku waszyngtońskich przedmieść, a tym samym korzystać z samochodu. Jakże jednak mógłbym porzucić Goldengrove? Myśl o siedzeniu na okrągło w gabinecie w Dupont Circle i przyjmowaniu pacjentów dostatecznie zdrowych, by osobiście zgłaszać się po poradę, jakoś do mnie nie przemawiała.

Miałem umysł wypełniony tym wszystkim - swoją martwą naturą, zachodem słońca odbijającym się w Rock Creek, wybuchowym usposobieniem innych kierowców - a dłonie zajęte szukaniem kluczy; skorzystałem, jak zwykle, ze schodów, dodatkowe ćwiczenie fizyczne. Nie zauważyłem jej, dopóki nie dotarłem niemal pod swoje drzwi. Stała oparta o ścianę, jakby tkwiła w tym miejscu już od jakiegoś czasu, rozluźniona, a jednak niecierpliwa, ze skrzyżowanymi ramionami i stopami. O ile pamiętam, miała na sobie dzinsy i długą białą bluzkę, a na wierzch zarzuciła kurtkę, niebieską tym razem; jej włosy w kiepskim świetle korytarza miały barwę mahoni. Byłem tak zaskoczony, że stanąłem jak wryty; zrozumiałem wtedy, i nie po raz ostatni, co tak naprawdę oznacza ten zwrot.

- To pani - powiedziałem, ale nie uwolniło mnie to od zmieszania.

Była bez wątpienia tamtą dziewczyną z muzeum, tą, która uśmiechała się do mnie konspiracyjnie przed martwą naturą Maneta w National Gallery, tą, która przyglądała się z uwagą *Ledzie* Gilberta Thomasa, a potem znów się do mnie uśmiechnęła na chodniku. Myślałem o niej raz, może dwa, zanim całkowicie uleciała z mojej pamięci. Skąd się wzięła? Było tak, jakby żyła w innym świecie, niczym duszek albo anioł, i pojawiła się odporna na

upływ czasu i jakiegokolwiek racjonalne wyjaśnienia. Wyprostowała się i wyciągnęła rękę.

- Doktor Marlow?

- Tak - powiedziałem, przerzuciwszy klucze do lewej dłoni. Prawą trzymałem niepewnie w jej uścisku. Byłem poruszony stłumioną srogością jej zachowania i znów, nieuchronnie, jej wyglądem. Dorównywała mi wzrostem, miała około trzydziestki i wydawała się urocza, choć nie w konwencjonalny sposób; stanowiła osobowość. Światło lśniło na jej włosach, które były przycięte zbyt prosto i zbyt krótko na czole, z tyłu zaś - długą i gładką falą w czerwonym kolorze o lekko liliowym odcieniu - opadały na ramiona. Dłoń miała mocną; instynktownie zacisnąłem swoją.

Uśmiechnęła się nieznacznie, jakby patrzyła na to wszystko z mojego punktu widzenia.

- Przepraszam, że pana wystraszyłam. Jestem Mary Bertison.

Nie mogłem oderwać od niej wzroku.

- Była pani w muzeum! W National Gallery.

I wtedy doznałem rozczarowania, którego nie mogło stłumić nawet moje zakłopotanie: nie była muzą o kręconych włosach z marzycielskiego życia Roberta. Zaraz potem przyszło zaskoczenie: widziałem ją niedawno na obrazie, ubraną w dzinsy i luźną jedwabną bluzkę.

Teraz to ona zmarszczyła czoło, najwidoczniej też zawstydzona, i puściła moją dłoń.

- To znaczy - ciągnąłem - spotkaliśmy się już kiedyś, by tak powiedzieć. Przed *Ledą* i tą martwą naturą Maneta, wie pani, tą z kieliszkami i owocami. - Czułem się głupio. Dlaczego przyszło mi do głowy, że mnie w ogóle pamięta? - Rozumiem... pani... przyszła tam pani pewnie po to, żeby obejrzeć obraz Roberta. To znaczy Gilberta Thomasa.

- Teraz sobie przypominam - powiedziała wolno i było jasne, że nie jest kobietą, która zamierza kłamać albo odbierać moje słowa jako pochlebstwo. Stała wyprostowana, niezrażona w najmniejszym stopniu faktem, że zamierza wkroczyć do mojego domu, i patrzyła na mnie. - Uśmiechnął się pan, a potem, na zewnątrz...

- Poszła tam pani, żeby zobaczyć ten obraz? - powtórzyłem.

- Tak, ten, który próbował zaatakować nożem. - Przytaknęła. - Właśnie wtedy się o

tym dowiedziałam, bo ktoś dał mi artykuł sprzed kilku tygodni; mój przyjaciel natrafił na niego całkiem przypadkowo. Ja zwykle nie czytam gazet. - Roześmiała się, nie z goryczą, ale z rozbawieniem wywołanym absurdalnością sytuacji, jakby uważała to za stosowne. - To niesamowite. Gdybyśmy wtedy, pan i ja, nawzajem o sobie wiedzieli, moglibyśmy od razu porozmawiać.

Wziąłem się w garść i otworzyłem drzwi. Już samo to, że miałbym rozmawiać o swoim pacjencie we własnym mieszkaniu, uznawałem za postępowanie zdecydowanie nieortodoksyjne; wiedziałem też, że nie jest dobrym pomysłem przyjmowanie u siebie atrakcyjnej młodej kobiety - ale uległem nakazom gościnności, a poza tym powodowała mnie ciekawość. W końcu sam do niej zadzwoniłem, a ona pojawiła się niemal natychmiast, jakby przywołana w magiczny sposób.

- Jak zdobyła pani mój adres?

W przeciwieństwie do niej nie widziałem w książce telefonicznej.

- Internet... to nie było trudne, kiedy już miałam pańskie nazwisko i numer.

Przepuściłem ją w drzwiach.

- Proszę. Skoro pani już tu jest, możemy porozmawiać.

- Tak, bo w przeciwnym razie odrzucilibyśmy drugą szansę.

Miała kremowe, jasne zęby. Przypomniałem sobie jej beztroską postawę, to, jak pewnie się poruszała w butach na wysokim obcasie i dżinsach, delikatną bluzkę pod kurtką, jakby była po trosze kowbojką, a po trosze wyrafinowaną damą.

- Proszę usiąść i dać mi minutę. Mogę coś pani podać? Herbatę? Sok?

Pomyślałem, że złagodzę nieco fakt zaproszenia jej do siebie, nie proponując alkoholu, choć sam zacząłem, nie wiem dlaczego, tęsknić za drinkiem.

- Dziękuję - odparła grzecznie i płynnym ruchem, z wdziękiem, niczym gość w wiktoriańskim salonie, usadowiła się na jednym z moich płóciennych krzeseł: stopy skrzyżowane, lekko zgięte ku sobie, dłonie - szczupłe i eleganckie - na kolanach. Była zagadką. Nie uszło mojej uwagi brzmienie jej głosu, świadczące o wykształceniu, takie samo jak na taśmie automatycznej sekretarki - pełen rozważli, wyrafinowany sposób mówienia. Głos miała miękki, ale jednocześnie mocny i dobitny. Nauczycielka, przyszło mi znowu do głowy. Wodziła za mną wzrokiem. - Owszem, trochę soku, jeśli nie sprawi to panu kłopotu.

Poszedłem do kuchni i nalałem dwie szklanki soku pomarańczowego, jedyne, jaki miałem pod ręką, położyłem też na talerzyku kilka herbatników. Kiedy wróciłem do pokoju, niosąc przed sobą tacę, przypomniałem sobie, jak obsługiwała mnie Kate w swoim salonie w Greenhill, pozwalając mi przy okazji zanieść na stół łośosia. I jak potem podała mi nazwisko



tej dziwnej, pełnej wdzięku dziewczyny, klucz do jej odszukania.

- Nie byłem w stu procentach przekonany, że chodzi o właściwą Mary Bertison - powiedziałem, podając jej szklankę. - Ale jeśli kręciła się pani przed tym obrazem, który Robert Oliver próbował pociąć, to przypadek jest wykluczony.

- Oczywiście. - Napiła się soku, odstawiła szklankę i popatrzyła na mnie; w jej wzroku po raz pierwszy pojawiła się niema prośba, a wcześniejsza brawura gdzieś zniknęła. - Przepraszam, że niepokoję pana w ten sposób. Nie miałam praktycznie żadnych wiadomości o Robercie od trzech miesięcy i martwiłam się...

Nie dodała „miałam złamane serce”, ale widząc, jak pospiesznie odzyskała panowanie nad swoją ruchliwą twarzą, zacząłem się zastanawiać, czy ten zwrot nie byłby w tym wypadku bardziej trafny.

- Sama z pewnością nie próbowałabym się z nim skontaktować. Widzi pan, pokłóciliśmy się okropnie. Myślałam, że zamknął się gdzieś, żeby pracować, ignorując mnie, i że w końcu się odezwie. Niepokoiłam się przez kilka tygodni, a potem bardzo się zdziwiłam, kiedy dostałam pańską wiadomość; ponieważ wychodziłam już z pracy, uświadomiłam sobie, że nie zastanę pana w Goldengrove i że nie zmruję oka przez całą noc, jeśli się czegoś od pana nie dowiem.

- Dlaczego nie przesłała mi pani sygnału na pager? - spytałem. - Nie znaczy to, bym żałował tej okazji do rozmowy... cieszę się, że pani przyszła.

- Naprawdę?

Zauważyłem, że mi wybaczyła te moje gładkie słówka. Robert Oliver wybierał sobie ciekawe kobiety. Uśmiechnęła się.

- Próbowałam zadzwonić na pański pager, ale jeśli pan sprawdzi, to się pan przekona, że jest wyłączony.

Sprawdziłem; miała rację.

- Przepraszam - powiedziałem. - Staram się tego nie robić.

- Zresztą lepiej, że możemy porozmawiać osobiście. - Rozterka zniknęła, powróciła pewność siebie, na ustach znów pojawił się uśmiech. - Proszę mi powiedzieć, że z Robertem wszystko w porządku. Nie proszę o pozwolenie na odwiedziny; prawdę mówiąc, wcale tego nie chcę. Chodzi mi tylko o to, czy nic mu nie grozi.

- Jest pod naszą opieką i sędzę, że czuje się dobrze - zrelacjonowałem ostrożnie. - Na razie, i dopóki jest z nami. Ale zdarzały mu się chwile depresji, bywał też pobudzony. Najbardziej mnie niepokoi jego brak chęci do jakiegokolwiek współpracy. Nie chce mówić.

Próbowała to jakoś przetrwać, zagryzając przez kilka sekund policzek od wewnątrz i

wpatrując się we mnie.

- W ogóle?

- Ani słowa. No cóż, coś tam powiedział pierwszego dnia. Prawdę mówiąc, jedno ze zdań, które padły z jego ust, brzmiało: „Może pan nawet porozmawiać z Mary, jeśli pan chce”. Dlatego pozwoliłem sobie do pani zadzwonić.

- To wszystko, co o mnie powiedział?

- To więcej, niż powiedział o kimkolwiek innym. Niemal wszystko, co powiedział w mojej obecności. Wspomniał też o swojej byłej żonie.

Przytaknęła.

- I tak mnie pan znalazł... bo o mnie wspomniał.

- Niezupełnie. - Instynktownie skoczyłem na głęboką wodę. - Kate podała mi pani nazwisko.

Naprawdę zrobiło to na niej wrażenie i ku mojemu zaskoczeniu w jej oczach pojawiły się łzy.

- To miło z jej strony - oznajmiła łamiącym się głosem.

Wstałem i przyniosłem chusteczkę higieniczną.

- Dziękuję - powiedziała.

- Znała pani Kate?

- Poniekąd. Widziałam ją raz, przelotnie. Nie wiedziała, kim jestem, ale ja wiedziałam, kim ona jest. Robert powiedział mi kiedyś, że jej rodzina to kwakrzy z Filadelfii, jak moja. Nasi dziadkowie mogli się znać, może pradiadkowie. Czy to nie dziwne? Podobała mi się - dodała, osuszając sobie rzęsy.

- Mnie też. - Nie spodziewałem się, że to powiem.

- Poznał ją pan? Jest tutaj? - Rozejrzała się wokół, jakby oczekując, że była żona Roberta lada chwila się do nas przysiadzie.

- Nie, nie ma jej w Waszyngtonie. Prawdę mówiąc, nie przyjechała zobaczyć się z Robertem. Nikt go nigdy nie odwiedził.

- Zawsze czułam, że skończy samotny. - Tym razem jej głos zabrzmiał rzeczowo, nieco twardo; wsunęła chusteczkę do kieszeni dzinsów, prostując przy tym nogę. - Nie potrafi tak naprawdę nikogo kochać. Tacy ludzie jak on w końcu zostają sami, bez względu na to, jak bardzo byli kochani przez innych.

- Kochała go pani? Czy wciąż kocha? - spytałem, też rzeczowo, ale z największą uprzejmością, na jaką mogłem się zdobyć.

- O tak. Oczywiście. Jest niezwykle. - Oznajmiła to, jakby chodziło o jakiś element

wyglądu, jak kasztanowe włosy albo duże uszy. - Nie sądzi pan?

Dopiłem sok.

- Rzadko się spotyka kogoś tak utalentowanego. To jeden z powodów, dla których chcę, żeby robił postępy, żeby mu się polepszyło. Ale czegoś nie rozumiem, kilku rzeczy na dobrą sprawę. Dlaczego wcześniej się pani nie zorientowała, że zniknął? Albo gdzie przebywa? Nie mieszkał z panią?

Przytaknęła.

- Owszem, kiedy przyjechał do Waszyngtonu. Z początku było wspaniale, cały czas razem, a potem zaczął żałować, miał długie okresy milczenia, gniewał się na mnie o drobiazgi. Myślę, że było mu przykro - w jakiś okropny sposób, którego nie potrafił wyrazić - że zostawił rodzinę, i chyba wiedział, że nie może do niej wrócić, nawet gdyby żona znów go przyjęła. Nie był z nią szczęśliwy, wie pan - dodała po prostu, a ja zadałem sobie pytanie, czy nie jest to z jej strony pobożne życzenie. - Rozstaliśmy się wiele miesięcy temu. Dzwonił do mnie od czasu do czasu, szliśmy na kolację, na jakąś wystawę albo do kina, ale nic z tego nie wynikało - w głębi serca chciałam, żeby wrócił, a on zawsze się tego domyślał i znów znikał. W końcu zrezygnowałam, bo tak było dla mnie lepiej; miałam spokój, przynajmniej w jakimś stopniu. Pomogło też to, że przed jego ostatnim odejściem pokłóciliśmy się koszmarnie, częściowo o sztukę, choć tak naprawdę chodziło o nas. - Podniosła rękę w geście rezygnacji. - Wierzyłam, że jeśli go zostawię, to może w końcu sam do mnie zadzwoni, ale nie zadzwonił. Problem z człowiekiem pokroju Roberta polega na tym, że nie ma drugiego takiego jak on. Człowiek nie wyobraża sobie nawet, że mógłby być z kimś innym, bo każdy w porównaniu z nim zaczyna po jakimś czasie wydawać się blady i nudny. Powiedziałam raz Robertowi, że pomimo swoich wad jest niepowtarzalny, a on się roześmiał. Potem jednak okazało się to prawdą.

Westchnęła ciężko. Jej smutek, kiedy się ujawnił, czynił ją o dziesięć lat młodszą, dziewczęcą; nie sprawiała już wrażenia starszej czy bardziej znużonej - dziwny trik. Oczywiście była dostatecznie młoda, by być moją córką - w każdym razie gdybym się ożenił i miał córkę w wieku dwudziestu lat jak niektórzy z moich kolegów ze szkoły średniej.

- Więc nie widziała go pani, nim go aresztowano... jak długo?

- Około trzech miesięcy. Nie wiedziałam nawet, gdzie wtedy mieszkał; wciąż nie wiem. Czasem nocował u przyjaciół, na sofie, jak sądzę, i prawdopodobnie w tanich hotelach w śródmieściu. Nie miał komórki - nienawidzi telefonów komórkowych - i nie wiedziałam, jak się z nim skontaktować. Utrzymywał kontakt z Kate, jak pan myśli?

- Nie jestem pewien - przyznałem. - Dzwonił do niej chyba kilka razy, żeby

porozmawiać z dziećmi, ale to wszystko. Przypuszczam, że zaczęło się u niego stopniowe załamanie, izolowanie, które zapewne znalazło kulminację w tym ataku na obraz. Skontaktowała się z nią policja, kiedy go aresztowano.

Nie miałem już wrażeń, z czego tylko mgliście zdawałem sobie sprawę, że rozmawiając z kobietami Roberta, naruszam zasadę tajemnicy lekarskiej.

- Czy jest naprawdę chory? - spytała.

Zauważyłem, że powiedziała „chory”, nie „szalony” czy „nienormalny”.

- Tak, jest chory - odparłem. - Ale patrzyłbym optymistycznie na szanse poprawy, gdyby tylko zaczął mówić i bardziej się zaangażował we własną terapię. Jeśli pacjent ma wyzdrowieć, musi tego chcieć, i to świadomie.

- Tak jest ze wszystkim - powiedziała zamyślona, przez co wydała się jeszcze młodsza.

- Czy mieszkając z nim, zdawała sobie pani sprawę z jego problemów psychicznych?

Podsunałem jej talerzyk z herbatnikami; wzięła jednego i trzymała w obu dłoniach zamiast odgryźć kawałek.

- Nie. Odrobinę. To znaczy nie myślałam o nich w ten sposób. Wiedziałam, że bierze czasem jakieś leki, jeśli coś go zaczynało denerwować albo irytować, ale tak robi wielu ludzi; mówił zresztą, że to pomaga mu zasnąć. Nigdy mi nie powiedział, że ma jakieś poważniejsze kłopoty. Na pewno nie wspominał o żadnych załamaniach nerwowych w przeszłości; nie sądzę, by coś takiego mu się zdarzyło, bo powiedziałby mi o tym. Byliśmy ze sobą bardzo blisko. - To stwierdzenie zabrzmiało trochę wyzywająco, jakbym mógł mu zaprzeczyć. - Wydaje mi się, że dostrzegałam pewne problemy, ale nie wiedziałam, czym są spowodowane.

- Co pani dostrzegła? - Też wzięłam sobie herbatnika. To był długi dzień, z tym nieszczęsnym finałem pod drzwiami mojego mieszkania. I jeszcze się nie skończył. - Zauważyła pani coś niepokojącego?

Zastanawiała się, potem odsunęła niesforny kosmyk włosów.

- Był przede wszystkim nieprzewidywalny. Czasem mówił, że wróci na kolację, a potem spędzał całą noc poza domem; innym razem mówił, że idzie z przyjacielem do teatru albo na jakąś wystawę, ale nie ruszał się z sofy - siedział na niej, czytając magazyn, i zasypiał, a ja nie miałam odwagi pytać, co ten przyjaciel, który gdzieś na niego czeka, pomyśli sobie o nim. Doszło do tego, że bałam się go pytać o plany, bo zawsze irytowały go takie pytania, bałam się też planować z nim cokolwiek, ponieważ potrafił w ostatniej chwili zmienić zdanie. Na początku sądziłam, że to dlatego, iż oboje byliśmy przyzwyczajeni do dużej swobody. Ale nie lubiłam, jak ktoś wystawiał mnie do wiatru. Nie podobało mi się jeszcze bardziej, jak

planowaliśmy coś z innymi ludźmi, a on ich także wystawiał do wiatru. Wie pan, o co mi chodzi.

Umilkła, a ja kiwałem zachęcająco głową, aż znów zaczęła mówić.

- Raz na przykład umówiliśmy się na spotkanie z moją siostrą i jej mężem, którzy przyjechali do miasta na jakąś konferencję, a Robert nie pojawił się w ogóle w restauracji. Całą kolację z nimi przesiedziałam, a każda minuta była koszmarem. Moja siostra jest bardzo zorganizowana i praktyczna, ta sytuacja ją zdumiała. Nie była specjalnie zdziwiona, kiedy Robert mnie rzucił, i pocieszała mnie przez telefon. Po tamtej kolacji wróciłam do domu i zastałam Roberta śpiącego w ubraniu na naszym łóżku; potrząsnęłam nim, żeby się obudził, ale nie pamiętał, że się umówiliśmy na kolację. Nie chciał o tym rozmawiać nawet następnego dnia ani przyznać, że zrobił coś złego. Na ogół nie chciał mówić o swoich uczuciach. Albo przyznawać się do błędów.

Powstrzymałem się od powtórzenia jej słów, że byli ze sobą bardzo blisko. Pochyliła się nad swoim herbatnikiem i w końcu go zjadła, jakby te wspomnienia przyprawiły ją o głód, potem otarła delikatnie palce chusteczką, którą jej dałem.

- Jak mógł być taki obcesowy? Zaprosiłam go na spotkanie ze swoją siostrą i szwagrem, ponieważ uważałam, że jesteśmy ze sobą na poważnie - on i ja. Powiedział mi, że zostawił żonę, że ona i tak nie chce, by z nią został, on zaś czuje, że będziemy razem długi czas. Potem powiedział mi, że wniosła o rozwód, a on wyraził zgodę. Nie oznacza to, byśmy rozmawiali o małżeństwie. Nie chciałam tak naprawdę za nikogo wychodzić - nie widzę sensu, skoro nie zamierzam mieć dzieci - ale Robert był moją bratnią duszą, jeśli mogę to tak określić.

Pomyślałem, że w jej oczach znów pokażą się łzy, ale ona tylko potrząsnęła lśniąca głową, z uporem, pozbawiona złudzeń, zagniewana.

- Dlaczego panu to wszystko opowiadam? Przyszłam tu dowiedzieć się czegoś o Robercie, a nie zwierzać się ze swojego prywatnego życia. - Potem znów uśmiechnęła się smutno do swoich dłoni. - Potrafi pan zmusić kamień do mówienia, doktorze Marlow.

Drgnąłem niespokojnie; tak wyrażał się o mnie mój przyjaciel John Garcia i był to najbardziej przeze mnie ceniony komplement, opoka naszej długoletniej przyjaźni. Nigdy nie słyszałem go z innych ust.

- Dziękuję. Zapewniam, że nie zamierzałem wyciągać z pani nic, czego sama nie chciałaby mi pani powiedzieć. Ale to, czym się pani ze mną podzieliła, jest bardzo pomocne.

- Przekonajmy się. - Teraz uśmiechnęła się prawdziwym uśmiechem, znów bez troska, rozbawiona mimo woli. - Wie pan teraz, że Robert brał jakieś leki, zanim do pana trafił... o ile

już wcześniej pan tego nie wiedział... i czuje się pan trochę lepiej, ponieważ wie pan także, że Robert nie chciał rozmawiać o swoich odczuciach nawet z kobietami, z którymi żył, więc w gruncie rzeczy nie poniósł pan w jego przypadku porażki zawodowej.

- *Madame*, pani przenikliwość budzi grozę - odparłem. - I ma pani rację.

Nie widziałem żadnego powodu, by jej wspominać, że tego samego dowiedziałem się także od Kate.

Roześmiała się głośno.

- Więc proszę mi teraz opowiedzieć o swoim Robercie, tak jak ja opowiedziałam panu o swoim.

Opowiedziałem jej więc, szczerze i wyczerpująco, z rosnącym poczuciem naruszania tajemnicy lekarskiej, bo z pewnością ją naruszałem. Nie wspomniałem oczywiście o niczym, co usłyszałem od Kate, ale opisałem zachowanie Roberta od chwili, kiedy do mnie trafił. Moją decyzję, by ją o tym wszystkim poinformować, usprawiedliwiał cel; miałem jeszcze do niej mnóstwo pytań, do niej i jej dotyczących, a w przypadku osoby tak spostrzegawczej, tak uczuciowej, musiałem za ów przywilej zapłacić z góry. Na koniec zapewniłem ją, że obserwujemy Roberta w Goldengrove wnikliwie i że według mnie jest w tej chwili spokojny; mimo że trafił do ośrodka za próbę zniszczenia obrazu przy użyciu noża, nie wydaje się, by mógł wyrządzić krzywdę sobie czy komukolwiek innemu.

Słuchała z uwagą, nie przerywając mi pytaniami. Oczy miała duże i czyste, szczerze, o dziwnym kolorze przypominającym wodę, tak jak je zapamiętałem z muzeum, otoczone ciemniejszymi obwódkami, które mogły być efektem umiejętnego makijażu. Też potrafiłaby zmusić kamień do mówienia, o czym jej powiedziałem.

- Dziękuję... to dla mnie zaszczyt - przyznała. - Szczerze mówiąc, myślałam kiedyś o tym, żeby zostać terapeutką, ale to było dawno temu.

- A jest pani nauczycielką i artystką - zaryzykowałem. Siedziała i patrzyła na mnie. - Och, nietrudno było się zorientować. Widziałem, jak ogląda pani strukturę płótna *Ledy* pod kątem wypukłym, z bardzo bliska - zwykle robi tak tylko malarz, ewentualnie historyk sztuki. Nie widzę pani w klasycznej roli akademickiej - byłoby to dla pani zbyt nudne - więc uczy pani malarstwa, robi pani też coś jeszcze, coś wizualnego, żeby się utrzymać, i odznacza się pani pewnością siebie urodzonej nauczycielki. Jestem zbyt impertynencki?

- Nie - odparła i złożyła dłonie na dzinsowym kolanie. - Pan też jest artystą; dorastał pan w Connecticut, a ten obraz wiszący nad kominkiem jest pański, przedstawia kościół, który znajduje się w pana miasteczku. To dobre płótno, jest pan poważny i utalentowany, o czym pan doskonale wie. Pański ojciec był pastorem, ale dość postępowym, i byłby dumny z

syna, nawet gdyby ten nie poszedł na studia medyczne. Interesuje się pan szczególnie psychologią kreatywności i zaburzeniami, które prześladują twórczych czy nawet genialnych ludzi, takich jak Robert, co wyjaśnia, dlaczego zamierza pan uczynić z jego przypadku temat swojego następnego artykułu. Stanowi pan niezwykle połączenie naukowca i artysty, co pozwala zrozumieć ludzi i jednocześnie zachować normalność. Ćwiczenia pomagają - bieganie albo siłownia, przestrzega pan tego od lat, dzięki czemu wygląda o dziesięć lat młodziej. Do tego dochodzi umiłowanie porządku i logiki, one dodają sił, więc nie ma wielkiego znaczenia, że mieszka pan sam i tyle pracuje.

- Dostyc! - rzuciłem, zakrywając sobie uszy dłońmi. - Skąd pani to wszystko wie?

- Z Internetu oczywiście. Z obserwacji pańskiego mieszkania, no i pańskiej osoby. A w lewym dolnym rogu pańskiego obrazu znajdują się inicjały. Wystarczy poskładać informacje z tych wszystkich źródeł i wychodzi to, co wychodzi. Poza tym, kiedy byłam małą dziewczynką, miałam ulubionego pisarza. Sir Arthura Conan Doyle'a.

- Tak jak ja.

Pomyślałem, że chciałbym potrzymać jej dłoń o tych szczupłych i pozbawionych pierścionków palcach.

Nie przestała się uśmiechać.

- Pamięta pan, jak Sherlock Holmes odgadł kiedyś czyjś charakter i zawód - i całą przeszłość - oglądając laskę, którą ten człowiek u niego zostawił? A ja miałam do dyspozycji całe mieszkanie. No i Holmes nie mógł zajrzeć do Internetu.

- Myślę, że dzięki pani, bardziej niż komukolwiek innemu, będę mógł pomóc Robertowi - oznajmiłem z wolna. - Zechciałaby mi pani opowiedzieć o wszystkich swoich przeżyciach, które go dotyczą?

- O wszystkich? - Nie patrzyła wprost na mnie.

- Przepraszam. Chodziło mi o to, co uznałaby pani za użyteczne dla kogoś, kto próbuje go zrozumieć. - Nie dałem jej czasu na odmowę czy akceptację. - Wie pani coś o tym obrazie, który zamierzał pociąć?

- O *Ledzie*? No cóż, trochę. Po części to domysły, ale sprawdziłam też co nieco.

- Ma pani jakieś plany związane z kolacją, panno Bertison?

Przechyliła głowę i dotknęła ust koniuszkami palców, jakby zaskoczona, że błąka się tam jeszcze uśmiech. Kiedy obróciła twarz, smugi pod jej krystalicznymi oczami pogłębiły się, przybrały szaroniebieską barwę, cień na śniegu, *effet de neige*. Cerę miała bardzo bladą. Siedziała wyprostowana w swojej kurtce, piękne biodra i nogi w spłowiałych dzinsach stykały się z moją sofą, szczupłe ramiona były uniesione jakby w oczekiwaniu na cios. Ta młoda

kobieta odczuwała żal przez tygodnie, nawet miesiące, i nie miała dwojga dzieci, które mogłyby ją pocieszyć. Znowu poczułem paskudną złość na myśl o Robercie Oliverze, nagły zanik lekarskiej obiektywności.

Ona jednak nie była zagniewana.

- Plany związane z kolacją? Żadnych, jak zwykle. - Złożyła dłonie. - Nie mam nic przeciwko temu, jeśli podzielimy się rachunkiem. Ale chwilowo niech pan mnie nie prosi, żebym mówiła o Robercie. Wolalabym to spisać, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu; chodzi o to, że nie chcę się rozplakać przed kimś całkiem obcym.

- Jestem tylko obcym - zastrzegłem. - Nie całkiem obcym; proszę nie zapominać, że spotkaliśmy się w muzeum.

Siedziała naprzeciwko mnie, w półmroku salonu - miała rację, był bardzo schludny, logiczny - i za chwilę mógłbym wstać, zapalić jeszcze jedną lampę, spytać, czy nie nalać jej jeszcze soku, zanim wyjdziemy, przeprosiłbym na chwilę, by skorzystać z łazienki, umyłbym ręce i wziął lekki płaszcz. Przy kolacji rozmawialibyśmy głównie o malarstwie, o obrazach, o naszym dzieciństwie z Conan Doyle'em, o tym, jak pracujemy na swoje utrzymanie. I tak czy owak, jak miałem nadzieję, rozmawialibyśmy też o Robercie Oliverze, teraz i w przyszłości. Jej oczy były bardzo wymowne - może nie do końca szczęśliwe, ale nieznacznie zainteresowane tym, co widziały po drugiej stronie pokoju, a ja miałem co najmniej dwie godziny na to, by w doskonałej restauracji, którą od mojego domu dzieliło kilka kroków, skłonić ją do uśmiechu.



*Ma chère,*

*Wybacz mi, proszę, moje zachowanie, dla którego nie ma usprawiedliwienia. Nie wyniknęło z premedytacji ani braku szacunku, wierz mi, ale raczej z tęsknoty, którą tylko Ty zdołałaś we mnie rozbudzić w ostatnich latach. Może zrozumiesz któregoś dnia, jak bardzo człowiek stojący u kresu życia jest w stanie zapomnieć się na chwilę, myśleć tylko o gwałtownym przyplywie tego, co musi stracić. Nie zamierzałem narażać Cię na dyshonor, ty zaś wiesz już zapewne, że motywy, którymi się kierowałem, zapraszając Cię do swojej pracowni, byś obejrzała obraz, były uczciwe i czyste. To niezwykle dzieło; wiem, że stworzysz jeszcze wiele takich, ale proszę, pozwól mi, na zasadzie pokuty i przeprosin, pokazać jurorom to pierwsze, wielkie. Sądzę, że dostrzegą jego delikatność, subtelność i wdzięk, a jeśli okażą się tak głupi, by go nie zaakceptować, to przynajmniej zostanie ono obejrzone, choćby tylko przez nich. Uczynię wszystko, co mi rozkażesz względem posłużenia się Twym nazwiskiem czy jego zmiany. Spełnij moje życzenie, bym mógł mieć poczucie, że oddałem sprawiedliwość Twemu talentowi - i Tobie.*

*Jeśli o mnie chodzi, postanowiłem przedstawić obraz, na którym jest mój młody przyjaciel, gdyż podziwiałaś to płótno; ono jednak zostanie wystawione pod moim nazwiskiem i będzie miało jeszcze większą szansę na odrzucenie. Musimy okazać siłę.*

*Twój pokorny sługa,*

*O. V.*

## 45

### MARY

Są sprawy dotyczące mojego związku z Robertem Oliverem, których nigdy nie potrafiłam wyjaśnić nawet sobie i które wciąż pragnęłabym wyjaśnić, jeśli jest to możliwe. Podczas jednej z ostatnich kłótni Robert powiedział, że ponieważ odebrałam go innej kobiecie, nasz związek był poroniony od samego początku. Wydało mi się to straszliwie, ewidentnie nieprawdziwe, nie można jednak zaprzeczyć, że był już żonaty, kiedy zakochałam się w nim pierwszy raz, i wciąż miał żonę, kiedy zakochałam się po raz drugi.

Dziś rano wyznałam swojej siostrze, że pewien lekarz prosił mnie, żebym opowiedziała mu o Robertcie wszystko, co tylko przyjdzie mi do głowy, a ona na to: „No cóż, Mary, masz szansę gadać o nim przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie irytując nikogo”. Odparłam: „Ty akurat nie będziesz musiała tego czytać”. Nie mam do Marthy pretensji o tę uszczypliwą i pełną miłości uwagę - w najgorszej chwili wypłakałam się na jej ramieniu, wylewając na nie łzy tęsknoty za Robertem. To wspaniała siostra, o anielskiej cierpliwości. Może Robert wyrządziłby mi jeszcze większą krzywdę, gdyby mi nie pomogła uwolnić się od niego, ale też gdybym jej posłuchała wcześniej, mogłabym nie przeżyć wielu rzeczy, których niespecjalnie w tej chwili żałuję. Choć moja siostra jest osobą praktyczną, czasem czegoś żałuje; ja zazwyczaj niczego. Robert Oliver stanowi pod tym względem niemal wyjątek.

\*

Pragnę przedstawić sumiennie tę historię, więc zacznę od siebie. Urodziłam się w Filadelfii, tak jak Martha. Nasi rodzice się rozwiedli, kiedy miałam pięć lat, a Martha cztery, ojciec zaś stał się w naszych oczach oddalającą się postacią: opuścił dom w Chestnut Hill i przeniósł się do Center City, do swoich rozpraw sądowych i eleganckiego, minimalistycznego mieszkania, gdzie odwiedzałyśmy go co tydzień, a potem co dwa tygodnie, na ogół oglądając kreskówki w telewizji, podczas gdy on przeglądał stosy papierów, które nazywał brudami. Tak samo mówił o swojej bieliźnie i raz znalazłyśmy jego brudy, parę bokserek, wciśnięte

pod łóżko z inną parą bielizny. Ta druga była beżowa i koronkowa. Nie bardzo wiedziałyśmy, co z tym zrobić, a nie wydawało nam się słuszne zostawiać je tam, gdzie były, więc kiedy tata szedł do sklepu na rogu, żeby kupić niedzielne wydanie „Inquirer” dla siebie i obwarzanki dla nas, co zwykle zabierało mu od trzech do czterech godzin, schowałyśmy obie sztuki bielizny w garnku po zupie, wyniosłyśmy do ogrodu na tyłach jego kamienicy i zakopałyśmy wspólnymi siłami między żelaznym ogrodzeniem a oplecionym bluszczem pniem drzewa.

Kiedy miałam dziewięć lat, tata przeniósł się do San Francisco, gdzie odwiedzałyśmy go raz w roku. W San Francisco było weselej; mieszkanie taty znajdowało się wysoko ponad okrytym mgłą oceanem, a my mogłyśmy karmić mewy wprost z balkonu. Muzzy, nasza matka, wysyłała nas tam same samolotem, odkąd uznała, że jesteśmy dostatecznie duże. Potem te nasze wizyty w San Francisco stały się rzadsze i odwiedzałyśmy ojca raz na dwa lata, potem raz na trzy, wreszcie zaczęłyśmy pojawiać się tam od czasu do czasu, kiedy miałyśmy na to ochotę, a Muzzy była gotowa płacić. W końcu tata zniknął do reszty w Tokio, gdzie dostał pracę i skąd przysłał nam swoje zdjęcie, na którym obejmował jakąś Japonkę.

Myślę, że Muzzy była zadowolona, kiedy tata wyjechał do San Francisco. Dało jej to całkowitą swobodę, jeśli chodzi o zajmowanie się Martha i mną, i korzystała z tego z takim zapalem i wigorem, że w efekcie żadna z nas nigdy nie chciała mieć dzieci. Martha mówi, że czułaby się w obowiązku robić to wszystko, co nasza matka robiła dla nas, a nawet więcej, i że by ją to nudziło, ale sądzę, że obydwie wiemy w głębi serca, iż byśmy jej nie dorównały. Wykorzystując stare, doskonale kwakerskie konto bankowe - nigdy nie wiedziałyśmy, czy jest na nim ropa naftowa, owies, obligacje kolei czy prawdziwe pieniądze - Muzzy zapewniła nam dwunastoletnią edukację w znakomitej szkole kwakerskiej, gdzie nauczyciele o miękkim i cichym głosie, z perfekcyjnie przyciętymi siwymi włosami, osuwali się na kolana, by sprawdzić, czy nic ci się nie stało, kiedy ktoś walnął cię w głowę pustakiem. Studiowaliśmy pisma George'a Foxa, uczestniczyliśmy w zgromadzeniach religijnych i sadziliśmy słoneczniki w wiejskiej dzielnicy w North Philly.

Moje pierwsze doświadczenie miłosne przypadło na lata gimnazjum. Jeden z budynków szkolnych stanowił kiedyś punkt przerzutowy na kwakerskim szlaku zbiegłych niewolników; w podłodze starej spiżarni, na strychu, zamontowano niewidoczną klapę. Budynek mieścił sale dla klasy siódmej i ósmej, a w czasie gdy do nich uczęszczałam, lubiłam zostawać przez kilka minut w środku, kiedy wszyscy szli na przerwę śniadaniową, i nasłuchiwać głosów mężczyzn i kobiet uciekających ku wolności. W lutym 1980 roku (miałam trzynaście lat) Edward Roan-Tillinger też został tam podczas przerwy i zaczął mnie całować w kąciку czytelniczym siódmej klasy. Liczyłam na coś takiego już od dwóch lat i

jako pierwszy pocałunek nie było to złe, choć krawędź jego języka przypominała mi twardy kawałek mięsa; widziałam też, jak z portretu na przeciwległym końcu sali przygląda się nam George Fox. W następnym tygodniu Edward skupił uwagę na Paige Hennessy, która miała gładkie rude włosy i mieszkała na prowincji. Trwało kilka tygodni, nie dłużej, nim przestałam jej nienawidzić.

To wstyd, kiedy historia jakiejś kobiety ogranicza się wyłącznie do mężczyzn - najpierw chłopców, potem innych chłopców, potem mężczyzn, mężczyzn, mężczyzn. Przypomina mi to nasze podręczniki do historii, poświęcone wyłącznie wojnom i wyborom, wojna za wojną, z nudnymi okresami pokoju, o których wspominało się mimochodem (nasi nauczyciele ubolewali nad tym i uzupełniali program dodatkowymi zajęciami na temat historii społecznej i ruchów protestacyjnych, ale przesłanie książek pozostawało niezmiennie). Nie wiem, dlaczego kobiety opowiadają w ten sposób swoje historie, ale domyślałam się, że sama właśnie zaczęłam tak robić, może dlatego, że poprosił mnie pan, bym nie tylko opowiedziała o sobie, ale też opisała swoje relacje z Robertem Oliverem.

Moje lata w szkole średniej, by zachować ciąg narracji, z pewnością nie dotyczyły wyłącznie chłopców; dotyczyły także Emily Brontë i wojny secesyjnej, botaniki w pagórkowatych parkach filadelfijskich, frotazy z nagrobków, *Raju utraconego*, szydełkowania, lodów i mojej szalonej przyjaciółki Jenny (którą zawiozłam do kliniki aborcyjnej, jeszcze zanim zdjęłam bluzkę przed jakimkolwiek chłopcem). W tamtych latach nauczyłam się także szermierki - kochałam białe kostiumy, gąbkowaty, wilgotny zapach naszej małej kwakierskiej sali gimnastycznej i moment, w którym czubek floretu ocierał się o kurtkę przeciwnika - nauczyłam się też wynosić kaczkę, nie rozlewając jej zawartości, podczas wolontariatu w Chestnut Hill Hospital i parzyć herbatę w trakcie niekończących się zebrań dobroczynnych organizowanych przez Muzzy, i uśmiechać się, dzięki czemu jej charytatywne przyjaciółki mówiły: „Jaką masz uroczą córkę, Dorothy. Twoja matka też była blondynką?” Było to dokładnie to, co chciałam usłyszeć. Nauczyłam się nakładać cień do rzęs i stosować tampon tak, żeby go nie czuć (od przyjaciółki - Muzzy nigdy nie rozmawiałyby ze mną o takich rzeczach), uderzać równo piłką kijkiem do hokeja na trawie, prażyć popcorn na kolorowo, mówić po francusku i hiszpańsku z angielskim akcentem, litować się w głębi duszy, jeśli było to konieczne, nad inną dziewczyną, którą potraktowałam oziębło, i naprawiać obicia krzeseł za pomocą haftu. Jakby na marginesie tego wszystkiego po raz pierwszy się dowiedziałam, jak to jest czuć farbę pod pędzlem, ale zachowam to na później.

Wydawało mi się, że wielu z tych rzeczy nauczyłam się sama albo od swoich

pedagogów, ale teraz wiem, że zawsze stanowiły one część szeroko zakrojonego planu Muzzy. Tak jak, kąpiąc nas w dzieciństwie, skrobała między naszymi palcami u nóg i dłoni, docierając do bardziej błoniastych miejsc ręką starannie owiniętą myjką, tak też dopilnowała, by jej dziewczęta zapinały starannie stanik, zanim włożą na siebie resztę ubrania, żeby prały jedwabne bluzki ręcznie, wyłącznie w zimnej wodzie, i zamawiały sałatkę, kiedy jadłyśmy na mieście (by oddać jej sprawiedliwość, chciała też, byśmy znały imiona i lata rządów najważniejszych królów i królowych angielskich, a także geografię Pensylwanii i sposób funkcjonowania giełdy). Chodziła na wywiadówki z małym notatnikiem w ręku, przed każdym Bożym Narodzeniem zabierała nas do sklepu, żeby kupić nową sukienkę, i sama naprawiała nam dzinsy, ale pozwalała się strzyc w specjalnym salonie w Center City.

Dzisiaj Martha jest olśniewająca, a ja ujędę w tłoku, choć mam za sobą okres chodzenia tylko w starych, rozpadających się ciuchach. Muzzy przeszła ostatnio tracheotomię, ale kiedy ją odwiedzamy - wciąż mieszka w domu, z pokojówką na piętrze i przedszkolanką wynajmującą mieszkanie na samej górze - wzdycha: „Och, wyrosłyście na prawdziwe piękności, dziewczęta. Jestem wam taka wdzięczna”. Martha i ja wiemy, że okazuje tę wdzięczność głównie sobie, ale nawet wtedy czujemy się imponujące w tym małym, zastawionym antykami salonie, czujemy się niezwykle i spełnione, niepokonane niczym Amazonki.

Czemu jednak służyło to ubieranie, polerowanie, wykańczanie, poprawianie ramiączek? Znowu powraca temat mężczyzn. Muzzy nie rozmawiała o nich ani o seksie, nie miałyśmy w domu ojca, który mógłby zagrażać naszym chłopcom czy chociażby o nich pytać, a wszelkie próby Muzzy, żeby nas przed nimi uchronić, były zbyt grzeczne, by mogły cokolwiek znaczyć. „Jeśli chłopcy będą wam na randce wszystko fundowali, to potem czegoś w zamian zażądają” - mawiała. „Muzzy - ripostowała Martha, przewracając oczami. - Są lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku. To nie tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty piąty. Daj spokój”. „Sama daj spokój. Wiem, jaki mamy rok” - zapewniała łagodnie Muzzy, a potem szła zamówić przez telefon placek dyniowy na Święto Dziękczynienia albo zadzwonić do chorej ciotki w Bryn Mawr, albo przejść się do sklepu z lampami, żeby się dowiedzieć, czy nie naprawiają tam zabytkowych lichtarzy. Zawsze powtarzała, że z chęcią znalazłaby sobie pracę, ale dopóki może sama opłacać nam edukację („sama” oznaczało ropę naftową albo owies na koncie bankowym), jest najbardziej dla nas użyteczna, kiedy siedzi w domu.

Ze swej strony uważam, że siedziała w domu głównie po to, by nas pilnować, ale ponieważ nigdy nie pytała o żadnych chłopców, nie mówiłyśmy jej zbyt dużo, chyba że

chodziło o partnera na bal maturalny, w którym to przypadku zjawiał się u nas tylko raz, w smokingu, by uścisnąć jej dłoń i zwracać się do niej „pani Bertison”. („Jaki to miły chłopak, Mary - mówiła później. - Od dawna go znasz? Czy jego matka przypadkiem nie prowadzi w szkole akcji na rzecz warzyw organicznych, czy też mam na myśli kogoś innego?”) Ten mały rytuał sprawiał, że czułam się mniej winna, jakoś usankcjonowana - w miarę upływu lat znaczonych szkolnymi promocjami - gdy chłopiec sunął później dłonią wzdłuż moich pleców. Dorastając, mówiłam Muzzy coraz mniej i zanim w moim życiu pojawił się Robert Oliver, zdążyłam już spędzić część młodości w świecie, który dzieliłam tylko ze sobą, czasem z jakimś przyjacielem albo chłopakiem, i ze swoimi czasopismami. Kiedy mieszkaliśmy razem, Robert powiedział mi, że od dzieciństwa także czuł się samotny, i myślę, że była to jedna z rzeczy, które najbardziej zjednały mu moją sympatię.

## 46

### MARY

Ku bezgranicznej konsternacji Muzzy zrobiłam sobie dwa lata przerwy, żeby popracować w księgarni w śródmieściu przed dalszą nauką. Byłam jednak obowiązkowa i miałam w kieszeni własne pieniądze. Barnett College mi odpowiadał. Może wypadałoby powiedzieć, że na studiach przepełniał mnie niepokój, że zmagalam się z pytaniem o swoją przyszłość, sens życia - zepsuta bogata dziewczyna spod klosza zderza się nagle z wielkimi dziełami literatury i jest zdruzgotana własną banalnością. Albo że zepsuta bogata dziewczyna spod klosza uświadamia sobie, że college też jest banalny, a potem sprzedaje wszystko, co ma, i ucieka w świat, by poznać prawdziwe życie, i przez następnych dziesięć lat śpi na ulicy z psem.

Może nie byłam dość zepsuta - Muzzy dawała jasno do zrozumienia, że jej konto kwakierskie nie zapewni nam wypraw na narty ani modnych włoskich butów, i wydzielała nam skąpo na ciuchy. A może nie siedziałam tak do końca pod kloszem - akcje społeczne, kiepskie sąsiedztwo w North Philly, schronisko dla maltretowanych kobiet, krwawe wymiociny w Chestnut Hill Hospital - wszystko to uświadamiało mi istnienie cierpiącego świata. Program zajęć na studiach nie stanowił dla mnie wielkiej rewelacji, pracowałam też w bibliotece, żeby wesprzeć matkę przy zakupie podręczników i biletów na pociąg. Prawdę powiedziawszy, moje doświadczenia na uczelni sprowadzały się do typowych kryzysów dotyczących chłopców i prac semestralnych. Muszę jednak przyznać, że odkryłam pewną rzecz, której nikt mi nie odbierze, i że dokonało się to również na zasadzie swoistego kryzysu - kryzysu radości.

W szkole średniej zawsze lubiłam zajęcia ze sztuki - lubiłam naszą przebojową nauczycielkę i jej poplamione fioletowe fartuchy, a ona ze swej strony lubiła moje pomalowane ludziki z gliny, które były w linii prostej potomkami hipopotamów ze szkoły podstawowej, zdobiących gablotkę Muzzy. Nigdy nie byłam jedną z artystycznych gwiazd szkolnych, nie należałam do grupy samotników, którzy zdobywali nagrody stanowe i składali podania na renomowane uczelnie artystyczne, podczas gdy pozostali zastanawiali się, czy

mają szansę dostać się na jakiś porządny uniwersytet. Jednak w Barnett dowiedziałam się o sztuce, która tkwiła we mnie samej.

O dziwo, zaczęło się od rozczarowania, niemal pomyłki. Zamierzałam specjalizować się w angielskim, ale musiałam wybrać jakieś humanistyczne zajęcia fakultatywne. Nie pamiętam już dokładnie, co to było - może ekspresja kreatywna - lecz na początku drugiego semestru zapisałam się na zajęcia z pisania poezji, ponieważ chłopak z trzeciego roku, z którym chciałam się umawiać, był poetą, a ja nie miałam ochoty wychodzić przed nim na kompletną ignorantkę.

Jak się okazało, na tych zajęciach mieli już komplet studentów, więc przenieśliam się na coś, co się nazywało rozumieniem wizualnym. Dowiedziałam się później, że Robert Oliver, rozpieszczony malarz z innej uczelni, który za karę miał prowadzić zajęcia w tym semestrze, nazywał to prywatnie „nieporozumieniem wizualnym”. Nasz college szczycił się tym, że umożliwia studentom z kierunków nieartystycznych kontakt z uznanymi ludźmi sztuki, a całe to rozumienie wizualne stanowiło jedyny obowiązek Roberta podczas pobytu na uczelni - uniwersalne zajęcia z malarstwa i historii sztuki, które przyciągały niechętnych studentów z wszystkich kierunków. Pewnego styczniowego poranka znalazłam się wśród nich, przy długim stole w pracowni.

Profesor Oliver się spóźnił, a ja siedziałam tam, próbując unikać kontaktu wzrokowego z innymi studentami, z których żadnego nie znałam. Zawsze czułam się nieśmiało na początku wszelkiego rodzaju zajęć i kursów; by nie patrzeć nikomu w oczy, wyglądałam przez wysokie, brudne okna. Widziałam białe pola, pryzmę śniegu na zewnętrznym parapecie. Blask słońca padał na długi rząd sztalug i taboretów, podniszczony i podrapany blat stołu, podziurawioną i ubrudzoną farbą podłogę; na kapelusze, jabłka i statuetki afrykańskie - rekwizyty martwych natur - na podwyższeniu; na barwne koła i plakaty muzealne. Rozpoznałam żółte krzesło van Gogha i spłowiałego Degasa, ale nie wibrujące kolorami kwadraty wewnątrz innych kwadratów, które, jak nam później wyjaśnił Robert, były reprodukcjami dzieł Josefa Albersa. Moi koledzy rozmawiali między sobą, żując gumę, bazgrząc w notatnikach, drapiąc się raz po raz. Dziewczyna obok mnie miała liliowe włosy; zauważyłam ją tego ranka w stolówce.

Potem drzwi pracowni się otworzyły i wszedł Robert. Miał tylko trzydzieści cztery lata, choć wtedy o tym nie wiedziałam. Sądziłam, podobnie jak wszyscy studenci, że wzorem pozostałych wykładowców musi być przynajmniej po pięćdziesiątce. Był wysokim mężczyzną, a sprawiał wrażenie jeszcze wyższego, emanował też niezwykłą energią. Miał smukłe dłonie i dość pociągłą twarz, ale nie szczupłe ciało; pod ubraniem był zwarty, silny



(choć zapewne w sposób starczy). Nosił grube, poplamione spodnie sztruksowe w głębokim złotobrazowym kolorze, wytarte na kolanach i udach. Do tego żółta koszula, rękawy podwinięte do łokci i wytarty oliwkowy sweter-kamizelka, robiony chyba na drutach. Rzeczywiście tak było - jego matka wydziergała go dla męża na kilka lat przed jego śmiercią.

Prawdę mówiąc, dowiedziałam się później o Robercie tak dużo, że trudno mi odróżnić pierwsze wrażenia od całej reszty. Kiedy marszczył głęboko brwi, na czole pojawiała się silnie zaznaczona bruzda. Sprawiałby wrażenie interesującego, gdyby nie był taki skwaszony i niechlujny, jak go od razu oceniłam. Usta miał szerokie, o leciutko obwisłych grubych wargach, skórę nieco oliwkową, nos zawzięcie długi, włosy ciemne, z rudawym odcieniem i kręcone, kiepsko przycięte - między innymi to właśnie z powodu tej niemodnej czupryny wzięłam go za starszego, niż był w rzeczywistości.

Potem, jakby nas dostrzegł, siedzących przy stole, przystanął na ułamek sekundy i uśmiechnął się. Zauważyłam wtedy, że się zapewne myliłam, sądząc, iż jest niechlujny i humorzasty. Nasz widok sprawiał mu niekłamaną przyjemność. Był serdecznym człowiekiem o ciepłym dotyku i ciepłych oczach, ubranym w stare rzeczy o miękkich i stonowanych barwach. Kiedy się uśmiechał, wybaczało mu się ten niemodny, niestaranny wygląd.

Robert trzymał pod pachą dwie książki; zamknął za sobą drzwi, podszedł do szczytu stołu i położył książki na blacie. Wszyscy patrzyliśmy na niego wyczekująco. Zauważyłam, że ma trochę sękatę dłoń, jakby jeszcze starsze niż on sam; wydawały się niezwykle, bardzo duże i jednocześnie bardzo zgrabne. Na palcu nosił obrączkę z matowego złota.

- Dzień dobry - powiedział. Głos miał dźwięczny i zarazem chrapliwy. - To kurs malowania dla studentów o innej specjalizacji, znany także pod nazwą „rozumienia wizualnego”. Mam nadzieję, że się cieszycie, mogąc być tutaj, podobnie jak ja - ironiczne kłamstwo, ale był w tym momencie bardzo przekonujący - i że są obecni wszyscy, którzy powinni być obecni.

Rozłożył jakąś kartkę i zaczął odczytywać nazwiska, powoli i starannie, zastanawiając się czasem nad właściwą wymową i kiwając głową każdemu, kto potwierdzał swoją obecność. Potem, wciąż stojąc przed nami, podrapał się po przedramionach. Miał ciemne włoski na wierzchu dłoni i farbę wokół paznokci, jakby nie mógł ich nigdy domyć.

- To wszystkie nazwiska, jakie tu mam. Jacyś pasażerowie na gapę?

Jedna dziewczyna podniosła rękę; nie mogła załapać się na inne zajęcia, ale w przeciwieństwie do mnie nie było jej na liście i chciała wiedzieć, czy może zostać. Wydawało się, że Robert to rozważa. Potarł czoło, rozgarniając czarne loki. Ma dziewięciu studentów, oświadczył, mniej, niż mu obiecano. Owszem, może zostać, będzie mile widziana. Powinna

tylko dostać pozwolenie od dziekana swojego wydziału. Nie będzie z tym chyba żadnego problemu. Jeszcze jakieś pytania? Jakieś zmartwienia? Doskonale. Ilu z nas kiedykolwiek malowało?

Podniosło się kilka rąk, ale z wahaniem. Moja spoczywała twardo na stole. Dopiero później się dowiedziałam, jak te pierwsze dni nauki, na jakimkolwiek kursie dla początkujących, go przygnębiały. Był na swój sposób równie nieśmiały jak ja, choć ukrywał to doskonale podczas zajęć.

- Jak wiecie, na tym kursie nie wymaga się doświadczenia. Należy też pamiętać, że każdy malarz każdego dnia swojego życia jest malarzem początkującym, w pełnym tego słowa znaczeniu.

Powiedzenie czegoś takiego było błędem, co mogłam dać mu jasno do zrozumienia; studenci ostatnich lat nie lubią być traktowani protekcyjnie, a dziewczęta obecne na zajęciach z pewnością miałyby zastrzeżenia względem męskiej formy słowa „malarz” jako synonimu wszystkich artystów - też się do tych dziewcząt zaliczałam, choć nie miałam w zwyczaju sykać głośno na wykładach jak niektóre studentki. Czułam, że Roberta czekają ciężkie przeprawy na tych zajęciach. Obserwowałam go z rosnącym zainteresowaniem.

Zdawało się jednak, że zmienia taktykę. Postukał w leżące przed nim książki i usiadł. Złożył poplamione farbą dłonie, jakby zamierzał się pomodlić. Westchnął.

- Zawsze trudno jest się zorientować, od czego zacząć malowanie. To zajęcie niemal tak stare jak ludzkość, jeśli jaskinie w Europie są tu jakąkolwiek wskazówką. Żyjemy w świecie formy i koloru i oczywiście chcemy je odtwarzać - choć barwy współczesnego świata, w którym funkcjonujemy, stały się o wiele jaśniejsze od chwili, gdy wynaleziono kolor syntetyczny. Na przykład twój T-shirt. - Skinął głową w stronę chłopca siedzącego naprzeciwko mnie. - Albo, jeśli mi wybaczysz posłużenie się tym przykładem, twoje włosy. - Uśmiechnął się do dziewczyny z fioletowymi włosami, wskazując ją niedbale swoją wielką dłonią z obrączką.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a dziewczyna pokraśniała z dumy.

Nagle mi się tam spodobało, doznałam tego przyjemnego uczucia, które towarzyszy nowemu semestrowi, spodobał mi się też zapach farby, zimowy blask zalewający pracownię, rząd sztalug czekających na nasze nieporadne obrazy i ten zaniedbany, ale w jakiś sposób elegancki i czarujący mężczyzna, który pragnął wprowadzić nas w sekrety koloru, światła i formy. Kiedy tak siedziałam na jego zajęciach, powróciło na chwilę radosne uczucie, którego doznawałam w pracowni malarskiej w szkole średniej; nie miało nic wspólnego z tym, czego uczyłam się na studiach, ale było ważnym wspomnieniem teraz, kiedy znów miałam do

czynienia ze sztuką.

Nie pamiętam już, jak dalej przebiegały te zajęcia - przypuszczam, że słuchaliśmy Roberta, który opowiadał o historii malarstwa albo o technicznych podstawach tej dziedziny. Może puścił w obieg książki, które ze sobą przyniósł, albo wskazał na plakat z van Goghem. W końcu zapewne stanęliśmy przy sztalugach, na tych zajęciach czy na kolejnych. W pewnym momencie - może dopiero następnym razem - Robert pokazał nam chyba, jak wyciskać farbę z tubki, jak skrobać paletę, jak naszkicować na płótnie postać.

Raz powiedział, że nie wie, czy to śmieszne, czy wyrafinowane, żebyśmy próbowali malarstwa olejnego, kiedy większość z nas nie brała nigdy udziału w zajęciach z rysowania, anatomii czy perspektywy, ale że przynajmniej zrozumiemy w jakimś stopniu, jak trudna to dziedzina sztuki, i zapamiętamy zapach farby na naszych dłoniach. Nawet my dostrzegaliśmy, że to eksperyment, decyzja wydziału - umożliwić kontakt z malowaniem całkowitym amatorom, ludziom, którzy specjalizowali się w czymś zupełnie innym. Robert próbował nas przekonać, że nie ma to dla niego znaczenia.

Mnie jednak najbardziej uderzyła jego uwaga o zapachu farby na naszych dłoniach, ponieważ to głównie zaważyło na mojej decyzji uczestniczenia w zajęciach rozumienia wizualnego, tak jak i w zajęciach ze sztuki w szkole średniej; uwielbiałam wachać ręce, kiedy je umyłam przed obiadem, chcąc sobie udowodnić, że woń farby jest nie do zatarcia. Naprawdę tak było. Mogłam je szorować jakimkolwiek rodzajem mydła. Wachałam swoje dłonie na innych zajęciach i patrzyłam na farbę, która przywierała mi do paznokci, jeśli nie zadbałam o nie odpowiednio, o czym uprzedzał nas Robert. Wachałam dłonie na poduszce, kiedy kładłam się spać albo kiedy dotykałam miękkich włosów studenta trzeciego roku, z którym się teraz umawiałam. Żaden zapach nie mógł zamaskować czy nawet przezwyciężyć tej ostrej olejnej woni, mieszającej się każdego dnia na mojej skórze z równie ostrym zapachem terpentyny, która nie mogła zmyć do końca farby.

Przyjemność, jaką dawał jej zapach, ustępowała tylko przed przyjemnością jej nakładania na płótno. Formy, które malowałam na zajęciach Roberta, były z pewnością nieporadne, pomimo wcześniejszych wysiłków mojej nauczycielki w szkole średniej - szkicowałam surowe, toporne kształty misek, wyrzucone na brzeg kawałki drewna, statuetki afrykańskie, wieże owoców, które Robert przyniósł jednego dnia na zajęcia i ułożył starannie niemal sękatymi dłońmi z obrączką. Obserwując go, chciałam mu powiedzieć, że już Kocham zapach farby na swoich rękach i wiem, iż nigdy tego nie zapomnę, nawet gdybym po tym kursie już nie miała więcej malować; chciałam, by wiedział, że nie jesteśmy wszyscy tak niewrażliwi na jego zajęcia, jak mu się prawdopodobnie wydaje. Nie mogłam powiedzieć mu

czegoś takiego podczas zajęć w pracowni; wzbudziłoby to zapewne kpiny studentki z fioletowymi włosami i gwiazdora bieżni, który wykorzystywał swoje adidas, kiedy mieliśmy tworzyć własne martwe natury. Oczywiście nie mogłam też pójść na dyżur profesora Olivera, usiąść przed nim i oświadczyć, że cenię sobie niezwykle zapach swoich rąk - to byłoby równie śmieszne.

Obserwowałam go za to i czekałam, by zadać mu jakieś prawdziwe pytanie, coś, czego szczerze pragnęłabym się od niego dowiedzieć. Do tej pory nie miałam żadnych wątpliwości. Wiedziałam tylko, że posługuję się ołówkiem i pędzlem bardziej nieudolnie, niż wytknął mi to kiedykolwiek jakiś nauczyciel, i że profesor Oliver nie jest tak naprawdę zadowolony z mojej niebieskiej misy z pomarańczami; proporcje naczynia są zachwiane, oświadczył mi któregoś dnia, choć kolory owoców zostały dobrze zmieszane - potem podszedł od razu do kogoś innego, u kogo dostrzegł jeszcze liczniejsze błędy niż u mnie. Żałowałam, że nie skupiłam się na tej misie bardziej, że nie poświęciłam jej więcej czasu, zamiast tak uparcie zajmować się pomarańczami.

Nie przychodziło mi jednak do głowy żadne inteligentne pytanie, jakie mogłabym zadać w tej kwestii. Musiałam się nauczyć rysować i jakoś, ku swemu zdumieniu, zaczęłam się do tego przykładać, wypożyczałam książki z biblioteki sztuk pięknych i zabierałam je do swojego pokoju w akademiku, gdzie kopiowałam jabłka i pudełka, prostopadłości, końskie zady, nieprawdopodobny rysunek głowy satyra autorstwa Michała Anioła. Byłam w tym fascynująco kiepska i uparcie to wszystko kreśliłam, raz za razem, aż niektóre linie zaczęły jakby łatwiej wyłaniać się spod mojej dłoni. Oddawałam się też, ku zmartwieniu Muzzy, marzeniom o jakiejś szkole artystycznej; oczywiście aprobowała fakt, że kręcę się bezustannie wokół bufetu z różnaitościami sztuk wyzwolonych, próbując z każdym semestrem czegoś nowego (historia muzyki, nauki polityczne), ale miała nadzieję, że ta degustacja zaprowadzi mnie w końcu na prawo czy medycynę.

Ponieważ akademia sztuk pięknych była najwyraźniej jeszcze bardzo daleko, zaczęłam rysować przedmioty znajdujące się w moim pokoju: wazon, który przed laty przywiózł mi ze Stambułu wujek, treliarz w oknie, zainstalowany w latach trzydziestych. Szkicowałam bukiety forsycji, którą zafascynowana przyrodą współlokatorka przyniosła ze spaceru, i doskonałą dłoń poety śpiącego w moim łóżku, podczas gdy koleżanka miała akurat czterogodzinne seminarium na temat wielkich dzieł literatury. Kupowałam szkicowniki w różnych rozmiarach, żebym mogła nie tylko trzymać je na biurku, ale też nosić w torebce. Chodziłam do uniwersyteckiego muzeum sztuki, gdzie znajdowała się zadziwiająco bogata kolekcja jak na taką uczelnię, i próbowałam kopiować to, co tam widziałam - rycinę

Matisse'a, rysunek Berthe Morisot. Każde zadanie, jakie sobie stawiałam, odznaczało się szczególnym posmakiem, który nabierał mocy, ilekroć podejmowałam kolejny wysiłek, by rysować lepiej; robiłam to częściowo dla siebie, a częściowo po to, by zadać profesorowi Oliverowi dobre pytanie.

1878

*Moja najdroższa,*

*Otrzymałem w tejże chwili Twój list i tak bardzo mnie on poruszył, że od razu pragnę Ci odpisać. Owszem, tak jak współczująco nadmieniasz, byłem samotny przez te lata. I choć wyda się to osobliwe, żałuję, iż nie zostałeś przedstawiona mojej żonie; gdyby to było wówczas możliwe. Ty i ja poznalibyśmy się w stosownych okolicznościach, nie zaś za sprawą owej nierzeczywistej miłości, jeśli pozwolisz mi ją tak nazywać.*

*Lossiem każdego wdowca jest doznawać litości, a jednak nie czuję, by emanowała ona z Twego listu, jedynie szczodry żal, co zapewnia Ci zaszczytne miano przyjaciółki.*

*Masz słuszość: oplakuję ją i zawsze będę oplakiwał, choć to rodzaj śmierci, która ją spotkała, sprawia mi największy smutek, nie zaś fakt, iż nie ma jej pośród żywych - o tym nie mogę mówić, nawet Tobie, w każdym razie jeszcze nie teraz. Pewnego dnia to uczynię, przyrzekam.*

*Nie będę też próbował Cię przekonywać, że wypełniłaś sobą tę pustkę, gdyż nikt nie może zapłacić nieobecności pozostawionej przez inną osobę; po prostu zajęłaś miejsce w moim sercu i za to jestem Ci bardziej zobowiązany, niż mogę wyjaśnić, zważywszy na Twe doświadczenia i wiek. Ryzykując, iż wydam Ci się nazbyt wzniosły czy nawet protekcyjny - jestem pewien, że w jakiś sposób mi wybaczysz - zapewniam Cię, iż pewnego dnia zrozumiesz tę pociechę, którą przyniosła mi miłość do Ciebie. Sądzisz, jak jestem przekonany, że to Twoja miłość niesie mi ukojenie, ale gdy będziesz żyła tak długo jak ja, pojmiesz, że to Twoja zgoda, bym Cię kochał, złagodziła posepność, którą w sobie noszę.*

*Na koniec jestem Ci wdzięczny, że przyjęłaś moją propozycję, i mam tylko nadzieję, że nie byłem zbyt natarczywy. I oczywiście posłużymy się nazwiskiem, które sugerujesz - od tej pory będę poczytywał sobie za zaszczyt znajomość z Marie Rivière, obraz zaś osobiście przekażę jurorom, z całkowitą dyskrecją. Sam go jutro zaniosę, gdyż czasu pozostało niewiele.*

*Z wdzięcznością,*

*ton O. V.*

*Postscriptum: Wczoraj w mojej pracowni zjawił się przyjaciel Yves'a, Gilbert Thomas, ze swym milczącym bratem - znasz Armanda, jak sądzę - by nabyć jeden z moich pejzaży z Fontainebleau, który zgodziłem się jakiś czas temu sprzedać za pośrednictwem ich galerii. Człowiek ten może okazać Ci pomoc, nie sądzisz? Podziwiał niezwykle Twoją złotowłosą dziewczynę, choć naturalnie nie powiedziałem słowa o prawdziwej autorce tego obrazu; prawdę rzekłszy, zauważył raz czy dwa, że ten styl przypomina mu coś znajomego, ale nie mógł się zorientować, co konkretnie. Obawiam się, że bez skrupułów winduje ceny w swej galerii, ale może jestem zbyt drobiazgowy. Jego podziw dla Twego pędzla dobrze jednak o nim świadczy, nawet jeśli Thomas nie wie, kto trzymał go w dłoni - mogłabyś któregoś dnia sprzedać mu jedno ze swych dzieł, gdybyś zechciała.*

## 47

### MARY

W końcu uświadomiłam sobie, że nie mam żadnego pytania do profesora Olivera: miałam za to coś w rodzaju portfolio; swój szkicownik, ten większy, wypełniony satyrami, pudełkami i martwymi naturami. Miałam też osobne kartki, na których rysowałam jedną z kobiet Matisse'a, złożoną z sześciu zaledwie linii, tańczącą z zapamiętaniem (nie potrafiłam sprawić, by zatańczyła też u mnie, bez względu na to, ile razy kopiowałam te linie), i pięć wersji wazonu z cieniem padającym na stół. Czy ten cień znajdował się we właściwym miejscu? Czy tak brzmiało moje pytanie? Kupiłam w sklepie z przyborami rysunkowymi ciężką tekturową teczkę i wsadziłam do niej wszystko, a podczas następnych zajęć wypatrywałam okazji, by umówić się na spotkanie z profesorem Oliverem.

Przygotował dla nas kolejne zadanie - mieliśmy malować w tym tygodniu lalkę, a w następnym żywego modela. Lalkę należało ukończyć po zajęciach i przynieść gotowe dzieło do oceny. Nie podobał mi się pomysł z malowaniem lalki, ale kiedy ją wyjął i posadził na małym drewnianym krzeselku, poczułam się trochę pewniej. Była bardzo stara, szczupła i sztywna, zapewne wykonana z pomalowanego drewna, ze zmatowiałymi złotymi włosami, a także szeroko rozwartymi oczami, ale miała w twarzy coś przebiegłego, jakąś spostrzegawczość, i to mi się spodobało. Ułożył jej sztywne ręce na kolanach, po czym obrócił przodem do nas, czujną i na wpół żywą. Miała na sobie niebieską sukienkę z przypiętym do kołnierza postrzępionym jedwabnym kwiatem w czerwonym kolorze. Profesor odwrócił się do klasy:

- Należała do mojej babki - wyjaśnił. - Na imię ma Irene.

Potem wziął szkicownik i zademonstrował, jak powinniśmy kreślić jej formę pod postacią współgrających ze sobą kończyn - owalną głowę, przytwierdzone do ciała ramiona i nogi pod sukienką, wyprostowany tułów. Powinniśmy też zwracać baczną uwagę na skrócenie kolan, powiedział, gdyż będziemy ją widzieć od przodu. Tu z kolei wkraczamy w dziedzinę draperii, którą nie będziemy się zajmować w tym semestrze - wymagało to zbyt dużego zaangażowania. Ale to ćwiczenie pozwoli nam zrozumieć, czym są kończyny pod



materiałem, zwartość ciała w ubraniu. Żadnemu malarzowi nie zaszkodzi zastanowić się nad tym odrobinę, zapewnił nas Robert.

Przystąpił do odpowiedniej demonstracji, a ja go obserwowałam; patrzyłam na podciągnięty spłowiwały rękaw szkicującej ręki, zielonokasztanowe oczy, które zerkały co chwila na lalkę, podczas gdy ciało było nieruchome i skupione na celu zabiegów. Kręcone włosy wyglądały z tyłu na spłaszczone, jakby spał na nich, a potem zapomniał je rozczesać, a jeden kosmyk z przodu sterczał do góry niczym łodyga rośliny. Widziałam, że jest nieświadomy nas i swoich włosów, nieświadomy niczego z wyjątkiem lalki i jej kolan zaokrąglających przód cieniutkiej sukienki. Nagle zapragnęłam takiej nieświadomości dla siebie. Nigdy nie byłam niczego nieświadoma. Zawsze obserwowałam innych ludzi; zawsze się zastanawiałam, czy mnie obserwują. Jak mogłam stać się takim artystą jak profesor Oliver, skoro nie potrafiłam zatracić się w sobie przed całą grupą ludzi, zatracić się bez reszty, skupić jedynie na zadaniu wykonywanym przez dłoń, na dźwięku ołówka wodzącego po papierze i strumieniu linii, które się spod niego wylaniały? Poczułam przypływ rozpaczy. Tak bardzo skoncentrowałam się na jego profilu o długim nosie, że zaczęłam dostrzegać wokół głowy aureolę światła dziennego. Nie mogłam w żaden sposób zadać mu swego niepytania, pokazać mu swego udawanego portfolio. Byłoby dla mnie znacznie bardziej przerażające, gdyby zobaczył moje pozostałe prace, niż gdyby ich nigdy nie zobaczył. Nie ukończyłam jeszcze nawet swoich pierwszych zajęć z rysunku - stanowiłam przykład osoby biorącej udział w kursie dla amatorów, dyletantki, która wie, jak tapicerować małe krzesła i grać sonaty Beethovena na pianinie. Ludziom takim jak ja Robert pokazał trudność prawdziwego malowania - anatomię, układ draperii, cienie, światło, kolor. Przynajmniej będziecie wszyscy wiedzieli, jakie to w rzeczywistości trudne, mawiał.

Skupiłam uwagę na swoim płótnie i zaczęłam się przygotowywać do udawania, że będę szkicować lalkę i kłaść kolor na jej postać. Wszyscy wzięli się do pracy, nawet ci niepoważni, biorąc to wszystko na serio, pełni ulgi, że znajdują się w spokojnym miejscu, na zajęciach, gdzie nie trzeba rozmawiać, gdzie można zachować dystans wobec gadania i życia w akademiku. Ja też pracowałam, ale na ślepo; przesuwałam ołówkiem i wyciskałam farbę olejną na starannie oskrobaną paletę, chociażby po to, by nikt nie zauważył, jak stoję nieruchomo. Wewnątrz stałam nieruchomo. Poczułam w oczach łzy.

Mogłabym tego dnia dać sobie na zawsze spokój z malowaniem, jeszcze nim tak naprawdę zaczęłam, gdy nagle za moimi plecami pojawił się Robert, który przechodził od jednych sztalug do drugich. Miałam nadzieję, że nie zacznę drzeć; chciałam go poprosić, żeby nie patrzył na to, co robię, a wtedy on nachylił się i wskazał jednym ze swoich dziwnie

długich palców głowę, którą szkicowałam.

- Bardzo ładnie - oznajmił. - Zrobiłaś wyjątkowo duże postępy.

Nie mogłam wydusić z siebie słowa. Kiedy odwróciłam głowę, by przyjąć do wiadomości tę opinię, żółta koszula była tak blisko, że wypełniła całe moje pole widzenia. Jego wyciągnięte przedramię i dłoń były opalone. On sam wydawał się rzeczywisty, brzydki, wyrazisty, pewny siebie. Miałam wrażenie, że wszystko, czym byłam, wszystko, co wpojono we mnie wychowaniem, jest żalosne i nudne, jednak za sprawą jego obecności stawało się przez chwilę ważne.

- Dziękuję - odparłam dzielnie. - Ciężko pracowałam... prawdę mówiąc, zastanawiałam się, czy mogłabym przyjść do pana na dyżur i zadać kilka pytań, pokazać parę rzeczy, które zrobiłam, by przygotować się na jesienne zajęcia z rysunku.

Mówiąc to, odwróciłam się jeszcze bardziej i spojrzałam na niego. Jego kanciasta twarz wydawała się delikatniejsza niż wcześniej; była odrobinę mięsista wokół nosa i brody, skóra dopiero zaczynała wiotczeć - twarz, która zestarzałaby się szybko, ponieważ jej właściciel był tego nieświadomy. Czułam, jak mocna jest moja własna gładka twarz, zaokrąglenie podbródka i szyi, połysk włosów, starannie uczesanych i przyciętych w lśniącą prostą krawędź nad czołem. Robert budził lęk, ale był też stary i trochę poturbowany przez życie. Ja byłam młoda i pełna zapału, by zmierzyć się ze światem. Może miałam nad nim przewagę. Uśmiechnął się, to był miły uśmiech, choć niezbyt osobisty - ciepły uśmiech, typowy dla człowieka, który właściwie nie czuje głębokiej niechęci do ludzi, nawet jeśli potrafił o nich zapomnieć, szkicując lalkę.

- Oczywiście - powiedział. - Zapraszam. Pełnię dyżur w poniedziałki i środy, od dziesiątej do dwunastej. Wiesz, gdzie jest mój gabinet?

- Tak - skłamałam. Wiedziałam, że go znajdę.

Mniej więcej w tydzień po tym, jak Robert Oliver zaprosił mnie do swojego gabinetu, zebrałam się na odwagę, by pokazać mu swoje portfolio. Drzwi, kiedy przed nimi stanęłam, ściskając w ręku wielką tekturową teczkę, były uchylone; widziałam jego wielką postać, która poruszała się po niedużym pokoju. Przepchnęłam się obok tablicy z ogłoszeniami - pocztówki, rysunki i, o dziwo, rękawiczka przytwierdzona gwoździem - i weszłam bez pukania. Kiedy to sobie uświadomiłam, odwróciłam się, żeby naprawić błąd, ale Robert zdążył już zauważyć moją obecność.

- Och, witam - powiedział.

Chował jakieś papiery do szafki z dokumentami. Zauważyłam, że wsuwa je do

szuflady na płasko, ponieważ w środku nie było pionowych przegródek; jakby chciał je ukryć albo usunąć ze swojego biurka, nie dbając jednocześnie o to, czy je potem znajdzie. Jego gabinet był zbiorowiskiem notatników, rysunków, przyborów malarskich, wszelkich rekwizytów służących za modele do martwych natur (niektóre rozpoznałam z zajęć), pudełek z węglem i pastelami, przewodów elektrycznych, pustych butelek po wodzie, opakowań po kanapkach, szkiców, kubków po kawie, pisemnych prac studenckich - te walały się wszędzie.

Ściany były równie zaśmiecone: pocztówki z widokami i obrazami przypięte nad biurkiem, notatki, cytaty (z tej odległości nie mogłam ich odczytać), kilka dużych plakatów, zakrytych do połowy tymi wszystkimi papierami. Pamiętam, że jeden pochodził z National Gallery i dotyczył wystawy „Matisse w Nicei”, którą obejrzałam podczas wyprawy z matką. Robert zakrył karteczkami samoprzylepnymi niemal całą kobietę Matisse'a w jej rozchylonej pasiastej tunice.

Pamiętam też, że z jakiegoś powodu (tak o tym wtedy myślałam) na papierzyskach zaścielających jego biurko leżał zbiór poezji - to były *Wiersze zebrane* Czesława Miłosza w angielskim tłumaczeniu, nowe - i byłam zaskoczona myślą, że malarz czytuje poezję, ponieważ mój chłopak poeta przekonał mnie, że wolno to robić tylko poetom. Był to pierwszy raz, kiedy w ogóle usłyszałam o poezji Miłosza, Robert zaś ją kochał i później mi czytywał; wciąż mam ten tom, ten sam, który zauważyłam tamtego dnia na jego biurku. To jedyny prezent od niego, jaki zachowałam; rozdawał swoje mienie z taką samą niefrasobliwością, z jaką brał podarunki od innych - cecha, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie szczodrości, dopóki człowiek sobie nie uświadamiał, że Robert nigdy nie pamięta o czyichkolwiek urodzinach i nigdy nie spłaca drobnych długów.

- Proszę, wejdz. - Zaczął robić porządek na krześle w rogu; po prostu zsuwał leżące na nim papiery do szuflady szafki, którą po chwili zatrzasnął. - Usiądź.

Usiadłam posłusznie między aloesem w wysokiej doniczce i jakimś egzotycznym bębniem, który kiedyś przyniósł do pracowni jako rekwizyt do martwej natury. Znałam na pamięć paciorki i muszelki, które go ozdabiały.

- Dziękuję, że pozwolił mi pan przyjść - powiedziałam tak niedbale, jak tylko było mnie na to stać.

W małym zagraconym pokoiku jego fizyczna obecność robiła jeszcze większe wrażenie niż w pracowni; ściany zdawały się wokół niego wykrzywiać, jakby jego głowa dotykała sufitu i go przesuwiała. Z pewnością mógł wyciągnąć na bok ręce i dotknąć przeciwległych ścian, tak wielka była rozpiętość jego ramion. Przypomniała mi się moja dziecięca książeczka o mitach greckich, gdzie bogowie byli opisani jako ludzie, tyle że o

wiele potężniejsi. Podciągnął spodnie na udach i usiadł za biurkiem, po czym obrócił się w moją stronę. Twarz miał miłą i nauczycielską, zainteresowaną, choć wyczuwałam jego rozkojarzenie; tak naprawdę wcale nie słuchał.

- Proszę bardzo. Jak ci się podobają zajęcia i co mogę dla ciebie zrobić?

Przesuwałam palcami po brzegu swojej teczki, potem spróbowałam siedzieć nieruchomo. Wielokrotnie myślałam o tym, co mi powie, zwłaszcza gdy już się przekona, ile ciężkiej pracy włożyłam w swoje rysunki, ale zapomniałam sobie przeciwzyć to, co zamierzałam mu powiedzieć - dziwne, zważywszy na to, że ubrałam się starannie i poprawiłam włosy przed wejściem do tego budynku.

- No cóż - zaczęłam. - Zajęcia naprawdę mi się podobają; jeśli mam być szczerą, uwielbiam je. Nigdy wcześniej nie myślałam o tym, żeby być artystką, ale pracuję nad tym, to znaczy zaczynam widzieć pewne rzeczy inaczej. Wszędzie, gdzie spojrzę.

Nie to zamierzałam powiedzieć, ale dostrzegając, jak skupia na mnie spojrzenie zmrużonych oczu, poczułam, że coś odkrywam i że wyrzuciłam to z siebie. Jego oczy były niezwykle, zwłaszcza z bliska, nie wydawały się duże, jeśli nie otworzył ich szeroko, ale miały piękny kształt i zielonobrazowy odcień, jak oliwki; przynosiły wstyd jego rozczochranym włosom i starzejącej się, jak wówczas sądziłam, skórze - a może to po prostu kontrast między tymi doskonałymi oczami a jego niechlujną osobowością był tak zaskakujący? Nigdy się w tym nie rozeznałam, nawet znacznie później, gdy wolno mi było się w nie zagłębiać, i w niego, każdą cząstką swojego istnienia.

- To znaczy - ciągnęłam - zaczynam patrzeć na rzeczy, zamiast je po prostu widzieć. Wychodzę z akademika i zauważam po raz pierwszy gałęzie drzew. Zapamiętuję je, a potem wracam do pokoju i rysuję.

Teraz słuchał. Spojrzenie miał skupione, nie na jakimś wewnętrznym głosie, który, jak się zdawało, tak często odzywał się podczas zajęć; nie był już atrakcyjnie niedbały ani nieuważny. Trzymał swoje wielkie dłonie na kolanach i patrzył na mnie. Nie wyglądał już na czarującego; nie koncentrował się na sobie, nie koncentrował się nawet na mnie i na moich idealnie uczesanych włosach. Jego uwagę przykuły moje słowa, jakbym ucisnęła mu sekretnie dłoń albo wypowiedziała zdanie w języku, który znał w dzieciństwie i którego nie słyszał od lat. Zdziwiony, ściągnął krzaczaste ciemne brwi.

- To twoje prace? - Wskazał tekturowy pojemnik.

- Tak.

Podalałam mu go, przesuwając niepewnie dłońmi po krawędziach. Serce waliło mi młotem. Otworzył teczkę na kolanach i zaczął studiować pierwszy rysunek: wazon mojego

wuja, stojący obok misy z owocami ukradzionymi ze stołówki. Widziałam go do góry nogami na jego udach; to było okropne, trawestacja. Czasem odwracał podczas zajęć nasze prace do góry nogami, abyśmy myśleli o układzie przedmiotów, pracowali nad kompozycją, a nie nad lampą czy lalką - robił to, żeby nam pokazać czysty kształt, zmusić do usunięcia niedoskonałości. Zastanawiałam się, dlaczego miałabym pokazywać ten rysunek komukolwiek, nie wspominając już o Robercie Oliverze. Powinnam była ukrywać się przed nim, ukrywać wszystko.

- Wiem, że muszę jeszcze pracować co najmniej dziesięć lat.

Nic nie odpowiedział, przysuwając mój rysunek nieco bliżej oczu, a potem odsuwając go powoli. Uświadomiłam sobie, że dziesięć lat to być może zbyt optymistyczna prognoza. W końcu się odezwał:

- Nie jest zbyt dobry, jak sama pewnie wiesz.

Miałam wrażenie, że moje krzesło zakołysało się niczym łódka na wzburzonym morzu. Nie miałam nawet czasu pomyśleć.

- Jednakże - dodał - jest żywy, a tego nie można nauczyć. To dar.

Przejrzał jeszcze kilka rysunków. Wiedziałaam, że ogląda teraz moje gałęzie i poetę z trzeciego roku, bez koszuli - ułożyłam starannie wielką pościel. Teraz z kolei moją kopię jabłek Cezanne'a, potem dłoń koleżanki z pokoju, posłusznie trzymaną nieruchomo na stole. Próbowałam po trochu wszystkiego i na każdy rysunek włożony do teczki odrzucałam dziesięć innych; tyle przynajmniej miałam zdrowego rozsądku. Robert Oliver znów podniósł na chwilę wzrok, nie patrząc na mnie, tylko zaglądając we mnie.

- Chodziłaś na zajęcia ze sztuki w szkole średniej? Od dawna rysujesz?

- Tak i nie - odparłam, czując, że padnie kilka pytań, na które naprawdę mogłam odpowiedzieć. - Co roku mieliśmy lekcje ze sztuk pięknych, ale nie było to nic wymagającego. Nie uczyliśmy się tak naprawdę rysować. Prócz tego zaliczyłam tylko te zajęcia, to znaczy pańskie, i zaczęłam rysować na własną rękę kilka tygodni temu, ponieważ nie potrafiłam w odpowiedni sposób malować, tak jak pan mówił. Powiedział pan, że nie możemy się tego naprawdę nauczyć, dopóki nie nauczymy się rysować.

- Racja - mruknął i znów przejrzał powoli moje rysunki. - Więc dopiero zaczęłaś?

Miał zwyczaj gwałtownego wlepiania wzroku w człowieka, jakby dopiero co go dostrzegł - było to denerwujące i przyprawiało o dreszcz.

- Jesteś bardzo utalentowana. - Znowu obrócił kartkę, jakby zaskoczony, potem zamknął teczkę i spytał z powagą: - Kochasz to robić?

- Kocham bardziej niż cokolwiek innego - odparłam, uświadamiając sobie, że to

prawdziwa, a nie tylko poprawna odpowiedź.

- Więc rysuj wszystko. Rób sto rysunków codziennie - polecił z naciskiem. - I pamiętaj, że to piekielne życie.

Jakim cudem niebo, które się nade mną w tej chwili rozwarło, mogło być piekielne? Nie lubiłam, kiedy ktoś kazał mi cokolwiek robić - zawsze ścisnęło mnie wtedy w dołku - ale on sprawił, że poczułam się szczęśliwa.

- Dziękuję.

- Nie będziesz mi dziękować - powiedział, może nie posępnie, ale ze smutkiem.

Zapomniałam już, co to takiego radość? - zastanawiałam się. Jakie to straszne się starzeć. Zrobiło mi się go żal i jednocześnie byłam bardzo zadowolona z siebie, ze swojej młodości, optymizmu i niespodziewanej wiedzy, że czeka mnie wspaniałe życie.

- Po prostu pracuj ciężko. Może złożysz podanie o przyjęcia na letnie warsztaty malarskie? Mógłbym je poprzeć.

Muzzy będzie zachwycona, pomyślałam ironicznie, ale powiedziałam:

- Dziękuję, właśnie się nad tym zastanawiałam. - Nie zamierzałam nawet zostawać w akademiku latem; wszyscy moi znajomi wybierali się do Nowego Jorku, żeby pracować, a ja prawie się zdecydowałam, że zrobię to samo. - Pan będzie prowadził te warsztaty?

- Nie, nie - zaprzeczył. Wydawało się, że błądzi gdzieś myślami, jakby miał jakieś ważne sprawy na głowie; może kolejne papiery, które musiał wcisnąć w szuflady. - Będę tu tylko przez jeden semestr. Gościnnie. Muszę wracać do swojego życia.

Zapomniałam o tym. Zastanawiałam się, jak wygląda to jego życie, pomijając płótna i rysunki, które mógł tworzyć gdziekolwiek, i oczywiście bardzo ważnych studentów, takich jak ja. Na lewej dłoni miał obrączkę, ale żona prawdopodobnie mu tutaj towarzyszyła, choć nigdy jej nie widziałam.

- Uczy pan gdzie indziej?

Uświadomiłam sobie zbyt późno, że zapewne powinnam dowiedzieć się tego wcześniej, ale zdawało się, że nie dostrzegł mojej ignorancji.

- Tak, w Greenhill College w Karolinie Północnej. Miła, nieduża uczelnia, dobre pracownie. Muszę wracać do domu. - Uśmiechnął się. - Córka za mną tęskni.

Było to dość szokujące. Zawsze sądziłam, że artyści nie mają dzieci, a już na pewno - że nie powinni ich mieć. Świadczyło to o przyziemnej egzystencji, której chyba za bardzo nie lubiłam.

- Ile ma lat? - spytałam z grzeczności.

- Rok i dwa miesiące. Raczkujący rzeźbiarz.

Jego uśmiech pogłębił się; ujrzał jakieś swojskie miejsce, do którego należał.

- Dlaczego nie przyjechały tu z panem? - spytałam, chcąc go trochę ukarać za to rodzinne szczęście.

- Och, wrosły już tam na dobre; przyzwoity żłobek na terenie uczelni, poza tym żona właśnie zaczęła pracować na pół etatu. Niedługo tam wracam.

Sprawiał wrażenie stęsknionego; dostrzegłam bez trudu, że kocha to dziecko w tym swoim tajemniczym królestwie i być może kocha też swoją pracowitą żonę. Człowiek doznawał nieodmiennie rozczarowania, przekonując się, że starsi ludzie prowadzą to zwykłe, powszednie życie. Pomyślałam, że nie powinnam nadużywać jego gościnności czy prosić się o to, by dalej pozbawiał mnie złudzeń.

- No cóż, będzie lepiej, jeśli pozwolę wrócić panu do pracy. Bardzo dziękuję, że zechciał pan rzucić okiem na moje rysunki i... za zachętę. Naprawdę to doceniam.

- Możesz tu wpadać, gdy tylko zechcesz - zapewnił. - Mam nadzieję, że będzie ci dobrze szło. Przynoś mi trochę więcej swoich prac i nie zapomnij zgłosić się na warsztaty. Będzie je prowadził James Ladd, jest doskonały.

Ale nie jest tobą, pomyślałam.

- Dzięki.

Wyciągnęłam do niego rękę, chcąc zakończyć to spotkanie jakimś rytuałem. Wstał, znów bardzo wysoki, i podał mi dłoń. Uścisnęłam ją mocno, by mu pokazać, że jestem poważna i pełna wdzięczności, że może nawet będziemy kiedyś kolegami po fachu. To było wspaniałe, ta dłoń; nigdy wcześniej jej nie dotykałam. Objęła moją. Kłykcie miał grube i suche, uścisk mocny, choć odruchowy - przypominający objęcie ramionami. Przełknęłam z trudem, by się opanować.

- Dzięki - powtórzyłam, odwracając się nieporadnie w stronę drzwi, z teczką pod pachą.

- Do zobaczenia niebawem.

Wyczułam raczej, niż zobaczyłam, że zabiera się znów do jakiejś roboty na biurku. Ale dojrzałam też w nim, w tej ostatniej chwili, coś, czego nie potrafiłam nazwać - być może on także był poruszony moim dotykiem albo... nie, być może zauważył, że ja byłam poruszona jego dotykiem. Ta myśl przyprawiła mnie o wstyd; by poczuć wreszcie chłód na twarzy, musiałam pokonać pod wietrznym, jasnym niebem połowę drogi do akademika, mijając tłumy studentów udających się na lunch. I wtedy sobie przypomniałam: sto rysunków dziennie.

Robercie, pamiętałam o tym przez blisko dziesięć lat. Wciąż to pamiętam.



*Mon cher ami,*

*Nie wiem, od czego zacząć, pomijając to, że Twój list poruszył mnie niezmiernie. Jeśli uważasz, że sprawiłoby Ci ulgę, gdybyś opowiedział mi o swojej ukochanej żonie, to bądź pewien, że znajdziesz we mnie chętną słuchaczkę. Papa nadmienił mi kiedyś jedynie mimochodem, że straciłeś ją niespodziewanie i że smutek, z jakim ją oplakiwałeś, doprowadził Cię niemal do choroby przed Twym wyjazdem z kraju. Mogę tylko przypuszczać, że lata spędzone za granicą były samotne i że opuściłeś Paryż, by ją oplakiwać. Jeśli rozmowa ze mną przyniesie Ci ukojenie, to będę słuchać z największą uwagą, choć sama, dzięki Bogu, niewiele wiem o takiej stracie. Tyle przynajmniej mogę dla Ciebie zrobić po tym, co Ty zrobiłeś dla mnie, zachęcając mnie i okazując wiarę w moją pracę. Każdego ranka udaję się z ochotą do swego atelier na werandzie, wiedząc, że te obrazy cieszą się uznaniem przynajmniej jednego miłego wielbiciela. Innymi słowy, choć będę czekała z taką samą jak Ty niecierpliwością na werdykt jury, Twoja pochwała znaczy dla mnie więcej niż dobre czy złe wieści z tamtego źródła. Być może potraktujesz to jako zuchwałość młodej artystki i być może będziesz miał po części słuszność. Ale jestem też szczerą.*

*Z wyrazami najgłębszego uczucia,*

*Béatrice*

## 48

### MARY

Nie był to ostatni raz, kiedy byłam sam na sam z Robertem Oliverem przed jego wyjazdem z Barnett; mieliśmy jeszcze jedno spotkanie. Ale najpierw muszę panu opowiedzieć o kilku innych rzeczach. Nasze zajęcia dobiegły końca; namalowaliśmy, na ogół kiepsko, trzy martwe natury, jedną lalkę i jednego modela - dyskretnie odzianego, nie nagiego, muskularnego studenta chemii. Bardzo chciałam, żeby Robert więcej z nami malował i rysował, żebyśmy mogli zobaczyć, jak się to naprawdę robi. Niektóre z jego prac znalazły się na wiosennej wystawie wydziału i poszłam je obejrzeć. Pokazał tam cztery nowe płótna, wszystkie namalowane - gdzie?... w domu?... nocą? - podczas tego semestru, kiedy był z nami. Próbowałam dostrzec w nich lekcje, jakich udzielał nam podczas zajęć: formę, kompozycję, dobór kolorów, mieszanie farb. Obracał je do góry nogami, pracując nad nimi? Staralam się znaleźć w nich trójkąty, linie poziome, linie pionowe. Były jednak tak dziwne w swej tematyce, w żywej, oddychającej technice pędzla, że trudno było zajrzeć za kulisy i dostrzec metodę.

Jeden z wystawionych obrazów Roberta był autoportretem (widziałam go jeszcze raz, po latach, zanim go zniszczył) pełnym stonowanej intensywności, a dwa inne były niemal impresjonistyczne i przedstawiały górskie łąki i drzewa, a także dwóch współcześnie ubranych mężczyzn, którzy wychodzili z ram obrazu. Podobał mi się kontrast między dziewiętnastowieczną techniką i tymi nowoczesnymi postaciami. Jak się później dowiedziałam, Roberta nie obchodziło, czy ludzie będą uważali, że ma jakiś styl; traktował swoją pracę jak jeden rozciągnięty w czasie eksperyment i rzadko posługiwał się jednym spojrzeniem czy metodą dłużej niż kilka miesięcy.

No i było jeszcze czwarte płótno. Stałam przed nim bardzo długo, ponieważ nie mogłam się od tego powstrzymać - poznałam ją na długo przedtem, zanim Robert i ja zostaliśmy kochankami; istniała już, zawsze istniała. Był to portret kobiety w głęboko wyciętej, staromodnej sukni z rodzaju balowych; trzymała w jednej dłoni zamkniętą wachlarz, a w drugiej również zamkniętą książkę, jakby się nie mogła zdecydować, czy udać

się na przyjęcie, czy zostać w domu i poczytać. Włosy miała gęste i ciemne, miękkie loki ozdobione kwiatami. Wydawało mi się, że wyraz jej twarzy świadczy o zamyśleniu i głębokiej inteligencji, ledwie dostrzegalnej nieufności. Jakby coś rozważała, a potem nagle sobie uświadomiła, że jest obserwowana. Pamiętam, że się zastanawiałam, jak zdołał uchwycić tak przelotny wyraz twarzy.

To pewnie jego żona, przyszło mi do głowy, pozująca w kostiumie - portret odznaczał się niezwykle stopniem intymności. Nie wiem dlaczego, ale nie podobało mi się, że poznaję ją w taki sposób, zwłaszcza że zdążyłam już ją sobie wyobrazić jako nudną i zapracowaną, z dzieckiem i jakąś praktyczną posadą. Byłam trochę nieprzyjemnie zaskoczona myślą, że ta kobieta może być dla Roberta tak ważna, tak urocza. Wydawała się młoda, ale nie na tyle, by nie należeć do niego, i tak pełna subtelnie stłumionego ruchu, że człowiek spodziewał się lada chwila uśmiechu na jej ustach - ale tylko wówczas, gdy rozpoznałaby patrzącego na obraz. Robiło to niesamowite wrażenie.

Niezwykłe w tym płótnie było także otoczenie, scenografia. Dama ta siedziała na wielkiej czarnej sofie, odchylając się lekko, a za jej plecami, nad głową, wisiało lustro. Zostało tak umiejętnie namalowane, że niemal spodziewałam się ujrzeć w nim swoje odbicie. Zamiast jednak własnej postaci ujrzałam oddalonego Roberta Olivera przy sztalugach, w tym wymiętym współczesnym ubraniu, malującego samego siebie i jednocześnie malującego ją, a pośrodku zwierciadła jej miękkie pukle z tyłu głowy i szczupły kark. Twarz miał poważną i skupioną, kiedy na nią patrzył - była modelką i żoną jednocześnie.

A więc to do niego mogła się za moment uśmiechnąć. Poczułam ukłucie nieklamanej zazdrości, choć nie potrafiłam powiedzieć, czy to dlatego, że oczekiwałam, iż uśmiechnie się do mnie, czy dlatego, że nie chciałam, by Robert uśmiechnął się w odpowiedzi do niej. Lustro ukazywało jego postać i sztalugi w obramowaniu okna, które stanowiło źródło światła za plecami malarza - okno z treliazem, o kamiennym obrzeżu. W Barnett było kilka budynków w stylu gotyckiego renesansu z lat dwudziestych i trzydziestych; niewykluczone, że poszedł do stołówki albo do jednej ze starych sal wykładowych, by znaleźć w nich te elementy. Przez okno odbijające się w lustrze widać było plażę, urwisko morskie i błękitne niebo zlewające się z wodnym horyzontem.

Portret i autoportret, temat i widz, lustro i okno, pejzaż i architektura: był to niezwykle obraz, taki, który posługując się znanym powszechnie językiem naszego akademika i stołówki, zakłócał spokój umysłów. Chciałam stać przed nim bez końca, starając się rozszyfrować tę historię. Nazwał go *Olej na płótnie*, choć trzy pozostałe miały bardziej konkretne tytuły. Chciałam, żeby Robert wszedł do galerii i żebyśmy mogła go spytać, co ten

obraz oznacza, powiedzieć mu, jak jest przejmująco piękny i zagadkowy. Czułam coś w rodzaju cierpienia, wychodząc z wystawy i zostawiając to dzieło - zajrzałam do katalogu, który trzymałam w dłoni, ale galeria zdecydowała się zamieścić reprodukcję innego obrazu Roberta i omówić go w szczegółach, podczas gdy ten został tylko wymieniony i opatrzony datą. Pomyślałam, że mogę go więcej nie zobaczyć, mogę więcej nie ujrzeć tej kobiety, która odpowiadała na moje spojrzenie z taką tęsknotą - być może dlatego poszłam tam jeszcze dwa razy, nim zamknęli wystawę.

## 49

### MARY

A potem, pewnego dnia, pod koniec semestru, znów zobaczyłam Roberta. Zwieńczeniem naszych zajęć było małe przyjęcie w pracowni; kiedy mieliśmy się już rozstać, odprowadził nas wszystkich łaskawie do drzwi, nie obdarzając nikogo szczególną uwagą i racząc każdego dumnym uśmiechem; wyznał, że poszło nam wszystkim, bez wyjątku, lepiej, niż się spodziewał.

Kilka dni później, był to tydzień egzaminów, spieszyłam do biblioteki i na chodniku zasłanym płatkami kwiatów omal na niego nie wpadłam.

- Zabawne, że się na ciebie tu natykam - zauważył, zatrzymując się gwałtownie i wyciągając swoją długą rękę, jakby chciał mnie złapać albo zapobiec naszej faktycznej kolizji.

Jego dłoń zamknęła się na moim przedramieniu. Ten gest wydawał się nazbyt intymny, lecz przecież ja sama omal nie wylądowałam w jego objęciach.

- Dosłownie - dodałam i zostałam nagrodzona jego serdecznym śmiechem, którego nigdy wcześniej nie słyszałam.

Odrzucił do tyłu głowę; zatracił się w tej radości jakby na wpół świadomie. Też się roześmiałam, słysząc w jego głosie nutę szczęścia. Staliśmy zadowoleni pod wiosennymi drzewami, profesor i studentka, dwoje ludzi, których wspólna praca dobiegła końca. Nie pozostało już nic do powiedzenia, a jednak staliśmy tam dalej, uśmiechnięci, ponieważ był ciepły dzień, długa północna zima nie stłumiła naszych marzeń, a semestr miał się niedługo skończyć i uwolnić wszystkich - zapowiedź zmiany, ulgi.

- Zamierzam zapisać się na te warsztaty w letnim semestrze - powiedziałam, by wypełnić czymś przyjemną ciszę. - Jeszcze raz dziękuję za rekomendację. - Potem sobie przypomniałam: - Ach, poszłam na wystawę w galerii. Byłam zachwycona pańskimi obrazami.

Nie wspomniałam, że byłam tam trzy razy.

- No cóż, dzięki.

Nie dodał nic więcej; właśnie czegoś się o nim dowiedziałam - nie lubił komentować komentarzy na temat swoich dzieł.

- Prawdę mówiąc, mam mnóstwo pytań dotyczących jednego z nich - zaryzykowałam.  
- Chodzi mi o to, że zaciekało mnie tam parę rzeczy; żałowałam, że nie ma pana w galerii i że nie mogę od razu o to spytać.

Wtedy na jego twarzy pojawiło się coś dziwnego, jakby obcego; było to nieznaczące, niczym cieniutka, przezroczysta chmura w wiosenny dzień, a ja nigdy się nie dowiedziałam, czy się domyślił, o który obraz chodzi, ani czy to moje „żałowałam, że nie ma pana w galerii” wzbudziło w nim - co? Ostrzegawczy dreszcz? Czyż każda miłość nie wyraża się w ten sposób, że rozsiewa ziarna rozkwitu i zniszczenia wraz z pierwszymi słowami, pierwszym oddechem, pierwszą myślą? Zmarszczył czoło i spojrzał mi w oczy. Zastanawiałam się, czy jego uwaga skupia się na mnie, czy na czymś niewidocznym.

- Możesz mnie spytać - oznajmił z niejakim opóźnieniem. Potem się uśmiechnął. - Chcesz usiąść na chwilę?

Rozejrzał się, ja zrobiłam to samo - po drugiej stronie dziedzińca widać było krzesła i stoliki na tyłach stołówki.

- Może tam? - wskazał. - I tak chciałem zrobić sobie przerwę i napić się lemoniady.

W końcu zjedliśmy lunch, siedząc pośród studentów i ich plecaków; niektórzy wkuwali do egzaminów, inni rozmawiali w słonecznym blasku, mieszając kawę. Robert zamówił ogromną kanapkę z tuńczykiem i marynowanymi warzywami, do tego wielką porcję frytek; ja wzięłam sałatkę. Upierał się, że zapłaci za nas, a ja upierałam się, że kupię dwa duże papierowe kubki lemoniady - z mętnego pojemnika, ale i tak była niezła. Najpierw zjedliśmy w milczeniu. Ukończyłam swój ostatni obraz, pożegnaliśmy się na końcowych zajęciach i choć czekałam na odpowiedni moment, by spytać go o *Olej na płótnie*, czułam, że możemy być czymś w rodzaju przyjaciół, ponieważ nie graliśmy już ról wykładowcy i studentki. Odrzuciłam tę myśl jako arogancką, w chwili gdy się tylko pojawiła; był wielkim mistrzem, a ja nikim, z odrobiną jedynie talentu. Wcześniej nie dostrzegałam ptaków - że powracają po śnieżnej zimie - czy jasności drzew i budynków, okien w stołówce porośniętych pnączami i otwierającymi się na wiosnę.

Robert zapalił papierosa, przeprosiwszy wcześniej.

- Zwykle nie palę - wyjaśnił. - Kupiłem w tym tygodniu paczkę dla uczczenia końca zajęć. Nie zamierzam kupować więcej. Robię to raz do roku.

Wszedł do stołówki, żeby przynieść popielniczkę, i kiedy znów się pojawił, usiadł i powiedział:

- No dobra, wal prosto z mostu, ale musisz wiedzieć, że zwykle nie odpowiadam na pytania dotyczące mojej twórczości.

Nie wiedziałam; chciałam mu powiedzieć, że nic o nim nie wiem. Wyglądał jednak na rozbawionego czy gotowego do zabawy, a kiedy zarzucałam za ramiona włosy - wciąż sięgały mi talii i wciąż miały blond kolor, swój naturalny - jego oczy zdawały się je dostrzegać. Nie odezwał się jednak, więc to ja musiałam mówić.

- Czy to oznacza, że nie powinnam pana pytać?

- Możesz mnie pytać, ale ja mogę nie odpowiedzieć, to wszystko. Myślę, że malarze nie znają odpowiedzi na pytania dotyczące ich własnych dzieł. Nikt nie wie nic o obrazie z wyjątkiem samego obrazu. W każdym razie płótno, żeby oddziaływało, musi skrywać w sobie jakąś tajemnicę.

Dopiłam lemoniadę, zbierając się na odwagę.

- Wszystkie pańskie obrazy bardzo mi się podobały. Pejzaże są naprawdę wspaniałe. - Byłam wtedy zbyt młoda, by wiedzieć, jak zabrzmiałoby to w uszach geniusza, ale przynajmniej zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam wspominać o autoportrecie. - Chciałam spytać o ten duży obraz, ten z kobietą siedzącą na sofie. Zakładałam, że to pańska żona, ale ona ma na sobie tę niezwykłą, staromodną suknię. Jaka historia się za tym kryje?

Znów spojrzał na mnie, ale tym razem był nieobecny myślami, pełen rezerwy.

- Historia?

- Tak. Chodzi mi o to, że to płótno jest tak szczegółowe - okna i lustro - jest tak skomplikowane, a postać wydaje się całkowicie żywa. Pozowała panu czy może malował pan z fotografii?

Przenikał mnie wzrokiem, byłam pewna, że widzi kamienną ścianę za moimi plecami - ścianę budynku z siedzibą związku studentów.

- Nie jest moją żoną i nie posługuję się zdjęciami. - Głos miał łagodny. Sięgnął po papierosa. Przyjrzał się swej drugiej dłoni na stole, rozluźniając palce, aplikując masaż stawom: powolna droga artysty ku artretyzmowi, jak później zrozumiałam. Kiedy znów podniósł wzrok, jego oczy były zmrużone, ale patrzył na mnie, nie na jakiś mglisty horyzont. - Jeśli ci powiem, kim jest, dochowasz tajemnicy?

Poczułam ukłucie, kiedy to powiedział, swoiste przerażenie, jakie odczuwa dziecko, gdy dorosły zapowiada, że za chwilę zdradzi mu coś poważnego - jakiś osobisty smutek czy problem natury finansowej, coś, czego słuchacz już się domyślał, ale co powinno mu być oszczędzone jeszcze przez kilka lat, albo, Boże broń, coś przerażającego, związanego z seksem. Zamierzał mi powiedzieć o skrywanym, plugawym życiu miłosnym? Ludziom w

średnim wieku przytrafiały się czasem takie historie, choć byli na nie za starzy i powinni się wykazywać większym rozumem. Jakież to wydawało się słodkie - być młodym i wolnym, obnosić się ze swymi uczuciami, błędami i pragnieniami ciała! Miałam w zwyczaju litować się nad każdym powyżej trzydziestki i w okrutny sposób nie czyniłam wyjątku dla naruszonego zębem czasu Roberta Olivera z jego wiosennym papierosem.

- Jasne - zapewniłam, choć serce zabiło mi żywiej. - Potrafię dochować tajemnicy.

- No cóż... - Strzepnął popiół do pożyczonej popielniczki. - Prawda wygląda tak, że nie wiem, kto to jest. - Zamrugał pospiesznie. - O Boże - powiedział, a w jego głosie zabrzmiała autentyczna nuta rozpaczy. - Gdybym tylko to wiedział!

Było to tak zaskakujące, tak bardzo wykluczające jakąkolwiek odpowiedź, tak niepokojące i dziwaczne, że przez kilka chwil się nie odzywałam, niemal udając, że nie wypowiedział tego ostatniego zdania. Po prostu nie mogłam się w tym wszystkim połapać, nie wiedziałam, jak zareagować. Jak mógł namalować kogoś i nie wiedzieć, kto to jest? Zakładałam wcześniej, że malował swoich przyjaciół albo żonę, albo wynajętych modeli, ilekroć pragnął, żeby to ludzie mu pozowali. Mógł ściągnąć jakąś wspaniałą kobietę z ulicy, niczym Picasso? Nie chciałam pytać go o to wprost, żeby nie zdradzać swojego zmieszania i ignorancji. Potem przyszło mi do głowy pewne wytłumaczenie.

- Mam rozumieć, że pan ją sobie wyobraził?

Tym razem sposepniał, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy mimo wszystko go lubię. Może był na dobrą sprawę podły. Albo obłąkany.

- Och, jest realna w jakimś sensie. - Potem się uśmiechnął ku mojej niewymownej uldze, choć byłam odrobinę urażona. Wyciągnął następnego papierosa z paczki. - Chcesz jeszcze lemoniady?

- Nie, dziękuję - odparłam.

Moja duma była zraniona. Wspomniał o straszliwej tajemnicy, nie dając mi do niej żadnego klucza; zdawał się też nie dostrzegać, że mnie z niej wyłącza - swoją studentkę, gościa przy stoliku, dziewczynę o pięknych włosach. Było w tym też coś niesamowitego. Przyszło mi do głowy, że gdyby wyjaśnił, co się kryje pod jego dziwnymi wypowiedziami, to z miejsca doznałabym oświecenia, jeśli chodzi o naturę malarstwa, cud sztuki, ale najwidoczniej zakładał z góry, że i tak bym nie zrozumiała. W jakiejś mierze nie chciałam poznać tych jego dziwacznych sekretów, ale jednocześnie nie dawały mi one spokoju. Umieściłam schludnie kubek i biały plastikowy widelec na talerzu, jakbym uczestniczyła w jednym z przyjęć Muzzy dla jej przyjaciółek.

- Przepraszam, muszę wracać do biblioteki. Egzamin. - Wstałam, wyzywająca w



swoich dżinsach i wysokich butach, ten jeden raz wyższa od swojego wykładowcy, który wciąż siedział. - Dziękuję za lunch. To było miłe z pana strony.

Zaczęłam zbierać swoje rzeczy, nie patrząc na niego. On też wstał i powstrzymał mnie, kładąc mi swą wielką dłoń na ramieniu; odstawiłam talerz z powrotem.

- Gniewasz się - zauważył z niejakim zdziwieniem w głosie. - Dlaczego cię zdenerwowałem? Chodzi o to, że nie odpowiedziałem na twoje pytanie?

- Nie mogę winić pana za przypuszczenie, że nie zrozumiałabym pańskiej odpowiedzi - oznajmiłam sztywno. - Ale dlaczego bawi się pan ze mną? Albo zna pan tę kobietę, albo nie, prawda?

Jego dłoń, dotykająca mnie przez materiał bluzki, była cudownie ciepła; nie chciałam, by ją zabrał, nigdy, ale sekundę później to zrobił.

- Przepraszam - powiedział. - Mówiłem prawdę. Nie rozumiem, kim w rzeczywistości jest ta kobieta na moim obrazie.

Usiadł ponownie i nie musiał wskazywać mi krzesła; usiadłam razem z nim, powoli. Potrząsnął głową i wlepił spojrzenie w stół z rozmazaną na brzegu smugą, chyba ptasich odchodów.

- Nie potrafię tego wyjaśnić nawet własnej żonie; chyba nie chciałaby o tym słuchać. Spotkałem tę kobietę wiele lat temu, w Metropolitan Museum, w zatłoczonej sali. Planowałem wówczas wystawę, wszystkie obrazy miały przedstawiać młodziutkie tancerki, niektóre były jeszcze dziećmi - wydawały się takie doskonałe, jak małe ptaki. Zaczęłem tam chodzić, żeby oglądać Degasa jako punkt odniesienia, bo oczywiście był jednym z mistrzowskich malarzy tańca, zapewne największym, jaki kiedykolwiek żył.

Przytaknęłam z dumą; tym razem wiedziałam, o czym mówi.

- Widziałem ją podczas jednej z ostatnich wizyt w muzeum, zanim przeprowadziliśmy się do Greenhill, i nie mogłem się uwolnić od jej obrazu, który utkwiał mi w myślach. Nigdy. Nie mogłem jej zapomnieć.

- Musiała być piękna - zaryzykowałam.

- Bardzo - przyznał. - I nie tylko piękna.

Wydawał się zagubiony, jakby znów był w tym muzeum, wpatrując się w kobietę w tłumie, która chwilę później zniknęła; wyczuwałam nagły romans, uczucie zrodzone w jednej sekundzie, i zaczęłam być zazdrosna o tę obcą osobę, trwającą uparcie w jego myślach. Dopiero później przyszło mi do głowy, że nawet Robert Oliver nie potrafiłby tak szybko zapamiętać twarzy.

- Wrócił pan tam, żeby ją odszukać? - Miałam nadzieję, że nie.

- Och, oczywiście! Widziałem ją jeszcze kilka razy, a potem już nigdy.

Niespełniony romans.

- Więc zaczął ją pan sobie wyobrażać - drążyłam.

Tym razem uśmiechnął się do mnie, a ja poczułam na karku rozlewające się ciepło.

- No cóż, chyba masz rację. Tak, zacząłem ją sobie wyobrażać.

Znowu wstał, pewny siebie i dający poczucie bezpieczeństwa, i ruszyliśmy zgodnie w stronę siedziby związku studentów. Zatrzymał się w blasku słońca i wyciągnął rękę.

- Udanego lata, Mary. Powodzenia jesienią na studiach. Myślę, że sporo osiągniesz, jeśli będziesz wytrwała.

- Powodzenia - odparłam żałośnie, uśmiechając się. - To znaczy w nauczaniu, w pańskiej pracy. Od razu wraca pan do domu?

- Tak, tak, w przyszłym tygodniu.

Nachylił się i pocałował mnie w policzek, jakby żegnał się z całym kampusem i wszystkimi swoimi studentami, i wietrzną Północą. Bezosobowość tego gestu pozbawiła mnie tchu. Wargi miał ciepłe i przyjemnie suche.

- No cóż, do widzenia - powiedziałam i obróciłam się na pięcie, a potem odeszłam wbrew sobie.

Jedyną niespodzianką było to, że nie słyszałam, by się odwrócił i ruszył w przeciwną stronę; czułam, że stoi tam długi czas, a ja byłam zbyt dumna, by samej się odwrócić. Myślałam, że prawdopodobnie tkwi w miejscu, wpatrując się w swoje stopy albo chodnik, zatracony w wizji kobiety, którą widział przelotnie kilka razy w Nowym Jorku, a może marzył o swej żonie i dzieciach czekających na niego w domu. Z pewnością odczuwał podniecenie na myśl o zostawieniu college'u i powrocie do rodziny oraz prawdziwego życia. Ale powiedział mi także: „Nie potrafię tego wyjaśnić nawet własnej żonie”. Mimo wszystko podjął w mojej obecności przypadkową próbę powiedzenia czegoś konkretnego o swojej wizji; byłam uprzywilejowana. Pozostało to ze mną, tak jak z nim pozostało oblicze nieznajomej kobiety.

## 50

### MARY

Po naszym rozstaniu, wiele miesięcy temu, zaczęłam rysować rankami w restauracji, do której wciąż uczęszczam. Zawsze lubiłam to wyrażenie: „uczęszczać”. Potrzebowałam miejsca z dala od pracowni uniwersytetu, gdzie obecnie nauczam. W okolicy jest niewiele lokali dostatecznie kameralnych, by mógł w nich przesiadywać wykładowca. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że człowiek się natknie na byłego studenta (albo, co gorsza, obecnego) i nawiąże z nim rozmowę. Znalazłam więc knajpkę w połowie drogi między domem a pracą, przy stacji metra, naprawdę fajne miejsce.

Nie chodzi o to, że nie lubię swoich studentów; wręcz przeciwnie, są teraz moim życiem, jedynymi dziećmi, jakie kiedykolwiek będę miała, moją przyszłością. Kocham ich, także ich kryzysy, wymówki i egoizm. Lubię widzieć, jak ogarnia ich nagłe olśnienie malowaniem albo jak zaczynają zdradzać skłonność do akwareli, nawiązywać miłosny związek z węglem - albo jak rodzi się w nich obsesja błękitu, co ujawnia się z wolna na wszystkich ich płótnach, tak że muszą wyjaśniać pozostałym, co się dzieje. „Po prostu... mnie to bierze”. Zwykle jednak nie potrafią tego wytłumaczyć; każda nowa miłość pochłania ich bez reszty. Jeśli nie jest to malowanie, to czasem, niestety, jest to alkohol albo koka (choć tak naprawdę mi o tym nie mówią), albo młoda kobieta czy mężczyzna na zajęciach z historii, albo próby przed jakąś sztuką; mają ciemne smugi pod oczami, garbią się na zajęciach, ożywiają, kiedy wyciągam jakiegoś Gauguina, którego lubili w szkole średniej, i wołają: „To moje!” Robią mi prezenty na koniec semestru z pomalowanych kartonów na jajka. Kocham ich.

Ale niekiedy trzeba uciec od studentów, żeby zająć się własną pracą, więc jeśli mogłam wygospodarować przed zajęciami trochę czasu, miałam w zwyczaju rysować z natury w swojej ulubionej restauracji, tuż po śniadaniu. Rysowałam rzędy filiżanek na półce, podrabiany wazon z epoki Ming, stoliki i krzesła, znak „wyjście”, zbyt znajomy plakat Muchy obok stoiska z gazetami, butelki z włoskim syropem o różnych, ale niemal jednobarwnych nalepkach, wreszcie ludzi. Znów przestałam się krępować, rysując obcych,

tak jak wtedy, kiedy sama byłam studentką - trzy Azjatki w średnim wieku, rozmawiające szybko nad babeczkami i papierowymi kubkami, albo młodego mężczyznę z długim kucykiem, na wpół śpiącego przy swoim stoliku, albo kobietę po czterdziestce z laptopem.

Pozwoliło mi to ponownie dostrzegać ludzi i złagodziło nieco ból wywołany przez Roberta - to uczucie, że jestem jedną z wielu i że ci inni - ze swoimi różnymi marynarkami i okularami, o oczach w odmiennym kształcie i kolorze - też mają swoich Robertów, swoje niewiarygodne klęski, przyjemności i żale. Starłam się oddać tę przyjemność i ten żal w rysunkach, które ich przedstawiały. Niektórzy lubili, kiedy ich uwieczniałam, i uśmiechali się do mnie ukradkiem. Te poranki, na swój mało znaczący sposób, pozwalały mi jakoś zaakceptować fakt, że jestem sama i że nie chcę patrzeć na innych mężczyzn, choć może z czasem się to zmieni. Za jakieś sto lat.

1879

*Mon cher ami,*

*Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie napisałeś ani nas nie odwiedziłeś w ciągu tych kilku minionych tygodni. Czy uczyniłam coś, co Cię uraziło? Sądziłam, że wciąż Cię nie ma, ale Yves mówi, że jesteś w mieście. Być może myliłam się, przeceniając Twoje uczucie, w którym to wypadku proszę, byś wybaczył swej przyjaciółce ten błąd.*

*Béatrice de Clerval*

# 51

## *MARLOW*

Rankiem, po mojej kolacji z Mary Bertison, ruch na drodze był spory, pewnie dlatego, że wyjechałem do pracy późno. Lubię wszystkich wyprzedzać, zjawiać się na miejscu przed recepcjonistkami, mieć uliczki, parking i korytarze Goldengrove wyłącznie dla siebie, nadrabiać zaległości w papierach w ciągu dwudziestu minut samotności. Tego ranka jednak zwlekałem z wyjazdem - wpatrywałem się w słońce na swoim samotnym stole, gotowałem drugie jajko. Po naszym przyjaznym posiłku wsadziłem Mary do taksówki - nie przyjęła mojej grzecznie wyrażonej propozycji podwiezienia jej pod drzwi domu - ale mieszkanie, do którego nie wróciła, moje mieszkanie, wydawało się rankiem pełne jej osoby. Widziałem ją siedzącą na sofie, na przemian niespokojną, wrogą, ufną.

Nalałem sobie drugą filiżankę kawy, wiedząc, że będę tego później żałował; spojrzałem przez okno na drzewa przy ulicy, teraz całe w zieleni, okryte liśćmi w oczekiwaniu lata. Przypomniałem sobie jej długą dłoń, która zbyła niedbałym ruchem jakiś argument z mojej strony. Przy kolacji rozmawialiśmy o książkach i malowaniu; dała jasno do zrozumienia, że ma dość konwersacji o Robercie Oliverze jak na jeden wieczór. Tego ranka jednak wciąż pamiętałem drżenie jej głosu, kiedy mi powiedziała, że woli o nim napisać niż mówić.

W połowie drogi do Goldengrove wyłączyłem swoje ulubione obecnie nagranie, którego zwykle w tym momencie słuchałem nieco głośniejsz - suitę francuskie Bacha w wykonaniu Andrasa Schiffa; olśniewający nurt, potem leciutkie zmarszczenie światła, potem znów pęd wody. Powiedziałem sobie, że wyłączam muzykę, ponieważ nie mogę się skupić na zatłoczonej jezdni i jednocześnie słuchać tego nagrania z odpowiednim uznaniem; kierowcy zajeżdżali sobie drogę na skrętach, trąbili jak najęci, zatrzymywali się zniechęceni.

Nie byłem też jednak pewien, czy jest w moim samochodzie dość miejsca na Bacha i obecność Mary, na wspomnienie jej gorliwości przy kolacji, kiedy to zapomniała na kilka minut o Robercie Oliverze i mówiła o swoich ostatnich obrazach, cyklu przedstawiającym kobiety w bieli. Spytałem z szacunkiem, czy mogę je kiedyś zobaczyć - bądź co bądź widziała

przez chwilę mój małomiasteczkowy pejzaż, a nie zaliczałem go nawet do swoich największych osiągnięć. Zawahała się, zgodziła nieznacznie, zachowując wyraźny dystans między nami. Nie, nie było w moim samochodzie miejsca na suitę francuskie, na pogłębiającą się zieleń poboczy i czujną, czystą twarz Mary Bertison. Albo może nie było miejsca dla mnie. Nigdy jeszcze ten wóz nie wydawał mi się tak mały, nigdy jeszcze nie pragnąłem tak bardzo mieć odsuwanego dachu.

Po porannym obchodzie zastałem pokój Roberta pusty. Zostawiłem go sobie na koniec, a jego nie było. Pielęgniarka w holu powiedziała mi, że spaceruje na zewnątrz w towarzystwie kogoś z personelu, ale kiedy wyszedłem tylnymi drzwiami na werandę, nigdzie go nie dostrzegłem. Chyba nie wspominałem jeszcze, że Goldengrove, jak mój gabinet w Dupont Circle, to relikwium wspanialszych dni, posiadłość, która widywała przyjęcia w epoce Gatsby'ego i MGM; zastanawiam się często, czy człapiący jego korytarzami pacjenci nie są podniesieni na duchu, czy może nawet odrobinę uleczeni widokiem tej elegancji w stylu art deco, która ich otacza, słonecznymi ścianami i imitacją egipskich fryzów. Budynek wyremontowano wewnątrz i na zewnątrz kilka lat przed moim przybyciem. Lubię zwłaszcza werandę, która ma serpentynową ścianę z suszonej cegły i wysokie donice, wypełnione (częściowo za moją namową) białymi pelargoniami. Rozciąga się stamtąd widok na cały teren ośrodka, aż po smugę drzew wzdłuż Little Sheridan, dziwnie leniwego, jakby pozbawionego przekonania dopływu Potomacu. Niektóre z dawnych ogrodów zostały odtworzone, choć przywrócenie wszystkich do życia przekraczałoby nasze możliwości. Są tam grządki i duży zegar słoneczny, który jest jednak młodszy od samego budynku. W zagłębieniu między Ogrodami rozciąga się małe i płytkie jezioro (zbyt płytkie, by ktokolwiek zdołał się w nim utopić), z domkiem letnim po przeciwległej stronie (zbyt niskim jak na samobójczy skok z dachu, a belki stropowe wewnątrz pokrywa spadzisty sufit, co ma zapobiegać próbom wykorzystania ich w charakterze szubienicy).

Wszystko to robi wrażenie na rodzinach, które pragną, by ich bliscy zaznali względnego spokoju tego miejsca; widuję czasem ludzi na werandzie, którzy ocierają łzy, zapewniając się nawzajem: „Spójrz, jak tu pięknie, a on (czy ona) będzie przebywał tu tylko jakiś czas”. I zazwyczaj przebywa tylko jakiś czas. Większość tych rodzin nie zobaczy nigdy publicznych szpitali, gdzie wysyła się ludzi pozbawionych jakichkolwiek pieniędzy, by zmagali się ze swoimi demonami - do miejsc bez ogrodów, świeżej farby, a czasem nawet papieru toaletowego. Widziałem niektóre z nich jako stażysta i trudno mi zapomnieć ten widok, choć jestem tutaj, zatrudniony w prywatnym szpitalu, gdzie prawdopodobnie

pozostaną. Nie wiemy dokładnie, w którym momencie gdzieś utykamy albo tracimy energię, by coś zmienić, ale tak jest. Może powinienem bardziej się starać. Czuję się jednak na swój sposób potrzebny i użyteczny.

Przeszedłem się na drugi koniec werandy i w pewnej odległości zobaczyłem Roberta na trawniku. Nie spacerował, tylko malował, sztalugi, które mu dałem, ustawił tak, że był obrócony twarzą do rozległego widoku na rzekę i jej brzeg. Jego opiekun znajdował się w pobliżu, chodząc z pacjentem, który najwidoczniej uparł się, by pozostać w szlafroku kąpielowym. Ilu ostatecznie z nas ubierałoby się rano, gdybyśmy mieli wybór? Zauważyłem z zadowoleniem, że personel przestrzega moich poleceń, by obserwować Roberta Olivera uważnie, ale jednocześnie dyskretnie i z szacunkiem. Zapewne w ogóle nie lubił być obserwowany, ale z pewnością doceniał tę odrobinę prywatności, którą mu zagwarantowano w trakcie leczenia.

Przyglądałem się jego postaci, podczas gdy on studiował krajobraz; wybrałby to wyższe, dość zniekształcone drzewo po prawej, przewidywałem, zignorował natomiast ten silos na farmie, ukazujący się ponad drzewami, daleko po lewej stronie, na drugim brzegu Sheridan. Jego ramiona (w spłowiałej koszuli, którą wkładał prawie codziennie, nie zwracając uwagi na fakt, że dostarczyłem mu kilka innych) były wyprostowane, głowa nachylona lekko ku sztalugom, choć oceniałem, że ich podpórki na śrubach rozciągnął maksymalnie. Jego własne nogi w pozbawionych kroju spodniach khaki sprawiały wrażenie bardzo zgrabnych; w zamyśleniu przestąpił z jednej na drugą.

Obserwowanie go, kiedy malował, było czymś nadzwyczajnym - robiłem to już wcześniej, ale zawsze we wnętrzu, gdzie zdawał sobie sprawę z mojej obecności. Teraz mogłem patrzeć na niego bez obawy, że o tym wie, choć nie widziałem samego płótna. Zastanawiałem się, co dałaby Mary Bertison, by stać w tym miejscu przez kilka minut; ale nie - powiedziała mi, że nie chce więcej widzieć Roberta. Gdybym mu pomógł, a on wróciłby do tego świata, znów się stał nauczycielem, malarzem, człowiekiem wystawiającym swoje prace, byłym mężem, ojcem, który wciąż kocha swoje dzieci, kimś, kto kupuje warzywa, chodzi na siłownię i splanca małe mieszkanie w Waszyngtonie, w Greenhill albo Santa Fe, to czy nadal trzymałby się z dala od Mary? I, co ważniejsze, czy ona wciąż odczuwałaby gniew wobec Roberta? Czy zachowywałem się paskudnie, mając nadzieję, że tak właśnie jest?

Ruszyłem spacerkiem w jego stronę, z rękami założonymi na plecach, i nie odezwałem się, dopóki nie dzieliła nas odległość kilku kroków. Odwrócił się szybko i posłał mi złowrogie spojrzenie - lew w klatce, kraty, do których się lepiej nie zbliżać. Skłoniłem głowę, by dać mu do zrozumienia, że moja ingerencja podyktowana jest najlepszymi



intencjami.

- Dzień dobry, Robercie.

Wrócił do pracy; dowodziło to przynajmniej pewnego zaufania, a może był zbyt zaabsorbowany, by ktokolwiek mógł mu przeszkadzać. Stałem obok niego i patrzyłem na płótno, mając nadzieję, że skłonię go do jakiejś reakcji, ale on dalej wlepił wzrok w obraz, analizował i umieszczał farbę na płótnie. Po chwili podniósł pędzel na wysokość oczu i popatrzył na odległy horyzont, potem obrzucił spojrzeniem swoje dzieło i nachylił masywną sylwetkę, by skupić się na wielkim kamieniu przy krawędzi malowanego jeziora. Pracował nad tym obrazem co najmniej od dwóch godzin, jak się zorientowałem, chyba że był niewyobrażalnie szybki; płótno zaczęło zamieniać się z wolna w ukształtowane do końca formy. Podziwiałem światło na powierzchni wody i miękką żywość odległych drzew.

Nie wypowiedziałem jednak głośno swego podziwu, bojąc się jego milczenia, które mogło stłumić nawet najserdeczniejsze słowa z mojej strony. Widok Roberta malującego coś innego niż ciemnooką damę i jej smutny uśmiech - zwłaszcza malującego coś z natury - podnosił na duchu. Mój pacjent trzymał w prawej dłoni dwa pędzle, a ja obserwowałem w milczeniu, jak używa ich na przemian - nawyk, wprawa nabywana przez pół życia. Miałem mu powiedzieć, że spotkałem Mary Bertison? Że przy dobrym winie i rybie zaczęła opowiadać mi swoją historię, a także część jego historii? Że wciąż kocha go na tyle, by mi pomagać w jego leczeniu; że jej włosy błyszczą w każdym świetle, które się od nich odbija, dobywając z nich miedziany, złoty i liliowy blask; że nie potrafi wymówić jego imienia bez drżenia w głosie czy zawziętości; że widziałem, w jaki sposób trzyma widelec, jak zachowuje równowagę, opierając się o ścianę, jak krzyżuje ramiona w buntowniczym geście wobec świata; że, tak jak jego była żona, nie jest modelem portretu, który dobywał raz za razem ze swego gniewnego pędzla; że ona, Mary, jakimś cudem zawiera w sobie tajemnicę tożsamości owej modelki, nie znając tego sekretu do końca; że zamierzam znaleźć kobietę, którą pokochał bardziej niż kogokolwiek innego, i dowiedzieć się, dlaczego skradła mu nie tylko serce, ale także umysł?

To właśnie stanowi istotę choroby psychicznej, jeśli odrzucić definicje kliniczne i rozważać jedynie ludzkie życie - dochodziłem do wniosku, obserwując, jak z myślą o wierzchołkach drzew nabiera na pędzel odrobinę bieli i żółcieni kadmowej. Nie jest obłędem, gdy ktoś pozwala innej osobie, przekonaniu albo miejscu zawładnąć swoim sercem. Ale jeśli ten ktoś wyrzeka się dla nich umysłu, pozbawia zdolności podejmowania decyzji, to ostatecznie zaczyna ulegać chorobie - jeśli już wcześniej nie zdradzał jej oznak. Przeniósłem wzrok z Roberta na jego pejzaż, szare połacie nieba, które prawdopodobnie zamierzał powlec

chmurami, postrzępiony fragment na jeziorze, który z pewnością miał się wypełnić ich odbiciem. Przyszło mi do głowy, że upłynęło dużo czasu, odkąd myślałem o schorzeniach, które próbowałem leczyć dzień za dniem. Czy o samej miłości.

- Dziękuję, Robercie - powiedziałem głośno.

Nie odwrócił się, by zobaczyć, jak odchodzę, a jeśli tak, to ujrzał tylko moje plecy.

Tego wieczoru zadzwoniła Mary. Zaskoczyło mnie to ogromnie - planowałem sam do niej zadzwonić, ale odczekawszy kilka dni - i przez chwilę nie mogłem się zorientować, kto mówi. Ten alt, który polubiłem jeszcze bardziej podczas naszej kolacji, był pełen wahania, kiedy mi powiedziała, że zastanawiała się nad swoją obietnicą spisania dla mnie swych wspomnień o Robercie. Chciała robić to partiami. Byłoby to dobre także dla niej; miała mi je przysyłać pocztą. Mógłbym, gdybym zechciał, ułożyć z nich całą opowieść albo potraktować jako makulaturę. Już zaczęła pisać. Potem roześmiała się nerwowo.

Przez chwilę byłem rozczarowany, ponieważ taki układ oznaczał, że nie spotkamy się osobiście. Choć po co właściwie miałbym się z nią spotykać po raz drugi? Była wolną, niezamężną kobietą, ale też była dziewczyną mojego pacjenta. Potem usłyszałem, jak mówi, że chciałaby się kiedyś spotkać na kolacji - teraz z kolei ona mnie zapraszała, ponieważ pomimo jej protestów uparłem się, by zapłacić za pierwszy posiłek - i może byłoby lepiej poczekać z tym do chwili, gdy już prześle mi wspomnienia w całości. Nie wiedziała, jak długo może to potrwać, ale wyznała, że bardzo chce się spotkać; zabawnie jej się ze mną rozmawiało. To proste słowo, „zabawnie”, z jakiegoś powodu dotknęło mnie do żywego. Odparłem, że też chcę się spotkać i że będę czekał na jej przesyłki. I odłożyłem słuchawkę, uśmiechając się mimochodem.

## 52

### MARY

Zakochanie się w kimś niedostępnym jest jak obraz, który kiedyś widziałam. Nie nabrałam wtedy jeszcze nawyku - obecnie już kilkuletniego - zapisywania podstawowych informacji o jakimkolwiek płótnie, które zwróciło moją uwagę w muzeum czy galerii, w książce czy czyimś domu. W pracowni, prócz wszelkich kart z reprodukcjami, trzymam pudło fiszek, a na każdej z nich widnieje moje pismo: tytuł obrazu, nazwisko artysty, data powstania, miejsce, w którym zobaczyłam to dzieło, streszczenie jego historii na tabliczce muzealnej czy w książce, czasem nawet surowy opis - wieża kościoła na lewo, droga w tle.

Kiedy ogarnia mnie zniechęcenie albo nie wiem, co dalej z moim własnym płótnem, wertuję te swoje karty i wpadam na jakiś pomysł; dodaję wieżę kościoła, drapuję modela w czerwień albo przełamuję fale w pięć oddzielnych, ostrych grzebieni. Od czasu do czasu zdarza mi się przeglądać fiszki, w rzeczywistości albo w wyobraźni, w poszukiwaniu tego ważnego obrazu, którego nie ma w moim archiwum. Widziałam go, mając dwadzieścia kilka lat (nie pamiętam nawet roku), prawdopodobnie na jakiejś wystawie, ponieważ po studiach chodziłam do każdego muzeum, jakie tylko mogłam znaleźć, wszędzie tam, gdzie akurat przebywałam.

Było to płótno impresjonistyczne; tylko tego jestem pewna. Przedstawiało mężczyznę siedzącego na ławce w ogrodzie, w jednym z tych dzikich i bujnych ogrodów, które tak lubili impresjoniści i które nawet sami zakładali, kiedy były im potrzebne - esencja buntu przeciwko formalizmowi francuskich ogrodów i francuskiego malarstwa. Wysoki mężczyzna siedział tam na ławce, w altanie tonącej w zieleni i lawendzie, ubrany jak dżentelmen - przypuszczam, że był dżentelmenem - w elegancki surdut i kamizelkę, szare spodnie, kapelusz bladego koloru. Wyglądał na zadowolonego z siebie, ale też lekko zaniepokojonego, jakby czegoś nasłuchiwał. Jeśli patrzący odsuwał się od obrazu, to widział wyraz twarzy tego człowieka dokładniej. (Jeszcze jeden powód, dla którego wydaje mi się, że widziałam to płótno na żywo, nie w książce; pamiętam, jak się cofałam).

Obok niego, na krześle ogrodowym - na innej ławeczce? na huśtawce? - siedziała

dama, której kostium współgrał z jego ubiorem: eleganckie czarne paski na białym tle, poza tym niewielki kapelusik, przekrzywiony do przodu i zakrywający zebrane wysoko włosy, oraz pasiasty parasol pod ręką. Jeśli widz oddalił się bardziej od obrazu, mógł dostrzec jeszcze jedną postać kobiecą, spacerującą między kwitnącymi zaroślami w tle; miękkie barwy jej sukni niemal zlewały się z ogrodem. Włosy miała jasne, nie ciemne jak dwoje pozostałych, i nie nosiła kapelusza, co oznaczało, jak sądziłam, że jest młodsza albo że brak jej szacowności. Całość ujęta była w złotą ramę, wspaniałą, ozdobną i dość brudną.

Nie pamiętam, czy kiedy ten obraz ujrzałam, w jakiś sposób łączyłam go ze sobą; po prostu pozostał ze mną jak sen, w myślach zaś powracałam do niego raz za razem. Prawdę mówiąc, latami przeglądałam różne opracowania na temat impresjonizmu, lecz nie mogłam go znaleźć. Przede wszystkim nie mam żadnej pewności, że był francuski - tylko wyglądał na dzieło francuskiego impresjonizmu. Ów dżentelmen i jego dwie damy mogli równie dobrze przebywać w dziewiętnastowiecznym ogrodzie w San Francisco, Connecticut, Sussex czy nawet w Toskanii. Tyle razy przeglądałam ten obraz w pamięci, że czasem mam wrażenie, jakbym sama go wymyśliła albo jakby mi się przyśnił pewnej nocy, a ja zapamiętałam go nazajutrz rano.

Jednak widzę bardzo wyraźnie tych ludzi w ogrodzie. Nigdy nie chciałam zakłócić równowagi kompozycji, którą tworzą, jednak w wizerunku tej wyrafinowanej, formalnej, pasiastej kobiety po lewej stronie płótna wyczuwa się napięcie: dlaczego ta młodsza kobieta w kwitnących zaroślach zdaje się nie mieć swojego miejsca? Czy jest córką tego mężczyzny? Nie, coś mówi widzowi - to znaczy mnie - w dodatku zdecydowanie. Bezustannie opuszcza ramy płótna, zmierzając ku prawej stronie, niechętna swemu odejściu. Dlaczego ten elegancko ubrany mężczyzna nie wstanie i nie złapie jej za rękaw, nie zatrzyma na kilka minut, nie powie jej - zanim ona odejdzie - że ją też kocha, że zawsze ją kochał?

Wtedy wyobrażam sobie, jak te dwie postaci się ruszają, podczas gdy słońce rzuca bezustannie swe promienie w dół, na chaotyczne, chropowato namalowane kwiaty i krzewy, a dobrze ubrana dama pozostaje nieporuszona, pewna swego miejsca u boku mężczyzny. Dżentelmen jednak podnosi się z miejsca, opuszcza altanę zamaszystym krokiem, jakby pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu, i chwyta dziewczynę w miękkiej sukni za rękaw, za ramię. Ona też jest na swój sposób zdecydowana. Dzieli ich tylko kwiaty, muskające jej spódnicę i pozostawiające pyłek na nogawkach jego sztych na miarę spodni. Jego ręce odznaczają się oliwkową skórą, nieco grubą, nawet nieco gruzłowatą w miejscu stawów. Zatrzymuje ją uściskiem dłoni. Nigdy wcześniej w ten sposób nie rozmawiali - nie, nawet teraz nie rozmawiają. Od razu padają sobie w ramiona, ich twarze ogrzewają się w gorącym

słońcu. Nie sędę nawet, by całowali się w pierwszej chwili; ona szlocha z ulgi, ponieważ dotyk jego pokrytego zarostem policzka na jej czole jest taki, jak sobie wyobrażała, i może on też szlocha?

1879

*Moja ukochana,*

*Wybacz mi, że byłem słaby i do Ciebie nie pisałem, i że trzymałem się z daleka w tak nieprzystojny sposób. Z początku była to, owszem, normalna nieobecność - tak jak Ci mówiłem, wyjechałem na południe, by spędzić tam jakiś tydzień i odpocząć po drobnej niedyspozycji. Była to jednak również wymówka; udałem się tam nie tylko po to, by wyzdrowieć z zaziębienia, i z myślą o namalowaniu krajobrazu, którego nie widziałem od lat; pragnąłem też wyzdrowieć ze znacznie głębszej przypadłości, o której wspomniałem Ci jakiś czas temu. Nie poczyniłem żadnych pod tym względem postępów, jak możesz się zorientować, widząc nagłówek owego listu. Byłaś bezustannie ze mną, moja muzo, i myślałem o Tobie z budzącą lęk wyrazistością, nie tylko o Twoim pięknie i miłym towarzystwie, lecz także o Twoim śmiechu i najdrobniejszym geście, każdym słowie, które do mnie wypowiedziałaś od chwili, gdy po raz pierwszy zacząłem Cię lubić bardziej, niż powinienem, gdy po raz pierwszy doznałem tego uczucia, którego doznaję w Twojej obecności.*

*Tak więc wróciłem do Paryża nie mniej cierpiący niż wówczas, gdy go opuszczałem, po przyjeździe zaś postanowiłem rzucić się w wir pracy i zostawić Cię w spokoju. Nie będę ukrywał przed Tobą przyjemności, jaką sprawił mi Twój list - myśl, że być może w jakiś nieznaczący sposób pragnęłaś, bym nie pozostawiał Cię samej, że i Ty za mną tęskniłaś. Nie, nie - nie ma o czym mówić, z wyjątkiem być może tego, co w swej naiwności starałem się dać Tobie. Mogę tylko zdobyć się na życie w pobliżu Ciebie, nie dając nic po sobie poznać, w miarę możliwości.*

*Jakież to niemądre, by stary człowiek był tak poruszony! - pomyślisz sobie, nawet jeśli jesteś zbyt miła, by mi to powiedzieć. Oczywiście będziesz miała rację. Lecz w tym wypadku będziesz też umniejszała swoją moc, moja najdroższa, moc swej obecności, swej chłonności życia, tego, jak bardzo mnie ona porusza. Pozostawię Cię w spokoju, o ile będzie to możliwe, jednak nie staraj się dłużej wykluczać mnie całkowicie ze swego życia, gdyż zdaje się, że nie pragniesz tego bardziej ode mnie. Za co dziękuję wszystkim tym władczym, kruszejącym bogom, których widziałem we Włoszech.*

*Jest to jednak tylko część mej historii. W tym miejscu muszę zaczerpnąć głęboko powietrza i porzucić na chwilę czy dwie kreślenie tych słów do Ciebie, by poszukać w sobie siły, której potrzebuję. Przez cały czas, gdy byłem tu nieobecny, czułem, że nie mogę - nawet gdybyś tego pragnęła - powrócić do Ciebie czy to osobiście, czy też na papierze listowym, jeśli nie spełnię najtrudniejszej obietnicy, jaką Ci złożyłem.*

*Jak sobie zapewne przypominasz, powiedziałem, że pewnego dnia opowiem Ci o swojej żonie. Żałuję bezustannie owego przyrzeczenia. Jestem dostatecznie egoistyczny, by uważać, że nie możesz mnie poznać, nie poznając jej, a nawet że jestem władny - jak przypuszczałaś - doznać niejakiej ulgi, czyniąc to wyznanie. A nie złamałbym świadomie danej Ci obietnicy, dopóki żyję. Gdybym mógł dać Ci całą swą przeszłość i uciec z Twoją przyszłością, zrobiłbym to, jak się domyślasz; i napawa mnie odwiecznym i bezustannym żalem, że nie mogę. Widzisz, jak niezmierny jest mój egoizm - uważam, że możesz być ze mną szczęśliwa, choć już masz wszelkie powody, by się za taką uważać.*

*Jednocześnie odczuwam głęboko błąd, jaki popełniłem, składając Ci tę obietnicę, ponieważ historia mojej żony nie należy do tych, które chętnie powierzyłbym Twemu umysłowi z jego uroczą niewinnością i nadziejami wobec świata (owa historia wzbudzi w Tobie niepokój, sama zaś zbyt późno dostrzeżesz smutną prawdę w mych przewidywaniach). W każdym razie proszę Cię usilnie, byś wstrzymała się z lekturą następnych stronic przez jakąś godzinę, kiedy będziesz zdolna usłyszeć coś strasznego, a jednak prawdziwego - i proszę Cię, byś uświadamiała sobie, że żałuję każdego słowa. Kiedy to przeczytasz, będziesz wiedziała nieco więcej niż mój brat i znacznie więcej niż mój bratanek. I z pewnością więcej niż reszta świata. Pojmiesz również, że jest to sprawa natury politycznej i że w konsekwencji mój los spocznie w Twoich rękach. Dlaczego miałbym czynić coś takiego - opowiadać Ci o czymś, co może napawać Cię trwogą? No cóż, taka jest natura miłości: brutalna w swych żądaniach. W dniu, w którym sama poznasz jej bezwzględność naturę, spojrzysz wstecz i poznasz mnie jeszcze lepiej, i wybaczysz mi. Zapewne od dawna mnie już nie będzie, ale gdziekolwiek się znaję, pobłogosławię Cię za Twą wyrozumiałość i zrozumienie.*

*Poznałem swą żonę dość późno; liczyłem już czterdzieści trzy lata, ona czterdzieści. Na imię miała, jak zapewne wiesz od mego brata, Hélène. Pochodziła z dobrej rodziny, zamieszkała w Rouen. Nigdy wcześniej nie wyszła za mąż, nie z powodu jakichś braków, lecz z powodu opieki nad owdowiałą matką, która zmarła na dwa lata przed naszym spotkaniem. Po jej śmierci Hélène zamieszkała w Paryżu, u rodziny starszej siostry, i stała się dla niej tak niezastąpiona jak wcześniej dla matki. Była osobą pełną godności i słodyczy, poważną, lecz niepozbawioną humoru, i od pierwszego spotkania pociągało mnie jej zachowanie i troska*

okazywana innym. Interesowała się malarstwem, choć brakowało jej wykształcenia artystycznego, bardziej zaś skłaniała się ku książkom; czytała po niemiecku i po łacinie, gdyż jej ojciec wierzył w wartość edukacji dla córek. Była też pobożna w sposób, który przynosił wstyd mym beztroskim wątpliwościom. Podziwiałem jej wytrwałość we wszystkim, co czyniła.

Szwagier Héléne, mój stary przyjaciel, popierał me starania o jej rękę (choć wiedział o mnie za dużo, raczej na niekorzyść mej reputacji) i ustanowił dla niej szczodry posag. Pobraliśmy się w kościele Saint Germain l'Awcerrois, w obecności kilkorga przyjaciół i krewnych, i zamieszkaliśmy w pewnym domu w Saint-Germain. Wiedliśmy spokojne życie. Ja zajmowałem się malarstwem i chodziłem na wystawy, ona zaś wspaniale prowadziła dom, gdzie często gościliśmy znajomych. Pokochałem ją bardzo, miłością, która miała w sobie być może więcej szacunki niżli namiętności. Byliśmy już zbyt starzy, by oczekiwać dzieci, jednakże wzajemna obecność sprawiała nam zadowolenie; czułem, że przy niej moja natura się wzbogaca, a to, co w jej przekonaniu określało me wcześniejsze kapryśne życie, ulegało stłumieniu. Dzięki jej niezachwianej wierze we mnie pogłębił się także mój zapal do malowania, a umiejętności wzniosły na wyższy poziom.

Mogliśmy wieść tak szczęśliwe życie do końca naszych dni, gdyby cesarz nie uznał za rzecz słuszną pogrążyć Francję w tej beznadziejnej wojnie, najeżdżając Prusy - byłaś wtedy dziewczynką, moja droga, ale wieść o bitwie pod Sedanem musi tkwić także w Twej pamięci jak straszliwy kolec. Potem nadeszła pora na okropny odwet ich armii - a także oblężenie i spustoszenie naszego biednego miasta. Muszę Ci teraz wyznać, i to szczerze, że byłem pośród tych, w których to wszystko wzbudziło gniew ponad ludzką wytrzymałość. Prawda, nie należałem do barbarzyńskiego pospólstwa, lecz zaliczałem się do umiarkowanych, którzy uważali, że Francja i Paryż wycierpiały ponad miarę z rąk bezmyślnego, pławiącego się w przepychu despotyzmu, i którzy przeciwko niemu powstali.

Wiesz, że spędziłem liczne z ostatnich lat we Włoszech, nie powiedziałem Ci jednak, że byłem wygnańcem unikającym niewątpliwego zagrożenia; pozostałem tam, dopóki nie nabrałem pewności, że mogę powrócić do spokojnego życia w swym rodzinnym mieście - pełen smutku i cynizmu. Byłem sympatykiem Komuny i w głębi serca nie wstydzę się tego, choć żal mi mych towarzyszy, którym państwo nie wybaczyło ich przekonań. Dlaczego bowiem jakkolwiek obywatel Paryża miałby znosić, nie uciekając się do rewolucyjnego działania - czy chociażby skargi - to, czego nie aprobował? Nigdy nie porzuciłem tego przekonania, jednak cena, którą przyszło za nie zapłacić, okazała się tak wysoka, że nie zdecydowałbym się na działanie, znając uprzednio jego koszt.

Komuna zawiązała się dwudziestego szóstego marca, a mój oddział nie napotykał



szczególnych przeszkód do pierwszych dni kwietnia, kiedy to na ulicach, gdzie stacjonowaliśmy, wybuchły walki. Mieszkałaś wówczas na przedmieściach, w bezpiecznej okolicy, jak wiem z odpowiedzi, których udzielił mi Yves po moim powrocie; powiedział, że poznał Twą rodzinę dopiero później, ale że ów dramat nie dotknął Cię osobiście, pomijając niedostatki, które cierpieli wszyscy. Wyznasz mi być może, że słyszałaś daleki odgłos strzałów na odległych ulicach, albo i nie. Tam, gdzie toczyły się walki, przenosiłem wiadomości z jednej brygady do drugiej, utrwalając jednocześnie na papierze historyczne sceny, ilekroć mogłem to robić, nie narażając niczyjego życia z wyjątkiem własnego.

Hélène nie podzielała mych sympatii. Wiara wiązała ją ściśle z prawami upadłego niedawno reżimu, wyrozumiale jednak traktowała wszystko, w co ja wierzyłem; prosiła tylko, bym nie mówił jej o niczym, co mogłoby mnie obciążać, na wypadek gdyby oboje nas schwytano. Uszanowawszy to życzenie, nie powiedziałem jej, gdzie stacjonowała moja brygada, nie powiem też tego Tobie. Była to stara ulica, bardzo wąska; wznieśliśmy tam barykadę dwudziestego piątego maja, wiedząc, że ów punkt oporu będzie miał wielkie znaczenie dla obronności tego rejonu, jeśli, jak się spodziewaliśmy, fałszywy rząd wyśle nazajutrz przeciwko nam oddziały wersalczyków.

Przyrzekłem Hélène, że nie wrócę późno, ale w nocy pojawiła się konieczność zanieśienia wiadomości naszym towarzyszom na Montmartrze, ja zaś zgłosiłem się do tego zadania na ochotnika, jako że nie byłem jeszcze podejrzewany przez policję o udział w Komunie. Dotarłem bez przeszkód w wyznaczony rejon i wróciłem w taki sam sposób, gdyby mnie nie schwytano i nie zamknięto w areszcie. Było to moje pierwsze spotkanie z wersalczykami. Przesłuchanie się przeciągało, wielokrotnie też groziło mi brutalne traktowanie; zwolniono mnie dopiero w południe dnia następnego. Przez wiele godzin myślałem, że mogę zostać rozstrzelany na miejscu. I znów nie zdradzę Ci szczegółów mego przesłuchania, gdyż nie chcę, byś je знаła, nawet po ośmiu latach. Było to przerażające doświadczenie.

Muszę Ci jednak opowiedzieć o tym, co było nieskończenie gorsze: Hélène, nie doczekawszy się mego powrotu, o brzasku zaczęła mnie szukać, rozpytując sąsiadów, aż w końcu jeden z nich, poruszony jej niepokojem, zaprowadził ją na naszą barykadę. Przybyła tam dokładnie w chwili, gdy pojawiły się oddziały wersalczyków ze śródmieścia. Otworzyły ogień do wszystkich obecnych, zarówno komunardów, jak i przygodnych świadków. Rząd oczywiście zaprzeczał, jakoby takie incydenty miały miejsce. Hélène upadła, trafiona w czoło. Jeden z mych towarzyszy rozpoznał ją, odciągnął z rejonu ognia i ukrył ciało za zwalami gruzów.

*Kiedy przybyłem tam, najpierw pospieszywszy do domu, który zastałem pusty, już stygła. Spoczywała w mych ramionach, a na jej włosach i sukni zasychała krew, cieknąca strumieniem z rany. Jej twarz zdradzała jedynie zdziwienie, choć oczy zamknęły się same. Potrząsałem nią, wołałem do niej, próbowałem ją ocucić. Moją jedyną, żalosalną pociechą było to, iż umarła natychmiast - i przekonanie, że gdyby wiedziała, co się ma wydarzyć, to, zgodnie ze swą naturą, powierzyłaby się łasce Boga.*

*Pochowałem ją, bardziej pospiesznie, niżbym tego pragnął, na cmentarzu Montparnasse. Po kilku dniach mój żal spotęgowała szybka klęska naszej sprawy i egzekucje tysięcy komunardów, zwłaszcza przywódców. W trakcie końcowych represji udało mi się opuścić Francję. Przy pomocy przyjaciela, który mieszkał w pobliżu jednej z bram Paryża, wymknąłem się z miasta, a potem udałem się sam ku Menton i granicy kraju, czując, iż nie mogę uczynić nic więcej dla ojczyzny, która porzuciła jedyną nadzieję sprawiedliwości, i nie chcąc żyć w strachu przed aresztowaniem.*

*Mój brat pozostał mi wierny przez cały ten trudny okres, czuwając w milczeniu nad pamięcią Héléne i jej grobem, a także pisząc do mnie od czasu do czasu w trakcie mej nieobecności, by powiadamiać mnie, czy mogę wracać, czy jeszcze nie. Byłem nieistotnym aktorem w tym dramacie, a jako taki nie budziłem szczególnego zainteresowania władz, które miały tyle do odbudowania. Wróciłem, nie kierując się jednakże pragnieniem przywrócenia pomysłności ojczyźnie, tylko wdzięcznością wobec brata i chęcią służenia mu w chorobie. Dowiedziałem się, nie od niego, tylko od Yves'a, że traci wzrok. Wszelka pomoc, jaką mogłem mu służyć, i uporczywa pasja wobec malarstwa były jedynymi przyjemnościami, które mi pozostały, dopóki nie spotkałem Ciebie. Byłem nieszczęśliwym, pozbawionym żony, dzieci i ojczyzny. Żyłem bez nadziei na podźwignięcie się społeczeństwa, co wszak musi być motywacją każdego myślącego człowieka, a moje noce stały się okropnością z powodu tamtej śmierci, która wypełniła me ramiona bezużyteczną i okrutną ofiarą.*

*Promiennosc Twojej postaci, Twe wrodzone przymioty, delikatność Twojego afektu i przyjaźni znaczą dla mnie więcej, niż potrafię wyznaczyć. Sądzę teraz, że nie muszę Ci tego dobitniej wyjaśniać. I nie będę obarczał Cię prośbą o zachowanie dyskrecji - i tak już moje szczęście spoczywa w Twoich dłoniach. W obawie, że nie zdołam - z niemożności czy niechęci - spełnić swej obietnicy i przesłać Ci tych wyznań o sobie, zakończę pospiesznie ów list, podpisując się pod nim całym swym sercem i duszą.*

*Twój O. V.*

Zwróciłem szczególną uwagę na ten fragment wyznań Mary, w którym napisała, że Robert Oliver po raz pierwszy ujrzał przedmiot swej obsesji w tłumie odwiedzających Metropolitan Museum of Art, i teraz się zastanawiałem, czy mogę bez ogródek spytać swego pacjenta o ten incydent. Cokolwiek się tam wydarzyło, cokolwiek w tej kobiecie dostrzegł, pochłaniało od tej pory jego uwagę - i zapewne określało jego chorobę. Jeśli wyobraził sobie ową osobę w tłumie w muzeum - innymi słowy, jeśli stanowiła ona owoc jego halucynacji - oznaczało to konieczność przemyślenia początkowej diagnozy i poważną zmianę metody leczenia. Malował teraz z pamięci, bez względu na to, czy naprawdę widział tę kobietę? Czy wciąż doznawał halucynacji? Fakt, że malował odzianą w dziewiętnastowieczny strój współczesną osobę, którą widział przelotnie, sugerował jakiś akt wyobraźni, być może niezamierzony. Czy cierpiał na inne halucynacje? Jeśli tak, to nie uwieczniał ich na płótnie, przynajmniej na razie.

Jakkolwiek było, nim przeprowadził się wraz z Kate do Greenhill, przynajmniej od czasu do czasu wyobrażał sobie twarz tej kobiety - bądź co bądź Kate znalazła jej portret w kieszeni jego koszuli podczas podróży na Południe. Gdybym jednak spytał Roberta o jego pierwsze spotkanie z kobietą i przy okazji wspomniał cokolwiek o muzeum, od razu by się zorientował, że rozmawiałem z kimś, kto był mu bliski; krąg możliwości bardzo by się zawęził - zapewne do jednej osoby, ponieważ wiedział już, że znam nazwisko Mary. Wydawało się, że wolał się zwierzać jej niż Kate, i było mało prawdopodobne, by w ogóle rozmawiał z kimkolwiek innym, chyba że miał przyjaciół w Nowym Jorku, którym mógłby wspomnieć o tym pierwszym niezapomnianym spotkaniu z kobietą. Dał Mary do zrozumienia, że widział tę nieznaną tylko kilka razy, trudno było mi jednak w to uwierzyć, zwłaszcza gdy zobaczyłem te niezwykle płótna w domu Kate. Nie wątpiłem, że znał ją bardzo blisko i przez ten czas chłonał jej twarz i postać. Robert twierdził, że nie maluje z fotografii, ale czy byłby w stanie przekonać jakąś obcą osobę, by mu pozowała tak długo, aż zgromadziłby dość materiału do przyszłych portretów?

Nie mogłem jednak podejmować ryzyka i pytać o to Roberta; gdybym ujawnił mu zakres swej wiedzy, nigdy nie zdobyłbym jego zaufania. Wyznanie, że nazwisko Mary nie jest mi obce, było zapewne błędem. Mimo to podczas jednej z porannych wizyt w jego pokoju zagadnąłem go o pierwsze spotkanie z kobietą, która inspirowała większość jego obrazów. Zerknął na mnie przelotnie, potem wrócił do powieści, którą akurat czytał. Po chwili mogłem go tylko przeprosić i życzyć mu dobrego dnia. Nabrał zwyczaju wypożyczania kryminałów z półki pełnej podniszczonych książek w sali ogólnej i czytania ich ze swoistym, znudzonym poświęceniem; pochłaniał mniej więcej jeden na tydzień, kiedy nie malował, i nieodmiennie była to najprymitywniejsza chałtura o mafii, CIA albo zagadkowych zabójstwach w Las Vegas.

Zacząłem się siłą rzeczy zastanawiać, czy Robert odczuwa jakąś sympatię do przestępców z tych powieści, skoro sam został aresztowany z nożem w ręku. Kate wspominała, że czytał thrillery - widziałem je na półkach w jego gabinecie - mówiła też jednak, że czytał katalogi wystaw i dzieła historyczne. W pokoju pacjentów można było znaleźć o wiele lepsze książki niż te kryminały, między innymi biografie artystów i pisarzy (wyznam, że sam je tam umieściłem, chcąc się przekonać, czy po nie sięgnie), ale nigdy ich nie tknął. Mogłem mieć tylko nadzieję, że za sprawą tej swojej lektury nie rozwinie w sobie głębszego zamiłowania do przemocy, choć niczego takiego nie zauważyłem. Prawdopodobieństwo, że mi powie, gdzie i jak poznał swą ulubioną modelkę, było dokładnie takie samo jak szansa wyjaśnienia, dlaczego ogranicza swoje zainteresowanie do tych czytelniczych śmieci.

Jednakże opowieść Mary o tym, jak po raz pierwszy ujrzał tę damę, nie dawała mi spokoju i być może to jej żartobliwa wzmianka o Sherlocku Holmesie kazała mi raz po raz drążyć tę drobną historyjkę. Zadzwoiłem nawet do niej pewnego dnia i poprosiłem, by ją powtórzyła, tak jak została jej przekazana przez Roberta w Barnett College, ona zaś to zrobiła niemal tymi samymi słowami. Dlaczego ją o to prosiłem? Obiecała, że później powie mi więcej, i tak też się stało. Podziękowałem jej grzecznie, potwierdzając odbiór przesyłek i starając się nie nalegać na jakiegokolwiek spotkanie.

Nie mogłem jednak otrząsnąć się z myśli o tej szczególnej chwili, przemawiał też do mnie detektywistyczny aspekt całej sprawy - dręczyła mnie jakaś podejrzliwość, czułem też, że zgodnie ze starą policyjną zasadą powinienem osobiście obejrzeć miejsce akcji. To było w Metropolitan, odwiedziłem je kilkakrotnie w tamtym czasie, chciałem jednak znaleźć dokładnie tę salę, w której zaczęły się pierwsze halucynacje Roberta albo jego inspiracje, albo też - nagle zauroczenie miłosne? Nawet jeśli nie było tam broni ani kawałka sznura

zwieszającego się z sufitu, niczego, co usprawiedliwiłoby posługiwanie się szkłem powiększającym... no cóż, wydawało się to głupie, ale i tak zamierzałem tam pójść, między innymi dlatego, że mogłem to połączyć z ważniejszą misją, mianowicie odwiedzinami u ojca. Nie byłem w Connecticut od blisko roku, czyli o sześć miesięcy za długo, i choć sprawiał przez telefon wrażenie radosnego, podobnie jak w krótkich listach, które pisał na parafialnej papeterii (wyznał, że musi ją zużyć, a e-mailem pogardza), niepokoiłem się, że gdyby coś się stało, nigdy by mnie o tym nie poinformował za pośrednictwem telefonu czy poczty elektronicznej. A gdyby coś się miało stać, gdyby coś było naprawdę nie tak, to chodziłoby prawdopodobnie o gwałtowne przygnębienie, o którym z pewnością by mi nie powiedział.

Mając to wszystko na względzie, wybrałem najbliższy weekend i kupiłem dwa bilety kolejowe, jeden w obie strony na Penn Station z Waszyngtonu, a drugi na linię okrężną, też w obie strony, do mojego miasta rodzinnego z Nowego Jorku. Wykosztowałem się na rezerwację w dość obskurnym, ale miłym, starym hotelu niedaleko Washington Square, gdzie kiedyś spędziłem weekend z kobietą, którą byłem gotów niemal poślubić; wydawało się zadziwiające - teraz - jak dawno się to działo i jak bardzo o niej zapomniałem, o kobiecie, którą obejmowałem kiedyś w hotelowym łóżku i z którą siadywałem na ławce w parku, podczas gdy ona pokazywała mi wszystkie gatunki drzew, jakie tylko tam rosły. Nie wiedziałem, gdzie jest teraz; zapewne wyszła za kogoś innego i doczekała się wnuków.

Zastanawiałem się przelotnie, czy nie poprosić Mary, żeby wybrała się ze mną do Nowego Jorku, ale nie miałem pojęcia, jakie konsekwencje by to za sobą pociągnęło ani jak by zareagowała na moją propozycję, nie wiedziałem też, jak rozwiązać czy chociażby poruszyć kwestię noclegów. Może byłoby rzeczą właściwą udać się do muzeum w jej towarzystwie, ponieważ przeszłość Roberta Olivera pochłaniała ją jeszcze głębiej niż mnie samego. Wszystko to jednakże stanowiło zbyt duży problem. Ostatecznie nie powiedziałem jej o swoich planach; zresztą i tak nie dzwoniła od dwóch tygodni, zakładałem więc, że powie mi więcej o Robercie, kiedy będzie gotowa. Postanowiłem sam zadzwonić do niej po powrocie. Poinformowałem swój personel, że wyjeżdżam na jeden dzień, by spotkać się z ojcem, a potem poleciłem obserwować ze szczególną uwagą Roberta i wszystkich pacjentów, którzy nastęrczali poważniejsze problemy.

Prosto z Penn Station udałem się na Grand Central, żeby złapać pociąg linii Metro-North New Haven; zamierzałem spędzić z ojcem długi wieczór przed wizytą w mieście. Jest to niezła podróż, zresztą zawsze lubiłem jazdę tym pociągiem, wykorzystując ją na lekturę i marzenia. Tym razem czytałem jedną z książek, które ze sobą wziąłem, angielskie

tłumaczenie *Czerwonego i czarnego*, ale obserwowałem też przepływającą za oknami wagonu wczesnoletnią scenerię, żałośnie zdewastowane serce północnego wschodu USA między Bostonem a Waszyngtonem, ceglane magazyny, podwórza kolejowych osiedli w małych miasteczkach i na przedmieściach, kobietę rozwieszającą pranie w zwolnionym tempie, dzieci na asfaltowym dziedzińcu szkolnym, strzeliste wysypisko śmieci, nad którym krążyły mewy niczym stado sępów, blask sterczącego tu i ówdzie z ziemi metalu.

Musiałem się zdrzemnąć, ponieważ słońce rozpalało słoną wodę, nim dotarliśmy do wybrzeża Connecticut. Zawsze lubiłem pierwszy widok zatoki Long Island, wysp Thimble, starego palowania, przystani pełnych lśniących nowych łodzi. Dorastałem właściwie na tym wybrzeżu; nasze miasteczko leży piętnaście kilometrów w głąb lądu, ale sobota w czasach mojego dzieciństwa oznaczała piknik na plaży publicznej w pobliskim Grantford albo spacer na terenach Lyme Manor, albo też marsz po bagnistych drogach, które kończyły się jakimś małym pomostem, skąd można było obserwować przez matczyną lornetkę kosi o czerwonych skrzydłach. Nigdy nie mieszkałem daleko od zapachu słonej wody czy jej dopływów.

Nasze miasto, wzniesione na brzegu rzeki Connecticut, zostałoby spalone w 1812 roku przez Brytyjczyków, gdyby czołowi obywatele nie pospieszyli negocjować z brytyjskim kapitanem, który odkrył, że burmistrz to kuzyn jego ojca, po czym nastąpiły grzeczne ukłony i wymiana rodzinnych nowin. Burmistrz potwierdził chęć uznania króla, kapitan przymknął oko na oczywistą zdawkowość deklaracji krewniaka i wszyscy rozstali się w przyjaźni. Tego wieczoru mieszkańcy zgromadzili się w kościele - nie tym ojcowskim, tylko drugim, bardzo starym, który stoi nad samą rzeką - by okazać Bogu wdzięczność za ocalenie. Wszystkie okoliczne miasta padły ofiarą brytyjskiego ognia, a burmistrz udzielił sąsiadom schronienia, co było podyktowane poczuciem szczodrości, ale także winy. Nasze miasto jest dumą lokalnych miłośników historii: kościoły, zajazd i najstarsze domy są oryginalne i pochodzą z epoki - dziewicze drewno, oszczędzone za sprawą więzów rodzinnych. Mój ojciec uwielbia opowiadać tę historię; nasłuchałem się jej w dzieciństwie do przesyty, ale nigdy niczego nie zapomniałem, i czuję się poruszony, gdy znów widzę nurt rzeki i skupiska kolonialnych domostw, z których wiele zamieniło się w dawnym centrum w sklepy pełne drogich świec i torebek.

Linia kolejowa pojawiła się zaledwie trzydzieści lat po odejściu dżentelmeńskiego kapitana, jednakże na drugim końcu miasta. Pierwszej stacji już dawno nie ma, a na jej miejscu stoi wspaniały budynek wzniesiony gdzieś w 1895 roku; poczekalnia - mosiądz, marmur, ciemne drewno - roztacza ten sam zapach wosku do mebli jak wówczas, gdy wraz z rodzicami czekałem na pociąg, który miał nas zawieźć do Nowego Jorku na show

bożonarodzeniowy w Radio City Music Hall w 1957 roku. Teraz, na drewnianych ławkach, które pokochałem, zanim jeszcze moje stopy sięgnęły podłogi, siedziało dwoje pasażerów pogrążonych w lekturze „Boston Globe”.

Ojciec już mnie oczekiwał, trzymając w papierowej, przezroczystej dłoni tweedowy kapelusz; jego niebieskie oczy, kiedy już odszukały moją postać, błysnęły zadowoleniem. Objął mnie, uściśnął i odsunął od siebie na chwilę, by mi się przyjrzeć, jakbym wciąż rósł, a on chciał sprawdzić moje fizyczne postępy. Uśmiechnąłem się, zastanawiając się przy okazji, czy wciąż widzi mnie z kasztanowymi włosami na głowie albo we flanelowych spodniach i obszernym swetrze, który nosiłem po domu za studenckich czasów, zamiast człowieka po pięćdziesiątce, rozsądnie przystrzyżonego, w prostych spodniach, koszulce polo i weekendowej marynarce. Poczułem swojską przyjemność, którą daje świadomość, że jest się czymś dorosłym dzieckiem. Trochę mnie zszokował fakt, że od tak dawna go nie widziałem; w poprzednich latach przyjeżdżałem tu częściej i od razu postanowiłem, że niebawem znów to zrobię. Ten blisko dziewięćdziesięcioletni mężczyzna był moim dowodem ciągłości życia, buforem między mną a śmiertelnością. Nieśmiertelnością - skorygowałby z karcącym uśmiechem, on, duchowny okazujący tolerancję człowiekowi nauki. Nie miałem wątpliwości, że opuściwszy mnie, poszedłby wprost do nieba, choć nie wierzę w nie od chwili, gdy ukończyłem dziesięć lat. Gdzie indziej mógłby trafić ktoś taki jak on?

Kiedy poczułem na sobie jego ramiona, przyszło mi do głowy, że znam już dokładnie traumę towarzyszącą śmierci jednego z rodziców; wiedziałem też, że ta związana z utratą ojca, kiedy już nastanie jego czas, będzie pogłębiona wcześniejszym odejściem matki i naszych wspólnych wspomnień o niej, a także faktem, że był moim ostatnim opiekunem, tym, który odejdzie jako drugi. Pomagałem pacjentom zmagać się z takimi stratami, a ich smutek bywał długotrwały i złożony; po śmierci matki zrozumiałem, że nawet powolne i spokojne zanikanie rodzicielskiej obecności może być niszczycielskie. Jeśli pacjent zdradzał poważne symptomy, jeśli zmagał się z chorobą psychiczną, śmierć matki czy ojca mogła przechylić gwałtownie delikatne szale wagi, zachwiać z trudem utrzymywaną równowagę.

Lecz moje zawodowe przygotowanie w żaden sposób nie mogło pocieszyć mnie zawczasu w przypadku odejścia tego łagodnego siwowłosego mężczyzny w lekkim letnim płaszczu; miał w sobie optymizm i jednocześnie cynizm wobec ludzkiej natury, spokojną łatwość, z jaką rok w rok - pomimo sceptycznych spojrzeń urzędników w wydziale komunikacji - przechodził z powodzeniem badania wzroku. Kiedy go teraz ujrzałem, kończącego tej jesieni osiemdziesiąt dziewięć lat, a mimo to wciąż będącego dawnym sobą, to widziałem zarówno jego obecność, jak i majaczące na horyzoncie zniknięcie. Gdy go

zobaczyłem, jak czeka na mnie w swoim najlepszym ubraniu, z kieszeniami spodni wypchanymi kluczykami do wozu i portfelem, w wypolerowanych butach, odczułem jak zawsze rzeczywistość jego postaci i wizję przezroczystego powietrza, które miało go kiedyś zastąpić. W jakiś dziwny sposób wierzyłem czasem, że dopóki nie odejdzie, będzie dla mnie kimś nie do końca określonym, być może dlatego, że nie doświadczyłem jeszcze miłości wobec człowieka znajdującego się po drugiej stronie życia.

Objąłem go krzepko - nawet mocno - w odpowiedzi na jego uścisk; był tak zaskoczony, że niemal stracił równowagę. Skurczył się; przewyższałem teraz ojca o dobrą głowę.

- Witaj, chłopcze - powiedział, uśmiechając się szeroko i ujmując krzepko moje prawe ramię. - Idziemy?

- Jasne, tato.

Nie skorzystawszy z pomocnej dłoni, którą wyciągnął po mój bagaż, zarzuciłem sobie torbę podrózną na ramię. Na parkingu spytałem, czy chce, żebym prowadził, a potem pożałowałem tej propozycji; spojrzał na mnie surowo i jednocześnie z humorem, po czym z wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki wyjął okulary i starannie wytarł je chusteczką.

- Kiedy zacząłeś w nich jeździć? - spytałem pospiesznie, by zatuszować swoją gafę.

- Och, miałem je zakładać już lata temu, ale nie były mi potrzebne. Przyznam, że jest mi teraz trochę łatwiej, kiedy mam je na nosie.

Uruchomił silnik i wyjechaliśmy władczo z parkingu. Prowadził znacznie wolniej, niż to zapamiętałem, i siedział wpatrzony przed siebie; włożył zapewne swoje stare okulary. Wydawało mi się, że ten upór był jedną z głównych cech, które przekazał swemu jednemu dziecku. Zachowała i wzmocniła nas obu, ale czy nie uczyniła z nas także samotników?



Nasz dom stoi w odległości zaledwie kilku kilometrów od stacji, usadowiony w historycznej części miasta, od wody dzieli go krótki spacer. Tym razem poczułem z jakiegoś powodu gwałtowne ukłucie, spoglądając w stronę drzwi wejściowych na końcu niedługiego, lecz melancholijnego rzędu tui. Upłynęło kilkadziesiąt lat, odkąd widziałem matkę otwierającą te drzwi; nie wiem, dlaczego tym razem zrobiło to na mnie większe wrażenie niż zwykle.

Zamaskowałem wzruszenie - nic nie sprawiłoby ojcu większego bólu niż moje głośne przyznanie się do takich uczuć - mówiąc, że podwórze wygląda bardzo dobrze, i pozwalając tacie, by pokazał mi żywopłot, który przyciął tydzień wcześniej, oraz trawę, którą pielęgnował, korzystając z ręcznej kosiarki. Wokół drzwi wejściowych roztaczał się znajomy zapach drewna bukszpanowego i niecierpków w doniczkach. Nie było to duże podwórkó, w każdym razie nie od frontu, ponieważ siedemnastowieczny kupiec, który zbudował ten dom, pragnął, by stał on blisko ulicy. Podwórze na tyłach było rozleglejsze, obejmując zaniedbane resztki sadu i ogród warzywny, którym matka zdołała się jakoś zajmować w wolnych chwilach. Ojciec sadił tam każdego lata pomidory, między nimi zaś wyrastało kilka gruzłowatych korzeni pietruszki, ale nie był tak biegłym ogrodnikiem jak ona.

Otworzył drzwi i wprowadził mnie do środka; jak zawsze zrobiły na mnie wrażenie przedmioty i zapachy, wśród których dorastałem - wytarty turecki chodnik w holu wejściowym, narożna półka z ceramicznym kotem, którego ulepiłem kiedyś na zajęciach ze sztuki i polakierowałem, żeby wyglądał jak te w matczynej książce o starożytnej sztuce egipskiej; była taka dumna z mojej inicjatywy, z mojego oka. Przypuszczam, że każde dziecko ma w swoim dorobku kilka takich niezgrabnych przedmiotów, ale nie każda matka je przechowuje. Kaloryfer w holu postukiwał i czał; nie pochodził z XVIII wieku, ale dawał sporo ciepła i wydzieliał zapach, który zawsze uwielbiałem, woń przypalonego sukna.

- Włączyłem go ledwie dziś rano - wyjaśnił przepraszająco ojciec. - Jest diabelnie zimno jak na tę porę roku.

- Dobry pomysł.

Postawiłem bagaż obok kaloryfera i wszedłem do kuchni, żeby umyć ręce. Dom był schludny, czysty, przyjemny, podłogi wypolerowane - ojciec uległ w zeszłym roku moim namowom i zatrudnił pewną panią z Polski; mieszkała w Deep River i sprzątała u niego co dwa tygodnie. Ojciec twierdził, że skrobie nawet rury pod zlewem kuchennym. Zauważyłem, że matka byłaby z tego bardzo zadowolona, a on się ze mną zgodził.

Kiedy już obaj umyliśmy ręce, oświadczył, że ma trochę zupy, którą zachował z myślą o mnie, i zaczął ją nalewać do garnka na piecyku. Zauważyłem, że trzęsą mu się trochę dłonie, i tym razem uparłem się, że to ja przygotuję dla nas posiłek; podgrzałem zupę, wyłożyłem na stół marynaty i pumpernikiel, a także angielską herbatę, którą uwielbiał, podgrzałem też mleko, żeby nie ostudziło mu ulubionego napoju. Usiadł w wiklinowym fotelu, kupionym przez matkę do kuchni, i zaczął mi opowiadać o swoich parafianach, nie wymieniając ich nazwisk, choć wiedziałem z grubsza, o kogo chodzi, ponieważ albo oni, albo ich dorosłe dzieci trwały przy nim od lat: jedna z kobiet straciła męża w wypadku samochodowym, jeden z mężczyzn przeszedł na emeryturę po czterdziestu latach pracy w szkole i uczył to bardzo osobistym, rozpaczliwym kryzysem wiary.

- Powiedziałem mu, że nie możemy być pewni niczego z wyjątkiem siły miłości - wyznał. - I że nikt od niego nie wymaga, by wierzył w jakieś określone jej źródło, dopóki może ją otrzymywać i dawać w swoim życiu.

- Odzyskał wiarę w Boga? - spytałem, wyciskając resztki herbaty z torebek.

- Och, nie. - Ojciec siedział z dłońmi wsuniętymi błogo między kolana, wpatrując się we mnie zamglonymi oczami. - Nie oczekiwałem tego po nim. Prawdę mówiąc, nie wierzył prawdopodobnie już od wielu lat, a praca w szkole zajmowała mu zbyt dużo czasu, by mógł zdać sobie z tego sprawę. Teraz odwiedza mnie raz w tygodniu, gramy w szachy. Staram się z nim wygrywać.

I starasz się, by był kochany, dodałem w duchu pełen podziwu. Ojciec nigdy nie okazał braku szacunku wobec mojego wrodzonego ateizmu, nawet kiedy chciałem się z nim spierać w szkole średniej, a potem na studiach, kiedy próbowałem go sprowokować. „Wiara jest po prostu tym, co dla nas rzeczywiste” - odpowiadał mi nieodmiennie, a potem cytował świętego Augustyna czy jakiegoś mistyka sufiego i kroił dla mnie gruszkę albo ustawiał figury na szachownicy.

Kiedy jedliśmy, a potem raczyliśmy się kilkoma kawałkami czarnej czekolady, skromnym nałogiem ojca, spytał mnie, co tam słychać w pracy. Początkowo postanowiłem nie wspominać mu o Robercie Oliverze - miałem niejasne wrażenie, że moja troska o tego

człowieka może się wydać jakby niezrównoważona, nieuczciwa wobec innych pacjentów albo, co gorsza, może sugerować, że nie potrafię usprawiedliwić przed ojcem działań, które podejmowałem dla dobra swego podopiecznego. Po chwili jednak, w głębokiej ciszy pokoju jadalnego, zorientowałem się, że opowiadam mu niemal całą historię. Podobnie jak ojciec nie wymieniał nazwiska swego parafianina. Słuchał mnie z niekłamanym, jak bym to określił, zainteresowaniem, smarując masłem pumpernikiel; uwielbiał ludzkie portrety, pod tym względem byliśmy do siebie podobni. Zrelacjonowałem mu swoje rozmowy z Kate; pomiąłem tylko to, że wróciłem wieczorem do jej domu i że potem zaprosiłem Mary na kolację. Być może wybaczyłyby mi te postęпки, zakładając siłą rzeczy, że miałem przede wszystkim na względzie dobro pacjenta.

Kiedy opisałem, jak Robert nosi w kółko te same rzeczy, zmieniając je tylko na czas prania, jak uparcie czyta książki poniżej swego intelektu, jak bezustannie milczy, ojciec przytaknął. Dokończył zupę i odłożył łyżkę. Wysunęła mu się z palców i upadła z brzękiem na talerz. Ułożył ją starannie.

- Pokuta - oznajmił.

- Co masz na myśli? - spytałem, biorąc ostatnią kostkę czekolady.

- Ten człowiek odbywa pokutę. To właśnie opisałeś, jak sądzę. Karze swoje ciało i tłumi pragnienie duszy, która chce opowiedzieć o swoim nieszczęściu. Umartwia ciało i umysł, żeby za coś odpokutować.

- Odpokutować? Ale za co?

Ojciec nalał sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty, ostrożnie, a ja powstrzymałem się od tego, by mu pomóc.

- No cóż, powinieneś się w tym orientować lepiej ode mnie, prawda?

- Zostawił żonę i dzieci - rozmyślałem głośno. - Prawdopodobnie dla innej kobiety. Ale podejrzewam, że to nie takie proste. Jego była żona jakoś nie uważa, by kiedykolwiek naprawdę do niej należał, podobnie jak kobieta, do której odszedł. Tę drugą też zostawił po krótkim czasie. A ponieważ nie chce ze mną rozmawiać, trudno mi się zorientować w jego poczuciu winy wobec którejkolwiek z nich.

- Wydaje mi się - powiedział ojciec, ocierając usta niebieską serwetką - że wszystkie jego obrazy są częścią pokuty. Nie sądzisz, że ją w ten sposób przeprasza?

- Chodzi ci o tę damę, którą maluje? Pamiętaj, że może być tworem wyobraźni - przypomniałem. - Jeśli wzorował ją na realnej postaci, jak uważała jego żona, to nie znał jej tak naprawdę. A kobieta, którą ostatnio porzucił, także uważa, że nie mógł znać dobrze tej tajemniczej damy, nawet jeśli była realna, choć nie jestem pewien, czy się z tym zgadzam.

- Czyż nie jest w jej interesie tak uważać? - Ojciec odchylił się na fotelu, przyglądając się naszym pustym naczyniom z taką samą uwagą, jaką zwykle obdarzał pionka stojącego w pobliżu mojej królowej. - Nie ulega wątpliwości, że byłoby dla niej czymś strasznym, gdyby odkryła, że malował w kółko żywą kobietę, którą znał blisko, zwłaszcza w kontekście obrazów, które opisujesz, namiętności, jaką się odznaczają.

- Prawda - przyznałem. - Ale bez względu na to, czy jego modelka jest rzeczywistą osobą, czy tylko wytworem halucynacji, dlaczego miałby odczuwać potrzebę pokuty? Może to ktoś realny, ktoś, kogo skrzywdził? Jeśli przeprosza zjawę, to jest w jeszcze gorszym stanie, niż dotąd mi się wydawało.

Dziwne, ojciec powtórzył to, co zawsze mi mówił w szkole średniej, echo tej maksymy, o której myślałem chwilę wcześniej.

- Wiara jest tym, co dla nas rzeczywiste.

- Tak - odparłem. Poczulem nagły żal; nie mogłem nawet wrócić do swego domu rodzinnego, do swojego sanktuarium, nie będąc prześladowanym przez Roberta Olivera. - Ma swoją boginię, to pewne.

- Może ona ma jego - zauważył ojciec. - No dobrze, zajmę się naczyniami, pewnie chcesz się zdrzemnąć po podróży.

Nie mogłem zaprzeczyć, że dom mnie usypiał, zawsze tak się działo. Zegary w każdym pokoju, niektóre tak wiekowe jak gzymsy kominków, na których stały, wydawały dźwięk zdający się mówić: „śpij, śpij, śpij”. W świecie zewnętrznym tak rzadko mi się zdarzało zaznać odpowiedniego wypoczynku, a nigdy nie lubiłem tracić weekendów na drzemki. Pomogłem ojcu posprzątać ze stołu i pozostawiwszy go z pianistą gąbką w dłoni, ruszyłem schodami w górę.

Mój dawny pokój był dla mnie zawsze zarezerwowany, wisiał w nim portret matki, który namalowałem (ze zdjęcia, nie byłem takim purystą jak Robert) mniej więcej rok przed jej śmiercią. Przyszło mi nagle do głowy, że gdybym wiedział, co ma się wkrótce z nią stać, namalowałbym ją z natury, bez względu na to, jak niewygodne by to było dla nas obojga - zrobiłbym to nie ze względu na sam portret (i tak malowanie nie szło mi wtedy zbyt dobrze), ale dlatego, że dałoby nam to osiem czy dziesięć wspólnych godzin. Mógłbym zapamiętać jej żywą twarz, mierzyć jej drobne nieregularności pędzlem trzymanym poziomo albo pionowo, uśmiechać się do jej oczu, ilekroć podnosiłbym wzrok znad płótna. A tak portret ukazywał schludną, prawie ładną, pełną godności kobietę o głęboko zamyślonym obliczu, lecz bez śladu życia i siły, które w niej dostrzegałem, bez śladu tego rzeczowego i praktycznego humoru. Miała na sobie czarny sweter i koloratkę, na ustach oficjalny uśmiech; zdjęcie zrobiono

zapewne z myślą o gazetce parafialnej albo gablocie kościelnej.

Żałowałem teraz - jak często mi się to zdarzało - że nie namalowałem matki ubranej w jaskrawoczerwoną sukienkę, którą ojciec kupił jej na gwiazdkę, z moją aprobatą, kiedy miałem dwanaście lat; była to, o ile się orientuję, jedyna rzecz z ubrania, jaką kiedykolwiek od niego dostała. Wkładała ją dla nas, upinała włosy i ozdabiała szyję sznurem pereł, który miała na sobie w dniu ślubu. Była to skromna sukienka z miękkiej wełny, odpowiednia dla żony pastora i dla pastora, którym sama niedawno została. Gdy schodziła po schodach na bożonarodzeniową kolację, obaj siedzieliśmy jak oniemiały, potem ojciec robił nam zdjęcie, mnie i matce, czarno-białe: matka w swojej wspaniałej sukience, ja w swojej pierwszej sportowej marynarce, która już robiła się przykrótka w rękawach - gdzie podziała się ta fotografia? Zanotowałem sobie w pamięci, żeby go o to spytać.

Mój pokój wyłożony był tapetą w spłowiałe brązowo-złoto-zielone paski; mały chodniczek wyglądał na świeżo wyprany, trochę zbyt puszysty, a drewniana podłoga na wypolerowaną - polska gospodyni. Położyłem się na wąskim łóżku, które wciąż traktowałem jako swoje, i zapadłem w drzemkę, by obudzić się w ciszy i uświadomić sobie, że spałem tylko dwadzieścia minut, a potem zanurzyłem się w głębszy sen, który trwał następną godzinę.

## 55

### *MARLOW*

Kiedy się obudziłem, ojciec stał w drzwiach, z uśmiechem na ustach, a ja uzmysłowiłem sobie, że skrzywienie schodów, towarzyszące jego powolnej wędrówce na górę, było moim budzikiem.

- Wiem, że nie lubisz spać zbyt długo - powiedział przepaszającym tonem.

- Och, nie lubię. - Wsparłem się na łokciu. Zegar na ścianie wskazywał już wpół do szóstej. - Chciałbyś pójść na spacer?

Lubiłem wyciągać ojca z domu, ilekroć go odwiedzałem.

Rozpromienił się.

- Oczywiście - zapewnił. - Wybierzemy się na Duck Lane?

Wiedziałem, że oznacza to wizytę na grobie matki. Tego dnia nie miałem na to szczególnej ochoty, ale ze względu na ojca zgodziłem się od razu, usiadłem na łóżku i zacząłem wciągać buty. Słyszałem, jak schodzi z powrotem na dół, trzymając się bez wątplenia poręczy i ustawiając odpowiednio stopy przed każdym kolejnym krokiem; byłem mu wdzięczny za jego ostrożność, choć siłą rzeczy przypominałem sobie szybki tupot, kiedy zbiegał na śniadanie, albo pospieszny łomot, kiedy pędził na górę po książkę, której zapomniał, wychodząc do kancelarii kościelnej. Szliśmy teraz powoli drogą, on w kapeluszu, z dłonią spoczywającą na moim ramieniu; widziałem po obu stronach początki lata, zimnego i niepewnego o tej porze, sitowie na mokradłach, wronę wzbijającą się z szuwarów, resztki popołudniowego słońca nad sąsiedzkimi domami, gdzie nad drzwiami wejściowymi widniały daty - 1792, 1814 (ten akurat ominęła brytyjska inwazja, uświadomiłem sobie, a to za sprawą burmistrza, który nie dopuścił do spalenia miasta).

Tak jak się spodziewałem, ojciec zatrzymał się przed furtką cmentarza, która stała otworem do zmierzchu, i nieznacznie ścisnął mi ramię; ruszyliśmy razem, mijając pokryte porostami nagrobki, które nosiły imiona zapomnianych założycieli - kilka było zwieńczonych purytańską skrzydlatą czaszką, która stanowi ostrzeżenie przed czekającym nas wszystkich końcem, grzeszyliśmy czy nie. Potem skierowaliśmy się ku świeższym mogiłom. Grób matki

znajdował się obok grobu rodziny nazwiskiem Penrose, której nigdy nie znaleźliśmy, a kwatery była dostatecznie duża, by pomieścić w przyszłości także ojca. Po raz pierwszy pomyślałem, że powinienem zdecydować, czy mam tu nabyć miejsce także dla siebie; w przeciwieństwie do rodziców postanowiłem przekazać swoje ciało dla celów naukowych, a potem chciałem, żeby mnie poddano kremacji, ale może dałoby się wcisnąć urnę między matkę i ojca. Wyobraziłem sobie, jak śpimy we trójkę snem wiecznym w tym królewskim łożu, moja zredukowana istota między ich opiekuńczymi ciałami.

Ta wizja nie była dla mnie dość realna, by spotęgować mój żal; naprawdę przygnębiał mnie widok imienia matki i wyryte w granicie daty pod postacią prostych znaków, jej zbyt pospieszne lata - jak brzmiał ten wers Szekspira, sonet? Zaraz, zaraz... „A letnia pora nie trwa, jak obiecywała”<sup>\*</sup>.

Przytoczyłem go teraz głośno ojcu, który schylił się, by usunąć jakąś gałązkę z grobu, a potem się uśmiechnął i potrząsnął głową.

- Jest lepszy sonet na tę okazję. - Odrzucił gałązkę powoli, ale celnie, w stronę zarośli przy ogrodzeniu. - „Lecz skoro tylko w myślach twoją twarz zobaczę/wszystkie straty zwracają się, cichną rozpacz”<sup>\*\*</sup>.

Czułem, że ma na myśli zarówno mnie, syna, który mu pozostał, jak i swoją żonę, i byłem mu wdzięczny. Starłem się w ostatnich latach myśleć o matce z czasów, gdy była pogrążona w spokoju, nie o takiej, jaką widziałem w tych końcowych minutach, zmagającą się z koniecznością porzucenia nas obu. Zastanawiałem się - zdarzało mi się to często - co jest gorsze: fakt, że umarła w wieku pięćdziesięciu czterech lat, czy sposób, w jaki odeszła. Były ze sobą związane, te dwie smutne rzeczywistości, ale nigdy nie zaprzestałem ich rozrywać, rozdzielać jednego nieszczęścia od drugiego. Nie mogłem się zdobyć na to, by ująć ojca za ramię, kiedy tam staliśmy, albo go objąć, i byłem bardzo wzruszony, kiedy on zrobił to dla mnie, a jego chuda, starcza dłoń dotknęła moich pleców.

- Ja też ją oplakuję, Andrew - zauważył rzeczowym tonem. - Przekonasz się jednak, że zmarła osoba jest niedaleko, zwłaszcza kiedy będziesz w moim wieku.

Powstrzymałem się od zwrócenia uwagi na zwyczajową różnicę w naszym spojrzeniu na tę sprawę: wierzyłem, że moje spotkanie z matką dokona się za miliony lat, poprzez zmieszanie się atomów tworzących nasze ciała.

- Tak, czuję ją czasem obok siebie, kiedy się bardzo staram.

---

<sup>\*</sup> William Shakespeare, *Sonet 18*, przeł. Stanisław Barańczak.

<sup>\*\*</sup> William Shakespeare, *Sonet 30*, przeł. Stanisław Barańczak.

Nie mogłem powiedzieć więcej z powodu ściśniętego gardła, więc nawet nie próbowałem, i z jakiegoś powodu przypomniałem sobie Mary; siedziała na mojej sofie, w białej bluzce i dzinsach, i mówiła mi, że nigdy więcej nie chce widzieć Roberta Olivera. Ludzie różnie radzą sobie z żalem w różnych okolicznościach; moja matka nigdy mnie nie porzuciła, chyba że wbrew sobie, w tych ostatnich minutach, które były jej pożegnaniem.

Przeszliśmy się jeszcze kawałek wzdłuż Duck Lane, a potem ojciec, przystając na chwilę i odwracając się, dał mi do zrozumienia, że ma dosyć, i podreptaliśmy z powrotem do domu, jeszcze wolniejszym krokiem. Zauważyłem, że pomimo ekspansji miasta ku zachodowi okolica zachowała swój spokojny charakter, a on odparł, że cieszy się z obecności rzeki, która nie pozwala trasie stanowej zbliżyć się jeszcze bardziej. Cisza ulicy trochę mnie jednak zaniepokoiła; na jakie towarzystwo mógł liczyć tu ojciec, skoro od chwili, gdy wyruszyliśmy na tę małą wycieczkę, nie widzieliśmy ani jednego sąsiada? Ojciec przytaknął, jakby otaczający go spokój sprawiał mu wielką przyjemność. Kiedy znaleźliśmy się przed domem, zatrzymałem się, żeby powiedzieć coś jeszcze. Przyszło mi to do głowy na cmentarzu, ale wtedy nie byłem w stanie wyrzucić z siebie tych słów - nie chodziło o tęsknotę za matką, tylko za tym drugim duchem, który dotarł za mną aż tutaj.

- Tato? Nie jestem pewien, czy postępuję słusznie. Ten pacjent, o którym ci mówiłem...

Zrozumiał od razu.

- Chodzi ci o to, że rozmawiasz z ludźmi, którzy byli mu bliscy?

Położyłem dłoń na jednym z pni naszego żywotnika. Miał włochatą strukturę, którą zapamiętałem z dzieciństwa, pod spodem zaś wyczuwało się twardość drewna.

- Tak. Wyraził ustną zgodę, ale...

- Chodzi ci o to, że nie wie, co robisz, czy o to, że nie jesteś pewien swoich motywów?

Jak zawsze, ilekroć zwracałem się do niego z czymś ważnym, byłem odrobinę zaskoczony jego przenikliwością. W rzeczywistości nie mówiłem mu wcześniej o żadnej z tych rzeczy.

- O jedno i drugie.

- Przyjrzyj się najpierw motywom, a reszta ułoży się sama, jak sądzę.

- Dobrze. Dziękuję.

Przy kolacji, którą dla nas przygotowałem (uparłem się), i potem, przy partyjce rozegranej na stoliku-szachownicy w salonie - ojciec wcześniej ułożył polana i rozpałił ogień w kominku, siedząc na niskim krzeselku i wsuwając patyki do paleniska - opowiedział mi o



swoich projektach pisarskich i kobiecie, młodszej od niego o dziesięć lat, która przyjeżdżała raz czy dwa w miesiącu, żeby mu głośno poczytać, choć nadal sobie z tym radził. Wspomniał o niej pierwszy raz, a ja, odrobinę zdziwiony, spytałem, jak ją poznał.

- Mieszkała tu kiedyś i uczęszczała do kościoła, zanim przeszedłem na emeryturę, a potem wyprowadziła się z mężem, ale niezbyt daleko, więc później przyjeżdżali, żeby wysłuchiwać mojego corocznego kazania. Jej mąż umarł, a ona nie odzywała się bardzo długo, wreszcie przysłała mi list, no i teraz cieszymy się tymi spotkaniami. W moim wieku na niewiele więcej można się zdobyć, oczywiście - dodał. - Albo w jej wieku. Możemy jednak liczyć na swoje towarzystwo.

Pragnął mi też powiedzieć, o czym wiedziałem, że nawet chcąc sobie ułożyć krótką przyszłość, nigdy nie mógłby pokochać dostatecznie mocno nikogo prócz mojej matki i mnie. Sięgnął po królowkę, lecz po chwili zmienił zdanie.

- A ty z kim się teraz spotykasz? - zainteresował się nagle.

Rzadko zadawał mi tego rodzaju pytanie, a ja przyjąłem je z wdzięcznością.

- Wiesz, że jestem jeszcze bardziej zatwardziałym kawalerem niż ty, tato. Ale prawie mi się wydaje, że kogoś poznałem.

- Młodą kobietę, chcesz powiedzieć - oznajmił łagodnie. - Zgadza się? Tę, którą nasz pacjent niedawno porzucił.

- Nic się przed tobą nie ukryje. - Patrzyłem, jak przesuwa gońca w bezpieczne miejsce. - Zgadza się. Ale tak naprawdę jest dla mnie za młoda, poza tym nie otrząsnęła się jeszcze po tym, co ten drugi jej zrobił. - Nie dodałem, iż mój związek z nią komplikował fakt, że wykorzystywałem ją w celach zawodowych albo że była kochanką mojego pacjenta, nawet jeśli nie miała teraz nikogo, a zatem pojawiał się problem natury moralnej; wszystko to byłoby równie oczywiste dla mojego ojca. - Kobiety dopiero co porzucone potrafią być skomplikowane.

- A ona jest nie tylko skomplikowana, lecz także niezależna, niezwykła i piękna - zauważył ojciec.

- Oczywiście.

Udałem, że jestem zaniepokojony sytuacją swojego króla; chciałem go rozbawić.

Nie dał się zwieść.

- Martwisz się przede wszystkim tym, że ostatnio była związana z twoim pacjentem.

- No cóż, trudno to pominąć.

- Ale jest teraz samotna i skończyła z nim na dobre? - Posłał mi ostre spojrzenie.

Cieszyłem się, że jestem w stanie skinąć głową.

- Owszem, tak mi się wydaje.

- Ile dokładnie ma lat?

- Po trzydziestce. Uczy malowania na lokalnym uniwersytecie, sama też sporo maluje. Nie widziałem jej obrazów, ale mam wrażenie, że jest niezła. Imiała się różnych zajęć, żeby zajmować się poważnie malarstwem. Odznacza się silnym charakterem.

- Twoja matka miała dwadzieścia kilka lat, kiedy się z nią ożeniłem. I byłem od niej o parę lat starszy.

- Wiem, tato. Ale w waszym przypadku różnica wieku była o wiele mniejsza. Poza tym nie wszyscy nadają się do małżeństwa tak jak ty i matka.

- Każdy się nadaje - zauważył z błyskiem rozbawienia w oku. W łagodnym świetle lampy i kominka chciał mnie zmusić do pokazania kart. Wiedział, że nigdy nie zaryzykuje króla, nawet po to, by dać mu wygrać. - Problem polega na znalezieniu właściwej osoby. Spytaj Platona. Upewnij się, że dziewczyna potrafi dokończyć twoją myśl, a ty jej. To wszystko, czego potrzebujesz.

- Wiem, wiem.

- A potem musisz do niej powiedzieć: „*Madame*, widzę, że pani serce jest złamane. Proszę pozwolić, bym je naprawił”.

- Nigdy bym nie pomyślał, że jesteś zdolny do takiej deklaracji.

Roześmiał się.

- Och, sam nigdy nie potrafiłbym powiedzieć czegoś takiego jakiegokolwiek kobiecie.

- Ale też nie musiałeś, prawda?

Potrząsnął głową, a jego oczy wydawały się bardziej niebieskie niż zwykle.

- Nie musiałem. Zresztą gdybym kiedykolwiek powiedział coś takiego twojej matce, to poradziłyby mi, żebym wziął się w garść i wyniósł śmieci, bo inaczej ona sama będzie musiała je dźwigać.

I mówiąc to, pocałowałyby cię w czoło, pomyślałem.

- Słuchaj, tato, może byś pojechał ze mną jutro do Nowego Jorku? Wybieram się do muzeum, a w moim pokoju hotelowym jest dodatkowe łóżko. Dawno już tam nie byłeś.

Westchnął.

- Teraz to dla mnie niewyobrażalnie wielka wyprawa. Nie umiałbym z tobą chodzić. Nawet spacer do sklepu spożywczego jest już odyseją.

- Rozumiem. - Nie mogłem jednak nie nalegać; nie chciałem, żeby taki był koniec jego widzenia świata. - No to może chciałbyś odwiedzić mnie tego lata w Waszyngtonie? Przyjadę po ciebie samochodem. Albo jesienią, kiedy się ochłodzi?

- Dziękuję, Andrew. - Zaszachował mnie. - Pomyślę o tym.

Wiedziałem, że tego nie zrobi.

- A może przynajmniej wymienićbyś sobie okulary, Cyrilu?

Był to stary dowcip; mogłem posługiwać się jego imieniem, kiedy prosiłem o coś szczególnego.

- Nie bądź zrzęda, chłopcze.

Patrzył teraz z szerokim uśmiechem na szachownicę, a ja postanowiłem, że dam mu wygrać, zresztą niemal zawsze mu się to udawało; z pewnością nie miał żadnych problemów, które by mu przesłaniały poszczególne figury.

## 56

### 1879

Budzi się z krzykiem. Yves, w szlafmocy na głowie, potrząsa ją za ramię, a potem przynosi jej trochę koniaku ze swojej garderoby. To tylko sen, zapewnia go, oddychając spazmatycznie. On odpowiada, że tak, oczywiście, to tylko sen. Co jej się śniło? Nic, mówi ona - osobliwe działanie wyobraźni. Pocieszywszy ją, znów robi się senny; pracował jak koń pociągowy w ostatnich tygodniach, i ona wie o tym; by mógł się zagrzebać we własnych snach, pozwala mu myśleć, że się uspokoiła. Yves oddycha równomiernie, wdech, wydech, podczas gdy ona zapala świeczkę i w szlafroku z różanym obszyciem siada na brzegu łóżka; w końcu przez zasłony zaczyna się sączyć światło.

Potrzebuje nocnika; wyciąga go ostrożnie spod łóżka i korzysta z niego, podciągając starannie brzeg szlafroka. Kiedy się wyciera, widać smugę o barwie czerwieni kadmowej, musi więc grzebać w komodzie swojej przebieralni, by znaleźć płócienne poduszeczki, które Esmé zostawiła poskładane w górnej szufladzie. Kolejny miesiąc bez nadziei. Po tamtym śnie sama krew wydaje się przerażająca; widzi ją, jak pokrywa pęcherzykami bladą twarz i spływa na bruk ulicy, krew kobiety mieszająca się z krwią mężczyzn, którzy zginęli za swoje przekonania.

Zdmuchuje świece, obawiając się, że Yves znów się przebudzi; czuje w oczach piekące łzy. Myśli o Olivierze. Nie może mu opowiedzieć swego snu - nie chce sprawiać temu człowiekowi bólu. Teraz jednak pragnie, by był tutaj, usadowiony w adamszkowym fotelu obok okna, i trzymał ją w ramionach. Znajduje cieplejsze okrycie i siedzi sama z rozpuszczonymi włosami, szyję ma mokrą od łez. Gdyby tu był, to najpierw on usiadłby w jej fotelu, a jego długie i dość szczupłe ciało wypełniłoby przestrzeń; potem ona skuliłaby się na jego kolanach jak dziecko. Obejmowałby ją, ocierał jej twarz, otulał ramiona i kolana szlafrokiem. Jest najbardziej uroczą i troskliwą osobą, jaką kiedykolwiek spotkała, ten mężczyzna, który niegdyś uchylał się przed kulami, trzymając w dłoni szkicownik. Lecz właściwie, zastanawia się, dlaczego miałby ją pocieszać? Przecież jego dramat jest większy. Ta myśl przywołuje ponownie tamten sen, ona zaś kuli się w fotelu, ściskając piersi

skrzyżowanymi ramionami i czekając, aż jego przeszłość w niej przygaśnie.

57  
*MARLOW*

Podróż do Nowego Jorku była, jak zawsze, czymś wspaniałym. Szczyty wieńczące jego panoramę ukazały się wcześniej niż samo miasto, niczym szereg atakujących włócznie: Word Trade Center, Empire State, Chrysler i mnóstwo strzelistych budowli bez znaczenia, których nazw i funkcji nie znam i nigdy nie poznam - banki, jak przypuszczam, i megalityczne biurowce. Trudno wyobrazić sobie miasto bez tej linii horyzontu, tak jak musiało wyglądać nawet czterdzieści lat temu, a teraz coraz trudniej wyobrazić sobie obecność Bliźniaczych Wież. Ale w pociągu, tamtego ranka, odczuwałem pogodę ducha, która jest rezultatem głębokiego snu i oczekiwania miejskiej żywości. Było to też wrażenie przebywania na wakacjach albo przynajmniej z dala od pracy - doznane już dwa razy w ciągu dwóch miesięcy. Sprawdziłem po raz setny komórkę; nie próbował się ze mną skontaktować nikt z Goldengrove ani żaden z prywatnych pacjentów, więc mogłem się cieszyć prawdziwą wolnością. Przyszło mi do głowy, że mogła dzwonić Mary, ale nie dzwoniła, zresztą po co miałyby to robić? Musiałem poczekać co najmniej kilka tygodni, nim sam mógłbym się do niej odezwać - znowu żałowałem, że nie pozwoliła mi porozmawiać ze sobą jak Kate, ale czerpałem jakąś szczególną przyjemność z widoku tych słów na papierze, a jej opowieść była zapewne bardziej szczerą, niż gdyby musiała mówić mi to wszystko bezpośrednio.

Dopóki nie zostawiłem bagaży w hotelu Washington i nie wyruszyłem do Village, nie zdawałem sobie sprawy, dlaczego wybrałem właśnie tę okolicę, choćby podświadomie. To były ulice Roberta i Kate; stąd szedł codziennie na uczelnię, przesiadywał w barach z przyjaciółmi, z którymi dzielił się opiniami i bluzami, wystawiał swoje prace w pobliskich małych galeriach. Trochę żałowałem, że Kate nie podała mi adresu, pod którym mieszkali, choć jakoś nie widziałem samego siebie szukającego tego budynku i zadzierającego głowę, by zobaczyć górne piętro: Tu spał Robert Oliver. Lecz, o dziwo, wyczuwałem jego obecność; łatwo było wyobrazić go sobie w wieku dwudziestu dziewięciu lat, takiego, jakim był teraz, tylko bez tej srebrzystości w niesfornych włosach. Kate stanowiła większą zagadkę; z pewnością była wtedy inna, ale nie mogłem sobie jej odmalować.

Dla zabawy szukałem ich wzrokiem na ulicach: tę młodą kobietę z krótko przyciętymi blond włosami i w długiej spódnicy, tego studenta z teczką na rysunki, przerzuconą przez ramię - nie, Robert był wyższy i robił znacznie większe wrażenie niż ktokolwiek na tym zatłoczonym chodniku. Górowałby tutaj nad innymi jak w Goldengrove, choć Nowy Jork skuteczniej wchłaniałby jego wyrazistość. Zacząłem się po raz pierwszy zastanawiać, czy w jakimś stopniu jego depresja nie wynika z prostego faktu przeniesienia w inne miejsce: osoba tak ekspansywna wobec życia, wobec innych, potrzebowała otoczenia godnego swojej energii. Czy zaczął powoli wędznąć z dala od Manhattanu? To Kate chciała się przeprowadzić w spokojniejsze miejsce, znaleźć raj dla dzieci. Czy może wygnanie z pulsującego życia miasta spotęgowało jego determinację, by iść za swoim powołaniem - czy chodziło o tę zawziętość, którą Kate dostrzegła, gdy malował na strychu i przesypiał zajęcia w Greenhill? Czy tak naprawdę chciał, by wyrzucono go z college'u, czym mógłby usprawiedliwić swój powrót do Nowego Jorku? A kiedy w końcu uciekł, dlaczego, zamiast udać się właśnie tam, wybrał Waszyngton? Fakt ten przemawiał za siłą związku z Mary, a może oznaczał po prostu, że jego mroczna dama nie przebywała już w Nowym Jorku, o ile kiedykolwiek tam była.

Minałem miejsce, gdzie Dylan Thomas zmarł w ryszotoku - dosłownie czy w przenośni - czy też skąd został wyciągnięty przed ostatnią podróżą do szpitala, i szeregowce, w których Henry James umiejscowił akcję *Domu na placu Waszyngtona* - ojciec przypomniał mi tę książkę rankiem, zdejmując egzemplarz z półki i spoglądając na mnie ponad nieodpowiednimi szklami: „Znajdujesz jeszcze czas na czytanie, co, Andrew?” Bohaterka powieści mieszkała w jednym z tych wymuskanych budynków stojących frontem do placu i gdy w końcu odrzuciła chciwego zalotnika, usiadła do robótki Jakby na resztę życia<sup>\*</sup>, co przeczytał mi głośno ojciec.

Znów późny wiek XIX; pomyślałem o Robercie i jego tajemniczej damie - obszerne spódnice i mnóstwo maleńkich guziczków - o ciemnych oczach, które wydawały się bardziej żywe od samego obrazu. Tego ranka Washington Square pogrążony był w spokoju letniego słońca, a ludzie rozmawiali na ławkach, podobnie jak inne pokolenia przed nimi, podobnie jak ja i kobieta, z którą, jak uważałem, mogłem się ożenić; cały ten czas przemykał obok ludzi i znikał, a wraz z nim znikał każdy z nas. Myśl, że miasto trwa uparcie bez naszego udziału, przynosiła pociechę.

Zjadłem kanapkę w restauracyjce, przy wystawionym na zewnątrz stoliku, a potem dojechałem metrem z Christopher Street na Siedemdziesiątą Dziewiątą Zachodnią i wsiadłem

---

<sup>\*</sup> Henry James, *Dom na placu Waszyngtona*, przeł. Maria Skroczyńska-Miklaszewska.

do autobusu miejskiego. Central Park przelewał się od zieleni, ludzie jeździli na łyżworolkach, na rowerach, biegacze unikali o włos śmiertelnej kolizji z tymi na kołach - sublimat soboty, Nowy Jork w czystej postaci, taki, jakiego nie widziałem od lat. Ponad wszystko zaś przypominałem sobie swój własny miejscowy świat, rozchodzący się promieniście na południe, ku Uniwersytetowi Columbia, ku salom wykładowym i akademikom. Nowy Jork znaczył dla mnie młodość, tak jak dla Roberta i Kate. Wsiadłem z autobusu i minąłem kilka przecznic, zmierzając w stronę Metropolitan. Na schodach muzeum tłoczyli się zwiedzający, którzy obsiedli je jak hałaśliwe ptaki; robili sobie zdjęcia, zbiegali na dół, żeby kupić hot doga albo colę ze straganów na kółkach, czekali na podwózkę albo przyjaciół, albo wyciągali nogi dla odpoczynku. Przepisnąłem się między nimi i stanąłem przy wejściu.

Nie przekroczyłem tego progu od prawie dziesięciu lat, co uświadomiłem sobie dopiero teraz; jak mogłem dopuścić, by takie niezmierzone połączenie czasu oddzieliły mnie od tych cudownych drzwi, od strzelistego holu z urnami pełnymi świeżych kwiatów, od gwaru ludzi, którzy przepływali tędy strumieniem, od wielkiego wejścia do sali egipskiej? Kilka lat później muzeum odwiedziła moja żona i powiedziała mi, że pod głównymi schodami otwarto właśnie nowy dział; ruszyła w tamtą stronę, zmęczona długą wędrówką, i znalazła wystawę dzieł bizantyjskiego Egiptu. Mogło się tam wtedy zmieścić co najwyżej dwoje lub troje ludzi; weszła i zobaczyła kilka zaledwie przedmiotów, doskonale oświetlonych. Potem wyznała, że jej oczy napelniły się łzami, ponieważ ten widok pozwolił jej odczuć więź z innymi ludźmi („Ale przecież byłaś tam sama” - zauważyłem. Odparła: „Tak, sama z tymi przedmiotami, które ktoś wykonał”).

Wiedziałem, że będę chciał tam zostać całe popołudnie, nawet gdyby cel mojej wizyty, związany z osobą Roberta, miał się ograniczyć do pięciu minut. Przypominałem sobie teraz na wpół zapomniane skarby: meble kolonialne, hiszpańskie balkony, barokowe kartony, wielkiego i ospałego Gauguina, którego szczególnie lubiłem. Nie powinienem zjawiać się tutaj w sobotę, kiedy tłum pęczniał do granic możliwości; zastanawiałem się, czy zdołam obejrzeć cokolwiek z bliska. Ale przecież Robert dojrzał tę damę w tłumie, więc może dobrze się stało, że byłem jednym z nieprzeliczonej rzeszy zwiedzających. Z kolorową metalizowaną plakietką muzeum na górnej kieszeni koszuli i z marynarką przerzuconą przez ramię ruszyłem w górę wielkich schodów.

Zapomniałem spytać, czy kolekcja Degasa znajduje się w tym samym miejscu od lat osiemdziesiątych, kiedy to Robert szczególnie się nią interesował. Nie miało to większego znaczenia; zawsze mogłem wrócić do punktu informacyjnego, może zresztą nie tego



szukałem. Znalazłem sale impresjonistów tam, gdzie je z grubsza zapamiętałem, i byłem oszołomiony niezmierną bujnością ich zieleni - tłum był tu gęsty, ale mogłem dostrzec znieczuloną sady, ścieżki ogrodowe, spokojną wodę, statki, majestatyczne łuki klifów Moneta. Szkoda, że te obrazy stały się ikoniczne, zamieniły w melodię, której nucenie już wszystkich nas nudziło. Ale ilekroć stawałem blisko któregoś z tych płócien, tę starą melodię uciszał przyływ czegoś wielkiego - koloru będącego niemal muzyką, gęstej farby na powierzchni, przynoszącej naprawdę woń pastwisk i oceanu. Przypomniałem sobie stos książek, które Kate znalazła obok sofy Roberta na strychu i które zainspirowały go do pokrycia malowidłami ścian i sufitu. Te dzieła nie były dla niego - współczesnego artysty - martwe, ale w jakiś sposób świeże i ożywcze, nawet pod postacią lśniących kolorowych reprodukcji z biblioteki. Sam był oczywiście tradycjonalistą, jednak w nieskończonych wystawach i niezliczonych plakatach wciąż potrafił odnaleźć coś rewolucyjnego.

Obrazy Degasa umieszczono głównie w czterech salach, a kilka innych jego dzieł - przede wszystkim duże portrety, których nie pamiętałem - trafiło do pomieszczeń ze zbiorami dziewiętnastowiecznymi. Zapomniałem też, że Metropolitan, w porównaniu z innymi muzeami, musiało się szczycić jedną z największych kolekcji jego prac, być może największą na świecie; zakodowałem sobie w pamięci, żeby to sprawdzić. W pierwszej sali znajdował się brązowy odlew jednej z najstojniejszych rzeźb Degasa, *Małej czternastoletniej tancerki*, ze spódniczką z prawdziwej splewiałej siateczki i z atlasową wstążką, zsuwającą się z warkocza na plecy. Stała na drodze każdego, kto tu wchodził, twarz miała obróconą ku górze, niewidzącą i uległą, ale być może tkniętą marzeniem, którego nie zrozumie żaden laik tańca, dłonie trzymała złączone z tyłu, plecy miała leciutko wygięte w łuk, prawa stopa była wysunięta do przodu i obrócona niewiarygodnie na zewnątrz, w pięknej deformacji, dla której szkolono tę dziewczynkę.

Na ścianach dominował tu Degas, jego portrety dość zwyczajnych kobiet, wachających kwiaty w swoich domach, i płótna przedstawiające tancerki; tylko gdzieś wisiły obrazy innych malarzy. Dwie następne sale wypełniały niemal bez reszty młode tancerki ze stopami na drążku czy krześle, w trakcie przymierzania baletek, z zadartymi spódniczkami, gdy się pochylały, co przypominało pióra łabędzi łowiących pod wodą - cała ta zmysłowość, która kazała wodzić wzrokiem po liniach ich ciał jak podczas prawdziwego baletu, spotęgowana intymność ich obserwowania podczas ćwiczeń, poza sceną, za kulisami, zwyczajnych, zmęczonych, nieśmiałych, okaleczonych, ambitnych, nieletnich, przejrzałych, przejmujących. Przeszedłem z pierwszej sali do drugiej, a potem zatrzymałem się przy wejściu do trzeciej i rozejrzałem.

Była to niewielka salka z aktami Degasa, kobietami wychodzącymi z wanny i okrywającymi się wielkimi białymi ręcznikami. Miały ciężkie ciała, jakby baletnice zestarzały się i przytyły, albo po prostu, uwolnione od dyscypliny obcisłych gorsetów i falbaniastych spódniczek, okazały się zmysłowo tęgie. Nic mi tu nie mówiło o obecności Roberta czy damy, którą kiedyś ujrzał w tych salach, choć być może sama była wielbicieleką Degasa. Uzyskał pozwolenie na rysowanie w muzeum, ustawił sztalugi albo trzymał przed sobą szkicownik i w któryś gwarny poranek pod koniec lat osiemdziesiątych zobaczył w cizbie zwiedzających pewną kobietę, a potem gdzieś ją zgubił. Jeśli chciał rysować, to dlaczego robił to w tłumie? Nie wiedziałem nawet, czy w tych salach wisiały wtedy te same obrazy, a gdybym zaczął to sprawdzać, to wydałbym się kimś w rodzaju fanatyka, choćby we własnym przekonaniu. Wszystko to zaczęło jawić się jako dość śmieszna pielgrzymka; już byłem zmęczony tymi przepychającymi się ludźmi i tymi na zewnątrz, gromadzącymi impresje impresji impresjonistów i kolekcjonującymi z pierwszej ręki wizerunki, które znali już z trzeciej.

Spróbowałem wniknąć w umysł Roberta i postanowiłem zejść na dół, do spokojniejszej sali, pełnej mebli czy waz chińskich, które nie interesowały tak wielu zwiedzających. Może też tak to odczuwał; był zmęczony tego dnia, odwrócił się i rozejrzał w tłumie - sam tego spróbowałem i mój wzrok zapalił się na widok jakiejś siwowłosej kobiety w czerwonej sukience, trzymającej za rączkę małą dziewczynkę; dziecko też już było zmęczone i wodziło pustym wzrokiem po ludziach, nie po obrazach. Ale tamtego dnia spojrzenie Roberta powędrowało przez tłum wprost ku kobiecie, której nie mógł już nigdy zapomnieć, kobiecie ubranej zapewne w dziewiętnastowieczny strój; chodziło o próbę teatralną, sesję fotograficzną czy po prostu żart - te możliwości nie przyszły mi wcześniej do głowy. Może podszedł do niej i zaczęli rozmawiać, nawet w tym ścisku.

- Jest tu jeszcze więcej obrazów Degasa? - spytałem strażnika w drzwiach prowadzących do sali.

- Degasa? - powtórzył, marszcząc czoło. - Tak, dwa, w tej sali.

Podziękowałem mu i dla spokoju sumienia skierowałem się w tamtą stronę; może właśnie w tym miejscu Robert doznał swego objawienia albo halucynacji. Było tu mniej ludzi, pewnie dlatego, że było tu też mniej Monetów. Obejrzałem z uwagą pastel na szarym płótnie, narysowany w różu i bieli, tancerka wyciągająca długie ramiona i nogi, i drugi, który przedstawiał trzy czy cztery baletnice obrócone plecami do malarza, obejmowały się w tali i albo poprawiały wstążki we włosach.

Miałem dosyć. Odwróciłem się i zacząłem szukać wyjścia na drugim końcu galerii, w

kierunku przeciwnym do tłumów, które porzuciłem. I oto ją ujrzałem, naprzeciwko, niewielki portret olejny, namalowany jakby odruchowo, ale z absolutną precyzją, twarz, którą znałem, ten ulotny uśmiech, czepek zawiązany pod szyją. Jej oczy wydawały się tak żywe, że nie sposób było uniknąć ich spojrzenia. Ruszyłem jak we śnie przez salę, która wydawała się ogromna; miałem wrażenie, że upłynęły godziny, nim się do niej zbliżyłem. Była to bez wątpienia ta sama kobieta, uwieczniona od okrytych błękitem ramion w górę. Kiedy się przysunąłem jeszcze bliżej, ona uśmiechnęła się jakby głębiej; miała wspaniale żywą twarz. Gdyby przyszło mi zgadywać autora, wskazałbym na Maneta, choć portretowi brakowało jego geniuszu. Musiał powstać jednakże w tym samym okresie: staranne pociągnięcia pędzla, spod których ukazały się ramiona sukni, koronka pod brodą, ciemny przepych włosów, wszystko to nie stanowiło właściwie domeny impresjonizmu; jej twarz miała w sobie coś z realizmu wcześniejszego stylu. Przebiegłem wzrokiem tabliczkę informacyjną - *portret Béatrice de Clerval, 1879. Olivier Vignot*". Béatrice de Clerval! Namalowana przez Vignota! Była jak najbardziej rzeczywistą osobą. Ale nie żyjącą.

Pracownik muzeum w punkcie informacji starał mi się pomóc w miarę możliwości. Nie, nie mieli żadnych innych dzieł Oliviera Vignota ani też jakichkolwiek obrazów z Béatrice de Clerval. To płótno znajdowało się w zbiorach muzeum od 1966 roku i zostało zakupione z prywatnej kolekcji w Paryżu. Podczas urlopu Roberta w Nowym Jorku wypożyczono je na rok, na potrzeby wystawy objazdowej, której tematem był portret francuski w początkach impresjonizmu. Pracownik uśmiechnął się i skinął głową; to wszystko, co mógł mi przekazać - czy jego informacje okazały się przydatne?

Podziękowałem mu, wargi miałem suche. Robert widział ten portret raz czy dwa, zanim usunięto go z muzeum w związku z wystawą. Nie uległ halucynacji, został tylko porażony tym cudownym wizerunkiem. Czy naprawdę nie spytał nikogo, co się stało z obrazem? Może to zrobił, a może nie; zniknięcie tej kobiety pasowało do jego mitycznych wyobrażeń. I jeśli wracał do muzeum w następnych latach, nie miało dla niego znaczenia, czy obraz tam był, czy nie; do tej pory zdążył już stworzyć sobie własną wersję tej postaci. Nawet jeśli widział płótno tylko kilka razy, to z pewnością zrobił kopię, i to bardzo dobrą, skoro jego późniejsze dzieła tak dokładnie oddawały wygląd kobiety.

Czy też znalazł ten obraz w jakiejś książce? Nie ulegało wątpliwości, że ani malarz, ani jego modelka nie byli szczególnie znani, ale klasa płócna, które wyszło spod ręki Vignota, skłoniła muzeum do jego zakupu. Zajrzałem także do sklepu z pamiątkami, ale nie znalazłem go na żadnej pocztówce, nie było też książki z jego reprodukcją. Znów wspiałem się na schody i wróciłem do tej sali. Czekająca tam, promienna, uśmiechnięta, niemal gotowa coś

powiedzieć. Wyjąłem swój szkicownik i narysowałem ją, nachylenie głowy - gdybym tylko potrafił zrobić to lepiej. Potem spojrzałem jej w oczy. Opuszczając muzeum, z trudem się opanowałem, by nie zabrać jej ze sobą.

## 58

### MARY

Po szkole sztuk pięknych przyjmowałam każdą pracę, jaką tylko mogłam znaleźć, aż w końcu zaczęłam uczyć w Waszyngtonie. Od czasu do czasu wystawiałam jakiś obraz albo dostawałam niewielkie stypendium, niekiedy nawet brałam udział w przyzwoitych warsztatach. W tych, o których chcę panu opowiedzieć, uczestniczyłam kilka lat temu, to był koniec sierpnia. Odbywały się na terenie starej posiadłości w Maine, na wybrzeżu, w okolicy, którą zawsze chciałam zobaczyć i może też malować. Pojechałam tam z Waszyngtonu swoim małym pikapem, niebieskim chevroletem. Kochałam ten wóz, lecz w końcu musiałam oddać go na złom. Z tyłu wiozłam sztalugi, duże drewniane pudło z przyborami, śpiwór z poduszką, worek marynarski z czasów służby wojskowej mojego ojca w Korei, wypełniony dzinsami i podkoszulkami, starymi kostiumami kąpielowymi, starymi ręcznikami - wszystko było stare.

Pakując tę torbę, uświadomiłam sobie, jak daleko odeszłam od Muzzy i jej edukacji; nigdy nie pochwaliłaby sposobu, w jaki się pakowałam, ani tego, co pakowałam - góry wytartych ubrań, szarych tenisówek i pudeł z przyborami malarskimi. Bardzo by się jej nie spodobała moja uniwersytecka bluza z popękany napisem na piersi i spodnie khaki z oderwaną tylną kieszenią. Nie byłam jednak niechlujna; hodowałam długie, lśniące włosy, skórę miałam jędrną, stare jak świat ubrania zawsze były czyste. Nosiłam na szyi złoty łańcuszek z wisiorkiem w barwie granatu, kupiłam nowy koronkowy stanik i bieliznę, by się przystrajać pod tą złączaną zasłoną wierzchnich ubrań. Kochałam siebie w takiej postaci, smukła krągłość, przystrojona w sekrecie, niewidoczna - nie dla jakiegokolwiek mężczyzny (miałam ich dość po studiach), ale dla tej chwili wieczorem, kiedy zdejmowałam poplamioną farbą bluzkę i dzinsy z dziurami na kolanach. Wszystko to było dla mnie samej; byłam swoim własnym skarbem.

Wyjechałam bardzo wcześnie i ruszyłam bocznymi drogami w stronę Maine, spędzając noc w Rhode Island, w motelu z lat pięćdziesiątych; składał się z małych białych domków i był oznaczony tablicą z wymyślnymi czarnymi literami. Całe to miejsce przypominało mi nieprzyjemnie motel z *Psychozy*. Na miejscu jednak nie zastałam żadnych

zabójców; spałam spokojnie niemal do ósmej, a na śniadanie, w zadymionej knajpce tuż obok, zjadłam jajka sadzone. Szkicowałam trochę przy okazji - uwieczniałam poplamione przez muchy firanki, które były związane po obu stronach i wisiały w oknie pełnym doniczek ze sztucznymi kwiatami, rysowałam ludzi popijających kawę.

Na granicy Maine stał znak ostrzegający przed łośiami, na poboczach zrobiło się gęsto od drzew iglastych, które napierały z obu stron niczym armia gigantów - ani śladu domów, żadnych zjazdów, tylko nieskończone kilometry wysokich jodeł. A potem na samej krawędzi asfaltu pojawiła się zaspą bladego piasku i uświadomiłam sobie, że zbliżam się do oceanu. Poczułam przypływ podniecenia jak wtedy, kiedy Muzzy zawoziła nas na coroczne wakacje do Cape May w New Jersey. Wyobraziłam sobie, jak maluję plażę i krajobraz albo siedzę na skałach nad wodą, a w pobliżu nie ma nikogo. W tamtych dniach wciąż cieszyłam się w pełni romanssem, który nazywałam „sama sobie”; nie wiedziałam jeszcze, jak to naprawdę jest być samotnym, jak staje się to dojmujące i może zniszczyć dzień - a nawet więcej, jeśli nie jest się ostrożnym.

Zajęło mi trochę czasu, zanim znalazłam właściwą drogę przez miasto i dojazd do tego odludnego miejsca; broszurka zawierała małą mapę, która kończyła się zatoczką z dala od cywilizacji. Ostatnie dwie drogi, polne, przedzierały się przez gęsty las jodłowy niczym wyręby, ale wydawały się urocze, a na ich poboczach wyrastały młodziutkie choinki, kryjąc się w cieniu kniei. Po kilku kilometrach dotarłam do chaty, która wyglądała jak z piernika, i drewnianej stróżówki z tablicą ROCKY BEACH RETREAT CENTER; w pobliżu nie było żywego ducha, a nieco dalej znajdował się zakręt i rozległy trawnik. Zobaczyłam dużą drewnianą rezydencję z takimi samymi zdobieniami pod okapem, jakie wcześniej widziałam w chatce, zarośla i błysk nieodległego oceanu. Dom był ogromny, pomalowany na przygaszony róż, a na trawniku się nie kończyło; były tam też ogrody, treliáže, ścieżki, różowy domek letni, stare drzewa, kawałek płaskiego terenu, gdzie ktoś urządził boisko do krokieta, hamak. Spojrzałam na zegarek; miałam mnóstwo czasu, żeby się zameldować.

Jadalnia, w której spotkaliśmy się wszyscy tego wieczoru na pierwszym posiłku, była urządzona w dawnej powozowni, gdzie wyburzono ściany działowe. Miała surowe belki pod sufitem i okna witrażowe. Na oblażonej drewnianej podłodze ustawiono z dziesięć długich stołów, a młodzi mężczyźni i kobiety - studenci, którzy już wydawali mi się młodszy niż ja sama sobie - krążyli wokół, roznosząc dzbanki z wodą. Na jednym końcu sali był bufet z kilkoma butelkami wina, kieliszkami, wazą pełną kwiatów, a obok stały otwarte przenośne lodówki z mnóstwem piwa. Doznałam lekkich mdłości; przypominało to pierwszy dzień w

szkole (choć jako dziecko chodziłam do jednej i tej samej szkoły przez dwanaście lat) albo spotkanie informacyjne przed początkiem pierwszego roku na studiach, kiedy człowiek uświadamia sobie, że nikogo nie zna, a co za tym idzie, nikogo nie obchodzi, i że trzeba coś z tym zrobić. Zauważyłam kilkoro ludzi rozmawiających w małych grupkach obok drinków. Zmusiłam się do dziarskiego kroku w stronę tego piwa (byłam w tamtych czasach bardzo dumna ze swojego kroku) i nie rozglądając się wokół, wyjęłam jedną butelkę z lodu. Kiedy się wyprostowałam, by poszukać otwieracza, walnęłam ramieniem i łokciem Roberta Olivera.

Był to z pewnością Robert. Stał tam, obrócony do mnie profilem trzy czwarte, i z kimś rozmawiał; usunął mi się z drogi, omijając przeszkodę, którą stanowiłam, nawet nie obróciwszy się w moją stronę. Rozmawiał z drugim mężczyzną - facetem o wąskiej głowie i siwiejącej rzadkiej bródce. Był to bez wątpienia, bezwzględnie Robert Oliver. Jego kręcone włosy wydawały się dłuższe na karku, niż to zapamiętałam, widać było kilka srebrzystych pasemek, które dodawały im blasku, a łokieć wyzierał brązowo z dziury w rękawie niebieskiej bawełnianej koszuli. W materiałach informacyjnych nie wspomiano o nim nawet słowem; dlaczego tu był? Miał farbę albo tłuszcz na jasnych bawełnianych spodniach, jakby ocierał dłonie o pośladki, niczym mały chłopak. Pomimo chłodu letniego wieczoru Nowej Anglii, który już dotarł do drzwi jadalni, nosił ciężkie sandały. W rękę trzymał butelkę piwa, a drugą gestykulował, tłumacząc coś mężczyźnie o wąskiej głowie. Był tak wysoki, jak to zapamiętałam, imponujący.

Stałam bez ruchu, wpatrując się w jego ucho, w gruby kosmyk włosów wokół tego ucha, w jego wciąż znajome ramię, w dłoń długiej ręki uniesionej w ferworze dyskusji. Pamiętałam tę pewną i jednocześnie pełną zgrabności równowagę, którą prezentował, przechadzając się po pracowni. Potem rozejrzał się ze zmarszczonym czołem, ale to nie był ten odruch znany z tyłu filmów, kiedy coś nagle zwraca uwagę bohatera; raczej jakby położył coś w niewłaściwym miejscu albo próbował sobie przypomnieć, czego szuka w tym pomieszczeniu. Dostrzegł mnie, ale nie rozpoznał. Wycofałam się, odwracając twarz. Uznałam za przerażającą myśl, że - gdybym chciała - mogłabym podejść do niego, poklepać go w ramię przez niebieską koszulę, skutecznie przerwać jego rozmowę. Obawiałam się jednak zdumienia, niepewnego: „Och, przepraszam... my się znamy?” albo „Dobrze cię znów widzieć, kimkolwiek jesteś”. Pomyślałam o setkach (tysiącach?) studentów, których uczył od tamtej pory. Uznałam, że lepiej się do niego nie odzywać niż odegrać rolę jeszcze jednej niewyraźnej twarzy w tłumie.

Obróciłam się szybko w stronę pierwszej osoby, której wzrok zdołałam uchwycić, a która okazała się młodym mężczyzną z koszulą rozpiętą na wysokości mostka. Był to

imponujący mostek, opalony i wystający; widniał na nim wielki łańcuch z pacyfą, a płaskie piersi otaczały go niczym dwa równo przycięte kawałki kurczaka. Podniosłam wzrok, domyślając się, że facet będzie miał długie loki retro dopasowane do wisiora, ale okazało się, że ma na głowie krótką, bladą szczecinę. Twarz była równie ostra i wyrazista jak mostek, nos przypominał dziób, oczy miały jasnobrazową barwę i mrugały niepewnie w moim kierunku.

- Niezłe przyjęcie - oznajmił.

- Nie powiedziałałabym.

Czułam niechęć, która, jak doskonale wiedziałam, była niesprawiedliwą pozostałością tamtej chwili, kiedy ujrzałam, jak ramię Roberta Olivera obraca się ku mnie, a potem w przeciwną stronę.

- Mnie też się nie podoba.

Chłopak wzruszył ramionami i roześmiał się; jego naga pierś zapadła się na chwilę. Był młodszy, niż mi się początkowo wydawało, młodszy ode mnie. Uśmiech miał przyjacielski, rozjaśniał mu oczy. Przewrotnie znów poczułam niechęć; oczywiście był zbyt wyrafinowany, by lubić jakiegokolwiek większe zgromadzenia albo przynajmniej przyznać się do tego, gdy ktoś inny wyrażał odmienne zdanie.

- Jak się masz, jestem Frank.

Wyciągnął rękę, wyrzekając się w jednej chwili wyrafinowania w stylu retro; maminy synek, dżentelmen. Moment był idealny, rozbijający. W jego geście zawierał się szacunek wobec mojego - och, sześciolatniego - starszeństwa; dostrzegłam też iskierkę, która dowodziła, że pomimo wieku jestem atrakcyjną kobietą. Siłą rzeczy podziwiałam jego umiejętności okazywania podziwu. Jakby wiedział, że mam prawie trzydzieści lat, że nie jestem młodką, i dawał mi do zrozumienia, tym suchym ciepłem swojej dłoni, że podobają mu się trzydziestki, i to bardzo. Miałam ochotę się roześmiać, ale nie zrobiłam tego.

- Mary Bertison - przedstawiłam się.

Robert przesunął się, dostrzegłam to kątem oka; zmierzał w stronę wejścia do jadalni, żeby porozmawiać z kimś innym. Uparcie nie patrzyłam w tamtą stronę. Moje włosy stanowiły częściową kurtynę, płaszcz, który mnie chronił.

- No więc dlaczego tu przyjechałaś?

- Skonfrontować się z przeszłym życiem - odparłam. Nie spytał przynajmniej, czy zaliczam się do kadry wykładowców.

Zmarszczył czoło.

- Żartowałam. Przyjechałam, żeby wziąć udział w warsztatach pejzażu.

- Niesamowite! - rozpromienił się Frank. - Ja też.



- Gdzie studiowałeś? - spytałam i łyknęłam piwa, by stłumić niepokój wywołany widokiem profilu Roberta Olivera.

- SCAD - rzucił mimochodem. - Magister sztuk pięknych.

Savannah College of Art and Design cieszył się już opinią doskonałej uczelni, a on wydawał się dość młody jak na absolwenta; odczułam wbrew sobie coś w rodzaju szacunku.

- Kiedy ukończyłeś studia?

- Trzy miesiące temu - wyjaśnił. To tłumaczyło te typowe uczelniane maniery, świeżo przećwiczony uśmiech. - Dostałem stypendium w związku z tym kursem, ponieważ jesienią zacznę uczyć, przyda mi się coś takiego, wiesz, wzbogaci mój image.

Image, pomyślałam, taki jak mój, Frank utalentowany artysta, wspaniała przyszłość. No cóż, jeszcze kilka lat i wyleczy się z tych mrzonek; ale - patrząc na to z drugiej strony - już zaproponowali mu posadę wykładowcy. Robert Oliver znajdował się w tej chwili poza moim polem widzenia, nawet gdy przechyliłam głowę, zmieniając kąt obserwacji. Przesunął się w jakiś punkt jadalni, nie rozpoznawszy mnie, nie wyczuwając nawet mojego pragnienia, by mnie rozpoznał. Utknęłam na dobre z Frankiem.

- Gdzie będziesz wykładał? - spytałam, by ukryć wewnętrzną złośliwość.

- SCAD - powtórzył.

Dało mi to do myślenia. Został zatrudniony bezpośrednio po studiach, jako magister? Dość niezwykle; może miał rację, jeśli chodzi o przyszłość. Nie odzywałam się przez kilka sekund, zastanawiając się, kiedy podadzą kolację i w jaki sposób zdołam usiąść jak najdalej albo jak najbliżej Roberta. Najlepiej daleko, zdecydowałam.

Frank przyglądał mi się z zainteresowaniem.

- Masz wspaniałe włosy - zauważył w końcu.

- Dzięki - powiedziałam. - Zaczęłam je zapuszczać w trzeciej klasie, do roli księżniczki w szkolnym przedstawieniu.

Znowu zmarszczył czoło.

- Więc malujesz pejzaże? Będzie wspaniale. Prawie jestem zadowolony, że Judy Durbin złamała nogę.

- Złamała nogę?

- Tak. Wiesz, jest bardzo dobra i wcale się nie cieszę z powodu jej kontuzji, ale to niesamowite, że kurs będzie prowadził Robert Oliver, prawda?

- Co? - Zerknęłam w stronę Roberta, choć bardzo się starałam tego nie robić. Stał teraz w grupie studentów, jego głowa i ramiona górowały niemal nad wszystkimi, był do mnie obrócony plecami, daleki, tak daleki na drugim końcu sali. - Robert Oliver ma prowadzić

zajęcia?

- Dowiedziałem się po przyjeździe, dziś po południu. Nie wiem, czy już się zjawił. Durbin złamała nogę na nartach, podobno słyszała, jak kość jej pęka, przynajmniej tak mi powiedziała sekretarka. Sprawa jest poważna, paskudny uraz, duży zabieg chirurgiczny, więc szef wezwał swojego kumpla Roberta Olivera. Uwierzysz? Mamy szczęście. Czego nie można powiedzieć o Durbin.

Nagle wokół mnie jakby zaczęła wirować hałaśliwie szpula z filmem - Robert Oliver wędrujący z nami po polach, wskazujący kąć padania światła, omawiający perspektywę tych niskich niebieskich wzgórz w głębi łądu, tych samych, które mijałam po drodze. Czy widzimy je z wybrzeża? Musiałabym powiedzieć mu pierwszego dnia: och, witam, chyba mnie pan nie pamięta, ale... a potem musiałabym malować w jego obecności przez cały tydzień, a on przechadzałby się między sztalugami. Westchnęłam głośno.

Frank spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie lubisz jego obrazów? Rozumiem, jest tradycjonalistą i w ogóle, ale facet maluje jak mało kto.

Wybawił mnie ciężki gong dzwonu, docierający najwidoczniej z zewnątrz, sygnał posiłku, dźwięk, który miałam słyszeć dwa razy dziennie przez prawie cały tydzień, a który jeszcze dzisiaj, kiedy o nim pomyślę, przyprawia mnie o skurcz żołądka. Wszyscy zaczęli gromadzić się przy stołach. Trzymałam się blisko Franka, dopóki nie zobaczyłam, że Robert, najwyraźniej chcąc kontynuować rozmowę, siada blisko swojej grupy. Skierowałam zatem Franka w miejsce jak najbardziej oddalone od Roberta i jego znamienitych kolegów. Siedzieliśmy razem i krytykowaliśmy posiłek, który stanowił definicję zdrowej żywności; na koniec był placek truskawkowy i kawa. Wszystko podawali studenci; Frank wyjaśnił, że to artyści ze studiów zaocznych, którzy w ten sposób zarabiają na naukę. Nie było żadnych kolejek, po prostu ci piękni młodzi ludzie stawiali przed nami talerze. Ktoś dolał mi nawet wody.

Podczas jedzenia Frank opowiadał uparcie o swoich zajęciach, wystawie studenckiej, utalentowanych przyjaciółach, którzy wyjechali z Savannah, by rozproszyć się po wielkich miastach. „Jason jedzie do Chicago, może przyłączę się do niego w przyszłym roku w lecie. Chicago to wielkie miasto, ma się rozumieć”. I tak dalej. Było to śmiertelnie nudne, ale pozwalało mi zapanować nad zmieszaniem i zanim podano placek truskawkowy, kwestia, czy Robert Oliver mnie rozpozna, czy też nie, przestała mieć dla mnie tego wieczoru jakiegokolwiek znaczenie. Wyczuwałam muskularne ramię Franka obok swojego, jego usta przybliżające się do mojego ucha, jego niewypowiedziane „może to początek czegoś/mam pokój na końcu

męskiego akademika”. Kiedy jedliśmy deser, przy mikrofonie stanął kierownik kursu - okazał się człowiekiem o okrągłej głowie i rzadkich siwych włosach - i powiedział nam, że jest bardzo zadowolony, mając tu taką grupę uczestników, że jesteśmy utalentowani i że ciężko przyszło im odrzucić pozostałe zgłoszenia. („No i te opłaty” - mruknął do mnie Frank).

Po przemówieniu wszyscy wstali i kręcili się przez kilka minut, podczas gdy studenci rzucili się do stołów, żeby pozbierać naczynia. Jakaś kobieta w liliowej sukience i z wielkimi kolczykami powiedziała mnie i Frankowi, że za stajniami będzie ognisko i że powinniśmy tam pójść. „To tradycja pierwszego wieczoru” - wyjaśniła, jakby uczestniczyła w tych warsztatach wielokrotnie. Ruszyliśmy w ciemność - znów czułam zapach oceanu, a w górze pokazały się gwiazdy - i kiedy minęliśmy budynki, ku niebu wystrzelały już potężne snopy iskier, niczym odwrócony do góry nogami prysznic, i oświetlały ludzkie twarze. Nie mogłam dostrzec niczego poza drzewami na skraju terenu, ale wydawało mi się, że słyszę głuchy łoskot fal. W broszurce napisali, że obóz dzieli od wybrzeża tylko krótki spacer; zamierzałam rano to sprawdzić. Na gałęziach wisiało kilka lampionów, jakby chodziło o jakiś festyn.

Poczułam niespodziewany przyływ nadziei - pomyślałam, że to miejsce będzie magiczne, że wymaże wspomnienie niedawnego, długiego kierunku nudnej i niezbyt ambitnej pracy nauczycielskiej w miejskim college'u i domu kultury, że zasypie przepaść między życiem zawodowym a domowym, sekretnym, które dzieliłam ze swoimi obrazami i rysunkami, że zaspokoi mój głód obcowania z innymi artystami, tęsknotę, która narastała od ukończenia studiów. Tutaj, w ciągu paru dni, miałam stać się lepszą malarką, niż mogłabym w ogóle o tym marzyć. Nawet radośnie pogardliwe komentarze Franka nie mogły stłumić tej nagłej i dzikiej nadziei.

- Scena zbiorowa - oznajmił i posłużył się tym stwierdzeniem jako pretekstem, by pewnymi palcami objąć moje ramię i odciągnąć nas oboje od zadymionej strony ogniska.

Robert Oliver stał pośród starszych ludzi - wykładowców, stałych bywalców kursu (rozpoznałam kobietę w liliowej sukience) - także poza zasięgiem dymu, z butelką piwa w dłoni. W szkłe odbił się blask płomieni, zalśniło od środka jak topaz. Słuchał teraz kierownika. Przypomniałam sobie tę jego sztuczkę, która zapewne nie była żadną sztuczką - to, że więcej słuchał, niż mówił. Musiał nachylać odrobinę głowę, by słyszeć kogokolwiek, przez co sprawiał wrażenie człowieka pełnego uwagi, a potem patrzył w górę, wciąż słuchając, jakby słowa rozmówcy były wypisane na niebie. Miał na sobie sweter, częściowo wystrzępiony pod szyją; przyszło mi do głowy, że dzielimy zamiłowanie do starych ubrań.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie podejść bliżej ognia, w krąg jego światła, starając się przyciągnąć spojrzenie Roberta, ale potem porzuciłam tę myśl. Wiedziałam, że

jutro i tak czeka mnie zakłopotanie. „O tak, (nie) pamiętam cię”. Byłoby rzeczą interesującą przekonać się, czy kłamie. Frank podał mi piwo. „Chyba że chcesz coś mocniejszego”. Nie chciałam. Napierał teraz na moje ramię, na starą bluzę i kiedy już wypiliśmy trochę tego piwa, dotyk jego twardej ręki na mojej nie wydawał się nieprzyjemny. Widziałam głowę Roberta Olivera w świetle gwiazd, jego jasne oczy skupione przez chwilę na płomieniach, niesforne włosy dziko uniesione do góry, twarz łagodną i opanowaną. Była to bardziej pobrużdżona twarz niż ta, którą zapamiętałam, musiał mieć teraz co najmniej czterdziestkę; w kącikach ust widać było wyraźne rowki, które znikwały, kiedy się uśmiechał.

Zwróciłam się do Franka, coraz bardziej zdecydowanie napierającego na moją bluzę.

- Chyba pójdę do łóżka - powiedziałam z beztróską niedbałością, jak miałam nadzieję.  
- Dobrej nocy. Jutro czeka nas wielki dzień.

Pożałowałam ostatniego zdania; ten dzień nie byłby tak wielki dla Franka, Wspaniałego Artysty, jak dla mnie, utalentowanego nikogo, ale nie musiał o tym wiedzieć.

Obrzucił mnie spojrzeniem znad swojego piwa, pełen żalu i zbyt młody, by to ukryć.

- Hej, jasne. Śpij dobrze, okay?

Nikt jeszcze nie leżał w łóżku w długiej sypialni, kolejnej przerobionej stodole, gdzie studentki miały swoje zamknięte boksy. Pomimo jednak solidnych ścian, które oddziaływały od siebie uczestniczki kursu, nie mogło tu być mowy o prywatności. W pomieszczeniu wciąż unosił się nieznaczny zapach koni; przyjełam to z sentymentem, pamiątką po trzech latach obowiązkowej nauki jazdy konnej, którą musiałam uprawiać razem z Martha, bo tego chciała Muzzy. „Tak dobrze siedzisz w siodle” - oznajmiała z aprobatą po każdej lekcji, jakby stanowiło to dostateczne usprawiedliwienie całego tego czasu i wydatków. Skorzystałam z toalety z zimnym sedesem na końcu korytarza - czy raczej wąskiego przejścia - a potem zamknęłam się w swoim boksie, żeby rozpakować rzeczy. Było tam biurko dostatecznie duże, by na nim rysować, twarde krzesło, mała komoda z oprawionym lustrem u góry, wąskie łóżko z równie wąską pościelą, pusta tablica ogłoszeń ze śladami po pinezkach i okno z brązowymi zasłonami.

Po krótkiej chwili, kiedy to stałam zdezorientowana, zaciągnęłam starannie zasłony i rozpięłam swój śpiwór, by rozłożyć go dodatkowo na łóżku. Poukładałam nędzne ciuchy w szufladach, a szkicowniki i pamiętnik położyłam na blacie biurka. Przez zamknięte okno docierała do mnie wesoła wrzawa, głosy, odległy śmiech. „Dlaczego wykluczam się z tego wszystkiego?” - zadawałam sobie pytanie, ale z takim samym zadowoleniem jak melancholią. Mój pikap stał na parkingu obok obozowiska, a ja byłam śmiertelnie zmęczona po długiej

jeździe, gotowa do snu albo prawie gotowa. Stojąc przed lustrem, odbyłam wieczorny rytuał rozbierania - ściągnęłam przez głowę podkoszulek. Pod spodem krył się mój delikatny, drogi stanik. Stałam wyprostowana, patrząc na siebie. Autoportret, noc za nocą. Potem zdjęłam stanik, odłożyłam go i znów na siebie spojrzałam: na siebie i wyłącznie dla siebie. Autoportret, akt. Kiedy przerwałam tę długą obserwację, włożyłam szarzejącą piżamę i wskoczyłam do łóżka; pościel była zimna, a książka zaliczała się do tych, które, jak sądziłam, powinnam przeczytać - biografia Izaaka Newtona. Moja dłoń odszukała kontakt, a głowa poduszkę.

1879

*Moja ukochana przyjaciółko,*

*Twój list poruszył mnie wielce i nappełnił bólem świadomości, że sprawiłem Ci cierpienie, które dostrzegam między Twymi odważnymi i bezinteresownymi linijkami. Odkąd napisałem do Ciebie ostatnim razem, żałuję tego w każdej sekundzie, obawiając się, że nie tylko zmusiłem Cię do patrzenia oczami duszy na odrażające sceny - te, z którymi sam muszę żyć - ale też objawiłem się jako żaloszny osobnik proszący o współczucie. Jestem tylko człowiekiem i kocham Cię, ale przysięgam, że nie przyświecał mi żaden z powyższych zamiarów. Ten wstyd napawa mnie jednak zadowoleniem, że opowiedziałaś mi swój sen, moja droga, choć nie uczyniłaś tego bez oporów; tym samym mogę i ja cierpieć, choć przykro mi, że byłem powodem Twojej niespokojnej nocy.*

*Gdyby moja żona rzeczywiście zmarła w tak czułych ramionach jak Twoje, to uważałaby, iż spoczywa w objęciach anioła albo też córki, której nigdy nie miała. Twój list już odmienił moje myśli o tamtym dniu, myśli, które zajmują mnie i dręczą częstokroć - aż do tego ranka żalowałem gorąco, że nie zmarła w moich ramionach, skoro już musiała odejść. Teraz zaś sądzę, że gdyby mogła umrzeć w łagodnych objęciach córki albo osoby o Twojej wrodzonej dobroci i odwadze, byłoby to jeszcze bardziej pocieszające, zarówno dla niej, jak i dla mnie. Dziękuję Ci, mój aniele, za ulżenie memu ciężarowi i za doznanie szczodrości, która jest Twoją naturą. Zniszczyłem Twój list, choć niechętnie, byś nigdy nie została w nic uwikłana z powodu wiedzy o owej niebezpiecznej przeszłości. Żywię nadzieję, że i Ty mój list zniszczysz, zarówno ten, jak i poprzedni.*

*Muszę wyjść na chwilę z domu; nie potrafię tego ranka skupić się czy odzyskać spokoju w czterech ścianach. Przespaceruję się trochę i upewnię, że moje wyznania dotrą do Ciebie bezpiecznie, ukryte we wdzięcznym sercu Twego*

O. V.

## 59

### MARY

Nazajutrz rano obudziłam się wcześniej, jakbym usłyszała czyjś szept - w pełni świadoma, wiedząc dokładnie, gdzie jestem - a moja pierwsza myśl skupiła się na oceanie. Wystarczyło mi kilka minut, by włożyć czyste spodnie i bluzę, a potem uczesać się i wyczyścić zęby w chłodnej łazience sypialni, z pajakami na suficie. Potem wymknęłam się ze stodoły, mocząc sobie tenisówki poranną rosą; wiedziałam, że później będę tego żałować, skoro nie miałam zapasowej pary. Świt był szary od mgły, która przeredzała się w górze nierównymi łatami, ukazując przezroczyście niebo; wrony obsiadły osnute pajęczynami choinki, na brzozech już się pojawiło kilka żółtych liści.

Droga, tak jak przypuszczałam, prowadziła obok wzgóрка popiołu w kręgu wypalonego ogniska. Zmierałam w odpowiednim kierunku, ku oceanowi, i po kilku minutach wsłuchiwanie się w człapanie moich tenisówek na ścieżce i odgłosy lasu, wyszłam na kamienistą plażę, plusk wody i wodorosty wyrzucone na brzeg, spieniony przypyływ między szarymi palcami łądu. Nad samą powierzchnią morza wciąż zwieszała się mgła, jakby pragnąc się przeredzić, więc dostrzegałam tylko przebłyśki bladego nieba w górze i widziałam fale na odległość jednego, może dwóch metrów. Nie było obrazu morza, tylko ta mgła i krawędzie łądu poznaczone ciemnymi wyprostowanymi jodłami; kilka domków zakłócało ich szeregi. Zdjęłam buty i podwinęłam nogawki do kolan. Woda była chłodna, potem zimna, wreszcie lodowata, przenikała kości stóp i przyprawiała łydki o dreszcz. Wodorosty oplatały mi kostki.

Zaczęłam się nagle bać, sama z tym lasem, zapachem sosen, niewidzialnym Atlantykiem. Wszystko było nieruchome, z wyjątkiem falowania wody. Nie mogłam zmusić się do tego, by wejść w morze głębiej niż po kostki - doznałam tego gwałtownego dziecięcego lęku przed rekinami i chwytliwymi pnączami wodorostów; ogarnęła mnie myśl, że zostanę wciągnięta pod wodę i zniknę. Nie było na co patrzeć, mgła odpowiadała mi spojrzeniem niczym ślepiec. Zastanawiałam się, jak ją namalować, i próbowałam sobie przypomnieć, czy widziałam kiedykolwiek obraz przedstawiający głównie mgłę. Może jakiegoś Turnera czy

japońskie ryciny. Śnieg, owszem, i deszcz, i chmury zwieszające się nad górami, ale nie przychodziło mi do głowy żadne płótno z takim rodzajem bieli. W końcu cofnęłam się z linii wody i znalazłam głaz, na którym mogłam usiąść, dostatecznie wysoki i dostatecznie gładki, by ocalić siedzenie moich spodni, i z wyższym oparciem, by się wygodnie usadowić. Odczułam też jakieś dziecięce zadowolenie, że znalazłam sobie tron, i zaczęłam marzyć. Wciąż tam siedziałam, gdy z lasu wyłonił się Robert Oliver.

Był sam i sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach, tak jak ja; szedł powoli, wpatrując się w swoje stopy na ścieżce, a od czasu do czasu w drzewa i zamgloną wodę. Zauważyłam, że jest bosy; miał na sobie stare sztruksowe spodnie i rozpiętą żółtą koszulę bawełnianą, a pod nią T-shirt z jakimiś literami, których z tej odległości nie umiałam ułożyć w słowa. Teraz musiałam się przedstawić, czy tego chciałam, czy nie. Zaświtało mi, żeby wstać i się przywitać, ale nic z tego nie wyszło - gdy zaczęłam się podnosić, uświadomiłam sobie, że wciąż znajduję się poza zasięgiem jego wzroku. Znowu usiadłam na swoim głazie, cierpiąc straszliwe zakłopotanie. Gdyby wszystko poszło dobrze, zanurzyłby na chwilę stopy w oceanie, sprawdził temperaturę wody, a potem odwrócił się i ruszył z powrotem do obozu; odczekałabym dwadzieścia minut, ochłodziła sobie twarz i przemknęła się jego śladem. Wtuliłam się w zimną skałę. Nie mogłam oderwać od niego wzroku; gdyby mnie dostrzegł, chciałabym przede wszystkim zobaczyć, jak mnie rozpoznaje. Na co pewnie nie powinnam była liczyć.

Potem zrobił coś, czego się najbardziej obawiałam i czego, nawet o tym nie wiedząc, pragnęłam: zdjął ubranie. Nie odwrócił się w stronę oceanu ani nie schował w zaroślach na skraju lasu; po prostu sięgnął do spodni, rozpiął je i ściągnął - nie nosił pod spodem bielizny - a następnie zdjął koszulę i podkoszulek, rzucił wszystko na bezładną kupkę poza linią przyływu i ruszył w stronę wody. Patrzyłam sparaliżowana. Stał zaledwie kilka metrów ode mnie, jego długie, muskularne plecy i nogi były nagie; podrapał się po głowie, jakby chcąc ujarzmić albo skołtunić włosy, a może przepędzić resztki snu, wreszcie od niechcenia oparł dłonie na biodrach. Mógłby być modelem, który rozprostowuje kończyny, podczas gdy studenci w atelier robią sobie przerwę. Stał, spoglądając w morze, całkowicie rozluźniony, kompletnie sam (o ile się orientował). Obrócił nieznacznie głowę, lecz nie w moją stronę. Wykręcał ciało na boki, łagodnie, rozgrzewając się, więc wbrew sobie dostrzegłam przelotnie kręcone ciemne włosy, dyndający członek. Potem wszedł szybko do wody - podczas gdy ja siedziałam roztrzęsiona, patrząc, zastanawiając się, co robić - rzucił się szczupakiem do morza, był to długi i płytki skok, przy ostatnich skałach przybrzeżnych, i zaczął pracować rytmicznie ramionami. Wiedziałam już, jak zimna jest woda, która otacza go ze wszystkich



stron, ale nie zawrócił, dopóki nie pokonał jakichś dwudziestu metrów.

W końcu zakręcił się w wodzie i przyplął do brzegu w szybszym tempie, odszukał grunt, potykając się nieznacznie, i zaczął brnąć w stronę plaży. Ociekał wodą i dyszał; otarł sobie twarz. Włosy na jego ciele i gęste mokre loki na głowie lśniły kropelkami. Na brzegu wreszcie mnie dostrzegł. Nie sposób, nawet jeśli się chce, odwrócić wzroku w takim momencie, a udawanie jest wykluczone; jak można nie dostrzec Posejzona wynurzającego się z morza, jak można udawać, że człowiek ogląda sobie paznokcie albo odrywa ślimaki od skały? Siedziałam tylko, bez słowa, żalosna, ale też zahipnotyzowana. Przyszło mi nawet do głowy, że chciałabym namalować tę scenę - myśl banalna, coś, co rzadko rozważam w trakcie jakiegoś doświadczenia. Zatrzymał się i przyglądał mi przez chwilę, trochę wystraszony, nie zrobił jednak nic, żeby się zakryć.

- Cześć - powiedział, uprzejmy, nieufny, zapewne rozbawiony.

- Cześć - odparłam, siłąc się na zdecydowanie. - Przepraszam.

- Och, nie, nie ma o czym mówić.

Sięgnął po swoje rzeczy leżące na kamieniach i posługując się podkoszulkiem, zaczął się wycierać wstydliwie, ale bez pośpiechu, potem włożył spodnie i żółtą koszulę. Podszedł trochę bliżej.

- Przepraszam, jeśli to ja cię wystraszyłem - powiedział.

Stał w miejscu, nie odrywając ode mnie wzroku, a ja zauważyłam, jak w jego oczach pojawia się przerażenie wywołane myślą, że skądś się znamy; zauważyłam też z żalonym rozczarowaniem, że nie potrafi mnie zidentyfikować.

- Żeby było jeszcze gorzej, spotkaliśmy się kiedyś. - Wyszło to bardziej płasko, bardziej chrapliwie, niż zamierzałam.

Przechylił na bok głowę, jakby ziemia mogła mu powiedzieć, jak się nazywam i co powinien o mnie wiedzieć.

- Przykro mi - oznajmił w końcu. - Zabrzmi to okropnie, ale przypomnij mi.

- Och, to nie było nic wielkiego. - Ukarłam go, patrząc na niego przeciągle. - Jestem pewna, że uczyłeś miliony studentów. Uczestniczyłam w twoich zajęciach, to było w Barnett, dawno temu, przez jeden semestr. Rozumienie wizualne. Ale naprawdę pchnąłeś mnie w stronę sztuki, więc zawsze chciałam ci za to podziękować.

Patrzył teraz na mnie twardo, nie starając się ukryć - jak by to uczynił ktoś grzeczniejszy - że poszukuje w pamięci mojej młodszej wersji.

- Czekaj. - Czekałam. - Poszliśmy na lunch, prawda? Coś sobie przypominam. Ale twoje włosy...

- Zgadza się. Były innego koloru, blond. Ufarbowałam je, bo miałam dość, że poza nimi ludzie nic nie dostrzegają.

- Tak, przepraszam. Teraz sobie przypominam. Nazywałeś się...

- Mary Bertison - dokończyłam i teraz, kiedy był już ubrany, wyciągnęłam rękę. - Miło znów cię widzieć, Robertcie Oliver. - Nie byłam już jego studentką albo nie miałam nią być do dziesiątej rano. - Ja wiem, że jesteś Robertem Oliverem - dodałam jak najbardziej ironicznie.

Roześmiał się.

- Co tu robisz?

- Uczestniczę w twoich zajęciach z pejzażu - wyjaśniłam. - Tylko że nie miałam pojęcia, że będziesz je prowadził.

- Tak, sytuacja awaryjna. - Pocierał teraz włosy obiema dłońmi, jakby żałował, że nie ma ręcznika. - Ale to korzystny zbieg okoliczności. Zorientuję się dzięki niemu w twoich postępach.

- Tym bardziej że nie pamiętasz, co robiłam wcześniej - zauważyłam, a on roześmiał się znowu.

Brzmiało to jak cudowne uwolnienie wszelkich kłopotów, bez śladu drwiny czy jakiegokolwiek ukrytej aluzji - Robert śmiał się jak dziecko. Przypomniałam sobie teraz gestykulacje jego dłoni i ręki, zakrzywione kąciki ust, dziwnie rzeźbioną twarz, urok, który polegał właśnie na tym, że nie kryła się za nim żadna świadomość, jakby Robert po prostu wypożyczył gdzieś swoje ciało, a ono okazało się odpowiednie, choć traktował je z typową bez troską chwilowego użytkownika. Wracaliśmy razem, bez pośpiechu, i gdy po ścieżce można było iść tylko gęsiego, on szedł pierwszy, nie jak dżentelmen, ale byłam mu wdzięczna, bo nie musiałam czuć jego wzroku na swoich plecach i zastanawiać się przy okazji, co się kryje w jego oczach. Kiedy dotarliśmy do trawnika, a przed nami ukazała się posiadłość i rosa lśniąca na zielonych źdźbłach, zobaczyłam ludzi spieszących na śniadanie i uświadomiłam sobie, że musimy się do nich przyłączyć.

- Nie znam nikogo prócz ciebie - wyznałam odruchowo i oboje przystanęliśmy na skraju lasu.

- Ja też nie - powiedział, kierując ku mnie ten swój nieskomplikowany uśmiech. - Z wyjątkiem kierownika, ale to niewiarygodny nudziarz.

Zapragnęłam uciec, żeby posiedzieć przez kilka minut w samotności, żeby nie pojawiać się na zbiorowym posiłku obok mężczyzny, którego dopiero co widziałam wychodzącego nago z oceanu - zdawało się, że zapomniał już o tym incydencie, jakby

wszystko wydarzyło się równie dawno co nasze rozumienie wizualne.

- Muszę wziąć trochę rzeczy ze swojego pokoju - wyjaśniłam.

- Do zobaczenia na zajęciach.

Miałam wrażenie, że poklepie mnie po ramieniu albo po plecach, jak kumpel kumpla, ale najwidoczniej się rozmyślił i pozwolił mi odejść. Udałam się powoli w stronę stajni i zaszyłam się na kilka minut w swoim pobielonym boksie. Siedziałam bez ruchu, czując błogosławieństwo zamkniętych drzwi. Skulona w tej małej przestrzeni, przypominałam sobie, jak podczas opłaconej ciężką pracą podróży do Florencji trzy lata wcześniej - mojego pierwszego i jedyne go jak dotąd pobytu we Włoszech - poszłam do klasztoru Świętego Franciszka i zobaczyłam malowidła ścienne Fra Angelica w mnisich celach, teraz pustych. Na korytarzach kręcili się turyści, gdzieś porządku pilnowali współcześni zakonnicy, ale odczekałam trochę i kiedy nikt nie patrzył, weszłam do małej białej celi i wbrew przepisom zamknęłam drzwi. Stałam tam, w końcu sama, winna, ale zdeterminowana. Ta klitka była naga z wyjątkiem anioła Fra Angelica, promiennie złotego, różowego i zielonego na jednej ścianie; skrzydła miał złożone na plecach, a przez zakratowane okno wpadał blask słońca. Zrozumiałam wtedy, że mnich, który kiedyś mieszkał samotnie w tej przestrzeni, skądinąd przypominającej więzienie, nie pragnął niczego innego, niczego, jak tylko tam być - niczego, nawet swego Boga.

## 60

### *MARLOW*

Kiedy już wyszedłem z muzeum, przespacerowałem się do następnej przecznicy i stanąłem pod Central Parkiem. Było tam wspaniale, zieleń i grządki pełne zakwitających kwiatów, tak jak na to liczyłem. Znalazłem czystą ławkę i wyjąłem telefon komórkowy, a potem wystukałem numer, z którym nie łączyłem się od dwóch tygodni. Było sobotnie popołudnie; gdzie mogła być w sobotę? Tak naprawdę nic nie wiedziałem o jej obecnym życiu, prócz tego, że w nie wkroczyłem.

Odebrała po drugim sygnale, a ja usłyszałem w tle jakieś hałasy; była to restauracja albo inne miejsce publiczne.

- Halo? - odezwała się, a ja przypomniałem sobie zwartość i zdecydowanie jej głosu, oszczędny widok jej szczupłych dłoni.

- Mary - odpowiedziałem. - Tu Andrew Marlow.

Dotarcie na Washington Square zabrało jej pięć godzin; zjawiała się w porze kolacji, którą zjedliśmy w restauracji mojego hotelu. Była wygłodzona po tej niezaplanowanej podróży autobusem; nie wątpiłem - chociaż tego nie powiedziała - że zdecydowała się na autobus, a nie na pociąg, ponieważ był tańszy. Podczas posiłku opowiadała mi o swoich komicznych próbach zdobycia ostatniego biletu. Nie kryłem zdziwienia jej uporem. Twarz miała zarumienioną z podniecenia wywołanego czymś spontanicznym, długie włosy były spięte po bokach małymi klipsami; włożyła turkusowy sweter i zawiesiła na szyi ciężkie sznury z czarnymi koralami.

Staralem się nie zważać na to, że tę niezwykłą barwę jej twarzy wywołała myśl o Robercie Oliverze, myśl o uldze czy może nawet przyjemności, jaką sprawiłoby jej odkrycie czegoś nowego w jego życiu - czegoś, co wyjaśniałoby jego ucieczkę i usprawiedliwiło jej wcześniejsze oddanie. Oczy miała tym razem niebieskie - pomyślałem o Kate - z powodu swetra. Najwidoczniej zmieniały się jak ocean; ich kolor zależał od nieba, od pogody. Jadła niczym dobrze wychowany wilk, posługując się z wdziękiem nożem i widelcem; pochłonęła

olbrzymi talerz kurczaka i kuskus. Na jej prośbę opisałem szczegółowo portret Béatrice de Clerval i wspomniałem, że został wypożyczony na wystawę objazdową tuż po tym, jak widział go Robert.

- Dziwne jednak, że choć obejrzał płótno najwyżej raz czy dwa, zapamiętał je dostatecznie dobrze, by malować ją przez lata - dodałem. Moje łokcie spoczywały już na stole; nie zważając na jej protesty, zamówiłem też dla nas obojga kawę i deser.

- Wcale nie. - Odłożyła na talerz nóż i widelec.

- Nie zapamiętał? Ale przecież namalował ją tak dokładnie, że od razu poznałem jej twarz.

- Nie, nie, nie musiał pamiętać. Miał jej portret w książce.

Położyłem dłonie na kolanach.

- Wiedziałś o tym. - Odruchowo przeszedłem z nią na ty.

Nawet nie drgnęła.

- Tak. Przepraszam. Zamierzałam o tym napisać, kiedy dojdę do tego etapu swojej opowieści. Prawdę mówiąc, już to zrobiłam. Ale nie wiedziałam o obrazie w muzeum. W książce nie było słowa o miejscu, gdzie się znajduje; na dobrą sprawę zakładałam, że we Francji. I zamierzałam ci o tym powiedzieć. Przyniosłam resztę swoich wspomnień, czy jak je nazwiesz. Ich spisanie zajęło mi trochę czasu, potem je jeszcze poprawiałam. - W jej tonie nie wyczuwało się ani odrobiny zakłopotania. - Trzymał stosy książek przy swojej sofie, kiedy mieszkaliśmy razem.

- Kate opisywała to samo... to znaczy książki. Nie wydaje mi się jednak, by widziała w którejś z nich ten portret, bo w przeciwnym razie by mi o tym powiedziała.

Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy wspominam o Kate w bezpośredniej rozmowie z Mary. Upomniałem się w myślach, by tego więcej nie robić.

Uniosła brwi.

- Mogę sobie wyobrazić, z czym musiała żyć. A nawet sobie wyobrażałam, i to wiele razy.

- Żyła z Robertem - zauważyłem.

- Tak, właśnie.

Jej promiennosc zgasła albo skryła się za chmurą; Mary bawiła się swoim kieliszkiem do wina.

- Zabiorę cię jutro do muzeum i pokażę ten obraz - zaproponowałem, żeby poprawić jej nastrój.

- Zabierzesz? - Uśmiechnęła się. - Nie sądzisz, że wiem, gdzie jest Metropolitan?

- Oczywiście. - Zapomniałem na chwilę, że jest dostatecznie młoda, żeby się obrazić. -  
Chodziło mi o to, że możemy pójść i obejrzeć go razem.

- Bardzo bym chciała. Po to przyjechałam.

- Tylko po to?

Od razu tego pożałowałem; wcale nie chciałem wydać się jej figlarny czy zalotny. Wbrew mojej woli powróciła do mnie rozmowa z ojcem: „Kobiety dopiero co porzucone potrafią być skomplikowane”. „A ona jest nie tylko skomplikowana, lecz także niezależna, niezwykła i piękna”. „Oczywiście”.

- Wiesz, zakładałam, że to właśnie z powodu tego portretu wybrał się do Francji beze mnie. Sądziłam, że obraz tam jest i że Robert pojechał, by zobaczyć go jeszcze raz.

Nie dałem nic po sobie poznać.

- Pojechał do Francji? Gdy byliście razem?

- Tak. Wsiadł do samolotu i poleciał do innego kraju, nic mi nie mówiąc. Nigdy nie wyjaśnił, dlaczego trzymał to w sekrecie. - Twarz miała spiętą, odgarnęła włosy obiema dłońmi. - Powiedziałam mu, że jestem zła, bo wydał pieniądze na tę swoją podróż, kiedy się zdawało, że nie ma ich dość, żeby dołożyć do jedzenia albo mojego czynszu, ale tak naprawdę chodziło mi o to, że zachował to przede mną w tajemnicy. Uświadomiłam sobie wtedy, że traktuje mnie tak, jak traktował Kate, że ukrywa przede mną różne rzeczy. Jakby ani razu nie przyszło mu do głowy, żeby mi zaproponować wyjazd we dwoje. Tego właśnie dotyczyła nasza największa kłótnia, choć oboje udawaliśmy, że chodzi o obraz, i kiedy Robert wrócił, wszystko trwało jeszcze kilka dni, a potem się wyprowadził.

W jej oczach zbierały się teraz łzy, pierwsze, jakie widziałem od tamtej chwili, kiedy płakała na mojej sofie. Bóg mi świadkiem, gdybym w tym momencie stał pod drzwiami pokoju Roberta, to wszedłbym do środka i walnął go zamiast siadać w fotelu. Otarła oczy. Myślę, że przez dobre dwie minuty żadne z nas nawet nie westchnęło.

- Słuchaj, Mary, jeśli mogę o to spytać... Kazałaś mu odejść? Czy po prostu cię rzucił?

- Kazałam mu odejść. Bałam się, że jeśli tego nie zrobię, to sam odejdzie, a wtedy straciłabym też resztki szacunku do siebie.

Czekałem bardzo długo, żeby zadać te pytania:

- Wiedziałas, że kiedy Robert chciał zaatakować tamto płótno, miał przy sobie paczkę starych listów? Listów Béatrice de Clerval i Oliviera Vignota, który ją namalował?

Przez chwilę siedziała jak skamieniała, potem przytaknęła.

- Nie wiedziałam, że ich autorem jest także Olivier Vignot.

- Widziałaś te listy?

- Tak, ale nie wszystkie. Później powiem ci więcej.

Musiałem na tym poprzestać. Patrzyła mi prosto w oczy; jej twarz była czysta, pozbawiona nienawiści. Pomyślałem sobie, że to, co widzę przed sobą, w nagiej postaci, jest tym, co oznaczała dla niej miłość do Roberta. Nigdy nie spotkałem nikogo tak niezwykłego jak ta dziewczyna, która patrzyła ukośnie na farbę na muzealnym płótnie, jadła jak stuprocentowy mężczyzna i gładziła włosy jak nimfa. Jedynym wyjątkiem mogła być kobieta, którą znałem tylko ze starych listów i z obrazów - Oliviera Vignota i Roberta Olivera. Byłem jednak w stanie zrozumieć, dlaczego Robert mógł kochać żywą kobietę, najlepiej jak potrafił, pograżony jednocześnie w miłości do martwej.

Chciałem powiedzieć Kate, że jest mi bardzo przykro z powodu bólu zawartego w jej słowach, ale nie wiedziałem, jak mam to zrobić, by nie wydać się protekcyjnym, więc skupiłem się na możliwie najłagodniejszej obserwacji. Zresztą widząc, że dopija pospiesznie kawę i sięga do zakietu na krześle, zorientowałem się, że nasz posiłek dobiega końca. Pozostał jednak jeszcze jeden problem do rozwiązania i musiałem się zastanowić, jak go poruszyć.

- Sprawdziłem w recepcji, mają kilka wolnych pokoi. Byłbym szczęśliwy...

- Nie, nie. - Już wsuwała kilka banknotów pod talerzyk, wstawała od stolika. - Mam przyjaciółkę na Dwudziestej Ósmej Ulicy, już mnie oczekuje; zadzwoniłam do niej wcześniej. Przyjdę, powiedzmy, jutro rano o dziewiątej.

- Doskonale. Napijemy się kawy i pojedziemy do śródmieścia.

- Świetnie. A to dla ciebie.

Szybkim ruchem wsunęła dłoń do torebki i wręczyła mi grubą kopertę - twardą i pękatą tym razem, jakby w środku znajdowały się nie tylko kartki, lecz także jakaś książka.

Pozbierała się już ze wszystkim, więc wstałem pospiesznie. Trudno było za nią nadążyć, za tą młodą kobietą. Określiłbym ją jako drażniącą, gdyby nie była taka wdzięczna albo gdyby się w tej chwili do mnie nie uśmiechała. Ku mojemu zdziwieniu położyła mi dłoń na ramieniu, a potem pocałowała w policzek; niemal dorównywała mi wzrostem. Jej wargi były ciepłe i miękkie.

Kiedy dotarłem do swojego pokoju, wciąż było wcześnie; miałem przed sobą cały wieczór. Przyszło mi do głowy spotkać się ze swoim jedynym starym przyjacielem w tym mieście - z Alanem Glickmanem, kumplem ze szkoły średniej, z którym zdołałem utrzymać kontakt głównie dzięki temu, że dzwoniłiśmy do siebie ze dwa razy do roku. Lubiałem jego cierpkie poczucie humoru, ale nie udało mi się wcześniej do niego zatelefonować, zresztą

pewnie i tak był zajęty. Poza tym na brzegu łóżka leżała paczka od Mary. Gdybym wyszedł i zostawił ją chociażby na kilka godzin, miałbym wrażenie, że porzucam żywą osobę.

Usiadłem, otworzyłem pakunek i wyciągnąłem plik kartek maszynopisu, a także ciekłą książeczkę w miękkiej oprawie, pełną kolorowych reprodukcji. Potem położyłem się na łóżku ze stronami, które wyszły spod ręki Mary. Drzwi były zamknięte, zasłony też zaciągnąłem, ale wyczuwałem w pokoju jakąś obecność, tęsknotę, w której mogłem zanurzyć dłonie.



# 61

## MARY

Frank dorwał mnie podczas śniadania.

- Gotowa? - spytał, trzymając tacę z dwiema miseczkami płatków, talerzem jajek na bekonie i trzema szklankami soku pomarańczowego. Tego ranka sami się obsługiwaliśmy - demokracja. Wcześniej znalazłam sobie nasłoneczniony kąć i wypijałam właśnie drugą filiżankę kawy do smażonego jajka, podczas gdy Roberta Olivera nigdzie nie było widać. Może nie jadał śniadań.

- Gotowa na co? - odpowiedziałam pytaniem.

- Na pierwszy dzień.

Postawił na stole tacę, nawet się nie zainteresowawszy, czy życzę sobie jego towarzystwa.

- Oczywiście, proszę bardzo - powiedziałam. - Właśnie czekałam, aż ktoś przyłączy się do mnie w tym pięknym, samotnym miejscu.

Uśmiechnął się, najwidoczniej zadowolony z mojej zadziorności; dlaczego uważałam, że zwojuję cokolwiek sarkazmem? Włosy miał ułożone w dwie sterczące kępki z przodu i nosił tego dnia szarzejące džinsy, bluzę, postrzępione tenisówki i naszyjnik z czerwono-niebieskimi paciorkami. Pochylał się, demonstrując gibką talię, i trzymał rozluźnione ręce nad talerzem z płatkami. Był doskonały na swój niedojrzały sposób i wiedział o tym. Wyobraziłam go sobie w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, chudego i żyłastego, z zapaleniem stawów i pomarszczonym tatuażem gdzieś na ciele.

- Pierwszy dzień będzie długi - zawyrokował. - Dlatego pytałem, czy jesteś gotowa. Słyszałem, że Oliver da nam szkołę, i to przez kilka ładnych godzin. Jest wymagający.

Próbowałam skupić się na swojej kawie.

- To zajęcia z pejzażu, nie trening futbolowy.

- Och, nie wiem. - Frank pochłaniał swoje wieloskładnikowe śniadanie. - Różne rzeczy mówi się o tym facecie. Nigdy się nie męczy. Dał się poznać jako portrecista, ale teraz zajmuje się pejzażem. Cały czas spędza na świeżym powietrzu, jak zwierzę.

- Albo jak Monet - zauważyłam i natychmiast tego pożałowałam. Frank zaczął już patrzeć w inną stronę, jakbym zadzierała nosa.

- Monet? - mruknął z pełnymi ustami, a ja usłyszałam w jego głosie pogardę, zaskoczenie.

Dokończyliśmy jajka w niezbyt przyjaznym milczeniu.

Ze wzgórza, na którym Robert Oliver wyznaczył nam pierwsze ćwiczenia w sztuce pejzażu, rozciągał się widok na ocean i skaliste wysepki; była to część parku stanowego i zastanawiałam się, skąd wiedział, żeby przyjść akurat tutaj, w tę niezwykłą okolicę. Wbił nogi swoich sztalug w ziemię. Wszyscy zebraliśmy się wokół niego, trzymając własny sprzęt albo rzucając go na ziemię; przyglądaliśmy się, podczas gdy on demonstrował szkic, pokazywał, jak najpierw skupić się na formach, nie rozważając jeszcze, co te formy mają przedstawiać, a potem wysuwał sugestie dotyczące koloru. Będziemy potrzebować szarawego podkładu, wyjaśniał, by oddać jasne zimne światło, które otacza nas zewsząd, ale także kilku cieplejszych tonów brązu pod pnie drzew, trawę, a nawet wodę.

Jego wykład w sali tego ranka był skrótowy: „Jesteście wszyscy spełnionymi, aktywnymi artystami, więc nie widzę powodu, żeby dużo mówić - wyjdźmy po prostu w plener i przekonajmy się, co się stanie; o kompozycji możemy porozmawiać później, kiedy już będziemy mieli kilka obrazów”. Byłam zadowolona, mogąc uciec na zewnątrz. Podjechaliśmy kawałek furgonetką, a od parkingu szliśmy przez las, niosąc swoje przybory. Organizatorzy dostarczyli kanapki i jabłka; mieliśmy nadzieję, że nie będzie padać.

Stojąc dostatecznie blisko sztalug Roberta Olivera - ale nie tak bardzo, by wydać się nachalną - sporo sobie o nim przypomniałam; rozpoznałam to jego namiętne podkreślanie formy, przekonanie, które pojawiał się stopniowo w jego głosie, kiedy mówił nam, żebyśmy zignorowali wszystko z wyjątkiem geometrii sceny, dopóki nie uchwycimy jej we właściwy sposób; cofał się po swojemu od obrazu i kołysał na obcasach, studiując uważnie swoją pracę, potem znów się ku niej nachylał. Nawiązywał taki czy inny kontakt z każdym, co bez trudu zauważyłam; bardziej niż kiedykolwiek odznaczał się tym swobodnym, niefrasobliwym darem gościnności, jakby uczył w jadalni, a nie w sali wykładowej, i jakbyśmy my wszyscy posilali się przy jego stole. Nie można było się temu oprzeć i inni studenci zaczęli natychmiast lgnąć do niego, tłocząc się ufnie wokół jego płótna. Wskazał kilka widoków i kształtów, które mogliby oddać na swoich płótnach, potem nakreślił surowe formy wybranego widoku i zaczął kłaść kolor, w większości paloną umbre, cienką powłokę głębokiego brązu.

Na zboczach wzgórza było dość płaskiego terenu dla sześciu ludzi ze sztalugami i

oparcia dla stóp, więc przez jakiś czas wszyscy polowaliśmy na odpowiednie widoki. Na dobrą sprawę trudno było się zdecydować, którą część otaczającego nas splendoru natury malować. Wybrałam w końcu długą perspektywę jodeł schodzących do samej plaży i wody, z bryłą Isle des Roches daleko po prawej stronie i płaskim horyzontem oceanu stykającym się z niebem po lewej. Widok nie wydawał mi się odpowiednio zrównoważony; przesunęłam sztalugi o kilka stopni i uchwyciłam obramowanie choinek przy plaży, daleko z lewej, by dodać z tej strony coś interesującego.

Kiedy tylko wybrałam swoje miejsce, Frank umocował z entuzjazmem sztalugi obok moich, jakbym go zapraszała i czuła się zaszczycona jego towarzysztwem. Inni uczestnicy kursu wydawali się całkiem sympatyczni; byli w moim wieku albo starsi, głównie kobiety, co sprawiało, że Frank wyglądał na przedwcześnie rozwinięte dziecko. Dwie z tych kobiet, które powiedziały, że znają się już z kursu w Santa Fe, wdały się ze mną w furgonetce w przyjacielską pogawędkę. Patrzyłam teraz, jak ustawiają swoje sztalugi w niższej części zbocza, konferując ze sobą o paletach. Był też bardzo nieśmiały starszy mężczyzna, który, jak poinformował mnie szeptem Frank, wystawiał rok wcześniej swoje obrazy w Williams College; rozłożył się obok nas i zaczął szkicować farbą zamiast ołówkami.

Frank nie tylko wbił nogi sztalug obok moich, ale też obrócił je mniej więcej w tym samym kierunku; zauważyłam z irytacją, że malujemy bardzo podobny widok, co oznaczało współzawodnictwo naszych umiejętności. Przynajmniej od razu pochłonęła go praca i podejrzewałam, że nie będzie mi się naprzykrzał; miał już przygotowaną paletę z kilkoma podstawowymi barwami i posługiwał się grafitem, kreśląc kontury odległej wyspy i krawędź wybrzeża na pierwszym planie. Był szybki, to pewne, a szczupłe plecy poruszały się pod koszulą płynnym rytmem.

Odwrociłam od niego wzrok i zaczęłam szykować swoją paletę: zieleń, palona umbra, miękki błękit z dodatkiem szarości, odrobina bieli i czerni. Żałowałam już, że nie wymieniłam przed kursem dwóch pędzli z kompletu; były doskonałe, ale miałam je od tak dawna, że straciły trochę włosia. Moja praca nauczycielska nie pozwalała na zakup drogich przyborów malarskich, pensji starczało na uregulowanie czynszu i podstawowe potrzeby, poza tym Waszyngton nie był tani, choć udało mi się znaleźć mieszkanie w dzielnicy, której Muzzy nigdy by nie zaaprobowala, lecz w której na szczęście nigdy mnie nie odwiedziła. Nie mogłam nawet marzyć o tym, by poprosić ją o pieniądze, gdyż sprawiłabym jej rozczarowanie w kwestii wyboru kariery. („Ale przecież mnóstwo ludzi po studiach artystycznych zostaje obecnie prawnikami, prawda, kochanie? A ty zawsze potrafiłaś doskonale argumentować”). Odnowiłam swoje ślubowanie, jak robiłam to każdego dnia: będę

tworzyła dorobek malarski, uczestniczyła w licznych wystawach i zgromadzę dostatecznie dużo doskonałych recenzji, by starać się o prawdziwą posadę nauczycielską. Spojrzałam złym wzrokiem na Franka, kiedy akurat nie patrzył na mnie. Gdyby dobrze mi poszło podczas tego kursu, może Robert Oliver mógłby mi w jakiś sposób pomóc. Zerknęłam dyskretnie w jego stronę i stwierdziłam, że on też jest pochłonięty bez reszty malowaniem. Nie widziałam ze swojego miejsca jego płótna; było duże, on zaś zaczął je wypełniać długimi pociągnięciami pędzla.

Barwa wody zmieniała się oczywiście z godziny na godzinę, więc trudno było ją uchwycić, a szczyt Isle de Roches okazał się nie lada wyzwaniem; moja wersja była zbyt miękka, bardziej przypominała krem budyniowy czy bitą śmietanę niż bladą skałę. Robert malował dość długo, w dole zbocza, a ja się zastanawiałam, czy wejdzie kiedykolwiek na górę, żeby obejrzeć nasze prace, i strasznie się tego bałam.

W końcu zrobiliśmy sobie przerwę na lunch; Robert przeciągnął się, splatając wielkie dłonie nad głową, a my zaczęliśmy go naśladować, w taki czy inny sposób, podnosząc wzrok, odkładając pędzle, rozprostowując ramiona. Wiedziałam, że posilimy się szybko, i gdy Robert usiadł w nasłonecznionym miejscu, jeszcze niżej, i wyjął jedzenie z dużej płóciennej torby, wszyscy poszliśmy w jego ślady, skupiając się wokół niego ze swoimi kanapkami. Posłał mi uśmiech; czyżby szukał mnie wzrokiem chwilę wcześniej? Frank zaczął rozmawiać z dwiema przyjacielskimi kobietami o sukcesie swojej ostatniej wystawy w Savannah, a Robert nachylił się do mnie i spytał, jak mi idzie z pejzażem.

- Bardzo kiepsko - odparłam, co z jakiegoś powodu wyraźnie go rozbawiło. Dodało mi to odwagi. - Jadłeś kiedyś deser o nazwie Pływająca Wyspa?

Roześmiał się i obiecał, że podejdzie do mnie i rzuci na to okiem.

## 62

### MARY

Kiedy lunch dobiegł końca, Robert zostawił nas i poszedł w zarośla - wysuszać się, jak w końcu sobie uświadomiłam. Sama też to załatwiłam, kiedy trzech mężczyźni znowu byli zajęci malowaniem; miałam w kieszeni kawałek chusteczki higienicznej, którą potem zakopałam pod wilgotnymi liśćmi i omszałymi gałęziami. Po jedzeniu zaczęliśmy nowe płótna, co było uwarunkowane zmianą światła, a potem malowaliśmy przez kolejne godziny. Zaczęłam sobie uświadamiać, że Frank się nie mylił co do pasji, z jaką Robert traktował naturę. Nie przyszedł, żeby obejrzeć którąkolwiek z prac, co przyjął z ulgą i odrobiną rozczarowania. Bolały mnie plecy i nogi, a zamiast faktury wody i jodeł zaczęłam widzieć przed sobą talerz z kolacją.

W końcu, tuż przed czwartą po południu, Robert zaczął krążyć niespiesznie wokół naszych sztalug; wysuwał sugestie, wysłuchiwał problemów, raz zebrał nas wszystkich i spytał, co sądzimy o różnicy między porannym a popołudniowym światłem w tym krajobrazie, zauważył, że malowanie urwiska nie różni się od malowania powieki - musimy pamiętać, że to światło ujawnia formę, bez względu na obiekt. Wreszcie zatrzymał się przy moich sztalugach i ze skrzyżowanymi ramionami zaczął oglądać płótno.

- Drzewa są bardzo dobre - zawyrokował. - Naprawdę bardzo dobre. Posłuchaj, jeśli położysz ciemniejszy odcień po tej stronie wyspy... mogę?

Skinęłam głową, a on wziął ode mnie pędzel.

- Nie bój się zastosować mocniejszego odcienia, jeśli potrzebujesz kontrastu - mruknął, a ja zobaczyłam, jak moja wyspa nabiera pod jego ręką geologicznej zwartości. I nie miałam nic przeciwko temu, że mnie poprawiał.

- No. Nie będę więcej grzebał w twoim obrazie - chcę, żebyś sama kontynuowała.

Dotknął mojego ramienia swoimi wielkimi palcami i odszedł, a ja pracowałam zawzięcie, niemal na ślepo, aż w końcu słońce zniżyło się tak bardzo, że pojawiły się problemy z widocznością.

- Chce mi się jeść - syknął Frank, nachylając się do mnie. - Ten facet to szaleniec. Nie

umierasz z głodu? Niezłe drzewa - dodał. - Musisz je bardzo lubić.

Próbowałam doszukać się jakiegoś sensu w jego słowach, ale nie mogłam, tak jak nie mogłam nawet spytać: „Co?” Byłam kompletnie zeszywniała, zmarznięta pod bluzą i bawełnianym szalem, którym owinęłam szyję, gdy wiatr od morza zrobił się zimniejszy; nie malowałam tak intensywnie od bardzo dawna, choć malowałam prawie codziennie, godząc to z pracą zawodową. Musiałam spytać Roberta o jeszcze jedną rzecz. Kiedy już skoncentrowałam się bez reszty na cieniach, pomyślałam, że chcę dodać trochę plamek bieli, żeby rozjaśnić płótno. Czy miałam poczekać i dodać biel rano, w świetle zbliżonym do tego, przy którym zaczęliśmy, czy zrobić to teraz - szybko, z pamięci?

Ruszyłam w dół zbocza, w stronę jego sztalug, przy których zaczął już czyścić pędzle i skrobać paletę. Przerywał tę czynność co kilka sekund, żeby spojrzeć na płótno i na krajobraz. Przyszło mi do głowy, że zapomniał na chwilę, że ma nas czegokolwiek nauczyć, i poczułam do niego cień sympatii; był pochłonięty, jakby poza świadomością, ruchem pędzla i dłoni, palców i nadgarstka. Pomyślałam, że mogliśmy czerpać wiedzę z samej bliskości takiej obsesji. Stałam przed jego płótnem. Kiedy się na nie patrzyło, wszystko wydawało się łatwe: uchwycenie podstawowych form i ich nakreślenie, dodanie koloru, tknięcie światłem - drzew, wody, skał, wąskiej plaży w dole. Powierzchnia obrazu nie była jeszcze wykończona; podobnie jak reszta z nas, zamierzał pracować nad tym płótnem co najmniej jeszcze jedno popołudnie, gdyby starczyło czasu. Kształty zyskałyby później pełną wyrazistość; gdzieś tam pojawiłyby się szczegóły gałęzi, liści, jakaś fala.

Lecz jeden fragment obrazu był już pięknie wykończony. Zastanawiałam się, dlaczego uporał się z nim wcześniej: nierówna, postrzępiona plaża i blade skały sięgające oceanu, miękkie barwy kamienia i czerwonych wodorostów. Znajdowaliśmy się na pewnej wysokości ponad linią wody i udało mu się uchwycić wrażenie spoglądania z góry czy z ukosa na dwie dalekie postaci, które szły ręką w rękę wzdłuż brzegu; mniejsza była schylona, jakby chciała podnieść coś z rozlewiska pozostawionego przez przypływ, wyższa - wyprostowana. Zostały nakreślone dostatecznie wyraźnie i znajdowały się dostatecznie blisko, bym mogła dostrzec długą spódnicę kobiety porywaną przez wiatr, dziecięcy czepek wiszący na niebieskiej wstążce, jednym słowem - dwie osoby cieszące się przyjazną samotnością tam, gdzie nie było nikogo z wyjątkiem grupy malarzy, którzy całe popołudnie spędzili na wzgórzu ponad wodą. Przyłapałam się na tym, że patrzę na te postaci, a potem na niego; Robert dotknął pędzlem miniaturowego buta kobiety, jakby gładził palce u jej nóg, potem znowu wytarł włosie. Zapomniałam już, o co chciałam go spytać - chodziło chyba o zmienność światła.

Obrócił się do mnie z uśmiechem, jakby wiedział, że tam jestem, a nawet kim jestem.

- Miałaś udane popołudnie?

- Bardzo udane - odparłam.

Dostrzegając jego swobodne zachowanie, odniosłam wrażenie, że byłoby głupio pytać, dlaczego umieścił te dwie fikcyjne postaci w letnim widoku, który mieliśmy przed oczami. Był znany ze swego zamiłowania i częstych odniesień do XIX wieku i miał wszelkie prawo, jako Robert Oliver, wprowadzać co mu się tylko podobało do lekcji na temat pejzażu. Miałam nadzieję, że ktoś inny go o to zagadnie.

A potem obudziła się we mnie nadzieja na coś jeszcze: że któregoś dnia poznam tego człowieka na tyle dobrze, że będę mogła go spytać o cokolwiek. Zerknął na mnie, z tym przyjacielskim, trochę nieobecny wyrazem twarzy, który zapamiętałam ze studiów - zagadka, zaszyfrowane oblicze. W miejscu, gdzie kołnierz jego koszuli był rozchylony, dostrzegłam kępki ciemnych, lekko srebrzystych włosów. Chciałam wyciągnąć rękę i dotknąć ich, sprawdzić, czy upływ lat nadał im miękkość, czy też sprawił, że stały się sztywne - jakie były? Podwinął rękawy prawie do łokci. Stał teraz w tej typowej dla niego pozycji wysokiego człowieka, ze skrzyżowanymi ramionami, dłonie obejmowały nagie łokcie, nogi zmagaly się z nachyleniem zbocza.

- Piekielnie dobry widok - zauważył przyjaznym tonem. - Chyba trzeba się zbierać na kolację.

Tak, widok był piekielnie dobry, jak mogłam potwierdzić, ale nie zawierał w sobie żadnych postaci w długich spódnicach, spacerujących wzdłuż wody. Żadne wybrzeże nie było równie puste - krajobraz bez ludzi, co przecież stanowiło cel tego malarskiego ćwiczenia.

## 63 1879

Pod koniec marca jej obraz przedstawiający złotowłosą pokojówkę zostaje dopuszczony na Salon i wystawiony pod nazwiskiem Marie Rivière. Olivier zjawia się osobiście, by przekazać nowinę. Stojąc wokół stołu jadalnego, wraz z Yves'em i Papą wypijają jej zdrowie, z najlepszej karafki, podczas gdy ona tłumi uśmiech na ustach. Stara się nie patrzeć na Oliviera, i to z powodzeniem; przyzwyczajają się już do widoku tych trzech ukochanych ludzi przy jednym stole. Nie może tej nocy zasnąć ze szczęścia, z dziwnie sprzecznej radości, jakby okradającej ją z tego pierwotnego uniesienia, które towarzyszyło pracy nad obrazem. Olivier przekonuje ją w następnym liście, że to naturalna reakcja. Mówi, że czuje się jakby odsłonięta i jednocześnie rozradowana i że musi po prostu malować dalej, jak każdy artysta.

Zaczyna nowe płótno, które przedstawia łabędzie w Lasku Bulońskim; Yves znajduje czas, by jej towarzyszyć w soboty, a zatem Béatrice nie musi chodzić czy malować sama. Czasem zamiast męża idzie z nią Olivier, pomaga mieszać kolory i raz maluje ją siedzącą na ławce nad wodą, mały portret, od koronki pod szyją do górnej krawędzi czepka, który jest nieco zsunięty, co pozwala dostrzec jej szerokie spojrzenie. Twierdzi, że to najlepszy portret w jego karierze. Nakreśla śmiałymi pociągnięciami po drugiej stronie: *Portret Béatrice de Clerval, 1879*, i podpisuje się wrogu.

Pewnego wieczoru, kiedy Olivier jest nieobecny, na kolacji znów zjawiają się Gilbert i Armand Thomasowie. Gilbert, starszy brat, jest przystojnym człowiekiem o wystudiowanych manierach, cenne towarzystwo w salonie. Armand jest spokojniejszy, równie elegancko ubrany jak Gilbert, ale odrobinę apatyczny. Dopelniają się nawzajem, Armand równoważy intensywność Gilberta, ten zaś sprawia, że milczenie Armanda wydaje się bardziej wyrafinowane niż nudne. Gilbert ma dostęp do zaakceptowanych przez jurorów Salonu dzieł, które właśnie się tam rozwiesza; kiedy inni goście wychodzą i zostaje tylko ich czwórka, oznajmia, że widział zarówno obraz wystawiony przez Oliviera Vignota, przedstawiający młodego człowieka pod drzewem, jak i tajemnicze płótno, które monsieur Olivier przekazał w



imieniu nieznanej malarki, madame czy mademoiselle Rivière. Ciekawe, jak ten obraz coś mu przypomina. Jest też rzeczą irytującą, że Vignot nie chce ujawnić tożsamości madame Rivière; nie ulega wątpliwości, że nie jest to jej prawdziwe nazwisko.

Gilbert, mówiąc, zwraca się do Yves'a, potem do Béatrice. Przechyliła swą dużą i kształtną głowę na bok, pytając ich, czy znają malarkę - być może młodą i nieśmiałą. Jakież to odważne ze strony nieznanej kobiety wystawić swą pracę na Salonie! Yves potrząsa głową, a Béatrice odwraca wzrok; Yves nigdy nie potrafił niczego ukrywać. Gilbert wyraża żal, że żadne z nich nie ma jakichkolwiek informacji i że monsieur Vignot jest taki tajemniczy. Zawsze uważał, że osoba Oliviera Vignota jest o wiele ciekawsza, niż się na pozór wydaje; ma on za sobą długą przeszłość - jako malarz. W pokoju, jak zawsze, panuje przyjemna atmosfera. Meble mają obicia w nowych barwach, stojak na drewno, należący do Papy, jest wypełniony polanami, blask ognia w kominku i świec oświetla obraz Béatrice po drugiej stronie salonu, przedstawiający jej ogród i oprawiony w złotą ramę. Ton głosu Gilberta jest wystudiowany, jego zachowanie pełne szacunku i obycia; zerka na płótno i na nią, po czym poprawia swe doskonale mankiety. Po raz pierwszy od czasu, kiedy wyraziła zgodę, by Olivier pokazał jurorom jej obraz, Béatrice czuje prawdziwy niepokój. Ale czy stałoby się coś złego, gdyby Gilbert odkrył jej tożsamość, skoro płótno zostało zaakceptowane?

Teraz ten mężczyzna zdaje się sugerować coś głębszego, a ją ogarnia prawdziwy niepokój. Może to komplement, wyszukana aluzja, że mógłby sprzedać jej dzieło, jeśli ona zechce kontynuować grę. Może chciałaby, ale nie zamierza go pytać, co ma na myśli. Podobnie jak wyczuwała dobroć Oliviera, jego idealizm, od pierwszego wieczoru przy tym samym kominku, tak i teraz wyczuwa coś niewłaściwego w Gilbercie Thomasie, coś nieuchwytnego i twardego, jakby kołaczącego hałaśliwie w tym człowieku. Pragnie, by już się pożegnał, ale nie potrafi wytłumaczyć samej sobie dlaczego. Yves uważa go za bystrego i przebiegłego; kupił od niego obraz, urocze płótno autorstwa bardzo radykalnego Degasa, małą tancerkę, która opiera dłonie na biodrach i obserwuje koleżanki przy drażku. Béatrice zmienia temat i zaczyna mówić o tym nabytku, Gilbert zaś reaguje entuzjastycznie, przyłącza się do niego Armand - ten Degas będzie kiedyś wielkim malarzem, są tego pewni, już okazał się mądrą inwestycją.

Odczuwa ulgę, kiedy wychodzą, Gilbert całuje i ściska jej dłoń, prosząc Yves'a, by nie zapomniał pozdrowić swego stryja.

## 64

### MARY

Chciałabym oświadczyć, że Robert Oliver i ja staliśmy się od tej chwili pełnymi godności przyjaciółmi, że odtąd był moim mentorem, mądrym doradcą i aktywnym propagatorem mojego malarstwa, że pomagał mi cały czas w karierze, ja zaś go podziwiałam, i że to wszystko toczyło się niezmiennie, dopóki nie umarł w wieku osiemdziesięciu trzech lat, pozostawiając mi w spadku dwa ze swych obrazów. Tak się jednak nie stało i Robert wciąż ma się doskonale, a nasza prawdziwa i dziwna historia dobiegła już końca i jest za nami. Nie wiem, ile z tego teraz pamięta; gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że ani wszystko, ani nic, tylko trochę. Domyślam się, że pamięta trochę mnie samej, trochę nas razem, a reszta spłynęła z niego niczym wierzchnia warstwa ziemi podczas gwałtownej powodzi. Gdyby pamiętał wszystko, wchłonął to swoimi porami, tak jak ja, to teraz nie wyjaśniałabym niczego jego psychiatrze czy komukolwiek innemu i może nie byłby szalony. Szalony - czy to właściwe słowo? Był szalony już przedtem, w tym znaczeniu, że różnił się od innych ludzi, i dlatego właśnie go pokochałam.

Tego wieczoru po naszej pierwszej wyprawie krajobrazowej usiadłam przy kolacji obok Roberta, a Frank oczywiście zajął miejsce przy mnie, z rozpiętą koszulą. Chciałam mu powiedzieć, żeby się zapiął i dał sobie spokój. Robert pochłonięty był rozmową z innym wykładowcą, kobietą po siedemdziesiątce, wielką damą found artu, ale od czasu do czasu obracał głowę i uśmiechał się do mnie, zazwyczaj mimochodem, a raz z bezpośredniością, która mnie zaszokowała, dopóki sobie nie uświadomiłam, że dotyczyła także Franka - wydawało mi się, że w jego odczuciu Frank potrafi lepiej przedstawić wodę i horyzont niż ja. Wybij sobie z głowy, że zdołasz mnie pokonać w obecności Roberta, mówiłam sobie w duchu, słuchając, jak Frank chwyta łapczywie uwagi mistrza. Kiedy zakończył swą długą chępliwą tyradę w formie pytań natury technicznej, Robert znowu zwrócił się do mnie; bądź co bądź miał mnie pod ręką. Dotknął mojego ramienia.

- Rzadko się odzywasz - zauważył z uśmiechem.

- Za to Frank jest hałaśliwy - odparłam ściszym głosem.

Zamierzałam powiedzieć to głośniej, żeby dokuczyć Frankowi, ale wyszło mi jakoś cicho i chrapliwie, jakby było przeznaczone wyłącznie dla Roberta. Spojrzał na mnie z wysoka - jak już wspominałam, Robert spoglądał w ten sposób prawie na wszystkich. Przepraszam za ten banał, ale nasze oczy spotkały się. Spotkały się, i to po raz pierwszy w ciągu naszej znajomości, która bądź co bądź została przerwana na wiele lat.

- On dopiero zaczyna karierę - zauważył, co sprawiło, że poczułam się trochę lepiej. - Może mi powiesz coś o sobie? Ukończyłaś jakąś uczelnię artystyczną?

- Tak - odparłam. Musiałam się nachylić bardzo blisko, by mógł mnie słyszeć; dostrzegłam w jego uchu miękkie czarne włoski.

- Fatalnie - skomentował w odpowiedzi przyciszonym głosem.

- Nie było tak źle - zapewniłam. - W głębi duszy bardzo mi się podobało.

Odwrócił się w moją stronę tak, że znów widziałam go bezpośrednio, wprost. Poczułam, że to dla mnie niebezpieczne patrzeć w ten sposób na niego, że jest o wiele bardziej wyrazisty, niż komukolwiek to przystoi. Śmiał się, miał duże i mocne, choć żółknące zęby - wiek średni. Było rzeczą wspaniałą, że sprawiał wrażenie człowieka, który się niczym nie przejmuje czy nawet nie wie, że ma pożółkłe zęby. Frank zapewne wybielałby swoje dwa razy w miesiącu, nim dojrzałby do trzydziestki. Świat pełen był Franków, podczas gdy powinien być pełen Robertów.

- Moja uczelnia też mi się w pewnym stopniu podobała - wyznał. - Dała mi coś, co wzbudzało we mnie gniew.

Zaryzykowałam wzruszenie ramion.

- Dlaczego sztuka miałaby wzbudzać gniew? Nie obchodzi mnie, co robi ktokolwiek inny.

Naśladowałam go, jego niedbałość, ale wydawało się, że uznał to za coś niezwykłego. Zmarszczył czoło.

- Może masz rację. Poza tym przeszłaś już ten etap, prawda?

Nie było to pytanie, tylko podzielenie się doświadczeniem.

- Tak - odparłam, zdobywając się na odwagę i znów spoglądając mu prosto w oczy. Nie było to takie trudne, kiedy już zrobiłam to raz czy dwa.

- Przeszłaś ten etap w dość młodym wieku - oznajmił rzeczowo.

- Nie jestem taka młoda.

Nie chciałam, by zabrzmiało to agresywnie, ale przyjrzał mi się z jeszcze większą uwagą. Jego wzrok ześliznął się na moją szyję, przesunął po piersiach - męskie rejestrowanie kobiecej obecności, automatyczne, zwierzęce. Żałowałam, że zdradził się tym spojrzeniem;

było bezosobowe. I sprawiło, że pomyślałam o jego żonie. Teraz, tak jak w Barnett, miał na palcu złotą obrączkę, więc zakładałam, że wciąż jest żonaty. Kiedy znów się odezwał, na jego twarzy malowała się łagodność.

- Twoja praca dowodzi głębokiego zrozumienia.

Potem się odwrócił, przywołany przez innych, którzy byli obok niego, i zaczął z nimi rozmawiać, z nikim w szczególności, więc się nie dowiedziałam, przynajmniej wtedy, jakie zrozumienie miał na myśli. Skupiłam się na jedzeniu; i tak nie mogłam nic usłyszeć w tym całym hałasie. Po jakimś czasie odwrócił się do mnie i znów zapanował między nami ten spokój, to oczekiwanie.

- Czym się teraz zajmujesz?

Postanowiłam powiedzieć prawdę.

- No cóż, pracuję na dwóch nudnych posadach w Waszyngtonie. Jeżdżę co trzy miesiące do Filadelfii odwiedzić starzejącą się matkę. W nocy maluję.

- Malujesz w nocy - powtórzył. - Miałaś wystawę?

- Nie. Ani indywidualnej, ani zbiorowej - odparłam powoli. - Myślę, że była na to szansa, może podczas studiów, ale teraz jestem tak zajęta, że nawet nie mam czasu się nad tym zastanawiać. A może po prostu nie czuję się jeszcze gotowa. Po prostu maluję, kiedy się tylko da.

- Powinnaś mieć wystawę. Zawsze można to jakoś załatwić przy takich obrazach jak twoje.

Chciałam, żeby trochę rozwinął to „jak twoje”, ale nie drażyłam kwestii, zwłaszcza że już określił mój pejzaż jako odznaczający się „zrozumieniem”. Postanowiłam, że nie dam się nabrać na piękne słówka, choć wiedziałam z doświadczenia, sprzed paru lat, że Robert Oliver nie wygłasza pustych pochwał, wyczuwałam też instynktownie, że jeśli nawet patrzył na mnie w ten odruchowy, męski sposób, to nie posłuży się komplementami, żeby coś u mnie zyskać. Był po prostu zbyt oddany prawdzie malowania; uwidaczniało się to w każdej linii jego twarzy i w ramionach, dawało się słyszeć w jego głosie - to właśnie było w nim najbardziej wiarygodne, jak sobie znacznie później uzmysłowiłam, ta nieupiększona pochwała albo odrzucenie; i miało charakter bezosobowy, jak jego spojrzenie na moje ciało. Był w nim jakiś chłód, zimne oko pod skórą o ciepłej barwie i uśmiechem, cecha, której ufałam, ponieważ ufałam jej w sobie. Potrafił bez trudu zdyskwalifikować człowieka wzruszeniem ramion, przekreślić jego dokonania, jeśli uważał, że nie są dobre. Nie było w tym żadnego wysiłku, nie toczył wewnętrznej walki, by nie pójść na kompromis z powodów osobistych. W obliczu dzieła, malowania, swojego czy innych ludzi, wydawał się całkowicie bezosobowy.

Na deser podano świeże truskawki. Poszłam nalać sobie czarnej herbaty ze śmietanką, wiedząc, że nie da mi zasnąć, ale czułam się zbyt podniecona tym wszystkim, by w ogóle myśleć o spaniu. Mogłam siedzieć do późna i malować. Miałam do dyspozycji pracownię otwartą całą noc, niedaleko naszych stajni - garaże, w których zapewne trzymano kiedyś pierwsze w posiadłości fordys T i w których teraz zainstalowano duże okna dachowe. Mogłam pójść tam i malować, może stworzyć kilka wersji tego krajobrazu, wykorzystując pierwszy, niedokończony pejzaż. A potem, przy śniadaniu czy podczas następnej sesji na zboczu, mogłabym bezwstydnie oświadczyć Robertowi Oliverowi: „Jestem trochę zmęczona. Och, malowałam do trzeciej nad ranem”. A może krążyłby w ciemności i zaszedł do garażu, i zobaczył mnie przez okno, jak pracuję ciężko; wszedłby do środka, dotknął z uśmiechem mojego ramienia i powiedział, że mój obraz dowodzi „zrozumienia”. To było wszystko, czego pragnęłam - jego uwagi, krótkotrwałej i prawie, choć nie do końca, niewinnej.

Kiedy dopijałam herbatę, Robert podniósł się od stołu na całą wysokość, biodra w znoszonych, wytartych dzinsach pojawiły się na wysokości mojej głowy; mówił wszystkim dobranoc. Miał prawdopodobnie ważniejsze rzeczy do roboty, na przykład zajmowanie się swoim obrazem. Zauważyłam zdegustowana, że Frank też wstał i ruszył za nim, kołysząc na boki swoim ostro ciosanym profilem i zagadując Roberta na śmierć. Przynajmniej nie polazł za mną, by nieco bardziej rozchyłać koszulę albo pytać, czy chcę się przejść do lasu. Opuuszczona nie przez jednego, ale dwóch mężczyzn, poczułam w tym momencie ukłucie samotności i spróbowałam odzyskać niezależność, oddać się romansowi „sama sobie”. Postanowiłam w końcu pójść i malować, nie po to, żeby utrzymać Franka na dystans albo przyciągnąć Roberta Olivera, ale właśnie malować. Byłam tu, by dobrze wykorzystać swój czas, ponownie odpalić szwankujące silniki, cieszyć się cennymi wakacjami - i niech diabli wezmą wszystkich mężczyzn.

Właśnie dlatego Robert znalazł mnie w garażu, tak późno, że dwoje czy troje innych ludzi pracujących w różnych miejscach tej wielkiej, stęchłej przestrzeni spakowało się już i wyszło, tak późno, że byłam zamroczona; widziałam zieleń zamiast błękitu, nakładałam zbyt pośpiesznie żółcień, zdrapywałam go, mówiłam sobie, żeby przestać. Odtwarzałam na nowo krajobraz na świeżym płótnie, które przyniosłam ze swojego pokoiku, i wprowadzałam pewne zmiany. Przypominałam sobie niezapominajki w trawie, których nie uwieczniłam w świetle dnia, i teraz rozmieszczałam je na powierzchni wzgórza, starając się, by falowały, choć uparcie niknęły w tle. Chodziło mi też o jeszcze jedną różnicę. Kiedy Robert wszedł i zamknął za sobą boczne drzwi, byłam już tak zmęczona rozważaniem tych wszystkich zmian,

że ujrzałam go jako manifestację wizji, którą miałam przy stole, pragnienia, by się tu pojawił. W gruncie rzeczy zapomniałam o nim, choć jednocześnie w jakiś sposób wypełniał moje myśli. Byłam prawie nieświadoma, więc spojrzałam na niego niemal ślepych oczami.

Stał przede mną ze skrzyżowanymi ramionami, uśmiechając się nieznacznie.

- Wciąż jesteś na nogach. Pracujesz nad przyszłą wystawą?

Gapiłam się na niego. Był nierzeczywisty, drżące żarówki pod sufitem nadawały jego postaci świetlistą mgiełkę. Pomyślałam wbrew sobie, że jest jak archanioł na jednym z tych średniowiecznych tryptyków, istota przekraczająca człowieczą wyobraźnię; włosy miał długie, kręcone, głowę w złotej aureoli, potężne skrzydła zwinięte dla wygody podczas przekazywania jakiegoś niebiańskiego posłania. Jego spłowiałe, złotawe ubranie, mroczna jasność włosów, oliwkowa barwa oczu, wszystko to pasowałoby do tych skrzydeł, i gdyby Robert je miał, to byłyby one potężne. Poczułam się jakby poza granicami historii i konwencji, na jakiejś skalistej krawędzi świata zbyt ludzkiego, by mógł uchodzić za rzeczywisty, albo zbyt rzeczywistego, by mógł uchodzić za ludzki: czułam tylko siebie, obraz na swoich sztalugach, którego już nie chciałam mu pokazywać, i tego dużego mężczyznę o kręconych włosach, stojącego w odległości kilku kroków.

- Jesteś aniołem? - spytałam i od razu zabrzmiało to fałszywie, głupio.

Podrapał się jednak pod brodą, na której pojawiał się ciemny zarost, i roześmiał się.

- Nie bardzo. Przestraszyłem cię?

Potrząsnęłam głową.

- Przez chwilę wyglądałeś promiennie, jakbyś miał na sobie ubiór ze złota.

Był na tyle uprzejmy, by udąć zaskoczenie, a może naprawdę je odczuwał.

- Byłby ze mnie kiepski anioł, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa.

Teraz to ja zmusiłam się do śmiechu.

- Wobec tego muszę być bardzo zmęczona.

- Mogę zobaczyć?

Ruszył w stronę sztalug, a nie bezpośrednio ku mnie. Było już za późno, by powiedzieć „nie”. Stał za moimi plecami, a ja próbowałam się nie odwracać, żeby nie obserwować jego twarzy, ale nie mogłam się powstrzymać. Stał ze skrzyżowanymi ramionami i przyglądał się mojemu pejzażowi, a jego profil nabierał coraz większej powagi. Opuścił ręce.

- Dlaczego je tu umieściłaś? - Wskazał dwie postaci spacerujące po moim zweryfikowanym wybrzeżu, kobietę w długiej sukni i małą dziewczynkę obok.

- Nie wiem - zająknęłam się. - Podobało mi się to, co malowałaś.

- Nie przyszło ci do głowy, że te osoby mogą należeć tylko do mnie?

Zaczęłam się zastanawiać, czy w jego tonie nie zabrzmiało coś bliskiego groźbie; pytanie było nieco dziwaczne, ale czułam przede wszystkim własną głupotę, a pod powiekami łyż zawstydzenia. Czy zamierzał mnie złać? Zebrałam się w sobie.

- Czy cokolwiek należy do jednego artysty?

Jego twarz wydawała się mroczna, ale też zamyślona, malowało się na niej zainteresowanie moim pytaniem. Byłam wtedy trochę młodsza i bardzo mnie to zaskoczyło. W końcu oznajmił:

- Nie, chyba masz rację. I chyba czuję się właścicielem wizerunków, z którymi żyłem bardzo długo.

Nagle znalazłam się z powrotem na tamtym kampusie, tyle lat wcześniej; była to, w dziwny sposób, ta sama rozmowa; pytałam go o tożsamość kobiety na jego płótnie, a on miał mi lada chwila odpowiedzieć: „Gdybym tylko wiedział, kim jest!”

Dotknęłam jego ramienia - być może bezczelnie.

- Wiesz, chyba już o tym kiedyś rozmawialiśmy.

Zmarszczył brwi.

- Naprawdę?

- Tak, w Barnett, kiedy byłam studentką, a ty wystawiłeś tam portret kobiety przed lustrem.

- A teraz się zastanawiasz, czy to ta sama kobieta?

- Tak, zastanawiam się.

Światło w tej dużej pracowni było ostre i nagie; moje ciało wibrowało nieznacznie późną godziną i bliskością tego dziwnego mężczyzny, któremu mijające lata tylko dodały atrakcyjności. Z trudem mogłam uwierzyć, że przeżył upływ czasu w moim własnym życiu, by teraz do niego powrócić. Prawdę mówiąc, przyglądał mi się ze zmarszczonym czołem.

- Co chcesz wiedzieć?

Zawahałam się. Było wiele rzeczy, które mógł ode mnie usłyszeć, ale w tej surowości chwili i miejsca, w tej nierzeczywistej przestrzeni, pozbawionej jakby przyszłości i konsekwencji, powiedziałam coś, co było najmniej przemyślane, najbliższe sercu.

- Mam wrażenie - oznajmiłam wolno - że gdybym wiedziała, dlaczego wciąż malujesz to samo po tak wielu latach, tobym cię poznała. Wiedziałabym, kim jesteś.

Moje słowa rozległy się głucho w tym pomieszczeniu, usłyszałam ich nagą dobitność i pomyślałam, że powinnam czuć się zakłopotana, ale tak nie było. Robert Oliver stał bez ruchu, skupiony wyłącznie na mnie, jakby słuchał cały czas i chciał poznać moją reakcję na

argument, którym zamierzał się posłużyć. Mimo to milczał - ja zaś czułam się przy nim odważnie wysoka, dostatecznie wysoka, by sięgać mu brody - i w końcu, zamiast się odezwać, dotknął palcami moich włosów. Przesunął ich długi kosmyk nad moim ramieniem i wygładził opuszkami, nie dotykając mnie właściwie.

Uświadomiłam sobie ze zgrozą, że był to gest Muzzy; pomyślałam o matce, o tym, jak ujmuje dłońmi, teraz już o wiele starszymi, kosmyk moich włosów i mówi, że są takie lśniące, proste i gładkie, a potem uwalnia je czule z palców. Był to jej najdelikatniejszy odruch, milczące przeprosiny za wszelkie wymagania, za kształtowanie, któremu potrafiłam się przeciwstawić, aż w końcu prowokowałam nas obie do wzajemnych pretensji i żalów. Stałam możliwie nieruchomo, bojąc się, że zacznę drżeć, i mając nadzieję, że Robert nie będzie mnie już dotykał, bo wtedy pewnie zaczęłabym się trząść na jego oczach. Podniósł obie ręce i zaczesał mi włosy do tyłu, układając je za moimi plecami, jakby potrzebował tego do portretu. Zauważyłam, że twarz ma zamyśloną, smutną, zdziwioną. Potem opuścił ręce i stał jeszcze chwilę, jakby chcąc coś powiedzieć. Wreszcie odwrócił się i wyszedł. Jego plecy były szerokie i miały w sobie jakąś stanowczość; otworzył i zamknął drzwi niespiesznie, grzecznie. Nie było pożegnania.

Kiedy zniknął, wyczyściłam pędzle, odstawiłam sztalugi w kąt, zgasłam jaskrawe żarówki i wyszłam z budynku. Noc pachniała rosą, intensywnością. Na niebie wciąż była obfitość gwiazd - gwiazd, które najwidoczniej nie istniały w Waszyngtonie. W ciemności uniosłam dłonie i zgarnęłam włosy zza ramion, by opadały mi na piersi, a potem je podniosłam do ust i ucałowałam w miejscu, gdzie ich dotykał.



## 65 1879

W końcu pewnego pięknego wiosennego dnia odwiedzają Salon. Ona, Olivier i Yves idą razem, choć innego dnia wróci tu tylko z Olivierem, wsuwając dłoń w rękawiczce pod jego ramię; przyjdą obejrzeć swoje dwa obrazy, wiszące w różnych salach. Bywali tu także w poprzednich latach, ale jest to pierwszy raz - pierwszy z dwóch, jak się później okaże - gdy Béatrice szuka własnego płótna pośród setek tłoczących się na ścianach. Rytuał odwiedzin tego miejsca jest jej znany, jednak dzisiaj wszystko wygląda inaczej; każda z osób w tych zatłoczonych salach widziała być może jej obraz, patrzyła na niego obojętnie, spoglądała z sympatią albo dziwiła się jego nieudolności. Tłum nie jest już rozmazaną plamą modnych strojów, ale zbiorem poszczególnych ludzi, a każdy z nich potrafi wydać osąd.

Tak to jest, myśli sobie, być znanym malarzem, być wystawianym. Cieszy się teraz, że nie posłużyła się własnym nazwiskiem. Obok jej obrazu przechodzili zapewne ministrowie; może też monsieur Monet i jej stary nauczyciel Lamelle. Béatrice ma na sobie nową suknię i kapelusz, jedno i drugie w perłowszarym kolorze, suknia obszyta jest cienką linią szkarłatu, mały płaski kapelusz nasunięty lekko na czoło, z długimi czerwonymi taśmami na plecach. Włosy są pod nim ściśle upięte, talia równie ściśle skrepowana gorsetem, tył sukni zebrany w ściśle kaskady, brzeg ciągnie się za nią po ziemi. Dostrzega podziw w oczach Oliviera, spogląda z nich młodszy mężczyzna. Dziękuje Bogu, że Yves przystanął, żeby obejrzeć jakiś obraz, trzymając kapelusz za plecami.

\*

Było to wspaniałe popołudnie, ale tej nocy koszmar senny znów ją nawiedza; jest na barykadzie. Przybywa zbyt późno i żona Oliviera wykrwawia się w jej ramionach. Nie napisze mu o tym, ale Yves słyszy jej jęk. Kilka dni później, któregoś wieczoru, mówi zdecydowanie, że powinna pójść do lekarza - jest nerwowa, blada. Doktor przepisuje herbatę, befsztyk co dwa dni i kieliszek czerwonego wina do obiadu. Kiedy koszmar powraca jeszcze kilka razy, Yves mówi, że zaplanował z myślą o niej wakacje na wybrzeżu normandzkim,

które tak kochają.

Siedzą w małym buduarze, gdzie wypoczywała cały wieczór z książką; Esmé rozpałała ogień w kominku. Yves mówi, że musi nalegać w kwestii wyjazdu; nie ma sensu, by dalej się wyczerpywała obowiązkami domowymi, kiedy nie czuje się dobrze. Z troski na jego obliczu, z jego podkrążonych oczu wyczytuje, że nie będzie słuchał sprzeciwów; to właśnie determinacja, wola, zamiłowanie do porządku pozwoliły mu osiągnąć sukces w życiu zawodowym i tylekroć pozwalały przetrwać trudne czasy w mieście. Zapomniała ostatnio patrzeć mu w twarz, szukając osoby, którą od lat zna i podziwia; przestała zwracać uwagę na jego wyraziste szare oczy, minę człowieka, któremu się powodzi, zadziwiająco miłe usta, gęstą brązową brodę. Nie dostrzega od pewnego czasu, jak młodzieńcze wydaje się to oblicze; może po prostu dlatego, że Yves jest w rozkwicie życia, swego i jej - jest starszy od niej o sześć lat.

Zamyka książkę i pyta:

- Jakim cudem możesz na tak długo porzucić pracę?

Yves strzepuje coś z kolana; nie przebrał się do kolacji i na jego ubraniu wciąż widnieje miejski kurz. Jej niebiesko-białe krzesło jest dla niego trochę za małe.

- Nie będę mógł z tobą jechać - oświadcza z przykrością. - Sam bym chętnie odpoczął, ale teraz, kiedy otwiera się nowe urzędy, byłoby to dla mnie niezmiernie trudne. Poprosiłem Oliviera, żeby cię zabrał ze sobą.

Przez chwilę nic nie mówi, ale odczuwa trwogę. Taką niespodziankę szykuje jej życie? Zastanawia się, czy nie powiedzieć Yves'owi, że to historia jego stryja jest przyczyną jej nerwowego stanu, ale nie zawiedzie zaufania, jakim obdarzył ją Olivier. Zresztą Yves nigdy by nie zrozumiał, jak miłość jednej osoby może wywołać u drugiej koszmary. W końcu mówi:

- Czy nie będzie to dla niego zbyt kłopotliwe?

- Och, wahał się z początku, ale mocno nalegałem, poza tym wie, jak będę zobowiązany, jeśli uda mu się przywrócić twej twarzy zdrowe kolory.

Zawisa między nimi coś niewypowiedzianego - to, że mogą mieć jeszcze dziecko, że Yves jest bezustannie zajęty albo zmęczony i że nie kochali się od kilku miesięcy. Zastanawia się, czy proponuje jej coś w rodzaju nowej próby, tyle że chce, by najpierw poczuła się lepiej.

- Przykro mi, jeśli jesteś rozczarowana, moja droga, ale w tej chwili nie mogę po prostu wyjechać. - Składa dłonie na kolanie. - To ci dobrze zrobi, poza tym, jeśli wyda ci się tam nudno, możesz wrócić po dwóch tygodniach.

- A co z Papą?

Potrząsa głową.

- Damy sobie doskonale radę. Służba się nami zajmie.

Jej los zdaje się przed nią otwierać. Znów widzi ciało za barykadą, Oliviera, którego włosy nie są jeszcze posiwiałe, klęczącego nad zwłokami, przygniecionego żalem. Wyruszy im na spotkanie, jeśli tego wymaga od niej życie. Wcześniej nie rozumiała miłości, pomimo szczerých wysiłków człowieka interesów, który teraz przed nią siedzi. Przygotowuje się na najgorsze, uśmiecha do niego. Jeśli ma się to stać, to chce przynajmniej być rzetelna.

- Doskonale, kochanie. Pojadę. Esmé jednak zostanie, by opiekować się tobą i Papą.

- Nonsens. Damy sobie radę, a ty musisz mieć kogoś, kto będzie się tobą zajmował.

- Olivier będzie się mną zajmował - odpowiada mu śmiało. - Papa potrzebuje Esmé niemal tak samo jak mnie.

- Jesteś pewna, moja droga? Nie chcę, byś się poświęcała, kiedy nie dopisuje ci zdrowie.

- Oczywiście, że jestem pewna - oświadcza zdecydowanie. Teraz, kiedy ta podróż jest już nieunikniona, czuje uniesienie, jakby nie musiała zważać na każdy swój krok. - Będę się cieszyła niezależnością... sam wiesz, jak Esmé trzęsie się nad każdym... i będę się o wiele mniej martwiła, wiedząc, że Papa ma właściwą opiekę.

Yves przytakuje. Ona się domyśla, co powiedział mu doktor: trzeba jej zapewnić wszystko, czego tylko zechce, musi odpocząć; kobieta może bardzo szybko podupaść na zdrowiu, zwłaszcza kobieta w wieku rozrodczym. Yves bez wątpienia poprosi lekarza, by zbadał ją jeszcze raz, przed wyjazdem, zapłaci wygórowane honorarium, zrobi wszystko, by się upewnić. Czuje przyływ uczucia dla tego statecznego, troskliwego człowieka. Uświadamia sobie, że mógł winić za to wszystko jej malarstwo albo niepewność związaną z wystawieniem obrazu na Salonie, ale nie wspomniał o tym nawet słowem. Wstaje, znów wsuwa stopy w pantofle, po czym przemierza pokój, by pocałować go w czoło. Jeśli kiedykolwiek znów będzie sobą, on odniesie z tego korzyść. Pełną korzyść.

*Paryż, maj 1879*

*Moja droga,*

*Doprawdy, przykro mi, że Yves nie może nam towarzyszyć w Étretat, ale ufam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, by powierzyć się mej opiece. Nabyłem już bilety, tak jak prosiłaś, i przyjadę po Ciebie dorożką o siódmej rano we czwartek. Napisz do mnie wcześniej, by mi powiedzieć, jakie przybory malarskie mam dla Ciebie zabrać; jestem pewien, że będzie to lepsze lekarstwo niż wszystko, co mogę zrobić z myślą o Tobie.*

*Olivier Vignot*

## 66

### MARY

Drugiego dnia przy śniadaniu przygotowywałam się na to, żeby unikać wzroku Roberta, gdybym napotkała jego spojrzenie, ale ku mojej uldze się nie zjawił; nawet Frank, jak się zdawało, znalazł sobie innego rozmówcę. Garbiłam się nad kawą i tostem, ogłupiała od malowania i braku snu, z niechęcią myśląc o początku dnia. Związałam włosy na głowie, żeby nie przeszkadzały, i włożyłam spłowiałą koszulę khaki z farbą na obszyciu, tę, którą Muzzy lubiła najmniej. Gorąca kawa pomogła mi uspokoić nerwy; ostatecznie uznałam za rzecz bezsensowną myśleć poważnie o tym człowieku, o tym niedostępnym, dziwnym, sławnym obcym człowieku. Poranek był przygnębiająco czysty, doskonały na wyprawę w poszukiwaniu odpowiedniego krajobrazu; kiedy nadeszła dziewiąta, znowu siedziałam w furgonetce. Prowadził Robert, a jedna ze starszych kobiet podawała mu trasę według mapy. Frank szturchał mnie, siedząc na fotelu obok, i było tak, jakby poprzednia noc nigdy się nie wydarzyła.

Tym razem malowaliśmy nad jeziorem: zapuszczona chata po drugiej stronie i koronka białych brzoź wokół brzegów. Robert ostrzegł nas żartobliwie, żeby nie umieszczać na płótnie żadnego łosia. Albo kobiet w długich sukniach, mogłam dodać w myślach pomimo bólu głowy. Ustawiłam swoje sztalugi z dala od niego, jednocześnie nie sprzymierzając się z Frankiem. Z pewnością nie chciałam, by Robert pomyślał, że za nim gonię, i moją jedyną satysfakcją było to, że przez całe popołudnie unikał starannie patrzenia w moją stronę, nawet nie podszedł, by ocenić mój obraz, który tak czy owak był klęską. Oznaczało to, że rozmowa z ostatniej nocy wciąż tkwiła także w jego umyśle; w przeciwnym razie droczyłby się ze mną, swoją dawną studentką. Nie mogłam sobie przypomnieć, co wiem o drzewach, cieniach czy czymkolwiek; wydawało się, że maluję błotnisty rów, w którym widziałam tylko marszczący wodę kształt, coś znajomego, ale złowrogiego.

Zjedliśmy lunch, tłocząc się przy dwóch stołach parkingowych (nie usiadłam w grupie Roberta), a pod koniec dnia zebraliśmy się wokół jego płótna - w jaki sposób udało mu się tak ożywić wodę? - on zaś mówił o kształtach brzegu i doborze kolorów, na jakie się zdecydował,

malując odległe niebieskie wzgórza. Wyzwaniem tego krajobrazu był jego monochromatyczny charakter, niebieskie pagórki, niebieskie jezioro, niebieskie niebo, i pokusa, by dla kontrastu podkreślić przesadnie biel brzoź. Gdybyśmy jednak patrzyli dostatecznie uważnie, mówił Robert, to uświadomilibyśmy sobie, jak niewiarygodną różnorodnością odznaczają się te przytłumione odcienie. Frank drapał się za uchem, słuchając niby z szacunkiem, ale tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że może dorzucić coś od siebie; dlaczego uważał, że wie więcej niż Robert Oliver?

Podczas kolacji było jeszcze gorzej; Robert wszedł do zatłoczonej jadalni później niż ja i przesunąwszy wzrokiem po moim stole, celowo - takie odniosłam wrażenie - usiadł jak najdalej. Potem rozpalono ognisko na ciemnym podwórzu, ludzie pili piwo i śmiali się z nową niefrasobliwością, jakby przyjaźnie zdążyły się już scementować. A co ja scementowałam? Zadawałam się z Frankiem Doskonałym albo szłam sama do swojego pokoju, albo myślałam o naszym genialnym nauczycielu lub go unikałam, gdy tymczasem mogłabym nawiązać z kimś bliższą relację. Zastanawiałam się, czy nie poszukać jednej z tych kobiet, które polubiłam podczas naszych zajęć z krajobrazu - przynieść piwo i usiąść obok, by wysłuchać opowieści o jej życiu domowym, o tym, gdzie studiowała i gdzie brała udział w zbiorowej wystawie, czym zajmował się jej mąż - ale poczułam się zmęczona, zanim w ogóle się na to zdecydowałam. Powiodłam wzrokiem po tłumie, chcąc odszukać kędzierzawą głowę Roberta, i znalazłam ją; górował nad grupą, w której dostrzegłam dwoje ludzi z naszych zajęć, choć zauważyłam z zadowoleniem, że tym razem Frank nie kleił się do jego boku. Zabrałam swoją bluzę i powlokłam się w stronę stajni, łóżka i książki - uznałam, że Izaak Newton będzie lepszym towarzystwem niż ci wszyscy ludzie, bawiący się razem zbyt dobrze, i że jak już prześpię się dłużej niż trzy godziny, to też stanę się przyzwoitym kompanem.

Stajnie świeciły pustkami, drzwi prowadzące do sypialni i tworzące długi rząd były zamknięte, z wyjątkiem moich, które najwidoczniej zostawiłam otwarte - wydawało się to niezbyt rozważne, choć portfel trzymałam w kieszeni dzinsów, a o resztę swoich rzeczy nie martwiłam się zbytnio. Zresztą, jak się wydawało, nikt tu niczego nie trzymał pod kluczem. Weszłam do swojego pokoju, nieco otumaniona ze zmęczenia, i pisnęłam odruchowo; na brzegu mojego łóżka siedział Frank. Miał na sobie czystą białą koszulę, rozpiętą do pasa, dzinsy i naszyjnik z ciężkich brązowych koralu, przypominający ten, który sama nosiłam. W dłoni trzymał szkicownik; pocierał kciukiem o świeży rysunek, rozmazując linie. Jego opalenizna zapierała dech w piersi, umięśnione żebra zwarły się odrobinę, kiedy nachylił się nad kartką; pocierał jeszcze ze skupieniem przez sekundę czy dwie, potem podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się. Prawdę powiedziawszy, z trudem się opanowałam, by nie oprzeć

dłoni na biodrach, okazując w ten sposób zniecierpliwienie.

- Co ty tu, u diabła, robisz?

Odłożył rysunek i wyszczerzył do mnie zęby.

- Och, daj spokój. Unikasz mnie od jakiegoś czasu.

- Mogłabym wezwać kierownictwo; wyleciałbyś z hukiem.

Przybrał poważniejszą minę.

- Ale tego nie zrobisz. Zwróciłaś na mnie uwagę, tak samo jak ja na ciebie. Przestań mnie olewać.

- Nie olewam cię. Wydaje mi się, że właściwym słowem jest „ignoruję”. Ignoruję cię od początku, a ty może nie jesteś do tego przyzwyczajony.

- Myślisz, że nie wiem, że ze mnie rozwydrzony dzieciak? - Przechylił na bok swoją nastroszoną blond głowę i przyjrzał mi się. - A ty? - Jego uśmiech był zaraźliwy, co stwierdziłam ku swojej konsternacji. Skrzyżowałam ramiona. - Też jesteś rozwydrzona?

- Gdybyś nie był rozwydrzonym dzieciakiem, z pewnością nie zachowywałbyś się w tak niewłaściwy sposób.

- Daj spokój - powtórzył. - Nie to rozumiesz przez właściwe czy niewłaściwe. Zresztą nie przyszedłem tu po to, żeby cię przelecieć. Myślałem przez cały czas, że możemy się zaprzyjaźnić i że mogłabyś ze mną pogadać, gdybyśmy się czuli samotni. Nie musiałabyś się popisywać przed innymi.

Nie bardzo wiedziałam, z której strony mu dokopać.

- Popisywać się? Nigdy nie spotkałam nikogo, kto przejmowałby się swoim wizerunkiem bardziej niż ty, młody człowieku.

- Och, wyszło sztydło z worka. Wróg snobizmu. Tym lepiej. Bądź co bądź sama ukończyłaś uczelnię artystyczną i wiem, jaką. Niezłą. - Uśmiechnął się i pokazał mi swój szkicownik. - Słuchaj, próbowałem narysować autoportret, korzystając z twojego lustra. Właśnie go wykańczałem. Wyglądam jak ktoś, kto się popisuje?

Zerknęłam odruchowo na rysunek. Była to smutna, spokojna, zamyślona twarz, której nie skojarzyłam z tym wszystkim, czego zdążyłam się już dowiedzieć o Franku. I nieźle nakreślona.

- Kiepskie cieniowanie - zauważyłam. - I usta są za duże.

- Duże jest dobre.

- Złaz z mojego łóżka, szanowny panie - nakazałam.

- Podejdź tu i najpierw mnie pocałuj.

Powinnam go walnąć, ale zaczęłam się śmiać.

- Mam dostatecznie dużo lat, żeby być twoją matką.

- Nieprawda - zaprzeczył.

Odłożył szkicownik na pościel, wstał - był dokładnie mojego wzrostu, ta sama szerokość w pasie i kształt sylwetki - i oparł dłonie o ścianę po obu moich stronach, gest, którego bez wątpienia nauczył się z hollywoodzkich filmów.

- Jesteś młoda i piękna, poza tym powinnaś skończyć z tą drażliwością i porządnie się zabawić. W końcu to kolonia artystyczna.

- Powinam poprosić, żeby cię wykopali z tej kolonii artystycznej, dzieciaku.

- No dobra, o ile lat jesteś ode mnie starsza... osiem? Pięć? A taka wyniosła. - Zaczął mnie głaskać po policzku, a ja poczułam płomień od ramienia po linię włosów. - Lubisz udawać, że jesteś samowystarczalna, czy naprawdę lubisz spać sama w tej klitce?

- Tak czy inaczej mężczyznom nie wolno tu przebywać - przypomniałam mu, odsuwając jego dłoń, która już zaczęła swoje delikatne zabiegi wokół mojej skroni i szczęki. Wbrew sobie doznałam pragnienia, by ta doskonała, sprawna młoda dłoń znalazła się gdzie indziej, żebym poczuła ją wszędzie.

- Tylko oficjalnie.

Nachylił się, ale zrobił to powoli, jakby chcąc mnie zahipnotyzować, co mu się powiodło. Miał oddech o przyjemnym, świeżym zapachu. Nie ruszył się z miejsca, dopóki go najpierw nie pocałowałam, było to poniżające, ale podyktowane głodem, a potem jego wargi przylgnęły do moich ust na całego, z powstrzymywaną siłą, która przyprawiła o skurcz mój żołądek. Może spędziłabym noc przy tej jedwabistej piersi, gdyby nie uniósł dłoni do moich włosów i nie dotknął ich kosmyka.

- Cudowne - powiedział.

Wysunęłam się spod jego opalonego ramienia.

- Ty też jesteś cudowny, chłopczyku, ale zapomnij o tym.

Roześmiał się zaskakująco wesoło.

- W porządku. Daj mi znać, jak zmienisz zdanie. Nie musisz być samotna, jeśli nie chcesz. Możemy po prostu uciąć sobie kilka tych ciekawych rozmów, których tak uparcie unikasz.

- Po prostu wyjdź, proszę. Jezu, wystarczy.

Zabrał swój szkicownik i wyszedł tak cicho jak Robert Oliver z pracowni zeszłej nocy, nawet zamykając za sobą drzwi, jakby chciał pokazać mi dojrzałość, której w nim nie doceniałam. Kiedy się upewniłam, że na dobre opuścił budynek, rzuciłam się na łóżko i otarłam usta wierzchem dłoni. I nawet popłakałam sobie trochę. Trochę, ale porządnie.



## 67 1879

Nim pociąg dociera na wybrzeże, zapada noc i oboje milczą; jest znużona, woalkę ma upstrzoną drobinkami sadzy, dlatego zaczyna się niepokoić, że coś jest nie tak z jej wzrokiem. W Fecamp przygotowują się do opuszczenia wagonu, potem udadzą się dorożką do Étretat. Olivier zabiera mniejsze bagaże z półki w przedziale, gdzie rozmawiali cały dzień - większe walizy zostaną dostarczone na miejsce - i kiedy się podnosi, ona ma wrażenie, że jest zeszywniały, że jego ciało pod dobrze skrojonym strojem podróżnym jest niewiarygodnie stare, że nie ma sensu, by dotykał jej łokcia, kiedy z nią rozmawia, nie dlatego, że nie jest Yves'em, tylko dlatego, że nie jest młody. On siada ponownie i ujmuje jej dłoni. Oboje noszą rękawiczki.

- Trzymam cię za rękę - mówi - ponieważ mogę i ponieważ jest najpiękniejsza na świecie.

Nie potrafi powiedzieć mu niczego, co mogłoby się z tym równać, pociąg zaś trzęsie się, zatrzymuje. Zamiast się odezwać Béatrice uwalnia dłoń z jego palców, ściąga rękawiczkę i znów wysuwa ku niemu rękę. On ją podnosi i ogląda uważnie. W przyćmionym świetle przedziału widzi ją obiektywnie, dostrzegając jak zawsze, że palce są zbyt długie, cała dłoń zbyt duża jak na tak drobny nadgarstek, że wokół koniuszka pierwszego i drugiego palca widać niebieską farbę. Wydaje jej się, że pocałuje tę dłoń, ale on tylko skłania głowę, jakby rozmyślając nad czymś osobistym, i uwalnia ją. Potem wstaje z miejsca, bierze ich bagaże i prosi uprzejmie, by opuściła przedział przed nim.

Konduktor pomaga jej zejść ze stopni w noc, która pachnie jak węgiel i wilgotne pola. Monstrualna lokomotywa za ich plecami wciąż posapuje, para jest biała na tle ciemnego rzędu domów, sylwetki maszynistów i pasażerów niewyraźne. W dorożce Olivier sadza ją z uwagą obok siebie, konie szarpiają do przodu, a ona zastanawia się po raz setny, dlaczego zgodziła się na tę podróż. Dlatego, że Yves nalegał, czy też dlatego, że Olivier pragnął, by z nim pojechała? A może dlatego, że sama chciała i była zbyt słaba, by wyperswadować to Yves'owi, zbyt ciekawa?

Étretat, kiedy zjawiają się na miejscu, to niewyraźna plama lamp gazowych i brukowanych ulic. Olivier podaje swej towarzyszce dłoń, a ona się na niej wspiera, potem zaś okrywa starannie peleryną i przeciąga dyskretnie - sama jest zeszywniała po długiej podróży. Wiatr pachnie słoną wodą; gdzieś tam jest kanał, który woła swym samotnym głosem. Étretat emanuje atmosferą kurortu po sezonie. Ona zna tę melodię, zna to miasto z poprzednich wizyt, ale tego wieczoru jawi jej się jako nowe miejsce, dziki zakątek, kraniec świata. Teraz Olivier wydaje polecenia dotyczące ich rzeczy. Kiedy ona zerka ukradkiem na jego profil, dostrzega w nim zamyślenie, smutek. Jakież to dziesięciolecie go tu sprowadziły? Czy odwiedzał to wybrzeże dawno temu ze swoją żoną? Czy może go spytać o coś takiego? W blasku latarni ulicznych jego twarz wygląda na pobrużdżoną, usta są eleganckie, zmysłowe, pomarszczone. W oknach na parterze jednego z wysokich, zwieńczonych kominem domów naprzeciwko dworca ktoś zapalił świece; widzi w środku przesuwający się kształt, być może kobietę sprzątającą pokój przed udaniem się na spoczynek. Zastanawia się, jak wygląda życie w takim domu i dlaczego ona sama mieszka w innym, w Paryżu; myśli o łatwości, z jaką los mógłby to odmienić.

Olivier robi wszystko z wprawą i wdziękiem, człowiek od dawna przyzwyczajony do siebie - przyzwyczajony także do swego spokojnego sposobu bycia. Obserwując go, uświadamia sobie z gwałtownym drgnieniem trzewi, że jeśli nie sprzeciwi mu się w jakiś sposób, to w końcu się okaże, że leży naga w jego ramionach, tu, w tym mieście. To szokująca myśl, ale gdy się już pojawia, nie można się od niej uwolnić. Będzie musiała znaleźć w sobie siłę, by wypowiedzieć to słowo, *non*. *Non* - nie ma takiego między nimi, jest tylko ta dziwna otwartość ducha. On jest bliższy śmierci niż ona, nie ma czasu czekać na odpowiedzi, ona zaś jest zbyt poruszona jego požądaniem. Nieuniknioność tej sytuacji objawia się uciskiem w jej klatce piersiowej.

- Musisz być zmęczona, moja droga - odzywa się do niej. - Udamy się prosto do hotelu? Jestem pewien, że podadzą nam skromną kolację.

- Czy będziemy mieć ładne pokoje?

Brzmi to mocniej, niż zamierzała, ponieważ ma na myśli coś innego.

Patrzy na nią, zaskoczony, łagodny, rozbawiony.

- Tak, oba są bardzo ładne, przypuszczam też, że będziesz miała do swojej dyspozycji także salonik.

Czuje falę wstydu. Oczywiście; Yves wysłał ich tu razem. Olivier ma na tyle przyzwoitości, że się nie uśmiecha.

- Zechcesz długo spać, mam nadzieję; możemy wybrać się w plener późnym rankiem,

gdybyś miała ochotę. Przekonamy się, jaka będzie pogoda - dobra, jak mi się zdaje, sądząc po dzisiejszym powietrzu.

Mężczyzna pchający na wózku ich bagaże, torby i pudła, jej zapinany na skórzane rzemienie kufer, ruszył już w głąb ulicy. Ona i stryj jej męża są sami na krańcu innego świata, otoczonego jedynie przez ciemną słoną wodę, w miejscu, gdzie nie zna nikogo prócz niego. Chce jej się nagle śmiać.

Zamiast tego stawia tylko na ziemi torbę z cennymi przyborami malarskimi i podnosi woalkę; przysuwa się do niego, jej dłonie dotykają jego ramion. W świetle lampy gazowej oczy mężczyzny błyskają niepokojem. Jeśli jest zaskoczony widokiem jej twarzy, która unosi się ku niemu, jej brakiem rozwagi, to natychmiast to ukrywa. Ona z kolei zaskakuje samą siebie, przyjmując jego pocałunek bez jakichkolwiek oporów, wyczuwając w nim czterdziestoletnie doświadczenie, dostrzegając krawędź kości policzkowej. Jego usta są ciepłe i ruchliwe. Jest jedną z wielu jego miłości, ale w tej chwili jedyną, i będzie ostatnią, niezapomnianą, którą on zabierze ze sobą do samego końca.

## 68

### MARY

Trzeci dzień był zaskakujący. Nigdy nie zdołałabym opisać z osobna wszystkich pięciuset dni, które w większym lub mniejszym stopniu spędziłam z Robertem Oliverem, ale pierwsze dni miłości są wyjątkowo wyraziste; pamięta się je szczegółowo, ponieważ stanowią obraz pozostałych. Wyjaśniają nawet, dlaczego ta konkretna miłość nie wypaliła.

Podczas śniadania znalazłam się przy jednym stole z dwiema kobietami z kadry wykładowców, które jakoś nie dostrzegały mojej obecności na drugim końcu, dzięki czemu pomyśl, by zabrać książkę do posiłku, od razu wydał mi się usprawiedliwiony. Jedna z nich, mniej więcej sześćdziesięcioletnia, była nauczycielką grafiki; druga, lat około czterdziestu pięciu, nauczycielką malarstwa o krótkich, rozjaśnionych włosach, zaczęła od uwagi, że poziom studentów nie jest tak wysoki jak w minionym roku. „No cóż, w takim razie weźmy się do lektury, madame” - pomyślałam. Moje jajka były rzadkie, nie takie, jak lubię.

- Nie wiem, dlaczego tak jest. - Pociągnęła spory łyk kawy, a druga przytaknęła. - Mam nadzieję, że wielki Robert Oliver nie jest rozczarowany, to wszystko.

- Jestem pewna, że jakoś to przeżyje. Wykłada w tej chwili na niewielkiej uczelni, prawda?

- No, owszem, chyba w Greenhill w Karolinie Północnej. Trzeba przyznać, że mają tam dobry wydział, ale to nie to, co mógłby znaleźć na uczelni z prawdziwego zdarzenia. Chodzi mi o program sztuk pięknych.

- Studenci go chyba lubią - zauważyła łagodnie nauczycielka grafiki; najwidoczniej nie kojarzyła z grupą Roberta czytelniczki, która siedziała przy tym samym stole, dziobiąc jajka.

Nie podnosiłam głowy. Nie chodzi o to, że czuję się onieśmielona głupotą innych ludzi; mam wtedy ochotę po prostu odejść.

- Oczywiście, że go lubią. - Kobieta o rozjaśnionych włosach obracała w palcach filiżankę z kawą. - Był na okładce „ARTnews”, wszędzie go wystawiają i jest dostatecznie popularny, żeby się niczym nie przejmować i wykładać w jakiejś dziurze. No i nic złego w

tym, że ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i wygląda jak Jowisz.

„Posejdon, prawdę powiedziawszy - skorygowałam w myślach, krojąc bekon. - Albo Neptun. Nie wiecie, o czym gadacie”.

- Jestem pewna, że studentki uganiają się za nim bezustannie - zauważyła nauczycielka grafiki.

- Naturalnie. - Jej towarzyszka wydawała się zadowolona z takiego obrotu rozmowy. - Człowiek słyszy różne rzeczy, ale kto potrafi się w tym połapać? Sprawia wrażenie faceta trochę nie z tej ziemi, z głową w chmurach, co przemawia na jego korzyść. Albo jest jednym z tych mężczyzn, którzy tak naprawdę nie dostrzegają nikogo z wyjątkiem siebie. Ma też chyba dość młodą rodzinę, ale nigdy nie wiadomo. Im jestem starsza, tym bardziej się przekonuję, że mężczyźni po czterdziestce to kompletna zagadka, zazwyczaj niezbyt przyjemna.

Zastanawiałam się, których mężczyzn woli, starszych czy młodszych. Mogłabym na przykład przedstawić ją przedsiębiorczemu Frankowi.

Ta od grafiki westchnęła.

- Wiem. Byłam zameżna przez dwadzieścia jeden lat; byłam - powtórzyła z naciskiem. - I wciąż nie rozumiem ni w ząb swojego eksmeża.

- Chcesz zabrać ze sobą trochę kawy? - spytała ta z krótkimi włosami, po czym wstały od stołu, nawet na mnie nie patrząc.

Kiedy wychodziły z sali, zauważyłam, jaka zgrabna jest ta młodsza - w gruncie rzeczy urocza; ubrana w smukłą czerń z czerwonym paskiem, po czterdziestce była bardziej zadbana niż większość dwudziestolatek. Może sama rzuciłaby wyzwanie Robertowi Oliverowi; niewykluczone, że porównaliby artykuły na swój temat w „ARTnews”. Tyle że Robert, jak doszłam do wniosku, w ogóle nie byłby zainteresowany takim współzawodnictwem; podrapałby się w głowę, skrzyżował ramiona i pomyślał o czymś innym. Zastanawiałam się, czy wizja Roberta jako człowieka odpornego na podobne pokusy jest właściwa, czy też chodził on po prostu z głową w chmurach, jak powiedziała tamta kobieta? Nie zachowywał się w ten sposób tamtej nocy, a mimo to nic specjalnego między nami się nie wydarzyło. Dopilałam w pośpiechu herbatę i poszłam do sypialni po swój sprzęt. Jeśli nie chodził z głową w chmurach, oznaczało to zapewne, że nie jestem szczególnie godna zapamiętania.

Robert znów zebrał nas przy furgonetce, ale tym razem oświadczył, że nie pojedziemy, tylko udamy się na miejsce pieszo. Ku mojemu zdziwieniu poprowadził nas ścieżką przez las, którą pierwszego dnia dotarłam nad brzeg, po czym rozstawiliśmy nasze sztalugi na kamienistej plaży, tam, gdzie widziałam, jak najpierw daje nurka do wody, a

potem wyłania się z odmętów. Popatrzył na nas z uśmiechem, na mnie także, i udzielił kilku wskazówek dotyczących kąta padania światła i jego zmian, których mogliśmy się spodziewać. Mieliśmy dokończyć jedno płótno rano, w tym miejscu, wrócić na obiad do obozu, a następnie namalować drugi obraz po południu. Dla mnie sprawa była jasna; jeśli mógł wrócić tutaj, dokładnie w to miejsce, i uczyć nas sztuki pejzażu, to naprawdę chodził z głową w chmurach, a mnie dotyczyło to szczególnie. Doznałam czegoś w rodzaju smutnej ulgi; nie tylko się myliłam i zachowywałam nieetycznie, ale też głupio sądziłam, że czuje to samo co ja. Widząc, jak Robert krąży między studentami i udziela wskazówek dotyczących ustawienia sztalug, miałam ochotę sobie popłakać; jednocześnie wydawało mi się, że powraca dawna wolność, mój jednostkowy romans, samotność, którą tak ceniłam. Postąpiłam słusznie, przeganiając Franka ze swojego pokoju.

Upięłam z tyłu włosy i ustawiłam się twarzą do najdłuższego cypla wbijającego się w ocean, gdzie mogłam uchwycić duże skupisko jodeł zakorzenionych w atlantyckiej skale. Wiedziałam od razu, że będzie to dobre płótno, dobry poranek; dłoń z łatwością nakreślała formy, a oczy natychmiast wypełniły się zasadniczymi barwami szarości, brązu i zieleni drzew, które z tej odległości wydawały się czarne. Nawet obecność Roberta, jego odejście na bok w celu ustawienia własnych sztalug, to, jak się pochylał i zginał w swojej żółtej koszuli - nie mogło przez długi czas zakłócić mi pracy. Malowałam intensywnie do chwili, gdy zrobiliśmy przerwę, żeby coś przekąsić. Wycierając pędzle, podniosłam wzrok - Robert uśmiechał się do mnie ze środka grupy, na swój zwykły sposób, co utwierdziło mnie we wcześniejszych wnioskach. Zaczęłam z nim rozmawiać, mówić coś o krajobrazie i jego wyzwaniach, ale on już się odwrócił do kogoś innego.

Malowaliśmy do obiadu i zaczęliśmy ponownie o pierwszej, z nowymi płótnami. Mój poranny obraz, oparty o drzewo i schnący, sprawił mi większą przyjemność niż jakikolwiek inny namalowany od miesięcy; obiecałam sobie, że dokończę go o właściwej porze dnia, może rankiem, kiedy już wszyscy wyjadą, od czego dzieliły mnie tylko dwa dni. Chciałam, żeby Robert poszedł i obejrzał płótno, ale podczas tych zajęć nikogo nie zaszczycił uwagą. Po południu pracowaliśmy w milczeniu, rozstawiliśmy sztalugi w różnych miejscach; Robert poszedł ze swoimi na skraj lasu, ale wrócił, kiedy światło zaczęło się ściemniać, pogadał z nami chwilę o widoku, a potem zabrał nas z powrotem do obozu. Z drugiego obrazu byłam mniej zadowolona, ale Robert przeszedł obok mnie i pochwalił go zdawkowo, dla każdego miał jakiś komentarz, wreszcie zwołał nas wszystkich, by przekazać ogólną ocenę. To były dwie dobre sesje, niezły pracowity dzień, pomyślałam i zaczęłam wyczekiwać niecierpliwie wieczoru; chciałam najpierw napić się piwa z jedną czy dwiema osobami z kursu, a potem

pójść do łóżka i wyspać się porządnie.

## 69

### MARY

Udało mi się wypić piwo wcześniej, do kolacji, a potem siedziałam przez chwilę przy ognisku z dwoma mężczyznami, którzy uczestniczyli w zajęciach z malarstwa akwarelowego. Ich dyskusja na temat względnych zalet oleju i farb wodnych w przypadku pejzażu była interesująca; towarzyszyłam im dłużej, niż początkowo zamierzałam. W końcu przeprosiłam ich i otrzepałam siedzenie džinsów, marząc już tylko o starannie zaścielonym łóżku. Frank rozmawiał z kimś innym, kimś młodym i ładnym, nie musiałam się więc martwić, że znów go zastanę siedzącego przed lustrem w swoim pokoju. Mimo wszystko obeszłam go szerokim łukiem, przez co znalazłam się na skraju posesji, w głębokim mroku, którego nie rozpraszał blask ognia.

Stał tam jakiś mężczyzna, już niemal w samym lesie, wysoki człowiek, który najpierw potarł sobie oczy, a potem głowę, jakby znużony i rozkojarzony, i spoglądał w stronę drzew zamiast w stronę ogniska z jego tłumem wesołych postaci. Po kilku minutach ruszył między drzewa, ścieżką, którą już zaczęłam uważać za naszą, a ja podążyłam w ślad za nim. Panował półmrok, który pozwalał mi widzieć go przed sobą i jednocześnie zapewniał, że nie jest on świadomy mojej obecności. Mówiłam sobie kilkakrotnie, żeby zawrócić i mu nie przeszkadzać. Kierował się w stronę brzegu, gdzie pracowaliśmy tego dnia; chciał zapewne rzucić okiem na kształty, które przenosiliśmy na płótna, nawet jeśli były teraz prawie niewidoczne. Skoro opuścił obóz, to zapewne pragnął być sam.

Przystanąłam przy linii drzew i patrzyłam, jak schodzi na kamienistą plażę, która zachręściła pod jego stopami. Słysząc było szemranie oceanu; połyskliwa woda ciągnęła się mrocznie po jeszcze mroczniejszy horyzont. Pojawiły się gwiazdy, ale niebo wciąż było bardziej niebieskie - szafirowe - niż czarne, a koszula Roberta blada; jego postać poruszała się teraz wzdłuż samego brzegu. Stał nieruchomo, potem się schylił, by podnieść kamień, i odrzuciwszy do tyłu ramię w niemal dziecięcym geście małego bejsbolisty, cisnął nim w stronę wody. Był to szybki, pełen wściekłości ruch: gniew, może rozpacz, gwałtowne odreagowanie. Przyglądałam mu się osłupiała, na wpół wystraszona jego emocjami. Potem



przykucnął, dziwna rzecz w przypadku kogoś tak dużego - znowu dziecięcy odruch - i, jak mi się zdawało, objął głowę dłońmi.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy jest zmęczony i poirytowany (jak ja sama) brakiem snu i bezustanną koniecznością przebywania z innymi uczestnikami kursu; może nawet płakał, choć nie potrafiłam sobie wyobrazić, z jakiego powodu ktoś taki jak Robert mógłby płakać. Teraz siedział na kamienistej plaży - musiało tam być mokro, pomyślałam, twardo i ślisko - tkwił ciągle w tej samej pozycji, z głową w dłoniach. Fale nadpływały potoczyscie, rozpościerając biel ledwie widoczną w ciemności. Stałam i patrzyłam, a on po prostu tam siedział, ramiona i plecy połyskiwały mu nieznacznie. Ostatecznie zawsze kieruję się sercem, choć cenię także rozsądek i nakazy tradycji. Chciałabym wyjaśnić, dlaczego to zrobiłam, ale nie potrafię. Ruszyłam w stronę plaży, słysząc chrzęst kamieni pod stopami, raz omal się nie potknęłam.

Nie odwrócił się, dopóki nie znalazłam się bardzo blisko, a nawet wówczas nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy. Ale zobaczył mnie i - czy zorientował się od razu, z kim ma do czynienia, czy też nie - wstał gwałtownie, właściwie zerwał się z miejsca. W tym momencie poczułam wreszcie lęk i wstyd, że tak brutalnie naruszyłam jego samotność. Staliśmy, patrząc na siebie. Widziałam teraz jego twarz; była mroczna, pełna udręki, ani trochę się nie rozjaśniła na mój widok.

- Co ty tu robisz? - spytał bezbarwnym głosem.

Poruszyłam ustami, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Ujęłam jego dłoń, która była bardzo duża i bardzo ciepła; odruchowo zamknęła się na mojej.

- Powinnaś wrócić, Mary - powiedział z drzeniem (tak mi się zdawało) w głosie.

Sprawiło mi zadowolenie, że wymówił moje imię, i to w sposób tak naturalny.

- Wiem - odparłam. - Ale zobaczyłam cię i zaczęłam się martwić.

- Niepotrzebnie. - Jego dłoń zacisnęła się jeszcze mocniej na mojej, jakby teraz on z kolei zaczął się martwić o mnie.

- Wszystko w porządku?

- Nie - odrzekł cicho. - Ale to nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma znaczenie. Zawsze ma znaczenie.

Idiotka, powiedziałam sobie w myślach, ale pozostawała kwestia tej dużej dłoni, w której tkwiła moja dłoń.

- Myślisz, że z artystami naprawdę wszystko powinno być w porządku? - Uśmiechnął się; przez chwilę oczekiwałam, że zaraz zacznie się ze mnie śmiać.

- Tak jak z każdym - oznajmiłam stanowczo i wiedziałam, że naprawdę jestem idiotką

i że jest to moje przeznaczenie, i że mam to w nosie.

Puścił moją rękę i odwrócił się w stronę oceanu.

- Miałaś kiedykolwiek wrażenie, że życie, jakim żyli ludzie w przeszłości, jest wciąż rzeczywiste?

Było to tak dziwaczne, tak wyrwane z kontekstu, że aż przeszedł mnie dreszcz. Bardzo chciałam, żeby pomimo tego osobliwego stwierdzenia, które padło przed chwilą z jego ust, czuł się dobrze, więc pomyślałam o Izaaku Newtonie. Potem pomyślałam o tym, jak często Robert Oliver malował historyczne czy pseudohistoryczne postaci, choćby te oddalone osoby, które widziałam na jego pejzażu pierwszego dnia, i uświadomiłam sobie, że pytanie, które mi zadał, jest dla niego jak najbardziej naturalne.

- Z pewnością.

- Chodzi mi o to - ciągnął, jakby mówiąc do linii wody - że kiedy widzi się obraz namalowany przez kogoś, kto nie żyje od bardzo dawna, to jest się przekonany, że ta osoba naprawdę żyła.

- Też czasem o tym myślę - przyznałam, choć jego słowa nie pasowały do mojej teorii, że po prostu interesowało go umieszczanie na płótnach postaci z przeszłości. - Masz na myśli kogoś konkretnego?

Nie odpowiedział, ale po chwili otoczył mnie ramieniem - stałam blisko niego - i pogładził moje włosy na plecach, jakby w kontynuacji gestu sprzed dwóch nocy. Ten mężczyzna wydawał się dziwniejszy, niż sądziłam - nie była to zwykła ekscentryczność, lecz czysta dziwność, rodzaj całkowitego skupienia na świecie własnych myśli, oderwanie od rzeczywistości. Moja siostra Martha z pewnością cmoknęłaby go w policzek i ruszyła w stronę lasu; tak zresztą zrobiłaby każda sensowna osoba, jaką znam. Ale przypomniałam sobie francuskie znaczenie słowa *sensible*\* - dzięki Muzzy, która kazała nam latami uczyć się tego języka. Pogłaskał mnie po włosach. Podniosłam rękę, by ująć jego dłoń, a potem przysunęłam ją do twarzy i pocałowałam w ciemności.

Całowanie czyjejś dłoni jest gestem bardziej męskim niż kobiecym albo też wyrazem szacunku - dla majestatu królewskiego, dla biskupa, dla umierającego. I tak właśnie ten gest pojmowałam; chciałam dać Robertowi do zrozumienia, że jego obecność napawa mnie zachwytem i dreszczem podniecenia, lecz także niejakim lękiem. Odwrócił się do mnie i jednym ramieniem objął mi delikatnie kark, drugą zaś ręką zaczął sunąć po mojej twarzy, jakby ocierając z niej kurz, a potem przyciągnął mnie jeszcze mocniej. Nikt nigdy tak mnie

---

\* *Sensible* po angielsku znaczy „sensowny”, „rozsądny”, po francusku - „wrażliwy”, „czuły”.

nie całował, ani razu; jego usta były samą esencją bezosobowej namiętności, tęsknoty, której sobie nie uświadamiałam, były samym aktem pocałunku. Dłoń Roberta dotknęła moich pleców na wysokości krzyża, uniosła mnie, przycisnęła do jego ciała, a ja poczułam przez znoszoną i wytartą koszulę samowystarczalne ciepło jego piersi, małe guziczki wbijające mi się w skórę, jakby chciały pozostawić na niej swój ślad. Potem puścił mnie niespiesznie.

- Nie zrobię tego - powiedział, jakby pijany. Nie wyczuwałam alkoholu w jego oddechu, nawet piwa, które sama wypiałam. Ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie jeszcze raz, szybko, i tym razem wyczułam, że wie dokładnie, kim jestem. - Proszę cię, odejdz.

- W porządku.

Ja, którą Muzzy nazywała upartą, którą nauczyciele w szkole średniej uważali za trochę nadąsaną, a wykładowcy na studiach za irytującą, odwróciłam się posłusznie i odeszłam, potykając się na ciemnej plaży.

## 70 1879

Okno jej pokoju w pensjonacie wychodzi na morze; jego pokój, o czym ona wie, znajduje się na tym samym piętrze, na drugim końcu korytarza, musi się więc stamtąd rozciągać widok na miasto. Umeblowanie jest proste, zbiór starych sprzętów. Na toaletce leży wypolerowana muszla. Noc otulają koronkowe zasłony. Właścicielka zapaliła lampy i świece i zostawiła tacę pod serwetą: gotowany drób, sałatka z porów, kawałek zimnej *tarte aux pommes*. Myje się w misce i pochłania łapczywie jedzenie. Kominek jest wygaszony, być może ze względu na porę roku, a być może chodzi o oszczędność. Mogłaby poprosić o rozpalenie ognia, ale wymagałoby to zapewne obecności Oliviera - woli wspominać ich pocałunek na dworcu, nie zaś widzieć tego mężczyznę teraz, jego znużoną twarz.

Zdejmuje suknię podróżną i wysokie buty, zadowolona, że nie wzięła ze sobą pokojówki. Przynajmniej raz będzie robiła wszystko sama. Stojąc obok zimnego kominka, wyzwala się z osłony gorsetu, a potem rozwiązuje sam gorset i wiesza go chwilowo na oparciu krzesła. Strząsa z siebie koszulkę i halkę, po czym wyswobadza z nich stopy; wciąga przez głowę obszerną koszulę nocną, która ma jej zapach i daje ukojenie, coś domowego. Zaczyna ją zapinać pod szyją, potem jednak rezygnuje i ściąga z siebie; rozkłada na łóżku i siada przy toaletce, ubrana tylko w pantalon. Chłód panujący w pokoju przyprawia ją o dreszcz. Upłynął rok, może nawet więcej, od chwili, gdy siedziała tak, patrząc na swoje ciało, nagie od talii w górę. Odznacza się młodszą skórą, niż się jej wydaje; ma dwadzieścia siedem lat. Nie może sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem Yves całował jej sutki - przed czterema miesiącami, sześcioma? Podczas długiej wiosny zapomniała nawet kusić go o właściwej porze miesiąca. Była rozkojarzona, daleka myślami. Poza tym Yves zazwyczaj podróżuje albo jest zmęczony, a może znajduje gdzie indziej wszystko, czego mu trzeba.

Kładzie dłoń na wzgórku piersi, najpierw jednej, potem drugiej, dostrzega błysk pierścionków, w których odbija się światło. Wie teraz o Olivierze więcej niż o mężczyźnie, z którym dzieli życie. Dekady życia Oliviera otwierają się przed nią, podczas gdy Yves to sekret, który zjawia się w domu i wychodzi, przytakując i wyrażając podziw. Ścisła mocno

piersi obiema dłońmi. Jej szyja jest w lustrze smukła, twarz blada po podróży pociągiem, oczy zbyt ciemne, broda zbyt kwadratowa, pukle zbyt ciężkie. Wyciągając szpilki z włosów, myśli, że nie ma w niej nic, co by świadczyło o pięknie. Rozplątuje ciężki węzeł z tyłu; pozwala, by sploty spadły jej na ramiona i piersi, widzi samą siebie tak, jak mógłby ją widzieć Olivier, i jest olśniona: autoportret, akt, temat, którego sama nigdy nie namaluje.

# 71

## MARY

Robert i ja nie patrzyliśmy na siebie nazajutrz; prawdę mówiąc, nie wiem, czy patrzył na mnie, czy też nie, ponieważ nakazałam sobie ignorować wokół siebie wszystko z wyjątkiem pędzla w dłoni i tylko o tym byłam w stanie myśleć. Wciąż lubię pejzaże, nad którymi pracowałam na tym obozie. Są intensywne - to znaczy pełne napięcia. Nawet ja, widząc je teraz, wyczuwam, że mają w sobie tę odrobinę tajemnicy, której potrzebuje każdy obraz, by można go było uznać za udany, jak powiedział mi to kiedyś sam Robert. Tego ostatniego dnia ignorowałam go, ignorowałam Franka, ignorowałam ludzi wokół siebie przy trzech ostatnich posiłkach, ignorowałam mrok, gwiazdy i ognisko, a nawet własne ciało zwinięte w kłębek na białym łóżku w stajni-sypialni. Spałam głęboko, wyczerpana pierwszymi dniami na obozie. Nie wiedziałam nawet, czy w ten ostatni ranek zobaczę Roberta - i ignorowałam sprzeczne nadzieje, że go zobaczę i że go nie zobaczę. Reszta zależała od niego; i tego właśnie dowiódł, nie kiwnąwszy nawet palcem.

Dzień wyjazdu był gwarny i pracowity; wszyscy mieli opuścić ośrodek do pierwszej, ponieważ nazajutrz zaczynał się zjazd psychologów spod znaku Junga i personel musiał posprzątać salę jadalną i pokoje. Pakowałam metodycznie na łóżku worek marynarski. Przy śniadaniu Frank klepnął mnie w ramię, bardzo wesoły; najwidoczniej udało mu się kogoś zaliczyć. Uścisnęłam mu z powagą dłoń. Dwie miłe kobiety z mojej grupy malarskiej dały mi swoje adresy e-mailowe.

Nie widziałam nigdzie Roberta, co trochę mnie zakłuło, ale też sprawiło tę dziwną ulgę, jakbym o włos uniknęła poważnej kolizji. Zapewne wyjechał wcześniej, ponieważ czekała go długa droga do Karoliny Północnej. Drogą toczyła się karawana artystycznych samochodów, wiele z nich miało naklejki na zderzakach, między innymi dwa wielkie fordy wyładowane sprzętem, jakaś furgonetka wymalowana w zawijasy i gwiazdy van Gogha, z okien wyciągały się machające ręce, ludzie żegnali się po raz ostatni z kumplami ze swojej grupy. Zapakowałam pikapa i zamiast czekać w kolejce na wyjazd, poszłam się przejść w stronę lasu, bez określonego kierunku; miałam do wyboru mnóstwo ścieżek, które pozwalały

na czterdziestominutowe rozmyślenia z dala od terenu ośrodka. Podobało mi się zarówno poszycie, pełne okrytych porostami gałęzi jodłowych i kudłatych niskich zarośli, jak i światło z okolicznych pól, przenikające między drzewami.

Kiedy wróciłam, korek już się rozładował, zostały tylko trzy czy cztery samochody. Przy jednym z nich kręcił się Robert, pakując swoje rzeczy; nie wiedziałam, że ma małą niebieską hondę, choć wcześniej mogłam wpaść na pomysł, by poszukać rejestracji Karoliny Północnej. Jego metoda pakowania wozu polegała na tym, że wrzucał wszystko jak leci do bagażnika, nie chowając niczego do toreb czy pudeł; widziałam, jak upycha jakieś ubrania i książki, składane krzeselko. Sztalugi i owinięte płótna były już starannie ułożone, pozostały zaś bagaż stanowił dla nich osłonę. Zamierzałam po prostu ruszyć spacerkiem w stronę swojego wozu, nie odzywając się, Robert jednak się odwrócił, zobaczył mnie i zatrzymał.

- Mary... wyjeżdżasz?

Podeszłam do niego; nie mogłam się powstrzymać.

- Chyba wszyscy wyjeżdżają?

- Ja nie - oznajmił. Dostrzegłam ze zdziwieniem, że ma na twarzy szeroki uśmiech porozumienia, niczym nastolatek wymykający się z domu. Wydawał się pełen wigoru i radosny, włosy sterczały mu na wszystkie strony, ale były lśniące jak po prysznicu. - Spałem do późna, a kiedy się obudziłem, zdecydowałem, że pójdę malować.

- I malowałeś?

- Nie, chodzi mi o to, że teraz idę malować.

- A dokąd idziesz? - Nie wiem dlaczego, ale zaczęłam czuć się zazdrosna, poirytowana, wykluczona z jego tajemniczej radości. Ale dlaczego miałabym się tym przejmować?

- Na południe stąd, na samym wybrzeżu, ciągnie się kawał parku stanowego. Czterdzieści pięć minut samochodem. Niedaleko zatoki Penobscot. Zajrzałem w tę okolicę, jadąc tutaj.

- Musisz wracać do Karoliny. To daleko.

- Jasne. - Zwinął szary włochaty sweter i podłożył pod jedną z nóg od sztalug. - Ale mam na to całe trzy dni, a jeśli się sprężę, zrobię tę trasę w dwa.

Stałam, nie bardzo wiedząc, co robić.

- No cóż, powodzenia. I szerokiej drogi.

- Nie chcesz jechać ze mną?

- Do Karoliny Północnej? - spytałam głupio. Ujrzałam nagle oczami wyobraźni, jak jadę z nim do domu, żeby poznać jego życie, jego ciemnowłosą żonę - nie, to była ta dama na

jego obrazach - i dwoje dzieci. Słyszałam, jak mówił komuś ze swojej grupy, że ma dwójkę.

Roześmiał się.

- Nie, nie, chodzi mi o plener. Spieszysz się?

Niczego w świecie nie pragnęłam mniej niż „spieszyć się”. Jego uśmiech był tak ciepły, tak przyjacielski, tak zwyczajny. Nie mogło w nim być niczego niebezpiecznego.

- Nie - odparłam z namysłem. - Nie muszę wracać jeszcze przez dwa dni, a mogę dojechać w jeden, jeśli się sprężę.

Potem przyszło mi do głowy, że to brzmi tak, jakbym robiła mu propozycję, jakbym zaliczała tamtą noc do okazji, podczas gdy jemu nie o to pewnie chodziło, i poczułam, jak się czerwienię. On jednak zdawał się tego nie dostrzegać.

I tak spędziliśmy dzień, malując razem na plaży, gdzieś na południe od... no cóż, to bez znaczenia; jest to moja tajemnica, zresztą całe niemal wybrzeże Maine jest malownicze. Zatoczka, którą wybrał Robert, rzeczywiście była piękna - kamieniste pole z krzewami borówek, letnie kwiaty leśne, których kobierzec ciągnął się do niskich klifów i stosów drewna wyrzuconego na brzeg, plaża pokryta gładkimi kamykami wszelkich kształtów i rozmiarów, pasmo wody, przełamywane ciemnymi wysepkami. Był to jasny, gorący, wietrzny dzień atlantycki - tak go przynajmniej zapamiętałam. Postawiliśmy sztalugi między szarymi, zielonymi i blado-niebieskimi skałami i malowaliśmy wodę oraz krzywizny lądu - Robert zauważył, że przypomina to południowe wybrzeże Norwegii, które widział kiedyś, tuż po studiach. Odnotowałam to sobie w swoim małym archiwum na jego temat.

Nie rozmawialiśmy jednak tego dnia zbyt dużo; głównie staliśmy w odległości kilku kroków od siebie i pracowaliśmy w milczeniu. Szło mi dobrze, pomimo podzielonej uwagi, a może właśnie dzięki temu. Dałam sobie trzydzieści minut na pierwsze, małe płótno; pracowałam szybko, trzymając pędzel możliwie leciutko, rodzaj eksperymentu. Woda była głęboko niebieska, niebo prawie bezbarwnie jasne, a piana na grzbiecie fal miała kolor kości słoniowej - bogaty, naturalny odcień. Kiedy zdjęłam obraz ze sztalugi i oparłam o głaz, żeby wysechł, Robert zerknął na niego przelotnie. Stwierdziłam, że nie przejmuję się brakiem opinii z jego strony, jakby nie był już moim nauczycielem, tylko po prostu kimś znajomym.

Nad drugim płótnem pracowałam wolniej i zdołałam się uporać z fragmentem tła, nim przerwaliśmy z myślą o lunchu. Personel jadalni pozwolił mi łaskawie zabrać mnóstwo kanapek z jajkami i owoców. Robert nic ze sobą nie miał i nie bardzo wiem, co by jadł, gdybym nie załatwiła nam posiłku. Potem wyjęłam tubkę kremu z filtrem ochronnym i nałożyłam trochę na twarz i ramiona; co chwila nadlatywał chłodny powiew bryzy, mimo to



czułam już, że się trochę spaliłam. Podsunęłam krem Robertowi, ale roześmiał się i odmówił.

- Nie wszyscy mamy taką jasną skórę.

A potem znów dotknął moich włosów ręką i policzka opuszkami palców, jakby po prostu mnie podziwiał, ja zaś zareagowałam wyłącznie uśmiechem i wróciliśmy do pracy.

Kiedy światło zaczęło się pogłębiać i zawodzić, a cienie na powierzchni wysepek zmieniać, pomyślałam o zbliżającej się nocy. Musielibyśmy ją gdzieś spędzić - nie my, ja, i gdybym wyjechała przed szóstą czy siódmą, mogłabym dotrzeć do Portlandu i znaleźć tam jakiś motel. Musiał być tani, a jego znalezienie wymagało czasu. I nie zamierzałam myśleć o Robertcie Oliverze i jego planach czy też - jak przypuszczałam - ich braku. Miałam dość, po prostu dość, tego całego dnia pracy u jego boku.

Robert zwolnił tempo przy swoim płótnie; wyczułam zmęczenie w jego dłoni, nim znieruchomiał i spytał:

- Dajemy sobie spokój?

- Mogłabym już skończyć - przyznałam. - Jeszcze najwyżej piętnaście minut, żeby zapamiętała niektóre kolory i odcienie, ale straciłam już światło, o które mi chodziło.

Po chwili zaczął czyścić pędzle.

- Zjemy coś?

- Zjemy? Co? Owoce dzikiej róży?

Wskazałam urwisko za naszymi plecami. Jagody były wspaniałe, tak dużych nigdy nie widziałam, rubiny na tle zielonych krzewów. Patrząc stamtąd, widziało się zapewne tylko błękitne niebo. Staliśmy, chłonąc wzrokiem triadę kolorów: czerwonego, zielonego, niebieskiego, surrealistycznie jasnych.

- Albo wodorosty - zauważył Robert. - Nie martw się, coś znajdziemy.

## 72 1879

Popołudnie, Étretat: światło rozpościera się dostojnie po plaży, ale obraz nie wyszedł za dobrze. To jej druga próba uchwycenia tego widoku - odwróconych do góry dnem łodzi rybackich na kamienistym pasie lądu. Potrzebuje ludzkiej postaci na płótnie i w końcu decyduje się uwiecznić dwie damy i dżentelmena spacerujących przy urwiskach, damy z miasta, z parasolkami w jasnych kolorach, ich sylwetki stanowią doskonały akcent na tle ciemniejszego, jakby wspartego na kolumnach skalnego łuku w oddali. Tego dnia na plaży jest obecny jeszcze jeden malarz, krępy mężczyzna z brązową brodą, który ustawił sztalugi niemal przy samej wodzie; żałuje, że nie wybrała jego zamiast tamtych ludzi. Zerkają na siebie, ona i Olivier, kiedy ów człowiek ich mija, zmierzając ku swemu celowi, milczący towarzysz ich milczenia.

Niebo nie chce dzisiaj wyjść jej tak, jak trzeba, toteż dodaje do niego więcej bieli i delikatnej ochry. Olivier nachyla się ku niej i pyta, co się stało i dlaczego potrząsa głową. Ochra w rozległym, rzeczywistym świetle barwi mu delikatnie sztywne włosy, wąsy, bladą koszulę. Nie zamierzała tego robić, ale kiedy on nachyla się do niej jeszcze bliżej, kładzie mu dłoń na policzku. On ujmuje i przytrzymuje jej palce, ciepło pocałunku przenika ją na wskroś. Tuż pod oknami domów, tuż za plecami nieznajomego, który maluje urwiska, tuż obok dam pod parasolkami całują się przez nieskończenie długą chwilę, to ich trzeci pocałunek. Tym razem wyczuwa uporczywość jego ust, które otwierają jej usta, co Yves próbował czynić tylko w mroku sypialni. Jego język jest mocny, usta świeże; kiedy ramiona otaczają jej szyję, pojmuje, że młodość wciąż w nim jest i że jego usta to ścieżka, która tam prowadzi, tunel, którym napłynie fala.

Uwalnia ją równie niespodziewanie.

- Moja najdroższa.

Odkłada pędzel i oddala się o kilka kroków, kamyki ślizgają się głośno pod jego butami. Stoi, spoglądając w morze, ona zaś nie dostrzega melodramatu, tylko potrzebę większego dystansu, który pozwoli mu się opanować. Idzie za nim mimo wszystko i wsuwa

dłoń w jego dłoń. Ta dłoń jest starsza od jego ust.

- Nie - zwraca się do niego. - To moja wina.

- Kocham cię.

Wyjaśnienie. Wciąż wpatruje się w horyzont. Jego głos brzmi posepnie w jej uszach.

- Dlaczego sądzisz, że to takie beznadziejne?

Wpatruje się w jego profil, czekając na odpowiedź. Po chwili on się odwraca i ujmuje jej drugą dłoń.

- Zważaj na słowa, moja droga. - Jego twarz jest teraz opanowana, łagodna, sprawuje nad nią całkowitą władzę. - Nadzieja starego człowieka jest bardziej krucha, niż sobie wyobrażasz.

Tłumi w sobie chęć, by tupnąć w kamień - wydałaby się tylko dziecinna.

- Dlaczego sądzisz, że nie potrafię tego zrozumieć?

Ścisła mocno jej dłonie, wciąż na nią patrząc. Ten jeden raz podoba jej się jego pogarda wobec jakichkolwiek świadków.

- Może potrafisz - mówi on.

Zaczyna się uśmiechać tym swoim czułym, poważnym uśmiechem; zęby ma pożółkłe, ale równe. A kiedy się uśmiecha, ona wie, skąd się wzięły zmarszczki na jego twarzy; za każdym razem ujawniają tajemnicę. Teraz wie również, że go kocha, nie tylko za to, kim jest, lecz także za to, kim był na długo przed jej narodzinami, i dlatego, że kiedyś umrze z jej imieniem na ustach. Obejmuje go bez jakiegokolwiek zachęty, jego szczupłe ciało, jego żebra i talię pod warstwami ubrania, i trzyma mocno. Jej policzek spoczywa na ramieniu starej marynarki, jakby tam było jego miejsce. W odpowiedzi on otacza ją całkowicie ramionami; są pełne żywego ciepła. W tej chwili, jak będzie jej się później wydawało, zostaje przesądzona jego krótka przyszłość. Podobnie jak i ta dłuższa - jej.

## 73

### MARY

Restauracja, którą znaleźliśmy kilka kilometrów na południe, dokąd dojechaliśmy swymi pachnącymi świeżą farbą wozami, była imitacją włoskiej tawerny z butelkami w plecionce, obrusami i zasłonami w czerwonej kratę oraz kwiatem róży w wazoniku na naszym stole. Był poniedziałkowy wieczór i prócz nas w lokalu siedziała jeszcze jedna para i jakiś mężczyzna, który jadł w samotności. Robert poprosił o świecę.

- Jak określiłabyś ten kolor? - spytał, kiedy nieletni kelner ją zapalił.

- Płomienia? - spytałam. Przekonałam się już, że często nie potrafię zrozumieć Roberta, nie umiem podążać za jego osobistym i nieraz chaotycznym tokiem myśli.

- Nie. Tej róży w wazonie.

- Byłby różowy, gdyby wszystko inne nie było czerwone i białe - odparłam domyślnie.

- Zgadza się.

Potem powiedział mi, jakiej farby by użył w przypadku tego kwiatu, jakiego rodzaju, jakiego koloru, ile białego by dodał. Zamówiliśmy oboje lazanie, jadł z apetytem, a ja tylko dziobałam swoją porcję, głodna, ale zakłopotana.

- Powiedz mi coś o sobie - poprosił.

- Wiesz o mnie więcej niż ja o tobie - zastrzegłam. - Zresztą nie za bardzo jest o czym mówić. Chodzę do pracy, staram się jak najwięcej przekazać swoim kilkudziesięciu uczniom w każdym wieku, wracam do domu, maluję. Nie mam rodziny i chyba nie chcę jej mieć. To wszystko. Bardzo nudna historia.

Napił się czerwonego wina, które dla nas zamówił; ledwie tknęłam swoje.

- Wcale nie nudna. Malujesz z oddaniem. To najważniejsze.

- Twoja kolej - powiedziałam i zmusiłam się do przełknięcia kawałka lazanii.

Odpręzał się teraz; odłożył widelec i odchylił na krześle, podwinął opadający rękaw. Jego skóra osiągnęła etap, kiedy staje się na powierzchni trochę ażurowa, jak dobra derma po pewnym czasie. Oczy i włosy miały przy tym świetle taką samą barwę, i zarówno w jednych, jak i drugich było coś niepokojącego, odrobina dzikości.

- No cóż, też jestem bardzo nudny - oświadczył. - Z tą różnicą, że moje życie nie jest tak dobrze zorganizowane, jak przypuszczam. Mieszkam w niedużym mieście, z którego czasem uciekam, ale które w gruncie rzeczy lubię. Prowadzę bez końca kursy malarskie, głównie dla nieutalentowanych albo trochę utalentowanych studentów. Lubię ich, a oni lubią moje zajęcia. I wystawiam swoje obrazy, tu i tam. Podoba mi się, że nie jestem już artystą nowojorskim, choć tęsknię za Nowym Jorkiem.

Nie zamierzałam wtrącać, że jego „tu i tam” jest dla mnie równoznaczne z dość niezwykłą karierą.

- Kiedy tam mieszkałeś?

- Po studiach i później.

Oczywiście; był buntownikiem na jednym z nowojorskich wydziałów, które odrzuciły moje prace.

- W sumie spędziłem tam około ośmiu lat - ciągnął. - Sporo malowałem. Ale Kate, moja żona, nie była szczęśliwa w dużym mieście, więc się przeprowadziliśmy. Nie żałuję tego. Greenhill okazało się dobrym miejscem dla niej i dla dzieci.

Powiedział to prostodusznie. Zaczęłam żałować, że w tej chwili, w jakiejś innej odległej restauracji, ktoś nie wypowiada takich rzeczowych, pełnych oddania słów o mnie i dzieciach, których nie chciałam mieć.

- Jak znajdujesz czas na malowanie? - Wydawało mi się, że zmiana tematu to dobry pomysł.

- Nie sypiam dużo... czasami. To znaczy czasami nie muszę dużo spać.

- Jak Picasso - zauważyłam, uśmiechając się, by dać do zrozumienia, że nie mówiłam poważnie.

- Właśnie, jak Picasso - przytaknął, także się uśmiechając. - Mam w domu pracownię, a to znaczy, że mogę pójść na górę i malować w nocy, zamiast wracać na uczelnię i zmagać się z zamkniętymi drzwiami.

Wyobraziłam go sobie, jak grzebie w kieszeniach w poszukiwaniu klucza.

Dopił swoje wino i dolał sobie, ale umiarkowanie, jak zauważyłam; zamierzał pewnie prowadzić, i to bezpiecznie. Przy naszym włoskim azylu nie było motelu.

- Tak czy inaczej - dokończył - wyprowadziliśmy się z terenu uczelni jakiś czas temu i teraz mamy o wiele więcej miejsca. To też się liczy, chociaż muszę dojeżdżać samochodem dwadzieścia minut zamiast, tak jak dawniej, chodzić spacerkiem cztery minuty.

- Kiepsko.

Zjadłam resztę lazanii, żeby później nie żałować, że jestem głodna. Wciąż miałam do

skończenia Izaaka Newtona, który stał się znacznie ciekawszy, niż się początkowo spodziewałam. Rozum kontra wiara.

Robert zamówił deser i zaczęliśmy rozmawiać o ulubionych malarzach. Wyznałam swą miłość do Matisse'a i zaczęłam się głośno zastanawiać, jak nasz beztroski stół, zasłony i róża wyglądałyby pod jego pędzlem. Robert roześmiał się i nie powiedział, że jest bardziej tradycjonalistyczny, zainteresowany impresjonistami; pewnie wydawało się to oczywiste albo też postawa krytyki sprawiła, że przestał usprawiedliwiać swój styl. Cieszył się coraz większym uznaniem; odpłacał z nawiązką swoim wykładowcom i szyderczym kolegom ze studiów, wyznającym konceptualizm. Wyczytałam to wszystko między wierszami, kiedy mówił. Rozmawialiśmy także o książkach; kochał poezję i cytował Yeatsa i Audena, których czytałam w szkole, i Czesława Miłosza, którego wiersze przeczytałam raz, od deski do deski, dawno temu, ponieważ widziałam ten tom na biurku Roberta. Nie lubił powieści, a ja zagroziłam, że prześlę mu pocztą, jak bombę, jedno z tych długich, wiktoriańskich dzieł, *Kamień Księżykowy* albo *Miasteczko Middlemarch*. Wybuchnął śmiechem i obiecał, że tego nie przeczyta.

- Powinieneś lubić dziewiętnastowieczną powieść - zauważyłam. - Albo przynajmniej autorów francuskich, ponieważ kochasz impresjonizm.

- Nie powiedziałem, że Kocham impresjonizm - sprostował. - Powiedziałem, że robię, co robię. Z własnych powodów. Niekiedy przypomina to impresjonizm.

Wcale tak nie powiedział, ale nie zamierzałam go korygować.

Pamiętam też, że opowiedział mi o swej podróży samolotem, który miał się rozbić.

- Leciałem raz do Nowego Jorku z Greenhill; było to wtedy, kiedy wykładałem gościnnie na twojej uczelni, w Barnett. Byliśmy już bardzo blisko LaGuardii, kiedy coś się stało z jednym z silników i pilot ogłosił, że może dojść do awaryjnego lądowania. Kobieta siedząca obok mnie bardzo się wystraszyła. Była w średnim wieku, zwyczajna. Wcześniej rozmawiała ze mną o pracy swojego męża czy czymś takim. Kiedy samolotem zarzuciło i zaczął mrugać napis „zapiąć pasy”, chwyciła mnie za szyję. - Zwinął serwetkę w gruby rulon. - Ja też się bałam i pamiętam, jak pomyślałem, że chcę żyć; ogarnęła mnie panika. I, choć przykro mi to powiedzieć, odepchnąłem od siebie tę kobietę. Zawsze mi się wydawało, że w trudnej chwili zachowam odwagę, że będę kimś, kto w naturalnym odruchu wyciąga ludzi z płonących samochodów. - Podniósł głowę, wzruszył ramionami. - Dlaczego ci to opowiadam? W każdym razie, kiedy po kilku minutach wylądowaliśmy bezpiecznie, nie chciała na mnie spojrzeć. Odwracała się, zapłakana. Nie chciała nawet, żebym pomógł jej z bagażem. Nie chciała na mnie patrzeć.

Nic mi nie przychodziło do głowy, choć doznawałam przejmującego współczucia. Jego twarz była mroczna, poważna; przypomniało mi to chwilę w college'u, kiedy opowiedział mi o kobiecie, której oblicza nie mógł zapomnieć.

- Nigdy nie byłem w stanie opowiedzieć o tym swojej żonie. - Wygładził serwetkę obiema dłońmi. - Już i tak uważa, że nikt mnie na dobrą sprawę nie obchodzi. - Potem się uśmiechnął. - Spójrz, jakie śmieszne wyznania ze mnie wyciągasz.

Byłam zadowolona.

W końcu Robert rozłożył swoje wielkie ramiona i zaczął się upierać, że zapłaci za kolację, potem pozwolił, bym ja się upierała, żeby każde z nas zapłaciło za siebie, wreszcie wstaliśmy od stolika. Przeprosił i powiedział, że musi iść do toalety - byłam tam już dwa razy, głównie po to, by spędzić kilka sekund w samotności i patrzeć pytającym wzrokiem na swe odbicie w lustrze. Bez Roberta restauracja wydawała się jeszcze bardziej wyludniona. Potem wyszliśmy na parking, który pachniał oceanem i smażonym jedzeniem, i stanęliśmy obok mojego wozu.

- No cóż, trzeba jechać - powiedział, ale tym razem już nie tak rzeczowo, co byłoby bardziej bolesne. - Lubię prowadzić nocą.

- Tak, masz chyba przed sobą długą drogę. Też muszę ruszać.

Chciałam, żeby odjechał pierwszy i mnie wyprzedził. Wtedy w pierwszym napotkanym mieście poszukałabym pierwszego przyzwoitego motelu; było za późno, żeby dotrzeć do Portlandu, a może czułam się zbyt zmęczona albo smutna. Robert sprawiał wrażenie człowieka, który gotów jest sam wybrać się na Florydę.

- Było uroczo.

Objął mnie z wolna, a ja byłam zaskoczona tym kobiecym słowem, „uroczo”. Trzymał mnie przez chwilę w ramionach i pocałował w policzek; starałam się trwać w bezruchu. Musiałam go zapamiętać, bądź co bądź.

- Owszem.

Wyswobodziłam się z jego objęć i otworzyłam drzwi samochodu.

- Zaczekaj... to mój adres i numer telefonu. Daj znać, jeśli wybierzesz się na Południe.

„Już to widzę!” - pomyślałam. Nie miałam przy sobie wizytówek, ale znalazłam kawałek papieru w schowku na rękawiczki i też zapisałam swój e-mail i telefon.

Robert zerknął na karteczkę.

- Rzadko korzystam z e-maila - powiedział. - Głównie w sprawach zawodowych, jeśli muszę, ale nic więcej. Może dasz mi swój normalny adres, a ja ci od czasu do czasu przyślę

jakiś rysunek?

Dopisałam adres.

Pogłaskał mnie po włosach, jakby ostatni raz.

- Chyba rozumiesz.

- O tak.

Pocałowałam go szybko w policzek. Smakował pikantnie, nawet odrobinę oliwkowo, najprzedniejszą oliwą z pierwszego tłoczenia - ślad pozostał na moich wargach jeszcze przez wiele godzin. Wsiadłam do pikapu. Odjechałam.

\*

Jego pierwszy rysunek znalazł się w mojej skrzynce na listy dziesięć dni później. Był to szkic, żartobliwy i pospieszny, na złożonej kartce; przedstawiał podobną do satyra postać, która wyłaniała się z fal morskich, i młodą dziewczynę, siedzącą nieopodal na skałach. W dołączonej notce było napisane, że myślał o naszych rozmowach i że mu się podobały, że pracuje nad nowym płótnem, wariacją tamtego obrazu wybrzeża. Zaczęłam się od razu zastanawiać, czy umieści na nim postać kobiety i dziecka. Podał mi numer skrytki pocztowej i poprosił, żebym się posługiwała tym właśnie adresem; dodał, że powinnam przysłać własny, lepszy rysunek, aby mu utrzyć nosa.



## 74

### MARY

Pisaliśmy do siebie dłuższy czas i te listy są wciąż jednym z moich najwspanialszych doświadczeń. Zabawne; w dobie e-maili, poczty głosowej i tych wszystkich cudów, z którymi nawet nie dorastałam, zwykły stary list na papierze nabiera zadziwiającej intymności. Wracałam do domu pod koniec dnia i znajdowałam w skrzynce - choć nie codziennie, nieraz przerwy były dość długie - kopertę z nakreślonym zamaszystą ręką Roberta adresem, a w niej czasem tylko rysunek, czasem także list. Zrobiłam kolaż z jego rysunków na tablicy nad biurkiem. Mój gabinet w domu jest także moją sypialnią czy też vice versa; widziałam wszystkie jego szkice, powiększającą się wystawę, kiedy leżałam wieczorem z książką w łóżku albo kiedy budziłam się rano.

Dziwne, gdy już przypięłam tam dwa czy trzy rysunki, opuściło mnie to poczucie samotności i bezustannego szukania kogoś, tej właściwej osoby. Zaczęłam należeć do Roberta - ja, która nie chciałam należeć do nikogo i niczego. Myślę, że w ostatecznym rozrachunku należymy do tego, co kochamy. Nie znaczy to, bym uważała, że Robert jest osiągalny albo że jestem w jakiś sposób zobowiązana dochować mu wierności; z początku było to po prostu przekonanie, że nie chcę, by jakkolwiek inna para oczu patrzyła z mojego łóżka na te rysunki. Kreślił drzewa, ludzi, domy, mnie, z pamięci; rysował samego siebie w „strachu” wywołanym najnowszym obrazem, który malował. Wciąż nie mam pojęcia, co znaczyło dla niego wysyłanie tych wszystkich wizerunków, czy i tak by je tworzył, a potem wciskał do szuflady albo rzucał na podłogę pracowni, czy też większość nakreślił pod wpływem świeżej inspiracji, ponieważ były przeznaczone dla mnie.

Raz przysłał mi fragment wiersza Czesława Miłosza, z dopiskiem, że to jeden z jego ulubionych. Nie wiedziałam, czy mam to traktować jako deklarację ze strony samego Roberta, ale nosiłam ten urywek przez kilka dni w kieszeni, zanim umieściłam go na tablicy:

Miłości moja, gdzieś są, dokąd idą  
Błysk ręki, linia biegu, szelest grud -

Nie z żalu pytam, ale z zamyślenia\*.

Jego listów jednak nie przypinałam do tablicy. Przychodziły czasem z rysunkami, czasem osobno, i często były bardzo krótkie, myśl, refleksja, jakiś obraz. Myślę, że Robert był - jest - w sercu także pisarzem; gdyby ktoś zebrał w porządku chronologicznym wszystkie te przeznaczone dla mnie skrawki i części, to utworzyłyby coś w rodzaju krótkiej i impresjonistycznej, ale bardzo dobrej powieści o jego życiu codziennym i naturze, którą bezustannie próbował malować. Odpisywałam mu za każdym razem. Aby zachować równowagę rzeczy, ustaliłam dla siebie regułę, że moje odpowiedzi będą odzwierciedleniem tego wszystkiego, co robił on; jeśli więc przysłał mi tylko rysunek, ja w rewanżu też przysyłałam mu rysunek, a jeśli przysyłał liścik, ja przysyłałam w odpowiedzi też tylko liścik. Jeśli przysyłał jedno i drugie, to, jak stanowiła moja reguła, mogłam napisać coś dłuższego i zilustrować to na tej samej kartce.

Nie wiem, czy zorientował się kiedykolwiek w tej prawidłowości; to jedna z tych rzeczy, o które go nie spytałam. Dzięki temu nie pisałam do niego zbyt często; dopiero kiedy nasza korespondencja się rozwinęła, wymienialiśmy się listami i rysunkami kilka razy w tygodniu. Po naszej ostatniej kłótni ustaliłam zupełnie nową regułę: że spalę wszystkie jego listy, a zachowam rysunki, choć usunęłam je z tablicy z wyjątkiem pierwszego. Ten pierwszy, z satyrem i panną, przykleiłam do kartonu kilka tygodni po jego odejściu i zabarwiłam akwarelami, a potem namalowałam serię trzech małych obrazków na ten temat. Mogłabym równie dobrze mieszać kolory z prawdziwymi łzami, tak bolesna była to praca.

Często wyobrażałam sobie skrzynkę pocztową, do której co kilka dni wkładał rękę. Zastanawiałam się, jak duża jest ta skrzynka i czy mieści się w niej cała jego dłoń, czy tylko palce; wyobrażałam sobie, że maca na ślepo w jej wnętrzu, niczym powiększona Alicja w Krainie Czarów, grzebiąca w kominie, by schwycić tę małą postać, czymkolwiek była, jaszczurką albo myszą. Znał oczywiście mój adres, co oznaczało, że wie, gdzie mieszkam. I widziałam raz Greenhill College; mniej więcej w połowie naszej korespondencji Robert zaskoczył mnie, przysyłając zaproszenie na otwarcie swojej wystawy, drugiej od czasu, gdy zaczął tam pracować. Napisał, że robi to w wyrazie wdzięczności za wsparcie, jakiego udzieliłam jego twórczości, i dał do zrozumienia, że nie może mi zapewnić noclegu; rozumiałam, że chce mnie zaprosić, ale sam nie jest pewien, czy pragnie, bym przyjechała.

Nie chciałam zawieść ani jego, ani siebie, więc pojechałam samochodem z

---

\* Fragment wiersza *Spotkanie* z tomu *Ocalenie*.

Waszyngtonu - jak wiesz, to podróż jednodniowa - i zatrzymałam się w Motelu 6 pod miastem. W nowej galerii uczelnianej odbywało się przyjęcie, podawano wino i ser. Nie miałam odwagi dzwonić do Roberta, więc wysłałam mu wiadomość o swoim przyjeździe na skrytkę pocztową, kilka dni przed wernisażem, ale odebrał ją już po fakcie.

Drżały mi dłonie, kiedy wchodziłam do sali. Nie widziałam Roberta od obozu w Maine - i odkąd zaczęliśmy do siebie pisywać - i zaczęłam już żałować, że w ogóle przyjechałam; mógł się poczuć obrażony, mógł sobie pomyśleć, że zjawiłam się, by w jakiś sposób zakłócić mu życie, co absolutnie nie było moim zamiarem. Przyjechałam, żeby go zobaczyć, choćby z daleka, i obejrzeć jego nowe obrazy, o których koncepcji i tworzeniu sam pisał mi przez wiele tygodni. Ubrałam się bardzo prosto, w czarny golf i zwyczajowe dżinsy, i dotarłam do galerii dobre pół godziny po otwarciu wystawy. Od razu dostrzegłam Roberta, górował nad tłumem w kącie sali; wydawało się, że kilkoro gości z kieliszkami wina w dłoniach pyta go o płótna. Panował tłok, byli tam nie tylko studenci i wykładowcy, lecz także mnóstwo eleganckich ludzi, którzy nie wyglądali na pracowników niewielkiej prowincjonalnej uczelni.

Obrazy, ilekroć człowiek miał okazję rzucić na nie okiem, sprawiały fascynujące wrażenie; przede wszystkim były większe od jakiegokolwiek jego płótna, które widziałam wcześniej, niemal naturalnej wielkości sceny i portrety, często przedstawiające pełną postać damy zapamiętanej przeze mnie z obrazów w Barnett College, z tą różnicą, że teraz była nie tylko większa, ale też uchwycona w okropnej scenie - przepełniona rozpaczą, trzymała w ramionach coś, co przypominało martwe ciało innej, starszej kobiety. Zastanawiałam się, czy to może być jej matka. Starsza kobieta miała straszną dziurę pośrodku czoła. Na ziemi leżały inne ciała, jak sobie przypominam, niektóre twarzami do bruku albo z krwią na plecach, ale były to bez wyjątku zwłoki mężczyzn. Tło jawiło się mniej wyraźnie niż postaci: jakaś ulica, mur, stosy gruzu albo odpadków. Postaci wywodziły się wprost z połowy XIX wieku - od razu przyszedł mi do głowy obraz Maneta, przedstawiający egzekucję cesarza Maksymiliana, ten w stylu Goi, choć bohaterowie Roberta jawili się bardziej szczegółowo i realistycznie.

Trudno było powiedzieć, o co tu chodzi; wiem tylko, że siła jego fantazji porywała człowieka bez reszty, kiedy tylko spojrział na te sceny: kobieta wydawała się piękna jak zawsze, nawet z twarzą białą jak papier i pobrudzonym przodem sukni, ale Robert uchwycił coś przerażającego, tym bardziej że bohaterka obrazu wciąż zachowywała swój uroczy charakter, jakby autor czuł się zmuszony widzieć ją z krwią na odzieniu, a jej twarz w całej nagiej surowości. Zakładałam wcześniej, opierając się na jego listach, że obrazy są gwałtowne i dziwne, ale kiedy widziało się je na własne oczy, wszystko wyglądało inaczej, szokująco;

przez chwilę czułam strach, jakbym korespondowała z mordercą. Było to wstrząsające; wprawilo mnie w dezorientację, i to w trakcie mojej kielkującej miłości do Roberta. Potem dostrzegłam niewiarygodny rzeźbiarski charakter tych postaci, wrażenie współczucia, żalu głębszego niż obraz zakrzepłej krwi, i wiedziałam już, że patrzę na obrazy, które zachowają swe znaczenie długo po naszym odejściu.

Niewiele brakowało, bym wymknęła się z galerii, nie witając się z Robertem, po części z powodu szoku, po części, by zachować wrażenie intymności między nami - a po części, przyznaję, z powodu nieśmiałości. Ale przejechałam taki kawał drogi, że w końcu, kiedy niektórzy z jego wielbicieli odwrócili się w inną stronę, zmusiłam się, by do niego podejść. Zobaczył, jak przeciskam się przez tłum, i na moment znieruchomiał. Potem jednak na jego twarzy pojawił się przelotnie cień zaskoczenia i radości - jak bardzo ceniłam sobie później wspomnienie tego spojrzenia! - on sam zaś opanował się i wyszedł mi naprzeciw, by uściskać serdecznie moją dłoń, by wszystko wyglądało właściwie, by nie zaszło nic niespodziewanego; zdołał też mruknąć, że jest bardzo wzruszony z powodu mojego przyjazdu. Już niemal zapomniałam, jak jest postawny, jak dziwnie przystojny, jak uderzający. Od razu zaczął mnie przedstawiać najrozmaitszym ludziom, którzy go otaczali; niczego nie wyjaśniał, podawał tylko moje nazwisko, a w kilku przypadkach dodał, że też jestem malarką.

Pośród tych gości, pośród tych odruchowych prezentacji była jego żona. Uścisnęła mi ciepło dłoń i próbowała spytać mnie o coś miłego, co dotyczyło mojej osoby, żebym poczuła się tam lepiej. Na szczęście sekundę później ktoś inny zajął jej uwagę. To, że tak nagle ujawniła mi się jej tożsamość, zrobiło na mnie wrażenie; poczułam coś, co nazwałabym zazdrością, gdybym nie zdawała sobie sprawy, jak absurdalne to się wydaje. Od razu ją polubiłam, wbrew sobie i już niezmiennie, na odległość. Była o wiele niższa od Roberta (wcześniej wyobrażałam sobie, że jest czymś w rodzaju łowczyni, Amazonki, olśniewającej Diany) - w rzeczywistości sięgała mi do ramienia. Miała złotawobrazowe włosy i była lekko piegowata, przypominała złoty kwiat w zielonej łodyżce sukni. Gdyby była moją przyjaciółką, poprosiłabym ją, by pozwoliła się namalować, dla prostej przyjemności wybierania odpowiednich kolorów.

Czułam ciepło jej dłoni w swojej do końca wieczoru, a nawet potem - kiedy wymknęłam się taktownie, nie zamieniwszy już z Robertem słowa, żeby nie musiał zawracać sobie głowy tym, gdzie się zatrzymałam i na jak długo, i kiedy już miałam za sobą kilka godzin jazdy powrotnej i wreszcie kiedy leżałam zwinięta w kłębek, milcząca, na łóżku w motelu, gdzieś w południowej Wirginii, wypełniona po brzegi widokiem tego mężczyzny.

Widokiem ich obojga - Roberta i jego żony.

Étretat, maj 1879

Do: M. Yves Vignot,  
rue de Boulogne, Passy, Paryż

*Mon cher mari,*

*Mam nadzieję, że list ten zastanie Ciebie i Papę w jak najlepszym zdrowiu. Masz dużo pracy? Wracasz do Nicei czy też uda ci się pozostać w domu przez kilka tygodni, jak na to liczyłeś? Czy wciąż pada?*

*Radzę tu sobie doskonale i pierwszy dzień spędziłam na promenadzie, malując, gdyż pogoda jest bardzo ładna jak na maj, choć bywa chłodno, teraz zaś odpoczywam przed kolacją. Towarzyszył mi Twój stryj. Pracuje nad dużym płótnem przedstawiającym morze i urwiska. Wyznaję, iż udała mi się dotąd tylko jedna rzecz, w dodatku dość szkicowa - dwie miejscowe kobiety w cudownie obszernych podwiniętych spódnicach, z dzieckiem brodzącym w wodzie, ale bez wątpienia spróbuję czegoś poważniejszego, by nie wyjść z wprawy. Krajobraz jest tak uroczy, jak go zapamiętałam z naszej poprzedniej bytności w tym miejscu, choć znacznie odmieniony z powodu pory roku - wzgórze dopiero zaczynają się zielenić, a horyzont ma szaroniebieski odcień, bez tych pierzastych chmur w środku lata. Nasz pensjonat jest całkiem wygodny, więc nie powinieneś się martwić - nieskazitelnie czysty i przyzwoicie umeblowany, podoba mi się poza tym jego prostota. Zjadłam obfite śniadanie dzisiejszego ranka - byłbyś zadowolony. Podróż w ogóle mnie nie zmęczyła, choć poczułam się przyjemnie senna, gdy tylko znalazłam się w swoim pokoju. Stryj przywiózł ze sobą trochę notatek do kilku artykułów, nad którymi pracuje, kiedy nie malujemy, więc będę mogła w takich chwilach wypoczywać, tak jak mnie o to prosiłeś. Zaczęłam też dla rozrywki czytać Thackeraya. Nie ma potrzeby, byś kogokolwiek mi przysyłał. Radzę sobie doskonale i cieszę się, że Esmé tak troszczy się o Papę, choć ma na głowie też inne sprawy. Proszę, dbaj o siebie - nie wychodź bez płaszcza, chyba że pogoda zrobi się bardziej wiosenna. Wiedz, że jestem Ci oddana*

*Béatrice*

## 75

### MARY

Pewnego ranka uświadomiłam sobie, że już od pięciu dni nie dostałam od Roberta listu ani rysunku, co było dla nas dość długą przerwą. Ostatni rysunek miał postać autoportretu humorystycznie wyjaskrawiającego jego mocne rysy, włosy sterczały mu dziko, jakby żywe, niczym u Meduzy. Pod spodem napisał: „Och, Robercie Oliver, kiedy wreszcie zrobisz coś ze swoim życiem?” Był to zapewne jedyny znany mi przypadek, gdy skrytykował samego siebie tak bezpośrednio, i trochę mnie to wystraszyło. Ale uznałam, że nawiązuje do którejś ze swych „melancholii” - czasem opisywał mi je mimochodem - albo że uświadamia sobie podwójne życie, jakie prowadzi za sprawą naszych listów. Szczerze mówiąc, wzięłam to za komplement, rzecz typowa w miłości, czyż nie? Potem jednak nie przysyłał niczego przez trzy dni, cztery, pięć, więc złamałam swoją zasadę i napisałam do niego drugi raz z rzędu, zatroskana, stęskniona, siłąc się na swobodny ton.

Nigdy nie dostał tego listu, o czym jestem przekonana; jeśli poczta nie zamknęła jego skrytki i nie zniszczyła mojej korespondencji, to zapewne wciąż się tam znajduje, czekając na dłoń, która nigdy nie sięgnęła do wnętrza. A może Kate uporządkowała w końcu jej zawartość i wyrzuciła mój list. Jeśli tak było, to wolę myśleć, że go nie przeczytała. Nazajutrz po jego wysłaniu, o szóstej rano, zabrzączał mój domofon. Wciąż byłam w szlafroku, włosy miałam mokre, ale rozczesane, i przygotowywałam się do zajęć z rysunku. Nikt nigdy nie dzwonił do mojego mieszkania o tej godzinie, więc od razu przyszło mi do głowy wezwać policję; taki jest charakter okolicy, w której mieszkam. Ale żeby na wszelki wypadek sprawdzić, co się dzieje, odebrałam domofon.

- Robert - usłyszałam głos, mocny, głęboki, dziwny. Brzmiało w nim zmęczenie, nawet nuta wahania, ale wiedziałam, że to on. Poznałabym go w przestrzeni kosmicznej.

- Chwileczkę - rzuciłam do słuchawki. - Zaczekaj. Zaczekaj chwilę.

Mogłam go wpuścić, otwierając drzwi domofonem, ale chciałam za wszelką cenę zejść na dół; wprost trudno było mi uwierzyć, że się zjawił. Narzuciłam na siebie pierwszą rzecz, która wpadła mi w ręce, chwyciłam klucze i pobiegłam na bosaka do windy. Kiedy

zjechałam na parter, zobaczyłam go przez oszklone drzwi wejściowe. Miał dużą torbę na ramieniu; sprawiał wrażenie zmordowanego, bardziej wymiętego niż zwykle, ale też zaniepokojonego, kiedy szukał mnie w holu wzrokiem.

Pomyślałam, że śnię, ale otworzyłam czym prędzej drzwi i pobiegłam do niego, a on rzucił swoją torbę na ziemię, uniósł mnie w ramionach i o mało nie zmiażdżył; poczułam, jak wtula twarz w moje ramię i włosy, jak chłonie ich zapach. W tej pierwszej chwili nawet się nie całowaliśmy; szlochałam z ulgi, ponieważ dotyk jego policzka był taki, jak tego oczekiwałam, a może dlatego, że i on trochę szlochał. Odsunęliśmy się od siebie, zlepieni włosami, na jego czole błyszczał pot. Od kilku dni nic nie robił z zarostem; wyglądał na nieogolonego, drwał, który znalazł się na chodniku waszyngtońskiej dzielnicy i który ma na sobie kilka starych koszul.

- Co? - spytałam, bo tylko to przychodziło mi do głowy.

- No cóż, wyrzuciła mnie - wyznał, znów biorąc do ręki torbę, jakby stanowiła dowód jego wygnania. I chyba na widok mojej zszokowanej twarzy dodał: - Nie przez ciebie. Przez coś innego.

Musiałam wyglądać na bardziej przerażoną niż zwykle, bo otoczył mnie uspokajająco ramieniem.

- Nie martw się. Wszystko w porządku. Chodziło o moje obrazy, potem ci wyjaśnię.

- Jechałeś całą noc - zauważyłam.

- Tak. À propos, mogę zostawić tu samochód? - Wskazał ulicę, jej znaki, śmietniki i parkometry, których nie był w stanie rozgryźć.

- Pewnie - odparłam. - Możesz, odholują go po dziewiątej.

Wtedy oboje wybuchnęliśmy śmiechem, a on znowu pogłaskał mnie po włosach, gest, który zapamiętałam z obozu, i zaczął całować, całować, całować.

- Jest już dziewiąta?

- Nie - powiedziałam. - Mamy ponad dwie godziny.

Weszliśmy na górę z jego ciężką torbą; zamknęłam za nami drzwi i zadzwoniłam na uczelnię, że jestem chora.



## 76

### MARY

Robert nie wprowadził się do mnie; po prostu został ze swoją wielką, ciężką torbą i innymi rzeczami, które przywiózł samochodem - ze sztalugami, farbami, płótnami i zapasową parą butów, wreszcie z butelką wina, która miała być dla mnie prezentem na powitanie. Nawet mi się nie śniło pytać go o plany albo powiedzieć mu, żeby znalazł sobie własny kąt do życia; podobnie nie przyszłoby mi do głowy, żeby samej się wyprowadzić z tego mieszkania. Przyznaję, było to dla mnie czymś w rodzaju nieba, budzić się i widzieć jego złote ramię na drugiej poduszce, jego ciemne włosy, spoczywające kędziorami na moim barku. Szłam na zajęcia, a potem wracałam do domu; nie malowałam na uczelni, jak to zazwyczaj robiłam. Wskakiwaliśmy do łóżka, gdzie spędzaliśmy połowę popołudnia.

W soboty i niedziele wstawaliśmy około dwunastej i szliśmy do parków malować albo jechaliśmy do Wirginii, albo odwiedzaliśmy National Gallery, jeśli akurat padało. Pamiętam dokładnie, że przynajmniej raz przeszliśmy przez salę, gdzie wisi *Leda* i te portrety, i ten zdumiewający Manet z kieliszkami wina; przysięgam, że zwracał większą uwagę na Maneta niż na *Ledę*, która zdawała się go nie interesować - w każdym razie tak się zachowywał, kiedy tam z nim byłam. Czytaliśmy informacje na tabliczkach, a on komentował technikę Maneta; potem odchodził, potrząsając głową w sposób wyrażający podziw, którego nie można oddać słowami. Po upływie pierwszego tygodnia oznajmił mi surowo, że maluję za mało i że to on jest temu winien. Wracałam do domu z pracy i zastawałam przygotowane dla mnie sztalugi z płótnem, w tonie szarości i beżu. Już dawno nie pracowałam tak intensywnie; robiłam to pod jego kierunkiem i starałam się sprawdzić w bardziej wymagających tematach.

Malowałam na przykład samego Roberta, siedzącego w swoich oliwkowych spodniach na taborecie kuchennym, nagiego do pasa. Nauczył mnie, jak rysować dłonie, gdy dostrzegł, że uporczywie ich unikam. Nauczył mnie nie pogardzać kwiatami i bukietami w martwych naturach, przypominając, jak wielu wspaniałych malarzy uważało je za prawdziwe wyzwanie. Raz przyniósł do domu nieżywego królika - wciąż nie mam pojęcia, gdzie go zdobył - i wielkiego pstrąga; obłożyliśmy jedno i drugie owocami i kwiatami i malowaliśmy

dwie barokowe martwe natury, każdą po swojemu, a potem zaśmiewaliśmy się z nich do rozpuku. Już po wszystkim ściągnął z królika skórę i wrzucił go do garnka, przyrządził także pstrąga, smakowały wybornie. Powiedział, że nauczył się gotować od swojej francuskiej matki; o ile się orientuję, prawie nigdy tego nie robił. Często otwieraliśmy puszki z zupą i butelkę wina, na tym poprzestając.

I czytaliśmy razem niemal każdego wieczoru, czasem godzinami. On czytał mi na głos swojego ulubionego Miłosza i wiersze po francusku, tłumacząc je na gorąco. Ja czytałam mu kolekcję klasyków należącą do Muzzy - Lewisa Carrolla, Conan Doyle'a i Roberta Louisa Stevensona - powieści, których nie poznał w okresie dorostania. Czytaliśmy sobie nawzajem w ubraniach albo nago, otuleni moją bładoniebieską pościelą albo rozłożeni w naszych starych swetrach na podłodze obok sofy. Posługiwał się moją kartą biblioteczną, żeby przynosić do domu książki o Manecie, Morisot, Monecie, Sisleyu, Pissarze - szczególnie uwielbiał Sisleya, mówił, że jest lepszy od wszystkich pozostałych razem wziętych. Od czasu do czasu kopiował jakieś fragmenty ich dzieł na małych płótnach, przeznaczonych specjalnie do tego celu.

Chwilami Robert popadał w milczący czy nawet smutny nastrój, a kiedy głaskałam go po ramieniu, mówił, że tęskni za dziećmi, nawet wyciągał ich zdjęcia, ale nigdy nie wspominał o Kate. Bałam się, że nie będzie mógł albo nie zechce zostać na zawsze; miałam też nadzieję, że znajdzie jakiś sposób, by uwolnić się od małżeństwa i zagrześć w moim życiu bardziej na stałe. Nie wiedziałam, że ma nową skrytkę pocztową w Waszyngtonie, dopóki nie napomknął pewnego dnia, że wyciągnął z niej korespondencję i przeczytał prośbę Kate o rozwód. Podał jej adres skrytki, jak twierdził, na wypadek gdyby go potrzebowała w jakiejś ważnej sprawie. Powiedział, że postanowił jechać na krótko do domu, żeby zająć się papierkami potrzebnymi do rozwodu i zobaczyć dzieci. Powiedział też, że zatrzyma się w motelu albo u przyjaciół - przypuszczam, że w ten sposób dawał mi do zrozumienia, że nie zamierza wracać do Kate. Jego nieprzejednana w tym wypadku postawa trochę mnie przerażała; jeśli żywił takie uczucia wobec żony, to pewnego dnia mógł się tak samo zachować w stosunku do mnie. Wolałabym widzieć w nim żal, jakieś wahanie - choć nie wątpliwości, które mogłyby sprawić, że by ode mnie odszedł.

On jednak wydawał się dziwnie przekonany co do Kate i twierdził, że jego żona nie rozumie tego, co w nim najważniejsze, choć nigdy nie wyjaśnił, o co chodzi. Nie chciałam pytać, bo wyglądałoby to tak, jakbym i ja nie rozumiała. Kiedy wrócił po pięciu dniach spędzonych w Greenhill, przywiózł mi biografię Thomasa Eakinsa (zawsze mówił, że moje obrazy przypominają mu twórczość Eakinsa, że są w jakiś sposób wspaniale amerykańskie w

smaku) i opowiadał z zacięciem o małych przygodach w trakcie podróży, o tym, że dzieci są zdrowe i piękne i że zrobił im mnóstwo zdjęć, ale o Kate nie wspominał nawet słowem. Potem zaciągnął mnie do pokoju, który już wtedy uważałam za naszą sypialnię, pchnął na łóżko i kochał się ze mną z intensywnym skupieniem, jakby cały czas za mną tęsknił.

Nic, co działo się w tym małym rajku, nie przygotowało mnie na stopniową zmianę jego nastroju. Przyszła jesień, a wraz z nią jego coraz głębsze przygnębienie; jesień zawsze była moją ulubioną porą roku, chwilą nowego początku; nowe buty, nowi studenci, olśniewające barwy. Ale w przypadku Roberta wydawała się czymś w rodzaju wędnięcia, wszechogarniającą posępnością, śmiercią lata i naszego pierwszego szczęścia. Liście miłorzębów w mojej okolicy przemieniły się w żółtą krepinę; w naszych ulubionych parkach leżały wszędzie kasztany. Wyjęłam nowe płótna i w środku tygodnia, w dniu, w którym miałam wolne, namówiłam go na wyjazd do Manassas, na tamtejsze pole bitewne. Ale ten jeden raz Robert nie chciał malować; siedział pod drzewem na historycznym wzgórzu i rozmyślał, jakby wsłuchany w upiorne odgłosy rzezi, do której tam doszło. Sama malowałam pole, mając nadzieję, że mu przejdzie, jeśli zostawię go na chwilę samego, ale tego wieczoru był na mnie zły niemal o wszystko, groził, że stłucze talerz, i wyszedł na długi samotny spacer. Płakałam trochę, wbrew sobie - po prostu jego widok w takim stanie był bolesny, podobnie jak poczucie odrzucenia po tym wspaniałym wspólnym okresie.

Jednocześnie wydawało mi się czymś naturalnym, że cierpi na stres z powodu separacji z Kate - mieli do przetrwania kolejne trzy miesiące przed rozwodem - i świadomości definitywnego zerwania z dawnym życiem. Wiedziałam, że żyje pod presją konieczności poszukania nowej pracy w Waszyngtonie, choć nic nie wskazywało, że zamierza to robić; przypuszczałam, że ma jakieś niezależne źródło dochodu czy oszczędności, być może dzięki sprzedaży swych niezwykłych obrazów, ale z pewnością nie na długo mogło tego starczyć. Nie chciałam go o to pytać i pilnowałam, żeby każde z nas trzymało swoje pieniądze osobno, choć płaciłam czynsz jak zawsze, kupowałam też dla nas jedzenie. Często przynosił do domu trochę zakupów, wino albo jakiś użyteczny drobny podarek, więc nie odczuwałam tej sytuacji szczególnie ciężko; mimo to zaczęłam się zastanawiać, czy nie zaproponować mu dzielenia się czynszem i opłatami, ponieważ pod koniec miesiąca zawsze mi brakowało. Mogłam zwrócić się po pomoc do Muzzy, ale ona nie patrzyła przychylnym okiem na moje życie z artystą, który miał się niebawem rozwieść, i to mnie powstrzymywało („Wiem, co to miłość - oznajmiła łagodnie, kiedy ją odwiedziłam w okresie swojego związku z Robertem. To było jeszcze przed jej przerażającym spektaklem raka, tracheotomią, aparatem głosowym. - Naprawdę, moja droga, bardziej, niż ci się wydaje. Ale wiesz, jaka jesteś utalentowana.

Zawsze chciałam widzieć u twojego boku kogoś, kto choć trochę troszczyłby się o ciebie”). Po rozwodzie Robert musiałby z pewnością płacić alimenty, a ja nie śmiałam pytać go o szczegóły, kiedy siedział ponury na sofie.

W słoneczne weekendy nastrój mu się czasem poprawiał; czułam, jak nadzieja powraca, i łatwo zapominałam poprzednie dni, przekonując samą siebie, że to typowe bóle wzrostowe naszego związku. Właściwie myślałam nie o małżeństwie, tylko o jakimś długoterminowym życiu z Robertem, życiu, w którym oboje mielibyśmy zobowiązania, wynajmowali mieszkanie z pracownią, łączyli siły, zasoby i plany, pojechali do Grecji i Włoch w niby-podróż poślubną, by tam malować i oglądać wspaniałe rzeźby, płótna i krajobrazy, które tak pragnęłam zobaczyć. Był to mglisty sen, ale kiedy zamykałam oczy, nabierał wyrazistości jak baśniowy smok pod łóżkiem i zanim w pełni zdałam sobie sprawę, co się dzieje, coraz bardziej osłabiał ten mój romans „sama sobie”. W te nieliczne szczęśliwe weekendy organizowaliśmy krótkie wyprawy, głównie dzięki mojemu uporowi, zabierając ze sobą dla oszczędności jedzenie - najwspanialsze chwile przyszło nam spędzić w Harpers Ferry, gdzie zatrzymaliśmy się w tanim zajeździe i spacerowaliśmy po miasteczku.

Pewnego wieczoru, było to na początku grudnia, wróciłam do domu i nie zastałam Roberta; nie dawał znaku życia przez kilka dni. Wrócił dziwnie ożywiony i powiedział, że pojechał odwiedzić starego przyjaciela w Baltimore, co wydawało się prawdą. Innym razem wybrał się do Nowego Jorku. Po tej wizycie z kolei sprawiał wrażenie nie tyle ożywionego, ile wręcz radosnego, i tego wieczoru był zbyt zajęty, żeby się ze mną kochać, co nigdy wcześniej się nie zdarzało; stał za to przy swoich sztalugach w salonie, robiąc szkice węglem. Pozmywałam po kolacji, tłumiąc poirytowanie - czy on uważa, że naczynia same się zmywają, dzień po dniu? - i starając się nie patrzeć ponad blatem oddzielającym moją maleńką kuchnię od mojego maleńkiego salonu, jak rysuje twarz, której nie widziałam od czasu swojej impulsywnej podróży do Greenhill na wernisaż jego wystawy: była bardzo piękna z tymi kręconymi ciemnymi włosami, tak przypominającymi jego włosy, z doskonałą, kształtną szczęką i z pełnym zamyślenia uśmiechem.

Od razu ją poznałam. Prawdę mówiąc, kiedy ją zobaczyłam, zaczęłam się zastanawiać, jak mogłam nie dostrzec jej nieobecności przez te wszystkie szczęśliwe miesiące; nigdy nie pytałam Roberta, dlaczego - w czasie gdy był ze mną - wykluczył ją całkowicie z obrazów i rysunków. Nie umieścił na żadnym płótnie nawet tych odległych postaci matki i dziecka, które widziałam na jego wcześniejszych pejzażach, jak ten, namalowany na wybrzeżu Maine podczas naszych warsztatów. Jej powrót tego wieczoru dziwnie na mnie podziałał, doznałam lęku przyprawiającego o dreszcz, jakby ktoś wszedł po cichu do pokoju i stanął za moimi

plecami. Powiedziałam sobie, że nie jest to strach przed Robertem, ale jeśli tak było, to czego się bałam?

77  
1879

Przygląda się, jak Olivier maluje.

Stoją na plaży w popołudniowym świetle, a on zaczął drugie płótno: jedno było poranne, drugie jest popołudniowe. Maluje urwiska i dwie duże szare łodzie, które rybacy wciągnęli na brzeg, wiosła są ułożone w środku, sieci i korki chwytają ulotne słońce. Szkicuje najpierw paloną umbrą kształty na zagruntowanym płótnie, a potem zaczyna umieszczać na nim urwiska, dodając więcej umbry, błękitu, cienistej ni to szarości, ni to zieleni. Chce mu zasugerować, by rozjaśnił swoją paletę, jak kiedyś doradził jej nauczyciel; zastanawia się, dlaczego ta scena ruchliwych świateł i nieba jawi się Olivierowi tak posępna. Uważa jednak, że ani jego dzieła, ani życie nie mogą się teraz znacząco zmienić. Stoi obok niego w milczeniu, gotowa przygotować własny warsztat, składane krzesło i przenośne drewniane sztalugi - ale zwleka, przygląda się. Ubrała się w cieką wełnianą suknię, chroniącą przed chłodem popołudniowej jasności, na to narzuciła grubszy wełniany żakiet. Wiatr chwyta jej spódnicę, tasiemki czepka. Patrzy, jak on ożywia skłębioną wodę morza. Ale dlaczego nie chce w to tchnąć więcej światła?

Odwraca się i zapina kitel malarski, ustawia płótno, rozkłada przemyślnie skonstruowany drewniany taboret. Staje przed sztalugami, tak jak on, zamiast usiąść, a obcasy wbija mocno między kamyki. Stara się zapomnieć o jego postaci, która znajduje się obok, o jego srebrzystej głowie pochylonej nad obrazem, o jego plecach. Jej własne płótno jest już pokryte bladą szarością; wybrała je z myślą o popołudniowym świetle. Nakłada akwamarynę, która tworzy grubą smugę na jej palcu, czerwien kadmową dla maków, jej ulubionych kwiatów, porastających urwiska po lewej i prawej stronie.

Teraz daje sobie trzydzieści minut, według zegarka zawieszzonego na łańcuszku, mruży oczy, trzyma pędzel tak lekko, jak tylko jest to możliwe, maluje nadgarstkiem i przedramieniem, szybkimi pociągnięciami. Woda ma barwę różu, jest niebieskozielona, niebo prawie bezbarwne, kamienie na plaży różane i szare, piana na grzbietach fal beżowa. Maluje

postać Oliviera w ciemnym garniturze, jego białe włosy, ale tak, jakby stał w oddali, pomniejsza postać na brzegu morza. Dotyka urwisk surową umbrą, potem zielenią, potem czerwonymi kropeczkami maków. Są też białe kwiaty i mniejsze, żółte - widzi klify zarówno z bliska, jak i z daleka.

Trzydzieści minut upływa nieubłaganie.

Olivier odwraca się, jakby rozumiejąc, że jej pierwszy etap dobiegł końca. Béatrice widzi, że on wciąż pracuje powoli nad bezmiarem wód, nie dotarł jeszcze ponownie do łodzi czy nawet urwisk. Będzie to staranny obraz, taki, nad którym w pełni panuje, a nawet piękny, i będzie wymagał wielu dni pracy. Przysuwa się, by spojrzeć na jej płótno. Ona patrzy na nie razem z nim i czuje, jak jego łokieć ociera się o jej ramię. Jest świadoma swoich umiejętności, widzianych jego oczami, i wad swojego obrazu: jest żywy, poruszający, ale zbyt surowy nawet jak na jej gust, eksperyment, który nie wychodzi. Chce, by Olivier milczał, i ku jej uldze on nie przerywa pomruku fal na grubym żwirze, szemrania kamyków, które woda obraca i wciąga w głąb morza. Przytakuje tylko i patrzy na nią z góry. Jego oczy są bezustannie zaczerwienione, powieki odrobinę obwisłe. W tej chwili nie zamieniłaby jego obecności na nic innego w świecie, po prostu dlatego, że on znajduje się o wiele bliżej krawędzi owego świata niż ona. Rozumie ją.

Tego wieczoru spożywają kolację wraz z innymi gośćmi, siedząc naprzeciwko siebie, podając sobie naczynia z sosem albo grzybkami. Właścicielka pensjonatu, podsuwając Olivierowi cielecinę, mówi, że zjawił się tego popołudnia jakiś dżentelmen, by spytać, czy wynajmuje tu pokój sławnemu malarzowi, jego przyjacielowi z Paryża; nie zostawił wizytówki. „Czy monsieur Vignot jest sławny?” - pyta. Olivier śmieje się i potrząsa głową. Mnóstwo sławnych malarzy pracowało w Étretat, ale on się do nich nie zalicza, mówi. Béatrice wypija kieliszek wina i zaraz tego żałuje. Siedzą w głównym salonie i czytają w towarzystwie wąsatego gościa z Anglii, który szeleści londyńskimi gazetami i chrząka nad czymś, co w nich znalazł. Potem ona odkłada książkę i próbuje napisać drugi list do Yves'a, bez powodzenia; jej pióro zdaje się nie lubić papieru, bez względu na to, ile razy macza je w kałamarzu i ociera bibułą. Chiński zegar właścicielki pensjonatu wybija dziesiątą i Olivier wstaje, by się skłonić, potem uśmiecha się czule swymi zaczerwienionymi oczami; wydaje się, jakby pragnął ucałować jej dłoń.

Kiedy udaje się na górę, ona pojmuje: nigdy nie będzie do niczego jej nakłaniał. Nigdy nie odwiedzi jej w samotności, nigdy nie zaproponuje, by ona go odwiedziła, nigdy nie zrobi nic, czego nie powinien zrobić dżentelmen i powinowaty. Niczego nie zainicjuje. Pocałunek w jego pracowni był pierwszy i ostatni, tak jak obiecywał; jej pocałunek na peronie dworca to

coś, za co ona ponosi odpowiedzialność, tak jak pocałunek na plaży. Oba go zaskoczyły. Jest pewna, że on uważa swoją wstrzemięźliwość za dar - dowód szacunku, troski. Lecz rezultatem jest okrutny dylemat; cokolwiek się stanie, ona sama musi do tego doprowadzić, a potem z tym żyć. Czegokolwiek doznają razem, zrodzi się z jej własnego pragnienia, z jej względnej młodości. Nie wyobraża sobie, by mogła zapukać do jego drzwi na górze. Pozostawił jej ślad z okruchów chleba, jak ten chłopiec w bajce.

Potem nie może zasnąć w swoim białym łóżku; obserwuje, jak w otwartym oknie zasłony poruszają się nieznacznie, wystawione na zdradliwy powiew nocnego powietrza, wyczuwa wokół siebie miasto i słyszy kanał, który dręczy kamyki na wybrzeżu.



## 78

### MARY

Przez kolejne tygodnie po powrocie ciemnowłosej damy Robert był zajęty; nie tylko zajęty, także milczący i drażliwy. Spał przez długie godziny i zapominał o kąpieli, a mnie jego obecność doskwierała jak nigdy wcześniej. Czasem drzemał na sofie. Chciałam go przedstawić siostrze i jej mężowi; umówiliśmy się na to spotkanie znacznie wcześniej, ale Robert w ogóle się nie zjawił. Siedziałam poniżona przy stoliku w małej prowansalskiej restauracji Lavandou, za którą siostra i ja zawsze przepadałyśmy. Dziś za nic nie chciałabym tam wrócić, nawet gdyby było mnie stać na wyszukany posiłek.

Jedynym, co rozbudzało w nim energię, było malowanie, a jedynym, co malował, była ta kobieta. Wiedziałam już wtedy, że pytania o jej tożsamość nie mają sensu, że prowokują jedynie mgliste, niemal mistyczne odpowiedzi, które doprowadzały mnie do irytacji. Pomyślałam raz gorzko, że nic się nie zmieniło od tamtych dni, kiedy byłam jeszcze studentką, a on zachowywał się tajemniczo i nie chciał powiedzieć, gdzie widział bohaterkę swoich obrazów i dlaczego ją malował.

Mogłabym bezustannie wierzyć, że zetknął się z nią osobiście - na własne oczy widział jej twarz, ciemne pukle, suknie i wszystko - gdybym pewnego dnia nie przejrzała kilku jego książek. Był to pierwszy raz, kiedy po dłuższym czasie wyszedł z mieszkania, żeby kupić płótna, co zresztą wzięłam za dobry omen, zadowolona, że ma dość energii, by załatwić jakąś sprawę i zaplanować nowe obrazy. Kiedy zniknął, zaczęłam krążyć wokół sofy, która stała się czymś w rodzaju nory Roberta. Uwolniona na chwilę od jego irytującej obecności, rzuciłam się na nią, by wdychać woń jego włosów i ubrania. Była zaśmiecona jak prawdziwa nora - skrawki papieru, przybory rysunkowe, zbiory poezji, rozrzucone ubrania i pełne reprodukcji książki z biblioteki. Wszystko teraz sprowadzało się do sztuki portretu, a ciemnowłosa dama była jedynym tematem. Wydawało się, że zapomniał o swej starej miłości do pejzażu, o swym wielkim talencie do martwej natury, o swej wszechstronności. Zauważyłam, że w moim małym salonie od wielu dni spuszczone są rolety.

Nagle przyszło mi do głowy, że Robert cierpi na przygnębienie, i poczułam wstrząs,

jakbym znalazła dowód własnego obłędu. To, co nazywał swoimi strachami, wydawało się objawem klasycznej depresji, być może poważniejszej, niż byłam gotowa przyznać. Wiedziałam, że pośród swoich rzeczy trzyma leki i czasami je zażywa, ale mówił, że pomagają mu zasnąć po długiej nocy malowania, a nigdy nie widziałam, by brał cokolwiek regularnie. Choć w gruncie rzeczy niczego nie robił systematycznie. Siedziałam, rozpaczając nad transformacją, która dokonała się w moim małym słonecznym salonie; opłakiwałam ją, aby nie myśleć o transformacji swego partnera, swej bratniej duszy.

Potem zaczęłam sprzątać: wrzucałam śmieci Roberta do kosza, porządkowałam książki obok łóżka, składałam koce, poprawiałam poduszki na sofie, wyносиłam do kuchni brudne szklanki i miski po płatkach śniadaniowych. Nagle ujrzałam samą siebie, wysoką, schludną, kompetentną osobę, która sprząta po kimś brudne naczynia z dywanu. Chyba pojęłam w tym momencie, że nasz los jest przesądzony, nie z powodu dziwactw Roberta, ale z powodu mojej własnej dumy. Zobaczyłam, jak on zaczyna maleć w moich oczach, poczułam, jak kurczy mi się serce. Podniosłam rolety, wytarłam stolik do kawy i przyniosłam do odrodzonego blasku słońca wazon z kwiatami, który stał w kuchni.

Mogłam na tym poprzestać, jak wiesz, zostawić to na etapie „czy musimy się rozstawać?”. Posiedziałam na sofie trochę dłużej, czując, że coś odzyskuję, smutna, przestraszona. Wyciągnęłam rękę i zaczęłam przeglądać jego książki. Na samym wierzchu leżały trzy biblioteczne tomy o Rembrandcie, następny dotyczył Leonarda da Vinci - wyglądało na to, że Robert odszedł nieco od swoich dziewiętnastowiecznych upodobań. Pod spodem znalazłam ciężką książkę o kubizmie; nigdy nie widziałam, by ją otwierał.

Dalej były dwie monografie o impresjonistach, jedna o ich wzajemnych portretach - przekartkowałam znajome wizerunki - a druga, bardziej zaskakująca, miała postać cienkiej ilustrowanej broszury o kobietach w świecie impresjonistycznym, poczynając od istotnej roli, jaką odegrała Berthe Morisot podczas pierwszej wystawy impresjonistów, aż po początki XX wieku i mniej znane, późniejsze malarki tego ruchu artystycznego. Poczułam niejaki szacunek dla Roberta, dowiadując się, że ma taką książkę - była jego własnością, nie biblioteki, jak zauważyłam, gdy ją otwierałam - i zdziwiłam się, że jest taka podniszczona; czytał ją dokładnie, często do niej zaglądał, nawet pobrudził trochę farbą.

Załączam inny egzemplarz tej książki, której z myślą o tobie szukałam przez ostatni miesiąc, ponieważ oryginał zabrał ze sobą. Otwórz ją na stronie czterdziestej dziewiątej, a zobaczysz to, co ja, kiedy ją przeglądałam - portret damy Roberta i namalowany przez nią pejzaż morski z wybrzeża normandzkiego. Béatrice de Clerval, jak się dowiedziałam, była

niezwykle utalentowaną malarką, która porzuciła sztukę tuż przed trzydziestką; według krótkiej notki biograficznej wiązało się to z tym, że została matką, na co zdecydowała się w niebezpiecznie dojrzałym wieku dwudziestu dziewięciu lat, w epoce, kiedy kobiety jej klasy społecznej zachęcano do skupienia się wyłącznie na życiu rodzinnym.

Reprodukcja portretu była kolorowa i od razu zidentyfikowałam tę twarz; poznałam nawet marszczony kołnierz, błądy żółcień na tle bladej zieleni, tasiemki czepka, staranny miękki karmin policzków i warg, wyraz jednoczesnego znużenia i radości. Według noty biograficznej była obiecującą artystką, studiowała malarstwo od siedemnastego roku życia do mniej więcej dwudziestego piątego pod kierunkiem wykładowcy akademickiego Georges'a Lamelle'a, wystawiła jeden obraz na Salonie Paryskim pod fikcyjnym nazwiskiem Marie Rivière i zmarła na gripę w 1910 roku; jej córka Aude, która przed drugą wojną światową pracowała jako dziennikarka w Paryżu, zmarła w 1966. Mąż Béatrice de Clerval był szanowanym pracownikiem administracji państwowej, organizatorem nowoczesnych urzędów pocztowych w czterech czy pięciu miastach Francji. Znała Monetów, Morisotów, fotografa Nadara i Mallarmégo. Obrazy Clerval można znaleźć w Musée d'Orsay, Musée de Maintenon, w galerii Uniwersytetu Yale, Uniwersytetu Michigan i w kilku kolekcjach prywatnych, z których najbardziej znany jest zbiór Pedra Cailleta z Acapulco.

No cóż, dowiesz się tego wszystkiego z książki. Na razie pragnę ci wyjaśnić, jaki wpływ wywarły na mnie te wizerunki i towarzysząca im biografia. Świadomość, iż twój partner ma obsesję na punkcie dostrzeżonej kiedyś przelotnie kobiety, kogoś, kogo widział tylko raz czy dwa, może napawać niepokojem, choć nie dziwi cię specjalnie, że artysta, znajomy artysta, ma obsesję na punkcie takiego czy innego obrazu. Jednak fakt, że Robert ma obsesję na punkcie kobiety, której nigdy nie widział żywej, zaniepokoił mnie znacznie bardziej - prawdę mówiąc, zaszokował. Nie można być zazdrosnym o kogoś, kto nie żyje, mimo to myśl, że w ogóle kiedyś istniała, przyprawiła mnie o uczucie niebezpiecznie bliskie zazdrości; groteskowe wydawało się także to, że kobieta będąca przedmiotem jego fascynacji od dawna jest martwa, jakbym przyłapała go na akcie nekrofilii.

Nie, to nie tak. Ludzie żyjący często kochają martwych; nigdy nie krytykowałibyśmy wdowca za to, że kocha pamięć swej żony albo że nawet ma na jej punkcie obsesję. Ale fakt, że chodziło o kogoś, kogo Robert nigdy nie znał, kogoś, kto umarł ponad czterdzieści lat przed jego narodzinami - był wstrząsający. Za mocno powiedziane, jak przypuszczam, ale czułam mdłości. Było to dla mnie zbyt dziwne. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może być obłąkany, kiedy malował raz za razem twarz żyjącej kobiety; teraz jednak, gdy wiedziałam, że to twarz kobiety od dawna martwej, zaczęłam się zastanawiać, czy coś z nim jest naprawdę

nie tak.

Przeczytałam notę biograficzną kilka razy, by się upewnić, że niczego nie pominęłam. Może niewiele było wiadomo o Béatrice de Clerval, a może historycy sztuki stracili zainteresowanie tą postacią z chwilą jej ucieczki od malowania w domowe pielesze. Zdaje się, że żyła potem dziesiątki lat, nie dokonując już niczego nadzwyczajnego. W latach osiemdziesiątych XX wieku zorganizowano retrospektywną wystawę jej prac w paryskim muzeum, którego nazwy nie kojarzyłam; obrazy wypożyczono zapewne z prywatnych kolekcji, powieszono, a potem zdjęto, jeszcze zanim złożyłam papiery na studia. Znów popatrzyłam na portret. Tęskny uśmiech, dołek w lewym policzku. Jej oczy wodziły za mną spojrzeniem nawet z błyszczącej stronicy.

Kiedy już nie mogłam tego dłużej znieść, zamknęłam książkę i odłożyłam na stos pozostałych. Potem znowu ją wzięłam i zapisałam sobie autora i tytuł, dane wydawnicze, niektóre fakty dotyczące Clerval, po czym odłożyłam tomik starannie na miejsce, a notatki schowałam do swojego biurka. Weszłam do sypialni, pościeliłam łóżko i na chwilę się położyłam. Wstałam, udałam się do kuchni i ją też posprzątałam, następnie przygotowałam posiłek z tego, co udało mi się znaleźć w szafkach. Już dawno nic nie ugotowałam tak naprawdę. Kochałam Roberta i chciałam, żeby miał zapewnione najlepsze leczenie, najlepszą możliwą opiekę; mówił mi wcześniej, że wciąż ma ubezpieczenie zdrowotne. Kiedy wrócił do domu, sprawiał wrażenie zadowolonego. Zjedliśmy razem przy świecach i kochaliśmy się na dywaniku w salonie (jakoś nie zauważył, że zrobiłam porządek na sofie); zrobił mi zdjęcie, kiedy leżałam owinięta kocem. Nie powiedziałam nic o książce czy portrecie.

W ciągu tego tygodnia sprawy przedstawiały się lepiej, w każdym razie z pozoru, dopóki nie powiedział, że znów jedzie do Greenhill. Miał się spotkać z adwokatem Kate, jak wyjaśnił, żeby omówić pewne kwestie finansowe, i wrócić po tygodniu. Byłam rozczarowana, ale pomyślałam sobie, że może poprawi mu się nastrój, jak będzie miał to już za sobą, więc nie protestowałam i po prostu pocałowałam go na pożegnanie. Leciał samolotem; musiałam być akurat na uczelni, więc nie mogłam go odwiedzić na lotnisko. Rzeczywiście, nie było go tylko tydzień, wrócił wieczorem bardzo zmęczony i dziwnie pachniał, jak podróżnik, uporczywym brudem, ale też czymś egzotycznym. Spał przez dwa dni.

Trzeciego dnia wyszedł po jakiejś sprawunki, a ja przejrzałam jego rzeczy, bezwstydnie - czy raczej ze wstydem, ale byłam zdecydowana dowiedzieć się więcej. Nie zdążył się jeszcze rozpakować i w jego torbie znalazłam rachunki po francusku, na niektórych widniało słowo *Paris*; hotel, restauracje, lotnisko de Gaulle'a. W jednej z kieszeni marynarki natrafiłam na pomietły bilet Air France razem z paszportem, którego nigdy wcześniej nie

widziałam. Większość ludzi wygląda na tych paszportowych zdjęciach koszmarnie; Robert wyglądał olśniewająco. Wśród jego ubrań odkryłam paczkę zawiniętą w szary papier, a w środku plik listów przewiązanych wstążką, bardzo starych listów, napisanych po francusku, jak się okazało. Nigdy wcześniej ich nie widziałam. Zastanawiałam się, czy mają coś wspólnego z jego matką, czy to stare listy rodzinne, czy może dostał je we Francji. Kiedy zobaczyłam podpis na pierwszym, usiadłam i siedziałam przez długą koszmarną chwilę, potem złożyłam kartki z powrotem i wsadziłam paczuszkę do jego bagażu.

Musiałam się zdecydować, co mam mu powiedzieć. Dlaczego poleciałeś do Francji? Było to tylko odrobinę mniej ważne od pytania: Dlaczego mi nie powiedziałeś, że lecisz do Francji, i dlaczego mnie ze sobą nie zabrałeś? Nie mogłam się jednak do tego zmusić; zraniłoby to moją dumę, a moja duma była już wtedy bardzo obolała, jak wyraziłaby się Muzzy. Za to się pokłóciliśmy, czy też ja się z nim pokłóciłam, wszczynając awanturę o obraz, martwą naturę, nad którą razem pracowaliśmy, i wyrzuciłam go z domu. Wyszedł bez większych oporów. Wypłakiwałam się siostrze, przysięgałam, że go nie przyjmę, jeśli się znów pojawi, starałam się go przeboleć, i taki jest koniec. Ale martwiłam się, kiedy nie dawał znaku życia. Nie wiedziałam bardzo długo, że prosto ode mnie - albo kilka miesięcy później - poszedł do National Gallery i próbował uszkodzić obraz. To nie było do niego podobne. W ogóle.

## 79

### MARLOW

Mary spotkała się ze mną w hotelu, na śniadaniu, w zapełnionej tylko do połowy restauracji. Ten posiłek był spokojniejszy od kolacji z poprzedniego wieczoru; pierwszy rumieniec podniecenia już zniknął, dostrzegłem też fioletowe smugi, niczym cienie na śniegu, pod jej oczami, które tego ranka same w sobie sprawiały wrażenie zacienionych, zachmurzonych. Miała na nosie kilka piegów, których wcześniej nie zauważyłem, jakby maleńkich strużyn, zupełnie niepodobnych do tych, które miała Kate.

- Kiepska noc? - spytałem, narażając się na jej surowe spojrzenie.

- Tak - przyznała. - Myślałam o tym, jak dużo powiedziałam ci o Robercie, tyle osobistych rzeczy, i o tym, jak siedzisz w swoim pokoju i się nad nimi zastanawiasz.

- Skąd wiesz, że się nad nimi zastanawiałem? - Podsunąłem jej talerz z grzankami.

- Ja bym się zastanawiała - odparła po prostu.

- No cóż, zastanawiałem się. Myślę o nim cały czas. To niezwykle z twojej strony, że mi pozwoliłaś zobaczyć go tak dokładnie. Może właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, sprawi, że będę mógł mu pomóc. - Umilkłem na chwilę, by poszukać odpowiednich słów, podczas gdy ona siedziała nad stygnącą grzanką. - I rozumiem, dlaczego czekałaś na niego tak długo, kiedy był niedostępny.

- Nieosiągalny - sprostowała.

- I dlaczego go kochasz.

- Kochałam, nie Kocham.

Nie liczyłem aż na tak wiele i by nie patrzeć jej w oczy, skupiłem wzrok na swojej grzance z jajkiem. Prawdę powiedziawszy, dokończyliśmy śniadanie w milczeniu, które jednak po chwili zaczęło nam sprawiać przyjemność.

Stała w Metropolitan i patrzyła na *Portret Béatrice de Clerval*, 1879, obraz, który po raz pierwszy zobaczyła w książce pozostawionej przez Roberta przy sofie.

- Wiesz, myślę, że Robert wrócił tu i znów ją odnalazł - oznajmiła.

Obserwowałem jej profil; już po raz drugi, jak sobie nagle uzmysłowiłem, poszliśmy razem do muzeum.

- Naprawdę?

- No cóż, pojechał przynajmniej raz do Nowego Jorku, kiedy byliśmy ze sobą, tak jak ci napisałam, i wrócił dziwnie podekscytowany.

- Słuchaj, Mary, chcesz spotkać się z Robertem? Mógłbym cię zabrać, kiedy będę jechał do Waszyngtonu. W poniedziałek, gdybyś miała ochotę. - Nie chciałem powiedzieć tego tak od razu.

- To znaczy... chcesz, żebym dowiedziała się o nim czegoś więcej, pytając go osobiście?

Stała wyprostowana i sztywna, ponownie studiując twarz Béatrice i nie patrząc w moją stronę.

Zaszokowało mnie to.

- Nie, nie... o coś takiego bym cię nie poprosił. Już i tak wiele mi pomogłaś. Mam na myśli tylko to, że nie chcę cię trzymać z dala od niego, jeśli ty sama pragniesz go zobaczyć.

Odwróciła się. Potem podeszła bliżej, jakby szukając obrony, i podczas gdy Béatrice de Clerval obserwowała nas czujnie, wsunęła mi nagle rękę w dłoń.

- Nie - odparła. - Nie chcę się z nim zobaczyć. Dziękuję.

Cofnęła rękę i zaczęła oglądać baletnice Degasa i nagie kobiety wycierające się wielkimi ręcznikami. Po kilku minutach wróciła do mnie.

- Pójdziemy?

Na zewnątrz był jasny, letni dzień, raczej ciepły niż gorący. Przy jednym z ulicznych straganów kupiłem nam po hot dogu z musztardą („Skąd wiesz, że nie jestem wegetarianką?”

- spytała Mary, choć zjedliśmy już razem dwa posiłki). Zawędrowaliśmy do Central Parku i usiedliśmy na ławce, żeby wytrzeć dłonie papierowymi serwetkami. Mary niespodziewanie starła mi musztardę z rąk, tak jak i sobie, a ja pomyślałem, że byłaby z niej urocza matka małych dzieci, ale oczywiście nie powiedziałem tego głośno. Rozsunąłem palce.

- Moja dłoń wygląda znacznie starszej niż twoja, prawda?

- A dlaczego nie miałyby tak wyglądać? Jest w końcu starsza od mojej. O dwadzieścia lat, jeśli urodziłeś się w czterdziestym siódmym roku.

- Nie będę nawet pytał, skąd to wiesz.

- Nie ma potrzeby, Sherlocku.

Siedziałem, przyglądając się jej. Cięń dębów i buków pstrzył cętkami jej twarz, bluzkę o krótkich rękawach i doskonałą skórę krtani.

- Ależ jesteś piękna.

- Proszę, nie mów tak - zaproponowała, wpatrzona w swoje kolana.

- Miałem na myśli tylko komplement, i to pełen szacunku. Jesteś jak obraz.

- To idiotyczne. - Zgniotła chusteczki i wrzuciła celnie do kosza obok naszej ławki. -

Żadna kobieta tak naprawdę nie chce być obrazem.

Kiedy jednak się do mnie odwróciła, nasze oczy się spotkały, na przekór dziwnie brzmiącym słowom, które oboje właśnie wypowiedzieliśmy.

- Byłeś kiedykolwiek żonaty?

- Nie.

- Dlaczego?

- Och, najpierw mnóstwo studiów medycznych, a potem nie spotkałem właściwej osoby.

Skrzyżowała nogi w dżinsach.

- Byłeś kiedyś zakochany?

- Kilka razy.

- Ostatnio?

- Nie. - Zastanowiłem się. - Może tak. Prawie tak.

Uniosła brwi, które niemal zniknęły pod krótką grzywką.

- Zdecyduj się.

- Próbuję - odparłem tak beznamiętnie, jak tylko potrafiłem.

Było to jak rozmowa z dziką sarną, jakimś zwierzęciem, które może się nagle przestraszyć i uciec w popłochu. Wyciągnąłem rękę wzdłuż oparcia ławki, nie dotykając Mary, i spojrzałem w głąb parku, na koliste żwirowe ścieżki, głązy, zielone wzgórki pod patrycjuszowskimi drzewami, ludzi spacerujących i jeżdżących na rowerach tuż obok. Jej pocałunek całkowicie mnie zaskoczył; w pierwszej chwili dostrzegałem tylko to, że jej twarz jest bardzo blisko. Delikatna, pełna wahania. Wyprostowałem się powoli, położyłem dłonie na skroniach Mary i oddałem pocałunek, także delikatnie, starając się jej nie wystraszyć; serce waliło mi młotem. Moje stare serce.

Wiedziałem, że za minutę się odsunie, potem oprze na mnie i zacznie bezgłośnie szlochać, że będę ją trzymał w ramionach, dopóki nie przestanie, że niebawem rozstaniemy się, pieczętując to jeszcze bardziej namiętnym pocałunkiem, nim udamy się każde do swego domu, i że powie wtedy coś w rodzaju: „Przykro mi, Andrew - nie jestem na to gotowa”. Ale na moją korzyść przemawiała wyuczona zawodowa cierpliwość, poza tym wiedziałem już o niej pewne rzeczy: uwielbiała wyjeżdżać do Wirginii, żeby malować przez cały dzień, tak jak



ja; musiała często jeść; chciała panować nad swoimi decyzjami. Madame, zwróciłem się do niej milcząco, widzę, że pani serce jest złamane. Proszę pozwolić, bym je naprawił.

80  
1879

Nie może przestać myśleć o swoim ciele. Z pewnością powinna pomyśleć też o ciele Oliviera, które żyło niejednokrotnie w tak interesujący sposób. Ona jednak studiuje z uwagą ukąszenie, które jakiś robak zostawił po wewnętrznej stronie jej nadgarstka, drapie je, pokazuje mu po przyjacielsku, kiedy malują na plaży drugiego ranka. Spoglądają razem na białe przedramię, gdzie podwinęła rękaw lnianego kitla. Jej nadgarstek, z tym maleńkim czerwonym znaczkiem, długa dłoń i pierścionki - sama, tak jak on zapewne, patrzy na to z pożądaniem. Stoją przy swoich sztalugach na plaży; odłożyła pędzle, ale Olivier wciąż trzyma jeden z niniejszych, mokry od ciemnoniebieskiej farby.

Patrzą na wygięcie jej ręki, a potem ona podnosi ją powoli ku niemu, ku jego twarzy. Ręka jest już tak blisko, że on nie może się mylić co do jej intencji i przywiera ustami do jej skóry. Ona drży, bardziej pod wpływem tego widoku niż samego doznania. On ujmuje jej rękę i opuszcza ją powoli, ich oczy się spotykają. Nie przychodzą jej do głowy żadne odpowiednie w tej sytuacji słowa. Jego twarz, co podkreślają siwe włosy, jest zaczerwieniona, może z emocji, a może od wiatru znad kanału. Czy czuje zakłopotanie? O coś takiego może go spytać w intymnej chwili, której jeszcze nie dopuszcza do wyobraźni.

Jakiś czas potem próbowałem, w ramach eksperymentu, spędzić z Robertem milczącą godzinę w jego pokoju; przyniosłem ze sobą szkicownik i usiadłem w swoim fotelu, po czym zacząłem go rysować, podczas gdy on też siedział i rysował Béatrice de Clerval. Chciałem mu powiedzieć, że wiem, kim była, ale jak zwykle powstrzymała mnie ostrożność. Niewykluczone, że zanimbym to zrobił, musiałbym się dowiedzieć czegoś więcej o niej albo o nim. Po pierwszym spojrzeniu, które zdradzało poirytowanie moją obecnością, i po drugim, pełnym złości i dającym mi do zrozumienia, że zauważył, iż jest tematem mojego rysunku, Robert zaczął mnie ignorować, jednak w atmosferę pokoju wkradło się coś w rodzaju braterstwa, choć być może tylko to sobie wyobrażałem. Panowała cisza, słychać było jedynie skrzypienie naszych ołówków, co wydawało się kojące.

Ta ucieczka w rysunek w samym środku poranka natchnęła dzień jakąś harmonią, której rzadko doznawałem w Goldengrove. Twarz Roberta, widziana z profilu, była bardzo ciekawa, a to, że nie okazywał gniewu ani nie wstał, by wyjść lub w jakiś inny sposób zakłócić moją pracę, raczej sprawiło mi przyjemność, niż mnie zaskoczyło. Możliwe, że zamknął się w sobie jeszcze bardziej i po prostu nic go nie obchodziło, ale czułem, że naprawdę toleruje moje postępowanie. Kiedy skończyłem, schowałem ołówek do kieszeni marynarki, wydarłem kartkę ze szkicownika i położyłem w nogach jego łóżka. Mój rysunek był całkiem niezły, jak sądziłem, choć oczywiście brakowało mu genialnej ekspresywności portretów tworzonych przez Roberta. Pacjent nie podniósł wzroku, kiedy wychodziłem, ale gdy zajrzałem do niego dwa dni później, zauważyłem, że umieścił mój podarunek w swojej galerii na ścianie, choć nie na honorowym miejscu.

Jakby w jakiś sposób dowiedziała się o godzinie, którą spędziłem z Robertem, Mary zadzwoniła tego samego wieczoru.

- Chcę cię o coś prosić.
- O cokolwiek.

- Chcę przeczytać te listy. Béatrice i Oliviera.

Wahałem się tylko przez chwilę.

- Oczywiście. Odbiję na ksero tłumaczenie tych, które już mam, a potem resztę.

- Dziękuję.

- Co u ciebie?

- Świetnie - odparła. - Pracuję, to znaczy maluję; skończył się semestr.

- Chciałabyś pojechać w najbliższy weekend do Wirginii? Na jedno popołudnie? Zapowiada się wiosenna pogoda, przyszło mi więc do głowy, żeby się tam wybrać. Będę mógł przy okazji przywieźć ci listy.

Milczała przez sekundę.

- Tak, chciałabym.

- Zamierzałem zadzwonić wcześniej. Nie dawałaś znaku życia.

- Tak, wiem. Przepraszam. - Zabrzmiało to jak najbardziej szczerze.

- Nic się nie stało. Mogę sobie wyobrazić, przez co przechodziłaś w zeszłym roku.

- Chodzi ci o to, że możesz sobie wyobrazić jako psychiatra?

Westchnąłem mimowolnie.

- Nie, jako twój przyjaciel.

- Dziękuję - powiedziała, a ja, tak mi się przynajmniej wydawało, dosłyszałem w jej głosie tłumiony płacz. - Przydałby mi się ktoś taki.

- Mnie też, szczerze mówiąc.

Było to znacznie więcej, niż rzekłbym komukolwiek pół roku wcześniej, i dobrze o tym wiedziałem.

- Sobota czy niedziela?

- Niech będzie sobota, w zależności od pogody.

- Andrew? - Jej głos był łagodny, na granicy uśmiechu.

- Co?

- Nic. Dziękuję ci.

- To ja ci dziękuję - powiedziałem. - Cieszę się, że chcesz tam jechać.

W sobotę włożyła gruby czerwony zakiet i upięła włosy dwiema długimi szpilkami; malowaliśmy przez większość dnia. Potem, w dziwnie jak na tę porę ciepłym słońcu, urządziliśmy sobie piknik na trawie i rozmawialiśmy. Twarz miała zarumienioną i kiedy się nachyliłem nad kocem, żeby ją pocałować, objęła mnie za szyję i przyciągnęła do siebie mocno - tym razem nie było łez, choć tylko się całowaliśmy. Zjedliśmy kolację poza miastem, a potem podwoziłem ją do jej mieszkania przy zaśmieconej ulicy w Northeast. W torebce

miała kopie listów. Nie zaprosiła mnie na górę, ale zawróciła spod drzwi wejściowych, żeby pocałować mnie raz jeszcze, nim weszła do środka.

82  
1879

*Do: M. Yves Vignot*

*Passy, Paryż*

*Mon cher mari,*

*Mam nadzieję, że jesteś zdrowy i że Papie się polepsza. Dziękuję za Twój miły list. Kłopoty Papy martwią mnie - żałuję, że mnie tam nie ma i że nie mogę sama się nim opiekować. Zazwyczaj pomagają mu ciepłe kompresy na pierś, ale podejrzewam, że Esmé już tego próbowała. Proszę, przekaż mu moje najserdeczniejsze pozdrowienia.*

*Ze swej strony zapewniam, że się tu nie nudzę, choć Étretat jest przed sezonem nad wyraz spokojne. Ukończyłam jedno płótno, jeśli można uznać je za ukończone, a także pastel i dwa rysunki. Stryj jest bardzo pomocny, gdy podsuwa mi sugestie w odniesieniu do koloru - oczywiście nasze techniki są tak różne, że zawsze muszę dawać sobie radę sama. Jednakże doceniam niezwykle jego wiedzę. Teraz namawia mnie na znacznie większe płótno, na jakiś ambitny temat, rzecz, którą mogłabym pokazać jurorom przyszłorocznego Salonu, choć jej autorką byłaby madame Rivirère. Nie wiem jednak, czy chcę się podjąć tak wielkiego przedsięwzięcia.*

*Przespawszy doskonale dwie ostatnie noce, czuję się wypoczęta.*

Odkłada pióro i rozgląda się po wyłożonej tapetą sypialni. Pierwszą noc przespała po prostu ze zmęczenia, a trzecią spędziła na wpół przytomna, rozmyślając o mocnych i suchych wargach Oliviera, zbliżających się do jej ręki - o zmysłowym kształcie ust starszego mężczyzny i bladej połaci własnej skóry.

Wie, co należy zrobić: powinna powiedzieć Olivierowi, że nie czuje się tu dobrze - nerwy, mogłaby rzec, odwieczna wymówka - i że muszą natychmiast wracać do domu. Ale to jest właśnie powód, dla którego Yves ją tu wysłał. Nawet jeśli będzie się starała wypaść możliwie najbardziej przekonująco, Olivier i tak ją przejrzy. Sam widzi, jak rozkwita w

powiewach świeżego wiatru od morza, otoczona widokiem niezmierzonej wody i nieba, które przez nią przepływa z dala od duszącego Paryża. Uwielbia malować na brzegu, owinięta ciepłą peleryną. Uwielbia towarzystwo tego mężczyzny, rozmowy, godziny, które spędzają wieczorami na lekturze. Sprawił, że jej świat stał się dla niej większy, niż kiedykolwiek wydawało jej się to możliwe.

Wymazuje ostatnie słowo swego listu i zastanawia się nad brzuszkim „d” w słowie *dormi*. Jeśli oświadczy, że musi wracać, Olivier będzie wiedział, że kłamie; pomyśli sobie, że ucieka. To go zrani. Nie może tak postąpić; jest mu winna zaufanie w zamian za jego wrażliwość, za to, że wsuwa swoją dłoń w jej dłoń; może to ostatni raz, gdy ten mężczyzna dotyka jakiegokolwiek kobiety. Zwłaszcza gdy ona ma nad nim taką przewagę swej młodości.

Wstaje i otwiera okno. Z tego miejsca nad ulicą rozciąga się ukośny widok na szarobieżową połąć plaży i bardziej szarej wody. Lekki wiaterek kołysze zasłonami, marszczy spódnice jej porannego stroju przerzuconego przez oparcie krzesła. Stara się pomyśleć o Yvie, ale kiedy zamyka oczy, widzi irytującą karykaturę, jak na jednym z tych politycznych rysunków w jego gazetach. Yves w kapeluszu i płaszczu, o ogromnej, nieproporcjonalnej do ciała głowie, z laską pod pachą, wkładający rękawiczki przed pocałunkiem na do widzenia. Łatwiej wyobrazić sobie Oliviera: stoi z nią na plaży, wyprostowany i wysoki, subtelny, posrebrzone włosy, zaróżowiona twarz ze zmarszczkami, wilgotne niebieskie oczy, dobrze skrojony i równie dobrze znoszony brązowy surdut, dłonie rzemieślnika i kwadratowo zakończone, lekko nabrzmiałe palce zaciśnięte na pędzlu. Ten obraz napawa ją smutkiem, którego nie czuje, gdy Olivier jest z nią naprawdę.

Ale nawet tej wizji nie potrafi zatrzymać na długo; zastępuje ją ulica, ceglane frontony i wyszukane obramowania okien i drzwi w szeregu nowych sklepów, które zasłaniają jej połowę plaży. Za to uparcie tkwi w niej jedno pytanie. Ile jeszcze nocy zdoła przeżyć w tym stanie zawieszenia? Po południu pójda gdzieś malować, w jakiś zakątek rozległego i jasnego wybrzeża, wróca do swoich pokoi, by przebrać się do kolacji, spożyją razem ze wszystkimi posiłek, zasiada w przeladowanym meblami salonie pensjonatu, żeby rozmawiać i czytać. Poczuję w duchu, że już jest w jego ramionach; czy to nie powinno jej wystarczyć? A potem wróci do swojego pokoju, by zacząć nocne czuwanie.

Drugie pytanie, które sobie zadaje wsparta łokciami o parapet, jest jeszcze trudniejsze. Czy go pragnie? Nic, co znajduje się na wstędze wybrzeża, z jego przewróconymi do góry dnem łodziami, nie nasuwa odpowiedzi. Zamyka okno, zaciskając usta. Życie za nią zdecyduje, być może już zdecydowało - słaba odpowiedź, ale nie ma innej, i nadchodzi chwila, by wybrać się w plener.

*MARLOW*

Pewnego wieczoru po powrocie do domu czekał na mnie list - bardzo uprzejmy list, ku mojemu zaskoczeniu - od Pedra Cailleta. Po jego przeczytaniu zaskoczyłem z kolei sam siebie, podchodząc do telefonu i dzwoniąc do biura podróży.

*Drogi doktorze Marlow,*

*Dziękuję za Pański list sprzed dwóch tygodni. Zapewne wie Pan więcej niż ja o Béatrice de Clerval, lecz z przyjemnością udzielię Panu wszelkich informacji. Proszę przyjechać do mnie na rozmowę między szesnastym a dwudziestym trzecim marca, jeśli to możliwe. Potem udaję się do Rzymu i nie będę mógł Pana gościć. Jeśli chodzi o odpowiedź na Pańskie drugie pytanie, to zapewniam, że nie słyszałem o jakimkolwiek amerykańskim malarzu badającym twórczość Clerval; taka osoba nigdy się ze mną nie skontaktowała.*

*Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami,*

*P. Caillet*

Potem zadzwoniłem do Mary.

- Co powiesz na Acapulco w przyszłym tygodniu?

Jej głos brzmiał, jakby dopiero co się przebudziła, choć było późne popołudnie.

- Co? Mówisz tak jak... nie wiem, osobisty doradca.

- Śpisz? Wiesz, która jest godzina?

- Nie dręcz mnie, Andrew. Mam wolny dzień, malowałam do późna.

- To znaczy?

- Do wpół do piątej.

- Och, wy artyści! Ja byłem w Goldengrove o siódmej rano. No dobrze, chcesz jechać do Acapulco?

- Mówisz poważnie?

- Tak. I nie chodzi o wakacje. Muszę tam coś sprawdzić.



- Czy nie ma to przypadkiem związku z Robertem?

- Nie. To ma związek z Béatrice de Clerval.

Roześmiała się. Poczujęm się podniesiony na duchu, słysząc, jak się śmieje, choć chwilę wcześniej wymówiła imię Roberta. Może naprawdę zaczynała się z tego otrząsać.

- Śniłeś mi się zeszłej nocy.

- Ja? - Serce podskoczyło mi radośnie.

- Tak. To był bardzo słodki sen. Dowiedziałam się w nim, że wynalazłeś lawendę.

- Co? Kolor czy roślinę?

- Chyba zapach. Mój ulubiony.

- Dziękuję. I co zrobiłaś, kiedy się o tym dowiedziałas?

- Nieważne.

- Chcesz, żebym cię błagał?

- Jasne... nie. Pocałowałam cię w dowód wdzięczności. W policzek. To wszystko.

- No więc chcesz jechać do Acapulco?

Znów się roześmiała, najwidoczniej całkowicie już przytomna.

- Oczywiście, że chcę. Ale wiesz, że mnie nie stać.

- Ale mnie stać - odparłem cicho. - Oszczędzam od lat, bo tak mi radzili rodzice. - A potem nie miałem nikogo, kto pomógłby mi wydać te pieniądze, mogłem dodać, ale się powstrzymałem. - Zgralibyśmy to z twoją wiosenną przerwą na uczelni. To chyba ten sam tydzień? Nie uważasz, że to dobry omen?

Zapadła między nami cisza, jak w chwili gdy przystajemy, by posłuchać lasu. Nasłuchiwałem; docierał do mnie jej oddech, tak jak dociera do nas (po pierwszej chwili wyczekiwania, kiedy już się przygotowujemy) śpiew ptaków w gałęziach drzew czy szelest wiewiórki w martwych liściach o krok dalej.

- No cóż - odpowiedziała wolno.

Wydawało mi się, że wyczułem w jej głosie lata oszczędzania narzucone przez matkę, ale bez możliwości zaoszczędzenia czegokolwiek, jej lata malowania, w każdej wolnej chwili i dzięki gotówce, którą mogła odłożyć na kilka dni czy tygodni, czy miesięcy, strach i dumę, które nie pozwalały jej pożyczać pieniędzy, co stanowiło zapewne skromny matczyzny dar z czasów wychowania, wreszcie poświęcenie, powstrzymujące ją przed porzuceniem pracy nauczycielskiej i uczniów, którzy nie mieli pojęcia o tym, jak jej konto bankowe balansuje na krawędzi pustki, kiedy już uregulowała czynsz i zapłaciła za ogrzewanie i jedzenie - wyczułem całą tę konstelację nieszczęść, których uniknąłem, decydując się na studia medyczne. Od tej pory namalowałem tylko dziesięć obrazów, które w ogóle mi się podobały.

Monet w latach sześćdziesiątych XIX wieku stworzył sześćdziesiąt pejzaży samego Étretat, w tym wiele arcydzieł; wyobraziłem sobie dziesiątki płócien opartych o ściany jej pracowni, setki rycin i rysunków na jej półkach. Zastanawiałem się, ile z nich wciąż lubiła.

- No cóż - powtórzyła, tym razem pogodniej. - Daj mi pomyśleć.

Mogłem ją sobie wyobrazić, jak porusza się na łóżku, którego nigdy nie widziałem; siadała teraz zapewne ze słuchawką w dłoni, może w jednej z tych luźnych białych koszul, odsuwając włosy z twarzy.

- Obawiam się, że pojawi się jeszcze jeden problem...

- Oszczędzę ci kłopotu, bo wiem, o co chodzi. Jeśli przyjmiesz moje zaproszenie, nie będziesz musiała spać ze mną - powiedziałem, czując od razu, że zabrzmiało to bardziej obcesowo, niżbym tego pragnął. - Znajdę sposób, żebyśmy mieszkali osobno.

Usłyszałem, że zaczerpnęła powietrza, jakby zaraz miała sapnąć poirytowana albo się roześmiać.

- Och, nie. Problem w tym, że może chciałabym tam z tobą spać, ale nie chciałabym, żebyś sobie pomyślał, że to coś w rodzaju wdzięczności za fundowanie podróży.

- No cóż - odparłem. - Co w takiej sytuacji facet może powiedzieć?

- Nic. - Mary prawie się śmiała, byłem tego pewien. - Proszę cię, nic nie mów.

Jednak dwa tygodnie później na lotnisku, po rzadkiej w Waszyngtonie burzy śnieżnej, byliśmy wobec siebie milczący i pełni rezerwy. Zacząłem się zastanawiać, czy ta wyprawa jest dobrym pomysłem, czy tylko dowiedzie zakłopotania obu stron. Umówiliśmy się przy bramce, gdzie tłoczyli się studenci, którzy jeszcze wczoraj mogli słuchać głosu Mary, siedząc w niecierpliwych rzędach na sali wykładowej; teraz byli już ubrani w letnie rzeczy, chociaż samoloty za oknem kołowały obok zwałów śniegu. Mary podeszła do mnie z torbą na płótna przerzuconą przez ramię i ze składanymi sztalugami w rękę, po czym wychyliła się, by pocałować mnie niezgrabnie w policzek. Związała włosy z tyłu i była ubrana w długi granatowy sweter i czarną spódnicę. Na tle ruchliwych nastolatków w szortach i krzykliwie kolorowych koszulach wyglądała jak zakonnica opuszczająca klasztor w celu odbycia podróży w teren. Zdałem sobie sprawę, że nawet nie pomyślałem o zabraniu przyborów malarskich. Co się ze mną działo? Mógłbym tylko patrzeć, jak ona maluje.

Rozmawialiśmy w samolocie zdawkowo, jakbyśmy tak podróżowali od lat, potem zasnęła, siedząc najpierw prosto w fotelu, ale potem stopniowo przechylając się w moją stronę, w końcu jej zgrabna głowa dotknęła mojego ramienia: „Malowałam do późna”. Wcześniej myślałem, że podczas naszej pierwszej wspólnej podróży będziemy toczyć

ożywioną dyskusję, a tymczasem ona spała niemal na mnie, prostując się chwilami, nieświadomie, jakby obawiała się tej podstępnej swojskości, która z wolna rodziła się między nami. Wyjąłem ostrożnie nową książkę o leczeniu pacjentów z zaburzeniami osobowości; już od jakiegoś czasu próbowałem się do niej zabrać - zaniedbałem fachową lekturę za sprawą uwagi, jaką poświęcałem Robertowi i Béatrice - teraz jednak nie mogłem się skupić na tekście, co najwyżej na pojedynczych zdaniach, potem traciłem wątek.

I wtedy nastąpił ten zły moment, który prędzej czy później musiał mi się przytrafić: wyobraziłem sobie jej głowę na nagim ramieniu Roberta Olivera - czy mówiła mi prawdę, zapewniając, że już go nie kocha? W końcu mógł wyzdrowieć pod moją opieką albo przynajmniej jego stan mógł się trochę poprawić. Czy też prawda była bardziej skomplikowana? A jeśli bym nie miał ochoty mu dłużej pomagać, zważywszy na to, co mogłoby się wydarzyć, gdyby udał mu się powrót do normalnego życia? Przewróciłem następną stronę. W świetle przebijającym zza chmur włosy Mary miały kolor bladokasztanowy, ich powierzchnia była złota w blasku słabej lampki do czytania, ciemniejsza zaś, gdy jej głowa odsuwała się od okna; błyszcząły jak rzeźbione drewno. Poruszyła się i wymamrotała coś przez sen. Jej rzęsy były różowawe i spoczywały na bladej skórze. Przy lewym oku, tuż obok kącika, dostrzegłem maleńki pieprzyk. Pomyślałem o galaktyce piegów Kate, o wychudłej twarzy swojej matki i tym jej przemożnym, wciąż współczującym spojrzeniu. Kiedy znów przewróciłem stronę, Mary wyprostowała się, otuliła swetrem i uciekając ode mnie, przysunęła się do okna. Wciąż pogrążona we śnie.

## 84

### 1879

Podchodzi do szafy i próbuje wybrać między dwiema sukniami, niebieską i jasnobrązową, decydując się w końcu na tę drugą, do tego wkłada ciepłe pończochy i solidne buty. Spina włosy i bierze długą pelerynę, czepek obszyty szkarłatnym jedwabiem i stare rękawiczki. On czeka na nią na ulicy. Uśmiecha się do niego bez skrepowania, szczęśliwa z powodu jego zadowolenia. Być może nic nie ma znaczenia prócz tej dziwnej radości, którą dają sobie nawzajem. Olivier niesie ich sztalugi, więc ona nalega, że weźmie torby. Jego ekwipaż to podniszczona skórzana *musette de chasse*; ma ją od dwudziestego ósmego roku życia - jedna z wielu rzeczy, które o nim teraz wie.

Kiedy docierają na wybrzeże, składają starannie swój sprzęt pod falochronem i wyruszają na krótki spacer w niemym porozumieniu. Wiatr jest tego dnia silny, ale cieplejszy, pachnie trawą; kwitną maki i stokrotki, istne zatrzęsienie. Ujmuje jego dłoń, ilekroć potrzebuje pomocy przy jakiejś przeszkodzie, która wyrasta na ich ścieżce. Wspinają się na urwisko, ku płaskowyżowi nad kanałem, skąd mogą spoglądać na plażę i zobaczyć bardziej spektakularne skalne łuki i filary na drugim końcu wybrzeża. Ona boi się wysokości i trzyma z daleka od krawędzi klifu, ale on się wychyla i mówi, że spieniona woda bije wysoko, efektownie, zalewając urwisko u podnóża.

Są całkowicie sami, a otoczenie jest tak wspaniałe, iż ona czuje, że nic innego się nie liczy, z pewnością zaś nic tak małego jak oni obydwój; nawet jej pragnienie posiadania dzieci, ten bolesny ucisk pod żebrami, traci na kilka chwil znaczenie. Nie może sobie przypomnieć, co to takiego poczucie winy albo jej sens. Jego bliskość to pociecha, drobna ludzka nuta w tym zachwycającym krajobrazie. Kiedy do niej wraca, ona opiera się o niego. Przylega ramieniem do jego roboczego surduta na wysokości piersi, czuje wokół siebie jego ramiona, jakby pragnęły uchronić ją przed krawędzią urwiska. Zalewa ją fala zwykłej ulgi, potem przyjemności, wreszcie pożądania. Napiera na nich wiatr. On całuje ją w szyję pod czepkiem, przy linii spiętych włosów; być może dlatego, że go nie widzi, zapomina odmierzyć dzielące ich lata.

Tak właśnie mogłoby być przy stłumionym świetle, ich dwoje, wolnych od wszelkich barier, w ciemności skrywającej różnice między nimi. Ta myśl sprawia, że przez jej ciało przebiega smuga żaru, aż do skały pod ich stopami. On ze swej strony musi to wyczuwać; tuli ją do siebie. Ona zna ciężkie krągłości swoich spódnic, grubą warstwę bielizny, ale czuje to, co on musi czuć, a wewnątrz tego ich dziwną wzajemną przynależność, morze i horyzont, ich przywieranie do siebie pośrodku tego bezmiaru. Stoją tak przez chwilę nieskończenie długą, aż ona traci poczucie czasu, który oznacza przemijanie jej życia. Kiedy wiatr zaczyna przyprawiać ich o dreszcz, ruszają bez słowa w dół, ku plaży, a potem rozstawiają swoje sztalugi.

*MARLOW*

Ulice Acapulco wydawały mi się jak ze snu; w wieku pięćdziesięciu dwóch lat mogłem odczuwać tylko niedowierzanie, że nigdy wcześniej nie dotarłem do południowej granicy. Długa dwupasmowa trasa prowadząca do miasta wyglądała znajomo, jak z filmu - mieszanka betonu i stali na budowach, wałące się jednopiętrowe domy ozdobione bugenwillą i rdzewiejącymi częściami samochodów, kolorowe restauracyjki i wielkie palmy daktylowe, też sprawiające wrażenie zardzewiałych, rozkołysane na wietrze. Taksówkarz mówił łamaną angielszczyzną, wskazując stare miasto, gdzie mieliśmy się nazajutrz spotkać z Cailletem.

Zarezerwowałem dla nas pokój w hotelu, który, jak zapewnił mnie John Garcia, był najlepszym w świecie miejscem na miesiąc miodowy - on sam spędził tam własny. Powiedział to, nie żartując, na serio, bez ciekawości w głosie, kiedy zadzwoniłem do niego i poprosiłem o radę, wyjaśniając przy okazji, że się zakochałem. Nie powiedziałem mu oczywiście, o kogo chodzi; na to i wszystko inne jeszcze miał nadejść czas. „To dobra wiadomość, Andrew” - brzmiał jego zwięzły komentarz. Gdzieś w tle słyszałem rozmowy, które prawdopodobnie prowadził w przeszłości z żoną: „Marlow nie młodnieje - czy kiedykolwiek znajdzie sobie kogoś? Biedny facet...” A na jeszcze dalszym planie samozadowolenie ludzi od dawna pozostających w związku małżeńskim, wciąż pozostających w związku małżeńskim. Nie powiedział jednak nic więcej, podał mi tylko nazwę hotelu, La Reina. Teraz dziękowałem mu w duchu, widząc Mary, która weszła do holu owiewanego ciepłym wiatrem i otwierającego się z czterech stron na stłoczone palmy i ocean w dali. Ten wiatr pachniał miękko i tropikalnie, czymś dla mnie niezidentyfikowanym, może jakimś dojrzałym owocem, którego nigdy wcześniej nie jadłem. Zdjęła swój długi sweter zakonnicy i stała w cienkiej bluzce, jej spódnicą poruszała nieznacznie bryza, głowę miała odchyloną do tyłu, chcąc sięgnąć wzrokiem dachu tego ogromnego dziedzińca, który otaczały piramidowe balkony oplecione winoroślą.

- To jak wiszące ogrody w Babilonie - zauważyła, zerkając na boki.

Chciałem podejść do niej od tyłu, objąć ją przyjacielskim gestem w tali i przytulić do

siebie, ale czułem, że nie spodobałaby jej się taka poufałość w nowym miejscu, w dziwnym miejscu, gdzie byliśmy sami pośród obcych. Potem podeszliśmy do długiego kontuaru z czarnego marmuru i wzięliśmy dwa klucze do jednego pokoju - z pewnym wahaniem, kiedy to zdawała się rozważać przez chwilę, a potem akceptować fakt, że nie będę tego traktował w kategoriach rewanżu za podróż. W zgodnym milczeniu wsiedliśmy do szklanej windy. Dziedziniec umknął nam spod stóp i znaleźliśmy się niemal na samej górze. Pomyślałem, nie po raz ostatni, jak niestosowną rzeczą jest przebywanie w tego rodzaju hotelu w kraju tak rozpaczliwie biednym, że miliony jego obywateli dobijało się do naszych granic w nadziei zapewnienia sobie podstaw bytu. Ale zdecydowałem się na ten wypad nie dla siebie, tylko dla Mary, która przykręcała nocą kaloryfery, żeby obniżyć rachunek za ogrzewanie.

Nasz pokój był duży i prosty, z eleganckim wzornictwem: Mary obchodziła go, dotykając lampy z przezroczystego marmuru, miękkiego tynku na ścianach. Łóżko - odwróciłem od niego wzrok - było szerokie i starannie przykryte narzutą z beżowego lnu. Pojedyncze okno z wielką szybą wychodziło na inne balkony, też z winoroślą i czarnymi drewnianymi krzesłami, balkony, które schodziły w dół, w głąb przyprawiającej o zawrót głowy studni dziedzińca. Zastanawiałem się, czy pomimo dodatkowej opłaty nie należało wynająć pokoju z widokiem na ocean - czy było to z mojej strony skąpstwo, wzięwszy pod uwagę koszty, które już poniosłem? Mary odwróciła się do mnie, uśmiechnięta, nieśmiała, zakłopotana; domyślałem się, że nie chce sprawiać wrażenia wdzięcznej za ten luksus, który wyczarowałem, ale mimo wszystko pragnie coś powiedzieć.

- Podoba ci się? - spytałem, żeby wybawić ją z trudnej sytuacji.

Wybuchnęła śmiechem.

- Tak. Jesteś niemożliwy, ale strasznie mi się podoba. Czuję, że dobrze tu wypocznę.

- Dopilnuję tego.

Objąłem ją i pocałowałem w czoło, a ona pocałowała mnie w usta, potem się odsunęła i zajęła bagażem. Nie dotykaliśmy się więcej do chwili, gdy poszliśmy na plażę, gdzie wzięła mnie za rękę, w drugiej dłoni trzymając buty; zaczęliśmy brodzić po fali przyływu. Woda była zadziwiająco ciepła, jak herbata zostawiona w czajniku. Plażę okalały strzeliste palmy i małe kryte strzechą chaty, wokół kręcili się ludzie mówiący po angielsku i hiszpańsku; mieli włączone radia i gonili za opalonymi dziećmi. Słońce rozpryskiwało się na wszystkim, rozsiewając wokół niestłumioną radość. Nie brodziłem w oceanie od ładnych kilku lat - na dobrą sprawę od sześciu czy siedmiu, co sobie uzmysłowiłem z nagłym szokiem - i nie widziałem Pacyfiku, odkąd skończyłem dwadzieścia dwa. Mary podciągnęła trochę spódnicę, jej szczupłe kolana i łydki błyszczały nagością w wodzie, podwinęła też rękawy bluzki.

Czułem, jak drży obok mnie na wietrze albo po prostu wibruje jego powiewami.

- Chcesz jutro ze mną tam pójść?! - zawołałem, przekrzykując potężny dźwięk fal.

- Żeby się spotkać z... jak on się nazywa? Caillet? - Weszła w smugę przypływu. - A chcesz, żebym poszła?

- Chyba że wolisz zostać i malować.

- Mogę malować przez resztę czasu - odparła rozsądnie.

Kiedy szliśmy z powrotem w stronę hotelowych ogrodów, zauważyłem, że wejścia pilnuje strażnik uzbrojony w M16; automat miał przerzucony przez umundurowane ramię.

Zjedliśmy lunch na werandzie obok holu. Mary wstała od stolika raz czy dwa, żeby obejrzeć sobie sztuczną lagunę i wodospad na zewnątrz, gdzie brodziły dwa żywe flamingi - własność hotelu? A może były dzikie? Piliśmy tequilę w małych, grubych kieliszkach, podnosząc je w geście toastu, ale nic przy tym nie mówiąc, jakbyśmy nie chcieli uczcić niczego konkretnego, tylko naszą obecność w tym miejscu. Jedliśmy sevicehe, guacamole, tortille; smak limetki i cilantro trwał uporczywie w moich ustach niczym obietnica. Nie było mi zupełnie obce to uczucie, które ogarniało mnie powoli pod wpływem ciepłego wiatru, szumu palm, oddechu Pacyfiku; była to dziecięca wiara w dżunglę i ocean, *Wyspę skarbów* i *Piotrusia Pana*. Owszem, tym właśnie miały być takie kurorty - magiczną, bezpieczną wersją tropików. I miejsce to wywoływało we mnie coś jeszcze, wrażenie długiego rejsu z książki, mojej ulubionej, *Lorda Jima*, i tchnienie Dalekiego Wschodu, aż po daleki zachód nas samych. Pan Kurtz - on umrzeć. Ale czy to nie z innej powieści Conrada? *Jądro ciemności*. Słowa cytowane przez T. S. Eliota. Gauguin wychodzący z chaty po akcie seksualnym, żeby znów malować. Cykl roku traktowany mimochodem, ponieważ nikt nie musiał nosić na sobie zbyt dużo odzieży. Żar.

- Będziemy musieli wybrać się do Cailleta około dziewiątej - powiedziałem, żeby odwrócić własną uwagę od tej pierwszej, zmiękczającej fali, którą tequila zalewała moją głowę, i od zarysu twarzy Mary, kiedy zakładała kosmyk włosów za ucho, na swoje miejsce. - Prosił mnie, żebyśmy byli u niego rano, zanim zrobi się gorąco. Mieszka w starej części miasta, nad zatoką. To będzie przygoda - zobaczyć jego siedzibę, jakkolwiek wygląda.

- Maluje?

- Tak, jest krytykiem i kolekcjonerem, ale sądzę, że przede wszystkim malarzem; tak w każdym razie wynika z wywiadu, który przeczytałem.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, poczułem swobodę nowego miejsca i zmęczenie



wywołane naszą wczesnoporaną podróżą. Miałem niemal nadzieję, że Mary rzuci się na łóżko obok mnie i że będziemy spać razem, pokonując stopniowo niezręczność, która nas dzieli. Tymczasem ona wzięła swoje sztalugi i torbę.

- Nie oddalaj się za bardzo - ostrzegłem ją odruchowo, przypominając sobie strażnika przy bramie.

Potem pożałowałem swoich słów; nie dlatego, że była młoda i mogła nie rozumieć moich obaw, tylko dlatego, że ja byłem stary i jawiłem się jako ktoś, kto nią dyryguje albo ją strofuje.

Nie zachnęła się jednak.

- Wiem. Rozłożę się w ogrodzie obok holu. Po prawej stronie, jeśli stanąć twarzą do plaży. Na wypadek gdybyś chciał mnie znaleźć.

Jej łagodność zaskoczyła mnie i kiedy położyłem się na łóżku - nie mogłem nawet zmusić się do tego, by w jej obecności zdjąć koszulę - nachyliła się i pocałowała mnie, tak jak całowaliśmy się tamtego popołudnia na moim kocu, z tą wezbraną tęsknotą, której staraliśmy się wcześniej zaprzeczyć. Zareagowałem całym sobą, ale leżałem nieruchomo; chciałem pozwolić jej wyjść z pokoju, ponieważ tego pragnęła. Odwróciła się przy drzwiach, znów uśmiechnięta - rozluźniona, tkliwa, jakby czuła się przy mnie bezpiecznie.

Potem wyszła. Sen, w który odpłynąłem, był płataniną drzew i blasku słońca, pulsującej fali pod moimi powiekami. Światło przygasało, kiedy odezwał się budzik; przez chwilę wydawało mi się, że przespałem jakieś umówione spotkanie, zapewne z Robertem Oliverem, i usiadłem na łóżku przerażony. Poczułem, jak strach przygniata mi pierś, ale nie - Robert żył i przynajmniej częściowo miał się dobrze, o ile mogłem się zorientować, a w Goldengrove znali telefon hotelu. Podeszedłem do okna i odsunąłem ciężkie zasłony, potem firanki, i zobaczyłem ludzi krążących nisko w dole po dziedzińcu, gdzie zapalono kilka lamp.

I znowu przerażenie: gdzie jest Mary? Spałem tylko dwie godziny, ale uznałem, że to o wiele za długo, by zostawiać ją gdziekolwiek bez opieki; odszukałem buty. Palmy w ogrodzie wywracały się hałaśliwie na drugą stronę, każdy liść był w ruchu, wiatr wznosił się z oceanu na tyle silny, że wydawał się odrobinę groźny, fale rozbijały się wściekle, co było widać nawet z hotelu. Mary była dokładnie tam, gdzie obiecywała - dotykała płótna, cofała się o krok, by na nie spojrzeć, zastygała na chwilę z pędzlem w dłoni, opierając ciężar ciała na jednym biodrze; potem poruszyła się bez trudu, ale dostrzegłem w niej ten pośpiech, który powoduje utratę światła pod koniec malowania pejzażu - pęd, coraz większa szybkość, z jaką podpełzają cienie, chęć, by cofnąć dzień albo zetrzeć z płótna ten podstępny mrok.

Dostrzegła mnie chwilę później.

- Nie ma już światła.

Stałem za nią.

- To, co namalowałaś, jest wspaniałe.

Mówiłem poważnie. Jej wycucie miękkich, surowych kolorów - niebieskości morza i widocznego już na jego powierzchni wieczornego bezbarwnego połysku - było niezwykle, ale zauważyłem w obrazie także coś przejmującego. Nie wiem, co czasem nadaje pejzażowi patos, ale przed takimi właśnie płótnami człowiek stoi dłużej. Uchwyciła ostatni puls doskonałego dnia, doskonałego, bo dobiegającego końca. Nie wiedziałem, jak mam jej to wszystko powiedzieć ani czy ona potrzebuje jeszcze jakichś słów, więc stałem w milczeniu i przyglądałem się jej twarzy z profilu, gdy studiowała z uwagą swoje dzieło.

- Nie jest takie złe - oznajmiła w końcu i zaczęła czyścić nożem paletę, zgarniając zaschnięte skrawki farby do małego pudełeczka.

Trzymałem mokre płótno, podczas gdy ona składała sztalugi i chowała wszystko.

- Jesteś głodna? Powinniśmy wcześniej się położyć, bo jutro czeka nas wielki dzień.

Od razu poczułem niezgrabność swoich słów; mogło to brzmieć tak, jakbym ciągnął ją do łóżka i jednocześnie traktował protekcjonalnie.

Ku mojemu zaskoczeniu obróciła się błyskawicznie w mroku, chwyciła mnie roześmiana i unikając zetknięcia z płótnem, mocno pocałowała.

- Może przestaniesz się w końcu martwić? Proszę, przestań.

Ja też się roześmiałem - z ulgą, odrobinę zawstydzony.

- Postaram się.

86  
1879

Tego wieczoru, w salonie, siedzi blisko niego, nie zaś naprzeciwko. Jej dłonie nie mogą się skupić na hafcie; zostawia robótkę na kolanach i obserwuje go. Olivier czyta, starannie uczesana głowa pochyla się nad książką. Otomana, którą wybrał, jest za krótka na jego długie nogi. Zmienił ubranie do kolacji, ale ona wciąż widzi jego wytarty surdut pod szorstkim kitem malarskim. On podnosi wzrok i proponuje z uśmiechem, że będzie czytał głośno. Ona się zgadza. To *Czerwone i czarne*; czytała to już dwukrotnie, raz sama, a raz Papie, i była poruszona, często też nie kryjąc irytacji, postacią nieszczęsnego Juliana. Teraz nie jest w stanie słuchać uważnie.

Patrzy na jego wargi, odczuwając dojmująco własną bezmyślność, smutną niemożność podążania za słowami. Po kilku minutach Olivier odkłada książkę.

- W ogóle nie słuchasz, moja droga.

- Tak, obawiam się, że nie słucham.

- Jestem pewien, że wina nie leży po stronie Stendhala, więc pozostaję ja. Czy zrobiłem coś niewłaściwego? No cóż, owszem, wiem o tym.

- Ależ nonsens! - To jedyna forma gniewu, jaki może okazać w tym eleganckim otoczeniu, w obecności innych gości. - Przestań.

Przygląda jej się uważnie.

- Wobec tego przestanę.

- Proszę, wybacz mi. - Zniża głos, mimowolnie dotykając koronki na dekolcie sukni. - Nie wiesz po prostu, jakie wrażenie na mnie robisz.

- Wrażenie człowieka irytującego, być może? - Lecz pewność siebie, widoczna w jego uśmiechu, rozbraja ją do reszty. Sam doskonale wie, że przykuł jej uwagę. - Dobrze, pozwolisz, że przeczytam ci coś innego. - Szuka pośród odrzuconych tomów na półce właścicielki pensjonatu. - Coś podnoszącego na duchu, *Mity greckie*.

Ona sadowi się wygodnie z robótką na kolanach, ale jego pierwszy wybór jest czymś w rodzaju psoty.

- *Leda i łabędź*. Leda była dziewicą o rzadkiej piękności i z daleka przyciągała podziw potężnego Zeusa. Pojawił się przed nią pod postacią łabędzia... - Podnosi wzrok znad książki i patrzy na nią. - Biedny Zeus. Nie mógł się powstrzymać.

- Biedna Leda - poprawia go powściągliwie; powraca dawny spokój. Potem przecina nóżkami. - To nie była jej wina.

- Przypuszczasz, że Zeusowi podobało się być łabędziem, pomijając zaloty wobec Ledy? - Olivier opiera właśnie otwartą książkę o kolano. - Mniejsza z tym, podobało mu się zapewne wszystko, co czynił, z wyjątkiem być może łajania innych bogów, kiedy było to konieczne.

- Och, nie wiem - wtrąca dla przyjemności, jaką daje dyskusja; dlaczego z nim zawsze jest to przyjemność? - Może pragnął pod postacią ludzką odwiedzić cudowną Ledę albo przez kilka godzin być po prostu człowiekiem, prowadzić zwykłe życie.

- Nie, nie. - Olivier bierze książkę i znowu odkłada. - Obawiam się, że muszę zaprzeczyć. Pomyśl o radości, jaką sprawiało mu przybranie postaci łabędzia, unoszenie się ponad krajobrazem, odkrywanie Ledy.

- Tak, chyba masz słuszość.

- Byłby z tego wspaniały obraz, czyż nie? Coś, co jury Salonu przyjęłoby z aprobatą. - Milczy przez chwilę. - Oczywiście historia ta była już wcześniej tematem wielu dzieł. A gdyby przedstawić ją w nowy sposób, w nowym stylu - stary temat, ale namalowany z myślą o naszej epoce, bardziej naturalnie?

- Rzeczywiście. Może byś spróbował?

Odkłada nożyczki i patrzy na niego. Jego entuzjazm, jego obecność zalewają ją falą miłości; czuje ją w krtani, w kąciakach oczu, w całej sobie, układając robótkę na kolanach.

- Nie - mówi zdecydowanie Olivier. - Mógłby tego dokonać tylko malarz śmielszy ode mnie, ktoś o wielkim uwielbieniu i wyczuciu łabędzi, ale też o nieustraszonej pędzla. Ty na przykład.

Znów bierze się do wyszywania, do igły, jedwabiu.

- Nonsens. Jak mogłabym namalować coś takiego?

- Z moją pomocą - podsuwa.

- Och, nie. - Niemal zwraca się do niego per „najdroższy”, ale tłumy w sobie to słowo.

- Nigdy nie porwałam się na takie płótno, tak skomplikowane, poza tym wymagałoby modelki dla Ledy, odpowiedniej scenerii.

- Mogłabyś malować w plenerze. - Nie odrywa od niej oczu. - Może w ogrodzie? Nowe, świeże spojrzenie. Narysowałabyś łabędzia z Lasku Bulońskiego. Zresztą już to

robiłaś, i to znakomicie. A modelką byłaby twoja pokojówka, tak jak wcześniej.

- To takie... nie wiem. To dla mnie... dla kobiety... bardzo trudny temat. Jak madame Rivière mogłaby przedstawić go jurorom?

- To byłaby jej walka, nie twoja. - Mówi jak najbardziej szczerze, ale jednocześnie uśmiecha się nieznacznie, oczy mu błyszczą jaśniej niż przed chwilą. - Bałabyś się, gdybym ci pomagał? Nie chciałabyś zaryzykować? Okazać odwagi? Czyż nie ma rzeczy liczących się bardziej niż cenzura publiki, rzeczy, na które należy się ważyć i którymi trzeba się cieszyć?

Nadszedł ten moment; jego wyzwanie, jej przerażenie, jej tęsknota, wszystko to wzbiera w jej piersi.

- Gdybyś mi pomógł...?

- Tak. Bałabyś się?

Zmusza się do tego, by na niego spojrzeć. Tonie. On się domyśli, że go pragnie, pragnie go naprawdę, nawet jeśli stara się uciec od wymówienia tych słów.

- Nie - dopowiada z namysłem, wolno. - Gdybyś mi pomagał, nie bałabym się. Nie sądzę, bym mogła się tak naprawdę bać czegokolwiek. Gdybyś był ze mną.

Patrzy jej prosto w oczy, bez uśmiechu; nie ma w nim triumfu, niczego, co mogłaby przypisać próżności. Jeśli coś dostrzega, to jedynie to, że jest bliski łez.

- Wobec tego ci pomogę - zapewnia tak cicho, że ona ledwie słyszy jego słowa.

Nic nie mówi, sama bliska łez.

Przygląda jej się przez długą chwilę, potem bierze do ręki książkę z kolan.

- Chcesz posłuchać historii Ledy?

Zjedliśmy kolację przy stoliku obok baru, na otwartym tarasie, gdzie mogliśmy słyszeć grzmot fal, niemalże widocznych, i patrzeć na ruchliwe liście palm kokosowych. Popołudniowy wietrzyk, który przemienił się już w silny wiatr, szarpał nimi, powodując głośny szelest, ten dźwięk zaś był równie uporczywy jak odgłos oceanu, i znów pomyślałem o *Lordzie Jimie*. Spytałem Mary, co czyta, a ona zaczęła mi opisywać jakąś współczesną powieść, o której nie słyszałem, przekład dzieła młodego wietnamskiego autora. Moja uwaga wędrowała między jej słowami a oczami, dziwnie przyćmionymi w migotliwym blasku naszej świecy, czasem też skupiała się na jej wąskich kościach policzkowych. Kelnerzy wspinali się na stołki, żeby zapalić pochodnie w dwóch kamiennych wazach, wysoko ponad butelkami i kieliszkami; bar wyglądał jak ołtarz ofiarny - spektakularny efekt w duchu Majów czy Azteków, dzieło jakiegoś designera.

Zauważyłem, że Mary też jest lekko rozkojarzona, choć nadal mi opowiadała o opisywanych w książce uchodźcach w ich małych łodziach. Oprócz nas kolację w restauracji jadła jeszcze tylko jedna para, a troje dzieci drażniło szkarłatną arę, która kilka metrów dalej stroszyła pióra, siedząc na żerdzi. Z wiatru wyłaniali się turyści: człowiek na wózku inwalidzkim, który pchała młodsza kobieta, pochylona nad mężczyzną, by mu coś powiedzieć, rodzina o wypomadowanych włosach, która spacerowała, przyglądając się płaskim turkusowym fontanom i poirytowanemu ptakowi.

Obserwując to wszystko, czułem się jakby podzielony na dwie równe części: połowa chłoneła obecność Mary - blade włoski na jej ramionach i jeszcze drobniejszy puszek, niemal niewidoczny, na policzku pogrążonym w blasku świecy - a połowa była zafascynowana nowością tego miejsca, jego zapachami i odbijającymi echo przestrzeniami, ludźmi zmierzającymi... ku jakim przyjemnościom? Rzadko bywałem w takich przybytkach; moi rodzice nigdy nie wierzyli w podobne doznania ani w sens wydawania na nie pieniędzy, a moje dorosłe życie obracało się głównie wokół pracy, przerywanej sporadycznie pouczającą podróżą czy wyprawą malarską. Tu było jednak inaczej, przede wszystkim dzięki miękkości

wiatru, doskonałości każdej powierzchni, zapachowi soli i palm, ale też dzięki nieobecności dawnej architektury czy parku narodowego, czegoś, co można by studiować czy odkrywać, swoistego usprawiedliwienia; było to miejsce stworzone wyłącznie dla odpoczynku.

- Wszystko sprowadza się do wielbienia oceanu, prawda? - powiedziała Mary, a ja uświadomiłem sobie, że przerwała opis swej lektury, by dokończyć moją myśl. Zabrakło mi słów; poczułem ucisk w krtani. To był czysty przypadek, nasze zbieżne refleksje, ale chciałem nachylić się nad stolikiem i ją pocałować, chciałem niemal płakać - nad czym? Nad ludźmi, których znałem, a którzy już nie żyli albo którzy być może tęsknili za taką sytuacją, czy nad każdym, kto nie był w tym momencie mną, moją szczęśliwą jaźnią, z tym wszystkim, na co zdawałem się tak niecierpliwie czekać.

Skinąłem głową, dowodząc tym samym wyważonego sądu, jak miałem nadzieję, a potem jedliśmy w milczeniu. Przez kilka minut moją uwagę pochłaniał zapach guawy, salsy i delikatnej ryby, ale wciąż obserwowałem Mary albo pozwalałem, by ona mnie obserwowała. Zobaczyłem samego siebie, jakby po drugiej stronie baru znajdowało się lustro; już miałem za sobą najlepsze lata - ramiona szerokie, ale nieco przygarbione, włosy wciąż gęste, ale już z zaczątkami siwizny, zmarszczki biegnące od nosa do kącików ust pogłębione przez przyćmione światło, tułów (pod lnianą serwetką) tak szczupły, jak było to możliwe w moim wieku. Żyłem z tym ciałem przyjaźnie i niewymagająco przez bardzo długi czas, prosząc je tylko o to, żeby wiodło mnie do pracy i z powrotem i pozwoliło na ćwiczenia fizyczne kilka razy w tygodniu. Ubierałem je i myłem, karmiłem, zmuszałem do połykania witamin. Za godzinę czy dwie miałem je złożyć w dłonie Mary, jeśli wciąż by tego chciała.

Poczułem dreszcz, kiedy o tym pomyślałem, najpierw o przyjemności: jej palce na mojej szyi, między moimi nogami, moje dłonie na jej piersiach, które znałem tylko z niewyraźnego zarysu pod bluzką. Potem dreszcz wstydu: moje lata odsłonięte w blasku lampki przy łóżku, moja długa absencja miłosna, moja nagła i prawdopodobna porażka, jej rozczarowanie. Musiałem wyprzeć z głowy myśl o Kate i myśl o Robercie, dotykającym każdej z nich, Kate i Mary. Co ja tu robiłem z jego drugą kobietą? Była jednak dla mnie już kimś innym; po prostu sobą. Jak mógłbym z nią nie być?

- O Boże - westchnąłem głośno.

Mary spojrzała na mnie przestraszona, widelec, który podnosiła do ust, zastygł w powietrzu; jej zasłona włosów zsunęła się na jedno ramię.

- Nic - zapewniłem po chwili.

Spokojna, dyskretna, napiła się wody. Błogosławiłem ją w duchu za to, że nie jest jedną z tych kobiet, które pytają bezustannie: „O czym myślisz?” Tymczasem mnie płacą

krocie, żebym przez cały dzień zadawał to samo pytanie - uśmiechnąłem się mimowolnie. Przyglądała mi się, najwyraźniej zaskoczona, ale się nie odezwała. Była, co stwierdziłem w nagłym przyływie czułości, osobą, która nie chciała nawet wszystkiego wiedzieć. Otaczała się własną sferą, swą piękną nieśmiałością.

Jakby pozbawiono nas nagle słów, po kolacji poszliśmy w milczeniu na górę; w ciągu tych kilku sekund, które zabrało mi otwarcie drzwi do naszego pokoju, nie mogłem się zdobyć na to, by na nią spojrzeć. Zastanawiałem się, czy nie poczekać na korytarzu, kiedy będzie korzystała z łazienki, i doszedłem do wniosku, że większą niezręcznością z mojej strony byłoby pytać ją, czy chce, bym pozostał na zewnątrz, niż wejść z nią razem do naszego apartamentu. Więc podążyłem za nią do przestrzeni, którą dzieliliśmy, a potem z zostawioną przez kogoś gazetą, to był „Washington Post”, położyłem się w ubraniu na łóżku, podczas gdy ona za zamkniętymi drzwiami łazienki brała prysznic. Kiedy wyszła, miała na sobie jeden ze szlafroków hotelowych, biały i gruby, na który opadał wachlarz mokrych włosów. Jej twarz i szyja były zarumienione. Oboje trwaliliśmy w bezruchu, patrząc na siebie.

- Też wezmę prysznic - oznajmiłem, starając się złożyć gazetę, by zostawić ją na łóżku, ot tak, po prostu.

- W porządku - przytaknęła.

Jej głos wydawał się stłumiony i odległy. Żałuję tego, pomyślałem. Żałuję, że się zgodziła tu przyjechać, że dała się wpakować w tę sytuację ze mną. Jak gdyby wpadła w pułapkę. A ja poczułem się nagle bezwzględny - fatalna sprawa; byliśmy tu obydwoje i musieliśmy przez to przejść, najlepiej jak potrafiliśmy. Wstałem, nie próbując się do niej ponownie odezwać, i zdjąłem buty i skarpetki; moje stopy na dywanie wyglądały posępnie chudo. Wziąłem przybory toaletowe z walizki, a ona odsunęła się w kąt pokoju, żeby mnie przepuścić w drodze do łazienki. Dlaczego sobie wyobrażałem, że coś z tego wyjdzie? Człowiek w lustrze, ten, na którego patrzyłem, miał prawdopodobnie jedną wadę: nie był Robertem Oliverem. No cóż, do diabła z Robertem! Zdjąłem ubranie, starając się nie odrywać wzroku od łaty srebrnego mchu pośrodku własnej piersi. Przynajmniej zachowałem sylwetkę, mięśnie wzmocnione bieganiem, ale czy musiałem ją o tym przekonywać? W końcu nie było potrzeby czegokolwiek robić. Nie istniała możliwość odwrócenia historii, która stała się udziałem Mary. Byłem głupcem, jeśli sądziłem, że mi się uda.

Umylem się pod chłozzczącym prysznicem, wodą tak gorącą, że aż mnie bolało; namydliłem genitalia, choć pewnie by ich nie dotykała. Ogoliłem starannie przed lustrem brodę mężczyzny w średnim wieku i włożyłem drugi szlafrok hotelowy („Jeśli podobają ci się nasze szlafroki, możesz zabrać jeden do domu! Spytaj w sklepie w holu” - a potem



przyprawiająca o skurcz serca cena w peso). Wyszorowałem zęby i uczesałem osuszone z grubsza włosy. Coś jeszcze wydało mi się niemożliwe - dopuszczenie do siebie kogokolwiek na tak późnym etapie życia w sposób poważny; nie miałem co do tego wątpliwości. Zacząłem się zastanawiać, jak udałoby się nam zasnąć, gdybyśmy się wcześniej nie kochali. Wciąż mogłem poprosić o pojedynczy pokój dla siebie - zabrałbym ze sobą walizkę, a jej zostawiłbym podwójne łóżko i pozwolił odpoczywać w poczuciu prywatności i wygody. Miałem nadzieję, że zdołamy ustalić ten podział, cokolwiek oznaczał, bez kłótni, za to z godnością i w sposób cywilizowany. Zamierzałem powiedzieć jej w odpowiednim momencie, że zrozumie, jeśli postanowi wyjechać z Acapulco wcześniej. Kiedy już ustaliłem to sam ze sobą i zaciskając przez sekundę czy dwie pięść, żeby uspokoić oddech, byłem w stanie otworzyć drzwi; żałowałem jedynie tego, że porzucam swoje zaparowane schronienie, by wdać się w taką rozmowę.

Stwierdziłem ku swemu zdumieniu, że w pokoju jest ciemno. Przez chwilę sądziłem, że rozwiązała problem na własną rękę, przenosząc się gdzie indziej, a potem zobaczyłem jakiś kształt, połyskujący bielą - siedziała na brzegu łóżka, poza smugą blasku z łazienki. Ciemny odcień włosów zlewał się z mrokiem pomieszczenia, a zarysy nagiego ciała były niewyraźne, rozmazane. Sztywnymi i zmartwiałymi palcami zgasilem światło w łazience i zrobiłem w jej stronę dwa kroki, nim przyszło mi do głowy zsunąć z siebie szlafrok. Przerzuciłem go przez oparcie krzesła przy biurku - albo tam, gdzie, jak się domyślałem, krzesło stało - i zbliżyłem się do niej po kilku pełnych wahania krokach. Nawet wtedy nie miałem dość pewności siebie, by wyciągnąć do niej rękę, ale poczułem, jak się podnosi na spotkanie ze mną; ciepło jej oddechu owionęło moje usta, a ciepło skóry poruszyło mnie. Uświadomiłem sobie, że jestem wyziębiony. Wyziębiony od lat. Jej dłonie spoczęły niczym dwa ptaki na moich chłodnych, nagich ramionach. A potem z wolna zaczęła wypełniać wszystkie inne braki - moje nieme usta, wydrażone miejsca w piersi, puste ręce.

Po raz pierwszy zacząłem rysować elementy anatomii człowieka na kursie prowadzonym przez George'a Bo w Art League School - w ciągu długiego czasu zaliczyłem ten kurs dwukrotnie, a potem jeszcze jeden, malowanie ludzkiego ciała, ponieważ uświadomiłem sobie, że portrety, które próbowałem tworzyć, nigdy nie osiągną wyższego poziomu, jeśli nie nauczę się wszystkich mięśni twarzy, szyi, ramion, dłoni. Na zajęciach szkicowaliśmy je do znudzenia, ale w końcu przykrywaliśmy wszystko skórą - rysowaliśmy ją na tych długich, gładkich liniach, na mięśniach, które umożliwiają nam chodzenie, schylenie się i sięganie po coś. Nawet najbardziej spostrzegawcza osoba nie wie, jak dużo

kryje się w naszym ciele.

Kiedy zacząłem studiować anatomię jako artysta, wiele lat po studiach medycznych, zastanawiałem się, czy to nowe spojrzenie nie każe mi znów patrzeć na ciało w sposób wyłącznie kliniczny. Oczywiście, że nie. Poznanie mięśni, które powodują powstawanie dołków po obu stronach podstawy kręgosłupa, nie stłumiło we mnie chęci pieszczona tych wgłębień; to samo dotyczy kręgosłupa, stanowiącego wyjątkową, długą linię podziału pleców. Potrafię narysować mięśnie, które pozwalają talii wyginać się w obie strony, choć nie potrzebuję ich w większości swoich portretów, ponieważ koncentruję się zwykle na ramionach i twarzy i dlatego lubię malować postać od mostka w górę. Za to znam dobrze tę kość, a także mięśnie, które ją okrywają i biorą z niej początek, zgrabne zakrzywienie obojczyka, gładkie ciało między nimi. Kiedy zachodzi taka konieczność, potrafię poprawnie narysować zmarszczenie mocnego, podtrzymującego ciało uda, długą płaszczyznę od kolana do pośladka, zwarte nabrzmienie ku wewnętrznej stronie nogi. Malarz pokazuje mięśnie przez skórę, przez ubranie, ale - ona czy on - przedstawia w ten sposób coś jeszcze, coś zarówno ulotnego, jak i niezmiennego: ciepło ciała, jego żar i pulsującą rzeczywistość, życie. I, w konsekwencji, jego ruchy, ciche dźwięki, falę uczuć, która wznosi się i zalewa nas, kiedy jesteśmy kochani dostatecznie mocno, by o sobie zapomnieć.

W pewnej chwili, kiedy zbliżał się poranek, Mary wtuliła głowę w moją szyję i zasnęła, a ja, kołysząc ją całą w swych pustych uprzednio ramionach, też od razu zasnąłem, z policzkiem w jej włosach.

88  
1879

Tego wieczoru, w swoim rozjaśnionym blaskiem świecy pokoju, wpatruje się w książkę do późnych godzin, nie widząc słów, nie rozumiejąc ich. Kiedy zegar na dole wybija północ, rozczesuje włosy i wiesza ubranie w szafie. Wkłada drugą koszulę nocną - najlepszą, z drobnymi marszczeniami na dekolcie i przy rękawach, z milionem fałdek na piersiach - na to zaś narzuca szlafrok. Myje sobie twarz i ręce w misce, bezszelestnie wkłada obszyte złotem pantofle, bierze klucz i zdmuchuje świece. Klęka przy łóżku i odmawia krótką modlitwę, podzwonne dla łaski, którą traci, i prośbę o wybaczenie. Kiedy zamyka oczy, widzi przewrotnie i perwersyjnie Zeusa.

Jej drzwi nie skrzypią. Kiedy naciska klamkę jego drzwi na końcu korytarza, okazuje się, że nie są zamknięte, co przyprawia jej serce o łomot zrodzony z pewności; zamyka je za sobą z nieskończoną ostrożnością i przekręca klucz w zamku. On też czytał do tej chwili, w fotelu obok zasłoniętego okna, przy blasku pojedynczej świeczki na biurku. Jego twarz jest stara, w tym skąpym świetle przypomina czaszkę, ona zaś tłumi w sobie gwałtowne pragnienie, które nakazuje jej wrócić do swojego pokoju. Wtedy jego oczy napotyka jej oczy, są poważne, miękkie. Ma na sobie szkarłatny szlafrok, którego nigdy nie widziała. Zamyka książkę, zdmuchuje świece i podnosi się z miejsca, by rozchylić nieznacznie zasłony; ona rozumie, że teraz będą się widzieć niewyraźnie w blasku lamp gazowych, sączącym się z ulicy, nie będąc obserwowani z zewnątrz. Nie porusza się. On podchodzi do niej i kładzie jej delikatnie dłonie na ramionach. Szuka jej spojrzenia w mroku. „Moja droga” - szepcze. Potem wymawia jej imię.

Całuje jej usta, zaczynając od kącika. Zza zasłony jej lęku i zwątpienia wyłania się jakiś widok, droga w blasku słońca, gdzieś, gdzie zapewne spacerował na wiele lat przedtem, zanim go poznała, na wiele lat przed jej narodzinami, droga, wzdłuż której rosną platany. Całuje jej usta, kawałeczek po kawałeczku. Ona w odpowiedzi kładzie mu dłonie na ramiona, jego kości pod jedwabnym materiałem są zwarte, mechanika dobrze skonstruowanego zegara, konar majestatycznego drzewa. Pije z jej ust, smakuje zawartą w nich młodość, mówiąc w tę

wydrażoną pustkę wewnątrz niej słowa, których przed dziesiątkami lat nauczyła go miłość, jakby wrzucał do studni maleńki kamyczek.

Kiedy ona dyszy, on się prostuje, rozpina jej szlafrok, zaczynając od najwyższego perłowego guzika, i wnika pod materiał zwiniętą w miseczkę, czułą dłonią, i zsuwa z jej ramię okrycie, które spływa z wolna na podłogę. Przez chwilę ona się lęka, że to dla niego tylko jeszcze jedna lekcja anatomii, dla tego światowca, starego mistrza pędzla, przyjaciela modelek. Potem jednak dotyka jej ust dłonią, a drugą sięga powoli w dół, ona zaś dostrzega błysk, strużkę słonej cieczy na jego twarzy. To on zrzuca skórę, nie ona; to jego będzie pocieszać w swych ramionach niemal do rana.

*MARLOW*

Caillet mieszkał w domu nad zatoką Acapulco, na gęsto zabudowanej ulicy, wysoko ponad bezmiarem wody. Była to dzielnica eleganckich budynków z suszonej cegły, o tynkowanych, porośniętych bugenwillą ścianach, w otoczeniu oleandrów. Na dzwonek przy furtce odpowiedział wąsaty mężczyzna w białej marynarce, takiej, jaką noszą kelnerzy. Inny mężczyzna, w brązowej koszuli i brązowych spodniach, podlewał starannie trawę i drzewko pomarańczowe. Na gałęziach śpiewały ptaki, a po okiennicach wspinały się krzewy różane. Mary, stojąc obok mnie w swojej długiej spódnicy i bladej bluzce, rozglądała się wokoło - wiedziałem, że jej uwagę przykuwają kolory - czujna niczym kot, trzymając mnie bez zakłopotania za rękę. Zadzwoiłem tego ranka do Cailleta, by się upewnić, że nas oczekuje; dodałem też, że mam nadzieję, iż nie będzie się sprzeciwiał, jeśli przyprowadzę ze sobą koleżankę po fachu, na co zgodził się z powagą. Jego głos w telefonie był dojrzały i głęboki, o francuskim być może akcencie.

Teraz otworzyły się drzwi pośród kwiatów i na spotkanie wyszedł nam jakiś człowiek - sam Caillet, jak się natychmiast zorientowałem. Nie był wysoki, ale odznaczał się wyrazistą osobowością. Nosił czarną indyjską marynarkę i ciemnoniebieską koszulę, w dłoni trzymał zapalone cygaro; otaczał go dym. Włosy miał gęste i białe, skórę ceglana, jakby meksykańskie słońce przez lata przygotowało go o tajemniczą chorobę. Z bliska jego uśmiech wydawał się szczery, ciemne oczy były lekko spłowiałe. Ucisnął nam dłonie.

- Dzień dobry - powiedział tym samym barytonem co przez telefon i zdawkowo pocałował Mary w rękę, a potem otworzył nam szeroko drzwi.

Wnętrze domu było bardzo chłodne - klimatyzowane, o grubych ścianach. Caillet poprowadził nas przez hol o niskim suficie i kilkoro drzwi o żywych kolorach do rozległego pokoju z kolumnami. Przyłapałem się na tym, że patrzę ze zdumieniem na obrazy, których klasa i jakość dosłownie biła ze ścian. Umeblowanie było nowoczesne i dyskretne, o identycznym wzorze, ale te obrazy wisiały po cztery czy pięć w rzędzie, od wysokości ludzkiej talii aż po sufit, istny kalejdoskop. Obejmowały szeroki wachlarz stylów i epok,

począwszy od płócien, które wyglądały jak siedemnastowieczne dzieła Holendrów i Flamandów, a skończywszy na abstrakcjach i niepokojącym portrecie, który, o czym byłem przekonany, wyszedł spod ręki Alice Neel. Jednak dominował impresjonizm: słoneczne pola, ogrody, topole, woda. Zdawało się, jakbyśmy przekroczyli próg dzielący Meksyk od Francji i wkroczyli w inne światło. Oczywiście, niektóre z otaczających nas obrazów mogły pochodzić z dziewiętnastowiecznej Anglii czy Kalifornii, ale widać było na pierwszy rzut oka, że patrzymy na dziedzictwo Cailleta, na miejsca, które znał zapewne osobiście i które przewędrował; niewykluczone, że był to powód, dla którego kolekcjonował te wizerunki i sceny.

Posłyszałem, jak Mary się poruszyła; stała teraz, odwrócona, przed wielkim płótnem obok drzwi, przez które weszliśmy. Przedstawiało scenę zimową: śnieg, brzeg rzeki, krzewy złożone kremowym ciężarem puchu, powierzchnia wody zamarznęta na srebrną patynę z bladooliwkowymi łatami odkrytej toni, znajome pociągnięcia pędzla i warstwy farby, biel, która nie była bielą, złoto, lawenda, topornie nakreślone czarne nazwisko i data w dolnym prawym rogu. Monet.

Spojrzałem na Cailleta, który stał spokojnie obok swojej minimalistycznej sofy, a dym z jego cygara unosił się (szokująco) wokół tych wszystkich skarbów.

- Tak - powiedział, choć o nic nie spytałem. - Kupiłem go w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym w Paryżu. - Akcent miał ciężki, głos pod nim melodyjny i łagodny. - Był bardzo drogi, nawet wtedy. Ale nie żałowałem tego zakupu ani przez chwilę.

Dał nam znak, żebyśmy usiedli z nim na bladoszarym płótnie kompletu wypoczynkowego. Był tam szklany stolik, na nim jakaś kwitnąca koleczasta roślina i album malarstwa: *Antoine et Pedro Caillet: une rétrospective double*. Błyszcząca okładka przedstawiała dwa pionowe obrazy, głęboko różniące się między sobą pod względem koloru, ale umieszczone obok siebie w formie dyptyku; rozpoznałem styl niektórych abstrakcyjnych płócien w pokoju. Miałem wielką ochotę wziąć tę książkę do ręki i przejrzeć, ale nie chciałem się rządzić, tym bardziej że człowiek w białej marynarce wszedł właśnie z tacą pełną szklanek i dzbanków - lód, limetki, sok pomarańczowy, butelka wody gazowanej, bukiet białych kwiatów.

Caillet sam przygotował nam drinki. Zaczął sprawiać wrażenie równie milczącego jak Robert Oliver, ale wręczył bukiet kwiatów Mary - „Dla ciebie, młoda damo, żebyś je malowała”. Oczekiwałem, że się zjeży, co by zapewne zrobiła, gdybym to ja powiedział jej coś takiego, ona jednak się uśmiechnęła, a potem pogłaskała delikatnie płatki na okrytych ciemnym materiałem kolanach. Caillet strzepywał popiół z cygara do szklanej miski na

szklanym stoliku. Zaczekał, aż jego człowiek zamknie okiennice po jednej stronie, pogrążając w mroku połowę obrazów. Wreszcie zwrócił się do nas i powiedział:

- Chcielibyście dowiedzieć się czegoś o Béatrice de Clerval. Tak, byłem w posiadaniu jednego z jej pierwszych dzieł i - jak być może czytaliście - nie miała innego dorobku prócz wczesnego. Uważa się, że przestała malować w wieku dwudziestu ośmiu lat. Pamiętacie zapewne, że Monet malował do osiemdziesiątego szóstego roku życia, a Renoir do siedemdziesiątego dziewiątego. Picasso oczywiście pracował do śmierci, miał wtedy dziewięćdziesiąt jeden lat. - Wskazał wiszący za jego plecami cykl czterech obrazów, które przedstawiały walki byków. - Artyści na ogół pracują do końca. Widzicie więc, że ta Clerval stanowi dziwny przypadek, z drugiej jednak strony trzeba pamiętać, że w tamtych czasach nie zachęcano kobiet do kontynuowania kariery artystycznej. Niezwykle utalentowana osoba. Mogła się zaliczać do największych. Była tylko trochę młodszą od pierwszych impresjonistów - o jedenaście lat od Moneta na przykład. Pomyślcie o tym.

Zduślił niedopałek cygara w szklanej miseczce. Jego paznokcie wyglądały tak, jakby ktoś robił mu manikiur; nigdy jeszcze nie widziałem tak doskonałej dłoni u starego człowieka, a już z pewnością nie u malarza.

- Zostałaby wielką artystką, jak Morisot i Cassatt, gdyby sama nie zagroziła sobie drogi.

Znów rozsiadł się wygodnie.

- Wspomniał pan, że był w posiadaniu jednego z jej dzieł. Już pan go nie ma?

Nie mogłem się powstrzymać, by nie rozejrzeć się po tym przepastnym pokoju. Mary też wodziła wzrokiem po obrazach.

- Och, mam kilka. Sprzedałem większość w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym i trzydziestym siódmym, żeby spłacić długi. - Caillet przyglądał włosy do tyłu. Wydawało się, że nie żałuje w żaden sposób swojej decyzji. - Kupiłem jej obrazy od Henriego Robinsona, który, tak na marginesie, wciąż żyje. W Paryżu. Nie utrzymujemy kontaktów, ale widziałem całkiem niedawno jego nazwisko w artykule zamieszczonym w jednym z magazynów. Nadal pisze o literaturze, meblach i filozofii. O filozofii i bibelotach.

Pomyślałem, że prychnąłby ironicznie, jeśli byłbym człowiekiem, który robi to w obecności innych.

- Kto to jest Henri Robinson? - spytałem.

Caillet przyglądał mi się przez chwilę, po czym spuścił wzrok na kolczastą roślinę, która stała między nami.

- To znakomity krytyk i kolekcjoner sztuki, był też kochankiem córki Béatrice, Aude

de Clerval, aż do jej śmierci. Pozostawiła mu największe z pewnością dzieło matki, *Łabędzia i złodziei*.

Skinąłem głową, mając nadzieję, że będzie mówił dalej, gdyż w materiałach, które dotąd przeczytałem, nie znalazłem nawet wzmianki o tym płótnie. Zdawało się jednakże, że Caillet znów popadł w to swoje głębokie milczenie. Po chwili zaczął grzebać w wewnętrznej kieszeni marynarki i w końcu wyciągnął drugie cygaro, tym razem małe i cienkie, jakby dziecko tego pierwszego. Kolejne poszukiwania zaowocowały znalezieniem srebrnej zapalniczki, potem zaś jego piękne, wypielęgowane stare dłonie dokonały całego rytuału - zapalenie, ujmowanie cygara dwoma palcami. Zaciągnął się i po chwili w pomieszczeniu uniósł się dym.

- Znał pan osobiście Aude de Clerval? - spytałem w końcu. Zacząłem przypuszczać, że wyciągniemy od tego eleganckiego człowieka coś więcej niż tylko podstawowe informacje.

Znowu się odchylił, podpierając jedną rękę drugą.

- Tak - potwierdził. - Tak, znałem ją. Odebrała mi kochanka.

Po tym refleksyjnym stwierdzeniu zapadła bardzo długa cisza; Caillet palił powoli, a ja i Mary, jakby w niemym porozumieniu, nie wymieniliśmy spojrzeń. Rozmyślałem nad tym, co powiedzieć, żeby nie narazić na fiasko naszych poszukiwań, i wreszcie zdałem się na swoje zawodowe doświadczenie.

- To musiało być dla pana bardzo trudne.

Caillet uśmiechnął się.

- Och, tak, w tamtym czasie, ale dlatego, że byłem młody i uważałem, że to ma znaczenie. Tak czy inaczej lubiłem Aude de Clerval. Była na swój sposób wspaniałą kobietą i sądzę, że dała szczęście mojemu przyjacielowi. Umożliwiła mu także nabycie połowy mojej kolekcji, a to z kolei umożliwiło mnie i mojemu bratu - wskazał katalog muzealny na stoliku - malowanie. Tak więc życie rozwiązuje pewne kwestie. Aude chciała mieć obrazy swojej matki, te, które kupiłem, zwłaszcza *Łabędzia i złodziei*. Byłem w jego posiadaniu bardzo krótko. Pochodził z wyprzedaży paryskiego majątku Armanda Thomasa, młodszego z braci. - Caillet strzepnął popiół do szklanej popielniczki. - Aude sądziła, że jest to najwspanialszy obraz jej matki, a także ostatni, choć nie jestem tego pewien. Wszyscy byli zadowoleni, można powiedzieć. Lecz Aude zmarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym, więc Henri musiał egzystować bez niej przez długie lata. Najwidoczniej on i ja zostaliśmy obdarzeni przekleństwem długiego życia. Jest nawet starszy ode mnie, biedny człowiek, Aude zaś była starsza od niego o dwadzieścia dwa lata. Gej i niemłoda dama - tworzyli interesującą



parę. Serce się nie cofa. Tylko rozum.

Wydawał się tak długo pogrążony w tej refleksji, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie zażywa też innych substancji oprócz tytoniu i tequili albo czy po prostu jego długie chwile milczenia nie są owocem samotnego życia.

Tym razem to Mary przerwała jego rozmyślania, a jej pytanie mnie zaskoczyło.

- Czy Aude mówiła o swojej matce?

Caillet zerknął na nią, na jego ogorzałej twarzy pojawił się cień czujności, wspomnienie.

- Tak, czasem. Powiem wam, co pamiętam, choć nie jest tego dużo. Znałem ją tylko przez krótki czas, ponieważ kiedy Henri się w niej zakochał, wyjechałem z Paryża i przybyłem tutaj, do Acapulco. Dorastałem tu, rozumiecie. Mój ojciec był francuskim inżynierem, a matka Meksykanką, z zawodu nauczycielką. Pamiętam, że Aude powiedziała któregoś dnia, że jej matka była przez całe życie wielką artystką. „Nikt nie przestaje być artystą” - oznajmiła nam. A ja dowodziłem, że malarz, który przestał malować, nie jest już malarzem. Liczy się akt malowania. Siedzieliśmy wtedy w kafejce przy rue Pigalle. Innym razem powiedziała nam, że nigdy nie miała bliższej przyjaciółki niż matka, a Henri naprawdę sprawiał wrażenie zranionego. Sama nie była malarką, kolekcjonowała tylko dzieła swojej matki. Kiedy już kupiła ode mnie *Łabędzia i złodziei*, strzegła go zazdrośnie - tradycja, którą biedny Henri kontynuował, jak zakładam, ponieważ obraz nigdy nie został wystawiony i nigdy o nim nie pisano, o ile wiem. Myślę, że Henri pragnął Aude, ponieważ była taka kompletna, taka skończona, taka *parfaite*. Nie potrzebowała nikogo. On był po części Anglikiem - przez rodziców ojca - zawsze odrobinę outsiderem, a ona absolutnie, w każdym calu Francuzką. Może pragnął jej dowieść, że mogła mieć w życiu jedyne przyjaciela. Przetrwali razem wojnę w straszliwej biedzie. Był jej wierny do samego końca. Umierała powoli.

Caillet strzepnął popiół ze swego *cigarillo* i uniósł dłoń. Najwidoczniej, kiedy już zaczął, potrafił mówić dłużej.

- Aude nie była taką piękną jak jej matka, sądząc po tym małym portrecie Oliviera Vignota - innymi słowy, Béatrice de Clerval była piękną. Lecz Aude odznaczała się wysokim wzrostem i bardzo interesującą twarzą - Francuzi nazywają to *jolie laide*, brzydka w jednej chwili, w drugiej fascynująca. Sam raz ją malowałem, wkrótce po tym, jak się poznaliśmy. Henri zatrzymał ten obraz. Nieczęsto maluję portrety i nie ufam autoportretom. - Zwrócił się do Mary. - Maluje pani autoportrety, madame?

- Nie - odparła.

Caillet przyglądał jej się chwilę dłużej, opierając policzek na dłoni, jakby siedząca przed nim kobieta była wysłanniczką jakiegoś plemienia, którego obyczaje kiedyś badał. Potem znów się uśmiechnął, a pełna pobłażliwości dobroć tak bardzo odmieniła jego twarz, że zacząłem myśleć bezsensownie o tym, jaki uroczy byłby z niego dziadek - o ile oczywiście już nim nie był.

- Przyszliście tutaj zobaczyć obrazy Béatrice de Clerval, a nie słuchać gadatliwego Meksykanina. Pozwolicie, że je wam pokażę.

Natychmiast podnieśliśmy się z miejsc, ale nie od razu poszliśmy zobaczyć dzieła Béatrice. Caillet zafundował nam najpierw wycieczkę po domu, długą wycieczkę kolekcjonera, który kocha swoje obrazy i przedstawia je jak ludzi. Było tam małe płótno Sisleya, datowane na 1894 - kupił je w Arles, i to za bezcen, ponieważ potwierdził jego autentyczność jako pierwszy. Były tam też dwa płótna Mary Cassatt, przedstawiające kobiety pograżone w lekturze książek, i pastelowy pejzaż na szarym papierze, autorstwa Berthe Morisot, pięć smug zieloności, cztery błękitu, muśnięcie żółcienia. Ten właśnie najbardziej podobał się Mary: „Jest taki prosty. I doskonały”. Był też pejzaż impresjonistyczny tak piękny, że oboje się przed nim zatrzymaliśmy - zamek wznoszący się ponad gęstą zielenią; palmy, złote światło.

- To Majorka. - Caillet wskazał grubym palcem. - Matka mojej matki tam mieszkała, a ja ją odwiedzałem, kiedy byłem dzieckiem. Nazywała się Elaine Gurevich. Nie mieszkała oczywiście w samym zamku, ale często tam spacerowaliśmy. To jej obraz - była moją pierwszą nauczycielką. Uwielbiała muzykę, książki, sztukę. Spałem w jej łóżku i jeśli się obudziłem o czwartej nad ranem, zawsze czytała, a światło było zapalone. Kochałem ją chyba bardziej niż kogokolwiek. - Odwrócił się. - Gdyby tylko malowała więcej! Zawsze miałem wrażenie, że maluję w pewnym sensie dla niej.

Znaleźliśmy tu także dzieła dwudziestowieczne - de Kooninga i małego Klee, abstrakcje samego Pedra Cailleta i jego brata. Dzieło tego pierwszego było zadziwiająco kolorowe i żywe, podczas gdy Antoine skłaniał się bardziej ku srebrnym i białym liniom.

- Mój brat nie żyje - wyjaśnił bezbarwnym głosem Caillet. - Umarł sześć lat temu w Mexico City. Był moim największym przyjacielem; pracowaliśmy razem przez trzydzieści lat. Jestem bardziej dumny z osiągnięć Antoine'a niż z własnych. Był głęboką, refleksyjną osobą, cudowną osobą. Jego praca mnie inspirowała. Wybieram się do Rzymu na wystawę jego dzieł. To będzie moja ostatnia podróż. - Przygładził włosy. - Kiedy Antoine zmarł, postanowiłem zerwać z malarstwem. Wydawało mi się to w jakiś sposób czystsze: nie

kontynuować tego z uporem. Czasem jest lepiej dla artysty nie trwać zbyt długo. Oznacza to, że nie jestem już malarzem. Wraz z bratem pogrzebałem swój ostatni obraz. Wiecie, że Renoir kazał sobie pod koniec przywiązać pędzel do ręki? Podobnie jak Dufy.

To tłumaczyło te nieskazitelne paznokcie, pomyślałem, doskonale czyste niebiesko-czarne ubranie, brak woni atelier. Żałowałem, że nie mogę go spytać, co robi teraz z czasem, ale dom, równie perfekcyjny jak jego właściciel, stanowił oczywistą odpowiedź: nic. Caillet roztaczał wokół siebie aurę człowieka czekającego w zamyśleniu na umówione spotkanie, pacjenta, który zjawia się wcześniej pod gabinetem, nie przynosząc ze sobą książki ani gazety, ale nie racząc też wziąć do ręki któregośkolwiek z tych błyszczących magazynów. W przypadku Pedra Cailleta nierobienie niczego stanowiło najwidoczniej pracę na całym etacie; mógł sobie na to pozwolić, a jego obrazy dotrzymywały mu milczącego towarzystwa. Uderzyła mnie pewna rzecz, mianowicie to, że o nic nas nie pytał, z wyjątkiem autoportretów, o które zagadnął Mary; wydawało się, że w ogóle nie chce wiedzieć, dlaczego interesujemy się jego starymi przyjaciółmi. Uwolnił się nawet od ciekawości.

Z jaskini-salonu Cailleta do jadalni prowadziły żółto-czerwone drzwi. Tu znajdowało się coś innego: skarby sztuki ludowej Meksyku. Pośrodku stał długi zielony stół w otoczeniu niebieskich krzeseł, nad nim zaś wisiała lampa z dziurkowanej blachy, w kształcie ptaka, był też zabytkowy drewniany kredens - wszystko to z pewnością nie czekało na gości, którzy mogliby się zjawić na kolacji. Jedną ścianę zdobiła wyszywana tkanina: ludzie i zwierzęta w kolorze magenty, szmaragdu i pomarańczy na czarnym tle, zajmujący się swoimi sprawami. Przeciwległa ściana prezentowała (niezbornie, jak sobie pomyślałem) trzy impresjonistyczne obrazy i bardziej realistyczny portret ołówkiem, głowę kobiety, która sprawiała wrażenie dwudziestowiecznej. Caillet podniósł dłoń, jakby w geście powitania pod adresem płócien.

- Aude pragnęła mieć zwłaszcza te trzy oleje - wyjaśnił. - Więc odmówiłem ich sprzedaży. Poza tym byłem bardzo grzeczny i sprzedałem jej wszystkie pozostałe, całą swoją kolekcję, która nie była zbyt duża, może ze dwanaście płócien, gdyż Béatrice nie malowała wiele.

Obrazy były niezwykle, nawet na pierwszy rzut oka dowodziły niebywałego talentu impresjonistycznego. Jeden z nich przedstawiał złotowłosą dziewczynę przed lustrem. Pokojówka, niewyraźna postać w tle, przynosiła jej ubranie, a może zabierała coś z pokoju, albo po prostu przyglądała się swojej pani; ta odległa sylwetka, uchwycona przelotnie w zwierciadlanej powierzchni, miała w sobie coś ukradkowego, coś z ducha. Efekt był zachwycający, zmysłowy, niepokojący. Po raz pierwszy widziałem na własne oczy dzieło Béatrice de Clerval i w każdym z jej pozostałych obrazów, jakie później udało mi się

zobaczyć, kryła się ta budząca lęk niejasność. W rogu dostrzegłem mocno nakreślony znak w czerni, który sprawiał wrażenie ozdoby, niczym chiński ideogram, dopóki nie zidentyfikowałem liter: BdC, podpis.

Największe płótno olejne przedstawiało mężczyznę siedzącego na ławce w cieniu chropowato namalowanych kwitnących krzewów. Pomyślałem o ogrodzie z listów Béatrice i cofnąłem się o krok, by ujrzeć obraz w całej ostrości; poruszałem się ostrożnie, nie chcąc wpaść na niebieskie krzesła. Mężczyzna miał na sobie kapelusz, rozpiętą marynarkę i fular pod szyją. Czytał książkę. Na pierwszym planie znajdowały się olśniewająco wyraziste kwiaty, szkarłatne, żółte i różowe, płonące na tle zieleni, podczas gdy sam mężczyzna był zamazaną postacią, zrelaksowaną i opanowaną, ale, jak pomyślałem, niezbyt istotną dla kompozycji obrazu. Czyżby Béatrice de Clerval uważała swego męża za znacznie mniej określonego niż sam ogród? Czy też po prostu spowiła ich małżeńską intymność zamierzoną niewyrazistością?

Caillet, stojąc po drugiej stronie stołu, potwierdził niektóre z moich domysłów.

- Ten mężczyzna na obrazie to mąż Béatrice, Yves Vignot, o czym zaświadczyła ich córka Aude. Może wiecie, że Aude zmieniła po śmierci matki nazwisko z Vignot na Clerval - fanatyczna lojalność, jak przypuszczam, a może uświadamiała sobie wielkość matki jako artystki i chciała uszczknąć dla siebie odrobinę tej chwały. Była z niej zbyt dumna.

Przeszedł na koniec jadalni i stanął tam, przyglądając się porcelanowej kaczce, w której tkwiły świece, stojącej na szafce z perforowanej blachy. Mary i ja skupiliśmy uwagę na trzecim płótnie Béatrice de Clerval, przedstawiającym staw w parku; jego płaską powierzchnię marszczył delikatnie wiatr, który wprowadzał zamęt w odbicia pochylających się nad wodą drzew. Ta kunsztowna scena rozjaśniona była przez kwietny ogród na jednym końcu stawu i kształty ptaków na wodzie, wśród nich łabędzia, który właśnie rozpościerał skrzydła do lotu. Było to niezwykle dzieło sztuki; pomyślałem, że - przynajmniej w moich oczach - żonglowanie światłem na powierzchni stawu niemal dorównuje Monetowi. Dlaczego ktoś tak utalentowany miałby rezygnować z malarstwa? Kształt łabędzia, pospiesznie umieszczonego na płótnie, stanowił samą esencję lotu, nagłego i swobodnego ruchu. Mary zauważyła:

- Musiała obserwować mnóstwo łabędzi.

- Jest absolutnie żywy - przyznałem i zwróciłem się do Cailleta, który stał oparty o jedno z krzeseł i obserwował nas z uwagą. - Wie pan, gdzie zostało to namalowane?

- Aude powiedziała mi... kiedy prosiła mnie, żebym sprzedał jej ten obraz... że to Lasek Buloński, niedaleko ich domu w Passy. Jej matka namalowała to płótno w czerwcu

tysiąc osiemset osiemdziesiątego, tuż przed rezygnacją z malowania. Nazwała je *Ostatni łabędź* - tak w każdym razie jest napisane na odwrocie. Ten obraz naprawdę jest wspaniały, prawda? Henri za wszelką cenę pragnął go odkupić dla Aude. Pisał do mnie w tej sprawie trzykrotnie, kiedy umierała. Za trzecim razem był to bardzo gniewny list, absolutnie nie w jego stylu. - Machnął ręką, jakby to uczucie targające jego przyjacielem nie miało już żadnego znaczenia. - Wierzę, że był to ostatni obraz, który wyszedł spod ręki Béatrice de Clerval, choć nie mogę tego udowodnić. Ale wyjaśniałoby to tytuł - to jej ostatni łabędź - i fakt, że nigdy nie zdołałem dowiedzieć się niczego o jakimkolwiek płótnie noszącym późniejszą datę. Henri uważa oczywiście, że to jego obraz jest ostatnim - ten zatytułowany *Łabędź i złodzieje*. Dziwnie się przy tym upiera. Jest prawdą, że nie było starszego na pierwszej wystawie jej dzieł, która miała miejsce w latach osiemdziesiątych w Musée de Maintenon w Paryżu. Słyszeliście o niej? Wypożyczyłem organizatorom to duże płótno. Ostatecznie nie ma większego znaczenia, czy jest ostatnie - dodał, pochylając się z wolna, wsparty dłońmi o krzesło. - To wspaniały obraz, jeden z najlepszych w mojej kolekcji. Zostanie tu, dopóki nie umrę.

Nie wyjaśnił, co mogłoby się stać z tym obrazem po jego zgonie, a ja postanowiłem o to nie pytać, wskazałem natomiast portret narysowany ołówkiem.

- Kto to jest?

Trudno było uznać ten portret za dzieło profesjonalisty - wizerunek kobiety o falistych krótkich włosach, jak u gwiazdy filmowej z lat trzydziestych, trochę nieporadny pod względem techniki, ale też wyrazisty, jeśli chodzi o oczy, które były pełne życia, i cienkie, zmysłowe usta. Zdawała się raczej patrzeć niż mówić, jakby postanowiła się nie odzywać, teraz czy później, to zaś intensyfikowało siłę jej spojrzenia. Nie była na dobrą sprawę ładna, ale miała w sobie coś atrakcyjnego, a nawet przykuwającego uwagę; nie chciała być ładna i w tej niechęci przejawiała się śmiałość.

Caillet przechylił na bok głowę.

- To Aude - wyjaśnił. - Dała mi ten portret, kiedy jeszcze byliśmy przyjaciółmi, a ja zachowałem go na jej cześć. Powiesiłem go obok obrazów Béatrice, bo uważałem, że jej się to spodoba. Jestem pewien, że wciąż jej się to podoba. Gdziekolwiek Aude teraz przebywa.

- Kto to narysował?

W rogu widniała data: 1936

- Henri. Sześć lat po ich spotkaniu. Rok przed moim wyjazdem. Miał trzydzieści cztery lata, ja dwadzieścia cztery, a Aude pięćdziesiąt sześć. Zatem ja mam jego portret Aude, a on ma mój - godna podziwu symetria. Tak jak wam mówiłem, nie była piękna... w

przeciwieństwie do niego.

Odwrócił się, jakby ta rozmowa osiągnęła swój logiczny koniec, i jeśli chciał, aby tak było, to nic nie mogłem na to poradzić. Wyobraziłem sobie ich wszystkich: wyjechał do Meksyku tuż przed wojną, uciekając nie tylko przed kłopotami miłosnymi, lecz także przed nadchodzącą katastrofą Europy. Był o dziesięć lat młodszy od Henriego i ktoś taki jak on, artysta ledwie po dwudziestce, musiał uważać pięćdziesięciosześcioletnią Aude za kobietę wiekową (była tylko o cztery lata starsza ode mnie, co sobie uświadomiłem z ukłuciem bólu). Jednak kobieta na rysunku nie wyglądała na starą, nie wyglądała też jak Béatrice de Clerval, jeśli można było wierzyć portretowi Vignota. W najmniejszym stopniu, pomijając być może błysk oka. Gdzie i jak Aude i Henri przeżyli wojnę? Oboje ją przetrwali.

- A więc Henri Robinson wciąż żyje? - Nie mogłem się powstrzymać od tego pytania, kiedy Caillet, idąc przodem, prowadził nas z powrotem do swojej galerii w salonie.

- Żył w zeszłym roku - odparł, nie odwracając się. - Przesłał mi kartkę w swoje dziewięćdziesiąte siódme urodziny. Przypuszczam, że kiedy człowiek kończy tyle lat, to przypomina sobie dawne miłości.

Kiedy znów stanęliśmy przy sofach, nie wskazał łaskawie, byśmy usiedli, tylko tkwił nieruchomo na środku pokoju. Uświadomiłem sobie, że sam musi mieć osiemdziesiąt osiem lat. Wydawało się to nieprawdopodobne. Stał przed nami, pełen męskiego wdzięku i wyprostowany, ciemnoczerwona skóra była gładka, siwe włosy gęste i zaczesane starannie do tyłu, czarna marynarka o niezwykłym kroju nieskazitelnie wyprasowana - przykład doskonale zachowanego człowieka, jakby natrafił gdzieś przypadkiem na dar wiecznego życia i był nim nawet odrobinę znużony, choć przez grzeczność nie chciał tego okazywać.

- Jestem zmęczony - oznajmił, chociaż sprawiał wrażenie kogoś, kto może tak stać przez cały dzień.

- Był pan bardzo miły - odparłem bez wahania. - Proszę mi wybaczyć, że spytam o coś jeszcze. Za pańskim pozwoleniem chciałbym napisać do Henriego Robinsona i poprosić o dodatkowe informacje na temat Béatrice de Clerval. Czy ma pan jego adres i czy byłby pan gotów mi go podać?

- Oczywiście - powiedział, krzyżując ramiona, pierwszy gest zniecierpliwienia, który u niego dostrzegłem. - Proszę poczekać, zaraz to załatwimy.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju; po chwili usłyszeliśmy, jak woła kogoś starannie kontrolowanym, niskim głosem. Wrócił niebawem ze starym, oprawionym w skórę notesem, w towarzystwie człowieka, który przyniósł nam wcześniej tacę z drinkami. Dyskutowali przez

moment, a potem mężczyzna napisał coś na kartce, podczas gdy Caillet patrzył w milczeniu.

Podziękowałem im obu - był to adres w Paryżu, z numerem mieszkania. Caillet zajrzał mi przez ramię, sprawdzając, czy wszystko się zgadza.

- Może pan przekazać mu ode mnie najlepsze życzenia: od jednego starego Francuza dla drugiego.

Potem się uśmiechnął, jakby dostrzegł z bardzo daleka coś znajomego, a ja poczułem wyrzuty sumienia, że poprosiłem go o tak osobistą przysługę.

Zwrócił się do Mary.

- Do widzenia, moja droga. Jakże miło znów widzieć piękną kobietę.

Podala mu rękę, a on ucałował ją z szacunkiem, choć bez serdeczności.

- Do widzenia, *mon ami*. - Wymieniliśmy uścisk dłoni; jego był mocny i suchy, jak poprzednio. - Zapewne nie zobaczymy się więcej, ale życzę szczęścia w pańskich poszukiwaniach.

Odprowadził nas w milczeniu do drzwi, które nam otworzył; tym razem nie zauważyłem nigdzie służącego. „Do widzenia, do widzenia” - powtarzał, ale tak cicho, że ledwie go słyszeliśmy. Odwróciłem się na ścieżce prowadzącej do furki i pomachałem mu jeden raz; stał w otoczeniu swych róż i bugenwilli, niewiarygodnie wyprostowany, przystojny, przepojony wonią kwiatów, samotny. Mary też pomachała i skinęła bez słowa głową. Nie uczynił żadnego gestu.

Tego wieczoru, kiedy kochaliśmy się dopiero po raz drugi - zanurzając się w nurt z większą pewnością siebie, starzy kochankowie po jednej nocy - poczułem, że Mary ma policzki mokre od łez.

- Co się stało, kochanie?

- Nic, tylko... wiesz, ten dzisiejszy dzień.

- Caillet? - domyśliłem się.

- Henri Robinson - powiedziała. - Przez tyle lat troszczył się o starą kobietę, którą kochał.

Przesunęła dłonią po moim ramieniu.



# 91

## 1879

Schodzi na śniadanie trochę spóźniona, ale świeża, umyta, tylko powieki ma ciężkie. Jej ciało jest jakby nowe, nie poznaje go; włosy ułożyła w niewyszukanym stylu, zawsze tak robi, gdy nie ma przy niej Esmé. Czuje w sobie jakiś ucisk. Może to rzeczywistość grzechu, kiedy człowiek ma świadomość kształtu własnej duszy i czuje, jak ta kołacze się i ociera boleśnie w jego wnętrzu. Jednakże jej serce, co przyprawia ją o rumieniec wstydu, jest lekkie, a dzięki temu poranek wydaje się jasny - morze na zewnątrz to gigantyczne zwierciadło; muślin spódnic, kiedy składa na nim dłonie, jest przyjemny w dotyku. Pyta właścicielkę pensjonatu o Oliviera, nieszczerze, starając się patrzeć jej prosto w oczy. Starsza dama mówi, że *monsieur* wyszedł wcześniej na spacer i zostawił kopertę na stoliku w holu wejściowym. Kiedy Béatrice tam idzie, listu nie ma; być może sam go zabrał, by wręczyć jej kopertę osobiście. Potem o to spyta.

Kobieta stawia przed nią gorącą kawę i bułeczki, do tego tarteletkę; ta tęga starsza osoba w niebieskiej sukni, przygarbiona w ramionach i talii, jest w wieku Oliviera. Béatrice odczuwa coś w rodzaju upokorzenia wobec tej damy, którą Olivier mógłby poślubić i uczynić szczęśliwą. Potem myśli o pewnym fragmencie nocy, o czymś, o szczególnej pieszczocie, która trwała co najwyżej dwie czy trzy minuty, ale pozostała na jej skórze jak zjawa. Pyta pokornie, czy jest więcej masła, i słyszy, jak kobieta wymawia na przydechu *oui*, czuje też ciepłą, bezosobową dłoń na swoim ramieniu. Zastanawia się, dlaczego ma większe wyrzuty sumienia wobec tej obcej osoby w fartuchu, pełnej zadowolenia, niż wobec Yves'a, przepracowanego i zdradzonego już męża. Ale to prawda. Tak właśnie jest.

I oto się pojawia - Yves Vignot. To jedna z dwóch najdziwniejszych chwil w jej życiu. Wchodzi do sali jadalnej niczym halucynacja, ściągając rękawiczki, kapelusz i laska zostały już gdzieś w holu - teraz sobie przypomina, że słyszała, jak drzwi się otwierają i zamykają. Jej mąż wypełnia sobą mały pensjonat, jest wszędzie, plama eleganckiej ciemnej marynarki, brodaty uśmiech, jego *eh, bien!* Liczył na to, że ją zaskoczy, ale zaskoczenie, które w niej wzbiera falą, jest niemal równe omdleniu. Przez chwilę ten przyjemny prowincjonalny salon,

trochę niewyszukany i nieznaną jej wcześniej, zlewa się w jedno z ich mieszkaniem w Passy, jakby jej rozkosz, jej wina mogły przyciągnąć do niej Yves'a albo ją do niego.

- Naprawdę cię wystraszyłem! - Rzuca rękawiczki na stolik i podchodzi, by ją ucałować, a jej udaje się wstać odpowiednio szybko. - Przepraszam, moja droga. Powinienem być mądrzejszy. - Jego twarz to sam żal. - I wciąż jesteś odrobinę niezdrowa. Jakże mogłem sobie wyobrazić, że zrobię ci niespodziankę!

Jego pocałunek na jej policzku jest ciepły. Chodzi zapewne o to, by odzyskała równowagę.

- Cóż za urocze zaskoczenie! - udaje jej się powiedzieć. - Jak się wyrwałeś?

- Powiedziałem, że moja ukochana żona jest chora i że muszę ją zobaczyć; och, nie wspominałem o jakiejś groźnej chorobie, ale szef okazał współczucie, a że wszyscy pozostali to moi podwładni... - urywa znacząco, z uśmiechem.

Nie bardzo wie, co powiedzieć, by nie zdrzął jej głos albo żeby nie zabrzmiało to jak kłamstwo. Na szczęście Yves'a przepelnia radość, jaką sprawia mu jej widok i jaką dała mu ta pełna przygód podróż, więc nim siadają razem nad jej zimną kawą, oświadcza, że wygląda lepiej, niż się spodziewał, i że ta linia kolejowa jest wygodniejsza, niż mu się zdawało, i że naprawdę się cieszy, mogąc uwolnić się od obowiązków. Już zarezerwował sobie pokój; nie zamierza wkraczać w jej małe królestwo, dodaje, ściskając ją za ramię. Jest taki wielki, taki dystyngowany, a mimo to rozpromieniony. Brodę ma gęstą i starannie przyciętą. Przychodzi jej do głowy, że jest taki młody.

Kiedy idą na górę, obejmuje ją w talii. Wyznaje, że tęsknił za nią bardziej, niż mógł tego oczekiwać. Niech sobie tylko nie pomyśli, że mógłby w ogóle za nią nie tęsknić; tęsknił bardzo. Jego radość sprawia, że ma ochotę się rozplakać. Zapomniała, jak bezpieczne wydają się jego ramiona, jak pewne; teraz sobie przypomina, czując ich dotyk.

Gdy są już w jej pokoju, on zamyka drzwi i podziwiał wszystko z beztroską człowieka na wakacjach: muszle, które zbierała z myślą o toalecie w domu, małe wypolerowane biurko, gdzie rysuje, jeśli pogoda jest niesprzyjająca. Ona wyjaśnia każdą rzecz z osobna, tak długo, jak to tylko możliwe. On stoi cały czas i uśmiecha się do niej.

- Wyglądasz cudownie zdrowo, teraz, kiedy mogę ci się lepiej przyjrzeć. Masz na policzkach prawdziwe róże.

- No cóż, wychodziłam i malowałam niemal każdego ranka i popołudnia.

W następnej kolejności zamierza pokazać mu płótna.

- Mam nadzieję, że za każdym razem towarzyszył ci Olivier - mówi Yves nieco surowo.

- Oczywiście, że tak. - Odnajduje obraz z łodziami, z pierwszej sesji, i podaje mu. - Nawet mnie zachęcał, bym pracowała codziennie, dopóki jest mi ciepło. Zawsze pamiętałam, by się odpowiednio ubierać.

- To piękne. - Trzyma przez chwile płótno, a ona z nieznacznym bólem myśli o tym, jak zawsze dodawał jej odwagi, na długo przed pojawieniem się Oliviera; Yves odstawia obraz ostrożnie, wiedząc, że wciąż jest mokry, i ujmuje jej dłonie. - A ty promieniejesz.

- Wciąż jestem trochę zmęczona - mówi. - Ale dziękuję ci.

- Wręcz przeciwnie, jesteś zarumieniona, taka jak dawniej.

Więzi jej dłonie w swoich, teraz mocno, i całuje ją przeciągle. Jego wargi to dla niej druga natura, ale budząca lęk. Obejmuje jej twarz i znów ją całuje, potem ściąga z siebie płaszcz, mruczając coś o tym, że się jeszcze nie kąpał. Zamyka drzwi na klucz i zaciąga zasłony. Podróż, uwolnienie od pracy znów uczyniły go młodym, mówi - albo wydaje jej się, że mówi, ponieważ słyszy go zza kurtyny włosów, z których wyjęła szpilki, a potem jeszcze raz, kiedy on zмага się z jej guzikami, klamerkami, zapinkami, kiedy kreśli linię wzdłuż jej ciała, biorąc ją na swój powolny, rzeczowy sposób, a ona reaguje tak, jak od dawna do tego przywykła; szczelinę między nimi wypełnia ognista zażyłość, pomimo obrazów, które tańczą jej pod powiekami. Upłynęły miesiące od chwili, gdy się do niej zbliżył, i uświadamia sobie teraz, że prawdopodobnie wstrzymywał się przez troskę o jej zdrowie. Jakże mogła myśleć inaczej?

W końcu zasypia na kilka minut na jej ramieniu, zmęczony, zadziwiająco młody człowiek z coraz większym kontem bankowym, człowiek, który na krótko uciekł od swojego życia i wsiadł do pociągu, by znów być blisko niej.

*Drogi Monsieur Robinson,*

*Proszę nie gniewać się o ten list od nieznajomego. Jestem psychiatrą i pracuję w Waszyngtonie; od pewnego czasu zajmuje się leczeniem znanego amerykańskiego artysty. Jego przypadek jest dość niezwykły i po części wynika z obsesji dotyczącej osoby francuskiej malarki epoki impresjonizmu, Béatrice de Clerval. Rozumiem, że była Panu bliska ze względów zarówno osobistych, jak i zawodowych i że jest Pan właścicielem jej dzieł, między innymi obrazu zatytułowanego Łabędź i złodzieje.*

*Czy nie miałby Pan nic przeciwko temu, bym odwiedził Pana w przyszłym miesiącu w Jego paryskim mieszkaniu i zajął Mu mniej więcej godzinę? Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciał mi Pan udzielić informacji na temat życia i twórczości Béatrice. Mogłoby to mieć ogromne znaczenie dla mojego utalentowanego pacjenta. Proszę poinformować mnie o najdogodniejszym dla Pana terminie spotkania.*

*Z poważaniem,  
dr Andrew Marlow*

By oderwać się na chwilę od własnych wizji i przy okazji sprawdzić, co porabia Robert, odwiedziłem go o jeden raz za dużo. Najpierw zajrzałem do niego rankiem, był akurat piątek. Kiedy wróciłem do jego pokoju po południu, zastałem go przy sztalugach, które ode mnie dostał. Był to pracowity tydzień, a ja spałem kiepsko. Pragnąłem, by Mary odwiedzała mnie częściej; wydawało mi się, że w jej ramionach zawsze odpoczywam lepiej. Wchodząc do pokoju Roberta, jak zwykle pomyślałem o niej. Zastanawiałem się właściwie, jakim cudem może on na mnie patrzeć i nie dostrzegać sekretów, które skrywam, i przypominało mi to, jak niewiele o nim wiem tak naprawdę. Nie potrafiłem dosłyszeć jego życia przez to starannie wyprane stare ubranie, przez postrzępioną żółtą koszulę i poplamione farbą spodnie, podobnie jak przez tę ciepłą barwę twarzy i ramion poniżej podwiniętych rękawów, przez kręcone włosy z ich srebrzystymi pasemkami. Nie umiałem go poznać nawet przez zaczerwienione, zmęczone oczy, które na mnie obrócił. Nie wiedząc dostatecznie dużo, jak mogłem go uwolnić? A gdybym to zrobił, to czy kiedykolwiek przestałbym rozmyślać nad jego miłością do kobiety nieżyjącej od 1910 roku?

Malował ją tego dnia - nie było to zaskoczenie - a ja usiadłem w fotelu, by się przyglądać. Nie odwrócił sztalug. Podejrzewałem, że wynikało to z pewnej dumy, tak jak jego milczenie. Była pozbawiona twarzy; wciąż nanosił na płótno różaną barwę jej sukni, czarną sofę, na której siedziała. Uświadomiłem sobie, że o jego talencie świadczy między innymi ta umiejętność malowania bez obecności modelu. Czy był to jeden z jej darów dla niego?

Nagle poczułem, że mam dosyć. Zerwałem się z miejsca i zrobiłem krok do przodu. Malował, rękę miał podniesioną, poruszał pędzlem; ignorował mnie.

- Robercie!

Nic nie powiedział, ale skierował na mnie wzrok i patrzył przez ułamek sekundy, potem znów skupił uwagę na płótnie. Jestem stosunkowo wysoki, stosunkowo sprawny, jak już wspominałem, choć nie odznaczam się w najmniejszym stopniu imponującą i niewymuszoną osobowością. Zastanawiałem się, jak by to było go uderzyć. Kate pragnęła

tego bez wątpienia. I Mary. Mogłem powiedzieć: „Zrobiłem to dla niej. Możesz rozmawiać, z kim ci się podoba”.

- Robercie, spójrz na mnie.

Opuścił pędzel, obdarzając mnie cierpliwą i rozbawioną miną, taką samą jak ta, którą raczyłem swoich rodziców jako nastolatek. To jego spokojne zainteresowanie, które coś oznaczało, rozgniewało mnie bardziej niż jakikolwiek wcześniejszy wybuch z jego strony. Wydawało się, że czeka, aż ta irytująca przerwa w pracy się skończy i będzie mógł dalej malować.

Odchrząknąłem, starając się nad sobą zapanować.

- Robercie, czy rozumiesz moje pragnienie okazania ci pomocy? Chciałbyś znów prowadzić normalne życie... tam? - Machnąłem ręką w stronę okna, ale wiedziałem, że za sprawą słowa „normalne” już przegrałem tę rundę.

Obrócił się w stronę sztalug.

- Pragnę ci pomóc, ale nie będę mógł w żaden sposób tego zrobić, jeśli nie zechcesz współpracować. Zadałem sobie z myślą o tobie trochę trudu i skoro czujesz się dostatecznie dobrze, żeby malować, to czujesz się też dostatecznie dobrze, by mówić.

Twarz miał opanowaną, ale nieodgadnioną.

Czekałem. Czy mogło być coś gorszego niż wydzieranie się na pacjenta? (Spanie z jego byłą kochanką?) Poczulem, jak mimowolnie podnoszę głos. Najbardziej gniewało mnie wrażenie, że on wie, iż chcę mu pomóc nie tylko ze względu na niego samego.

- Do diabła z tobą, Robercie - powiedziałem spokojnie zamiast krzyknąć, ale głos mi zadrżał.

Zdałem sobie sprawę, że w ciągu tych wszystkich lat nauki i praktyki zawodowej nigdy wobec nikogo nie zachowywałem się w ten sposób. Nigdy. Wychodząc z pokoju, wciąż na niego patrzyłem. Nie bałem się, że rzuci się na mnie albo czymś ciśnie - bałem się, że sam zrobię coś złego. Żałowałem później, że w tym momencie nie odwróciłem od niego wzroku, ponieważ gdybym to uczynił, nie dostrzegłbym zmiany w wyrazie jego twarzy; nie odpowiedział mi spojrzeniem, ale uniósł ku obrazowi twarzy, na której błąkał się nieznaczny uśmiech. Triumf: marne zwycięstwo, ale prawdopodobnie jedyne, na jakie mógł się teraz zdobyć.

93  
1879

Yves zostaje pół tygodnia; spaceruje z dłonią na ramieniu Oliviera, całuje Béatrice w kark, kiedy ta się pochyla, by upiąć włosy. Ma prawdziwe wakacje - po cichu nazywa je miesiącem miodowym. Musi jednak wracać, ku swemu żalowi, i przeprosza, że opuszcza ich tak wcześnie. Ona nie ma odwagi spojrzeć na Oliviera przez cały ten czas, gdy Yves jest z nimi, z wyjątkiem chwili, gdy podaje mu przy stole sól czy chleb. Jest to nieznośne, a jednak zdarza się, że patrzy na swoje odbicie w lustrze albo widzi ich obydwu spacerujących razem i czuje się otoczona miłością, kochana przez obu, jakby to było czymś zwyczajnym. Biorą dorózkę i jadą na stację kolejową w Fecamp; Olivier chce zostać w Étretat, ale Yves nalega na jego obecność, tak aby Béatrice nie musiała wracać sama. Lokomotywa wzdycha głośno; koła rozpoczynają swój chrapliwy obrót. Yves wychyla się z okna i macha, trzymając kapelusz w dłoni.

Jadą z powrotem do hotelu i siadają na werandzie; rozmawiają o zwykłych sprawach. Malują na plaży i jedzą kolację - niczym stara para małżeńska - podczas gdy trzeci gość zniknął. Za sprawą jakiegoś wzajemnego porozumienia nie odwiedza ponownie pokoju Oliviera ani on jej pokoju. Każda ściana, która ich rozdzielała, zdążyła już runąć, ona zaś nie tęskni za powtórzeniem. Wystarczy, że obydwójce dzielą to milczące wspomnienie. Chwilę, gdy on... albo chwilę, gdy ona... albo gdy te łązy zaskoczenia i radości spadły na jej twarz. Myślała wcześniej, że po takiej przemianie będzie do niej należał na wieki, ale jest też odwrotnie.

W pociągu, podczas podróży powrotnej do Paryża, kiedy są sami, trzyma w swej dużej rękawiczce jej dłoń jak ptaka, i całuje ją, nim ona wysiada i udaje się po swój bagaż. Mówią niewiele. Ona wie, nawet o to nie pytając, że on przyjdzie jutro na kolację. Razem opowiedzą Papie niemal wszystko o swoich wakacjach. Zaczną wspólną pracę nad wielkim płótnem. Zapamięta go, jego długie, gładkie ciało, jego srebrzyste włosy, młodego zakochanego człowieka, który się w nim kryje, aż po dzień, gdy sama umrze. Zawsze będzie obok niej - duch kanału La Manche.

94  
*MARLOW*

Odpowiedź Henriego Robinsona wywołała we mnie zdumienie graniczące z szokiem.

*Monsieur le Docteur,*

*Dziękuję za list. Myślę, że Pański pacjent to człowiek nazwiskiem Robert Oliver. Przyjechał do Paryża prawie dziesięć lat temu, by spotkać się ze mną, i ponownie, całkiem niedawno; mam też powody przypuszczać, że podczas tej drugiej wizyty zabrał z mojego mieszkania coś cennego. Nie mogę udawać, że pragnę mu pomóc, ale jeśli będzie Pan mógł rzucić nieco światła na tę sprawę, to z przyjemnością się z Panem zobaczę. Zastanowię się, czy pokazać Panu Łabędzia i złodziei. Proszę mieć na uwadze, że obraz nie jest na sprzedaż. Powiedzmy, że spotkamy się w pierwszym tygodniu kwietnia, w którykolwiek ranek, jeśli to Panu odpowiada.*

*Z szacunkiem,  
Henri Robinson*



## 95

### *MARLOW*

Pragnąłem z całego serca zabrać ze sobą Mary do Paryża, ale miała akurat zajęcia na uczelni. Ze sposobu, w jaki mi odmówiła, domyśliłem się, że nie pojechałaby, nawet gdybym wyznaczył podróż w dniach jej kolejnych wakacji; nie mogła przyjąć tak dużego daru po Acapulco. Za pierwszym razem była to przyjemność, za drugim byłby to dług. Wyszukałem dla niej książkę o Musée d'Orsay; wiedziałem, że bardzo pragnie je zobaczyć - przewracała kartki powoli i z namysłem.

Mimo wszystko potrząsnęła głową, stojąc w mojej kuchni; jej drugie włosy chwytały światło. Zdecydowany ruch: nie. Była to nie tyle odmowa, ile cicha samoświadomość z jej strony. Podczas naszej rozmowy przygotowywała śniadanie - zadziwiający gest domatorstwa. Po raz czwarty została w moim mieszkaniu - wciąż byłem w stanie policzyć te noce. Kiedy wychodziła, jeszcze wcześniej ode mnie - do pracowni uniwersyteckiej czy na zajęcia, czy też do restauracji, gdzie lubiła rysować w wolnych chwilach - zostawiałem niepościelone łóżko i zamykałem drzwi do sypialni, by zachować zapach Mary. Teraz zsunęła na talerz cztery jajka na bekonie i postawiła go przede mną z uśmiechem.

- Nie mogę jechać z tobą do Francji, ale potrafię przygotować ci jajka. Tylko nic sobie nie wyobrażaj.

Nalałem kawy.

- Jeśli pojedziesz ze mną do Francji, to będziesz dostawała w małych kieliszkach jaja ugotowane na twardo, z chlebem i dżemem, i kawę znacznie lepszą od tej.

- Merci. Znasz odpowiedź.

- Tak. Ciekawe, co powiesz, kiedy cię poproszę, żebyś za mnie wyszła, skoro nie umiem nawet namówić cię na lot do Francji?

Zastygła. Powiedziałem to od niechcenia, niemal nie zdając sobie sprawy, że zamierzam to zrobić, ale teraz pojąłem, że planowałem to od tygodni. Bawiła się swoim widelcem. Moja przeszkoda, jak pomyślałem zbyt późno, przyjęła postać Roberta Olivera, który rozpierał się gdzieś za moimi plecami. Nie musiałem pytać, co przykuwało jej

spojrzenie, nie było sensu dowodzić, że nikogo tam nie ma albo że Robert, którego znała, został zastąpiony przez letargicznego człowieka rysującego na łóżku w ośrodku psychiatrycznym. Czy Robert kiedykolwiek ją prosił, chociażby żartobliwie, by za niego wyszła? Odpowiedź, jak sądziłem, była wypisana w zmarszczkach wokół jej ust, w jej oczach, w opadających włosach.

Potem się roześmiała - „Jeśli tak długo sobie radziłam bez małżeństwa, doktorze, to nie potrzebuję go także teraz” - i zaskoczyła mnie, cytując słowa, o których znajomość nie posądzałbym nikogo z jej pokolenia, gdyż pochodziły z piosenki Cole'a Pottera: „Gdyż mężowie to nudziarze i przydają tylko zmartwień”.

- *Kiss Me, Kate* - przywołałem z miejsca tytuł musicalu, uderzając ręką w stół. - Zresztą i tak jesteś za młoda, by wychodzić za mąż bez zgody swojej matki. A ja nie jestem kimś, kto wiąże się ze znacznie młodszą od siebie osobą, nie jestem Humbertem Humbertem, żadnym takim...

Wybuchnęła śmiechem i ochlapała mnie kropelkami soku pomarańczowego.

- Skończ z tymi pochlebstwami. - Znów wzięła do ręki widelec i zaczęła kroić swoje jajka. - Kiedy będziesz miał osiemdziesiąt lat, ja będę...

- Starsza niż jestem teraz, ale to w końcu młodzińczy wiek. *Kiss Me, Kate!* - zawołałem, a ona roześmiała się, serdeczniej tym razem, i obeszła stół, by usiąść mi na kolanach.

Jednak w pokoju wciąż trwało dziwne echo, imię - Kate, ta od Roberta. Poczuliśmy je razem, bez słowa. Być może chcąc je zagłuszyć, Mary pocałowała mnie mocno. Potem dałem jej ostatni kawałek bekonu i tak dokończyliśmy śniadanie, Mary na moich kolanach - odganiaлиśmy złe duchy, tuląc się do siebie.

\*

Miałem mnóstwo do załatwienia przed podróżą, zabrało mi to większość poranka w przeddzień lotu do Paryża; chodziło o dokumenty i papierki. Roberta odwiedziłem w południe i posiedziałem z nim w zwyczajowym milczeniu; nie miałem jeszcze zamiaru mu mówić, że postanowiłem odwiedzić Henriego Robinsona. Zauważyłby zapewne moją nieobecność, ale chciałem, by się zastanawiał, gdzie jestem, gdyż nikogo by o to nie spytał.

Było coś jeszcze, czym musiałem się zająć. Około czwartej, kiedy Robert zwykł malować na trawniku, poszedłem do jego pokoju. Ku swojej uldze stwierdziłem, że drzwi są otwarte, więc nie miałem wrażenia, że się włamuję i wkraczam na czyjś prywatny teren, choć obejrzałem się dwa razy przez ramię, spoglądając w głąb korytarza. Znalazłem listy na górnej

półce szafki, starannie zawiniętą paczkę. Przyjemnie było znów trzymać w dłoni oryginały, jakbym tęsknił za nimi, nie zdając sobie z tego sprawy - stary papier, brązowy atrament, elegancki charakter pisma Béatrice. Wiedziałem, że Robert zapewne się zdenerwuje, kiedy odkryje ich brak, i że się domyśli, kto je ponownie zabrał. Nic nie mogłem na to poradzić. Schowałem je do teczki i wyszedłem cicho z pokoju.

Mary spędziła noc w moim mieszkaniu. Obudziłem się w pewnym momencie i stwierdziłem, że nie śpi i że wpatruje się we mnie w półmroku. Położyłem jej dłoń na twarzy.

- Dlaczego nie śpisz?

Westchnęła i pocałowała moje palce.

- Spałam. Potem coś mnie wystraszyło. I zaczęłam myśleć o tobie we Francji.

Przyciągnąłem jej jedwabistą głowę do swojej szyi.

- Dlaczego?

- Chyba czuję się zazdrosna.

- Wiesz, że cię zapraszałem.

- Nie o to chodzi. Nie chciałam jechać. Ale w jakimś sensie ją zobaczysz, prawda?

- Nie zapominaj, że nie jestem...

- Nie jesteś Robertem. Wiem. Ale nie wyobrażasz sobie, czym było życie z nimi.

Dźwignąłem się na łokieć, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Z nimi? O kim mówisz?

- Z Robertem i Béatrice. - Głos miała ostry i wyraźny, w najmniejszym stopniu niezmałowany snem. - Myślę, że jest to coś, co mogłabym powiedzieć tylko psychiatrze.

- I coś, czego psychiatra mógłby wysłuchać tylko od miłości swego życia. - Dojrzałem w ciemności błysk zębów Mary; ująłem jej twarz i pocałowałem ją. - Już dobrze, kochanie, zaśnij.

- Proszę, daj jej umrzeć, tej biednej kobiecie. Tak jak powinno być.

- Zrobię to.

Znalazła sobie miejsce dla czoła na moim ramieniu, a ja, nim znów zasnęła, ułożyłem niczym szal włosy wokół jej twarzy. Tym razem to ja leżałem przytomny. Myślałem o Robertcie w Goldengrove, śpiącym albo nie, na łóżku trochę za małym dla jego wielkiego ciała. Dlaczego pojechał dwa razy do Francji? Czy dlatego, że się zastanawiał, jak ja, czyja dłoń namalowała *Ledę*? Czy znalazł odpowiedź? Może naprawdę był to zbyt drastyczny temat dla kobiety w katolickiej Francji roku 1879. Jeśli Robert wierzył, że jego Pani Melancholia sama namalowała to płótno, to po co by je atakował? Czy był zazdrosny o łabędzia z jakiegoś

powodu, którego sam nie potrafiłem zgłębić? Przyszło mi do głowy, żeby wstać, ubrać się, wziąć kluczyki do wozu i pojechać do Goldengrove. Znałem kod alarmowy, procedurę wymaganą przy wejściu do ośrodka, personel z nocnej zmiany. Poszedłbym do pokoju Roberta, zapukał do drzwi, otworzył je i zbudził go, potrząsając za ramię. Wyrwany gwałtownie ze snu, może by przemówił. „Wziąłem ze sobą nóż do muzeum. Zaatakowałem ją, ponieważ...”

Wtuliłem twarz we włosy Mary i czekałem, aż przejdzie mi ochota na wstawanie z łóżka.

Lotnisko de Gaulle'a było bardziej hałaśliwe, niż je zapamiętałem, jakimś cudem większe, jego bezosobowy charakter wydawał się bardziej posępny. Trzy lata później, przybywając tutaj na zaległy miesiąc miodowy, miałem ujrzeć ten sam terminal opróżniony przez policję i usłyszeć eksplozję, której dźwięk dotarł z jakiegoś bezpiecznego miejsca na tyłach sklepów: detonowano walizkę pozostawioną na środku jednej z dużych hal. Huk wstrząsnął naszymi nerwami, echo bomby, której wewnątrz nie było. Jednakże w roku 2000 moje nerwy były spokojniejsze, no i nikt mi nie towarzyszył.

Wziąłem taksówkę i pojechałem do hotelu, który poleciła mi Zoe: mój pokój był niewiele większy od betonowej celi, pojedyncze okno wychodziło na główny budynek, łóżko miało twardy materac i skrzypiało; jednak od Gare de Lyon dzieliło mnie zaledwie kilka kroków, podobnie jak od bistra z nieodzowną markizą, którą właściciel każdego ranka podnosił za pomocą wielkiej korby. Zostawiłem w hotelu bagaże i poszedłem tam na pierwszy z posiłków, niewyobrażalnie zadowolający w porównaniu z tym, co podano mi w samolocie; kawa była mocna i parująca, z mnóstwem mleka. Potem wróciłem do swojej klitki i pomimo całej tej kofeiny przespałem pełną odurzenia godzinę. Kiedy się obudziłem, miałem wrażenie, że połowa dnia już upłynęła. Wziąłem gorący prysznic, pojękując z rozkoszy; ogoliłem się i przespacerowałem po mieście z kieszonkowym przewodnikiem.

Henri mieszkał na Montmartrze, ale miałem go odwiedzić dopiero nazajutrz rano. W kilka minut po opuszczeniu hotelu dostrzegłem na tle nieba kopuły Sacré-Coeur. Pamiętałem godne obejrzenia miejsca ze swej poprzedniej wizyty w tym mieście, przed dwunastoma czy trzynastoma laty. Przewodnik przypomniiał mi, że ten fantastyczny, niczym ze snu, biały kościół został wzniesiony jako symbol potęgi władzy po zdławieniu Komuny Paryskiej. Jakoś nie mogłem się zmusić, by tam zajrzeć, więc tylko spacerowałem; książka pozostała w mojej kieszeni przez większość dnia, raz tylko ją wyjąłem, kiedy zgubiłem drogę, przebywając z dala od hotelu, nad Sekwaną, przy straganach bukinistów. W powietrzu panowała wilgoć, było ni ciepło, ni zimno, od czasu do czasu zza chmur przebijał blask słońca, migocząc na

wodzie. Na schodach prowadzących w dół, do rzeki, przykryłem śliski kamień chusteczką i usiadłem na nim, żeby narysować łódź-restaurację obstawioną doniczkami kwiatów, cumującą przy przeciwległym brzegu.

Pragnąłem także zobaczyć obrazy Béatrice de Clerval w Musée d'Orsay, toteż musiałem tam zdążyć przed zamknięciem; te w Musée de Maintenon mogły poczekać do jutra, zamierzałem obejrzeć je po wizycie u Henriego Robinsona. Ruszyłem wzdłuż rzeki w stronę Musée d'Orsay; nie dotarłem tam podczas poprzedniego pobytu w Paryżu, kiedy je właśnie otwarto. Nie będę próbował opisywać efektu, jaki wywołuje ogromny hol o szklanym dachu, szeregi rzeźb, wspaniałe widmo dworca kolejowego, który niegdyś służył pokoleniu Béatrice de Clerval i innym. Było to oszałamiające - przesiedziałem tam kilka godzin.

Najpierw poszedłem zobaczyć Maneta, by stojąc przed jego *Olimpią* i napotykać jej wyzywające spojrzenie, doznać zawrotu głowy. Potem natknąłem się na piękną niespodziankę - płótno Pissarra przedstawiające dom w Louveciennes zimą. Nie przypominałem sobie nawet, bym widział gdziekolwiek ten obraz, czerwonawy dom i wężowate drzewa pod ciężarem śniegu, śnieg pod stopami, kobieta i mała dziewczynka trzymające się za rękę, opatulone przed zimnem. Pomyślałem o Béatrice i jej córce, ale obraz datowany był na rok 1872, lata przed narodzinami Aude. W galerii wisiały też inne sceny zimowe - Monet i Sisley, znów Pissarro, *effets d'hiver*, śnieg, wozy, płoty, drzewa i jeszcze więcej śniegu. Oglądałem ciężkie niebo nad kościelnymi wieżami w adoptowanych wioskach impresjonistów - Louveciennes, Mary-le-Roi i innych - i ponad parkami stolicy. Podobnie jak Béatrice kochali swe ogrody w zimie.

Obok Sisleya i Pissarra znalazłem dwa obrazy Béatrice de Clerval, jeden był portretem złotowłosej dziewczyny skupionej na szyciu - zapewne pokojówki opisywanej w listach. Drugi przedstawiał łąbędzia pływającego refleksyjnie po brązowej wodzie, łąbędzia powszedniego, nie boskiego. Pomyślałem, że Béatrice ćwiczyła tę formę z zapalem, być może przygotowując się do namalowania płótna, które miałem nazajutrz zobaczyć w domu Henriego Robinsona. Znalazłem też pejzaż Oliviera Vignota, bukoliczną scenę, pasące się krowy, pole, rząd topoli, leniwe i żyzne chmury. Pomyślałem, że być może Béatrice ze zbyt wielkim szacunkiem traktowała jego twórczość; był to sprawnie namalowany obraz, ale w żadnym wypadku nowatorski. Na tabliczce pod ramą widniała data 1854. Béatrice miała wtedy trzy latka.

Kiedy moja muzealna wycieczka dobiegła końca, zjadłem na kolację stek i *frites*, po czym wróciłem do hotelu. Tam, pomimo wysiłków, by przeczytać rozdział doskonałej książki historycznej o wojnie francusko-pruskiej, przespałem trzynaście godzin; obudziłem się

na jutro rano o rozsądnej godzinie i z równie rozsądnym wytłumaczeniem, że nie jestem już młodym podróżnikiem.

Ulica na Montmartrze, przy której mieszkał Henri Robinson, była stroma - nie wąska, ale mimo wszystko malownicza, z balkonami o kutyh w żelazie balustradach. Odszukałem dom i stałem przed nim kilka minut, nim nacisnąłem dzwonek - jego dźwięk był słyszalny, choć mieszkanie znajdowało się na piętrze budynku. Ruszyłem na górę. Schody były ciemne i zakurzone; zastanawiałem się siłą rzeczy, jak dziewięćdziesięcioośmioletni człowiek jest w stanie je pokonać. Jedyne drzwi na piętrze otworzyły się, nim zdążyłem ich dotknąć; na progu stała kobieta w brązowej sukience, w grubych pończochach i butach. Przez jedną niezwykle chwilę wydawało mi się, że patrzę na Aude de Clerval. Kobieta nosiła fartuch i miała na ustach formalny uśmiech; przy akompaniamencie kilku słów, których nie zrozumiałem, wprowadziła mnie do salonu. Aude, gdyby żyła, musiałaby sobie liczyć sto dwadzieścia lat.

Henri Robinson usadowił się w dżungli - przestrzeń wypełniały rośliny, uporządkowana obfitość. Pokój był słoneczny, światło sączyło się między brzegami zasłon w różnym kolorze. Ściany miały barwę miękkiego bladego nefrytu, podobnie jak dwoje zamkniętych drzwi w tym pomieszczeniu. Wszędzie wisiały obrazy, nie tworzyły czegoś w rodzaju starannej wystawy, jaką widziałem w domu jego starego przyjaciela Cailleta, lecz wciskały się w każdą wolną przestrzeń. Obok krzesła Henriego dostrzegłem płótno olejne z głową Aude de Clerval, jak się domyśliłem - starzejącej się kobiety o pociągłej twarzy i niebieskich oczach, uczesanej na modłę lat czterdziestych czy pięćdziesiątych. Zastanawiałem się, czy to portret, który namalował Pedro Caillet, jak sam twierdził; nie zauważyłem nigdzie podpisu. Były tam też małe obrazy, być może Seurata - w każdym razie jakiegoś pointylisty - i mnóstwo płócien z okresu międzywojennego. Nie dostrzegłem nigdzie niczego, co wyglądałoby na dzieła Béatrice de Clerval, i ani śladu obrazu, który mógłby nosić tytuł *Łabędź i złodzieje*. Wnęki i półki, jeśli nie uginały się pod ciężarem książek, prezentowały kolekcję seledynowej ceramiki, być może koreańskiej, i bez wątpienia starej. Pomyślałem, że spytam go o to później.

Henri Robinson siedział w fotelu niemal tak zużyтым i pradawnym jak on sam. Kiedy



wszedłem, wstał powoli pomimo moich protestów i niezgrabnych słów po francusku, po czym wyciągnął przezroczystą dłoń. Był odrobinę niższy ode mnie, chudy jak szkielet, ale zdolny do utrzymania pozycji wyprostowanej. Nosił koszulę frakową w paski, ciemne spodnie i czerwony zapinany sweter ze złotymi guzikami. Resztki kosmyków zaczesane były do tyłu, nos równie przezroczysty co dłonie, policzki jakby starte do czerwoności, oczy brązowe, ale gasnące za szklami okularów. Twarz ta za młodu mogła wydawać się uderzająca - ciemnooka, o wysokich kościach policzkowych i kształtnym, prostym nosie. Ręce i ramiona mu drżały, ale uścisk ręki był zdecydowany. O dreszcz przyprawiała mnie myśl, że dotykam dłoni, która pieściła córkę Béatrice - przecież sama Béatrice też bez wątpienia trzymała ją i głaskała.

- Dzień dobry - powiedział silnie akcentowaną, ale czystą angielszczyzną. - Proszę usiąść. - Znów ta ręka, poznaczona niebieskimi żyłkami, wskazująca krzesło. - Za dużo gazet.

Uśmiechnął się i odsłonił zaskakująco młode i równe zęby - protezy. Uprzątnąłem gazety z drugiego fotela i zaczekałem, aż opuści się powoli, wsparty na kościstych rękach, na swoje własne siedzisko.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać, monsieur Robinson.

- To dla mnie przyjemność - odparł. - Chociaż, jak już panu wspominałem, nazwisko, które pan wymienił, nie budzi mojej sympatii.

- Robert Oliver jest chory - wyjaśniłem. - Podejrzewam, że był już chory, kiedy zabierał panu te listy, ponieważ jego przypadłość ma charakter cykliczny i jednocześnie chroniczny. Wiem jednak, że musiało być to dla pana irytujące.

Wyjąłem ostrożnie listy z wewnętrznej kieszeni marynarki; umieściłem je wcześniej w dużej kopercie, z której teraz je wyciągnąłem i złożyłem plik w jego dłoniach.

Spojrzał na nie zdumiony, potem na mnie.

- Są pańskie? - spytałem.

- Tak - odparł. Twarz poruszała mu się nieznacznie, nos czerwieniał i drgał, głos się łamał, jakby za chwilę miał przejść w płacz. - Należały, prawdę powiedziawszy, do Aude de Clerval, z którą mieszkalem przez ponad dwadzieścia pięć lat. Dostała je od matki, gdy ta umierała.

Pomyślałem o Béatrice, już nie młodej i poważnej, lecz w średnim wieku, być może siwowłosej, zniszczonej przez chorobę, pochłoniętej przez nią w szczytowym okresie życia. Zmarła pod sześćdziesiątkę. Mniej więcej w moim wieku, a ja nie miałem nawet córki, którą mógłbym pozostawić.

Skinąłem uroczyście, by okazać mu współczucie w związku ze zniewagą, jakiej

doznał. Wzrok Henriego Robinsona za szklami w złotych oprawkach wydawał się dostatecznie bystry.

- Mój pacjent, Robert Oliver, prawdopodobnie nie uświadamiał sobie krzywdy, jaką wyrządził swoją kradzieżą. Nie mogę prosić, by mu pan wybaczył, ale liczę na to, że pan zrozumie. Był zakochany w Béatrice de Clerval.

- Wiem o tym - odparł stary człowiek dość ostro. - Ja też mam świadomość jego obsesji, jeśli to właśnie ma pan na myśli.

- Nie będę ukrywał, że przeczytałem te listy. Kazałem je przetłumaczyć. Nie wiem, jak można było jej nie kochać.

- Była bez wątpienia bardzo słodka, *tendre*. Wie pan, że ja też ją kochałem, poprzez osobę jej córki. Ale jak do tego doszło, że się nią pan zainteresował, doktorze Marlow?

Zapamiętał moje nazwisko.

- Dzięki Robertowi Oliverowi.

Opisałem aresztowanie Roberta, moje pierwsze próby wniknięcia w jego umysł, twarz, którą rysował i później malował, nie odzywając się przy tym ani słowem, własną potrzebę zrozumienia wizji, która go opanowała. Henri Robinson słuchał ze złączonymi dłońmi, przygarbiwszy okryte swetrem ramiona, podobny nieco do wiekowej małpy i zaabsorbowany. Od czasu do czasu mrugał, ale się nie odzywał. Powiedziałem mu następnie, z dziwnym poczuciem ulgi, o rozmowach z Kate, o obrazach Roberta przedstawiających Béatrice, o Mary i historii, którą jej opowiedział - o tym, jak napotkał twarz Béatrice w tłumie. Nie wspomniałem o spotkaniu z Pedrem Cailletem. Mogłem przekazać jego pozdrowienia później, gdyby chwila okazała się stosowna.

Słuchał w milczeniu. Pomyślałem o swoim ojcu - w porównaniu z Henrim Robinsonem młodym człowiekiem z samochodem i dziewczyną. Robinson, tak jak on, potrafił domyślić się wielu rzeczy, nawet jeśli nie wszystko mu powiedziałem. Mówiłem powoli i wyraźnie, zastanawiając się chwilami nad jego znajomością angielskiego, zawstydzony, że nie próbuję chociażby nieco odświeżyć swej zatechłej francuszczyzny. Wydawało się jednak, że doskonale mnie rozumie, i to na każdym poziomie. Kiedy skończyłem, postukał palcami w plik listów spoczywających na jego kolanach.

- Doktorze Marlow - rzekł. - Jestem panu głęboko wdzięczny za ich zwrot. Rozumiem, że Robert Oliver je ukradł. Nie mogłem ich znaleźć po jego drugiej wizycie. Trzymał je przez lata.

Opowiedziałem mu, jak tkwiłem na kolanach w gabinecie Roberta w domu Kate, odczytując słowo *Étretat*.

- Tak. No cóż, przypuszczam, że tego też panu nie powiedział, skoro przestał mówić. - Henri Robinson ułożył staranniej kościste kolana. - Przyjechał tu po raz pierwszy na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy natrafił na jakiś artykuł o moim związku z Aude de Clerval. Napisał do mnie, a ja byłem poruszony jego entuzjazmem i niewątpliwą powagą, z jaką traktował sztukę, więc zgodziłem się, by mnie odwiedził. Rozmawialiśmy dużo - tak, wtedy z pewnością mówił. I uważnie słuchał. Był bardzo interesujący, na dobrą sprawę.

- Może mi pan powiedzieć, o czym rozmawialiście, monsieur Robinson?

- Owszem, mogę. - Położył rękę na oparciu fotela. Ten mężczyzna o kształtnym nosie i rzadkiej pajęczynie włosów miał w sobie coś niezwykle silnego. - Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy pojawił się w moim mieszkaniu. Jak pan doskonale wie, Robert Oliver jest bardzo wysoki, prawdziwa osobowość, niczym śpiewak operowy. Mimowolnie czułem się trochę onieśmielony - w ogóle go nie znałem, w dodatku byłem wtedy w domu sam. Okazał się jednak czarujący. Usiadł w fotelu, w tym samym, który pan teraz zajmuje; najpierw rozmawialiśmy o malowaniu, a potem o mojej kolekcji, którą, z wyjątkiem jednego obrazu, przekazałem Musée de Maintenon. Poszedł tam tego samego popołudnia i był pod wielkim wrażeniem tych płócien.

- Nie wybrałem się jeszcze do Maintenon, ale zamierzam to zrobić - nadmienilem.

- Tak czy inaczej siedzieliśmy tu i rozmawialiśmy, aż w końcu spytał mnie, czy mógłbym powiedzieć mu wszystko, co mi wiadomo o Béatrice de Clerval. Więc napomknąłem mu trochę o jej życiu i twórczości, a on zauważył, że tyle to już wie z własnych badań. Był bardzo ciekaw, co Aude mówiła o swojej matce. Zauważyłem, że kocha obrazy Béatrice, Jeśli słowo „kochać” jest w tym wypadku właściwe. Miał w sobie coś ciepłego; prawdę mówiąc, czułem... że mnie pociąga. - Henri odchrząknął. - Zacząłem więc powtarzać, co zapamiętałem ze słów Aude - że jej matka była łagodna i pełna życia, zawsze kochała sztukę, ale była też bez reszty oddana córce; przez te wszystkie lata, które spędziły razem, nigdy nie malowała ani nie rysowała. Nigdy. I że nie mówiła o swoich obrazach z żalem - śmiała się, jeśli Aude ją o nie pytała, i zapewniała, że to ona jest jej najwspanialszym dziełem i że już nie potrzebuje tworzyć innych. Kiedy Aude miała kilkanaście lat, sama zaczęła rysować i trochę malować, a matka zawsze okazywała jej pomoc i entuzjazm, nigdy się jednak do niej nie przyłączyła. Aude powiedziała mi kiedyś, że błagała, by matka rysowała razem z nią, ta jednak powtarzała nieodmiennie: „Mam już za sobą swoje ostatnie rysunki, moja droga, i czekają one na ciebie”. Nie chciała wyjaśnić, co ma na myśli i dlaczego nie chce więcej rysować. Zawsze dręczyło to Aude.

Henri Robinson odwrócił się w moją stronę, jego ciemne oczy pokrywała błyszcząca

warstwa, która przypominała mydliny na powierzchni wody, być może skutek katarakty albo refleksów jego szkła.

- Doktorze Marlow, jestem starym człowiekiem i bardzo kochałem Aude de Clerval. Nigdy mnie nie opuściła. A Robert Oliver sprawiał wrażenie głęboko zainteresowanego jej historią i dziejami Béatrice de Clerval, więc przeczytałem mu te listy. Przeczytałem je głośno w jego obecności. Sądzę z perspektywy czasu, że Aude by sobie tego życzyła. Ona i ja przeczytaliśmy je głośno raz czy dwa, ona zaś oznajmiła, że według niej są przeznaczone wyłącznie dla ludzi, którzy potrafiliby docenić tę opowieść. Dlatego ich nie opublikowałem ani o nich nie pisałem.

- Czytał je pan Robertowi?

- No cóż, wiem teraz z całą pewnością, że nie powinienem był tego robić, ale sądziłem, że chce znać ich treść, skoro tak bardzo się nimi interesował. Błąd.

Wyobraziłem sobie Roberta wspartego na swych wielkich łokciach, zasłuchanego, podczas gdy kruchy, stary człowiek w fotelu naprzeciwko odczytywał słowa Béatrice i Oliviera.

- Rozumiał je?

- Chodzi panu o język? Och, podsuwałem mu tłumaczenie, kiedy tego potrzebował. Poza tym mówi niezłe po francusku, jak pan wie. Czy też chodzi panu o treść listów? Nie wiem, jak je pod tym względem rozumiał.

- Jaka była jego reakcja?

- Kiedy doszedłem do końca, zauważyłem, że jego twarz jest... jak to wyrazić? Posepna. Myślałem, że się rozplacze. Potem powiedział coś dziwnego, ale do siebie: „Żyli, prawda?” A ja odparłem, że tak, że kiedy człowiek czyta stare listy, to rozumie, iż ludzie w przeszłości rzeczywiście żyli, i że jest to wzruszające. Sam byłem poruszony, czytając je komuś obcemu. Ale on zaprzeczył, nie, nie, chodziło mu o to, że naprawdę żyli, a on nie. - Henri Robinson, patrząc na mnie, potrząsnął głową. - Wtedy pomyślałem, że jest trochę dziwny. Ale przywykłem do artystów, rozumie pan. Aude też była niesamowicie dziwna, jeśli chodzi o jej historię i obrazy matki; było to coś, co mi się w niej podobało. - Milczał przez chwilę. - Nim się pożegnaliśmy, Robert powiedział, że te listy pomogły mu lepiej zrozumieć, co według Béatrice powinien malować. Dodał, że poświęci się odtwarzaniu jej życia, w imię jej pamięci i honoru. Mówił jak człowiek zakochany w nieżyjącej osobie, wedle pańskich wcześniejszych słów. Wiem, co to oznacza, doktorze. Współczuję.

Obserwując go, wyczuwałem niespokojnego człowieka, jakim był niegdyś, i bardzo inteligentnego, jakim był teraz; dwadzieścia lat wcześniej krążyłby po pokoju i jednocześnie

ze mną rozmawiał, dotykając grzbietów książek, poprawiając ramy obrazów, zrywając martwe liście roślin. Może Aude była tak spokojna i opanowana jak na dwóch portretach, które widziałem - poważna, pełna godności. Pomyślałem o nich razem, o energicznym, ponętym mężczyźnie, który napełniał ją poczuciem aktywności, i pewnej siebie, dość powściągliwej kobiecie, której wielbienie stało się jego powołaniem.

- Robert mówił coś jeszcze?

Robinson wzruszył ramionami.

- Nic, co mógłbym sobie przypomnieć. Ale moja pamięć nie jest już taka jak dawniej. Niedługo potem wyszedł. Podziękował mi bardzo grzecznie i powiedział, że jego wizyta u mnie zawsze będzie stanowić część jego sztuki. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę.

- Ale był ten drugi raz?

- Tak, nieoczekiwana i znacznie krótsza wizyta miała miejsce w ciągu dwóch ostatnich lat, jak sądzę. Nie napisał do mnie wcześniej, nie wiedziałem więc, że jest w Paryżu. Pewnego dnia ktoś zadzwonił do drzwi, Yvonne poszła otworzyć i po chwili wprowadziła do pokoju Olivera. Byłem zdumiony. Wyjaśnił, że przebywa w Paryżu w związku z poszukiwaniem materiałów do swojej twórczości i że postanowił mnie odwiedzić. Miałem wtedy trochę problemów - nie mogłem się sprawnie poruszać i zapomniałem czasem o pewnych sprawach. Wie pan, że skończyłem w tym roku dziewięćdziesiąt osiem lat?

Przytaknąłem.

- Tak, gratuluję.

- To przypadek, doktorze Marlow, żaden zaszczyt. Tak czy inaczej Robert się zjawił i rozmawialiśmy. W pewnym momencie musiałem wstać i pójść do łazienki, a on pomógł mi tam dotrzeć, ponieważ Yvonne rozmawiała w kuchni przez telefon. Był bardzo silny. Widzi pan, pamiętam to wszystko, ponieważ w jakiś tydzień po jego wizycie chciałem obejrzeć listy i okazało się, że zniknęły.

- Gdzie je pan trzymał? - Starłem się, by moje pytanie nie zabrzmiało podejrzanie.

- W tej szufladzie. - Białymi palcami wskazał szafkę w przeciwległym końcu pokoju. - Może pan do niej zajrzeć, jeśli pan chce. Jest pusta, jeśli nie liczyć jednej rzeczy. - Zamknął dłoń na listach trzymany na kolanach. - Teraz będę mógł je schować tam z powrotem. Wiedziałem, że to musiał być Oliver, ponieważ mieszkam bardzo niewielu gości, a Yvonne nigdy by ich nie tknęła; zdaje sobie sprawę, jakim uczuciem je darzę. Widzi pan, oddałem wszystkie obrazy, wszystkie dzieła Béatrice, kilka lat temu. Wszystkie prócz *Łabędzia i złodziei*. Znajdują się w Musée de Maintenon. Wiem, że mogę w każdej chwili umrzeć. Aude

chciała zachować je dla nas, lecz także ich strzec, więc podjąłem najlepszą z możliwych decyzji. *Łabędź i złodzieje* to inna sprawa. Wciąż czekam, by się upewnić, co mam z nim zrobić. Przez kilka minut, podczas pierwszej wizyty Roberta Olivera, zastanawiałem się nawet, czy pewnego dnia nie przekazać mu tego płótna. Dzięki Bogu nie uczyniłem tego. Listy były wszystkim, co miałem, pamiątką Aude po ukochanej matce. Są dla mnie niezwykle cenne.

Bardziej wyczułem, niż dostrzegłem, gniew starego człowieka, wyrażony w delikatnych słowach.

- Starał się je pan odzyskać?

- Oczywiście. Napisałem do Olivera na adres, który mi zostawił za pierwszym razem, ale list wrócił do mnie po miesiącu. Ktoś umieścił na odwrocie koperty adnotację, że taka osoba tam nie mieszka.

Być może Kate, kierowana własnym gniewem.

- I nigdy więcej nie otrzymał pan od niego żadnej wiadomości?

- Otrzymałem. Co jeszcze pogorszyło sprawę, jak sądzę. Przysłał mi list. Jest to w tej chwili jedyna zawartość szuflady.

Czując na sobie wzrok Henriego Robinsona, wstałem i podszedłem wolno do szafki, którą wskazał. Wydawało mi się czymś nierzeczywistym, że przebywam w zagraconym mieszkaniu człowieka niemal stuletniego, grzebiąc ponownie w przeszłości pacjenta, który nie tylko zaatakował dzieło sztuki, ale też, jak się okazało, ukraść prywatne listy. Mimo to nie potrafiłem się zdobyć na potępienie Roberta. Odczuwałem zmęczenie zmianą strefy czasowej; myślałem o ramionach Mary i zapragnąłem nagle wrócić do domu, do niej. Potem przypomniałem sobie, że nie jest w moim domu, tylko u siebie. Co mogły oznaczać dla osoby tak młodej i wolnej cztery noce i jedno wspólne śniadanie? Wysunąłem szufladę słabnącymi palcami.

W środku znajdowała się koperta z datą sprzed ataku Roberta na *Ledę*: brak adresu zwrotnego, znaczek z Waszyngtonu, przesyłka zagraniczna. W kopercie - złożona kartka z notatnika:

*Drogi Panie Robinson,*

*Proszę mi wybaczyć, że wypożyczyłem Pańskie listy. ZWRÓCEŃ je Panu prędkiej czy później, pracuję jednakże nad dużym i poważnym cyklem, muszę więc je czytać codziennie. To wspaniałe listy, pełne jej osobowości; mam nadzieję, że się Pan ze mną zgadza. Nie mam dla siebie usprawiedliwienia, ale może ostatecznie ta korespondencja jest bezpieczniejsza, znajdując się w moim posiadaniu. Zapamiętałem z jej treści dostatecznie dużo, by już stworzyć serię obrazów, które, jak sądzę, są moim największym dotychczasowym osiągnięciem, ale MUSZĘ MIEĆ MOŻLIWOŚĆ czytania ich każdego dnia. Czasem budzę się i czytam je w nocy. Mój nowy cykl, niezwykle ważny, ukaże światu, że Béatrice de Clerval była jedną z największych kobiet swoich czasów i jedną z największych artystek XIX wieku. Przestała malować zbyt młodo. Muszę kontynuować to dzieło w jej imieniu. Ktoś musi ją pomścić, gdyż niewykluczone, że mogła nadal malować jeszcze przez dziesiątki lat, gdyby jej przed tym brutalnie nie powstrzymano. I to z jakiego powodu? Pan i ja wiemy, że była*

*genialna. Potrafi Pan zrozumieć, jak doszło do tego, że ją pokochałem i zacząłem podziwiać. Być może wie Pan, nawet jeśli sam nie jest Pan malarzem, jak to jest, kiedy nie można malować, pragnąc tego za wszelką cenę.*

*Dziękuję za pomoc i za możliwość wykorzystania jej słów, proszę też mi wybaczyć moją decyzję. Zrekompensuję to Panu po tysiąc kroć.*

*Zawsze Pański,*

*Robert Oliver*

Nie potrafię opisać, jak bardzo ten list mnie przygnębił. Po raz pierwszy usłyszałem Roberta przemawiającego tak długo swoim własnym głosem, w każdym razie głosem tamtej chwili. Powtórzenia, irracjonalność, fantazje dotyczące znaczenia jego misji - wszystko to wskazywało na manię. Egocentryczna kradzież skarbu należącego do kogoś innego zasmuciła mnie w takim samym stopniu, w jakim jej znaczenie zdawało się umykać samemu Robertowi; jednocześnie zrozumiałem to jako utratę kontaktu z rzeczywistością, co znalazło kulminację w ataku na *Ledę*. Chciałem schować list z powrotem do szuflady, ale Henri Robinson powstrzymał mnie gestem dłoni.

- Proszę go zatrzymać, jeśli pan tego pragnie.

- Smutne i szokujące - zauważyłem, ale schowałem list do kieszeni marynarki. - Nie wolno nam zapominać, że Robert Oliver jest człowiekiem chorym psychicznie i że listy mimo wszystko wróciły do pana. Lecz nie mogę i nie powinienem go bronić.

- Cieszę się, że zwrócił pan mi listy - odparł po prostu. - Mają niezwykle prywatny charakter. Ze względu na Aude nigdy bym ich nie opublikował. Bałem się, że Robert Oliver to zrobi.

- Może w takim razie powinien pan je zniszczyć - zasugerowałem, choć mnie samemu trudno było znieść tę myśl. - Pewnego dnia mogą wzbudzić zbyt duże zainteresowanie jakiegoś historyka sztuki.

- Zastanowię się nad tym. - Złożył dłonie i splótł palce.

Nie zastanawiaj się zbyt długo, chciałem mu powiedzieć.

- Jakże mi przykro. - Spojrzał na mnie. - Zupełnie zapomniałem o manierach. Miałby pan ochotę na kawę? Może herbatę?

- Nie, dziękuję. Jest pan bardzo miły, nie chcę panu dłużej zawracać głowy. - Znow usiadłem naprzeciwko niego. - Czy mógłbym poprosić pana o jeszcze jedną przysługę, jeśli nie będzie to nadużywanie pańskiej gościnności? - Zawahałem się. - Chciałbym zobaczyć *Łabędzia i złodziei*.



Popatrzył na mnie poważnie, jakby rozważając wszystko, co wcześniej powiedzieliśmy. Czy przekazał mi jakieś nieścisłe czy zmyślane informacje? Wiedziałem, że nigdy nie poznam prawdy. Przysunął spiczaste palce do brody.

- Nie pokazałem go Robertowi Oliverowi i teraz się cieszę, że tego nie zrobiłem.

Jego słowa mnie zaskoczyły.

- Nie prosił pana o to?

- Chyba nie wiedział, że mam ten obraz. Nie jest zbyt znany. To na dobrą sprawę poufna i prywatna informacja. - Podniósł gwałtownym ruchem głowę. - A jak pan się dowiedział? Skąd pan wie, że jest w moim posiadaniu?

Musiałem powiedzieć to, co trzeba było powiedzieć na samym początku, i bałem się, że otworzę stare rany.

- Monsieur Robinson - zwróciłem się do niego. - Chciałem wyjaśnić to panu wcześniej, ale nie byłem pewien... odwiedziłem Pedra Cailleta w Meksyku. Był dla mnie bardzo miły, podobnie jak pan, i od niego dowiedziałem się o obrazie. Przesyła panu serdeczne pozdrowienia.

- Ach, Pedro i jego pozdrowienia. - Uśmiechnął się jednak, niemal łobuzersko. Między tymi dwoma mężczyznami, mimo że dzielił ich ocean, wciąż trwała przyjaźń, a także dawno zapomniana rywalizacja. - A więc powiedział panu, że sprzedał *Łabędzia i złodziei*, a pan mu uwierzył?

Teraz to ja patrzyłem na niego szeroko otwartymi oczami.

- Tak. To właśnie mi powiedział.

- Myślę, że naprawdę w to wierzy, biedny stary kocur. Prawdę mówiąc, sam chciał go kupić od Aude. Obydwoje uważali go za niezwykły. Aude nabyła go podczas wyprzedaży majątku Armanda Thomasa, właściciela galerii w Paryżu. Nigdy wcześniej nie był wystawiany, potem też nie. Aude za nic by go nie sprzedała Pedrowi ani nikomu innemu, ponieważ matka powiedziała jej, że jest to jedyne ważne dzieło, jakie kiedykolwiek stworzyła. Nie mam pojęcia, jak Armand Thomas wszedł w jego posiadanie. - Otoczył dłonią listy, które trzymał na kolanach. - *Łabędź i złodzieje* to jeden z nielicznych obrazów, jakie pozostały po nieudanym przedsięwzięciu Thomasów - starszy brat Armanda, Gilbert, był dobrym malarzem, ale kiepskim biznesmenem. Obaj bracia pojawiają się w listach Béatrice i Oliviera, jak pan wie. Zawsze czułem, że to ludzie wyrachowani. Z pewnością nie byli wielkimi przyjaciółmi malarzy, jak chociażby Durand-Ruel. Zarobili też pod koniec znacznie mniej pieniędzy. Nie odznaczali się jego gustem i smakiem.

- Tak, widziałem dwa obrazy Gilberta w National Gallery - powiedziałem. - W tym

oczywiście *Ledę*, tę, którą zaatakował Robert.

Henri Robinson przytaknął.

- Może pan iść i obejrzyć *Łabędzia i złodziei*. Chyba tu zostanę. Oglądam go kilka razy dziennie - oznajmił i wskazał zamknięte drzwi na końcu salonu.

Zbliżyłem się do nich. Kiedy je otworzyłem, moim oczom ukazała się niewielka sypialnia, zapewne samego Robinsona, sądząc po buteleczkach z lekami na komodzie i stoliku nocnym. Na podwójnym łóżku leżała zielona narzuta z adamaszku. Z identycznego materiału uszyte były zasłony, które wisiały w pojedynczym oknie; dostrzegłem też - znowu - mnóstwo półek z książkami. Blask słońca był tu przyćmiony, zapaliłem więc światło, czując na sobie wzrok Henriego i nie chcąc zamykać dzielących nas drzwi. W pierwszej chwili pomyślałem, że nad wezłowiem łóżka także znajduje się okno, które wychodzi na ogród, a potem zorientowałem się, że patrzę na namalowanego łabędzia. Niemal natychmiast jednak dostrzegłem, że to nie obraz, lecz lustro, które umieszczono w tym miejscu, by odbijało płótno wiszące na przeciwległej ścianie.

Musiałem znieruchomieć, by złapać oddech. *Łabędź i złodzieje* nie jest obrazem, który łatwo opisać. Spodziewałem się zawartego w nim piękna; nie spodziewałem się zła. Było to duże płótno, mniej więcej metr dwadzieścia na metr, o jasnej palecie impresjonistów. Przedstawiało dwóch mężczyzn w niechlujnych ubraniach, kasztanowłosych, jeden miał dziwnie czerwone wargi. Zbliżali się ukradkiem ku patrzącemu na obraz i jednocześnie ku łabędziowi, który zrywał się z przerażeniem z sitowia. Odwrócenie strachu Ledy, pomyślałem: teraz łabędź był ofiarą, nie zwycięzcą. Béatrice namalowała ptaka pospiesznymi, pełnymi życia ruchami pędzla, które sprawiły, że wydawał się rzeczywisty po czubki skrzydeł; tworzył plamę w ruchu, uciekając pospiesznie ze swego gniazda - zarys lilii wodnych i szarej toni, łuk białej piersi, szarość wokół ciemnego znieruchomiałego oka, panika nieudanego lotu, wzburzona woda pod żółto-czarną stopą. Złodzieje byli już zbyt blisko, dłonie większego mężczyzny miały lada chwila zacisnąć się na wyciągniętej szyi łabędzia; ten mniejszy wyglądał tak, jakby był gotów rzucić się do przodu i chwycić ptaka.

Kontrast między wdziękiem łabędzia a surową szorstkością obu mężczyzn był niezwykle wyrazisty dzięki pospiesznej technice pędzla. Przyglądałem się już twarzy wyższego mężczyzny, w National Gallery; rozpoznałem w niej oblicze handlarza dziełami sztuki, liczącego monety, teraz zbyt niecierpliwego, skupionego na swym łupie. Jeśli był to Gilbert Thomas, co wydawało się oczywiste, to tym drugim mężczyzną musiał być jego brat. Rzadko udawało mi się widzieć na obrazie taką biegłość i taką rozpacz. Być może poświęciła

na niego trzydzieści minut, a być może trzydzieści dni. Zastanawiała się głęboko nad tą sceną i odtworzyła ją z pośpiechem i pasją. A potem, jeśli Henri się nie mylił, odłożyła pędzel i nigdy więcej nie wzięła go do ręki.

Musiałem stać tam jak przykuty i patrzeć na obraz przez bardzo długą chwilę, ponieważ poczułem nagle, jak zalewa mnie fala zmęczenia - bezradność zrodzona z niemożności wyobrażenia sobie czyjegoś życia. Ta kobieta namalowała łabędzia, coś dla niej znaczący, a nikt z nas nigdy nie mógł się tego dowiedzieć. I nie znaczący nic poza obrębem tego dzieła, jego gwałtownością i pasją. Ona odeszła, a my byliśmy tutaj, i pewnego dnia też mieliśmy odejść, lecz po niej pozostało jej dzieło.

Potem pomyślałem o Robercie. Nigdy nie stał przed tym płótnem i nie głowił się nad jego pełnym pasji bólem. A może jednak? Jak długo Henri Robinson, stary i niezależny, nie zagradzał mu drogi? Widziałem dotąd tylko jedną łazienkę, przy wejściu, a tu, obok sypialni, nie było takiego pomieszczenia. Czy Robert powstrzymałby się przed otwarciem zamkniętych drzwi? Nie - z pewnością widział *Łabędzia i złodziei*; z jakiego innego powodu wrócił do Waszyngtonu ogarnięty wściekłością, która niebawem znalazła swe ujście w National Gallery? Pomyślałem o jego portrecie Béatrice w Greenhill, o jej uśmiechu, o dłoni przytrzymującej jedwabną szatę na piersi. Robert chciał widzieć ją szczęśliwą. *Łabędź i złodzieje* był pełen grozy i zniewolenia - i być może też odwetu. Robert zapewne rozumiał jej żal i smutek w sposób, w który ja, dzięki Bogu, nigdy nie mógłbym ich zrozumieć. Nie musiał nawet patrzeć na ten obraz, by je pojmować.

Potem przypomniałem sobie Robinsona, przykutego do fotela, i wróciłem do salonu. Wiedziałem, że nigdy więcej nie zobaczę *Łabędzia i złodziei*. Spędziłem z nim pięć minut, a już zdążył zmienić moje spojrzenie na świat.

- Och, jest pan pod wrażeniem. - Przy tych słowach uczynił gest otwartą dłonią: aprobata.

- Tak.

- Uważa pan, że to jej największe dzieło?

- Przypuszczam, że wie pan to lepiej ode mnie.

- Jestem zmęczony - oznajmił Henri, tak jak Caillet w pewnym momencie oznajmił mnie i Mary. - Ale chciałbym, żeby wrócił pan jutro, kiedy już obejrzy pan moją kolekcję w Maintenon. Powie mi pan, czy zachowałem dla siebie najlepszy obraz.

Podszedłem do niego szybko, by ująć jego dłoń.

- Przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu. I będę zaszczycony, mogąc odwiedzić pana ponownie. A więc jutro... o której?

- O trzeciej ucinam sobie drzemkę. Proszę przyjść rano.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a on się uśmiechnął - znów błysnęły te sztucznie doskonałe zęby.

- Nasza rozmowa sprawiła mi radość. Może ostatecznie wybaczę Robertowi Oliverowi.

*MARLOW*

Musée de Maintenon znajdowało się w Passy, niedaleko Lasku Bulońskiego i być może niedaleko rodzinnego domu Béatrice de Clerval, choć nie miałem pojęcia, jak go znaleźć, a zapomniałem spytać o to Henriego. Zapewne nie było tam muzeum; wątpiłem też, czy jej krótka kariera usprawiedliwiłaby mosiężną tabliczkę. Wsiadłem do metra, a potem minąłem kilka przecznic, przechodząc przez park pełen dzieci w wielobarwnych kurtkach; maluchy roily się na huśtawkach i modernistycznych wspinalniach. Samo muzeum było wysokim, kremowym dziewiętnastowiecznym budynkiem o ciężko zdobionych sufitach. Najpierw zwiedziłem parter i galerię pełną dzieł Maneta, Renoira, Degasa, z których kilka już kiedyś widziałem, a potem zawędrowałem do mniejszej sali, gdzie rozwieszono dar Robinsona, obrazy Béatrice de Clerval.

Była bardziej płodna, niż sądziłem, i zaczęła malować w wyjątkowo młodym wieku; najwcześniejsze płótno w kolekcji pochodziło z roku, w którym miała osiemnaście lat, kiedy to wciąż mieszkała w domu rodziców i studiowała malarstwo u Georges'a Lamelle'a. Obraz ten stanowił przykład uroczego przedsięwzięcia, choć pozbawionego talentu dzieł późniejszych. Pracowała nad sobą ciężko - na swój sposób tak ciężko jak Robert Oliver w swej obsesji. Wcześniej wyobrażałem ją sobie jako żonę, młodą panią domu, a nawet jako kochankę; zapomniałem jednak o tym, jak silną musiała być artystką, by kończyć mozolnie wszystkie te obrazy i z roku na rok doskonalić technikę. Były tu portrety jej siostry, czasem z małym dzieckiem na ręku, olśniewające kwiaty, być może z własnego ogrodu. Były małe szkice grafitowe i dwie akwarele z ogrodem i wybrzeżem. Był radosny portret Yves'a Vignota jako nowożeńca.

Odwrociłem się od nich z niechęcią. Drugie piętro Musée de Maintenon wypełniały płótna Moneta z Giverny, głównie lilie wodne, większość z późnego okresu jego twórczości, przedstawione niemal abstrakcyjnie. Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, ile tak naprawdę lilii wodnych zdołał namalować - hektary, teraz rozprzestrzenione po całym Paryżu. Kupiłem kilka pocztówek, niektóre jako prezent na ściany pracowni Mary, i wyszedłem z

muzeum, żeby pospacerować po Lasku Bulońskim. Zobaczyłem tam łódź z baldachimem, przybijającą do brzegu niewielkiego jeziora, jakby umyślnie pragnęła mnie przewieźć; płynęła na wyspę z wielkim domem. Zapłaciłem za bilet i wszedłem na jej pokład, za mną wsiadła francuska rodzina z dwójką małych dzieci, wszyscy w odświętnych strojach na jakąś specjalną okazję. Mniejsza dziewczynka zerknęła na mnie ukradkiem i odpowiedziała na mój uśmiech, po czym schowała twarzyczkę na matczynych kolanach.

Dom, jak się okazało, był restauracją, z ocienionymi stolikami na zewnątrz, kwitnącą glicynią i zastraszającymi cenami. Zamówiłem kawę i ciastko i poddałem się kojącemu blaskowi słońca. Na wodzie nie było łabędzi, jak sobie uświadomiłem, choć były zapewne w czasach Béatrice. Wyobraziłem ją sobie z Olivierem nad wodą, ze sztalugami, jego spokojne i ciche uwagi, jej próby uchwycenia ptaka zrywającego się do lotu spośród szuwarów. Zrywającego się do lotu czy lądującego? I czy odtwarzałem ich rozmowy zbyt swobodnie, ufając nadmiernie wyobraźni?

Choć trochę odpocząłem na wysepce, do Gare de Lyon dotarłem zmordowany. Bistro obok hotelu było otwarte, a kelner uważał mnie już chyba za starego przyjaciela, obalając tym samym mit o paryżanach, którzy bez wyjątku źle traktują obcokrajowców. Uśmiechnął się, jakby rozumiał, że mam za sobą ciężki dzień i że potrzebuję kieliszka czerwonego wina; kiedy wychodziłem, znów się uśmiechnął, przytrzymał mi drzwi i odpowiedział grzecznie na moje *au revoir, monsieur*, jakbym się tam stołował od lat.

Zamierzałem znaleźć jakieś miejsce, skąd korzystając ze swojej nowej karty telefonicznej, mógłbym zadzwonić do Mary, ale po powrocie do hotelu padłem na łóżko i spałem jak zabity. Sny wypełniali mi Henri i Béatrice; obudziłem się gwałtownie, co miało jakiś związek z twarzą Aude de Clerval. Robert czekał, a ja miałem do niego zadzwonić, nie do Mary. Budziłem się i zapadałem w sen, by w końcu zaspać.

Jest wczesny czerwcowy ranek roku 1892. Na peronie prowincjonalnego dworca kolejowego czekają dwie osoby; są starannie ubrane i trzymają się z dala od miejscowych. Odznaczają się tym świadomym i czujnym spojrzeniem podróżników, którzy wstali przed świtem. Wyższa postać to kobieta w kwiecie wieku, druga - dziewczynka lat jedenastu czy dwunastu, z koszykiem w rękę. Kobieta jest ubrana na czarno, nosi też czarny czepek, zawiązany mocno pod brodą. Widzi świat pokryty sadzą i dlatego pragnie podnieść woalkę, przywołać dla siebie barwy ochrowego dworca i pól po drugiej stronie torów: złotozielonej trawy i pierwszych maków lata, które migoczą kadmową czerwienią nawet zza sieci brzasku. Trzyma jednak mocno dłonie na torebce, a twarz wciąż zasłania welonem. Ta wioska jest bardzo tradycjonalistyczna, przynajmniej jeśli chodzi o kobiety, a ona jest damą pośród jej mieszkańców.

Zwraca się do swej towarzyszki:

- Nie chciałaś zabrać naszej książki?

Przez ostatnich kilka wieczorów czytały francuski przekład *Wielkich nadziei*.

- *Non, Maman*. Ale mam robótkę do wykończenia.

Kobieta wyciąga dłoń okrytą cieniutką czarną koronką, by dotknąć policzka dziewczynki w miejscu, gdzie jego kragłość sięga ust, które są takie jak jej usta.

- Na urodziny Papy? Zdecydowałaś się?

- Jeśli dobrze mi wyjdzie...

Dziewczynka zagląda do swojego koszyka, jakby jej dzieło było żywe i wymagało bezustannej opieki.

- Na pewno.

Przez chwilę kobieta czuje dojmująco upływ czasu, który sprawił, że ten kwiat, jej piękne maleństwo, wyrosło i nauczyło się mówić niemal z dnia na dzień. Wciąż jej się zdaje, jakby trzymała w ramionach krzepkie nóżki swej córki, nóżki, które próbują się wyprostować na jej kolanach. To wspomnienie można przywołać bezzwłocznie, ona zaś często to robi: przyjemność zmieszana ze smutkiem. Nie żałuje jednak ani przez chwilę, że stoi tutaj, jako

kobieta samotna w swym sercu, czterdziestokilkuletnia, kobieta z troskliwym mężem w Paryżu, kobieta dojrzała i spowita żalobą. W ostatnim roku pożegnała miłego niewidomego człowieka, którego traktowała jak ojca. A teraz pojawił się nowy powód do smutku.

Czuje też jednak nurt życia, biegnącego tak, jak powinno: dorastanie dziecka, śmierć, która zarówno przynosi ulgę, jak i uświadamia stratę, krawcowa, która szyje coś bardziej modnego niż to, co ona nosiła, kiedy przed laty zmarła jej matka - spódnice zmieniły krój od tamtego czasu. Dziecko, ze swoim koszykiem z robótką, marzeniami urodzinowymi, miłością do Papy, nim pojawi się inny mężczyzna, ma to wszystko jeszcze przed sobą. Nie ubrała córki w monotonną czerń; dziewczynka ma na sobie białą sukienkę z szarym kołnierzykiem i mankietami oraz czarną szarfę wokół uroczej talii, która wciąż jest cienka, ale niebawem się zaokrągli. Béatrice ujmuje dłoń dziecka i całuje przez zasłonę woalki, zaskakując tym gestem i córkę, i siebie.

Pociąg do Paryża rzadko się spóźnia; tego ranka nadjeżdża nieco wcześniej, odległy pomruk przerywa pocałunek, obie więc szykują się i czekają. Dziecko zawsze wyobraża sobie, że pociąg wjeżdża w wioskę, miażdży domy, zamienia je w stosy starych kamieni i chmury kurzu, przewraca kurniki i niszczy stragany na rynku - świat *boulevardisé*, jak na rycinie w jej książeczce z rymowankami: starsze panie zadzierające fartuchy i uciekające w drewnianych sabotach, które wydają się przedłużeniem ich wielkich stóp. Komiczna katastrofa, a potem kurz opada i wszystko jest po dawnemu, ludzie, jak *Maman*, wsiadają spokojnie do wagonu. *Maman* wszystko robi spokojnie, z godnością - czyta spokojnie, obraca spokojnie jej głowę bardziej w prawo, kiedy siada obok, by zapleść jej włosy, dotyka spokojnie jej policzka.

*Maman* miewa też niespodziewane odruchy, które Aude dostrzega również u siebie, ale których jeszcze nie rozumie; te gesty młodości nigdy nas nie opuszczają - zaskakujący pocałunek w dłoń, objęcie ze śmiechem głowy i kapelusza Papy, gdy siedzi na ogrodowej ławce i czyta gazetę. Wygląda pięknie, nawet nosząc żalobę z powodu śmierci dziadka, a ostatnio stryja Papy w dalekiej Algierii, dokąd się przeniósł przed laty. Aude zauważa, jak *Maman* stoi przy oknie na tyłach domu, patrząc na deszcz, który zalewa łąkę, i widzi nieczęsty w jej oczach smutek. Ich dom w wiosce stoi z dala od innych, więc z ogrodu wychodzi się wprost na pola; za nimi ciągnie się linia ciemnego lasu, dokąd nie wolno jej chodzić, chyba że w towarzystwie jednego z rodziców.

W pociągu, kiedy już konduktor umieszcza ich bagaże we właściwym miejscu, Aude sadowi się, przybierając matczyną pozę. Trwa to jednak krótko; po chwili zrywa się z miejsca, by spojrzeć przez okno na parę koni kierowanych przez ich ulubionego woźnicę,



Pierre'a le Triste'a, który zjawia się codziennie z przesyłkami, dowozi towary do małych sklepików pośrodku wioski, czasem dostarcza coś samej *Maman*. Znają go dobrze po tych wszystkich latach; Papa kupił ich dom w roku, kiedy się urodziła, idealna, okrągła data, 1880. Aude nie pamięta, by choć raz nie przyjechali do wioski położonej między Louveciennes i Marly-le-Roi, gdzie trzykrotnie w ciągu tygodnia pojawia się sapiący parą pociąg i gdzie spędza krótkie pobyty i długie letnie miesiące z matką albo obojgiem rodziców. Pierre zsunął się już z kozła i wydaje się, że konferuje z konduktorem na temat jakiejś paczki i listu; jego twarz promienieje szczęściem - obraz jowialności, który zyskał mu dobrotliwie ironiczne przezwisko. Aude słyszy przez szybę jego głos, ale nie rozumie słów.

- O co chodzi, kochanie? - Matka ściąga rękawiczki i pelerynę, układa swoją torbę i koszyk Aude, ich mały dobytek.

- To Pierre.

Konduktor dostrzega ją i macha, Pierre też macha i podchodzi do wagonu, dając znak swoimi wielkimi rękami, by opuściła szybę i wzięła paczkę i list. Matka staje przy oknie, by odebrać przesyłki, i wręcza pakunek Aude, przytakując, co oznacza, że można od razu go otworzyć. To od Papy z Paryża, spóźniona, lecz mile widziana niespodzianka; zobaczą go dziś wieczorem, ale przysłał córce mały szal w kolorze kości słoniowej, z niezapominajkami w rogach. Aude składa go z zadowoleniem i wygładza na kolanach. *Maman* zdążyła wyjąć z włosów szpilkę z gagatu i teraz otwiera list, który też jest od Papy, choć wypada z niego także druga koperta, z dziwnie wyglądającymi znaczkami i niepewnym pismem, którego Aude nigdy nie widziała. *Maman* chwyta ją pospiesznie i otwiera z drżącą ostrożnością; wydaje się, że zupełnie zapomniała o szalu. Rozkłada pojedynczą kartkę, czyta i znów ją składa, rozkłada i czyta, chowa powoli do koperty i kładzie na czarnym jedwabiu kolan. Odchyła się i opuszcza woalkę; Aude widzi, że matka zamyka oczy, widzi, że opadają jej kąciki ust, które drżą jak u kogoś, kto stara się nie płakać. Dziewczynka spuszcza wzrok i gładzi szal z niezapominajkami; co mogło sprawić, że *Maman* tak się poczuła? Powinna ją pocieszyć, powiedzieć coś?

*Maman* siedzi nieruchomo, Aude zaś wygląda przez okno, szukając tam odpowiednich słów, ale widzi tylko Pierre'a w wysokich butach i dużej kurtce, rozładowującego skrzynkę wina, którą jakiś chłopiec odtacza na wózku. Konduktor macha na pożegnanie Pierre'owi, pociąg gwizdże krzykliwie raz, drugi. Wszystko jest po staremu w wiosce, która wraca do życia po wymyślonej katastrofie.

- *Maman*? - podejmuje próbę, pytając cichutkim głosem.

Ciemne oczy za woalką otwierają się, połyskując od łez; tego się właśnie obawiała.

- Tak, kochanie?

- Czy coś... czy to złe wieści?

*Maman* patrzy na nią długą chwilę, a potem mówi odrobinę niepewnym głosem:

- Nie. Po prostu list od starego przyjaciela, taki, który dotarł do mnie po bardzo długim czasie.

- Od stryja Oliviera?

*Maman* wciąga głęboko powietrze w płuca, potem wypuszcza je powoli.

- Owszem. Jak się tego domyśliłaś, kochanie?

- Och, przecież umarł, a to jest bardzo smutne.

- Tak, bardzo smutne. - *Maman* kładzie dłonie na kopercie.

- Napisał ci o Algierii i pustyni?

- Tak.

- Ale list przyszedł za późno?

- Nic tak naprawdę nie przychodzi za późno - odpowiada *Maman*, ale jej słowa tłumi szloch.

To bardzo niepokojące; Aude pragnie, by ta podróż dobiegła już końca i by Papa był z nimi. Nigdy wcześniej nie widziała matki płaczącej. *Maman* ma w zwyczaju uśmiechać się częściej niż niemal ktokolwiek, może z wyjątkiem Pierre'a le Triste'a. Uśmiecha się zwłaszcza wtedy, kiedy patrzy na Aude.

- Czy ty i Papa bardzo go kochaliście?

- Tak, bardzo. Twój dziadek też.

- Szkoda, że go nie pamiętam.

- Ja też tego żałuję.

Wydaje się, że *Maman* znów odzyskuje spokój; poklepuje siedzenie obok siebie i Aude przysuwa się z wdziękiem, zabierając ze sobą swój nowy szal.

- Ja też bym kochała stryja Oliviera?

- O tak! - zapewnia *Maman*. - A on kochałby ciebie. Jesteś do niego podobna, jak sądzę.

Aude lubi być podobna do dorosłych ludzi.

- W jaki sposób?

- Och, jesteś pełna życia i ciekawości, masz zwinne dłonie. - *Maman* milczy przez sekundę; patrzy na Aude, obrzuca ją spojrzeniem, które sprawia jej taką radość, że niemal się pod nim kuli, oczy spoglądają szeroko otwarte, bezdennie ciemne. Potem mówi: - Masz jego oczy, kochanie.

- Naprawdę?

- Był malarzem.

- Tak jak ty. I takim dobrym jak ty?

- Och, znacznie lepszym - mówi, głaszcząc list. - Miał więcej doświadczenia życiowego i mógł tchnąć je w płótna, co jest bardzo ważne, choć nie wiedziałam o tym wówczas.

- Zachowasz jego list? - pyta Aude; wie doskonale, że nie może prosić, by *Maman* pokazała jej tę kartkę, ale bardzo by chciała poczytać o pustyni.

- Być może. Z innymi listami. Ze wszystkimi, jakie zdołałam zachować. Niektóre będą należeć do ciebie, kiedy staniesz się starszą damą.

- Jak je wtedy dostanę?

*Maman* podnosi woalkę i uśmiecha się; palcami, których nie okrywa rękawiczka, klepie Aude po policzku.

- Sama ci je dam. Albo powiem ci, gdzie je znaleźć.

- Podoba ci się szal od Papy? - Aude rozkłada go na swoich białych muslinowych spódnicach i grubym czarnym jedwabiu okrywającym kolana *Maman*.

- Bardzo - odpowiada *Maman*. Wygląda szal, tak aby zasłonił list z jego dużymi dziwnymi znaczkami. - A niezapominajki są prawie tak ładne jak te, które wyszywasz. Ale niezupełnie, ponieważ twoje zawsze wyglądają na żywe.

# 101

## *MARLOW*

Robinson powitał mnie serdecznie, kiedy powróciłem do jego salonu. Nie próbował się podnieść, ale był ubrany starannie w szare flanelowe spodnie, czarny golf i granatową marynarkę, jakbyśmy wybierali się na lunch, a nie zamierzali tkwić nieruchomo w jego pokoju. Słyszałem brzęk garnków dobiegający z kuchni, do której powróciła Yvonne, wyczuwałem zapach cebuli, smażonego masła. Ku mojemu zadowoleniu poprosił z miejsca, bym obiecał, że zostanę na obiedzie. Zrelacjonowałem mu wizytę w Musée de Maintenon. Kazał mi wymienić, w miarę możliwości, tytuł każdego obrazu, który przekazał muzeum.

- Niezłe towarzystwo dla naszej Béatrice - zauważył z uśmiechem.

- Rzeczywiście... Monet, Renoir, Vuillard, Pissarro...

- Zostanie bardziej doceniona w nowym wieku.

Trudno było w ten nowy wiek uwierzyć tutaj, w tym mieszkaniu, gdzie od pięćdziesięciu lat znajdowały się te same książki i obrazy, nawet rośliny zdawały się żyć tak długo jak Mary.

- Paryż niezłe świętował, prawda? Chodzi mi o milenium.

Uśmiechnął się.

- Aude pamiętała sylwestra tysiąc dziewięćsetnego roku, wie pan. Miała wtedy prawie dwadzieścia lat.

A on sam jeszcze się nie urodził. Ominęło go dzieciństwo Aude.

- Czy mógłbym spytać pana o jeszcze jedną rzecz, jeśli nie wyda się to panu niewłaściwe? Niewykluczone, że pomogłoby mi to w leczeniu Roberta, zakładając, że zdobędzie się pan na taką szczodrość.

Wzruszył ramionami, nie wypowiadając słowa sprzeciwu - niechętny gest dżentelmena, który daje do zrozumienia, że wybaczają.

- Chciałbym wiedzieć, co sądzi pan o powodach, dla których Béatrice de Clerval przestała malować. Robert Oliver jest bardzo inteligentny i też musiał się głęboko nad tym zastanawiać. Ale czy ma pan jakieś teorie na ten temat?

- Nie zajmuję się teoriami, doktorze. Żyłem z Aude de Clerval. Nie miała przede mną tajemnic. - Wyprostował się nieznacznie. - Była wielką kobietą, jak jej matka, i to pytanie też ją dręczyło. Jako psychiatra rozumie pan, że obwiniała siebie o kres matczynej kariery. Nie każda kobieta wyrzeka się wszystkiego dla swego dziecka, ale Aude wiedziała, że tak właśnie było w przypadku jej matki; ciążyło jej to przez całe życie. Jak już panu wspominałem, sama próbowała malować i rysować, ale nie miała do tego talentu. I nigdy nie napisała niczego osobistego o swojej matce czy własnym życiu - była sumienną dziennikarką, profesjonalistką, bardzo odważną. Podczas wojny działała w Paryżu na rzecz ruchu oporu - inna historia. Ale czasem rozmawiała ze mną o swojej matce.

Czekałem w ciszy tak głębokiej, jakiej zaznawałem w obecności Roberta. W końcu stary człowiek znów się odezwał.

- To tajemnica, zagadka, to, że się pan tu zjawił, a wcześniej Robert. Nie nawykłem do rozmów z nieznanymi. Ale powiem panu coś, czego nie mówiłem nikomu, a już z pewnością nie Robertowi Oliverowi. Kiedy Aude umierała, dała mi paczkę listów, które był mi pan tak miły zwrócić. Wśród nich znajdowało się przesłanie dla niej od jej matki. Kazała mi to przeczytać, a potem spalić, co też uczyniłem. Pozostałe zaś listy powierzyła mojej pieczy. Nigdy wcześniej mi ich nie pokazywała. Czułem się zraniony, rozumie pan, ponieważ sądziłem, że dzieliliśmy się wszystkim. Ten list od matki zawierał dwie rzeczy. Béatrice pisała w nim, że kochała Aude ponad wszystko na świecie, gdyż była ona dzieckiem jej największej miłości. I że przekazała dowód tej miłości swej służącej Esmé.

- Tak... pamiętam to imię z listów.

- Czytał je pan?

W pierwszej chwili poczułem dreszcz na plecach. Potem uświadomiłem sobie, że Henri mówił poważnie, wyznając, iż zdarza mu się zapominać to i owo.

- Tak... jak już wspominałem, czułem, że powinienem się z nimi zapoznać ze względu na swojego pacjenta.

- Ach. No cóż, teraz to bez znaczenia. - Ostro zakończonymi palcami postukał o poręcz fotela; wydawało mi się, że dostrzegam pod nimi przetarty materiał.

- Powiedział pan, że Béatrice zostawiła coś Esmé?

- Tak przypuszczam, ale Esmé zmarła wkrótce po śmierci Béatrice. Zachorowała nagle i być może nie zdołała po prostu przekazać Aude tego czegoś od matki, cokolwiek to było. Aude zawsze powtarzała, że Esmé zmarła z powodu złamanego serca.

- Béatrice musiała być dla służby bardzo serdeczną panią.

- Jeśli w czymkolwiek przypominała swoją córkę, to była wspaniałą osobowością.

Jego twarz przyoblekała się smutkiem.

- I Aude nigdy się nie dowiedziała, czym był ów dowód miłości?

- Nie, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Aude tak bardzo tego pragnęła. Szukałem informacji dotyczących Esmé i odkryłem w archiwach miejskich, że nazywała się Renard i że urodziła się w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Jednak nic więcej nie udało mi się odnaleźć. Rodzice Aude kupili dom w wiosce, z której pochodziła Esmé, ale został on sprzedany po śmierci Yves'a. Nie pamiętam nawet, jak ta wioska się nazywała.

- A więc urodziła się osiem lat po Béatrice - zauważyłem.

Przesunął się na swoim fotelu i przysłonił sobie oczy, jakby chciał mi się dokładniej przyjrzeć.

- Wie pan tak dużo o Béatrice - oznajmił z uznaniem i zdziwieniem w głosie. - Też ją pan kocha, jak Robert Oliver?

- Mam po prostu dobrą pamięć do liczb.

Przyszło mi do głowy, że powinienem pójść sobie, zanim stary człowiek znów się zmęczy.

- Tak czy inaczej nic nie znalazłem. Tuż przed śmiercią Aude powiedziała, że jej matka była najbardziej uroczą osobą w świecie, może z wyjątkiem - odchrząknął z powodu nagłej suchości w gardle - z wyjątkiem mnie. Więc może nie chciała wiedzieć więcej.

- Z pewnością jej to wystarczało - powiedziałem, by go pocieszyć.

- Chciałby pan zobaczyć jej portret? Béatrice?

- Tak, oczywiście. Widziałem obraz Oliviera Vignota, ten w Metropolitan Museum.

- Jest dobry. Ale mam fotografię, prawdziwa rzadkość; Aude mówiła, że jej matka nie lubiła się fotografować. Aude nigdy nie pozwoliła nikomu opublikować tego zdjęcia. Trzymam je w swoim albumie.

Dźwignął się z miejsca bardzo powoli, nim zdążyłem zaprotestować, i ujął stojącą obok fotela laskę. Zaoferowałem mu pomoc, wyciągając do niego rękę; przyjął ją z niechęcią i ruszyliśmy przez pokój w stronę półki z książkami. Wskazał laską jeden z tomów. Wyjąłem ciężki, oprawiony w skórę album - miejscami zdarty do żywego, ale na okładce zachował się pozłacany wytłoczony prostokąt. Otworzyłem księgę na stole obok. W środku były zdjęcia rodzinne z kilku epok, a ja żałowałem, że nie mogę ich wszystkich obejrzeć: małe dzieci w ubrankach z falbankami, patrzące wprost przed siebie, dziewiętnastowieczne panny młode niczym białe pawie, dżentelmeńscy bracia albo przyjaciele w cylindrach i surdutach, z dłońmi na ramionach towarzysza. Zastanawiałem się, czy jest gdzieś między nimi Yves, być może ciemnobrody, barczysty mężczyzna z uśmiechem na twarzy, albo Aude, mała dziewczynka w

szerokiej sukience i zapinanych na guziki butach. Nawet jeśli tu byli albo jeśli którykolwiek z tych mężczyzn był samym Olivierem Vignotem, to Henri Robinson przerzucał szybko kartki, skupiony na swej misji, a ja nie miałem odwagi przeszkadzać jego kruchemu umysłowi czy dłoniom.

- To jest Béatrice - powiedział.

Poznałbym ją wszędzie; mimo wszystko było to niesamowite, kiedy ujrzałem jej twarz na żywo. Stała sama, jedną dłoń opierała na cokole w atelier, drugą unosiła nieznacznie suknię - najbardziej sztywna poza, a jednak jej sylwetka była pełna energii. Rozpoznałem intensywnie ciemne oczy, kształt szczęki, szczupłą szyję, bujne kręcone włosy odsłaniające uszy. Miała na sobie długą ciemną suknię z czymś w rodzaju szala na ramionach. Rękawy były duże u góry i zwężone na nadgarstkach; talię miała drobną i zwartą, a spódnice obszyte u dołu szerokim pasem jakiegoś jaśniejszego koloru, z wyrafinowanym wzorem geometrycznym. Modna dama, pomyślałem; artystka pod względem stroju, jeśli nie z krwi i kości.

Fotografia została opatrzona datą 1895, nosiła też nazwę i adres paryskiego atelier fotograficznego. Nie dawało mi spokoju coś zawołanego, jakieś wspomnienie, postać z jakiegoś innego miejsca, melancholia, z której nie mogłem się otrząsnąć. Przez długą chwilę rozmyślałem o tym, że moja pamięć nie jest wiele lepsza od pamięci Henriego Robinsona - znacznie gorsza, prawdę powiedziawszy. Potem zwróciłem się do niego.

- Monsieur, ma pan książkę z reprodukcjami dzieł... - Co to było? Gdzie to było? - Szukam obrazu... to znaczy książki z obrazami Sisleya; może ma ją pan przypadkiem?

- Sisleya? - Zmarszczył czoło, jakbym poprosił go o drinka, którego nie miał pod ręką.  
- Przypuszczam, że mam coś takiego. Powinno znajdować się gdzieś tutaj. - Znów dźgnął powietrze swoją laską, wspierając się na moim ramieniu. - To impresjoniści, począwszy od pierwszych sześciu.

Podszedłem do półek i zacząłem szukać, powoli, lecz nic nie znalazłem. Była tam książka o pejzażach impresjonistycznych, w indeksie widniał Sisley, ale nie było tam reprodukcji, o którą mi chodziło. W końcu znalazłem tom poświęcony scenom zimowym.

- To nowa książka. - Henri Robinson przyglądał jej się z zadziwiającą ostrością wzroku. - Dał mi ją Robert Oliver, kiedy odwiedził mnie drugi raz.

Trzymałem w ręku wolumin - kosztowny prezent.

- Pokazał mu pan zdjęcie Béatrice?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie wydaje mi się. Pamiętałbym. Zresztą gdybym to zrobił, też mógłby je ukraść.

Musiałem przyznać, że nie dało się tego wykluczyć. W książce był obraz Sisleya, co stwierdziłem z ulgą, taki, jak go zapamiętałem z National Gallery: kobieta oddalająca się ogrodzoną z obu stron wysokim murem drogą wiejską, śnieg pod jej stopami, posępnie ciemne gałęzie drzew, zimowy zachód słońca. Było to niezwykle dzieło, nawet w formie reprodukcji. Suknia kołysała się wokół kobiecej sylwetki w ruchu, wrażenie pośpiechu w jej postaci, krótka ciemna peleryna, niezwykła niebieska lamówka wokół brzegu spódnicy. Podsunąłem książkę Henriemu Robinsonowi.

- Przypomina panu coś?

Przyglądał się przez długą chwilę, potem potrząsnął głową.

- Naprawdę uważa pan, że jest tu jakiś związek?

Zaniosłem album na stół i położyłem go obok fotografii. Spódnica była bez wątpienia identyczna.

- Czy taka suknia stanowiła wówczas pospolity model ubioru?

Henri Robinson trzymał moje ramię mocno zaciśniętymi palcami, a ja znów pomyślałem o swoim ojcu.

- Nie wydaje mi się, by było to możliwe. Dama w tamtych czasach miała krawcową, która szyla specjalnie dla niej.

Czytałem tekst pod reprodukcją. Alfred Sisley namalował to na cztery lata przed śmiercią, w Grémière, na zachód od swojej wioski Moret-sur-Loing.

- Mogę posiedzieć i pomyśleć przez chwilę? - spytałem. - Mogę spojrzeć jeszcze na te listy?

Henri Robinson pozwolił mi się zaprowadzić do swojego fotela i podał mi z niechęcią listy. Nie, nie potrafiłem dostatecznie dobrze czytać po francusku, przebrnąć przez to odręczne pismo. Musiałem przejrzeć w pokoju hotelowym swoją kopię, tłumaczenie Zoe. Żałowałem, że nie przyniosłem go ze sobą - teraz wydawało się to oczywiste. Byłem pewien, że Mary już dawno by się zorientowała, z tym swoim beztroskim, lekceważącym „załatwione, Sherlocku”. Oddałem mu listy, sfrustrowany.

- Monsieur, chciałbym zadzwonić do pana dziś wieczorem. Mogę? Zastanawiam się, jaki jest związek między fotografią a obrazem Sisleya.

- Ja też się zastanowię - obiecał uprzejmie. - Wątpię, czy może mieć to wielkie znaczenie, nawet jeśli suknia jest podobna; kiedy będzie pan w moim wieku, sam się pan przekona, że w ostateczności takie rzeczy się nie liczą. No dobrze, Yvonne czeka z obiadem.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy wypolerowanym stole jadalnym, za jeszcze jednymi zamkniętymi drzwiami zielonego koloru. Ten pokój też był obwieszony obrazami i



oprawionymi zdjęciami międzywojennego Paryża, klarownymi, chwytającymi za serce widokami: rzeka, wieża Eiffla, ludzie w ciemnych płaszczach i kapeluszach, miasto, którego nigdy już nie miałem poznać. Kurczak z cebulą był pyszny; Yvonne przyszła spytać, jak nam smakuje posiłek, i została na chwilę, by wypić z nami kieliszek wina, ocierając czoło wierzchem dłoni.

Po obiedzie Henri zaczął sprawiać wrażenie tak znużonego, że czym prędzej zacząłem się zbierać, przypominając mu, że zadzwonię.

- Musi pan też wpaść do mnie, żeby się pożegnać - powiedział.

Pomogłem mu usadowić się w fotelu i posiedziałem z nim jeszcze chwilę. Kiedy wstałem, ponownie spróbował się podnieść, ale powstrzymałem go i tylko uścisnąłem mu dłoń. Nagle wydał się senny. Oddaliłem się po cichu.

Kiedy dotarłem do drzwi salonu, zawołał za mną:

- Czy wspominałem panu, że Aude była dzieckiem Zeusa?!

Świeciły mu się oczy, zza zamglonej starczej twarzy wyglądał młody człowiek. Przyszło mi do głowy, że powinienem się domyślić, iż to właśnie on powie mi głośno to, o czym myślałem już od dawna.

- Tak. Dziękuję, monsieur.

Kiedy go opuszczałem, broda opadła mu na dłoń.

## 102

### MARLOW

W swoim wąziutkim pokoju położyłem się z przetłumaczonymi przez Zoe listami i odszukałem ten fragment:

*Sama jestem dziś trochę zmęczona i nie potrafię wziąć się do niczego z wyjątkiem pisania listu, choć malowanie szło mi wczoraj niezle, gdyż znalazłam dobrą modelkę, swoją pokojówkę Esmé; kiedy ją spytałam, czy zna Twoje ukochane Louveciennes, odpowiedziała mi nieśmiało, że jej rodzinna wioska jest tuż obok i nazywa się Grémière. Yves powiada, że nie powinnam dręczyć służących, każąc im pozować, ale gdzież indziej mogłabym znaleźć tak cierpliwą modelkę?*

W sklepie obok hotelu kupiłem kartę telefoniczną za dwadzieścia dolarów - mnóstwo czasu na połączenia ze Stanami Zjednoczonymi - i mapę samochodową Francji. Zauważyłem kilka budek telefonicznych w Gare de Lyon, po drugiej stronie ulicy, i ruszyłem w tamtym kierunku z plikiem listów w dłoni, czując, jak majaczy nade mną ten ogromny budynek z posągami, które pochłania z wolna kwaśny deszcz. Żałowałem przez chwilę, że nie mogę wejść do środka i wsiąść do pociągu ciągniętego przez lokomotywę parową, usłyszeć, jak gwizdże i sapie, po czym wyjechać ze stacji ku jakiemuś światu, który Béatrice poznałaby bez trudu. Jednak przy bliższym końcu torów stały jedynie trzy smukłe pociągi TGV ery podbojów kosmicznych, a wewnątrz dworca rozbrzmiewało echem niezrozumiałych komunikatów.

Usiadłem na pierwszej pustej ławce i otworzyłem mapę. Jeśli podążało się wzdłuż Sekwany śladami impresjonistów, Louveciennes leżało na zachód od Paryża; pierwszego dnia pobytu widziałem kilka scen z tej wioski w Musée d'Orsay, w tym także obraz Sisleya. Odnalazłem Moret-sur-Loing, gdzie zmarł. Tuż obok mała kropeczka - Grémière. Zamknąłem się w jednej z budek telefonicznych i zadzwoniłem do Mary. W Stanach było popołudnie, ale wiedziałem, że powinna być już w domu i że maluje albo przygotowuje się do wieczornych

zająć.

Odebrała po drugim sygnale.

- Andrew? Wszystko w porządku?

- Oczywiście. Jestem na Gare de Lyon. Wspaniały dworzec.

Z miejsca, w którym stałem, mogłem widzieć przez szklaną szybę malowidła ściennie nad Le Train Bleu, niegdyś Buffet de la Gare de Lyon, najmodniejszą restauracją dworcową epoki Béatrice albo przynajmniej Aude. Wiek później nadal podawano tam posiłki. Zapragnąłem boleśnie, by była tu ze mną Mary.

- Wiedziałam, że zadzwonisz.

- A co u ciebie?

- Och, maluję - odparła. - Akwarele. Jestem w tej chwili zmęczona martwą naturą. Powinniśmy się wybrać w plener, kiedy wrócisz.

- Absolutnie. Zaczynaj planować.

- Wszystko w porządku?

- Tak, chociaż dzwonię w sprawie pewnego problemu. Nie natury praktycznej, mówiąc ściśle, chodzi bardziej o zagadkę dla Holmesa.

- Wobec tego mogę być twoim Watsonem - zauważyła ze śmiechem.

- Nie, to ty jesteś moim Holmesem. Oto pytanie. W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym Alfred Sisley namalował pejzaż wiejski. Przedstawia on kobietę idącą drogą, w ciemnej sukni z obszyciem u dołu, ozdobionym jakimś greckim geometrycznym wzorem. Widziałem ten obraz w National Gallery, więc może go znasz.

- Tego akurat nie pamiętam.

- Myślę, że ta kobieta ma na sobie suknię Béatrice de Clerval.

- Co? Skąd to, u licha, wiesz?

- Henri Robinson ma jej zdjęcie w tej sukni. To niezwykle człowiek, tak na marginesie. I miałaś rację co do listów. Robert zdobył je we Francji. Muszę ci z przykrością powiedzieć, że zabrał je Henriemu.

Milczała przez chwilę.

- A ty je zwróciłeś?

- Oczywiście. Henri jest bardzo szczęśliwy, że je odzyskał.

Wydawało mi się, że rozmyśla nad licznymi zbrodniami Roberta, ale potem powiedziała:

- Nawet jeśli jesteś pewien, że to ta sama suknia, to jakie ma to znaczenie? Może się znali, a ona dla niego pozowała.

- Wioska, gdzie malował ten obraz, to Grémière, z której pochodziła jej pokojówka. Henri powiedział mi, że kiedy córka Béatrice, Aude, umierała, wyznała mu - jeśli za mną nadążasz - że Béatrice dała swojej służącej coś ważnego, jakiś dowód swej miłości. Aude zaś nigdy się nie dowiedziała, co to było.

- Żałujesz, że nie możesz pojechać ze mną do Grémière?

- Bardzo. Czy według ciebie powinienem to zrobić?

- Nie bardzo rozumiem, jakim cudem mógłbyś cokolwiek znaleźć w tej wiosce, i to po tak długim czasie. Może jedno z nich jest tam pochowane?

- Prawdopodobnie Esmé, zresztą nie wiem. Przypuszczam, że Vignotowie pochowani są w Paryżu.

- Tak.

- Czy robię to dla Roberta? - Chciałem znów usłyszeć jej głos, dodający odwagi, ciepły, kpiarski.

- Nie bądź niemądry, Andrew. Robisz to dla siebie, wiesz o tym doskonale.

- I trochę dla ciebie.

- I trochę dla mnie.

Milczała, ta cisza płynęła do mnie wzdłuż nieskończonego atlantyckiego kabla. A może były to łącza satelitarne? Przyszło mi do głowy, że powinienem przy okazji zadzwonić do ojca.

- No cóż, wybiorę się w krótką podróż, to niedaleko od Paryża. Nie jest chyba trudno dotrzeć tam samochodem. Chciałbym też odwiedzić Étretat.

- Może któregoś dnia pojedziemy tam razem. - Jej głos był teraz stłumiony; odchrząknęła. - Chciałam zaczekać, ale możemy teraz o czymś porozmawiać?

- Tak, oczywiście.

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć, ponieważ dowiedziałam się wczoraj, że jestem w ciąży - oznajmiła.

Stałem, ściskając słuchawkę w dłoni, świadomy przez chwilę jedynie cielesnego doznania, sejsmicznej rejestracji gwałtownej zmiany.

- I jest to...

- Jest to pewne.

Chodziło mi o coś innego.

- I jest to...

W drzwiach, które jakby otworzyły się w moim umyśle, właśnie w tym momencie, majaczyła jakaś postać, choć budka telefoniczna pozostawała zamknięta.

- Jest twoje, jeśli to chcesz wiedzieć.

- Ja...

- To nie może być dziecko Roberta. - Słyszałem jej zdecydowanie w słuchawce telefonu, pragnienie, by powiedzieć mi to wszystko wprost; widziałem długie palce, które trzymały słuchawkę po drugiej stronie oceanu. - Pamiętasz, nie widziałam Roberta od wielu miesięcy i nie chciałam go widzieć. Wiesz doskonale, że nigdy potem się z nim nie spotkałam. I nie ma nikogo innego. Zabezpieczałam się, jak wiesz, ale zawsze można popełnić błąd. Nigdy wcześniej nie byłam w ciąży. Nigdy w życiu. Zawsze się pilnowałam.

- Ale ja...

Odpowiedział mi pełen niecierpliwości śmiech.

- Nie zamierzasz nic powiedzieć na ten temat? Szczęście? Przewrzenie? Rozczarowanie?

- Proszę, daj mi chwilę.

Oparłem się o wewnętrzną ścianę budki, przyłożyłem czoło do szklanej powierzchni, nie zważając na to, jakie głowy dotykały jej w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Potem zacząłem płakać. Nie robiłem tego od lat; raz była to chwila gorących i gniewnych łez po samobójstwie mojego ulubionego pacjenta - i ta ważniejsza, znacznie wcześniej, kiedy siedziałem u boku matki, trzymając jej ciepłą, miękką, martwą dłoń, i uświadomiłem sobie po długich minutach, że już mnie nie słyszy, a więc nie będzie miała nic przeciwko temu, bym poddał się rozpacz, nawet jeśli obiecałem wspierać ojca. Poza tym to on mnie wtedy wspierał. Obaj byliśmy obeznani ze śmiercią, wynikało to z naszych profesji; on jednak przez całe życie pocieszał smutnych i opuszczonych.

- Andrew? - Na linii pojawił się głos Mary, myszkujący, niecierpliwy, zraniony. - Jesteś załamany? Nie musisz udawać...

Otarłem twarz rękawem, zahaczając spinkami o nos.

- A więc nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby mnie poślubić?

Tym razem jej śmiech był znajomy, choć zdławiony - zaraźliwa wesołość, którą dostrzegłem u Roberta Olivera. Sam ją dostrzegłem? Nigdy się nie śmiał w mojej obecności; myślałem zapewne o kimś innym. Usłyszałem, jak stara się zapanować nad głosem.

- Nie będę miała nic przeciwko temu, Andrew. Chyba nigdy nie chciałam poślubić kogokolwiek, ale ty nie jesteś ktokolwiek. I nie chodzi o dziecko.

W chwili gdy usłyszałem to słowo - dziecko - moje życie rozdzieliło się na pół, mitozy miłości. Jedna połowa nie była jeszcze nawet obecna; ale to jedno proste słowo, usłyszane w

słuchawce, stworzyło dla mnie inny świat albo podwoiło ten, który znałem.

# 103

## *MARLOW*

Kiedy już wytarłem nos i przez kilka minut pochodziłem po dworcu, wykreśliłem numer, który dał mi Henri.

- Zamierzam wynająć samochód i pojechać jutro rano do Grémière. Chciałby pan wybrać się tam ze mną?

- Myślałem o tym, Andrew, choć nie wierzę, byś mógł się czegokolwiek dowiedzieć, ale może ta podróż sprawi ci satysfakcję.

Odczułem ogromną przyjemność, słysząc, że zwraca się do mnie po imieniu.

- Więc mógłby pan jechać, jeśli nie wydaje się to panu szalone? Zrobiłbym wszystko, żeby ułatwić panu tę eskapadę.

Westchnął.

- Nieczęsto opuszczam teraz dom, chyba że muszę pójść do lekarza. Stanowiłbym dla ciebie ciężar.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Ugryzłem się w język i nie powiedziałem mu, że mój ojciec wciąż prowadzi samochód, odwiedza parafian i chodzi na spacer. Był prawie o dziesięć lat młodszy - w tej sytuacji niemal całe życie, jeśli chodzi o sprawność fizyczną.

- Och. - Zastanawiał się ze słuchawką w dłoni. - Przypuszczam, że najgorsza możliwość jest taka, że ta podróż mnie zabije. Będziesz musiał zawieźć moje ciało z powrotem do Paryża i pochować je obok Aude de Clerval. Umrzeć ze zmęczenia w pięknej wiosce to nie taki zły los.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, ale zachichotał, więc i ja się roześmiałem. Tak bardzo pragnąłem przekazać mu nowiny. To było okropne, że Mary nie poznała tego człowieka, który mógłby być jej dziadkiem, a nawet pradziadkiem - tak bardzo przypominał ją długimi szczupłymi nogami i szelmowskim poczuciem humoru.

- Mogę przyjechać po pana jutro o dziewiątej?

- Tak. Nie będę spał całą noc.

Odłożył słuchawkę.

Jazda samochodem po Paryżu jest dla cudzoziemca koszmarem. Tylko Béatrice mogła mnie do niej nakłonić. Wydawało mi się, że muszę zamykać oczy - a czasem otwierać je szerzej niż zwykle - by przeżyć nieprzewidywalny ruch uliczny, obce znaki i jednokierunkowe uliczki. Byłem zlany potem, zanim dotarłem do domu Henriego i z niewysłowioną ulgą zaparkowałem, nieprawidłowo i z włączonymi światłami awaryjnymi, na dwadzieścia minut, których potrzebowałem, by wraz z Yvonne sprowadzić go na dół. Gdybym był Robertem Oliverem, to wziąłbym Henriego na ręce i zniósł go po schodach, ale nie śmiałem proponować czegoś takiego. Usadowił się na przednim siedzeniu, a służąca wsadziła do bagażnika składany fotel na kółkach i koc - ulżyło mi; wiedziałem, że będziemy mogli bezpiecznie poruszać się po wiosce.

Zdołaliśmy zachować życie, wydostając się z jednego z głównych bulwarów, podczas gdy Henri wskazywał mi drogę, ujawniając zadziwiającą pamięć, a potem pokonaliśmy przedmieścia, gdzie migotała przelotnie szeroka Sekwana, by wreszcie ruszyć krętymi drogami, przez lasy i pierwsze wioski. Na zachód od Paryża teren stał się bardziej urozmaicony; nigdy nie byłem w tej okolicy - strome wzgórza, dachy łupkowe, łagodne i spokojne kościoły, patrycjuszowskie drzewa, płoty pokryte pierwszą falą krzewów różanych. Spuściłem szybę, by nacieszyć się świeżym powietrzem, a Henri rozglądał się wokół siebie, milczący, o woskowatej twarzy, czasem uśmiechnięty.

- Dziękuję - powiedział jeden raz.

W Louveciennes zjechaliśmy z głównej drogi i ruszyliśmy powoli przez miasto, tak aby Henri mógł mi pokazywać miejsca, gdzie mieszkali i malowali wielcy mistrzowie.

- To miasto zostało niemal doszczętnie zniszczone podczas pruskiej inwazji. Pissarro miał tu dom. Musiał uciekać z rodziną, a pruscy żołnierze, którzy tam kwaterowali, używali jego płócien w charakterze dywanów. Rzeźnicy robili sobie z nich fartuchy. Stracił ponad sto obrazów, lata pracy. - Odchrząknął i zakaszłał. - *Salauds*.

Za Louveciennes droga zaczęła schodzić w dół; minęliśmy bramę niewielkiego *château*, mignął szary kamień i duże drzewa. Następną miejscowością na naszej trasie było Grémière, tak malutkie, że niemal przegapiłem skręt. Dostrzegłem tabliczkę, kiedy wjechaliśmy na plac, tak naprawdę połać bruku przed kościołem, bardzo starym, zapewne normańskim, przysadzistym i naszpikowanym wieżami, z zatartymi przez wiatr płaskorzeźbami bestii na portalu. Zaparkowałem w pobliżu, obserwowany przez dwie starsze kobiety w praktycznych gumowcach, z zakupami w ręku, po czym wyjąłem z bagażnika fotel



na kółkach i pomogłem wysiąść Henriemu.

Nie musieliśmy się spieszyć, ponieważ nie wiedzieliśmy, po co tu jesteśmy. Zdawało się, że mojemu towarzyszowi ogromną przyjemność sprawia niespieszna kawa w jedynej miejscowej knajpce, gdzie przykrywszy mu kolana kocem, ustawiłem jego fotel przy stoliku na zewnątrz. Poranek był zimny, ale w słońcu wiosenny; wzdłuż drogi po prawej stronie kwitły kasztany niczym wieżycy różu i bieli. Wprowadziłem się w manewrowaniu wózkiem - pomyślałem, że pewnego dnia ojciec będzie też takiego potrzebował - i ruszyliśmy pierwszą uliczką między murami, chcąc się przekonać, czy to ta właściwa. Omijałem popękane kamienie. Mój ojciec, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zdążyłby jeszcze zobaczyć swego wnuka.

Henri przed wyjazdem nalegał, żebyśmy zabrali ze sobą książkę o Sisleyu; po kilku próbach doszliśmy do wniosku, że jedna z tych otoczonych ścianami uliczek odpowiada szczegółom na obrazie, a ja zrobiłem parę zdjęć. Ponad murem zwieszały się gałęzie cedrów i platanów, a na końcu znajdował się dom, ten, ku któremu Béatrice - jeśli to była ona - zmierzała na płótnie. Miał niebieskie okiennice, przy drzwiach wejściowych rosły w doniczkach pelargonie; został starannie odnowiony, a właściciele mieszkali być może w Paryżu. Naciskałem na próżno dzwonek, podczas gdy Henri siedział w swoim wózku na chodniczku przed frontowymi schodkami.

- Nic z tego - powiedziałem.

- Nic z tego - powtórzył jak echo.

Udaliśmy się do sklepu i spytaliśmy sprzedawcę o rodzinę Renardów, ale wzruszył tylko grzecznie ramionami i dalej ważył kielbasę. Poszliśmy więc do kościoła; na szczęście można było wejść do środka bez konieczności korzystania ze schodów. Wnętrze było zimne, nieoświetlone, istna jaskinia. Henri drżał i po chwili poprosił, żebym zabrał go do nawy, gdzie usiadł na chwilę z pochyloną głową - ponownie odwiedzając duchy, jak sobie pomyślałem. Następnie skierowaliśmy się do *mairie*, by sprawdzić, czy zachowały się jakiegokolwiek dokumenty dotyczące Esmé Renard albo jej rodziny. Pani za biurkiem pomogła nam z radością; najwidoczniej nikogo nie widziała przez cały ranek i zmęczyła się pisaniem na maszynie. Kiedy więc pojawił się jeszcze jeden urzędnik - nigdy się do końca nie zorientowałem, kim był, choć w tak małej miejscinie mógł pełnić funkcję samego mera - zaczęli szukać w archiwach. Mieli dokumentację na temat historii wioski, a także rejestr narodzin i zgonów, który początkowo przechowywany był w kościele, ale teraz znajdował się w ogniotrwałym stalowym pojemniku. I znów ani słowa o Renardach; może nie mieli tu własnego domu, tylko go wynajmowali?

Zaczęliśmy się żegnać i zbierać do wyjścia. W drzwiach biura Henri dał mi znak, żebym się zatrzymał, i ujął mnie za rękę.

- To nieistotne - oznajmił serdecznie. - Sam wiesz, że wiele rzeczy nie znajduje nigdy wyjaśnienia. I w gruncie rzeczy nie jest to takie złe.

- Słyszałem to od pana wczoraj i jestem pewien, że miał pan rację - odparłem i ścisnąłem mu delikatnie dłoń; jego palce przypominały ciepłe patyczki. To, co powiedział, było prawdą - moje serce już skłaniało się ku czemuś innemu. Poklepał mnie po ramieniu.

Trwało chwilę, zanim obróciłem fotel w stronę wyjścia. Kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem go, ten rysunek. Wisiał oprawiony na pokrytej starym tynkiem ścianie przy drzwiach, wyrazisty fragment nakreślony grafitem na papierze: łabędź, ale nie ofiara z obrazu, który widziałem dzień wcześniej; ten zamierzał wylądować na ziemi, nie zaś zrywać się do lotu. Niżej spoczywała ludzka postać, widać było zgrabną nogę, kawałek materii. Zablokowałem starannie wózek Henriego i przysunąłem się o krok do szkicu. Łabędź, dziewczęca łydka, urocza stopa i inicjały zaznaczone w jednym rogu, pospiesznie, ale wyraźnie, tak jak widziałem je na tle kwiatów i trawy, obok stopy złodzieja w ciężkich butach. Był to znajomy podpis, bardziej przypominający chiński ideogram niż łacińskie litery, jej charakterystyczny znak. Umieszczała go na swych płótnach, zanim zbyt wcześnie przestała malować na zawsze. Drzwi do biura za naszymi plecami były zamknięte, więc zdjąłem ostrożnie niewielką ramkę ze ściany i położyłem na kolanach Henriego, przytrzymując ją, by nie upuścił jej przez przypadek. Poprawił okulary na nosie i przyjrzał się rysunkowi.

- Och, *mon Dieu* - powiedział wreszcie.

- Wróćmy tam. - Napatrzyliśmy się już do woli i odwiesiłem szkic na ścianę, czując, jak drżą mi palce. - Będą coś wiedzieć na ten temat, a jeśli nie oni, to ktoś inny.

Ruszyliśmy w przeciwnym kierunku i wróciliśmy do biura, gdzie Henri poprosił po francusku o informacje na temat rysunku wiszącego przy wejściu. Młody mer - czy ktokolwiek to był - znów okazał zadowolenie, mogąc nam pomóc. Mieli jeszcze kilka takich rysunków w szufladzie - zanim zaczął tu pracować, znaleziono je w którymś z domów podczas renowacji, ale jego poprzednikowi podobał się akurat ten i kazał go oprawić. Poprosiliśmy, by je nam pokazał, i po krótkich poszukiwaniach wręczył nam kopertę. Miał do załatwienia ważny telefon w swoim gabinecie, ale zaproponował, byśmy usiedli i w obecności sekretarki przejrzyli te rysunki, jeśli chcemy.

Otworzyłem kopertę i podawałem szkice Henriemu, jeden po drugim. Były to studia, w większości na grubym szarym papierze - skrzydła, zarośla, łabędzia głowa i szyja, postać

dziewczyny na trawie, dłoń w zbliżeniu i wbijająca się w ziemię. W kopercie była także gruba kartka papieru, którą rozłożyłem i podałem Henriemu.

- To list - powiedział. - Spoczywał po prostu pośród rysunków. List.

Przytaknąłem, a on, zacinając się, zaczął czytać; od razu go tłumaczył dla mnie, czasem tylko przerywał, kiedy nie mógł zapanować nad głosem.

Wrzesień 1879

*Mój najpiękniejszy,*

*Piszę do Ciebie, mając wrażenie, iż czynię to z niezmierzonej dali, w okowach największego bólu. Lękam się, że rozdzielono nas na zawsze, i myśl ta mnie zabija. Piszę w pośpiechu ze swego atelier, do którego nie wolno Ci wracać. Zamiast tutaj udaj się wprost do domu. Nie wiem, od czego zacząć. Kiedy wyszedłeś po południu, kontynuowałam pracę nad postacią; sprawiała mi sporo trudności, więc zostałam dłużej, niż zamierzałam. Około piątej, gdy światło zaczęło przygasać, usłyszałam pukanie do drzwi; pomyślałam, że to może być Esmé, powracająca z moim szalem.*

*Okazało się jednak, że to Gilbert Thomas, którego znasz. Wszedł, kłaniając się, i zamknął drzwi. Byłam zaskoczona, ale przyszło mi do głowy, iż usłyszał, że Yves kupił dla mnie pracownię.*

*Wyjaśnił, że najpierw zaszedł do mojego domu i dowiedział się, że przebywam zaledwie kilka kroków dalej. Był uprzejmy - oświadczył, że pragnie przez chwilę porozmawiać ze mną o mojej karierze, że, jak zapewne wiem, jego galeria okazała się wielkim sukcesem i że potrzebuje nowych malarzy, by stała się jeszcze większa, że od dawna podziwiał mój talent, etc. Znow się skłonił, trzymając w ręku kapelusz. Potem wszedł głębiej i zaczął studiować z uwagą nasze płótno, po czym spytał, czy sama je namalowałam, bez pomocy - w tym momencie uczynił nieznaczny gest dotyczący mego stanu, choć wciąż miałam na sobie obszerny kitel. Nie chciałam wyjaśniać, że niedługo skończę obraz i że pocznę szykować się do połogu; nie zamierzałam wprawiać w zakłopotanie ani siebie, ani jego, ani też wspominać o Twojej pomocy, więc nic nie odrzekłam. Przyjrzał się uważnie powierzchni płótna i oznajmił, że jest ono niezwykle i że rozkwitłam pod okiem swego mentora. Zaczęłam czuć się nieswojo, choć przecież nie mógł wiedzieć, iż pracujemy razem. Spytał, jakiej ceny mogę zażądać za ten obraz, a ja odparłam, że nie zamierzam go sprzedawać, dopóki nie zostanie oceniony przez jurorów Salonu, i że może nawet wówczas zechce go zatrzymać. Uśmiechając się z zadowoleniem, spytał, na ile wyceniam reputację swoją albo swego dziecka.*

*Udałam, że czyszczę pędzel, by zyskać na czasie i się zastanowić, potem zaś spytałam*

*jak najspokojniej, co ma na myśli. Odrzekł, że zamierzam zapewne wystawić ten obraz pod nazwiskiem Marie Rivière, tak jak poprzedni - że to żaden sekret dla niego, człowieka, który codziennie ogląda dzieła malarzy. Lecz ani Marie, ani też ja nie będziemy cenić swej reputacji niżej niż samego płótna. On oczywiście jest wolny od wszelkich uprzedzeń, jeśli chodzi o malarstwo kobiet. Prawdę powiedziawszy, podczas swej wyprawy do Étretat pod koniec maja widział kobietę pracującą en plein air, na plaży niedaleko urwisk, w odpowiednim towarzystwie starszego krewniaka, i jest w posiadaniu listu, którego ta kobieta nie otrzymała. Wyjął go ze swej kieszeni, podał mi do przeczytania i cofnął dłoń, gdy wyciągnęłam rękę. Zauważyłam od razu, że to ten, który napisałeś do mnie tamtego ranka, ze złamaną pieczęcią. Nie widziałam go nigdy przedtem, ale widniało na nim Twoje pismo, był zaadresowany do mnie, zawierał Twe słowa o nas, o naszej nocy. Po chwili schował go z powrotem do kieszeni.*

*Powiedział, że to wspaniałe, iż kobiety zaczynają wkraczać do profesji malarskiej, i że moje płótna mogłyby rywalizować z każdym, jakie widział. Jednakże kobieta może zmienić swe zdanie co do malowania, kiedy już zostanie matką, musi mieć też na względzie ryzyko publicznego skandalu. Pieniądze nie są dostatecznym wynagrodzeniem za to doskonałe płótno, ale jeśli ukończę je najlepiej, jak potrafię, to uhonoruje je, umieszczając w jego rogu własne nazwisko. Cały splendor przypadnie w rzeczywistości jemu, gdyż obraz jest już wspaniały, doskonałe połączenie starego i nowego, klasycznego i naturalnego malarstwa - zwłaszcza dziewczyna jest niezwykła, młoda i przedstawiona dostatecznie pięknie, by przyciągnąć kogokolwiek - i byłby też szczęśliwy, mogąc tak postąpić z każdym przyszłym obrazem, mnie zaś oczywiście zostaną oszczędzone wszelkie nieprzyjemności. Rozwodził się tak dalek, jakby chodziło o wyposażenie atelier czy jakiś interesujący kolor, którego użyłam.*

*Nie byłam zdolna patrzeć na niego ani mówić. Gdybyś tu był, to obawiam się, że mógłbyś go zabić, albo on Ciebie. Naprawdę życzyłabym sobie, by był martwy, ale nie jest, nie mam też wątpliwości, że mówił najzupełniej poważnie. Pieniądze nie mogą zmienić jego postanowienia. Nawet jeśli przekażę mu obraz, kiedy zostanie ukończony, on nie zostawi nas w spokoju. Musisz wyjechać, mój najdroższy. To bolesne, zwłaszcza że przyjaźń, która stała się radością mego życia i tchnęła tyle mocy w mój pędzel, jest teraz całkowicie i bez reszty czysta. Powiedz mi, co robić, moje serce przystanie na wszystko, co postanowisz, ale oszczędź Yves'a, tylko o to błagam, najdroższy. Nie mogę mieć litości ani dla siebie, ani dla Ciebie. Przyjdź do mego domu jeszcze jeden raz i przynieś mi wszystkie moje listy, a ja się zastanowię, co z nimi uczynić. Nigdy też nie będę malowała dla tego potwora, kiedy już skończę obraz, a jeśli tak, to uczynię to wyłącznie po to, by uwiecznić jego podłość.*

Henri popatrzył na mnie ze swego fotela.

- Mój Boże - powiedziałem. - Musimy im powiedzieć. O tym, co tutaj mają. I o tych rysunkach.

- Nie - odparł zdecydowanie. Próbował schować wszystko z powrotem do koperty, potem dał mi znak, bym mu pomógł. Zrobiłem to, ale powoli. Potrząsnął głową. - Jeśli coś wiesz, to nie ma powodu, by wiedzieli więcej. A jeśli nic nie wiesz, to tak jest najlepiej.

- Ale nikt nie rozumie... - Urwałem.

- Nie, ty rozumiesz. Wiesz wszystko, co pragniesz wiedzieć. I ja także. Gdyby tylko Aude mogła tu być, powiedziałaaby to samo.

Myślałem, że się rozplacze, jak niemal się rozplakał nad listem, ale twarz miał pogodną.

- Wyprowadź mnie na słońce - poprosił.

# 104

## MARLOW

W samolocie lecącym na lotnisko Dullesa, z kocem na kolanach, wyobraziłem sobie ostatni list Oliviera - spalony być może w kominku jej paryskiej sypialni.

1891

*Moja ukochana,*

*Zdaję sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuję, pisząc do Ciebie, ale zrozumiesz potrzebę starego artysty, który pragnie się pożegnać ze swą towarzyszką. Zapieczętuję ten list z największą troską, ufając, że nikt prócz Ciebie go nie otworzy. Nie piszesz do mnie, ale czuję Twą obecność każdego dnia w tym obcym, posepnym i pięknym miejscu - tak, próbowałem je namalować, choć tylko Bóg jeden wie, co się stanie z moimi płótnami. Yves przekazał mi w swym ostatnim liście sprzed ośmiu miesięcy, że nie malujesz w ogóle i że zajmujesz się wyłącznie córką, która ma niebieskie oczy, otwartą naturę i bystry umysł. Jakże musi być urocza i mądra, skoro poświęciłaś swój talent dla opieki, którą nad nią rozścizas! Lecz jak mogłaś, moja ukochana, wyrzec się swego geniuszu? Spróbuj przynajmniej malować dla siebie, prywatnie. Teraz, kiedy jestem w Afryce już od dziesięciu lat, a Thomas nie żyje, żaden z nas nie jest już zagrożeniem dla Twojej reputacji. Zatrzymał Two najlepsze dzieło ku własnej chwale; czy nie chcesz wziąć odwetu i namalować jeszcze większego? Jesteś jednakże upartą kobietą, jak pamiętam, albo w każdym razie stanowczą.*

*Mniejsza o to; pojmuję w wieku osiemdziesięciu lat to, czego nie mogłem pojąć nawet w wieku siedemdziesięciu - że wybacza się niemal wszystko, tylko nie samemu sobie. Teraz jednak to czynię, albo z powodu słabego charakteru, albo dlatego, że każdy upadłby u Twoich stóp jak ja, albo po prostu dlatego, że nie pozostało mi już wiele życia - cztery miesiące, może sześć. Nie dbam o to szczególnie. Wszystko, co mi dałaś, rzuciło długie światło na moje lata i potęgowało ich blask. Nie mogę się skarżyć, będąc tak hojnie obdarowanym.*

*Wziąłem jednak dziś pióro do ręki nie po to, by wystawiać Twą cierpliwość na próbę i raczyć Cię filozofią - lecz by Ci powiedzieć, że spełni się Two życzenie, wyszeptane do mnie w*

*chwili, którą przypominam sobie z całą wyrazistością, prosba, bym umarł z Twym imieniem na ustach. Uczynię tak. Żywię przekonanie, że nie muszę Cię o tym zapewniać, a list ten może nawet nie dotrzeć do Twych rąk - tutejsza poczta jest co najmniej niegodna zaufania. Ale dotrze do Twych uszu owo wyszeptane imię.*

*A teraz, moja droga, pomyśl o mnie z wyrozumiałością, na jaką możesz się tylko zdobyć, i niechaj bogowie zsyłają Ci szczęście do chwili, gdy będziesz o wiele starsza niż ten wiekowy człowiek, który pisze do Ciebie. Niechaj Twą małą córeczkę i Yves'a spotykają same błogosławieństwa i niechaj oboje cieszą się Twą czułą opieką. Kiedy mała dorośnie, opowiedz jej o mnie to i owo. Zostawiam Aude swoje pieniądze - tak, Yves powiedział mi, jak ma na imię, i umieści moje oszczędności na koncie w Paryżu. Użyj niewielkiej ich części, by zabrać ją któregoś dnia do Étretat. Wiesz, że jest ono, ze swymi wioskami, urwiskami nadmorskimi i ścieżkami, rajem każdego malarza, gdybyś jeszcze kiedykolwiek zapragnęła wziąć pędzel do ręki. Całuję Twoją dłoń, moja ukochana.*

*Olivier Vignot*

# 105

## *MARLOW*

Poranek mojego powrotu do Goldengrove był równie słoneczny; wydawało się, że przywiozłem ze sobą wiosnę z Francji. Przywiozłem też pierścionek dla Mary, dziewiętnastowieczna oprawa, rubiny i złoto; kosztował mnie równowartość moich półrocznych wydatków. Personel przywitał mnie z zadowoleniem, a ja przebrnąłem przez pierwsze zwały wiadomości i papierków w trakcie jednej filiżanki kawy. Relacje pracowników, a także doktora Crowna, pod którego opieką pozostawiłem Roberta, były jak najbardziej pozytywne; mój pacjent wciąż milczał, ale wykazywał się pracowitością i zadowoleniem, zaczął uczestniczyć we wspólnych posiłkach, uśmiechał się do pacjentów i personelu.

Potem zająłem się innymi pensjonariuszami ośrodka, w tym dwiema nowymi kobietami. Jedną z nich była młoda dziewczyna, niedoszła samobójczyni, zwolniona z obserwacji w szpitalu miejskim i zdecydowana wyzdrowieć na tyle, by nie sprawiać więcej bólu rodzinie. Powiedziała mi, że widok matki płaczącej nad nią ze strachu zmienił jej nastawienie do wielu spraw. Drugą pacjentką okazała się starsza kobieta; wątpiłem, czy jest na tyle sprawna fizycznie, by tu przebywać, ale zamierzałem omówić to z jej rodziną. Podążyła mi cienką jak liść dłoń, a ja przytrzymałem ją chwilę. Potem wziąłem teczkę i poszedłem do Roberta.

Siedział na łóżku ze szkicownikiem na kolanach i miał nieco rozmyty wzrok. Zbliżyłem się od razu do niego i położyłem mu rękę na ramieniu.

- Mogę z tobą porozmawiać przez kilka minut, Robercie?

Wstał. Wyczytałem z jego twarzy gniew, zaskoczenie, coś przypominającego ból. Zastanawiałem się, czy nie będzie musiał się teraz odezwać: „Wziąłeś moje listy”. Może nawet powiedziałby: „Niech cię diabli”, z goryczą, tak jak ja mu kiedyś powiedziałem. Ale on tylko stał w miejscu.

- Mogę usiąść?

Nie ruszył się, więc zająłem miejsce w swoim ulubionym fotelu, który był czymś w



rodzaju domu, znajomego zakątka. Wydawał mi się tego dnia dziwnie wygodny.

- Pojechałem do Francji. Zobaczyć się z Henrim Robinsonem.

Efekt był natychmiastowy; Robert szarpnął gwałtownie głową i upuścił szkicownik na podłogę.

- Henri ci wybaczył, jak sądzę. Zwróciłem mu listy. Przykro mi, że zabrałem je bez twojej wiedzy. Bałem się, że nie wyrazisz na to zgody.

I znów natychmiastowe poruszenie; zrobił krok do przodu, a ja się podniosłem z miejsca, czując się w tej pozycji bezpieczniej. Jak zawsze zostawiłem drzwi otwarte. Patrząc na niego, zauważyłem jednak, że nie okazuje wrogości, jedynie lęk.

- Jest zadowolony, że je odzyskał. Potem pojechałem z nim do wioski wspomnianej w listach. Nie wiem, czy pamiętasz - Grémière, skąd pochodziła pokojówka Béatrice.

Wlepił we mnie wzrok, twarz miał bladą, ręce zwieszane po bokach.

- Nie ma żadnych dowodów, które wskazywałyby, że mieszkała tam kiedyś rodzina tej dziewczyny, ale odwiedziłem to miejsce, ponieważ Henri powiedział mi, że Béatrice zostawiła w wiosce coś, co ukazywało prawdę o jej miłości do córki. Znaleźliśmy rysunek - serię studiów, dokładniej mówiąc, z jej inicjałami.

Wyjąłem swoje szkice z teczki i przez chwilę byłem boleśnie świadomy własnego braku umiejętności. Podałem mu je w milczeniu.

- Béatrice de Clerval, nie Gilbert Thomas. Domyśliłeś się tego?

Trzymał moje rysunki w dłoni. Po raz pierwszy wziął ode mnie coś, co próbowałem mu wręczyć osobiście.

- Do tych studiów dołączony był list. Przyniosłem ci jego kopię, żebyś sam mógł przeczytać. Henri go dla mnie przetłumaczył. Jest od Béatrice de Clerval i dowodzi, że Thomas szantażował ją i przywłaszczył sobie autorstwo jednego z jej największych dzieł. Tego też się chyba domyśliłeś.

Podałem mu złożone kartki papieru. Stał i wpatrywał się w nie nieruchomo. Potem przyłożył sobie dłoń do twarzy i trwał tak przez kilka sekund, nieskończenie długo. Kiedy odsonił oczy, okazało się że patrzy wprost na mnie.

- Dziękuję - powiedział.

Nie wiedziałem, czy może nie pamiętałem, jak przyjemny jest ten głos, jak dźwięczny i głęboki, tak do niego pasujący.

- Jest jednak coś, czego nie potrafię zrozumieć. - Stałem obok niego, świadomy jego wzroku, który po chwili przeniósł na sporządzone przeze mnie szkice. - Jeśli podejrzewałeś, że *Leda* jest dziełem Béatrice, to dlaczego chciałeś ją zniszczyć?

- Nie chciałem.

- Ale poszedłeś tam z nożem, w określonym celu.

Uśmiechnął się, czy też prawie uśmiechnął.

- Próbowałem uderzyć jego, nie ją. Ale nie byłem też sobą.

Wtedy to zobaczyłem: portret Gilberta Thomasa liczącego swoje monety. Robert wszedł do galerii sam - i wyjął nóż z kieszeni, dobył szybko ostrze, rzucił się przed siebie; w tym momencie zjawił się strażnik, który rzucił się z kolei na niego. I Robert zahaczył nożem o ramę płótna wiszącego obok autoportretu Gilberta Thomasa. Zadawałem sobie pytanie, co stałoby się z wnętrzem Roberta, jak by to wpłynęło na jego i tak już kruchy stan, gdyby zniszczył niechcący *Ledę*, swoją miłość. Jedną ze swych miłości. Dotknąłem jego ramienia.

- A teraz jesteś sobą?

Był poważny jak człowiek składający przysięgę.

- Od pewnego czasu. Tak mi się wydaje.

- To mogłoby się powtórzyć, o czym wiesz doskonale, z Béatrice czy bez niej. Będziesz musiał się spotykać z psychiatrą i terapeutą, brać leki. Może już zawsze. Dla własnego bezpieczeństwa.

Skinął głową. Twarz miał szczerą, widać było, że słucha.

- Mogę ci polecić innego specjalistę, jeśli zamierzasz stąd wyjechać. No i zawsze możesz do mnie zadzwonić. O tym przede wszystkim pomyśl. Byłeś tu bardzo długo.

Uśmiechnął się.

- Pan też.

Uśmiechnąłem się mimowolnie, tak jak on.

- Chciałbym zobaczyć się z tobą jutro. Przyjdę wcześniej, będziesz mógł wtedy podpisać dokumenty zwolnienia, jeśli poczujesz się gotowy. Powiadomię personel - możesz dziś dzwonić do kogo zechcesz.

Te ostatnie słowa najtrudniej było mi wypowiedzieć; nie chciałem, by w jakikolwiek sposób ingerował w życie jednej jedynej osoby.

- Chciałbym zobaczyć swoje dzieci - oznajmił cichym głosem. - Ale zadzwonię do nich później, kiedy już gdzieś się zaczepię. Niebawem.

Stał na środku pokoju ze skrzyżowanymi ramionami, oczy spoglądały żywo. Zostawiłem go wtedy - uścisnął mi serdecznie dłoń, choć zrobił to trochę odruchowo - i zająłem się innymi obowiązkami.

Nazajutrz zdołałem dotrzeć do Goldengrove wcześniej rano, ponieważ wciąż

funkcjonowałem w czasie paryskim. Robert musiał mnie zapewne wypatrywać; zjawił się pod drzwiami mojego gabinetu, kiedy przygotowywałem się do czekającej mnie pracy. Wziął już prysznic, ogolił się i ubrał starannie; miał na sobie rzeczy, w których widziałem go po raz pierwszy. Włosy połyskiwały mu wilgocią. Wyglądał jak człowiek, który przebudził się po stu latach snu. Personel najwidoczniej dostarczył mu duże torby na jego dobytek, ponieważ stały teraz pod ścianą na korytarzu. Wciąż czułem na szyi dotyk ramienia Mary, widziałem pierścionek na jej palcu, kiedy spała. Nie zadzwonił do niej i wiedziałem teraz ponad wszelką wątpliwość, że ona też tego nie chciała. Musiałem jeszcze zdecydować, czy powiadomić Kate o jego zwolnieniu.

Robert uśmiechnął się.

- Jestem gotowy.

- Na pewno? - spytałem.

- Zadzwoń, jeśli znajdziesz się w kiepskiej sytuacji.

- Zanim znajdziesz się w kiepskiej sytuacji - oznajmiłem z naciskiem, a potem dałem mu swój numer telefonu i papiery.

- W porządku.

Wziął formularze i przejrzał, następnie podpisał je bez wahania i zwrócił mi pióro.

- Podwieźć cię dokądś? Wezwać taksówkę?

- Nie, chciałbym się najpierw przejść.

Był bardzo wysoki, zasłaniał sobą wejście do mojego gabinetu.

- Wiesz, że złamałem dla ciebie wszystkie cholerne zasady.

Chciałem, żeby to usłyszał, a może chciałem to po prostu powiedzieć głośno.

Roześmiał się szczerze.

- Wiem.

Staliśmy, patrząc na siebie, a potem Robert Oliver otoczył mnie ramionami i ścisnął przez chwilę. Nigdy nie miałem brata czy ojca, który by mógł mnie tak mocno obejmować; ani przyjaciela.

- Dziękuję, że zadał pan sobie tyle trudu.

Dziękuję ci za twoje życie, chciałem powiedzieć, ale nie zrobiłem tego. W gruncie rzeczy miałem na myśli: Dziękuję ci za swoje życie.

Pozwoliłem, by odszedł sam, chociaż miałem ochotę go odprowadzić i poczuć wczesny poranek, który znów do niego należał, kwitnące drzewa przed budynkiem. Ruszył korytarzem prosto ku głównemu wejściu, zobaczyłem jeszcze, jak naciska klamkę i wychodzi na zewnątrz z torbami, a potem zamyka za sobą drzwi.

Udałem się natomiast do jego pokoju. Był pusty, pomijając jego przybory malarskie; poukładał jej starannie na półce. Pośrodku stały sztalugi z ukończonym obrazem Béatrice, pozbawionej uśmiechu, ale promiennej. Pomyślałem, że to płótno jest dla Mary, i stwierdziłem, że nie mam nic przeciwko temu, by je otrzymała. Wszystkie pozostałe obrazy zabrał ze sobą.

Wiem, że się nie myliłem tamtego dnia. Robert osiedlił się w jakimś nowym miejscu i malował: pejzaże, martwe natury, żywych ludzi z ich dziwactwami i przymiotami, zdolnych się zestarzeć - dzieła, które zasługiwały na to, by wzbogacać kolekcje i wisieć w muzeach. Nie mogłem oczywiście przewidzieć do końca, że jego rosnąca sława będzie jedynym przesłaniem dla mnie, być może na zawsze, i jedynym, jakiego potrzebowałem. Podążałem tropem jego obrazów, na których uwieczniał swe dorastające dzieci, nowe kobiety w życiu, nieznane pastwiska i plaże, gdzie ustawiał sztalugi. Robert miał rację - zadałem sobie trochę trudu, choć nie całkiem z jego powodu. W zamian, w ramach zapłaty, coś sobie zostawiłem: te długie minuty w Paryżu, przed obrazem, którego świat być może nigdy nie zobaczy. Doznawałem wielkich satysfakcji i radości, ale te małe też są słodkie.

## 1895

Już prawie noc. Światło jest teraz beznadziejne; ciemne gałęzie zlewają się ze sobą i z coraz mroczniejszym niebem. Wyobrażam sobie, jak odkłada przybory, skrobie paletę. Czyści pędzle przy lampie, podczas gdy ona znów przechodzi, tym razem blisko jego okien, pospiesznym krokiem, załatwiwszy swoją sprawę. Nie jest w stanie dostrzec jej twarzy pod kapturem; ona patrzy zapewne w ziemię, na lód, na zamarzające kałuże, łąty śniegu i błota. Potem podnosi głowę, on zaś widzi, że jej oczy są ciemne, tak jak przypuszczał; chwytając ich blask - nie jest to młode oblicze, pomimo iż kobieta odznacza się zgrabnym ciałem, ale takie, w którym mógłby się zakochać, gdyby jego serce było młodsze, i takie, które chciałby nawet teraz malować. Jej wzrok wyłapuje światło w oknie, ona zaś znów schyla głowę, kontynuując wędrówkę, choć buty ma zbyt eleganckie jak na tę zdeptaną drogę. Dostrzega, że jej dłonie zwieszają się puste wzdłuż boków, jakby zostawiła gdzieś to, co w nich tuliła - podarek, posiłek dla chorej starszej osoby, garderobę do naprawienia dla krawcowej w wiosce, jak się domyśla, nawet dziecko. Nie; zbyt zimna noc dla dziecka.

Nie zna tej wioski tak dobrze jak własnej; Moret-sur-Loing, gdzie umrze za mniej więcej cztery lata, znajduje się na zachód stąd. Koniec, którego jest już świadomy. Ból w starannie owiniętej krtani nie jest na tyle silny, by przyćmić jego ciekawość; otwiera ostrożnie drzwi i wygląda za nią. Na pobliskim końcu drogi, przed kościołem, czeka powóz; piękne konie, lampy zapalone i zawieszane wysoko. Widzi zamaszysty ruch jej ciemnych, zdobionych spódnic, kiedy ona wsiada do wehikułu i zamyka za sobą drzwi dłonią w czarnej rękawiczce, jakby lękając się, że woźnica zejdzie z kozła i opóźni odjazd. Konie naprężają mięśnie, w powietrzu widać fantom ich oddechu; powóz rusza, poskrzypując. Potem znika i wioska znów jest cicha, jak zwykle o tej godzinie, pograżając się w noc.

Chowa się do domu i woła na służącą w pokoju na tyłach, by podała mu skromną kolację. Jutro musi wracać do swej żony i atelier, nieco dalej, w górę rzeki, i wysłać list do przyjaciela, który jest tak miły, że każdej zimy użycza mu tego domu. Krótka podróż rankiem, a potem znów malowanie, przez cały ten czas, jaki mu jeszcze pozostał. Tymczasem ogień w kominku zaczyna rzucać cienie po pokoju, a czajnik stojący na piecyku perkocze.

Studiuje z uwagą swój popołudniowy pejzaż; drzewa są całkiem niezłe, a dziwna sylwetka kobiety stanowi wyraźny akcent na wiejskiej drodze, dodaje obrazowi tajemniczości. W lewym dolnym rogu umieszcza swoje nazwisko i dwie cyfry. Na dzisiaj dosyć, choć nazajutrz muśnię jeszcze jej ubranie i poprawi światła w tych oknach w najdalszym domu, na końcu drogi, gdzie stary Renard naprawia uprzęże. Farba już schnie na jego nowym płótnie. Za sześć miesięcy będzie sucha. Powiesi obraz w swoim atelier; pewnego słonecznego ranka zdejmie go ze ściany i wyśle do Paryża.

## PODZIĘKOWANIA

Pragnę, by moje wyrazy wdzięczności przyjęli:

Amy Williams, agentka i niezwykła przyjaciółka; Reagan Arthur, ukochany redaktor przyjaciel; Michael Pietsch, który dzięki swym umiejętnościom poprawił tę książkę, i inni podziwiani przeze mnie pracownicy Little, Brown and Company.

A także:

Georgi H. Kostov - za wspaniałą lekturę tekstu i wolność podróżowania i nauki; Eleanor Johnson - za cierpliwą i pełną życzliwości pomoc podczas zbierania materiałów w Paryżu i Normandii; doktor David Johnson - za wiarę w tę opowieść i za wypoczynek w Auvergne; Jessica Honigberg - za ukazanie dłoni i umysłu malarza; doktor Victoria Johnson - za odrodzoną miłość do Francji; mój surowy krytyk Paul Howard Johnson - za niezawodne wsparcie i zachętę w ciągu czterdziestu lat; Laura E. Wolfson, siostrzana pisarka - za lekturę tekstu i nasze trzydziestoletnie wędrówki po muzeach; Nicholas Delbanco, uwielbiany mentor - za lekturę tekstu i dyskusje na temat Moneta i Sisleya; Julian Popov, kolega po piórze - za krytykę: *благодаря*; Janet Shaw - za lekturę tekstu i opiekuńcze skrzydła, które rozpościera nade mną od lat; doktor Richard T. Arndt - za pomoc we wszystkich sprawach dotyczących Francji: *merci mille fois*; Heather Ewing - za lekturę tekstu i gościnność na Manhattanie; Jeremiah Chamberlin - za nieustraszoną pomoc przy poprawkach i oszczędzanie paliwa; Karen Outen, Travis Holland, Natalie Bakopoulos, Mike Hinken, Paul Barron, Raymond McDaniel, Alex Miller, Josip Novakovich, Keith Taylor, Theodora Dimova i Emil Andreev - za lekturę tekstu i niewyczerpane koleżeństwo w pisarskim rzemiośle; Peter Matthiessen, Eileen Pollack, Peter Ho Davies i inni - za odpowiednią kuratelę; Kate Dwyer, Myron Gauger, Lee Lancaster, John O'Brien i Ilya Pérdigo Kerrigan - za fragmenty; Iván Mozo i Larisa Curiel - za gościnność w Meksyku i rady dotyczące scenerii Acapulco; Joel Honigberg - za refleksje na temat impresjonistów, co pomogło ożywić tę opowieść; Antonia Hodgson, Chandler Gordon, Vania Tomova, Svetlozar Zhelev i Milena Deleva - za ceną przyjaźń, przekład, opowieści o sztuce i literackie koleżeństwo; Hopwood Program na Uniwersytecie Michigan, Ann Arbor Book Festival, Festiwal Sztuki Apollonia w Sozopolu, seminarium

magisterskie na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Wilmington i American University w Bułgarii - za wyrażenie zgody na publiczne czytanie fragmentów tej książki; Rick Weaver - za możliwość obserwacji zajęć z malarstwa organizowanych przez Art League w Alexandrii; doktor Toma Tomov - za informacje o zawodzie psychiatry; doktor Monica Starkman - za to samo i za nieocenioną pomoc podczas redakcji tej książki; doktor John Merriman, doktor Michèle Hanoosh i doktor Katherine Ibbett - za pomoc dotyczącą historii Francji i wskazanie źródeł; Anna K. Reimann, Elizabeth Sheldon i Alice Daniel - za ich moralne wsparcie; Guy Livingston za dwudziestopięcioletnie braterstwo w humanistyce; Charles E. Waddell - za doskonałe sugestie; doktor Mary Anderson - za mądre rady; Andrea Renzenbrink, Willow Arlen, Frances Dahl, Kristy Garvey, Emily Rolka, a także Julio i Diana Szabo - za nieocenioną pomoc w moim domu na różnych etapach pracy nad tą książką; Anthony Lord, doktor Virginia McKinley, Mary Parker, Josephine Schaeffer i Eleanor Waddell Stephens - za wyjaśnienia na temat Francji i języka francuskiego. I inni członkowie rodziny, przyjaciele, studenci, instytucje - trudno wymienić mi w tym miejscu wszystkich.

Wreszcie pragnę powiedzieć, że jestem dłużnikiem Josepha Conrada i jego wspaniałego portretu, *Lorda Jima*; oby duch pisarza zaznał radości i wybaczył mi płynący z głębi serca hołd, jaki złożyłam mu na tych stronach.